

CARL  
HIAASEN

DRUGA SKÓRA



SREBRNA  
SERIA



SREBRNA  
SERIA

  
SREBRNA  
SERIA

# CARL HIAASEN

**Wybitnie utalentowany pisarz i dziennikarz amerykański!**

Hiaasen urodził się na Florydzie, tam też rozgrywa się akcja wielu jego książek. Jako reporter „Miami Herald” wslawił się serią artykułów, demaskujących najrozmaitsze skandale i afery; od korupcyjnych po narkotykowe. Jego rubryka prasowa stała się postrachem wszystkich tych, którzy balansują na granicy prawa - Hiaasen nie oszczędza nikogo, nawet osób postawionych najwyżej w społecznej hierarchii. Jest laureatem wielu nagród i wyróżnień przyznawanych dziennikarzom. Hiaasen jest bardzo ceniony również jako autor niezwykle popularnych powieści obyczajowo-sensacyjnych, m.in.: **Sezon turystyczny** (1986), **Podwójne oszustwo** (1987), **Druga skóra** (1989); razem z Williamem D. Montalbano - opublikował takie książki jak: **Powder Burn**, **Trap Line**, **A Death in China**. Ostatnia powieść Hiaasena **Striptiz** (1993) nie schodzi z amerykańskich list bestsellerów.

*Styl Hiaasena jest jego charakterystycznym znakiem firmowym; ukazując w karykaturze amerykańskie instytucje i styl życia, łączy we właściwy tylko sobie sposób drastyczną brutalność akcji z komizmem i czarnym humorem.*

## DRUGA SKÓRA

Emerytowany pracownik prokuratury Mick Stranahan niespodziewanie staje oko w oko ze straszliwym niebezpieczeństwem. Ktoś zorganizował nam polowanie, wynajmując zawodowych zabójców. Okazuje się, że ma to związek z intrygującą, nie wyjaśnioną dotąd zagadką, którą Mick się kiedyś zajmował. Przed czterema laty, tuż po operacji plastycznej nosa, w tajemniczych okolicznościach zginęła pewna dziewczyna. I oto sprawa odżywa; pojawiają się nowe informacje, którymi zainteresują się dziennikarze telewizyjni. Wiedza Micka o całej historii jest teraz dla niego śmiertelnym zagrożeniem...

  
SREBRNA  
SERIA



Cena okry. 2 95.000.

ISBN 43 000

CARL  
HIAASEN  
DRUGA SKÓRA

Przełożył

Sławomir Kędzierski

  
AMBER  
SREBRNA  
SERIA

Tytuł oryginału SKINTIGHT

Ilustracja na okładce

MARK HARRISON

Redakcja merytoryczna

EWA PIOTRKIEWICZ

Redakcja techniczna

ANNA WARDZAŁA

Copyright © 1989 by Carl Hiaasen

For the Polish edition Copyright © 1994 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 83-7082-714-4

Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

Warszawa 1994. Wydanie I

Druk: Drukarnia Wojskowa w Łodzi

## PODZIĘKOWANIE

Dziękuję serdecznie doktorowi Gerardowi Grau za rady, konsultacje i poczucie humoru, a także Connie, jego byłej siostrze instrumentariuszce, która jest moją żoną.

## 1.

Trzeciego stycznia, w wietrzny dzień pod łożnianym niebem, para turystów z Covington w stanie Tennessee zdjęła swoje praktyczne buty, aby pospacerować po plaży w Key Biscayne.

Gdy dotarli do starej latarni morskiej na Cape Florida, młody człowiek i jego narzeczona usiedli na wilgotnym piasku, chcąc poobserwować fale oceanu rozbijające się ciężko o brązowe głazy na końcu cypla wyspy. W powietrzu wisiał słony pył wodny, który tak mocno szczypał w oczy, że dostrzegłszy pływający przedmiot, chłopak mógł mu się przyjrzeć uważniej dopiero po dłuższej chwili.

— To wielka martwa ryba — oznajmiła jego narzeczona. — Może delfin.

— Nie sędzę — odparł.

Wstał, otrzepał spodnie z piasku i podszedł do krawędzi wody. Gdy przedmiot podpłynął bliżej, młody człowiek zaczął się zastanawiać, jakie będą jego obowiązki prawne, jeżeli unosząca się na wodzie rzecz okaże się tym, co przypuszcza.

O, tak, sływał o Miami i o tym, że takie rzeczy zdarzają się tu codziennie.

— Wracajmy już! — zwrócił się gwałtownie do dziewczyny.

— Nie. Chcę zobaczyć, co to takiego. Już wcale nie przypomina martwej ryby.

Młodzieniec rozejrzał się szybko i zauważył, że dzięki paskudnej pogodzie są zupełnie sami. Z broszury, którą przeczytał w hotelu, dowiedział

się, że latarnia morska jest od dawna opuszczona, co oznaczało, że nikt też nie obserwuje ich z góry.

— To trup — oznajmił ponuro.

— Daj spokój.

W tej samej chwili wielki, syczący bałwan pochwyił tę rzecz swą spienioną grzywą i złożył ją na plaży. Nos martwego mężczyzny wbił się w piasek jak kil jachtu.

Narzeczona młodego człowieka popatrzyła na ciało i rzekła:

— O rany, miałeś rację!

Chłopak nabrał gwałtownie powietrza i cofnął się o krok.

— Czy nie powinniśmy go odwrócić? — zapytała dziewczyna. — Może jeszcze żyje.

— Nie dotykaj. Jest martwy.

— Skąd wiesz?

Wskazał palcem bosej stopy.

— Widzisz tę dziurę?

— To dziura?

Pochyliła się i przyjrzała rdzawej plamie wielkości dolarówki na koszuli denata.

— No cóż, najwyraźniej nie utonął tak po prostu — stwierdził młody człowiek.

Jego narzeczona wzdrygnęła się lekko i zapięła sweter.

— Co teraz zrobimy?

— Wynośmy się stąd.

— Czy nie należałoby zawiadomić policji?

— Mamy wakacje, Cheryl. A poza tym do najbliższego telefonu jest około pół godziny drogi.

Chłopak zaczął się denerwować. Wydało mu się, że słyszy odgłos silnika łodzi dobiegający od strony zatoki, gdzieś zza cypla wyspy.

— Chwileczkę — poprosiła dziewczyna.

Otworzyła czarny skórzany futerał, w którym trzymała swój wierny aparat marki Canon Sure-Shot.

— Co robisz?

— Zdjęcie, Thomas.

Podniosła aparat do oczu.

— Zwariowałaś!

— W przeciwnym razie nikt nam w domu nie uwierzy. Rozumiesz?

Chodzi mi o to, że wrócimy z Miami tak bez niczego, jakby nic się nie zdarzyło. Pamiętasz, jak twój brat przed naszym wyjazdem wciąż sobie żartował, opowiadając o rozmaitych morderstwach? Niesamowite. Thomas, przesun się trochę w prawo i udawaj, że na to patrzysz.

— Udawać? Do diabła!

— Daj spokój.

— Tylko jedno zdjęcie.

— Nie — odparł, zerkając na trupa.

— Proszę. Zużyłeś całą rolkę na flippera.

Pstryknęła zdjęcie i powiedziała:

— Doskonale. A teraz ty mnie.

— No dobrze, pospiesz się — burknął chłopak.

Wiatr z północnego wschodu wiał za jego plecami coraz mocniej, jęcząc w wiotkich australijskich sosnach. Warkot silnika łodzi, jeżeli rzeczywiście był to warkot, ucichł w oddali.

Dziewczyna stanęła przy zwłokach. Wskazywała je palcem i krzywiła się, marszcząc nos wysmarowany maścią cynkową.

— Nie mogę w to uwierzyć — oświadczył młody człowiek, robiąc zdjęcie.

— Ja też, Thomas. — Prawdziwy, niefałszowany trup, jak w telewizji.

— Bee!.

— Jasne, bee — potwierdził. — Cholerne, pieprzone bee!

Dzień zaczął się od lekkiej, chłodnej bryzy i krawędzi poszarpanych truskawkoworóżowych obłoków płynących w kierunku Bahamów.

Stranahan wstał wcześniej i smażył właśnie jajka na boczku, odpędzając jednocześnie mewy z dachu.

Mieszkał w starym domu na palach, stojącym w odległości mili od czubka Cape Florida na płycznach zatoki Biscayne zalewanych przez przyływy. Dom wyposażony był w niewielki generator, napędzany przez wiatrak o czterech skrzydłach, ale nie miał klimatyzacji.

Z wyjątkiem kilku dni sierpnia i września zawsze dęły tu przyjemne wiatry. Był to jeden z sympatycznych aspektów mieszkania na wodzie.



Na tym odcinku zatoki Biscayne, znanym jako Osada na Palach, znajdowało się kilkanaście innych domów, ale żaden z nich nie był zamieszka-ny. Bogaci właściciele wykorzystywali je na weekendowe przyjęcia, a ich dzieciaki upijały się w nich w lecie. Przez pozostały okres służyły mewom i kormoranom jako fikuśne, wielopoziomowe toalety. Stranahan kupił ten dom za grosze na rządowym przetargu. Poprzedni właściciel był wenezuel-skim kurierem kokainowym, którego najpierw podziurawiono trzynastoma pociskami w czasie poważnej dyskusji o interesach, a następnie pośmiertnie postawiono w stan oskarżenia. Gdy tylko zwłoki przetransportowano drogą lotniczą do Caracas, agenci służby celnej zasekwestrowali dom na palach, razem z trzema mieszkaniami, dwoma samochodami marki Porsche, jednookłą szkarłatną arą oraz jachtem z podgrzewaną wanną. Waśnie w tej wannie spotkała Wenezuelczyka tak niezwykle efektowna śmierć i dlatego licytacja była zażarta. Dotyczyło to również ary — świadka zamor-dowania jej właściciela — która uzyskała najwyższą cenę. Przed aukcją zło-śliwi agenci celni nauczyli ptaka powtarzać: „Padnij, dupku!”

Gdy pod młotek poszedł dom, nikt nie był już nim zainteresowany. Stranahan dostał go więc za czterdzieści tysięcy z kawalkiem.

Wysoko cenił sobie pustkę panującą na płyciznach i był uszczęśliwiony, że jest jedynym człowiekiem mieszkającym w Osadzie. Jego krwistoczer-wony dom o brązowych okiennicach stał w odległości około trzystu metrów od głównego kanału, dzięki czemu omijała go większość weekendowego ruchu. Wprawdzie od czasu do czasu jakiś urżnięty facet albo absolutny dureń próbował dopłynąć do brzegu dużym kabinowym jachtem motoro-wym, ale nie docierał zbyt daleko i nie mógł liczyć ani na współczucie, ani na pomoc wielkiego mężczyzny z czerwonego domu.

Trzeci stycznia był dniem roboczym, a ponieważ od wschodu nadcho-dziło pogorszenie pogody, nie należało się spodziewać, by wiele osób zde-cydowało się wypłynąć.

Stranahan rozkoszował się tą świadomością, siedząc na werandzie i je-dząc prosto z patelni jajka na kanadyjskim bekonie. Gdy para tłustych, brudnych mew spłynęła w dół, dopominając się o resztki, chwycił pistolet pneumatyczny i otworzył ogień. Ptaki odleciały z wrzaskiem w stronę Miami. Stranahan miał nadzieję, że opamiętają się dopiero, gdy tam dotrą.

Po śniadaniu naciągnął dzinsy z obciętymi wystrzępionymi nogawkami i zaczął robić pompki. Po sto piątej przerwał i wszedł do środka, aby napić się soku pomarańczowego. Z kuchni usłyszał nadpływającą łódź i wyjrzał przez okno. Przez mielizny mkną) na złamanie karku żółty skif do połowu bananowych ryb. Stranahan uśmiechnął się — znał wszystkich miejscowych szyprów. Czasami pozwalał im cumować przy domu i korzystać z toalety, jeżeli jakaś szczególnie wstydliva klientka nie miała ochoty po prostu wychylić się za krawędź burty.

Nalał dwa kubki gorącej kawy i wyszedł ponownie na werandę. Żółty skif z silnikiem pracującym na jałowym biegu podpływał do pomostu znajdującego się pod domem i służącego jednocześnie za hangar dla łodzi.

Szyper pomachał Stranahanowi i zacumował dziobem. Jego klient, przesadnie blady facet, zajęty był podejmowaniem decyzji, który z czterech filtrów przeciwsłonecznych ma rozsmarować na swych mlecznobiałych ramionach.

Szyper zeskoczył z łodzi i wspiął się na werandę.

— Dzień dobry, kapitanie. — Stranahan podał mu kubek z kawą. Przybysz mruknął przyjaźnie w odpowiedzi. Znali się od wielu lat, ale był to dopiero drugi lub trzeci przypadek, kiedy szyper opuścił łódź, aby wejść do domu na palach.

Stranahan cierpliwie czekał na wyjaśnienie. Szyper odstawił pusty kubek i zapytał:

— Mick, spodziewasz się towarzystwa?

— Nie.

— Rano pytał o ciebie jakiś facet.

— W przystani?

— Nie, tam na brzegu. Pytał, który dom należy do ciebie. — Zerknął przez poręcz na klienta, który ćwiczył rzuty wędziskiem muchowym, wymachując linką jak batem.

Stranahan roześmiał się i zauważył:

— Chyba masz mistrza.

— Zdaje się, że czeka mnie cholernie długi dzień — mruknął kapitan.

— Opowiedz mi o tamtym facecie.

— Dał mi znak, żebym się zatrzymał koło masztów radiowych. Był w białym sześciometrowym seacrafcie. Sądziłem, że ma kłopoty z silnikiem,

ale chciał tylko wiedzieć, który dom jest twój. Wysłałem go w stronę Elliott Key, zakładając, że nie jest twoim kumplem. Chociaż twierdził, że jest.

— Czy powiedział, jak się nazywa?

— Tim jakiś tam.

Stranahan odparł, że jedynym znanym mu Timem jest Gavigan, eksgli-niarz z wydziału zabójstw.

— Otóż to — przytaknął szyper. — Przedstawił się jako Tim Gavigan.

— Chudy rudzielec?

— Nie.

— Cholera! — mruknął Mick.

Oczywiście nie był to Tim Gavigan, który właśnie leżał w szpitalu zajęty umieraniem na raka płuc.

— Mam się pokręcić w pobliżu? — zapytał szyper.

— Do licha, nie. Zabierz swojego mistrza na łowisko. Aż się do tego pali. Pieprz go, Mick. Nie odróżniłby bananowej ryby od wieloryba grenlandzkiego. W każdym razie upatrzyłem w sąsiedztwie parę miejsc. Może dopisze nam szczęście.

— Nie przy tym wietrze, stary. Mielizny już teraz są jak grochówka. Płyn na południe. Ja sobie dam radę. Pewnie to był jakiś woźny sądowy z pozwem.

— W końcu ktoś go poinformuje, który to dom.

— Jasne, też tak uważam — przytaknął Stranahan. — Mówisz, że był białym seacraftem?

— Sześciometrowym — powtórzył szyper. I zanim zaczął schodzić na pomost, dodał:

— Sam facet też jest duży.

— Dzięki za wiadomość.

Stranahan patrzył, jak żółty skif pędzi przez mielizny na południe tak długo, aż pozostał po nim już tylko pienisty, biały ślad torowy.

Płynie chyba do Sand Key, pomyślał, albo i do Ceasar Creek — daleko poza zasięg radia. Nawet gdyby to cholerne radio w ogóle działało.

Około trzeciej po południu wiatr nasilił się, a niebo i woda nabrały iden-tycznego fioletowego odcienia szarości. Stranahan wciągnął długie dżinsy,

lekką kurtkę i mokasyny. Nie uświadamiał sobie wówczas, dlaczego to robi; rozjaśniło mu się w głowie o wiele później. Drzazgi. Wbijające się w czasie biegu po drewnianym pomoście. Nieoheblowane deski były przekleństwem dla bosych stóp, dlatego włożył mokasyny. Na wypadek, gdyby musiał biegać.

Seacraft był hałaśliwy. Mick usłyszał go z odległości dwóch mil. Naprowadził lornetkę na biały punkcik i obserwował, jak przebija się przez krótkie, wysokie fale.

Łódź płynęła prosto w stronę jego domu, nie trzymając się żadnego wytyczonego kanału żeglugowego. Zgadza się, pomyślał kwaśno Stranahan. Pewnie jeden ze strażników rezerwatu na Elliott Key wskazał facetowi jego dom. Wszystko przez nadmiar uprzejmości.

Wstał i zamknął od zewnątrz brązowe okiennice. Jeszcze raz przyjrzał się przez lornetkę mężczyźnie w oddalonym o jakieś pół mili seacrafcie. Nie poznawał go, ale mógł się zorientować, że przyjechał tu z Północy. Widać za punkt honoru uważał paradowanie w koszuli z krótkim rękawami nawet w taki dzień jak ten i miał najbardziej kretyńskie okulary przeciwsłoneczne, jakie ktoś kiedykolwiek wymyślił.

Stranahan wślizgnął się do domu. Nie mógł zamknąć drzwi od wewnątrz. Zazwyczaj nie było takiej potrzeby.

Przy zamkniętych okiennicach w domu było ciemno jak w kominie, lecz Mick znał najdrobniejsze szczegóły każdego pokoju. W tym domu przetrwał przecież dwa huragany, niewielkie, lecz wystarczająco paskudne. Przeczekał oba sztormy w całkowitej ciemności, ponieważ wiatr przedzierał się przez ściany i wyprawiał wściekle harce z lampami, a ostatnią rzeczą, na którą miałyby się ochotę w takiej sytuacji, byłby pożar wewnątrz budynku. Dzięki temu Stranahan potrafił poruszać się w swoim mieszkaniu po ciemku.

Wybrał sobie miejsce i czekał. Po kilku minutach wycie silników seacrafta obniżyło się o oktawę i Mick domyślił się, że łódź zwalnia. Zapewne facet dokładnie przygląda się domowi, starając się ustalić, jak najlepiej przebrnąć przez łachy.

W marglu przekopany był wąski kanał o głębokości około metra dwudziestu w czasie wysokiej wody i wystarczająco szeroki, aby pomieścić jedną łódź. Jeżeli intruz go zauważy i popłynie nim, z pewnością dostrzeże aluminiową łódź Stranahana zacumowaną pod zbiornikami z wodą. A wtedy już będzie wiedział.

Mick usłyszał rżenie silników, gdy śruby seacrafta wgrzyły się w margiel. Przybysz nie znalazł kanału.

Potem rozległ się łoskot — to wielki jacht uderzył o pale przy zachodnim krańcu domu. Do Stranahana dobiegały pomrukiwania faceta uwijającego się na dziobie i usiłującego założyć cumę. Przeszkadzał mu w tym szybko postępujący odpływ, którego prąd wciąż odsuwał łódź.

Następnie Stranahan usłyszał — i poczuł — jak mężczyzna wychodzi z motorówki i wspina się na główny poziom domu. A potem rozległ się jego okrzyk:

— Hej! Jest tu ktoś?

Przybysz nie poruszał się lekko. Kapitan miał rację — facet był wielki. Czując wibrację desek podłogi, Stranahan mógł dość dokładnie określić miejsce, w którym znajdował się intruz.

Wreszcie mężczyzna zastukał do drzwi, wołając:

— Hej! Czy można?

A nie usłyszawszy odpowiedzi, po prostu wszedł do środka.

Stał na tle popołudniowego światła i Stranahan mógł dobrze się przyjrzeć jego sylwetce. Facet zdjął okulary przeciwsłoneczne i gdy zaglądał w głąb ciemnego domu, jego prawa dłoń skierowała się w stronę paska spodni.

— O co panu chodzi? — zapytał Mick z mroku.

— Och, cześć! — Przybysz cofnął się na pomost i teraz Mick widział go już wyraźnie. Nie przypominał sobie tej twarzy — dziwnej, guzowatej, o skórze silnie napiętej na kościach policzkowych. Nos również nie pasował do oczu i podbródka. Stranahan zastanawiał się przez chwilę, czy facet nie przeżył kiedyś paskudnej kraksy samochodowej.

— Skończyło mi się paliwo — wyjaśnił mężczyzna. — Czy nie udostępniłby mi pan trochę, abym mógł wrócić do przystani? Chętnie zapłacę.

— Przykro mi — odparł Mick.

Gość spojrział w kierunku głosu, ale ni cholery nie był w stanie cokolwiek dostrzec w zaciemnionym wnętrzu.

— Hej, kolego, dobrze się czujesz?

— Doskonale.

— To może wyszedłbyś na zewnątrz, żebym mógł cię zobaczyć?

Lewą ręką Stranahan złapał nóżkę stołka barowego i poturlał go po

podłódze prosto przed siebie. Chciał zobaczyć, jak ten dupek się zachowa, i nie rozczarował się. Facet wyciągnął zza paska pistolet o krótkiej lufie i schował go za plecami. A potem zrobił dwa kroki do przodu i wszedł do środka domu. Następnie jeszcze jeden ostrożny krok w kierunku połamałego stołka. Tym razem jednak pistolet trzymał przed sobą.

Stranahan, stojąc wciśnięty pomiędzy lodówkę i kredens, mógł się przyjrzeć wystarczająco dobrze tej cholernej spluwie.

— Tutaj — odezwał się.

A gdy przybysz obrócił się gwałtownie, aby wycelować w stronę źródła głosu, Mick wyskoczył z mroku i przebił go na wylot zdjętym ze ściany wypchanym łbem marlina.

Był to wspaniały marlin błękitny o wadze blisko dwustu kilogramów, a ten, kto go złowił, postanowił zakonserwować jedynie łeb i przednią część kadłuba — do początku płetwy grzbietowej. Rekordowa ryba dostała mu się razem z wyposażeniem domu Wenezuelczyka i wisiała w saloniku. Stranahan w końcu przyzwyczał się do jej pręg w kolorze indygo, wściekle patrzących szklanych oczu i straszliwego czarnego miecza.

Na dobrą sprawę wstyd mu było ją upaskudzić, ale zdawał sobie sprawę, że pistolet pneumatyczny jest bezużyteczny wobec prawdziwej broni. Wypchana ryba wcale nie była tak ciężka, jak przypuszczał, lecz cholernie nieporęczna. Dlatego, szarżując na intruza, postarał się dokładnie wycelować.

Oplaciło się. Miecz marlina przedziurawił mostek mężczyzny, rozerwał mu aortę i uszkodził kręgosłup. Facet zmarł, zanim Stranahan zdołał zadać mu jakiegokolwiek pytanie. Oślupiały wyraz, jaki zastygł na jego twarzy, najwyraźniej świadczył, że intruz nie oczekiwał, iż zostanie załatwiony za pomocą gigantycznego, wypchanego łba rybiego.

Nieznajomy nie miał przy sobie żadnych dokumentów, portfela ani obrączki — tylko kluczyki wynajętego thunderbirda.

Na pokładzie również wynajętego seacrafta Stranahan znalazł chłodziarkę Igloo z dwoma szóstkami piwa Corona i parę tanich wędzisk spinningowych, które niedoszły zabójca wziął ze sobą, aby udawać wędkarza.

Mick wciągnął denata do łodzi i wyprowadził ją na kanał Biscayne. Tam wypchnął zwłoki za burzę, cisnął w głębinę pistolet, umył pokłady, skoczył z rufy i popłynął z powrotem do swego domu.

Po piętnastu minutach dotknął kolanami łąchy mułu i przebrnął w nim ostatni, niespełna metrowy odcinek dzielący go od pomostu.

Tego wieczoru z powodu zachmurzenia nie było godnego wspomnienia zachodu słońca, ale Stranahan mimo wszystko siedział na pomoście. Patrząc w stronę zachodu, próbował domyślić się, kto chce go zlikwidować i dlaczego.

Rozstrzygnięcie tego uznał za najważniejsze zadanie.

## 2.

Czwartego stycznia wyjrzało słońce i doktor Rudy Graveline uśmiechnął się. Słońce doskonale wpływało na jego interesy. Przypiekało, opalało ciało i otwierało pory na ludzkich obliczach, a także umieszczało w nich załączki złośliwych mikronowotworów, które w pewnym momencie rozwiną się i będą wymagały usunięcia.

Doktor Rudy Graveline był chirurgiem plastycznym i uwielbiał widok słońca. Poza tym miał doskonały nastrój, ponieważ był styczeń, a styczeń na Florydzie stanowi szczytowy punkt zimowego sezonu turystycznego i jest złotodajnym okresem dla chirurgów plastycznych.

Tysiące starszych mężczyzn i kobiet, przybywających tu w pogoni za cieplejszą pogodą, wykorzystywało tę okazję, aby również poprawić swój wygląd. Życzyli sobie usuwania brzuszaków, korygowania nosów, biustów, tyłków, odsysania tłuszczu, wygładzania zmarszczek — co tylko możliwe. I zawsze błagali o wyznaczenie wizyty w styczniu, aby blizny zagoiły się przed wiosennym powrotem na Północ.

Doktor Rudy Graveline nie mógł zadowolić wszystkich zimowych ptaszków, ale starał się jak diabli. W styczniu, lutym i do połowy marca cztery sale operacyjne w Whispering Palm były zarezerwowane od świtu do zmierzchu. Większość pacjentów domagała się przeprowadzenia operacji osobiście przez doktora, którego sława zdecydowanie przewyższała jego talent.



Rudy zazwyczaj podrzucał ich ośmiu innym chirurgom plastycznym zatrudnionym w klinice, kuracjusze jednak głęboko wierzyli, że to, on sam własnoręcznie dokonał zabiegu.

To złudzenie wynikało stąd, że doktor Graveline często ich odwiedzał i poklepywał po pomarszczonych dłoniach, dopóki szczęśliwie nie wyłączyli się pod wpływem podtlenku azotu albo dożylnego zastrzyku valium. Wtedy przekazywał ich któremuś z młodszych i bardziej kompetentnych podwładnych.

Rudy Graveline oszczędzał się dla najbogatszych pacjentów. Stali klienci przyjeżdżali, aby dać się pokroić każdej zimy, i doktor liczył głównie na nich.

Zapewniał swoich chirurgicznych hipochondryków, że nie ma nic nie-normalnego w przeprowadzaniu piątej, szóstej czy też siódmej korektury plastycznej powiek w ciągu dokładnie takiej samej liczby lat. „Czy dzięki temu czujesz się lepiej” — pytał ich Rudy. „W takim razie warto było, prawda? Oczywiście, że tak”.

Jedną z jego pacjentek była sześćdziesięciodziewięcioletnia Madeleine Margaret Wilhoit z North Palm Beach. W wyniku ich długotrwałej znajomości nie pozostał chyba ani jeden centymetr kwadratowy jej okazałej figury, nad którym nie pracowałby już doktor Rudy Graveline. Bez względu na, to, co robił i jaki rachunek wystawiał, jego klientka zawsze była zachwycona. I następnego roku wracała na ciąg dalszy. Choć jej oblicze pod wieloma względami przypominało doktorowi wielbłąda, był do niej serdecznie przywiązany. Stanowiła bowiem typ stałego pacjenta, dzięki któremu powstawały lokowane poza kontynentem fundusze powiernicze.

Czwartego stycznia, ożywiony jazdą w ciepły, słoneczny poranek do Whispering Palms, Rudy Graveline pogrążył się w myślach na temat piątego, szóstego czy siódmego (nie był w stanie przypomnieć sobie, którego) remontu górnych powiek Madeleine Margaret Wilhoit.

Biorąc pod uwagę fakturę jej skóry, przypominającej raczej cielesną powłokę dromadera, zdawał sobie sprawę, że jego zadanie skazane jest na niepowodzenie. Wszelkie kosmetyczne ulepszenia dokonają się wyłącznie w wyobraźni wiekowej pacjentki, ale Rudy (wiedząc, że i tak będzie zachwycona) nalegał na przeprowadzenie zabiegu.

W połowie operacji wiszący na ścianie aparat telefoniczny pisnął

dwukrotnie. Siostra instrumentariuszka wprawnym ruchem wcisnęła łokciem guzik interkomu i oznajmiła dzwoniącemu, że doktor Graveline jest w toku zabiegu i nie może podejść.

— Powiedz mu, że to cholernie ważne — oznajmił ponury męski głos.

Rudy rozpoznał go natychmiast. Poprosił pielęgniarkę i anestezjologa, żeby na kilka minut wyszli z sali operacyjnej. Gdy zniknęli za drzwiami, rzucił do mikrofonu:

— Mów.

— To ja.

Jego rozmówca dzwonił z automatu w Atlantic City w stanie New Jersey, chociaż nie miało to dla doktora żadnego znaczenia. Wiedział tylko, że telefon jest z Jersey, i to musiało mu wystarczyć.

— Chcesz usłyszeć sprawozdanie? — zapytał mężczyzna.

— Oczywiście.

— Poszło paskudnie.

Rudy westchnął i popatrzył w dół, na fioletowe wektory, które wymalował wokół oczu Madeleine.

— Jak paskudnie? — odezwał się do interkomu.

— W kurewsko najgorszy sposób.

Doktor usiłował wyobrazić sobie twarz przy drugiej słuchawce, w New Jersey. Dawniej potrafił określić wygląd na podstawie głosu w aparacie. Ten głos brzmiał tak, jakby należał do tłuściocha o czarnych krzaczastych brwiach i wrednych ciemnych ślepkach.

— I co teraz? — zapytał Rudy.

— Zatrzymaj drugą połowę swoich pieniędzy.

Ale książę, pomyślał Graveline.

— A co będzie, jeżeli zechcę spróbować jeszcze raz?

— Nie ma sprawy.

— Ile będzie kosztowało tym razem?

— Tyle samo — odparły Krzaczaste Brwi. — Umowa to umowa.

— Mogę to jeszcze przemyśleć?

— Jasne.

Zadzwoń jutro.

— Po prostu nie przewidywałem żadnych problemów — wyjaśnił Rudy.

— To nie jest twój problem. Takie gówno czasem się zdarza.

— Rozumiem — odparł doktor Graveline.

Mężczyzna w New Jersey odłożył słuchawkę, a Madeleine Margaret Wilhoit zaczęła się wiercić. Rudy'emu przyszło do głowy, że stara gropa może wcale nie śpi i słyszała całą rozmowę.

— Madeleine? — szepnął jej do ucha.

— Umghhh.

— Dobrze się czujesz?

— Wspaniale, tatusiu — wybelkotała. — Kiedy popłynę żaglówką?

Doktor uśmiechnął się i przycisnął guzik dzwonka, przywołując siostrę oraz anestezjologa, aby pomogli mu dokończyć operację.

Pracując w biurze prokuratora stanowego, Mick Stranahan pomógł wpakować wiele osób do pudła. Większość z nich, nawet mordercy, już wyszła dzięki poleceniu sądu federalnego nakazującemu stanowi Floryda okresowo rozładowywać przeludnione więzienia.

Stranahan godził się z faktem, że niektórzy z byłych podopiecznych żywią do niego urazę i spora ich część z radością powitałaby wiadomość o jego śmierci. Z tego właśnie powodu zachowywał taką ostrożność, przyjmując gości.

Nie był paranoikiem, ale miał dość praktyczny pogląd na kwestię ryzyka — gdy ktoś wyciąga spluwę, stojąc przed drzwiami wejściowymi, na dobrą sprawę nie ma sensu pytać go, czego sobie życzy. Odpowiedź jest oczywista, podobnie jak rozwiązanie.

Zabójca, który zjawił się w domu na palach, był piątym człowiekiem zabitym przez Stranahana. Najpierw Mick załatwił dwóch żołnierzy armii Wietnamu Północnego, którzy rozciągali druty naciągowe min przeciwpiechotnych niedaleko miasteczka Dak Mat Lop na Płaskowyżu Centralnym. Zaskoczył ich tym, że zamiast M-16 użył broni bocznej i nie chybił. To wydarzyło się w drugim tygodniu maja tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego, gdy Mick miał zaledwie dwadzieścia lat.

Trzecim zabitym był Thomas Henry Thomas, rabuś z Miami, który popełnił błąd, napadając na knajpkę z pieczonymi kurczakami akurat w chwili, gdy Stranahan stał w kolejce po pudełko z super-ekstra-chrupiącym.

Aby uzupełnić nędzne siedemdziesiąt osiem dolarów wyciągnięte z kasy, Thomas Henry Thomas postanowił skonfiskować portfele i torebki wszystkich klientów. Przebiegało to nader gładko, dopóki — posuwając się wzdłuż kolejki — nie dotarł do Micka, który spokojnie odebrał mu rewolwer Charter Arms kalibru zero trzydzieści osiem i dwukrotnie wystrzelił mu w prawą skroń.

W uznaniu zasług firma handlująca pieczonymi kurczakami obdarowała Stranahana trzymiesięcznym abonamentem na swoje wyroby i zaproponowała, że przez cały grudzień tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku będzie ozdabiała jego podobizną wszystkie pudełka z „Kurczakowymi delicjami”. Całkowicie splukany finansowo po morderczym rozwodzie, Mick przyjął abonament, ale zrezygnował z fotografii.

Zastrzelenie Thomasa Henry'ego Thomasa (nie bacząc na jego dość oczywiste wady) okazało się wystarczającym powodem, by Stranahan przestał być funkcjonariuszem zarówno policji w Miami, jak i w hrabstwie Dade. Przeciwko niemu zadziałała również jego kategoryczna odmowa poddania się jakimkolwiek rutynowym testom psychologicznym.

Jednakże w biurze prokuratora stanowego brakowało pracownika dochodzeniowego znającego życie i z rozkoszą zatrudniono w nim wielokrotnie odznaczanego weterana wojennego, chociaż liczył sobie zaledwie dość niepoważne dwadzieścia dziewięć lat.

Czwartą i najważniejszą osobą zabita przez Micka Stranahana był przekupny sędzia z hrabstwa Dade, niejaki Raleigh Goomer.

Specjalnością sędziego Goomera było wymuszanie pieniędzy od obrońców, w zamian za obniżanie kaucji do śmiesznych rozmiarów. Dzięki temu niebezpieczni przestępcy opuszczali więzienie i uciekali z miasta.

Stranahan przyłapał sędziego i aresztował go w chwili, gdy odbierał łapówkę w lokalu ze striptizem niedaleko portu lotniczego w Miami.

Po drodze do aresztu Goomer najwyraźniej spanikował, wyciągnął rewolwer kalibru zero dwadzieścia dwa gdzieś z czarnych nylonowych skarpetek i trzykrotnie wystrzelił do Micka. Trafiony dwukrotnie w prawe udo, Stranahan mimo wszystko zdołał złapać za rewolwer sędziego, wpakować lufę w jego prawe nozdrze i pociągnąć za spust.

Specjalny sędzia śledczy przysłany z Tamy przedstawił powyższy

przypadek sądowi orzekającemu o przekazaniu sprawy ławie przysięgłych i sąd ów przyznał, że zabicie sędziego Raleigha Goomera było zapewne działaniem w samoobronie, choć strzelenie komuś prosto w nos wydaje się dość ekstremalnym posunięciem.

Stranahana oczyszczono z zarzutów, najwyraźniej jednak nie mógł być już dłużej zatrudniony w biurze prokuratora. Wyjątkowo silne naciski na jego zwolnienie wychodziły najczęściej od innych przekupnych sędziów. Kilku z nich stwierdziło nawet, że boją się, iż pan Stranahan mógłby występować jako świadek w ich sądach.

Siódmego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku Mick Stranahan złożył rezygnację ze swojej posady w biurze prokuratora. Informacja prasowa nazwała to wczesną emeryturą i ujawniła, że Mick będzie otrzymywał pełną rentę inwalidzką na skutek trwałych uszkodzeń ciała, odniesionych w wyniku ran postrzałowych zadanych mu przez sędziego Goomera.

Stranahan wcale nie był inwalidą, ale jego rodzinne powiązania z osławionym prawnikiem zajmującym się odszkodowaniami wystarczyły, aby sterroryzować władze hrabstwa do tego stopnia, że mu zapłaciły. Gdy oznajmił, że nie chce pieniędzy, natychmiast podwojono oferowaną sumę i dodano samobieżny fotel inwalidzki.

Mick się poddał.

Wkrótce potem przeniósł się do Osady na Palach i zaprzyjaźnił z rybą.

Motorówka patrolu morskiego podpłynęła do domu Stranahana o wpół do dwunastej w południe. Mick stał na górnym pomoście, próbując złapać namorzynowego lucjana.

— Masz chwileczkę? — zapytał funkcjonariusz patrolu, bystry, młody Kubańczyk o nazwisku Luis Córdova.

Stranahan bardzo go lubił.

— Wchodź na górę! — zawołał.

Zwinął żyłkę i odstawił wędkę. Wyciągnął z wiaderka cztery martwe lucjany i po kolei wypatroszył je, wyrzucając jasne wnętrza do wody.

Córdova opowiedział mu o martwym mężczyźnie wyrzuconym przez fale na Cape Florida.

— Rangersi znaleźli go wczoraj wieczorem — poinformował. — Cytrynowy rekin odgryzł mu lewą stopę.

— Zdarza się — skomentował Stranahan, obdzierając ze skóry rybi filet.

— Medyk z sądówki twierdzi, że to była cholernie wielka rana kluta.

— Zamierzam usmażyć je do kanapek — rzekł Stranahan. — Zjadłbyś lunch?

Córdova pokręcił głową.

— Nie, Mick. Jakieś palanty kłusują na homary koło Boca Chita i powinienem ruszać do roboty. Policja poprosiła mnie, żebym powęszył w okolicy i popytał, czy ktoś czegoś nie widział. A ponieważ tylko ty tu mieszkasz...

Stranahan oderwał się na chwilę od czyszczenia ryb.

— Nie przypominam sobie, aby wczoraj był jakiś specjalny ruch — oznajmił. — O ile dobrze pamiętam, pogoda była do dupy.

Wyrzucił za poręcz szkielety ryb, z wciąż tkwiącymi na nich łbami.

— No cóż, policja miejska wcale nie jest tym zachwycona — oświadczył Córdova.

— Dlaczego? Kim jest ten sztywniak?

— Nazywał się Tony Traviola, mądralo. Policja stanowa z New Jersey ma na niego grubą teczkę. Tony Węgorz, poborca długów. Zdaje się, że niezbyt miły facio.

— Przypuszczają, że to kontrakt mafii? — zapytał Stranahan.

— Nie wiem, co przypuszczają.

Mick zaniósł rybnie filety do domu i opłukał je pod kranem. Oszczędzał wodę, bo jej poziom w zbiorniku był niski.

Córdova zgodził się wypić szklankę mrożonej herbaty i teraz stał obok niego w kuchni, przyglądając się, jak obtacza filety w żółtku i tartej bułce.

Zazwyczaj Mick wolał być sam w czasie kuchennych zajęć, ale teraz nie chciał, żeby Luis Córdova już sobie poszedł.

— Znaleźli również łódkę tego faceta — ciągnął funkcjonariusz patrolu. — Wynajęta w Haulover. Biały seacraft.

Stranahan odparł, że nie widział ostatnio żadnego.

— Znaleźli tylko kilka plamek krwi — dodał Kubańczyk. — Ktoś go nieźle wyczyścił.

Mick zanurzył filety w oleju na patelni. Wyglądało na to, że piec nie działa, ukląkł więc i sprawdził płomień świecy — jak zwykle zgasł. Przyłożył zapaloną zapalarkę i po niedługim czasie ryby zaczęły skwierczeć.

Córdova usiadł na jednym z plecionych stołków barowych.

— Dlaczego wykluczają mafię? — zapytał Stranahan.

— Wcale tego nie powiedziałem, Mick.

Stranahan uśmiechnął się i otworzył butelkę piwa.

— Nie mówią mi o każdym szczególe — Kubańczyk wzruszył ramionami.

— Przede wszystkim nie ciągnęliby go aż na Florydę, żeby mu zrobić kuku, prawda, Luis? W Jersey mają dokładnie ten sam ocean. A więc Tony Węgorz był tu w interesach.

— Brzmi sensownie. — Córdova skinął głową.

— Po drugie, dlaczego go nie zastrzelili? Noże są dla dzieciaków, a nie zawodowców.

Funkcjonariusz patrolu złapał przynętę.

— To nie był nóż — odparł. — Zbyt duża rana, jak stwierdził medyk z sądówki. Bardziej wygląda na oszczep.

— Dość nietypowa robota.

— Owszem — przytaknął Córdova.

Stranahan zrobił trzy kanapki z rybą i dał jedną Luisowi, który całkowicie już zapomniał o kłusujących na homary, jeżeli w ogóle tacy istnieli.

— Jest jeszcze jeden dziwaczny szczegół — dodał z ustami zapechanymi chlebem. — Twarz twego faceta.

— A co w niej dziwnego?

— W niczym nie przypomina zdjęcia z kartoteki, nawet w przybliżeniu. Zidentyfikowali go dzięki odciskom palców i użębieniu, ale gdy wydobyli fotografie z FBI, okazało się, że wyglądał jak zupełnie ktoś inny. Policja miejska zadzwoniła więc do Biura, twierdząc, że popełnili pomyłkę, a ci na to: „Nic podobnego, wysłaliśmy wam akta Tony'ego Travioli”. Wałkowali sprawę tam i z powrotem przez dwie godziny, aż wreszcie ktoś poszedł po rozum do głowy i wezwał specja z sądówki.

Córdova przerwał, aby napić się mrożonej herbaty. Ryba parowała mu w ustach.

— I co? — zapytał Stranahan.

— Operacja plastyczna.  
— Nie pieprzysz?  
— Przynajmniej pięć osobnych operacji. Od oczu do podbródka. Ten Tony Węgorz był najwyraźniej bratnią duszą Michaela Jacksona. Własna matka by go nie poznała.

Mick otworzył kolejne piwo i usiadł.

— Po co taka łąza jak Traviola dawalby sobie przerabiać gębę?  
— Zarobił dychę za wymuszanie — wyjaśnił Córdova. — Wyszedł z Rahway mniej więcej dwa lata temu. Wkrótce potem zrobiono skok na ciężarówkę Purolator, ale rabusiów znaleziono trzy dni później — martwych i bez łupu. Klasyczna mafijna przewalanka. Federalni wystawili nakaz na Traviolę i wywiesili jego zdjęcia w każdym urzędzie pocztowym na całym wschodnim wybrzeżu.

— Dobry powód, żeby dać sobie przemodelować facjatę — przyznał Mick.

— Też tak uważam — Luis wstał i umył talerz w zlewie.

Stranahan był pod wrażeniem.

— Nie dowiedziałeś się tego wszystkiego w miejskiej, co?

Córdova roześmiał się.

— Hej, przecież nawet zwyczajny krawężnik ma teraz komputer.

Dobry z niego chłopak, pomyślał Mick. Dobry gliniarz. Może jest jeszcze jakaś nadzieja dla świata.

— Widzę, że popłynąłeś i kupiłeś gazetę — zauważył Luis. — Co to za święto, obstawiasz konia w Gulfstream?

Cholera, zreflektował się Stranahan, strzeliłem głupstwo.

Na błacie barku leżał „Herald”, otwarty na stronie z wiadomością o topielcu. Jak zwykle w Miami, wiadomość ta miała tylko dwa akapity, małe nagłówki i była wciśnięta między notatkę o przechwyceniu dwóch ton koki i podwójne zabójstwo na rzece. Może Luis nie zwrócił na nią uwagi.

— Musiałeś wcześniej wstać, aby zdążyć na przystań i z powrotem.

— Popłynąłem po zakupy — skłamał Stranahan. — A poza tym był fajny ranek na spacerek łodzią. Jak ci smakowała ryba?

— Pyszna, Mick. — Kubańczyk klepnął go w ramię i się pożegnał.

Stranahan wyszedł na pomost i obserwował, jak Córdova odcumowuje swoją patrolową motorówkę — szarą mako z przyczepnym silnikiem



i niebieskim policyjnym migaczem umocowanym na środku deski rozdzielczej.

— Jeżeli czegoś się dowiem, Luis, dam ci znać.

— Nie przemęczaj się, to broszka policji miejskiej — odparł funkcjonariusz patrolu. — A poza tym facet robi wrażenie kupy śmiecia.

— Tak — przyznał Mick. — Współczuję rekinowi; temu, który zżarł jego lewą stopę.

Córdova zachichotał.

— Jasne. Będzie teraz rzygał przez tydzień.

Stranahan pomachał, gdy policyjna motorówka odbiła od pomostu. Z zadowoleniem stwierdził, że Luis, zgodnie z zapowiedzią, rzeczywiście płyne w stronę Boca Chita.

Był również szczęśliwy, że młody funkcjonariusz nie zadawał mu pytań na temat łba błękitnego marlina wiszącego na ścianie saloniku. Na przykład, dlaczego jego miecz naprawiono za pomocą nowiutkiej taśmy klejącej.

Przez większą część swojego dorosłego życia Timmy Gavigan wyglądał jak umarłak. Teraz miał powód. Jego miedzianorude włosy wypadły garściami, odsłaniając placki bladej, piegowanej skóry. Twarz, niegdyś okrągła i pucołowata, wyglądała w tej chwili, jakby ktoś wypuścił z niej powietrze.

— Mick, czy uwierzyłbyś, że to jest pieprzone jedzenie? — rzekł, leżąc na szpitalnym łóżku. — Wziął z tacy kawałek szarego mięsa i unióś go dwoma palcami jak niezmiernie ważny dowód rzeczowy. — Oto nasz rząd w działaniu, Mick. Te same dupki, które chcą umieścić w kosmosie lasery, nie potrafią usmażyć steka.

— Przyniosę nam coś — zaproponował Stranahan.

— Daj spokój.

— Nie jesteś głodny?

— Wpuścili mi do żył mniej więcej dwadzieścia litrów trucizny, Mick. Jakiś nowy preparat, doświadczalny supersoczek. Powiedziałem im, żeby się nie krępowali, no bo czemu nie, do diabła? Nawet jeżeli zabije tylko jedną cholerną komórkę rakową, całkowicie to popieram.

Stranahan uśmiechnął się i usiadł.

— Parę dni temu odwiedził mnie facet. Posługiwał się twoim nazwiskiem, Tim.

Śmiech zabulgotał w gardle Gavigana.

— Niezbyt sprytnie. Nie wiedział, że się przyjaźnimy?

— Właśnie o to mi chodzi. Opowiadał ludziom, że jest tobą, i próbował wysondować, w którym domu mieszkam.

— Ale t o b i e nie przedstawił się jako ja?

— Nie.

Niebieskie oczy Gavigana rozbłysły.

— Znalazł cię?

— Niestety.

— I co?

Stranahan zastanawiał się, jak to wszystko rozegrać.

— Hej, Mick, nie mam wiele czasu, zapomniałeś? Wiesz, że w każdej chwili mogę kopnąć w kalendarz, więc nie zmuszaj mnie, bym wyciskał z ciebie tę pieprzoną historię po kropelce.

— Okazało się, że był złym facetem ze Wschodu. Zabójca z mafii.

— Był? — Gavigan uśmiechnął się. — A więc tak. A ja myślałem, że wpadłeś tylko po to, żeby sprawdzić, jak trzyma się twój stary kumpel.

— Również dlatego — zapewnił Stranahan.

— Ale przede wszystkim chcesz, żebym pomógł ci ustalić, w jaki sposób ten makaroniarz powiązał nas ze sobą?

— Nie podobało mi się, że używał twojego nazwiska.

— A jak sądzisz, co ja czuję? — Gavigan podał mu tacę z jedzeniem i poprosił, aby odstawił ją na podłogę.

Położył obciążone pergaminową skórą dłonie na okrytych cienkim wełnianym kocem udach.

— Skąd mógł wiedzieć, że się przyjaźnimy, Mick? Nigdy nie dzwonicz, nie przysyłasz mi czekoladek. Zapomniałeś o moich urodzinach trzy lata z rzędu.

— Nieprawda, Tim. Dwa lata temu wysłałem ci striptizogram.

— To ty przysłałeś mi tę laskę? A ja się ludziłam, że po prostu zjawiała się w komisariacie i wybrała najprzystojniejszego gliniarza. Do licha, Mick, zabrałem ją na tydzień na Wielką Bahamę i o mało się z nią nie ożeniłem.

Stranahan poczuł się lepiej.

Timmy coś kojarzył. Widać to było w jego spojrzeniu. Zaczynał coś sobie przypominać.

— Mick, ta dziewczyna miała najfajniejsze sutki, jakie w życiu macałem. Muszę ci podziękować.

— Zawsze do usług.

— Były tak duże jak dolarówki Susan B. Anthony. I o takim samym kształcie. Ośmiokątne. — Gavigan puścił oko. — Pamiętasz sprawę Barletty?

— Jasne. — Przypadek zaginięcia, który potem uznano za możliwość kidnapingu. Ofiarą była dwudziestodwuletnia studentka uniwersytetu w Miami Victoria Barletta — oczy piwne, włosy czarne, wzrost metr osiemdziesiąt, waga sześćdziesiąt pięć kilogramów. Zniknęła deszczowym marcowym popołudniem. Wciąż niewyjaśnione.

— Pisano o nas w gazetach — przypomniał Gavigan. — Wciąż przechowuję wycinki.

Stranahan odtwarzał w pamięci dalsze szczegóły. Była konferencja prasowa. Rodzice Victorii zaproponowali nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Timmy był oddelegowany przez wydział zabójstw, on przez biuro prokuratora. Ich wypowiedzi cytowano w artykułach opublikowanych na pierwszych stronach „Heralda” i „Miami News”.

Nagły atak kaszlu przyjaciela zaskoczył Micka. Wyglądało, jakby płuca Timmy'ego zmieniły się w kisiel.

— Podaj mi kubek — poprosił chory. — Wiesz co? To był jedyny wypadek, kiedy w gazetach pisano o nas obu jednocześnie.

— Timmy, przecież pisano o nas ciągle.

— Tak, ale nie o obu naraz. — Upił łyk piwa imbirowego i wyciągnął blady, kościsty palec w stronę Stranahana. — Nie naraz, koleś, wierz mi. Zachowałem wszystkie wycinki do mojego albumu pamiątkowego. A ty tego nie robisz?

Stranahan zaprzeczył.

— No tak, to do ciebie niepodobne — rozkaszał się znowu Gavigan.

— Więc przypuszczasz, że ten facio z mafii wyczytał to z gazet?

— Wcale nie mafios — odparł Tim. — Gość, który go wynajął. Niezła możliwość, co?

— Sprawa Barletty była cztery lata temu, Timmy.

— Hej, nie tylko ja mam albumy z wycinkami. — Gavigan ziewnął. — Przemysł wszystko dobrze, Mick. To może być ważne.

Stranahan wstał mówiąc:

— Odpocznij trochę, stary.

— Cieszę się, że zająłeś się tym kutasem posługującym się moim nazwiskiem.

— Daj spokój. Nie wiem, o co ci chodzi.

— Tak, jasne — Gavigan uśmiechnął się. — W każdym razie jestem zadowolony, że się nim zająłeś. Nie powinien tak kłamać i nadużywać mojego dobrego imienia.

Stranahan podciągnął koc pod brodę przyjaciela.

— Dobranoc, Timmy.

— Uważaj, Mick — ostrzegł go gliniarz. — I posłuchaj: kiedy wyciągnę kopyta, zrób wycinki z gazet, dobrze? Przyklej je na ostatniej stronie mojego albumu.

— Obiecuję.

— Chyba że nic o mnie nie napiszą.

— Na pewno napiszą — odparł Stranahan. — Upchną to w ogłoszeniach drobnych, tam gdzie twoje miejsce.

Timmy Gavigan wybuchnął takim śmiechem, że trzeba było zadzwonić po pielęgniarkę, aby podała mu tlen.

### 3.

Cztery dni po tym, jak człowiek mafii zjawił się, by go zamordować, Mick Stranahan wstał wcześniej i popłynął swoją motorówką do przystani. Tu z kłopotami odpalił starego chryslera imperial i pojechał do Gables-by-the-Sea, eleganckiej, ale niewłaściwie nazwanej osady.

Mieszkała tam jego siostra Kate wraz ze swoim zdegenerowanym mężem prawnikiem oraz trzema nastoletnimi córkami z dwóch poprzednich małżeństw (jego, nie jej).

Miejscowość wcale nie znajdowała się niedaleko oceanu, lecz nad szeregiem sztucznych kanałów uchodzących do zatoki Biscayne. Nikt nie skarżył się jednak na to reklamowe oszustwo, ponieważ zarówno sprzedający, jak i kupujący zdawali sobie sprawę, że Gables-by-the-Sea brzmi o wiele szykowniej niż Gables-on-the-Canal. \*\* By-the-Sea — nad morzem; on-the-Canal — nad kanałem (przyj. tłum.)

Ceny nieruchomości były wprost proporcjonalne do tej przesady w nazewnictwie.

Siostra Stranahana mieszkała w wielkim wielopoziomowym domu z pięcioma sypialniami, basenem, sauną i trawnikiem z dołkami do golfa na podwórzu. Jej mąż kupił nawet dziewięciometrowy jacht żaglowy i zacumował go przy pomoście za domem, chociaż nie potrafił odróżnić dziobu od rufy.

Widok lśniącego białą masztu sterczącego nad dachem obszernego budynku sprawił, że Mick pokręcił głową, skręcając na podjazd. Mąż Kate z całą pewnością urodził się po to, aby być mieszkańcem południowej Florydy.

Siostra otworzyła mu drzwi ze słowami:

— Popatrzcie tylko, kto się zjawił?!

Stranahan pocałował ją i zapytał:

— Czy Jocko jest w domu?

— Nie ma na imię Jocko.

— Jest małpą cyrkową, Kate, i to nie ulega wątpliwości.

— Nie ma na imię Jocko, więc odczep się od niego.

— Gdzie jest niebieski beemer?

— Wymieniliśmy go.

Poszedł za siostrą do salonu, w którym jedna z dziewczynek oglądała MTV. Gdy weszli, nawet nie odwróciła głowy.

— Na maserati — wyjaśniła Kate. — Ale na limuzynę, nie sportowy.

— Cudownie — oznajmił Mick.

Kate zrobiła smutną minę i Stranahan przytulił ją lekko. Nie mógł znieść myśli, że jego siostrzyczka wyszła za błazna uganiającego się za karetkami pogotowia.

Twarz Kippera Gartha figurowała na tablicach ogłoszeniowych przy autostradach wzdłuż całego Gold Coast: „Jeżeli miałeś wypadek, ktoś gdzieś jest ci winien pieniądze!!! Dzwoń — 555— TORT”. Kancelaria Gartha nazywała się „Przyjacielscy Adwokaci” i była cudownie dochodowym interesem.

Kipper Garth rył w tysiącach pełnych chciwości pozwów o odszkodowanie, odsiewał skazanych na przegraną i przekazywał obiecujące przypadki wyspecjalizowanym adwokatom, z którymi dzielił honoraria pół na pół. W ten sposób zarabiał setki tysięcy dolarów, nie zbrukawszy nawet podeszew swoich mokasynów marki Bally dotknięciem podłogi sali sądowej. Było to zresztą (biorąc pod uwagę jego ogólną ignorancję w zakresie prawa) błogosławieństwem dla jego klientów.

— Gra w tenisa — poinformowała Kate.

— Przepraszam za to, co powiedziałem — rzekł Stranahan. — Wiem, jak się czujesz.

— Chciałabym, żebyś dał mu szansę, Mick. Ma swoje dobre cechy.

Jeżeli ktoś lubi tasiemce, pomyślał Stranahan. Prawie nie słyszał siostry, zagłuszonej wideoklipem Defa Lepparda, poprosił ją więc gestem o przejście do kuchni.

— Przyszedłem po moją strzelbę — oznajmił.

Oczy Kate z zielonych zrobiły się szare. Zupełnie jak wtedy, gdy byli jeszcze dziećmi i zamierzała dać mu wycisk.

— Ooo? — zdziwiła się. — A co się stało z plastikowymi sowami?

— Nic nie dają — wyjaśnił Mick. — Mewy tylko je obsrały.

Przeszli do gabinetu Kipperera Gartha, którego powierzchnia przewyższała rozmiarami cały dom Stranahana. Strzelba Micka, remington pump-action, była zamknięta w stojaku z klonowego drewna razem z kilkoma pokrytymi fikuśnymi filigranami strzelbami na ptaki. Kate wyjęła klucz z biurka męża i otworzyła stojak. Stranahan wziął do ręki remingtona i obejrzał go dokładnie. Siostra zauważyła jego minę i wyjaśniła:

— Kip korzystał z niej parę razy na Północy. Na bażanty.

— Mógłby przynajmniej oczyścić ją z błota.

— Przepraszam cię, Mick.

— Ten człowiek jest beznadziejny.

Kate dotknęła jego ramienia.

— Będzie w domu za godzinę. Zostaniesz?

— Nie mogę.

— Zrób mi przyjemność, proszę. Chciałabym, żebyście raz na zawsze załatwili między sobą tę bzdurę z pozwem.

— Nie ma czego załatwiać, Kate. Ten makak życzy sobie procesu, i bardzo dobrze.

— Rozumiem.

Sprawa wiązała się z zapowiedzią postępowania dyscyplinarnego przeciwko Kipperowi Garthowi, którego oskarżono o oszustwo na szkodę towarzystwa ubezpieczeniowego. Jeden z jego klientów wystąpił o uznanie osiemdziesięcioprocentowego inwalidztwa wynikającego z potknięcia się o grabie przy siedemnastym dołku na polu golfowym.

Trzy dni po złożeniu pozwu facet był na tyle głupi, że wziął udział w dwudziestostsześciokilometrowym maratonie Orange Bowl, jeszcze głupszy, bo zajął trzecie miejsce, a już największą głupotą wykazał się, udzielając wywiadów kilku sportowym dziennikarzom telewizyjnym. Przekręt był tak

oczywisty, że nawet Izba Adwokacka Florydy nie mogła go zignorować, i Mick Stranahan bez szczególnej zachęty zgodził się świadczyć przeciwko szwagrowi. Część z tego, co zeznał, dotyczyło faktów, a część stanowiła jego własną opinię. Kipperowi Garthowi nie podobało się ani jedno, ani drugie i zagroził pozwaniem Micka o zniesławienie.

— To się staje śmieszne — stwierdziła Kate. — Słowo daję.

— Nie martw się, nie będzie mnie skarżył — pocieszył ją Stranahan. —

Nie znajdzie cholernego gmachu sądu nawet za pomocą mapy.

— Czy się wreszcie uspokoisz? W końcu mówisz o moim mężu.

Mick wzruszył ramionami.

— Dobrze cię traktuje?

— Jak księżniczkę. A teraz dasz mu spokój?

— Jasne, Kate.

Gdy stanęli w drzwiach, popatrzyła na niego z niepokojem i rzekła:

— Uważaj z tą strzelbą, Mick.

— Nie ma sprawy. Powiedz Jocko, że byłem.

— A może go pozdrowić? Albo przekazać życzenia noworoczne?

— Nie. Powiedz mu tylko, że byłem. To wszystko.

Stranahan wrócił na przystań, owinał strzelbę w ceratę i wsunął ją pod siedzenie motorówki. Popłynął na południe w ostrym wietrze, ochlapywany pyłem wodnym tryskającym spod lewej burty i twardo łomocąc dnem w doliny fal. Dotarcie do domu na palach zajęło mu dwadzieścia pięć minut. Na płycznach przeszedł na bieg jałowy.

Gdy tylko przycumował, usłyszał dobiegające z góry głosy i człapanie bosych stóp na deskach. Odwinął strzelbę i cicho wszedł po schodach.

Trzy nagie kobiety leżały, opalając się na pomoście. Jedna z nich, szczupła brunetka, podniosła głowę i wrzasnęła. Obie pozostałe odruchowo sięgnęły po ręczniki.

— Co robicie w moim domu? — zapytał.

— Czy ma pan zamiar nas zastrzelić? — odparowała brunetka.

— Chyba nie.



— Nie wiedziałyśmy, że ten dom należy do pana — oznajmiła druga kobieta, tleniona blondyna o bujnych piersiach.

Stranahan burknął pod nosem i otworzył drzwi zamknięte od zewnątrz na kłódkę. Czasami takie rzeczy się zdarzały — amatorzy kąpeli słonecznych albo pijane dzieciaki wchodziły na pomost, gdy nie było go w domu.

Odłożył strzelbę, wyjął schłodzone piwo i wyszedł na zewnątrz. Kobiety owinęły się ręcznikami i zbierały swoje olejki oraz walkmany Sony.

— Gdzie jest wasza łódź? — zainteresował się Stranahan.

— Gdzieś tam — odparła brunetka, wskazując ręką.

Mick przymrużył oczy, wpatrując się w odbłask nad „wodą. Dostrzegł coś, co wyglądało jak wielka czerwona motorówka typu Formula holująca dwóch narciarzy.

— Przyjaciele? — spytał.

Tleniona blondynka skinęła głową.

— Powiedzieli, że dom jest opuszczony. Słowo daję, nie wiedziałyśmy. Wróć o czwartej.

— W porządku, możecie zostać — oznajmił. — Fajny dzień na siedzenie nad wodą.

Wrócił do domu, żeby wyczyścić strzelbę. Wkrótce potem trzecia kobieta, naturalna blondynka, zajrzała do środka i poprosiła o szklankę wody.

— Weź piwo — odparł Stranahan. — Oszczędzam wodę.

Znowu była naga. Mick starał się skoncentrować uwagę na strzelbie.

— Jestem modelką — oświadczyła i się rozgadała.

Ma na imię Tina, dziewiętnaście lat, urodziła się w Detroit, ale przeprowadziła się tutaj, kiedy była jeszcze dzieckiem, lubi pozować do zdjęć, lecz nienawidzi niektórych palantów, którzy je robią.

— Moja kariera naprawdę się zaczyna — zapewniła.

Usiadła na stołku barowym, założyła nogę na nogę, a ręce tak, że przedramiona podtrzymywały piersi.

— A ty czym się zajmujesz? — zainteresowała się nagle.

— Jestem na emeryturze.

— Wyglądasz cholernie młodo jak na emeryta. Musisz być bogaty.

— Jestem miliarderem — odrzekł Stranahan, spoglądając wzdłuż

lśniącej oksydowanej lufy strzelby. — A może nawet bilionerem. Nie jestem pewien.

Tina uśmiechnęła się.

— Jasne — przytaknęła. — Czy oglądałeś kiedyś *Policjantów z Miami*? Występowałam w nich dwa razy. Za każdym razem grałam prostytutki, ale kilka wejść naprawdę mi się udało.

— Nie mam telewizora — wyjaśnił Stranahan. — Przykro mi, że cię nie widziałem.

— I wiesz co? Miałam randkę z Donem Johnsonem.

— Założę się, że to dobrze wygląda w opisie kariery.

— Jest naprawdę miłym facetem — oświadczyła Tina. — Wcale nie takim, jak o nim mówią.

Stranahan spojrzął na nią i powiedział:

— Coś mi się wydaje, że opalenizna ci blaknie.

Modelka Tina popatrzyła na siebie. Sprawiała wrażenie zamyślanej.

— Czy mogę cię prosić o przysługę? — odezwała się.

Pod czaszką Micka zaczynał kielkować ból. Czuł, jak gdzieś u podstawy czaszki wypuszcza korzonki niczym perz. Dziewczyna wstała i oznajmiła:

— Chciałabym, żebyś przyjrzał się moim piersiom.

— Już to zrobiłem. Są urocze.

— Obejrzyj je dokładnie, proszę. Z bliska.

Mick złożył remingtona, wyprostował się i popatrzył prosto na biust Tyny wyglądający na idealny pod każdym względem.

— Czy są równe? — dopytywała modelka.

— Tak mi się zdaje.

— Pytam, bo przeszłam jedną z tych operacji. No wiesz, korekta piersi. Przy takim pozowaniu to konieczne. Miałam trzydzieści dwa A, wyobrażasz sobie?

Stranahan tylko pokręcił głową. Udział w konwersacji przychodził mu z wyraźnym trudem.

— W każdym razie zapłaciłam za poprawienie piersi trzy kawalki i naprawdę pomogło mi to w pracy. Z wyjątkiem jednego tylko dnia, kiedy robiłam próbne zdjęcia dla „Penthouse'a” i fotograf stwierdził, że mam kłopoty z siłą ciężenia w lewej piersi.

Mick przyjrzał się ponownie obu jej piersiom.

— Chodzi o twoją lewą stronę czy moją? — spytał.

- Moją.
- No cóż.

Ma świra.

- Obie są idealne.

- Nie mówisz tego tylko tak, z grzeczności?

— Udowodnię ci — odparł i jednocześnie pomyślał: nie wierzę, że rzeczywiście zamierzam to zrobić.

Poszedł do komórki i grzebał w niej, robiąc mnóstwo hałasu, tak długo, aż wreszcie znalazł poszukiwany przedmiot — ciesielską poziomnicę.

Tina popatrzyła na nią i oznajmiła:

- Już widziałam coś takiego.
- Stój nieruchomo — polecił Stranahan.
- Co chcesz zrobić?
- Po prostu patrz na bąbelek.

Poziomnica była stalową oksydowaną linijką z umieszczonym pośrodku przezroczystym cylindrem zawierającym bursztynowy płyn. Wewnątrz cylindra znajdował się pęcherzyk powietrza, przesuwany się w płynie odpowiednio do kąta pochylenia. Jeżeli powierzchnia była idealnie pozioma, pęcherzyk zajmował pozycję dokładnie pośrodku cylindra.

Mick położył linijkę na piersiach dziewczyny, opierając jej końce na sutkach.

- A teraz ostrożnie spojrzysz w dół.
- Dobra.
- Gdzie jest bąbelek? — zapytał.
- W samym środeczku.
- Otóż to. Sama widzisz, są idealnie równe.

Odsunął linijkę od jej biustu i położył ją na barze.

Tina rozpromieniła się i podskoczyła lekko, dzięki czemu jej piersi za-tańczyły w naprawdę cudowny sposób.

Stranahan postanowił wyczyścić strzelbę jeszcze raz.

— No cóż, wracam na słońeczko. — Roześmiała się i pobiegła w stronę drzwi, połyskując gołą pupą.

— Wracaj na słońeczko — powtórzył Mick, myśląc że nie ma wspanialszego widoku na świecie niż całkowicie z siebie zadowolona młoda dama, nawet jeżeli uzyskanie tego zadowolenia kosztowało ją trzy kawalki.

O wpół do piątej czerwona formuła pełna krzepkich chłopaków podpłynęła z rykiem silników. Stranahan czytał na pomoście, niezbyt interesując się nagimi kobietami.

Woda była zbyt płytka na motorówkę, toteż chłopcy włączyli bieg jałowy w odległości około pięćdziesięciu metrów od domu. Po dłuższych zmaganiach z łodzią jeden z nich wskoczył na dziób i wrzasnął do Micka:

— Hej, co, u diabła, tu robisz?

Stranahan podniósł wzrok znad gazety i nic nie odparł. Tina zawołała w stronę łodzi:

— Wszystko w porządku. On tu mieszka.

— Ubierz się! — ryknął jeden z facetów na łodzi. Zapewne jej przyjaciel. Dziewczyna wciągnęła podkoszulek.

Wszyscy młodzieńcy wydawali się niezwykle poruszeni obecnością Stranahana wśród ich nagich przyjaciółek.

Mick wstał i wyjaśnił dziewczętom, że woda jest zbyt płytka na motorówkę.

— Podwiozę was do niej moją łodzią — zaproponował.

— Lepiej tego nie rób. Richie jest naprawdę wkurzony — ostrzegła Tina.

— Richie powinien mieć więcej zaufania do swoich bliźnich.

Trzy młode kobiety zebrały ręczniki oraz olejki do opalania i niezgrabnie wgramoliły się do łodzi gospodarza. Stranahan podniósł przyczepny silnik o kilka ząbków, aby śruba nie zaczepiała o dno, i skierował się ku czerwonej formuli dryfującej w kanale.

Podpłynąwszy do jej burty, pomógł dziewczynom przejść na pokład motorówki. Tina na pożegnanie nawet cmoknęła go w policzek.

Ich przyjaciele byli dokładnie tak głupi i zadufani w sobie, jak Mick przypuszczał. Na piersi każdego z nich widniał złoty łańcuch, co mówiło już samo za siebie.

— Co tu jest grane? — warknął chłopak o imieniu Richie, widząc poże-gnalny pocałunek Tyny.

— Nic — odparła. — Gość jest zupełnie w porządku.

Stranahan puścił już burtę i jego łódź zdążyła zdryfować parę metrów za rufę formuli, gdy Richie spoliczkował Tinę, mówiąc, że zachowuje się jak dziwka. A potem wskazał ręką na Micka i wrzasnął coś wyjątkowo obraźliwego.

Chłopcy ze zdziwieniem zobaczyli, że aluminiowa łódź natychmiast zawróciła ku nim. Z równym zaskoczeniem spostrzegli, jak zręcznie wielki nieznajomy facet wskoczył na dziób ich motorówki.

Richie zrobił efektowny sierpowy zamach, chcąc uderzyć Micka, ale nim zdążył wykonać jakikolwiek ruch, już leżał na wznak, z linką holowniczą nart owiązaną zgrabnie wokół kostek. Nagle znalazł się w wodzie, a formuła ruszyła ostro, ciągnąc za sobą spowitego chmurą słonego wodnego pyłu i ryczącego wniebogłosy młodego człowieka.

Jego kumple próbowali przechwycić stery i manetkę gazu, lecz nieznajomy znokautował ich szybko, wkładając w to minimum wysiłku.

Po przepłynięciu mniej więcej trzech czwartych mili Tina i pozostałe dziewczyny ubłagały Stranahana, aby zatrzymał motorówkę. Spełnił ich prośbę, po czym złapał linkę holowniczą i wciągnął Richiego na pokład.

A potem wszyscy przyglądali się, jak chłopak przez równe dziesięć minut wyrzuca wodę morską.

— Jesteś młodym głupkiem — oznajmił Mick. — Nigdy więcej tu nie przyplwaj.

To rzekłszy, wsiadł do swojej łodzi, wrócił do domu i patrzył, jak formuła odpływa z pełną prędkością. Następnie przygotował sobie drinka i wyciągnął się na pomoście.

Martwiło go, że zatoka schodzi na psy, skoro łódź pełna idiotów jest w stanie popsuć człowiekowi całe popołudnie. Stawało się to źródłem ciągłej irytacji i Stranahan przewidywał, że nadejdzie moment, kiedy będzie musiał się stąd wynieść.

Późnym popołudniem większość łodzi odpłynęła już z Osady, oprócz kabinowego jachtu motorowego, stojącego na kotwicy na południe od masztów radiowych, mniej więcej na poziomie metra dwudziestu wody.

Bardzo dziwne miejsce, pomyślał Stranahan. Na pokładzie jachtu naliczył troje ludzi. Jeden z nich wydawał się kierować coś dużego i czarnego w stronę jego domu.

Mick wszedł do środka i wrócił na pomost z całkowicie bezużyteczną na odległość pięciuset metrów strzelbą i lornetką, która — wręcz przeciwnie — była nader pomocna. Szybko złapał w jej pole widzenia jacht i zobaczył, że

przedmiot wycelowany w jego kierunku nie jest wielką spluwą, lecz ręczną kamerą telewizyjną.

Ludzie na jachcie filmowali go! To już był szczyt wszystkiego. Najpierw zabójca mafii, potem gołe dziewczyny i ich przyjaciele troglodyci, a teraz pieprzona ekipa telewizyjna.

Stranahan odwrócił się tyłem do jachtu i spuścił spodnie. Ten widok powinien dać im do myślenia — księżyc nad Miami. Był w tak paskudnym humorze, że pochylając się do przodu, nawet nie zerknął przez ramię, aby zobaczyć ich reakcję.

Obserwując zniżające się słońce, Mick uznał, że rytm zachodzących wydarzeń okazał się proroczy. Sytuacja w zatoce ulegała zmianie, wszystko przestało już być tak spokojne jak dawniej. Wnioskowi temu nie towarzyszyło uczucie strachu czy choćby niepokoju — raczej rozczarowanie.

Dotychczasowa cisza zatoki, jej olśniewające nieustanne piękno uspiły go, łudząc, że świat nie jest w końcu aż tak paskudny, jak sądził. Kamera na jachcie uświadomiła mu, że jest inaczej. Mick Stranahan nie miał pojęcia, czego chcą te sukinsyny, ale miał cholerną ochotę wskoczyć do łodzi i się dowiedzieć.

Ostatecznie jednak po prostu skończył swój dżin z tonikiem i wszedł do domu.

O zmierzchu, gdy zrobiło się już ciemno, jacht podniósł kotwicę i odpłynął.

## 4.

Odchodząc z biura prokuratora stanowego, Stranahan zatrzymał swoją złotą odznakę oficera śledczego, aby w razie potrzeby wejść do środka i przypomnieć ludziom, że kiedyś tu pracował. Na przykład w takiej sytuacji jak obecnie.

Dreeseon, młody asystent prokuratora stanowego, zaprowadził go do pokoju przesłuchań i przekazał mu ważące chyba ze dwa kilo akta Barletty.

A potem oświadczył oficjalnym tonem:

— Może pan tu siedzieć i robić notatki, panie Stranahan. Ale sprawa jest w dalszym ciągu otwarta, proszę więc niczego nie zabierać.

— Chce pan powiedzieć, że nie mogę się wysmarkać w żaden z dokumentów?

Dreeseon skrzywił się i zamknął za sobą drzwi.

Mick otworzył teczkę i pierwszą rzeczą, która z niej wypadła, była fotografia Victorii Barletty. Zdjęcie wyjęte ze studenckiego indeksu uniwersytetu w Miami. Długie ciemne włosy wyszczotkowane do połysku, wielkie ciemne oczy, długi ostry nos, zapewne spadek po ojcu. Cudowny włoski uśmiech — ciepły, radosny i uczciwy.

Odłożył fotografię na bok. Nie poznał tej dziewczyny i nigdy już nie pozna.

Przekartkował zeznania zebrane tak dawno temu przez niego samego

i Timmy'ego Gavigana — rodziców, chłopaka, koleżanek. Szczegóły sprawy napłynęły szybko lodowatą falą.

Dwunastego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku Victoria Barletta wstała wczesnie, przebiegła cztery i pół kilometra wokół miasteczka uniwersyteckiego, wzięła prysznic, o dziewiątej była na wykładzie na temat działalności biur prasowych, spotkała się z chłopakiem w barze śniadaniowym niedaleko Mark Light Field, a następnie pojechała na rowerze na rozpoczynające się o jedenastej seminarium poświęcone historii dzienników telewizyjnych.

Wróciwszy do domu studenckiego Alpha Chi Omega, przebrała się w dżinsy, mokasyny oraz bawełnianą koszulkę i poprosiła koleżankę, aby podrzuciła ją na umówioną wizytę u lekarza w South Miami, niewiele ponad cztery kilometry od uniwersytetu.

Wizyta była wyznaczona na wpół do drugiej, w budynku zwanym Durkos Center. Vicky, wysiadając z samochodu, poprosiła przyjaciółkę, aby wróciła po nią około piątej. Potem weszła do środka na operację plastyczną nosa i nigdy już jej nie zobaczono.

Według lekarza i pielęgniarki Victoria Barletta opuściła klinikę o szesnastej pięćdziesiąt i udała się na przystanek, aby poczekać na autobus kursujący do miasteczka akademickiego. Twarz miała obrzmiała, oczy podpuknięte tak, że tworzyły tylko szparki, grubo obandażowany nos... Niezbyt pociągający widok dla przeciętnego wędrownego gwałciciela, jak uważał Timmy Gavigan. Mimo to jednak obaj dobrze wiedzieli, że nie można wykluczyć takiej ewentualności.

W każdym razie w jednej chwili dziewczyna siedziała na ławeczce, a w następnej zniknęła.

Trzy autobusy zatrzymały się na przystanku w okresie między szesnastą pięćdziesiąt a siedemnastą czternaście, kiedy to wreszcie do kliniki ściągnęła przyjaciółka Vicky. Żaden z kierowców nie pamiętał wsiadającej kobiety z obandażowaną twarzą. A więc gliniarzom pozostało jedynie założyć, że ktoś porwał Victorię Barlette z przystanku tuż po opuszczeniu przez nią Durkos Center.

Sprawę potraktowano jako kidnaping, chociaż Gavigan i Stranahan podejrzewali coś innego. Barlettowie nie mieli pieniędzy ani dostępu do nich. Ojciec Vicky był współwłaścicielem myjni samochodowej w Evanston w stanie Illinois. Z wyjątkiem paru szajbusów nikt nie zadzwonił z żądaniem



okupu ani do rodziny, ani na policję. Dziewczyna po prostu zniknęła i niewątpliwie już nie żyła.

Czytając ponownie akta sprawy po upływie czterech lat, Mick Stranahan znów poczuł tamtą wściekłość.

Najcholerniejszy problem krył się w tym, że Vicky nikomu nie powiedziała o operacji plastycznej — ani rodzicom, ani przyjacielowi. Najwidoczniej chciała zrobić niespodziankę.

Stranahan i Timmy Gavigan przesłuchiwali jej chłopaka piętnaście godzin i ostatecznie mu uwierzyli. Młody człowiek płakał rozpaczliwie, wspominając, że żartował sobie z nosa Vicky, przezywając ją „moim małym mrówkojadem”. Był zrozpaczony i przypisywał sobie winę za to, co się stało. Dwudziestego marca przypadały jego urodziny i najwidoczniej — łkał — nowy nos miał być prezentem Vicky dla niego. Z punktu widzenia prowadzącego dochodzenie tajemnica Victorii Barletty oznaczała jeszcze coś innego. Ograniczała krąg podejrzanych do kogoś, kto akurat tamtędy przechodził — przypadkowego psychopaty.

Zabójca, którego nigdy nie schwytano. Ofiara, której nie odnaleziono. Tak właśnie Mick Stranahan to zapamiętał.

Zapisał w notatniku kilka nazwisk i numerów, włożył wszystko z powrotem do teczki i zaniósł ją do dziobatego urzędnika.

— Powiedz mi — rzekł — jakim cudem trzymacie ten materiał w Centrum?

— O co ci chodzi? — zapytał urzędnik.

— Przecież ta firma nigdy nie była aż tak sprawna. Zazwyczaj trzeba było dwóch tygodni, żeby wykopać tak starą sprawę jak ta.

— Po prostu masz szczęście — odparł urzędnik. — Wyciągnęliśmy tę teczkę z archiwum tydzień temu.

— Tę właśnie? — Stranahan popukał palcem w zieloną oprawę.

— Pan Eckert chciał się z nią zapoznać.

Gerry Eckert był prokuratorem stanowym. Osobiście nie pofatygował się do sądu przynajmniej od szesnastu lat i Mick bardzo wątpił, czy potrafi jeszcze czytać akta.

— Jak się powodzi staremu Gerry'emu?

— Mucha nie siada — odparł urzędnik takim tonem, jakby Eckert był jego najbliższym, najdroższym kumplem. — Odwala wspaniałą robotę.

— Tylko mi nie mów, że planuje w końcu zamknąć kogoś w związku z tą sprawą?

— Nie przypuszczam. Po prostu chciał ją sobie odświeżyć w pamięci przed występem w telewizji. W programie Reynalda Flemma.

Stranahan gwizdnął. Reynaldo Flemm był dziennikarzem telewizyjnym specjalizującym się w sensacyjnych przypadkach kryminalnych. Zyskał ogólnokrajową popularność dzięki temu, że był systematycznie bity przed kamerą — zazwyczaj przez tych samych łobuzów, z którymi zamierzał przeprowadzić wywiad. Bez względu na to, jak skomplikowane przebranie wymyślił na daną okazję, zawsze był zbyt próżny, aby zasłonić twarz. Oczywiście bandziory rozpoznawały go natychmiast i spuszczały mu man-to.

Ze względu na czysty czas akcji reportaże Reynalda były nie do przesko-czenia i zaliczały się do programów telewizyjnych cieszących się największą oglądalnością.

— A więc Gerry trafił na swoją wielką chwilę — stwierdził Stranahan.

— No — przytaknął urzędnik.

— Co powiedział o tej sprawie?

— Pan Eckert?

— Tak.

— Co powiedział w telewizji? No cóż, nie było mnie przy nagrywaniu, ale słyszałem, że podobno stwierdził, iż cała sprawa w dalszym ciągu jest tajemnicą.

— No cóż, to dość bliskie prawdy.

— I jeszcze pan Eckert powiedział panu Flemmowi, że wcale by się nie zdziwił, gdyby któregoś dnia się okazało, że Victoria Barletta uciekła. Po prostu spojrzała na swoją twarz i uciekła. Gdyby było inaczej, to dlaczego nie znaleziono dotąd ciała?

Eckert nie zmienił się ani trochę, pomyślał Stranahan. Wciąż jest głupi jak aligator.

— Nie mogę doczekać się tego reportażu — oświadczył.

— Jest zaplanowany na dwunastego marca o dwudziestej pierwszej. — Urzędnik podniósł kawałek papieru. — Otrzymaliśmy dziś od pana Eckerta notę informacyjną.

Człowiek z New Jersey nie zadzwonił do doktora Graveline'a przez cztery dni. Aż wreszcie, ósmego stycznia po południu, Rudy otrzymał wiadomość za pośrednictwem swojego pagera. Urządzenie włączyło się w fatalnym momencie, gdy pieprzył akurat młodą żonę obrońcy Miami Dolphins.

Kobieta przybyła do Whispering Palms na zwykłą konsultację — czy nie można by usunąć tej maleńkiej różowej blizny na szczęcie? — i zanim się zorientowała, doktor skłonił ją do zwierzenia się z najbardziej osobistych spraw. Poskarżyła się nawet na swoją samotność podczas sezonu futbolowego, gdy Jake myśli tylko o grze i niczym więcej.

A następnym faktem, jaki sobie uświadomiła, było to, że doktor zabiera ją na lunch swoją czarną limuzyną marki Jaguar, wyposażoną we wspaniałe systemy Dolby Stereo. Żona futbolisty poczuła, że intensywny zapach skórzanej tapicerki ją podnieca, naprawdę podnieca, i w tej samej chwili Graveline — jakby czytając w jej myślach — gwałtownie zjechał z Julia Tuttle Causeway, zatrzymał jaguara wśród drzew pieprzowych i zaczął wgryzać się w jej majteczki. Wciskając głowę między jej nogi, popiskiwał śmiesznie jak wiewiórka.

Wkrótce radośnie posuwał młodą kobietę, spoglądając na niego przez szprychy kierownicy z prawdziwego drewna orzechowego, pod którą, w nader niewygodnej pozycji, tkwiła jej głowa.

Kiedy pisnął pager na jego pasku, Rudy na dobrą sprawę nie stracił rytmu. Zerknął na wyświetlony wielkimi zielonymi cyframi numer i wyciągnął telefon ze schowka na rękawiczki.

Jedną ręką zdołał wybrać numer, kończąc jednocześnie z połowicą futbolisty, która już tylko w milczeniu czekała na finał, pragnąc jedynie, aby się pospieszył. Jej odporność bowiem na zapach nowej skóry była na ukończeniu.

Doktor Graveline odsunął się od niej dokładnie w momencie, gdy gdzieś w New Jersey zabrzączał telefon.

Mężczyzna podniósł słuchawkę po czwartym sygnale.

— Słucham.

— To ja, Rudy.

— Uprawiałeś jogging czy co?

— Mniej więcej.

— Sapiesz, jakbyś miał pieprzony atak serca.

— Daj mi chwilę na złapanie oddechu — poprosił doktor.

Żona futbolisty wciągała spodnie. Jej mina zdawała się wskazywać na rozczarowanie osiągnięciami partnera, ale Rudy Graveline nie zwracał na nią uwagi.

— W sprawie umowy — powiedział. — Raczej nie skorzystam.

Krzaczaste Brwi w New Jersey oznajmiły:

— A więc twój problem chyba zniknął.

— Niezupełnie.

— W takim razie co?

— Zamierzam wziąć kogoś miejscowego.

Facet w New Jersey zaczął się śmiać. Śmiał się bez przerwy tak długo, aż stracił oddech.

— Doc, popełniasz błąd. Miejscowi są do niczego.

— Mam na oku jednego faceta — stwierdził Graveline.

— Kubańczyk, co? Szajbnięty, pieprzony Kubańczyk. Wiedziałem.

— Nie, nie jest Kubańczykiem.

— Jeden z moich ludzi?

— Nie — odparł Rudy. — Jest niezależny.

Krzaczaste Brwi znowu się roześmiały.

— Nikt nie jest niezależny, Doc. Nikt w tym interesie.

— Ten jest inny — zaoponował doktor. Właściwie „inny” nie było odpowiednim słowem. — W każdym razie chciałem cię o tym poinformować, żebyś nie przysyłał tu nikogo.

— Jak sobie życzysz.

— I przykro mi z powodu tamtego gościa.

— Nie pieprz mi tych głupot, dobrze? Poznaję, że gadasz z komórkowego telefonu, co? Nie cierpię ich, Doc. Nie są bezpieczne. Wysyłają mnóstwo rozmaitych porąbanych mikrofal i każdy może je podsłuchać.

— Nie sądzę — rzekł doktor Graveline.

— A ja tak. Czytałem, że ludzie mogą je usłyszeć w swoim mikserze, suszarce do włosów i innych takich gównach. Odbierają wszystko, co mówisz.

Żona futbolisty nakładała nowy makijaż, spoglądając w lusterko na odwrotnej stronie osłony przeciwsłonecznej.

— Biorąc pod uwagę twoje szczęście — dodał rozmówca z New Jersey — z pewnością jakaś dziwka odbiera nas teraz swoim elektrycznym wibratorem. Każde słowo.

— Zadzwoń później — obiecał Rudy.  
— Udzielę ci jednej rady — oznajmiły Krzaczaste Brwi. — Nie opowiadaj facetowi, którego wynajęłeś do tej roboty, historii swojego życia. Serio, Doc. Podaj mu nazwisko, adres, ile dostanie i już.

— Och, mogę mu ufać — zaprotestował Graveline.

— Jak cholera! — roześmiał się człowiek z New Jersey i odwiesił słuchawkę.

Żona futbolisty podniosła osłonę przeciwsłoneczną, zamknęła puderniczkę i zapytała:

— Interesy?

— Tak, inwestuję w nieruchomościach. — Rudy zaciągnął zamek błyskawiczny w spodniach. — Postanowiłem przenieść się do agenta w Miami.

Kobieta wzruszyła ramionami.

Spostrzegła leżące na podłodze swoje różowe figi i szybko schowała je do torebki. Były całkowicie zniszczone — pan doktor wygryzł w nich dziurę.

— Czy możesz mnie odwieźć z powrotem do swojej kliniki?

— Nie — odparł Rudy.

Wysiadł i podszedł do drzwi od strony kierowcy. Żona futbolisty przesunęła się i doktor usiadł za kierownicą.

— Prawie zapomniałam — odezwała się kobieta, dotykając palcem szczęki. — Moja blizna.

— Drobiazg — zapewnił Rudy. — Załatwimy to pod miejscowym znieczuleniem i będzie gładka jak jedwab.

— Naprawdę? — Uśmiechnęła się.

— Oczywiście, to proste — kontynuował, wyprowadzając jaguara z powrotem na szosę. — Ale zastanawiałem się nad czymś jeszcze...

— Słucham?

— Nie obrazisz się za przyjacielską, profesjonalną radę?

— Oczywiście, że nie. — Ton głosu kobiety był zaniepokojony.

— No cóż, nic nie poradzę, że to zauważyłem — rzekł. — Kiedy się kochaliśmy...

— Słucham?

Patrząc wciąż na szosę, opuścił rękę i poklepał ją po biodrze. — Przydałoby ci się tu drobne odsysanie.

Żona futbolisty odwróciła głowę i zamrugła.

— Proszę, nie przejmuj się tym, co powiedziałem. W końcu to mój fach. Możesz mi wierzyć, kochanie. Potrafię dostrzec perfekcję, a tobie brakuje do ideału zaledwie kilku centymetrów...

Odetchnęła lekko i zapytała:

— Na udach?

— Właśnie.

— Ile kosztowałyby całość? — Wyprodukowała słabiutki uśmiech.

Rudy Graveline w odpowiedzi uśmiechnął się ciepło i podał jej chusteczkę z monogramem.

— Mniej, niż sądzisz — oznajmił.

Jacht motorowy z ekipą filmową przyplynał znowu i rzucił kotwicę w tym samym miejscu.

Stranahan westchnął i ze złością splunął w fale. Nie miał nastroju na coś takiego. Tkwił na pomoście łodziowym ze spinningiem w rękę, łapiąc czterokolce kręcące się koło pali, na których stał dom.

W przezroczystej jak kryształ wodzie wisiał nieruchomo zatopiony granatowy kloc. Tak przynajmniej uznalby przeciętny turysta.

Kloc miał mniej więcej półtora metra długości i przy odpowiedniej motywacji potrafił mknąć przez wodę z prędkością około sześćdziesięciu węzłów.

Znakiem firmowym Wielkiej Barrakudy były zęby, a ten potworny okaz, nazywany przez Micka Stranahana Lizą, kiedyś zostawił trzynaście ostrych jak igły siekaczy w wielkim plastikowym cefalu, którego jakiś kretyn ciągnął za motorówką przez kanał Biscayne. Od tamtego wydarzenia barrakuda właściwie zamieszkała pod domem Stranahana.

Każdego popołudnia Mick wychodził i łapał jej na kolację kilka czterokolców wielkości dolara. Rzucił je z pomostu, a wielka ryba pożerała je błyskawicznymi rzutami, które pienily wodę i zmuszały lucjany do nurkowania w ukrycie. Zęby Lizy odrosły już dawno.

Zajęty obserwowaniem łodzi z filmowcami, Stranahan trzymał ostatnią rybę na żyłce nieco dłużej, niż powinien. Czterokolec szarpał się tam i z powrotem, błyskając tuż pod powierzchnią, aż wreszcie cierpliwość barrakudy ostatecznie się wyczerpała. Zanim Mick zdążył zareagować, Liza

wyprysnęła jak rakietka spod domu i obcięła większą część czterokolca tak gładko jak skalpelem. Na haczyku pozostała jedynie dygocąca para rybich warg.

— Czysta robota — mruknął Mick i odłożył spinning.

Wszedł do skifa i włączywszy silnik, popłynął przez mielizny w stronę jachtu.

Operator natychmiast odłożył kamerę wideo i Stranahan zobaczył, że naradza się z pozostałymi członkami załogi. Nastąpiła krótka, niezgrabna próba podniesienia kotwicy, a potem rozległo się bezsilne wycie silników. Silniki przyczepne mają jednak ten paskudny zwyczaj, że nie chcą zapalać, gdy są zimne.

Wreszcie załoga poddała się i po prostu czekała na wielkiego typa w łódce, który znajdował się już w zasięgu wzroku. Postawny mężczyzna z czarnymi włosami, przylizanymi i pokrytymi lakierem tak, że przypominały hełm, oraz sterzącymi jak szczotka do mycia butelek wąsami stanął na rufie jachtu i zawołał:

— Ahoj na pokładzie!

Stranahan wyłączył silnik i pozwolił łodzi dobić własnym rozpędem do burty jachtu. Przycumował do knagi pokładowej, wstał i zapytał:

— Czy dobrze pana słyszałem? Rzeczywiście powiedział pan: „Ahoj na pokładzie?”

Wąsacz niepewnie skinął głową.

— Gdzieś się tego nauczył, człowieku? Oglądałeś pirackie filmy? Jezu Chryste, nie wierzę własnym uszom. Ahoj na pokładzie! Daj spokój! — Mick był rzeczywiście wkurzony.

Wskoczył na większą jednostkę i warknął:

— Który z was, dupki, nazywa się Reynaldo Flemm? Niech zgadnę. To ty, kapitanie Blood?

Rosły mężczyzna z wąsami wyduł pierś i odparł:

— Uważaj, koleś! — co wymagało sporej dozy odwagi, ponieważ Mick Stranahan trzymał w prawej ręce wykonany z nierdzewnej stali gaf — hak do ładowania ryb.

Załoga Flemma — kamerzysta z nadwagą i wysportowana młoda kobieta w niebieskich dżinsach — jednym okiem zerkali na swój cenny sprzęt, a drugim na nieznajomego ze stalowym hakiem.

— Dlaczego mnie filmujecie? — zagadnął Stranahan.

— Do reportażu — poinformował Flemm. — Dla telewizji.

— Co to za reportaż?

— Nie mogę powiedzieć.

Mick zmarszczył brwi.

— Ma związek z Vicky Barletta?

Reynaldo Flemm pokręcił głową.

— Wszystko w swoim czasie, panie Stranahan. Gdy będziemy gotowi do przeprowadzenia wywiadu.

— Jestem gotów do wywiadu już teraz — odparł Mick.

Flemm uśmiechnął się z wyższością.

— Bardzo mi przykro.

Stranahan wsunął stalowy hak między nogi Reynalda i lekko pociągnął. Szpic ostrza nie tylko przebił spodnie typu Banana Republic, ale również warte trzydzieści dolarów majtki bikini (w kolorze czerwieni flamenco), nabyte w butik w Coconut Grove. Zimny czubek gafu oparł się o mosznę telewizyjnego gwiazdora i w tej przerażającej chwili z jego przewodu pokarmowego z ostrym odgłosem wydobyły się gazy, jakby potęgując żądanie Stranahana.

— Wywiad! — powtórzył i Flemm energicznie skinął potakująco głową, ale nie mógł znaleźć słów. Starał się ze wszystkich sił, lecz zdołał wykrztusić jedynie kilka urywanych zdań. Strach i brak tablic suflerskich całkowicie pozbawiły go zdolności prowadzenia sensownej konwersacji.

Młoda kobieta w niebieskich dżinsach wyszła z kabiny, jachtu i odezwała się:

— Panie Stranahan, bardzo pana proszę. Nie zamierzaliśmy zakłócać pańskiego spokoju.

— Ale zrobiliście to.

— Nazywam się Christina Marks. Jestem kierownikiem produkcji tego fragmentu.

— Fragmentu czego? — zainteresował się Stranahan.

— Programu Reynalda Flemma *Prosto w twarz*. Musiał go pan widzieć.

— Nigdy.

Mick zdawał sobie sprawę, że dla Reynalda było to gorsze niż ostrze gafu w jajach.

— Nie wierzę — odparła Christina Marks.

— Słowo daję. Widzi pani talerz anteny nad moim domem?

— Cóż, nie.



— No, właśnie. A teraz, o co tu chodzi? I proszę się pospieszyć, bo pani facet sprawia wrażenie, jakby mu cierpły nogi.

Rzeczywiście, nogi stojącego na palcach Reynalda Flemma wyraźnie dygotały.

Mick opuścił nieco gaf.

— Czy zna pan pielęgniarkę, która nazywa się Maggie Gonzalez? — zapytała Christina.

— Nie.

— Jest pan pewien?

— Niech mi pani coś podpowie.

— Pracowała w Durkos Medical Center.

— Dobra. Teraz sobie przypominam.

Odbierał jej zeznania dzień po zniknięciu Victorii Barletty. Timmy Gavigan rozmawiał z doktorem, a on z pielęgniarką. Dzisiaj rano przeglądał w biurze prokuratora stanowego sporządzone wówczas dokumenty.

— Jest pani pewna, że tak brzmiało jej nazwisko? — zdziwił się.

— Przepraszam... Gonzalez to jej nazwisko z ostatniego małżeństwa. Przedtem brzmiało Orestes.

— No to proszę o resztę.

— Mniej więcej miesiąc temu, w Nowym Jorku, zwróciła się do nas...

— Do mnie! — wychrypiął Reynaldo Flemm.

— Zamknij się! — warknął Stranahan.

Christina Marks mówiła dalej:

— Oświadczyła, że dysponuje ważnymi informacjami w sprawie Barletty i chce wystąpić przed kamerą.

— Przynajmniej! — pisnął Flemm, zanim Mick ponownie szturchnął go gafem.

— Stwierdziła jednak — ciągnęła Christina — że najpierw musi porozmawiać z panem, panie Stranahan.

— O czym?

— Nie wiem, oznajmiła jedynie, że musi porozumieć się z panem, bo tylko pan może coś zrobić w tej sprawie. Daliśmy jej więc sześćset dolarów, wsadziliśmy do samolotu na Florydę i tyle ją widzieliśmy. W poniedziałek minęły dwa tygodnie od dnia, w którym miała wrócić. — Christina Marks włożyła rękę do kieszeni. — I to wszystko. Przyjechaliśmy tu, aby rozejrzeć

się za Maggie Gonzalez, a pan jest naszym najlepszym tropem.

Stranahan odsunął gaf od krocza Reynalda Flemma i cisnął go na dziób swojej łodzi.

Niemal natychmiast wąż zeskoczył z rufy i rzucił się do kabiny.

— Nagraj mi tego świrusa! — wrzasnął do kamerzysty — Żebym mógł go puścić w skarpetkach!

— Ray, daj spokój — poprosiła Christina.

Mickowi podobał się sposób, w jaki rozmawiała z gwiazdorem.

— Powiedz mu — rzucił — że jeśli jeszcze raz skieruje w moją stronę kamerę, to tak mu przemodeluję gębę, że będzie brał udział w przesłuchaniach do roli Człowieka-Słonia na Broadwayu.

— Ray? — zwróciła się do Flemma. — Słyszałeś?

— Kręć! Kręć to! — wykrzykiwał do kamerzysty Reynaldo.

Stranahan ze zmęczeniem zszedł do swojej łodzi i oświadczył:

— Panno Marks, wywiad się skończył.

Tym razem ona się wściekła. Wyskoczyła na rufę, piszcząc podszwami tenisówek po tekowym drewnie.

— Chwileczkę, to ma być wszystko?!

Mick spojrział na nią do góry ze swojej małej łódki.

— Nie widziałem Maggie Gonzales od dnia po zniknięciu Barletty. Mówię prawdę. Nie wiem, czy wzięła od was pieniądze i poleciała na południe, czy też było inaczej, ale nie odezwała się do mnie.

— Kłamie! — parsknął Reynaldo Flemm i odmaszerował do kabiny, by przeżywać to w samotności. Podmuch wiatru komicznie nastroszył mu włosy.

Stranahan zapuścił ręcznie silnik i wrzucił bieg.

— Gdyby Maggie Gonzalez zadzwoniła, mieszkam w hotelu „Sonesta” — poinformowała Christina.

Mało prawdopodobne, pomyślał Mick. Bardzo mało prawdopodobne.

— W jaki sposób, u diabła, mnie tu znaleźliście? — zawołał do młodej kierowniczkii produkcji.

— Pańska była żona! — odkrzyknęła z jachtu panna Marks.

— Która?

— Numer cztery.

To znaczy Chloe, stwierdził Stranahan. Oczywiście.

— Ile was to kosztowało?

Christina zrobiła niepewną minę i podniosła pięć palców.

— Potraktowała was ulgowo — rzucił Mick i skierował łódkę w stronę domu.

## 5.

Christina Marks leżała w łóżku, czytając starego „New Yorkera”, gdy ktoś zapukał do drzwi jej pokoju hotelowego. Miała nadzieję, że będzie to Mick Stranahan, ale się zawiodła.

— Cześć, Ray.

Reynaldo Flemm, wślizgując się do środka, poklepał ją po pośladku.

— Ależ oryginalne — mruknęła, zamykając drzwi. — Właśnie zamierzałam zgasić światło.

— Przyniosłem wino.

— Nie, dziękuję.

Reynaldo włączył telewizor i rozgościł się na dobre.

Był w nowych spodniach Banana Republic i workowatej dżinsowej koszuli. Pachniał jak całe wiaderko bruta. Jednym ruchem skrzyżował nogi i oparł swoje białe buty Air Jordan z wysoką cholewką na stoliku do kawy.

Christina Marks mocniej zawiązała pasek szlafroka i usiadła z drugiej strony sofy.

— Jestem zmęczona, Ray — oznajmiła.

Sprawał wrażenie, jakby w ogóle tego nie usłyszał.

— Ten cały Stranahan jest kluczem do wszystkiego — oświadczył. — Sądzę, że powinniśmy go jutro śledzić.

— Och, proszę.

— Wynajmij furgonetkę. Z zaciemnionymi szybami. Ustawimy z tyłu

kamerę na statywie. Poprowadzę, a więc Willie będzie robił zdjęcia nad moim... Zaraz, niech się zorientuję. To będzie moje prawe ramię. Wspaniałe ujęcia przez przednią szybę, jak śledzimy tego wielkiego kutasa...

— Willie dostanie choroby lokomocyjnej — uprzedziła Christina.

Flemm zachichotał pogardliwie.

— Paskudny pomysł — dodała Christina.

Marzyła, żeby sobie poszedł. Natychmiast.

— Co, czyżbyś wierzyła temu Stranahanowi?

— Nie — odparła, ale na swój sposób tak to jednak wyglądało. W każdym razie wierzyła mu bardziej niż Maggie Gonzalez. W tej jej nagłej potrzebie udania się do Miami było coś śmierzącego. Dlaczego powiedziała, że musi zobaczyć się ze Stranahanem? I gdzie się naprawdę podziała?

Reynaldo Flemm nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany motywami Maggie — dobra taśma, to dobra taśma — lecz Christiną Marks chciała wiedzieć o tej kobiecie coś więcej.

Miała lepsze rzeczy do roboty niż siedzenie w dusznej furgonetce i śledzenie faceta, który — jeżeli ich przyłapie — najprawdopodobniej zniszczy najdrobniejszy szczegół ich elektronicznego wyposażenia.

— W takim razie jakie pozostają nam inne tropy? — zapytał Reynaldo.

— No proszę, powiedz.

— Maggie ma tu pewnie rodzinę — rzekła Christina. — I przyjaciół.

— Nuda, nuda, nuda.

— Ciężka praca jest czasem nudna — upomniała go. — Ale skąd ty miałbyś o tym wiedzieć?!

Flemm wyprostował się gwałtownie i wyduł górną wargę jak piesek chiuhua.

— Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób?! Nie zapominaj, kto tu jest gwiazdą!

— A ty lepiej pamiętaj, kto ci pisze teksty. I kto wykonuje te nudne, nudne poszukiwania. Pamiętaj, kto ci podpowiada, jakie masz zadać pytania. I kto przygotowuje te materiały tak, żebyś nie wyszedł na nadętego dupka.

Chociaż, prawdę mówiąc, Reynaldo najczęściej tak właśnie wychodził.

Nie było na to sposobu. Żadne cuda dokonywane podczas montażu nie mogły ukryć utrwalonej na taśmie prawdziwej osobowości tego człowieka.

Reynaldo wzruszył ramionami. Jego uwagę przykuło coś, co działo się w telewizji.

Gościem programu Lettermana był Mike Wallace z CBS.

Flemm podkręcił głos i przesunął się na krawędź sofy.

— Wiesz, jaki stary jest ten palant? — zapytał, wskazując Wallace'a. — Mam połowę jego lat.

Christina Marks w ostatniej chwili ugryzła się w język.

— Założę się, że j e g o kierowniczka produkcji sypia z nim za każdym razem, kiedy on ma na nią ochotę. — Kątem oka zerknął na Christinę.

Wstała, podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież.

— Wracaj do swojego pokoju, Ray.

— Oj, daj spokój. Przecież żartowałem.

— Wcale nie.

Podniósł się i z obrażoną miną wyłączył telewizor.

— Przepraszam — rzucił.

— Oczywiście.

Christina Marks dysponowała wszystkimi atutami. Reynaldo Flemm potrzebował jej bardziej niż ona jego. Nie tylko była utalentowana, ale również wiedziała o nim coś, co gwiazdor wołał zachować w tajemnicy przed telewizyjnym światkiem. Na przykład fakt, że przyłapała go, jak sam się bił.

To było w Hyatt House w Alabamie. Flemm miał rzekomo przebywać w terenie i przeprowadzać wywiady z członkami gangów ulicznych, lecz Christiną nakryła go w łazience jego pokoju hotelowego w chwili, gdy walił się w policzek skarpetką pełną żetonów parkingowych. Reynaldo bowiem wpadł na wspaniałą pomysł, że zafunduje sobie wspaniałego siniaka, a potem stanie przed kamerą i dysząc ciężko, oświadczy, iż napadł go osławiony przywódca gangu zwany Otus „Rapper”.

Po tej demaskacji ubłagał Christinę, żeby nie wspominała o tym kierownictwu, i nie zrobiła tego. Uległa jego łzom. Nie mogła znieść ich dłużej.

Dochowując tej i innych, równie porąbanych tajemnic, Christina czuła się bezpiecznie w pracy. Do tego stopnia, że mogła powiedzieć Flemmowi,

żeby spadał w podskokach za każdym razem, gdy próbował wpakować się do jej łóżka. Idąc w stronę drzwi, rzucił:

— W dalszym ciągu twierdzą, że powinniśmy wcześniej wstać i śledzić tego całego Stranahana.

— A ja w dalszym ciągu twierdzą, że nie.

— Ale, Chris, on coś wie.

— Owszem, Ray. Wie, jak zrobić komuś krzywdę.

Nie była pewna, lecz wydało jej się, że w oczach Reynalda Flemma roz-  
błysła głodna iskierka.

Następnego ranka Stranahan zostawił skif w przystani, wsiadł w chryslera i przejechał Rickenbacker Causeway z powrotem na stały ląd. Na siedzeniu obok niego leżał żółty notatnik otwarty na stronie z nazwiskami i numerami, które wypisał z akt Barletty.

Pierwszym miejscem, do którego się udał, było Durkos Medical Center, które już jednak nie istniało. Obecnie cały budynek zajmowali wyłącznie dentyści — dziewięciu, według spisu gabinetów. Stranahan ruszył na poszukiwanie administratora budynku.

Wszystkie drzwi i korytarze wibrowały echem szarpiącego nerwy wizgu wysokoobrotowych wiertarek dentystycznych. Mick wkrótce poczuł, że zaczynają go boleć zęby trzonowe i dostaje wyraźnego ataku klaustrofobii.

Namówił do współpracy przyjacielskiego woźnego, który zaprowadził go do administratorki, gigantycznej kobiety o oliwkowej skórze nazywającej się Marlee Jones. Stranahan podał jej bilet wizytowy i wyjaśnił, czego chce.

Zerknęła na wizytówkę i wzruszyła ramionami.

— Nie muszę panu niczego mówić — oświadczyła, wykazując poczucie obywatelskie, które Mick od dawna doceniał u mieszkańców Miami.

— Nie, nie musi mi pani niczego mówić — oświadczył. — Ale być może uda mi się załatwić, aby jutrzejszy ranek urozmaicił pani inspektor bezpieczeństwa i higieny pracy hrabstwa, a potem następny i następny, aż do chwili, gdy umrze pani ze starości. — Podniósł miotłę i jej drewnianą rączką szturchnął piankowe płytki sufitu. — Wygląda mi to na czysty azbest

— stwierdził. — Z całą pewnością federalnym bardzo się nie spodoba.

Marlee Jones skrzywiła się, odsłaniając imponującą galerię złotych zębów — bez wątplenia łapówki od lokatorów. Poczłapała do metalowego biurka, otworzyła dolną szufladę i wyciągnęła z niej czarną księgę.

— Dobra, spryculu, jak się nazywało?

— Durkos. — Stranahan przeliterował. — Zespół medyczny. Mieścił się tu jeszcze dwunastego marca cztery lata temu.

— No cóż, a pierwszego kwietnia cztery lata temu zniknął.

Marlee zaczęła zamykać księgę, ale Mick położył dłoń na otwartej stronie.

— Mogę popatrzeć?

— To tylko cyfry.

— Oj, tak sobie zerknę.

Wziął od niej księgę i przesunął palcem wskazującym wzdłuż kolumn.

Durkos Medical Trust Inc. był jedynym podnajemcą budynku przez dwa lata, ale opuścił go parę tygodni po zniknięciu Victorii Barletty. W księdze odnotowano, że firma opłaciła czynsz i zabezpieczenie depozytowe do końca maja. Stranahan uznał za dość dziwne, że po wyprowadzeniu się zespół medyczny nie otrzymał zwrotu pieniędzy.

— Może nie poprosili o nie — zasugerowała Marlee Jones.

— Lekarze to największe chytrusy na świecie — odparł Stranahan. — Kiedy chodzi o piętnaście kawałków, nie proszą o nie, lecz wynajmują prawników.

Administratorka ponownie wzruszyła ramionami.

— Niektórzy ludzie cholernie się spieszą.

— Co pani pamięta na ten temat?

— A kto mówi, że tu wtedy byłam?

— Charakter pisma w księdze. Jest taki sam jak na tych pokwitowaniach. — Mick postukał palcem w stos kwitów opłat czynszowych.

Marlee Jones sprawiała wrażenie, jakby gwałtownie wzrosło jej ciśnienie krwi.

— A więc co pani pamięta? — zapytał powtórnie.

Administratorka stękając opadła na stojące za biurkiem krzesło.



— Wynieśli się w ciągu jednej nocy — poinformowała. — Musieli chyba sprowadzić któryś z tych wielkich kontenerów albo co. Kiedy przyszedłam, cały dom był pusty, z wyjątkiem kilku tanich obrazków na ścianie. Koty z wielkimi oczyma i takie tam gówno.

— Czy wszyscy byli chirurgami?

— Na to wyglądało. Ale nie współnikami.

— Czy ich szefem był Durkos?

— Nie słyszałam o żadnym Durkosie. Największą szycią był doktor Graveyard czy coś w tym rodzaju \*. \* Gra słów — doktor Graveyard znaczy „doktor Cmentarz” (przyp. tłum.)

Pozostali czterej pracowali dla niego. Dowiedziałam się o tym, gdy następnego dnia po wyprowadzce paru innych lekarzy zjawili się ubranych jak do pracy. Nie mogli uwierzyć, że ich gabinety są puste.

Nazwisko chirurga, który operował Vicky Barlette, brzmiało Graveline, ale Mick doszedł do wniosku, że nie ma sensu wyprowadzać Marlee Jones z błędu.

— Czy ten doktor Graveyard — dociekał — nie uprzedził innych lekarzy o przeprowadzce?

— Jesteśmy w Miami. Wielu ludzi cholernie się tu śpieszy.

— Zgoda, ale niewielu płaci z góry.

Administratorka roześmiała się wreszcie.

— Masz pan rację.

— Czy ktoś zostawił nowy adres?

— Nie.

Mick oddał kobiecie księgę.

— Skończyłeś pan ze mną?

— Tak jest, proszę pani.

— Na dobre?

— Najprawdopodobniej.

— Czy więc mogę zapytać, dla kogo pan pracuje?

— Dla samego siebie — odparł Mick Stranahan.

Od dnia, w którym przestało istnieć Durkos Medical Center, życie pielęgniarki Maggie Orestes skomplikowało się. Podjęła pracę w pogotowiu szpitala Jackson, gdzie pewnej nocy spotkała mężczyznę, który nazywał się Ricky Gonzalez.

Gonzales zjawił się w pogotowiu z powodu przejechania przez ferrari z turbodoładowaniem w czasie dorocznego Miami Grand Prix.

Ricky zajmował się promocją samochodów wyścigowych i pozował właśnie do zdjęć z Lorenzem Lauiasem w boksie technicznym, gdy ferrari wystartowało z rykiem i przejechało mu po obu stopach. W rezultacie wylądował w szpitalu ze złamanymi czternastoma kośćmi, podczas gdy Lorenzo Lamas nie odniósł nawet draśnięcia.

Siostra Maggie Orestes zajmowała się Rickym Gonzalezem w sali przyjęć, zanim przewieziono go na salę operacyjną.

Był młodym, dziarskim, obiecującym mężczyzną — i takim wesołym, biorąc pod uwagę całe zdarzenie.

Miesiąc później pobrali się w katolickim kościele w Hialeah. Ricky namówił Maggie, aby przestała pracować jako pielęgniarka i podjęła obowiązki gospodyni na ważnych imprezach towarzyskich, które musi organizować ktoś zajmujący się promocją samochodów wyścigowych.

Maggie miała nadzieję, że w końcu polubi wyścigi samochodowe i związanych z nimi ludźmi, ale tak się nie stało. Wyścigi były hałaśliwe, głupie i nudne, a ludzie jeszcze gorsi.

Po kilku zażartych sprzeczkach z mężem była już o krok od decyzji o rozwodzie, gdy zdarzył się drugi wypadek w boksie technicznym. Tym razem było to porsche, a Ricky nie miał już takiego szczęścia jak poprzednio.

Po nabożeństwie poddano go kremacji, ubranego w pamiątkową srebrną kurtkę wyścigową Purolator. Kurtka okazała się ognioodporna i trzeba było powtórzyć kremację tego fragmentu ciała.

Lorenzo Lamas przesłał wieniec aż z Malibu w Kalifornii.

Zaraz potem do Maggie Gonzalez przyszedł prawnik Ricky'ego i przekazał jej złe wiadomości. Po pierwsze, jej mąż nie miał ubezpieczenia na życie, a po drugie opróżnił ich wspólne konto bankowe na swój kokainowy nałóg.

Maggie nic nie wiedziała o narkotykowym uzależnieniu męża, ale po odтворzeniu w pamięci ich pożycia uznała, że tłumaczyło ono jego niepomówane napady dobrego humoru, podobnie jak całkowity brak ostrożności na torze wyścigowym.

Wdowieństwo w nędzy nie pociągało Maggie Gonzalez. Wróciła do swojego zawodu pielęgniarki w nadziei, że uda jej się zdobyć bogatego lekarza albo przynajmniej jego pieniądze.

W ciągu osiemnastu miesięcy zaliczyła ich trzech — i za każdym razem z katastrofalnym skutkiem. Byli to: żonaty pediatra, rozwiedziony radiolog i urolog noszący damską bieliznę, który ofiarował Maggie jedynie wyjątkowo upartą odmianę choroby wenerycznej. Gdy zerwała z tym ostatnim, spowodował wyrzucenie jej ze szpitala i złożył fałszywe oskarżenie w stanowej izbie pielęgniarzkiej.

Po tym wszystkim Maggie Gonzalez czuła jedynie palącą nienawiść do wszystkim mężczyznom i pragnęła zemsty.

Właśnie sprawa pieniędzy doprowadziła ją do ostateczności. Gdy zbliżał się termin płatności zadłużenia hipotecznego za jej bliźniak, a na koncie znajdowało się zaledwie osiemdziesiąt osiem dolarów, Maggie postanowiła, że jednak to zrobi. Częściowo mobilizowała ją rozpaczliwa sytuacja finansowa, ale przede wszystkim odczuwała ów rozkoszny dreszczyk podniecenia — odplaci się temu sukinsynowi, który spowodował wszystkie jej nieszczęścia!

Najpierw, za pomocą swojej karty kredytowej Visa, kupiła bilet na samolot do Nowego Jorku, skąd taksówką pojechała do biura Reynalda Flemma, słynnego dziennikarza telewizyjnego. Tam opowiedziała producentce, Christinie Marks, historię Victorii Barletty i uzgodniła warunki.

Pięć tysięcy dolarów za powtórzenie wszystkiego przed kamerą — to była najwyższa stawka, na jaką mogli się zgodzić ludzie Reynalda. Maggie poczuła się zawiedziona, bo w końcu historia była wystrzałowa.

Tego wieczoru Christina Marks wynajęła jej pokój w hotelu „Goreham”. Gonzalez leżała w łóżku, oglądając Robina Leacha w telewizji, i martwiła się podjętym ryzykiem. Pamiętała przesłuchującego ją prawie cztery lata temu oficera śledczego z urzędu prokuratora i jak go wówczas okłamała.

Dobry Boże, co też najlepszego zrobiła! Ludzie Flemma polecą prosto do Miami i przeprowadzą wywiad ze śledczym — nazywał się Stranahan. A on im powie, że wówczas nie wspomniała ani słowem o tym, co się stało.

Jej wiarygodność szlag trafi, podobnie jak pięć kawalków. Równie dobrze mogłaby wyrzucić je przez okno.

Uświadomiła sobie, że musi coś zrobić ze Stranahanem. Oraz z doktorem Rudym Graveline'em.

Graveline był niebezpiecznym świrem. Zakablować Rudy'ego — no cóż, ostrzegął ją przed tym. I w pewnym sensie wynagrodził. Przyzwoita odprawa, wspaniałe referencje do nowej pracy. Otrzymała to wszystko po zamknięciu Durkos Center.

Leżąc w hotelowym łóżku, Maggie wpadła na inny pomysł. Był zwariowany, ale miał szansę powodzenia.

Następnego ranka udała się ponownie do Christiny Marks i w zawołany sposób dała jej do zrozumienia, że musi natychmiast zobaczyć się z inspektorem Stranahanem. W przeciwnym razie nie zgodzi się na reportaż.

Marks niechętnie wręczyła jej bilet i sześćset dolarów na wydatki.

Oczywiście Maggie ani myślała odwiedzać Micka Stranahana. Gdy wróciła na Florydę, pojechała prosto do Sanatorium i Centrum Chirurgicznego Whispering Palms, mieszczącego się w pięknym Bal Harbour.

Doktor Rudy Graveline był bardzo zaskoczony jej widokiem. Zaprowadził ją do prywatnego gabinetu i zamknął drzwi.

— Wyglądasz na przestraszoną — stwierdził.

— Bo jestem.

— I masz trochę tłuszczu na pupie.

— Kiedy jestem przestraszona, jem — odparła Maggie spokojnie.

— O co więc chodzi? — zapytał Rudy.

— O Vicky Barlette — oznajmiła. — Ktoś zaczyna robić zamieszanie.

— Och! — Graveline udawał spokój. — Kto taki?

— Jeden z prowadzących dochodzenie. Nazywa się Stranahan.

— Nie przypominam go sobie — powiedział doktor.

— A ja tak. Jest koszmarny.

— Rozmawiał z tobą?

Maggie pokręciła głową.

— Gorzej — rzekła. — Przyszli do mnie ludzie z telewizji. Robią specjalny program o zaginionych osobach.

— Chryste, nie mów!

— Ma w nim wystąpić Stranahan.

— Ale co on wie? — dociekał Rudy.

Maggie zamruwała.

— Martwię się, panie doktorze. Znowu wszystko się zacznie.

— Wykluczone.

Maggie postanowiła pozbyć się Stranahana. I było bez znaczenia, czy doktor Graveline przekupi go, zastraszy czy też zrobi z nim coś gorszego.

Rudy mógł każdemu dobrać się do skóry. Ci, którzy stali mu na drodze, musieli albo postępować zgodnie z jego życzeniem, albo ponosili konsekwencje swojego uporu.

Kiedyś pewien chirurg poprawił spieprzoną przez Graveline'a operację nosa, a potem obgadał kolegę na koktajlu Towarzystwa Medycznego. Rudy wściekł się do tego stopnia, że zapłacił dwom łobuzom, aby urządzili demolkę gabinetu owego lekarza, ale dopiero po kradzieży jego dokumentacji medycznej.

Wkrótce pacjenci rywala otrzymali listy z podziękowaniami za wyrozumiałe potraktowanie jego walki ze strasliwym uzależnieniem od heroiny, od którego w tej chwili już prawie całkowicie się uwolnił.

No cóż, prawie...

Z końcem miesiąca ów lekarz zlikwidował to, co zostało z jego praktyki, i przeniósł się do Kolumbii Brytyjskiej.

Maggie Gonzalez liczyła na to, że Rudy Graveline znowu zareaguje przesadnie. Chciała, żeby martwił się Stranahanem i zapomniał o wszystkich pozostałych. W momencie zaś, gdy się połapie, kto stanowił dla niego prawdziwe zagrożenie, ona dawno już zniknie. I znajdzie się poza jego zasięgiem.

— Ci faceci z telewizji nie zostawią mnie w spokoju — dodała. — Powiedzieli, że sprawa zostanie ponownie skierowana do sądu i że Stranahan będzie zeznawał. — Zaczęła szukać chusteczki w torebce. — Sądziłam, że powinien pan o tym wiedzieć.

Doktor Graveline podziękował jej, że przyszła. Prosił, żeby się nie martwiła, bo wszystko będzie dobrze. Poradził, aby opuściła na kilka tygodni miasto, co uznała za bardzo dobry pomysł. Zapytał, czy jest jakieś miejsce, do którego chciałaby szczególnie pojechać, przyznała się więc, że marzy o Nowym Jorku.

Doktor stwierdził, że Nowy Jork jest wspaniałym miejscem do odwiedzenia w okresie świątecznym, i wypisał jej czek na dwa tysiące pięćset dolarów. Zasugerował, żeby zniknęła przynajmniej na miesiąc, i zaproponował, aby zadzwoniła, jeżeli będzie potrzebowała więcej pieniędzy.

Kiedy, pomyślała Maggie. Nie jeżeli będzie potrzebowała więcej pieniędzy, ale kiedy.

Później tego samego wieczoru doktor Rudy Graveline zamknął drzwi swojego gabinetu i zadzwonił do restauracji z owocami morza w New Jersey. Porozmawiał z facetem, który chyba miał krzaczaste brwi, a ten obiecał mu, że przyśle kogoś w pierwszych dniach roku.

W dniu, w którym Tony Traviola, pierwszy zabójca, przybył, aby zabić Micka Stranahana, Maggie Gonzalez znajdowała się w pokoju na dziesiątym piętrze hotelu „Essex House”. Miała stąd widok na Central Park, w którym brała lekcje jazdy na łyżwach na lodowisku Donalda Trumpa.

Postanowiła siedzieć cicho jeszcze przez parę tygodni, a także rozważała możliwość przeprowadzenia pogawędki w 20/20. Odrobina konkurencji nigdy nie zaszkodzi. Może Reynaldo Flemm zaniepokoi się do tego stopnia, że podniesie cenę?

Pięć kawalców pociągało.

Rudy Graveline umówił się z drugim zabójcą dziesiątego stycznia o trzeciej po południu. Mężczyzna zjawił się w Whispering Palms pół godziny wcześniej i siedział spokojnie w poczekalni, strasząc pacjentów.

Rudy znał go jedynie pod okrutnym, ale celnym przezwiskiem Chemo, ponieważ rzeczywiście sprawiał wrażenie, jakby przechodził ostatni, ponury etap chemoterapii. Czarne włosy rosły nieregularnymi kępkami na pokrytej niebieskimi żyłkami skórze głowy. Wargi miał wąskie, o barwie mokrego cementu. Oczy w czerwonych obwódkach patrzyły na gapiów z mrozącą krew w żyłach obojętnością, przezroczyste jak u salamandry powieki opuszczały się w powolnych mrugnięciach. No i skóra, na widok której ludzie wzdrygiwali się i szybko opuszczali poczekalnię w Whispering Palms. Wyglądała jak pokryta płatkami śniadaniowymi — zupełnie jakby ktoś przylepił Rice Krispies do każdego centymetra kwadratowego jego twarzy.

Wygląd oraz niezwykły wzrost (prawie dwa metry dziesięć) sprawiały, że Chemo stanowił niezapomniany widok. Doktor Graveline nie był jednak bynajmniej zaniepokojony, ponieważ wiedział, skąd się wzięła taka

aparycja mężczyzny. Wcale nie była wynikiem raka skóry, lecz niezwyklego wypadku, jaki zdarzył się wiele lat temu w Scranton.

Leciwy dermatolog, wypalając wrośnięte włosy z czubka nosa Chema, doznał wylewu krwi do mózgu i całkowicie utracił koordynację wzrokowo-ruchową. Stary lekarz dzielnie próbował zakończyć zabieg, lecz zdołał jedynie spalić wszystkie normalne pory znajdujące się w zasięgu igły elektrycznej.

Chemo zjadł na śniadanie pięć pastylek valium i w czasie całej tej tragedii spał twardo na stole operacyjnym. Gdy się obudził i zobaczył, że jego twarz wygląda jak gotowany homar, natychmiast udusił dermatologa i uciekł ze stanu Pensylwania na zawsze.

Większą część pięciu lat ukrywał się, szukając jednocześnie pomocy lekarskiej. Maści okazały się bezskuteczne, mało tego — błędna recepta wywołała wspomniany efekt Rice Krispies.

W końcu Chemo doszedł do przekonania, że jedyną nadzieją jest chirurgia plastyczna, a jego poszukiwania cudu sprowadziły go oczywiście na Florydę i, równie oczywiście, pod opiekę doktora Graveline'a.

Punktualnie o trzeciej Rudy zaprosił Chema do gabinetu. Olbrzym schylił się, przechodząc przez drzwi, i zamknął je za sobą. Usiadł na wyściełanym krześle i popatrzył na doktora, mrugając łzawiącymi oczyma.

— I jak się dzisiaj czujemy? — zapytał Rudy.

— A jak pan myśli? — burknął Chemo.

— Gdy był pan tu kilka tygodni temu, omawialiśmy plan leczenia. Pamięta pan?

— Tak.

— Ja też. I plan płatności.

— Jak mógłbym zapomnieć — mruknął Chemo.

Doktor Graveline puścił jego sarkazm mimo uszu. Pacjent miał pełne prawo do rozgoryczenia.

— Dermabrazja jest kosztowna — zauważył.

— Nie rozumiem, dlaczego — odparł Chemo. — Po prostu pakujesz pan moją facjatę w szlifierkę, no nie?

Lekarz uśmiechnął się wyrozumiale.

— Zabieg jest nieco bardziej skomplikowany, niż pan to ujął...

— Ale zasada jest taka sama.

— W dużym uproszczeniu — zgodził się doktor.  
— Dlaczego więc jedno dotknięcie ma kosztować dwieście zielonych?  
— Dwieście dziesięć — poprawił go Rudy. — Ponieważ wymaga niezwykle wprawnej ręki. Jestem pewien, że doceni pan efekt.

Chemo uśmiechnął się, słysząc jego słowa. Rudy wolałby, żeby tego nie zrobił. Uśmiech był koszmarny i sam w sobie stanowił morderczą broń. Facet wyglądał, jakby ostrzył sobie zęby o blok żużlu.

— Dostałem robotę — poinformował Chemo.

Doktor Graveline przyznał, że to dobry początek.

— W „Wesołym Bidecie” — wyjaśnił Chemo. — Taki punkowy klub na South Beach. Witam gości. — Znowu się uśmiechnął.

— Wita pan gości — powtórzył Rudy. — No, no!

— Pilnuję, żeby nie wchodziły żadne śmiecie — dodał pacjent.

Doktor zapytał go, ile zarabia. Chemo odparł, że sześć dolców za godzinę, plus napiwki.

— Nieźle — stwierdził lekarz. — Ale mimo wszystko... — Napisał w notesie kilka cyfr, potem wyjął z biurka kalkulator i przez jakiś czas stukał w klawisze. Niezwykle teatralnie.

Chemo wyciągnął szyję, aby popatrzeć.

— No i jak? — zainteresował się.

— Zakładam, że będą dwadzieścia cztery wizyty. To minimum — wyjaśnił Rudy. — Powiedzmy, że w czasie każdej będziemy robili po trzy centymetry kwadratowe.

— Cholera, zrób pan od razu całość.

— Nie mogę — skłamał Graveline. — Nie przy dermabrazji. A więc dwadzieścia cztery wizyty po dwieście dziesięć każda, daje nam...

— Pięć tysięcy czterdzieści — wymamrotał Chemo. — Jezu Chryste!

— Nie musi mi pan płacić wszystkiego naraz — oznajmił chirurg. — Niech mi pan da na początek połowę.

— Jezu Chryste!

Rudy odłożył kalkulator.

— Pracuję w tym klubie dopiero tydzień — oświadczył Chemo. — Muszę kupować żarcie.

Doktor wyszedł z biurka i przysiadł na jego krawędzi.



- Ma pan ubezpieczenie Blue Cross? — zapytał ojcowskim tonem.
- Coś pan! Przecież jestem na ucieczce, pamięta pan?
- Oczywiście.
- Rudy pokręciła głową i zamyślił się.
- Jakie to smutne, że tak wielki kraj jak nasz nie może zapewnić minimum opieki zdrowotnej wszystkim swoim obywatelom.
- A wiec jestem załatwiony na cacy — westchnął Chemo.
- Niekoniecznie. — Doktor Graveline potarł brodę. — Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.
- Tak?
- Chodzi o pewną sprawę do załatwienia.
- Gdyby Chemo miał brwi, uniosłyby się do góry.
- Jeśliby pan mi ją załatwił — ciągnął dalej Rudy — chyba doszlibyśmy do porozumienia.
- Zniżka?
- Nie widzę przeciwwskazań.
- Dryblas z namysłem przesunął palcami po łuskach na policzkach.
- Jaka robota?
- Chcę, żeby pan kogoś zabił.
- Kogo?
- Człowieka, który może mi sprawić kłopoty.
- Jakiego rodzaju?
- Może spowodować zamknięcie Whispering Palms. Odebranie mi prawa wykonywania zawodu. Na początek.
- Chemo przesunął bezkrwistym językiem po wargach.
- Kto to?
- Nazywa się Mick Stranahan.
- Gdzie go mogę znaleźć?
- Nie wiem dokładnie — odparł Graveline. — Mieszka gdzieś w Miami.
- Wielkolud uznał, że to raczej kiepska wskazówka.
- Wydaje mi się, że zabójstwo warte jest przynajmniej pięć kawałków — stwierdził.
- Daj spokój, nie jest gliną ani nikim takim. Po prostu zwyczajny facet. Trzy tysiące góra. — Gdy chodziło o pieniądze, Rudy był tygrysem.

Chemo złożył wielkie, kościste ręce na piersi.

— Dwadzieścia zabiegów, to moje ostatnie słowo.

Doktor przeliczył szybko w głowie.

— Cztery tysiące dwieście!

— Owszem.

— Ciężko się z tobą targować — westchnął Rudy.

Chemo uśmiechnął się triumfalnie.

— No to kiedy zabierzemy się do mojej twarzy?

— Gdy tylko wykonasz zadanie.

Chemo wstał.

— Przypuszczam, że będziesz chciał pan dowodu?

Rudy Graveline właściwie o tym nie pomyślał.

— Wycinek z gazety wystarczy — zapewnił.

— Na pewno niczego nie przynieść?

— Na przykład co?

— Palec — wyjaśnił Chemo. — Albo jego jaja.

— Zbyteczne — odparł doktor Graveline. — Zupełnie zbyteczne.

## 6.

Stranahan dostał adres domowy Maggie Orestes-Gonzalez od przyjaciela, który pracował w stanowej izbie pielęgniarstwa w Jacksonville.

Chociaż karta pracy Maggie była opłacona na bieżąco, nie figurowało w niej żadne aktualne miejsce zatrudnienia. Pod podanym adresem w cichym, starym rejonie niedaleko Coral Way w dzielnicy Miami zwanej Małą Hawaną znajdowało się dwupoziomowe mieszkanie.

Niewielkie podwórze z ceramiczną figurką świętej Barbary na rabatce z kwiatami otoczone było siatką, a w każdym oknie widniały, jak wszędzie, kraty przeciwwłamaniowe.

Stranahan otworzył siatkowe drzwi i zastukał trzykrotnie w grubą sosnową framugę. Brak odpowiedzi wcale go nie zdziwił.

Aby włamać się do mieszkania Maggie Gonzalez, użył sześciocentymetrowego wytrycha z nierdzewnej stali, który skonfiskował, wyciągając go z ust osławionego włamywacza do mieszkań zwanego „Mokrym” Williem Jeterem. „Mokry” Willie zapracował na swoje przezwisko, działając wyłącznie w deszczowe dni. Gdy było słońce, pracował jako pomocnik na polu golfowym w Doral Country Club.

Po aresztowaniu włamywacza gliniarze znaleźli w czasie przeszukania siedemnaście fotografii Jacka Nicklause z osobistymi dedykacjami.

Najwcześniejsza pochodziła z mistrzostw w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku. Nie udało im się natomiast odszukać narzędzi pracy „Mokrego”, ponieważ miał je dobrze ukryte pod językiem. Stranahan odnalazł je, gdy dwa tygodnie przed procesem odwiedził Williego w areszcie hrabstwa Dade.

Oficjalnie celem jego wizyty było uświadomienie „Mokremu” pożytku z przyznania się do winy i oszczędzenia podatnikom kosztów procesu. Drugim natomiast, o którym nie wspominał, był fakt, że biuro prokuratora miało żałośnie mało dowodów i rozpaczliwie dążyło do zawarcia ugody.

Willie podziękował Stranahanowi i oświadczył, że zaryzykuje wystąpienie przed ławą przysięgłych. Mick odparł, że nie ma sprawy i poczęstował go listkiem dentyny, który włamywacz bez zastanowienia włożył do ust. Proces zucia przesunął stalowe wytrychy, które natychmiast dokładnie uwięzły w dentynie, a potem cała piguła ostatecznie utkwiała w gardle „Mokrego”.

Przez kilka zwariowanych minut Stranahan przypuszczał, że będzie musiał wykonać amatorski zabieg tracheotomii, ale jakimś cudem włamywaczowi udało się wykrztusić miniaturowe narzędzia, a także pełne przyznanie się do winy. Stranahan zatrzymał jeden z wytrychów na pamiątkę.

Zamek w drzwiach Maggie był kaszką z mlekiem. Mick wślizgnął się do środka i od razu zauważył porządek panujący w mieszkaniu.

Ktoś, zapewne sąsiad albo krewny, starannie układał nieotwartą pocztę na stoliku przy drzwiach wejściowych. Na barku w kuchni stał telefon Princess podłączony do automatycznej sekretarki.

Stranahan nacisnął klawisz „Przewijanie”, a potem „Odtwarzanie” i wysłuchał głosu Maggie, który informował: „Hej, nie ma mnie teraz w domu i słuchasz jednego z tych głupich automatów zgłoszeniowych. Proszę zostawić krótką wiadomość, a ja odezwę się, gdy tylko będę mogła. Na razie!”

Mick przegrał taśmę do końca, nic na niej jednak nie było. Albo nikt nie dzwonił do Maggie Gonzalez, albo sama przeschłuchiwała pozostawione wiadomości za pomocą jednego z tych kieszonkowych urządzeń zdalnego

sterowania, albo ktoś je dla niej odbierał. Bez względu na sposób, w jaki to robiła, brak zapisów można było uznać za znak, że najprawdopodobniej wcale nie jest martwa.

Inne poszlaki świadczyły raczej o podróży. W schowku nie było walizek, w szufladach w sypialni nie leżały staniki ani figi, na półce w łazience brakowało przyborów kosmetycznych.

Najciekawszą jednak rzecz Stranahan znalazł w koszu na śmieci w kącie salonika — było to zmięte potwierdzenie przelewu na konto Maggie. Z dwudziestego siódmego grudnia, na dwa i pół tysiąca dolarów. Życzę miłej podróży, pomyślał.

Wyszedł z mieszkania, starannie zamykając za sobą drzwi, a potem pojechał trzy przecznice dalej, do automatu telefonicznego na rogu Siódmej i Jedenastej, z którego zadzwonił pod numer Maggie i przekazał jej automatycznej sekretarce bardzo ważną wiadomość.

Pod koniec dnia Christina Marks zostawiła wynajętego forda eskorta pracownikowi z parkingu hotelowego, kupiła w kiosku w holu „New York Times” i pojechała windą do swojego pokoju.

Zanim zdążyła wyjąć klucz z zamka, Mick Stranahan otworzył jej drzwi od środka.

— Proszę wejść — powiedział.

— Bardzo miło z twojej strony — odparła Christina. — Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że to mój pokój.

Stranahan zauważył, że miała modną, przypominającą teczkę torebkę, noszoną na pasku przez ramię. Spod jej kłapy sterczało parę prawniczych dokumentów.

— Byłaś zajęta.

— Chcesz drinka?

— Dziękuję, proszę dżin z tonikiem. — A po chwili dodał: — Obawiałem się, że jeśli będę czekał w holu, może mnie zobaczyć wielki Reynaldo.

— I dlatego wzięłeś klucz do mojego pokoju?

— Niezupełnie.

Christina podała mu drinka. Potem naląła sobie piwa i usiadła

w trzcinowym fotelu z poduszkami w jaskrawe kwiaty, które miały sprawiać wrażenie tropikalnych.

— Odwiedziłam dziś rodzinę Maggie — oświadczyła.

— Z powodzeniem?

— Nie. Niestety, nie mówili po angielsku.

Stranahan uśmiechnął się i pokręcił głową.

— I co w tym śmiesznego? — zapytała. — Że nie mówię po hiszpańsku?

— Może z wyjątkiem jej babki — wyjaśnił Mick — cała rodzina Maggie doskonale mówi po angielsku. Doskonale.

— Co takiego?!

— Jej ojciec uczy fizyki w liceum w Palmetto. Matka jest telefonistką w Southern Bell. Siostra Consuela pracuje jako sekretarka w kancelarii adwokackiej, a brat, jak mu tam...

— Tomás.

— Tak, Tommy. Jest starszym księgowym u Merrill Lynch.

Christina Marks odstawiła piwo tak zdecydowanym ruchem, że o mało nie rozbiła szklanego blatu stolika.

— Siedziałam w saloniku, gadałam do nich, a oni tylko patrzyli na mnie i powtarzali...

— *No habla* po angielsku, *señora*. Dosłownie.

— Najstarszy numer w Miami — oznajmił Mick. — Po prostu nie chcieli mówić. Nie martw się, ze mną też tak próbowali.

— A ty, jak sądzę, znasz hiszpański?

— W wystarczającym stopniu, by sądzili, że znam go lepiej. Rzecz w tym, że martwią się o Maggie. Martwią się już od jakiegoś czasu. Dziewczyna ma pewne osobiste kłopoty. Finansowe również... Przynajmniej tyle zdążyłem się dowiedzieć, zanim starsza pani zaczęła mieć bóle w klatce piersiowej.

— Żartujesz.

— Drugi najstarszy numer — odparł z uśmiechem Stranahan. — Ale i tak to mi wystarczyło. Jestem przekonany, że nie wiedzą, gdzie jest.

Christina dopiła piwo i z małej hotelowej lodówki wyjęła następną. Siadając ponownie, zrzuciła buty.

— A więc — oznajmiła — wyprzedzasz nas.

— Ciebie i Reynalda?

— Ekipę — mruknęła, wyraźnie poirytowana.  
— Nie, wcale was nie wyprzedzam — zaprzeczył Stranahan. — Powiedz, co Maggie Gonzalez wie o Vicky Barletcie?

— Nie mogę.

— A ile obiecaliście jej zapłacić?

Christina ponownie pokręciła głową.

— Mam wrażenie, że ona was robi w gigantycznego konia — oznajmił Mick.

— Słucham?

— Sądzę, że Maggie was nabiera.

Panna Marks usłyszała swoją własną odpowiedź:

— Może.

— Pozwolisz, że wysunę pewną hipotezę — rzekł Stranahan łagodniejszym już tonem. — Maggie Gonzales, której nigdy przedtem nie widziałas, pewnego dnia pojawiła się w Nowym Jorku i zaproponowała, że opowie sensacyjną historię o zaginionej studentce college'u. Z jej słów wynikało, że dziewczynę spotkało coś strasznego. W bardzo sprytny sposób przedstawiła całą sprawę tak, że nie można jej ani potwierdzić, ani odrzucić. Dlaczego? Ponieważ wszystko zdarzyło się bardzo dawno temu. Wiele faktów sugeruje, że Victoria Barletta już nie żyje. A przecież jej zabójca raczej nie pojawi się, aby oświadczyć, że Reynaldo Flemm w swojej ogólnokrajowej audycji telewizyjnej przedstawił sprawę zupełnie nieprawdziwie.

Christina pochyliła się do przodu.

— Doskonale. Wszystko pięknie, oprócz jednego szczegółu. Podała nazwiska.

— Maggie?

— Tak. I dokładnie opisała przebieg wydarzeń oraz wskazała, kto jest sprawcą.

— A ci ludzie...?

— Jeden człowiek.

— On? Ona?

— On.

— Żyje?

— Oczywiście.

— Jest w tym mieście?

— Tak, jest.

— Jezu! — westchnął Stranahan.

Wstał i zrobił sobie następny dzin z tonikiem. Ręce tak mu się trzęsły, że upuścił kilka kostek lodu. Niedobrze, pomyślał, bardzo niedobrze, że tak się tym przejmuję.

Przeszedł z drinkiem z powrotem do saloniku i zapytał:

— Czy jest lekarzem?

— Tego nie mogę ujawnić — odparła Christina, tłumacząc, że byłoby to nadużyciem zaufania. Dziennikarze muszą chronić swoje źródła informacji.

Mick wypił do połowy swój dzin, zanim odezwał się znowu:

— Czy jesteś dobra?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Czy jesteś dobra w tym, co robisz? — wyjaśnił z irytacją.

— Tak, tak sądzę.

— Czy możesz załatwić, żeby wielki Reynaldo nie dyszał mi w szyję?

— Spróbuję. A dlaczego?

— Ponieważ — oświadczył Stranahan — byłoby korzystne dla obu stron, gdybyśmy się spotykali od czasu do czasu. Tylko ty i ja.

— Żeby porównać notatki?

— Coś w tym rodzaju. Nie wiem czemu, ale mam wrażenie, że mogę ci ufać.

— Dziękuję.

— Nie mówię, że już ci ufam. Po prostu istnieje takie prawdopodobieństwo.

Odstawił szklankę i wstał.

— O co ci chodzi w tej sprawie? — dociekała dziennikarka.

— Prawda, sprawiedliwość i tak dalej?

Musiał przyznać, że jest bystra. Ale jeszcze nie był gotów, by wspomnieć jej o Tonym Węgorzu i głowie marlina. Odprowadzając go do drzwi, rzuciła:

— Spędziłam dziś sporo czasu w gazecie.

— Jak sądzę na lekturze?

— Masz niezłe *dossier* prasowe. Coś mi się wydaje, że powinnam się ciebie bać.

— Chyba nie wierzysz we wszystko, co czytasz?



— Oczywiście, że nie — Christina otworzyła drzwi. — Ale powiedz mi, ile jest w tym prawdy?

— Niestety wszystko — potwierdził.

Z pięciu byłych żon Stranahana tylko jedna postanowiła zatrzymać jego nazwisko — żona numer cztery, Chloe Simpkins-Stranahan. Nawet po powtórnym zamążpójściu posługiwała się nim z czystej złośliwości. I oczywiście znajdowała się w książce telefonicznej Miami.

Mick błagał ją, aby nie zamieszczała swojego numeru, ale Chloe odparła, że to zniweczyłoby cały sens jej działania.

— Dzięki temu będę mogła powiedzieć całą prawdę każdej dziewczynie, która zechce zadzwonić i cię sprawdzić — oznajmiła. — Wyjaśnić jej, że jesteś niebezpiecznym wariatem. Za każdym razem, gdy jakaś się odezwie, będę powtarzać: „Kochanie, on jest cholernie niebezpiecznym świrem!”

Christina Marks otrzymała wszystkie numery Stranahana za pośrednictwem informacji telefonicznej. Gdy zadzwoniła do Chloe z Nowego Jorku, ekszona Micka wzięła ją po prostu za jedną z jego dziewczyn i przekazała jej pełen jadu, zdecydowanie przesadzony opis ich trwającego osiem miesięcy małżeństwa i dziewięciu miesięcy rozwodu.

Wreszcie Christina Marks przerwała jej, wyjaśniając, kim jest i czego chce, na co Chloe Simpkins-Stranahan rzuciła krótko:

— To będzie kosztować tysiąc.

— Pięćset — skontrowała Christina.

— Małpa! — syknęła Chloe.

Kiedy jednak następnego popołudnia otrzymała czek za pośrednictwem Federal Express, zadzwoniła do Christiny Marks (na jej koszt) do Nowego Jorku i wyjaśniła, w jaki sposób może odnaleźć tego niebezpiecznego wariata, jej byłego męża.

— Daj mu ode mnie syfa, dobrze? — poleciła na koniec i odłożyła słuchawkę.

Zabójca, znany jako Chemo, nie był nawet w połowie tak pomysłowy jak Christina, ale miał dość oleju w głowie, aby sprawdzić książkę telefoniczną. Było w niej pięciu Stranahanów i Chemo wypisał wszystkie numery.

Dzień po spotkaniu z doktorem Rudym Graveline'em, Chemo wyruszył na poszukiwania. Prowadził błękitnego bonneville'a rocznik tysiąc dwieście osiemdziesiąty, z przyciemnionymi szybami. Takie szkła były niezbędne, aby ukryć jego twarz, jedno bowiem spojrzenie na nią mogłoby spowodować gigantyczną stłuczkę na dowolnym skrzyżowaniu.

Louis K. Stranahan był pierwszy na liście Chema.

Mieszkaniec Miami zorientowałby się, że adres wskazuje na sam środek Liberty City, lecz nie Chemo. Gdy wjeżdżał do tej dzielnicy, przyszło mu do głowy, że może powinien był zapytać doktora Graveline'a, czy facet, którego ma zabić, jest biały czy czarny. Oszczędziłby w ten sposób trochę czasu.

Adres okazał się projektem budowlanym Jamesa Scotta, ponurą, tragiczną norą, do której odważało się wchodzić niewielu intruzów, bez względu na kolor skóry. Nawet w jasny zimowy dzień od obiektu była mroczna, groźna aura. Chemo nie zwrócił na nią uwagi. Nie zauważył żadnego niebezpieczeństwa — interesował się jedynie swoim zadaniem.

Zatrzymał bonneville'a koło ogrodzonego siatką boiska do koszykówki i wysiadł.

Niemal natychmiast dzieciaki przestały grać. Piłka uderzyła w obręcz i leniwie wytoczyła się na aut, ale nikt nie pobiegł, aby ją podnieść. Wszyscy patrzyli na Chema. Jedyнным dźwiękiem był przypominający wiertarkę dentylistyczną rap grupy Run-D.M.C, dobiegający z odległego kwadrofonicznego agregatu.

— Cześć — powiedział Chemo.

Dzieciaki popatrzyły po sobie, próbując zgadnąć, w jaki sposób powinny rozegrać sytuację. Miały przed sobą największego białego sukinsyna, jakiego kiedykolwiek widziały po tej stronie międzystanówki. I najpaskudniejszego.

— Drużyna w komplecie — oznajmił największy chłopak z wymuszoną stanowczością.

— Och, wcale nie chcę grać — odparł Chemo.

Gracze popatrzyli na siebie z ulgą i jeden z nich potruchtał po piłkę.

— Szukam faceta o nazwisku Louis Stranahan.

— Nie ma go tu.

— A gdzie jest?

— Odpalantował.  
— Czy ma brata Micka?  
— Ma sześciu braci — wyjaśnił na ochotnika jeden z koszykarzy. — Ale żadnego Micka.

— Jest Dick — dodał drugi nastolatek.

— I Lawrence.

Chemo wyjął z kieszeni spis i zmarszczył brwi. Rzeczywiście, Lawrence Stranahan był drugą pozycją wypisaną z książki telefonicznej. Adres wskazywał też na sąsiedztwo.

Gdy Chemo stał jak dźwig portowy, wpatrując się w kartkę papieru, czarne dzieciaki wyluzowały się nieco. Zaczęły trochę rzucać do kosza, wygłupiając się i błaznując. Biały facet wcale nie był groźny. Kurwa, w końcu było ich ośmiu, a on jeden.

— Gdzie mogę znaleźć Louisa? — spróbował ponownie Chemo.

— W Raiford — odparło jednocześnie dwóch chłopaków.

— Raiford — powtórzył Chemo. — To więzienie, prawda?

Słyszając to dzieciaki zgięły się wpół i zaczęły przybijać sobie piątki, śmiejąc się histerycznie z tego wielkiego, porąbanego dupka.

— Kurwa, jasne, że to więzienie — potwierdził wreszcie jeden z nich.

Chemo wykreślił obu górnych Stranahanów ze swojej listy. Gdy otwierał drzwi samochodu, czarny wyrostek kozłujący piłkę wrzasnął do niego:

— Hej, wielkoludzie, jesteś gwiazdą filmową?

— Nie — zaprzeczył Chemo.

— Założę się, że jesteś.

— Słowo daję, że nie.

— To dlaczego widziałem cię w *Halloween III*?

Chłopak zgiął się wpół, wyjąc ze śmiechu. Uważał, że tekst był cholernie zabawny.

Chemo sięgnął pod fotel samochodu i wyciągnął pistolet kalibru zero dwadzieścia dwa, wyposażony w tani tłumik przysyłany na zamówienie pocztowe. Bez słowa wycelował nad dachem bonneville'a i przedziurawił trzymaną przez wyrostka piłkę.

Rozległ się odgłos przypominający największe pierdnięcie na świecie,

ale chłopaki z bloku wcale nie uznały go za śmieszny. Uciekały jak wszyscy diabli.

Odjeżdżając Chemo doszedł do wniosku, że udzielił młodzieży cennej lekcji. Nigdy nie należy kpić z czyjejs cery.

Było w pół do pierwszej, gdy odnalazł trzeci adres — dwupiętrowy budynek w śródziemnomorskim stylu w Coral Gables.

Rozzłoszczony rottweiler siedział na podwórzu, przywiązany łańcuchem do drzewa oliwnego, lecz Chemo przemaszerował obok wielkiego psa bez szwanku. Zwierzę jedynie przechyliło głowę i obserwowało go, być może nie do końca przekonane, czy ta dziwaczna istota należy do gatunku, który uczono go atakować.

Gdy zabrzączał dzwonek do drzwi, Chloe Simpkins-Stranahan rozmawiała właśnie przez telefon z sekretarzem swojego męża.

— Powiedz mu, że jeżeli nie będzie w domu do ósmej, sprzedam Dalego. Przekaż mu to natychmiast! — Odłożyła z trzaskiem słuchawkę i podeszła ostrożnie do drzwi.

Spojrzała na Chema i zapytała:

— Jak się pan przedostał obok psa?

Wzruszył ramionami. Założył przeciwsłoneczne okulary Rayban w nadziei, że nieco złagodzą wrażenie, jakie wywierała jego twarz. Był przygotowany, by w razie potrzeby wyjaśnić, co się stało. Nie pierwszy zresztą raz. Ale Chloe Simpkins-Stranahan nic nie wspomniała na ten temat.

— Sprzedaje pan coś? — dociekała.

— Szukam mężczyzny, który nazywa się Mick Stranahan.

— Bardzo niebezpieczny wariat — oświadczyła Chloe. — Niech pan wejdzie.

Chemo zdjął okulary i włożył je do kieszonki koszuli. Usiadł w saloniku i położył dłonie na kościstych kolanach. Przy barku Chloe nalewała mu zimne piwo imbirowe. Zachowywała się, jakby w ogóle nie zauważyła, że z jego wyglądem jest coś nie w porządku.

— Kim pan jest? — chciała wiedzieć.

— Inkasentem długów — odparł Chemo.

Obserwując ją, poruszającą się po mieszkaniu, zwrócił uwagę, że jest

bardzo piękną kobietą o kasztanowych włosach, długich nogach i dobrej figurze. A słuchając jej, przekonał się, że jest twarda jak krzemień.

— Mick to mój były — wyjaśniła Chloe. — Nie mogę powiedzieć o nim nic dobrego. Ani słowa.

— Czy pani też jest winien pieniądze?

Zachichotała ostro.

— Nie, wyciągnęłam od niego wszystko co do centa. Wyczyściłam dokumentnie. — Zabębniła rubinowymi paznokciami po szklance z piwem imbirowym. — Teraz jestem żoną licencjonowanego księgowego — dodała. — Ma swoją własną firmę.

— Miło słyszeć — stwierdził Chemo.

— Nudny jak psi bobek, lecz przynajmniej nie jest wariatem.

Chemo poprawił się w krześle.

— Ciągłe powtarza pani to słowo. O co właściwie chodzi? Czy pan Stranahan jest gwałtownym człowiekiem? Czy bił panią?

— Mick? Nigdy. Nie mnie — rzekła Chloe. — Ale zaatakował zaprzyjaźnioną ze mną osobę. Mężczyznę.

Chemo doszedł do wniosku, że powinien jak najwięcej dowiedzieć się o człowieku, którego ma zabić.

— A konkretnie, co takiego Mick zrobił temu zaprzyjaźnionemu mężczyźnie?

— Trudno mi o tym mówić. — Chloe wstała i wlała kieliszek wódki do swojego piwa imbirowego. — Mick zawsze był nieobecny. Ciągłe poza domem. Na pewno pieprzył się na prawo i lewo.

— Wie pani o tym ?

— Jestem przekonana.

— A więc postarała się pani o... przyjaciela?

— Ależ pan bystry — zauważyła zjadliwie Chloe. — Jak cholerny specjalista raketowy. Tak, miałam przyjaciela. I ten facet mnie kochał. Traktował jak królową.

— Ale pewnej nocy pan Stranahan wrócił do domu wcześniej i przyłapał was...

— W działaniu — dodała Chloe. — Niech mnie pan źle nie zrozumie. Wcale tego nie planowałam, Bóg mi świadkiem, że nie chciałam, by nas zaskoczył... Znając Micka, wiedziałam, że taka sytuacja jest niebezpieczna.

- Krótki lont?
  - Żadnego lontu.
  - A co się stało?
- Chloe westchnęła.

— Nie mogę uwierzyć, że opowiadam o tym jakiemuś obcemu człowiekowi, inkasentowi długów! Nieprawdopodobne. — Skończyła drinka i nalała sobie następnego.

Tym razem, gdy wróciła od barku, usiadła na kanapie obok Chema. Tak blisko, że poczuł jej zapach.

— Jestem gadułą — wyjaśniła z łagodnym uśmiechem, który z całą pewnością nie pasował do jej głosu.

— A ja umiem słuchać — stwierdził Chemo.

— I polubiłam pana.

— Rzeczywiście?

Ta dziwka ma szajbę, pomyślał. Prawdziwego świra.

— Lubię pana — ciągnęła Chloe. — I chciałabym pomóc w pańskich kłopotach.

— W takim razie proszę mi powiedzieć, gdzie mogę znaleźć pani byłego męża.

— A ile ma pan ochotę zapłacić?

— Ach, więc o to chodzi?

— Wszystko ma swoją cenę — wyjaśniła Chloe. — Zwłaszcza dobra informacja.

— Niestety, pani Stranahan, nie dysponuję pieniędzmi. To właśnie z powodu pieniędzy szukam Micka.

Chloe skrzyżowała nogi i Chemo zauważył wspaniałe oczko, które poleciało po jej nylonowej pończosze. Wydawało się ciągnąć w nieskończoność, wysoko na udo. Któż mógł zgadnąć, gdzie się kończyło? Upomniał się w myślach, aby się nie rozpraszać. Lada chwila palnie coś o jego twarzy — był tego pewien.

— Nie jest pan inkasentem długów — oświadczyła ostro Chloe. — Prze stań więc pan pieprzyć te głupoty.

— Dobrze — zgodził się.

Gorączkowo wysilał swoją dość ograniczoną wyobraźnię, starając się wymyślić inną legendę.

— Nie obchodzi mnie, kim pan jest.

— Naprawdę?

- Nie. Pod warunkiem, że nie jest pan przyjacielem Micka.
- Nie jestem — zaręczył Chemo.
- W takim razie pomogę panu — zdecydowała. — Może.
- A co z pieniędzmi? — zapytał Chemo. — Mogę zorganizować sto dolarów, może sto pięćdziesiąt.
- Doskonale.
- Doskonale?
- Chryste, ta baba jest niesamowita.
- Sto dolców. Ale zanim zgodzę się pomóc — oznajmiła — powinien pan się o wszystkim dowiedzieć. Czułabym się nie w porządku, gdybym nie ostrzegła pana, z kim będzie miał do czynienia.
- Dam sobie radę — odparł Chemo z zimnym uśmiechem.
- Nawet to — groteskowy, zombiepodobny grymas — wydawał się nie robić wrażenia na Chloe Simpkins-Stranahan.
- A więc nie chce pan wiedzieć? — zdziwiła się.
- Nie ma sprawy, proszę mówić. Cóż więc takiego zrobił Stranahan pani cudownemu przyjacielowi?
- Wysmarował mu jaja klejem Krazy Glue.
- Co?!
- Zużył całą tubę — dodała Chloe. — Przykleił go do maski samochodu. Za jaja. Tak, przylepił golutkiego za jaja do maski kabrioletu Eldorado!
- Jezu Chryste! — jęknął Chemo.
- Czy widział pan ozdobę maski cadillaca? Skinął głową.
- Niech więc pan to sobie wyobrazi — rzekła ponuro Chloe.
- Ten klej pali jak cholera — zauważył Chemo.
- Rzeczywiście.
- A więc Mick wrócił do domu, złapał was oboje w łóżku...
- Właśnie tutaj, na kanapie.
- Mniejsza o szczegóły. W każdym razie wyciągnął Pana Ogiera na ulicę i przylepił go golutkiego do maski jego cadillaca?
- Za jądra.
- I co wtedy?
- Już wszystko — zakończyła. — Mick spakował walizkę i się wyprowadził. Przyjechało pogotowie. Co mogło być jeszcze?

— Ten pani przyjaciel... Czy to ten facet, za którego pani wyszła?  
— Nie — wyjaśniła Chloe. — Mój przyjaciel nigdy już nie doszedł do siebie po tym spotkaniu z Mickiem Stranahanem. Powtarzam: nigdy do siebie nie doszedł. Rozumie pan, o czym mówię?

— Chyba tak.

— Lekarze twierdzili, że z medycznego punktu widzenia wszystko jest w porządku. Klej rozpuszczono acetonem, a po paru dniach skóra zagoiła się i była jak nowa. Ale mój przyjaciel był już nie ten sam.

— Przeszedł poważny wstrząs psychiczny, pani Stranahan — oświadczył Chemo. — Zapewne wymaga czasu...

Skrzywił się, gdy Chloe cisnęła szklanką w ścianę.

— Czasu?! — zawołała. — Dałam mu mnóstwo czasu. Wypróbowałam każdą sztuczkę, jaką znałam, ale po tej nocy z Mickiem był kompletnym denatem. Zupełnie jakbym próbowała pieprzyć się z gotowanym makaronem.

Chemo mógł sobie wyobrazić tę piekielną scenę. Zadrzał mimowolnie na samą myśl o tym.

— Kochałam tego człowieka — ciągnęła Chloe. — W każdym razie zaczynałam. A Mick wszystko zniszczył. Nie mógł go po prostu sprać na kwaśne jabłko, jak normalny zazdrosny mąż? Nie, on musiał zastosować torturę.

Na swój sposób Chemo podziwiał styl Stranahana. On sam w podobnej sytuacji zareagowałby inaczej. Wpakowałby kulę w potylicę. Obojgu.

Chloe Simpkins-Stranahan wstała i chodziła po pokoju z rękami założonymi na piersiach. Jej obcasy stuknęły po hiszpańskich kafelkach.

— Teraz już pan rozumie — powiedziała — dlaczego tak bardzo nienawidzę mojego byłego męża.

Z pewnością było coś jeszcze, ale kogo to obchodziło.

— Chce pani wyrównać z nim rachunki? — zapytał Chemo.

— Człowieku, ależ jesteś szybki. Tak, chcę wyrównać rachunki.

— W takim razie dlaczego mam pani płacić? Raczej pani powinna zapłacić mnie.

Chloe musiała się uśmiechnąć.



— Słuszna uwaga.

Pochyliła się i podniosła z grubego dywanu kawałek rozbitego szkła. Spojrzała na Chema i zapytała:

— Kim pan właściwie jest?

— Nieważne, pani Stranahan. Problem w tym, jak bardzo chce się pani zemścić na swoim byłym mężu.

— Zupełnie słuszne pytanie — stwierdziła z namysłem Chloe. — Napije się pan jeszcze piwa imbirowego?

## 7.

Z czterech chirurgów plastycznych, którzy pracowali w Durkos Center z doktorem Graveline'em, tylko jeden pozostał w Miami po zamknięciu kliniki. Nazywał się George Ginger i Stranahan znalazł go na korcie tenisowym na Turnberry Isle popołudniem roboczego dnia. Oczywiście grał miksta.

Mick obserwował, jak korpulentny, niski facet, dysząc ciężko, biegał wzdłuż linii końcowej, i podziwiał jego koszmarną perukę. Była jednym z tych plastikowych arcydzieł, które podobno można nosić pod prysznicem, choć jako żywo przypominała raczej skutki wypadku samochodowego.

Każdy punkt w tym meczu tenisowym był komedią samą w sobie i Stranahan zastanawiał się, czy jego oczekiwanie nie jest stratą czasu, podświadomą grą na zwłokę.

Obecnie wiedział już dokładnie, gdzie znaleźć Rudy'ego Graveline'a. Problem polegał jedynie na tym, że nie orientował się, o co ma pytać, żeby dojść prawdy.

Od Vicky Barletty do Tony'ego Węgorza była długa droga, a on do tej pory nie znalazł żadnego punktu zaczepienia, jeżeli w ogóle taki punkt istniał. W każdym razie doktor Graveline był ośrodkiem całej tajemnicy i Mick nie zamierzał go spłoszyć. Chciał, aby bezpieczny i zadowolony siedział dalej w Whispering Palms.

Stranahan podszedł do bocznej linii kortu i zapytał:

— Doktor Ginger?

- Jo! — odparł tenże, sapiąc ciężko.  
Mick wiedział, co myśleć o facetach, którzy mówią „jo!”.
- Musimy porozmawiać.  
— Naprawdę? — zapytał Ginger, psując łatwy bekhend.  
Jego partnerka, szczupła, nadmiernie opalona kobieta, popatrzyła paskudnie na intruza.
- Tylko minutkę — dodał Stranahan.  
Doktor Ginger podniósł dwie piłeczki tenisowe.  
— Przepraszam, ale teraz mój serw.  
— Nie, wcale nie — odparł Mick. — Przecież był set. — Obserwował mecz z trybuny dwa korty dalej.
- Gdy Ginger z namysłem odbijał piłkę między stopami, pozostali gracze zebrali swoje klubowe ręczniki z monogramami oraz wykonane z cielej skóry futerały do rakiet i opuścili kort.
- Ten wysoki facet jest moim prawnikiem — oznajmił poważnie George Ginger.
- Każdy lekarz powinien mieć prawnika — stwierdził Mick. — A zwłaszcza chirurdzy.  
Doktor wepchnął piłki tenisowe do kieszeni wilgotnych białych szortów.
- O co chodzi? — zapytał.  
— O Rudy'ego Graveline'a.  
— Słyszałem o nim.  
Będzie zabawnie, pomyślał Stranahan. Uwielbiał, kiedy szli w zaparte.
- Pracował pan dla niego w Durkos Center — przypomniał Gingerowi.  
— Może będzie pan tak uprzejmy i opowie mi o tym?
- George Ginger gestem poprosił Micka, aby za nim poszedł. Wybrał na patio spokojny stolik pod parasolem, niedaleko szatni zawodowców.
- Kim pan jest? — spytał przyciszonym głosem.  
— Z Izby — odparł Stranahan.  
Mniejsza o to, jakiej; doktor Ginger na pewno nie będzie dociekał szczegółów.
- Wytarłszy czoło po raz kolejny, lekarz zaczął:  
— Było nas czterech — Kelly, Greer, Shulman i ja. Graveline był wspólnikiem zarządzającym...  
— Interesy szły dobrze?

— Rozkręcały się coraz lepiej.  
— W takim razie dlaczego zamknęliście firmę?  
— Właściwie nie bardzo wiem do tej pory.  
— Ale słyszał pan plotki?  
— Tak, słyszeliśmy, że były kłopoty z pacjentem. Takie, które mogły za-  
interesować władze stanowe.

— Pacjentem Rudy'ego?

George Ginger kiwnął głową.

— Z tego, co słyszałem, chodziło o młodą kobietę.

— Jak się nazywała?

— Nie mam pojęcia. — Doktor był bardzo marnym kłamcą.

— A jak poważne były to kłopoty? — indagował Stranahan.

— Tego też nie wiem. Domyślaliśmy się jakiegoś cholernie wielkiego  
partactwa, bo niby dlaczego Graveline tak szybko się zwinął?

— Żaden z was nie zadawał pytań?

— Do licha, nie. Już stawałem przed sądem, kolego, i wcale mnie to nie  
ubawiło. Nie mam ochoty znów być ciągany. W każdym razie pewnego  
dnia przyszliśmy do pracy i okazało się, że firma jest pusta. Potem otrzy-  
maliśmy potwierdzone czeki od Rudy'ego z listem, w którym przeproszał za  
kłopoty i życzył powodzenia w dalszej karierze. A jeżeli się pan nie orientu-  
je, mogę poinformować, że znowu prowadzi praktykę w Bal Harbour —  
uwierzy pan? — robiąc pieprzone taśmowe operacje. Tuzin biustów dzien-  
nie.

— Dlaczego się pan z nim nie skontaktował? — zainteresował się Stra-  
nahan.

— Po co? Wspominać stare czasy?

— Ten poświęcony czek musiał być niezły.

— Był niezwykle hojny — przyznał doktor Ginger.

Mick wziął do ręki jedną z grafitowych rakiet tenisowych leniwie szarp-  
nął struny naciągu. Lekarz popatrzył na niego z niepokojem.

— Czy pamięta pan dzień, w którym przysłała policja? — sondował  
Stranahan. — Ten, w którym młoda pacjentka zniknęła z przystanku auto-  
busowego przed kliniką?

— Miałem wtedy wolne.

— Nie o to pytałem.

Mick przyglądał mu się przez kratkę strun.

— Tak, słyszałem o tym — oznajmił niepewnie George Ginger.  
— To było przed odejściem doktora Graveline'a, prawda?  
— Chyba tak.  
— Uważa się pan za bystrego faceta, doktorze Ginger? Proszę nie robić takiej obrażonej miny, pytałem poważnie. — Stranahan położył rakiętę na stoliku.

— Owszem, uważam się za inteligentnego.

— I nie zastanawiał się pan nad zbiegiem okoliczności? Dziewczyna zostaje porwana sprzed waszej kliniki, a parę tygodni później wasz szef zamyka sklepik? Czy to mogła być ta partanina, o której słyszeliście, panowie? Jak pan sądzi?

— Nie widzę związku — odparł kwaśno George Ginger.

Wziął swoją rakiętę ze stołu i ostentacyjnie zamknął ją w torbie.

Stranahan wstał.

— Ale najważniejsze, że w dalszym ciągu ma pan swoje zawodowe uprawnienia, prawda? A teraz, gdzie mogę znaleźć całą resztę?

Doktor Ginger zarzucił sobie ręcznik na szyję gestem prawdziwego zawodowca.

— Kelly przeniósł się do Michigan, Shulman jest w Atlancie, pracuje w jakimś szpitalu. Doktor Greer niestety nie żyje.

— Dokładniej proszę.

— Nie macie tego w swoich aktach? Nie odnotowujecie, kiedy jakiś lekarz umrze?

— Nie zawsze — zablefował Stranahan.

— To było jakieś sześć miesięcy po zamknięciu Durkos Center. Wypadek na polowaniu koło Ocali.

— Kto jeszcze tam był?

— Naprawdę nie mam pojęcia — odparł doktor, wzruszając ramionami. — Obawiam się, że nie znam szczegółów.

— Ciekawe, dlaczego wcale mnie to nie dziwi? — rzekł Mick Stranahan.

System Rudy'ego Graveline'a był genialny w swojej prostocie: podrażnić, namówić, zoperować i pochlebiać.

Na ścianie każdej poczekalni w Whispering Palms wisiało hasło: PRÓŻNOŚĆ JEST PIĘKNA. Podobne maksymy rozmieszczono

w korytarzach i gabinetach. CZY DOSKONAŁOŚĆ JEST CZYMŚ ZŁYM? — była jedną z ulubionych Rudy'ego.

Inna brzmiała: ABY POPRAWIĆ SWOJĄ OSOBOWOŚĆ, POPRAW SWOJĄ TWARZ. Ta z kolei znajdowała się w sanatorium, gdzie pacjenci po operacji przechodzili rekonwalescencję, jeśli nie chcieli pojawiać się wśród ludzi.

Rudy szybko się zorientował, że takie pooperacyjne sanatorium jest nie tylko wspaniałym źródłem dochodów, ale również zapewnia pozytywne oddziaływanie psychologiczne w okresie zdrowienia. Wszyscy, którzy się tu znajdowali, mieli świeże blizny, wskutek czego żaden z pacjentów nie mógł krytycznie wyrażać się o swoich współtowarzyszach.

Reynaldo Flemm w czasie zwiedzania Whispering Palms starał się zapamiętać wszystko najlepiej, jak potrafił.

Udawał egzotycznego tancerza, który chce usunąć skazę z prawego pośladka. Aby się zamaskować, ufarbował sobie włosy na brązowo i zaczesał je do tyłu za pomocą brylantyny.

Były to jedyne zmiany w wyglądzie, jakie był w stanie ścierpieć, w głębi serca bowiem uwielbiał, gdy ludzie gapili się, rozpoznając w nim telewizyjną znakomitość.

Okazało się jednak, że pielęgniarka, która przywitała go w Whispering Palms, prawdopodobnie nigdy nie oglądała *Prosto w twarz* i potraktowała Flemma jak przeciętnego, obiecującego pacjenta.

Pobieżnie pokazawszy mu obiekt, zaprowadziła go do gabinetu, wyłączyła światło i wyświetliła film wideo o cudach chirurgii plastycznej. Potem zainteresowała się, czy ma jakieś pytania.

— Ile będzie kosztował zabieg? — zapytał Reynaldo.

— Wszystko zależy od wielkości myszki.

— Och, jest duża — zapewnił. — Jak oliwka. — Podniósł kciuk i palec wskazujący, aby pokazać rozmiary fikcyjnej narośli.

— Czy mogę zobaczyć? — spytała pielęgniarka.

— Nie!

— Chyba się pan nie wstydzi? — zdziwiła się. — W pańskiej pracy...

— Pokażę ją tylko doktorowi — odparł Flemm. — Nikomu innemu.

— No cóż. Zapiszę pana na wizytę.

— U doktora Graveline'a.

— Ależ panie LeTigre! — uśmiechnęła się.

Reynaldo osobiście wymyślił nazwisko Johnny LeTigre. Wydawało mu się, że idealnie pasuje do tancerza go-go.

— Doktor Graveline nie operuje znamion — wyjaśniła pielęgniarka chłodno. — Może to doskonale zrobić jeden z naszych świetnych chirurgów.

— Doktor Graveline albo nikt — oświadczył stanowczo Flemm. — W końcu chodzi tu o moją karierę tancerza, o całe moje życie.

— Przykro mi, ale doktor Graveline jest nieosiągalny.

— Założę się, że dla dziesięciu kawałków będzie.

Kobieta usiłowała ukryć zdziwienie.

— Zaraz wrócę — rzuciła beztrosko.

Gdy Reynaldo Flemm pozostał sam w pokoju, sprawdził w lustrze, jak wygląda jego przebranie. Potrzebował jedynie konkretnej daty i godziny wizyty u lekarza, a wtedy wróci tu z Williem i kamerą na wielki finał — nie na ulicy, lecz wewnątrz kliniki.

Jeżeli zaś Graveline każe im wyjść, wtedy obaj opuszczą klinikę przez sanatorium z pracującą przez cały czas kamerą. Powinien wyjść bombowy materiał, nawet Christina będzie musiała to przyznać.

Wróciła pielęgniarka i oznajmiła:

— Proszę za mną, panie LeTigre.

— Dokąd?

— Doktor Graveline zgodził się pana przyjąć.

— Teraz? — pisnął Flemm.

— Ma tylko kilka minut.

Reynaldo czuł chłodny dreszcz przerażenia, gdy szedł za pielęgniarką po długim jasnoblękitnym korytarzu. Miał spotkać się z obiektem swojego śledztwa i był całkowicie bezbronny — bez kamery, taśmy, notatek. Jeżeli nie będzie ostrożny, może zarżnąć cały reportaż.

Jedynym czynnikiem działającym na jego korzyść był fakt, że nie miał również scenariusza. Nie wiedziałby, o co pytać, nawet gdyby nadarzyła się taka okazja.

Siostra zostawiła go w obszernym gabinecie, ze wspaniałym widokiem na pokrytą spienionymi białymi grzywami fal północną część zatoki Biscayne.

Do momentu wejścia doktora Reynaldo Flemm właściwie nie zdążył zlustrować pomieszczenia. Przyjrzał się natomiast chirurgowi z bliska, na wypadek gdyby musiał później wskazać go Williemu z furgonetki telewizyjnej. Szczupłej budowy ciała, wzrost średni, jasnobrązowe włosy. Opalony jak golfiarz, ale niezbyt umięśniony. Ogólnie rzecz biorąc, zupełnie nieźle wyglądający facet.

Rudy Gra veline nie tracił czasu.

— Obejrzyjmy sobie pański problemik, panie LeTigre.

— Chwileczkę.

— To tylko myszka.

— Może dla pana — odparł Reynaldo. — Zanim do tego przejdziemy, chciałbym zadać panu kilka pytań. — Przerwał na chwilę, a potem dodał: — Oczywiście na pański temat.

Rudy Graveline usadowił się za biurkiem o lśniącym onyksowym blacie i położył na nim dłonie.

— Proszę zaczynać — zachęcił przyjaźnie.

— W jakiej uczelni medycznej pan studiował?

— W Harvardzie — odrzekł Rudy.

Flemm skinął z aprobatą głową.

— Jak długo prowadzi pan praktykę?

— Szesnaście lat — wyjaśnił doktor Graveline.

— Aha — mruknął Reynaldo.

Nie potrafił wymyślić następnych pytań, co bardzo odpowiadało Rudy'emu. Czasami pacjenci chcieli wiedzieć, na którym był miejscu w swojej klasie (dokładnie na ostatnim) albo czy ma uprawnienia wydane przez Narodową Izbę Chirurgii Plastycznej (nie miał).

Prawdę mówiąc, Rudy z trudem zrobił specjalizację z radiologii i nigdy nie szkolił się w chirurgii plastycznej. Pomimo to prawo nie zabraniało mu twierdzić, że jest to jego specjalność.

Na tym polegało piękno zawodu lekarza — gdy tylko uzyskało się stopień, można było zajmować się absolutnie wszystkim — od chirurgii mózgu po ginekologię. Szpitale mogły się bawić w jakieś sprawdzanie, lecz pacjenci nigdy. A jeżeli w jednej lub kilku specjalnościach doznawało się niepowodzenia (jak w wypadku Rudy'ego), zawsze można było wyjechać z miasta i spróbować czegoś innego.

Wciąż grając na zwłokę, Reynaldo Flemm zapytał:



— W jaki sposób przebiega taka operacja jak moja?  
— Najpierw dokonujemy miejscowego znieczulenia łagodnym środkiem, a potem usuwamy narośl za pomocą małego noża. Jeżeli istnieje potrzeba założenia kilku szwów, wykonujemy je.

— A co z blizną?

— Gwarantuję, że nie będzie żadnej blizny.

— Za dziesięć kawałków to chyba słusznie.

— Nie sądziłem, że striptizerzy zarabiają tyle pieniędzy — zdziwił się Graveline.

— Bo nie zarabiają. Dostałem spadek.

Gdyby Flemm był lepszym obserwatorem, dostrzegłby głodny błysk w oczach doktora.

— Panie LeTigre, mam nadzieję, że nie obrazi się pan za przyjacielską radę profesjonalisty?

— Oczywiście, że nie.

— Chodzi o pański nos. — Rudy wypuścił balon próbny. — Skoro już zadaje sobie pan kłopot i decyduje na operację...

— A co, u diabła, jest złego w moim nosie?

— Jest mniej więcej o dwa numery za duży do pańskiej twarzy. I szczerze mówiąc, pański brzuch też mógłby być mniejszy o parę centymetrów. Po usunięciu myszki można by przeprowadzić odsysanie tłuszczu.

— Żartuje pan?! — oburzył się Reynaldo. — Uważam, że wyglądam dobrze.

— Proszę się nie czuć dotkniętym — uspokajał go Rudy. — Taka jest moja specjalność. Po prostu przypuszczam, że w pańskiej pracy powinno się wyglądać jak najlepiej.

Flemm zaczął wpadać w furję.

— Wyglądam świetnie!

Doktor Graveline oparł łokcie o blat biurka i pochylił się do przodu.

— Z całym szacunkiem, panie LeTigre — rzekł łagodnie. — Ale rzadko decydujemy się spojrzeć na siebie oczyma innych. Taka już jest natura ludzka.

— Usłyszałem już dosyć! — warknął dziennikarz.

— Jeżeli chodzi o pieniądze, wykonam usunięcie myszki i odsysanie tłuszczu za łączną sumę. I dorzucę operację nosa za darmo, dobrze?

- Nie potrzebuję żadnej choleralnej operacji nosa!
- Proszę — powiedział Rudy — niech pan pójdzie do domu i przemyśli moją propozycję. I niech pan krytycznie przyjrzy się swojemu odbiciu w lustrze.
- Odpieprz się pan! — wrzasnął Reynaldo Flemm i energicznym krokiem wyszedł z gabinetu.
- Przecież wielki nochal to nie grzech! — zawołał w ślad za nim doktor Graveline. — Nikt nie urodził się doskonały!

Godzinę później, gdy Rudy umieszczał żelatynową protezę biustu Mentor Model 7000 w lewej piersi przyszej Miss Ekwadoru, wywołano go nagle z bloku operacyjnego do niezwykle pilnego telefonu z Nowego Jorku.

Głos na granicy hysterii, który odezwał się w słuchawce, należał do Maggie Gonzalez.

- Odetchnij głęboko parę razy — poradził doktor.
- Nie. Posłuchaj. Dostałam wiadomość na automatyczną sekretarkę — oznajmiła Maggie. — Automat zgłoszeniowy w moim domu.
- Od kogo?
- Od Stranahana. Tego śledczego.
- Naprawdę? — Rudy Graveline za wszelką cenę starał się zachować spokój. Zawsze był dumny ze swego opanowania.
- Jaka to wiadomość? — zapytał.
- Cztery słowa: „Ten numer nie przejdzie”.

Doktor powtórzył zdanie na głos. Maggie sprawiała wrażenie, jakby nerwy rzuciły ją po całym pokoju.

— Nie wracaj jeszcze przez jakiś czas — polecił. — Przetelegrafuję ci trochę więcej pieniędzy. — Nie mógł myśleć, słysząc w słuchawce jej dyszenie, a musiał koniecznie się zastanowić.

„Ten numer nie przejdzie”. Cholera, brzmi paskudnie. Jak dużo Stranahan wie? Czy blefuje? Rudy Graveline rozważał, czy nie zadzwonić do Chema i nie polecić mu, żeby się pospieszył.

- Co teraz zrobimy? — nalegała Maggie.
- Już się robi — odparł doktor.
- Świetnie.

Maggie nie zapytała, co konkretnie się robi. I, szczerze mówiąc, wołała nie wiedzieć.

Po lunchu Mick Stranahan wpadł do szpitala, ale już drugi dzień z rządu pielęgniarki informowały go, że Tim Gavigan śpi, że miał kolejną złą noc i że nowe lekarstwo wciąż wywołuje u niego gorączkę.

Mick bardzo się chciał dowiedzieć, co jego przyjaciel pamięta o doktorze Rudym Gravelinie. Jak większość dobrych gliniarzy, Timmy nigdy nie zapominał przeprowadzonego przesłuchania i jak większość gliniarzy tylko on mógł odczytać swoje pismo. A akta Barletty pełne były jego hieroglifów.

Po wyjściu ze szpitala Stranahan pojechał prosto do przystani w Key Biscayne. Płynąc łodzią do Osady na Palach, porządkował w myśli wszystkie zdobyte wiadomości.

Vicky Barletta zniknęła i najprawdopodobniej nie żyła. Jej doktor zwinął interes kilka tygodni później i przekupił wspólników, płacąc każdemu pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jeden z nich, doktor Kenneth Greer, nigdy nie zrealizował czeku — tak głosiła informacja na mikrofiszce w banku.

Mniej więcej siedem miesięcy po zamknięciu przez Rudy'ego Graveline'a Durkos Center doktor Greer został zastrzelony w czasie polowania na sarny w lesie Ocala. Biuro szeryfa potraktowało tę śmierć jako wypadek.

Myśliwy, który jakimś cudem pomylił Kennetha Greera z jeleniem, przedstawił się jako T.B.Luckner, zamieszkały 1333 Carter Boulevard w Decatur, w stanie Georgia. Gdyby szeryf w Ocali zadał sobie trud i sprawdził te dane, przekonałby się, że ani taka osoba, ani taki adres nie istnieją.

Pielęgniarka, która brała udział w operacji Victorii Barletty, pojechała do Nowego Jorku, aby sprzedać tę historię producentowi telewizyjnemu.

Niedawno płatny morderca zwany Tonym Węgorzem zjawiał się, aby zabić Micka Stranahana. Tony z nowiuteńką twarzą.

A potem dziennikarze telewizyjni przybyli do Miami, aby sfilmować Micka do specjalnego programu.

Wszystkie ślady prowadziły więc do sprawy porwania sprzed czterech lat. Sprawy, której Stranahan nigdy nie rozwiązał.

Gdy wypłynął łodzią na kanał Biscayne, uciekając przed paskudnymi, krótkimi falami atakującymi od rufy, włączył silnik na pełną moc i skierował się prosto w stronę domu.

Był przyływ i mógł bezpiecznie przejść nad płycznami. A po drodze myślał o Rudym Gravelinie.

Załóżmy, że doktor zabił Vicky. Victorię, nie Vicky, poprawił się w myślach. A jeszcze lepiej po prostu Barlette. Nie powinien traktować tego osobiście.

No więc założmy, że doktor ją zabił, a Greer wiedział o tym albo dowiedział się później. Był jedynym współnikiem, który nie zrealizował czeku. Może oczekiwał więcej albo zamierzał zakablować go władzom? W każdym razie Graveline mógł mieć poważny powód, aby go uciszyć.

A jeżeli z jakiejś przyczyny Rudy Graveline doszedł do wniosku, że Mick Stranahan stanowi podobne zagrożenie, co powstrzymałoby go przed ponownym zabójstwem? Właściwie cała ta sytuacja była dość paradoksalna.

Biorąc pod uwagę wszystkich byłych i aktualnych łobuzów, którzy z radością przyjęliby jego śmierć — bandziorów, handlarzy narkotykami, oszustów i artystów od napadów z bronią w ręku — na ironię losu zakrawał fakt, że najbardziej podejrzanym był jakiś bogaty konował, którego nie widział na oczy.

Im dłużej Mick rozważał tę sprawę i to, czego się dowiedział, tym wredniej się czuł.

Humor poprawił mu się trochę, gdy spostrzegł swoją zaprzyjaźnioną modelkę Tinę wyciągniętą na pomoście. Szczególnie ucieszył się, gdy zobaczył, że jest sama.

## 8.

Stranahan złapał cztery niewielkie lucjany i usmażył je na kolację.

— Richie mnie rzucił — oznajmiła Tina. — Przywiózł mnie do twojego domu i zostawił. Możesz w to uwierzyć?

Mick grzebał w lodówce, udając, że słucha.

— Wolisz cytrynę czy sól czosnkową?

— Jedno i drugie — odparła Tina. — Pokłóciliśmy się i kazał mi się wynosić ze swojej łodzi. A potem odpłynął.

Miała na sobie obszerną koszulkę z nadrukiem Jimmy'ego Buffetta i żurawinowego koloru majteczki bikini. Włosy koloru dojrzałego zboża zaczęła do tyłu w koński ogon, na jej szyi błyszczał amulecik — chyba maleńki złoty delfin.

— Richie trochę handluje koką — wyjaśniła. — I dlatego właśnie się pokłóciliśmy. No cóż, częściowo dlatego.

— Przypilnuj grzanek, żeby się nie spaliły — poprosił Stranahan.

— Dobrze.

— A wiesz, o co jeszcze się pokłóciliśmy? Takie głupstwo, że nie dasz wiary.

Mick siekał paprykę na kuchennym blacie. Był na bosaka, w oberwanych nad kolanami džinsach i rozpiętej na piersi koszuli khaki z krótkimi rękawami. Włosy nie zdążyły mu jeszcze wyschnąć po wyjściu spod prysznic. Ogólnie rzecz biorąc, czuł się już o wiele lepiej.

— Dostałam tę pracę modelki — ciągnęła Tina — i Richiami odbiło.

Tylko dlatego, że, rozumiesz, pozowałabym nago. Na plaży. Nikogo wokół, tylko ja i fotograf.

— Richie powiedział, że nie ma o tym mowy. Na to ja, że nie może mi niczego kazać. Wtedy, wyobraź sobie, wtedy nazwał mnie zdzirą, a ja się odcięłam, że nie ma prawa tak mówić marny handlarz prochami za pięć centów. No to on wyrznął mnie w brzuch i kazał zabierać dupę z łodzi. — Tina westchnęła. — Twój dom był zamknięty.

— Możesz zostać na noc — zaproponował Stranahan całkowicie ojcowskim tonem.

— A co będzie, jak Richie wróci?

— Wtedy nauczymy go dobrych manier.

— Ciągłe jest wściekły o tamten dzień. Ten, gdy ciągnąłeś go po wodzie.

— Grzanki! — przypomniał jej Mick.

— Och tak, przepraszam. — Wyciągnęła blachę z piekarnika.

Przez najbliższe piętnaście minut milczała, ponieważ ryba była znakomita, a ona głodna.

Stranahan znalazł butelkę białego wina i nalał dwa kieliszki. Dopiero wtedy Tina się uśmiechnęła i zapytała:

— Masz jakieś świece?

Spełnił jej prośbę, chociaż do zapadnięcia zmroku była jeszcze godzina. Zapalił dwie grube świece i postawił je na ceratowym obrusie.

— Naprawdę miło — stwierdziła dziewczyna.

— Rzeczywiście.

— Nie znalazłam ani jednej ości — powiedziała, przeżuując z zapałem.

— Fajnie.

— Jesteś żonaty, Mick?

— Rozwiedziony — odparł. — Pięciokrotnie.

— O rany!

— Za każdym razem z mojej winy — dodał.

W jakimś stopniu nawet w to wierzył. Zawsze wszystko przebiegało tak samo: budził się któregoś ranka i nie czuł nic — ani winy, ani zazdrości, ani gniewu. Jedynie coś o wiele gorszego — niedającą się przewyciężyć obojętność. Zupełnie jakby w ciągu jednej nocy jego krew zmieniła się w nowokainę. Patrzył na leżącą obok niego kobietę i nie mógł uwierzyć, że jest

jego żoną, że się z nią ożenił. Czuł się w potrzasku i nie potrafił tego ukryć.

Ostatnim razem, nie licząc fragmentu z udziałem prawników, rozwód przeżywał jakby nieobecny duchem.

— Dużo kombinowałeś z innymi czy co? — zainteresowała się Tina.

— Nie w tym rzecz — rzekł.

— No to w czym? Jesteś przystojnym facetem. Nie wiem, dlaczego dziewczyny miałyby cię rzucać.

Mick nalał im obojgu wina.

— Nie byłem zbyt zabawnym towarzyszem.

— Och, jestem innego zdania — oznajmiła z taką pewnością, że aż go to zaskoczyło.

Jej spojrzenie przesunęło się na wielkie trofeum wiszące na ścianie saloniku.

— Co się stało z Panem Miecznikiem?

— To marlin — wyjaśnił. — Spadł ze ściany i złamał sobie dziób.

— Ta taśma wygląda na dość kleistą, Mick.

— Tak, wiem.

Po kolacji wyszli na pomost, aby popatrzeć na słońce zachodzące za Coconut Grove.

Stranahan przywiązał do żyłki haczyk dwunastkę i przyczepił do niego kawałek mrożonej krewetki na przynętę. W ciągu piętnastu minut złapał pięć zgrabnych czterokolców, które wrzucił do plastikowego wiaderka. Tina jak zaczarowana siedziała po turecku na pomoście i obserwowała pływające w kółko ryby.

Mick zaniósł wędkę do domu, a potem wziął wiaderko.

— Zaraz wrócę.

— Dokąd idziesz?

— Na dół, na pomost łodziowy.

— Mogę iść z tobą?

Wzruszył ramionami.

— Może ci się nie spodobać.

— Dlaczego? — zapytała i ostrożnie zeszła po drewnianych stopniach bliżej wody.

Liza tkwiła w zwykłym miejscu. Stranahan wskazał dłonią tę wielką barakudę i zapytał dziewczynę:

- Widzisz?
- O rany, to rekin?
- Nie.

Sięgnął do wiaderka i schwycił jednego czterokolca. Ostrożnie złożył jego płetwę grzbietową, aby nie pokłuła mu palców.

- Teraz rozumiem — powiedziała Tina.
- Jest jak zwierzę domowe — wyjaśnił Mick.

Cisnął czterokolca do wody i barrakuda pożarła go w jednym zębatym, srebrzystym błysku. Gdy woda się uspokoiła, zobaczyli, że wielka ryba wróciła na swoje miejsce. Tkwiła nieruchomo, jakby w ogóle nie ruszała się stamtąd.

Stranahan beznamiętnie rzucił następnego czterokolca i barrakuda powtórzyła uderzenie.

Tina stała tak blisko, że Mick czuł na nagim ramieniu jej oddech.

— Czy takie ryby jedzą ludzi? — usłyszał. Mógłby ją w tej chwili przytulić.

— Nie — odparł. — Nie jedzą.

— To dobrze.

— Atakują błyszczące obiekty — poinformował. — Dlatego podczas nurkowania nie noś bransoletek.

— Mówisz poważnie?

— Takie rzeczy się zdarzają.

Tym razem wyjął dwie ryby i rzucił je do wody jednocześnie. Barrakuda dopadła je w tym samym ataku.

— Nazywam ją Lizą — oświadczył Mick. — Liza przez „z”.

Tina pokiwała głową, jakby zgadzając się, że imię rzeczywiście jest fajne. Zapytała, czy też może rzucić.

— Jasne. — Stranahan wyjął ostatniego czterokolca z wiaderka i ostrożnie włożył go do ręki dziewczyny. — Rzuć gdziekolwiek.

Tina pochyliła się do przodu i zawołała:

— Liza, tutaj! Masz!

Rybka wylądowała z cichym pluśnięciem i wściekłą ósemką uciekła pod pomost. Barrakuda nawet nie drgnęła. Mick się uśmiechnął. Oszołomiony czterokolec zmykał korkociągiem w stronę dna, szukając schronienia we wnętrzu starej muszli.

— Czy zrobiłam coś nie tak? — zdziwiła się Tina.

— Nie — zaprzeczył Stranahan. — Po prostu nie jest już głodna. To wszystko.



— A może chodziło jej o mnie?  
— Może — przytaknął. Wziął ją za rękę i zaprowadził na górę. W domu zapalił światła i otworzył okiennice po obu stronach, wpuszczając do środka chłodną morską bryzę. Wiatrak na dachu skrzy-  
piał, obracając się coraz szybciej.

Tina usadowiła się na po wygniatanej, wyblakłej sofie.

— Zawsze zastanawiałam się, jak tu jest w nocy — odezwała się.

— Obawiam się, że niezbyt rozrywkowe

— Nie masz telewizora?

— Nie mam — przytaknął.

— Chcesz się kochać?

— To jest jakiś pomysł.

— Już mnie widziałeś nago.

— Nie zapomniałem — odparł. — Rzecz w tym...

— Nie przejmuj się Richiem. A poza tym to i tak dla przyjemności. Potraktujemy to na luzie, dobra?

— Nie robię nic na luzie — powiedział Stranahan. — Na tym polega mój problem.

Bez przerwy się zakochiwał. Bo jak inaczej wytłumaczyć pięć małżeństw i wszystkie z kelnerkami z koktajlbarów?

Tina ściągnęła koszulkę i powiesiła ją na stołku. Potem zgrabnie zsunęła majteczki od bikini i pozostawiła je na podłodze.

— Jak wyglądają białe plamy?

— Jakie białe plamy? — zdziwił się.

— Otóż to! — Zdjęła gumkę przytrzymującą jej koński ogon i potrząsnęła głową, rozrzucając włosy na ramiona. Potem położyła się na sofie i rzekła:

— A teraz popatrz. — Wyciągnęła się i przybrała pozę modelki: lekko uniesiona na jednym łokciu, ze skrzyżowanymi nogami i osłaniając przedramieniem sutki.

— Wyglądasz wspaniale — zapewnił Mick. Był rozbawiony i zarazem trochę zażenowany.

— Na plaży trudno się pozuje — wyjaśniła Tina. Nie uwierzyłbyś, gdzie piasek potrafi się przylepić. Ale jestem zawodowcem.

— Z pewnością.

— Dzięki tobie odzyskałam wiarę w siebie. Chodzi mi o moje piersi. — Popatrzyła na siebie z uznaniem. — Przy pozowaniu wiara w siebie jest najważniejsza — stwierdziła. — Ktoś powie, że masz obwisły tyłek albo

nierówne piersi i już jesteś w emocjonalnym dołku. Byłam strasznie zmarzwiona, zanim mi ich nie zmierzyłeś za pomocą tego przyrządu.

— Cieszę się, że mogłem ci pomóc — odparł Stranahan, próbując wymyślić coś bardziej romantycznego.

— Czy wiesz, że masz nos jak Nick Nolte?

— To wszystko? — zapytał.

Nick Nolte był chyba nową gwiazdą.

— Oczy — dodała Tina. — Twoje oczy przypominają oczy Stinga. Spotkałam go raz na Strandzie.

— Dzięki — rzucił Mick.

O kim, u diabła, ta dziewczyna mówi? Może o którymś zapaśniku z telewizji kablowej?

Nie zmieniając pozy, Tina gestem zaprosiła go, aby usiadł na starej sofie. Gdy to zrobił, ujęła jego dłonie, położyła je na swoich jędrnych nowych piersiach i przytrzymała. Uznał, że komplement będzie zupełnie na miejscu.

— Są idealne — pochwalił, ściskając je lekko.

Dziewczyna gwałtownie wygięła plecy i przewróciła się na wznak. Stranahan trzymał się jej jak alpinista.

— A skoro już jesteśmy przy tym temacie — rzekł — to czy mogłabyś mi podać nazwisko swojego chirurga?

Nawet przed swoim dermatologicznym wypadkiem Chemo prowadził skomplikowane życie. Jego rodzice należeli do sekty religijnej, która wierzyła w bigamię, wegetarianizm, UFO i odmowę płacenia federalnego podatku dochodowego. Oboje zginęli w czasie krwawego dziesięciodniowego oblężenia urzędu pocztowego koło Grand Forks w Dakocie Północnej.

Chemo, który miał wówczas sześć lat, zamieszkał u wuja i ciotki w społeczności Amiszów w północnej Pensylwanii. Był to trudny okres, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że wujostwo nie byli Amiszami, lecz niepraktykującymi prezbiterianami, którzy — poszukiwani za oszustwa pocztowe — uciekli z hrabstwa Bergen w stanie New Jersey.

Wykorzystując swoje ciężko zmalsowane pieniądze, zakupili skromną farmę i jakimś cudem zdołali przeniknąć do hermetycznej struktury

społecznej miasteczka zamieszkanego przez Amiszów. Początkowo była to kolejna przewalanka, chwilowy kamuflaż do czasu, aż władze przestaną ich szukać. Ale w miarę upływu lat ciotka i wuj Chema rzeczywiście się nawrócili. Pokochali prosty, wiejski tryb życia i serdeczną przyjaźń miejscowych ludzi.

Chemo był zdruzgotany ich przemianą. Dorastając coraz bardziej nieawidził tej rodzinnej pułapki, a w rezultacie również Amiszów jako takich.

Proste workowate ubrania i surowe obyczaje przy stole były wystarczająco trudne do zniesienia, a już do szału doprowadzał go zarost. Brody mężczyzn Amiszów nie znały brzytwy i gdy Chemo osiągnął dojrzałość, wuj uparł się, aby siostrzeniec poddał się zwyczajowi.

Ponieważ argumenty religijne nie przemawiały do chłopaka, opiekun odwołał się do motywacji praktycznych: wszyscy zbiegowie muszą korzystać z przebrania, a dobra broda jest najlepszym kamuflażem.

Chemo niechętnie stosował się do tego zalecenia aż do dnia swoich dwudziestych pierwszych urodzin, kiedy to wziął półciężarówkę wuja, podjechał do miejscowego oddziału Banku Chemicznego, sterroryzował kasjera widłami (Amisze nie uznają broni palnej) i wymaszerował z siedmioma dolarami oraz drobnymi. Pierwszą rzeczą, jaką kupił, była jednorazowa maszynka do golenia marki Bic.

„Philadelphia Inquirer” napisał, że był to jedyny napad na bank dokonany przez Amisza w całej historii tej społeczności.

Chema nigdy za to nie aresztowano, ale jego wujostwo zostali zdemaszkowani i odesłani do New Jersey, gdzie stanęli przed sądem i otrzymali wyrok za oszustwo pocztowe. Potem odesłano ich do luksusowego więzienia w północnej Florydzie. Ich farmę zasekwestrowano w imieniu rządu Stanów Zjednoczonych, a następnie zlicytowano.

Gdy Chemo wreszcie uwolnił się od Amiszów, najważniejszym wyzwaniem w jego dorosłym życiu stało się unikanie pracy fizycznej, do której czuł wrodzoną awersję. Najskuteczniejszym sposobem zarobkowania bez wysiłku wydawało mu się przestępstwo, podjął więc próbę. Niestety, natura okrutnie go skrzywdziła. Wzrost ponad dwa metry był idealny dla koszykarza, lecz dla włamywacza stanowił katastrofę. Chemo utkwiał w

pierwszym wypchniętym przez siebie oknie. Potrafił się włamać, ale nie zdołał wejść.

Cztery miesiące w więzieniu hrabstwa miały mu zbyt wolno. Często myślał o wuju i ciotce, wściekając się na czym świat stoi, że nie wykorzystał ich ogromnego doświadczenia. Mogli przecież przekazać mu wiele tajemnic dotyczących przestępstw popełnianych przez ludzi inteligentnych, lecz w swym buntowniczym nieposłuszeństwie nigdy nie zadał sobie trudu, aby ich o to poprosić. A teraz było już za późno.

Ich ostatnia kartka pocztowa z obozu odosobnienia w Eglin kończyła się religijnym wierszykiem oraz rysunkiem przedstawiającym uśmiechniętą twarz. Chemo wiedział, że są straceni na zawsze.

Po odsiedzeniu wyroku za nieudane włamanie przeprowadził się do małego miasteczka niedaleko Scranton i zaczął pracować w miejskim wydziale parków i ośrodków rekreacji. Wkrótce, dzięki lipnemu, ale efektownemu wystąpieniu, udało mu się zdobyć stanowisko zastępcy kierownika wraz z prawem do sekretarki i służbowego samochodu. Chociaż pensja wynosiła zaledwie dwadzieścia tysięcy rocznie, uboczny dochód uzyskiwany z łapówek i gratyfikacji był całkiem solidny.

Jako mistrz wymuszania, Chemo świetnie prosperował, podobnie zresztą jak miasto. Z radością przekonał się, że prywatne i rządowe interesy mają wiele punktów styecznych.

Szczytowym momentem jego magistrackiej kariery była sprytna interpretacja miejscowych przepisów lokalizacyjnych, dzięki czemu na przedmieściach mogły powstać należące do mafii i przez nią zarządzane zakłady produkcji pokarmu dla psów. Stworzono trzysta nowych stanowisk pracy i zaczęto mówić o wybraniu Chema na burmistrza.

Pomysł szalenie mu się spodobał i natychmiast zaczął ściągać nielegalne polityczne składki z przedsiębiorców miejskich. Wkrótce zaprojektowano plakat wyborczy, lecz gdy był już gotów, Chemem rzuciło. Na wielokrotnym powiększeniu jego twarzy wyeksponowano również dwa wrośnięte włosy szpecące czubek jego skądinąd normalnego nosa. Wyglądało to, według nieco przesadnego porównania Chema, „jak dwa pieprzące się kleszcze”.

Polecił zniszczyć wszystkie plakaty, zamówił drugą sesję fotograficzną i pojechał prosto do Scranton na ów nieszczęsny zabieg.

Koszmarny wypadek i wynikające z niego zabójstwo doktora winowajcy położyły kres karierze politycznej Chema. Na zawsze wyrzekł się służby publicznej.

Wynajęli aquasporta i zacumowali go w Sunday-on-the-Bay. Wybrali stolik pod markizą, niedaleko wody. Chemo zamówił piwo imbirowe, a Chloe Simpkins-Stranahan wódkę z tonikiem, podwójną.

— Poczekamy do zmierzchu — oznajmił Chemo.

— Nie ma sprawy. — Chloe piła swojego drinka jak spragniony kojot.

Miała na sobie komiczne białe ubranko marynarskie od Lorda i Taylora — nawet z czapką. Raczej trudno było je uznać za najwłaściwszy strój na łódkę.

— Kiedyś pracowałam w tej knajpie — poinformowała, jakby chcąc w ten sposób podkreślić, jak wiele się w jej życiu zmieniło.

— I tutaj poznała pani Micka? — zapytał Chemo.

— Niestety.

Bar był już pełen uczestników damskiego wieczoru. Oprócz standardowego kompletu wybrylantynowanych latynoskich ogierów w butach z krokodylej skóry znajdował się tu również mniej więcej tuzin jasnowłosych, barczystych matrosów z czarterowanych jachtów. Od dyskotekowych żigolaków różnili się podkoszulkami, sandałami, solidną morską opalenizną oraz tym, że przeważnie pili piwo.

Współzawodnictwo, by zwrócić uwagę dam, było zażarte, ale Chemo zamierzał odpłynąć na długo, zanim wybuchnie jakaś bójka. Poza tym nie przepadał za siedzeniem na zewnątrz, gdzie wszyscy mogli się na niego gapić.

— Jakie ma pan plany? — odezwała się Chloe.

— Im mniej pani wie, tym lepiej.

— Och, proszę mi wybaczyć — rzekła zjadliwie. — Proszę mi wybaczyć panie Jamesie Pieprzony Bondzie.

Zamrugął spokojnie.

Młody pelikan sadowił się na położonym nie opodal palu pirsu i dla Chema było to o wiele bardziej fascynujące niż Chloe Simpkins-Stranahan

w czapeczce marynarskiej w stylu Shirley Temple wsysająca w siebie wódkę. Jego uczucia obrażał fakt, że osoby tak piękne bywają zarazem tak odrażające i przykre. Uważał, że jest to cholernie niesprawiedliwe.

Z drugiej jednak strony Chloe jeszcze nie zażartowała z jego twarzy, może więc mimo wszystko miała jakąś pozytywną cechę.

— Czy to nie będzie zbyt przesadne? — zastanowiła się na głos.

— Co pani uważa za przesadę?

Kobieta z namysłem pomieszała swojego drinka.

— Może powinien go pan dobrze nastraszyć?

— Oczywiście — potwierdził Chemo.

— Ale nie potraktuje go pan za ostro, co?

— O co chodzi, nagle zaczęła się pani o niego martwić?

— Można kogoś nienawidzić, a jednak się o niego martwić.

— Jezu Chryste!

— Niech się pan uspokoi, dobrze? Wcale się nie wycofuję.

Chemo bawił się jednym z niewielu czarnych kosmyków na swojej głowie.

— A jak mąż tłumaczy sobie pani nieobecność? — zapytał.

— Myśli, że jestem na zakupach — odparła.

— Sama?

— Jasne.

Chemo oblizał wargi i rozejrzał się po barze.

— Czy widzi tu pani kogoś znajomego?

Chloe zlustrowała wnętrze i odrzekła:

— Nie. Dłaczę to pana interesuje?

— Po prostu się upewniam. Nie chcę żadnych niespodzianek. Podobnie jak pani.

Zapłacił rachunek, pomógł jej wejść na dziób aquasporta i rzucił cumy. Sprawdził czas. Była piąta piętnaście. Za godzinę zajdzie słońce.

Podał Chloe plastikową mapę zatoki Biscayne z obwiedzionymi czerwonym atramentem stałymi znakami nawigacyjnymi.

— Niech to pani trzyma pod ręką! — zawołał, przekrzykując ryk silnika.

— Na wypadek, gdybym stracił orientację.

Postukała o mapę długimi jak sztylety paznokciami.

— Nie można przegapić tych cholerstw. Sterczą z wody na trzy piętra.

Piętnaście minut później dryfowali z wyłączonym silnikiem po kanale żeglugowym Osady na Palach. Chemo rozplątywał liny kotwiczne, a Chloe Simpkins-Stranahan skarżyła się, że na jej włosach osiada sól.

Kotwica była wielka, zardzewiała i miała zgięty jeden wąs. Wyciągnął ją z przedniego luku i położył na pokładzie. Potem wyjął lornetę z brezentowej torby i zaczął po kolei lustrować domy na palach.

— Który to? — zwrócił się do Chloe.

— Już powiedziałam. Ma na dachu wiatrak.

— Widzę trzy domy z wiatrakami, a więc który z nich? Chciałbym rzucić kotwicę, zanim spłyniemy do pieprzonego Nassau.

Chloe nadeła się i wzięła od niego lornetę. Po dłuższej chwili oświadczyła:

— Hmm, wszystkie wyglądają tak samo.

— Jak to?

Przyznała, że nigdy nie była w domu eksmęża.

— Ale przepływałam tędy motorówką — dodała.

— A skąd pani wie, że to jego dom? — zdziwił się Chemo.

— Bo widziałam Micka. Siedział na zewnątrz i łowił ryby.

— Jak dawno temu?

— Trzy, może cztery miesiące. Co za różnica?

— Czy on wiedział, że jest pani na łodzi?

— No, jasne. Spuścił spodnie. — Podała Chemowi lornetkę i wskazała palcem. — Tamten.

— Jest pani pewna?

— Tak jest, kapitanie Ahab. Jestem.

Chemo przyglądał się budynkowi. Wiatrak obracał się, pod zbiornikiem na wodę stała przycumowana łódź, ale na zewnątrz nie było nikogo widać.

— I co teraz? — odezwała się Chloe.

— Zastanawiam się.

— Wie pan, co bym chciała, żeby mu pan zrobił? To samo, co on mojemu przyjacielowi. Żeby pan przykleił tego skurwysyna.

— Wyrównałyby pani rachunki?

— Mick Stranahan zniszczył człowieka, nie zabijając go — odparła poważnym tonem. — Czy może pan wymyślić coś gorszego?

— No cóż — odparł Chemo, sięgając do brezentowej torby. — Nie

wziął ze sobą kleju. Tylko to. — Wyciągnął pistolet i przykręcił tłumik.

Chloe przelknęła głośno ślinę i złapała się za reling.

No i koniec z jej niewzruszonym spokojem, pomyślał Chemo.

— Niech się pani nie martwi, pani Stranahan, to tylko mój środek pomocniczy. — Położył broń na konsoli sterowniczej. — Na dobrą sprawę potrzebuję wyłącznie tego. — Podniósł pudełko zapalek zabrane z baru i uśmiechnął się.

— Zamierza mu pan spalić dom? Wspaniale! — Oczy Chloe rozblęskły ulgą. — Ale go pan załatwi!

— Idealnie — przytaknął Chemo.

— Ten niebezpieczny wariat zasługuje właśnie na to.

— Słusznie.

Chloe popatrzyła na niego.

— Obiecał mi pan powiedzieć, kim jest naprawdę.

— Nie. Wcale nie obiecywałem.

— Niech mi więc pan przynajmniej wyjaśni, dlaczego to robi.

— Zapłacono mi — poinformował Chemo.

— Kto?

— Nikt, kogo by pani znała.

— Założę się, że jego inna była żona.

— Czy sugerowałem coś takiego?

— No, dobrze. — Chloe wstała i wychylając się za nadburcie, spojrzała na lśniąca zieloną wodę.

Chemo domyślił się, że patrzy na swoje odbicie.

— Czy wziął pan coś do picia? Jakiegoś drinka?

— Nie — odparł. — Żadnych drinków.

Złożyła ręce na piersi, żeby mu pokazać, jak jest tym rozgniewana.

— To znaczy, że mam tu zostać aż do zmroku bez niczego do picia?

— Jeszcze dłużej — sprostował Chemo. — Do północy.

— Ale Mick będzie wówczas spał.

— I o to chodzi, pani Stranahan.

— Ale skąd będzie wiedział, że ma uciec z domu?

Chemo roześmiał się gburowato.

— I kto tu teraz jest specjalistą raketowym?

Kobieta sposepniała. Wydeła wargi i oznajmiła:



— Chwileczkę. Wcale nie chcę, żeby zginął.

— A kto panią o to pyta?

Sposób jej zachowania i patrzenia na Chema zaczął się zmieniać. Sprawiała wrażenie, jakby widziała go po raz pierwszy. Gapiła się na niego, a Chemo tego nie lubił. Podobnie jak nie podobały mu się jej wyszczypane brwi.

— Jest pan zabójcą — oznajmiła z wyrzutem.

Dryblas zamrugał niczym jaszczurka i pociągnął za jeden z płatów skóry na policzku. Jego oczy były okrągłe, wilgotne i nieobecne.

— Jest pan zabójcą — powtórzyła. — I oszukał mnie pan.

— Skoro tak bardzo go pani nienawidzi, jaka to różnica, czy żyje, czy nie?

Oczy kobiety rozbłysły.

— Obchodzi mnie, bo dopóki ten sukinsyn żyje, dostaję od niego co miesiąc czek. A jeżeli zginie, dostanę figę.

Chemo był wstrząśnięty.

— Dostaje pani alimenty? Ale przecież wyszła pani za mąż po raz drugi? Za cholernego księgowego!

— Powiedzmy sobie, że Mick Stranahan nie miał najlepszego prawnika na świecie.

— Chciwa mała — rzucił z oburzeniem Chemo.

— Hej, to sto pięćdziesiąt miesięcznie — zaprotestowała. — Ledwo wystarcza na strzyżenie trawników.

Nie spostrzegła coraz bardziej wrogiego spojrzenia wielkoluda i upierała się dalej.

— Zabicie Micka Stranahana jest wykluczone — oświadczyła. — Podpalenie domu, proszę bardzo, ale nie morderstwo.

— Trudna sprawa — odparł Chemo.

— Słuchaj pan. Nie wiem, kim pan jest...

— Siadać! — burknął dryblas. — I niech pani mówi ciszej, do cholery.

Wiatr się wzmagał i Chemo obawiał się, że odgłosy sprzeczki doleczą po wodzie do domu.

Chloe usiadła, lecz nie zamknęła się.

— Posłuchaj, nie...

— Powiedziałem: cicho!

— Pieprz się, rzepiasta gębo!

Brwi Chema zbiegły się nad nosem, policzki zadrgały. Zapewne również się zaczerwienił, ale trudno było to ustalić. Rzepiasta gęba — a więc jednak. Obraza. Ta wiedźma w końcu nie wytrzymała.

— O co znów chodzi? — zapytała Chloe Simpkins-Stranahan. — Dostałeś pan choroby morskiej?

— Czuję się świetnie — zapewnił Chemo. — Ale pani nie powinna przezywać ludzi.

A potem rzucił jej na kolana ważącą piętnaście kilo kotwicę i patrzył, jak Chloe w swoim jedwabnym marynarskim ubranku fika koziołka do tyłu.

Przerywany strumyk pęcherzyków wskazywał, że klęła go przez całą drogę na dno zatoki.

## 9.

Tina obudziła się w łóżku sama. Owinęła się w prześcieradło i niepewnym krokiem poczłapała do drzwi pogrążonego w ciemności domu. Szukała Micka.

Znalazła go na zewnątrz. Stał przy balustradzie pomostu z rękami na biodrach i obserwował, jak dom Starego Chitwortha rozświetla niebo — potrzaskująca pomarańczowa pochodnia, widoczna z odległości wielu mil. Złudzenie wywołane podmuchami żaru nad powierzchnią wody sprawiało, że dom zdawał się chwiać na swoich drewnianych nogach.

Tina pomyślała, że jest to najbardziej zapierający dech w piersi widok, wspanialszy nawet niż gejzer Old Faithful. W blasku ognia dojrzała twarz Stranahana i dostrzegła w niej niepokój.

— Czy ktoś tam mieszka? — zapytała.

— Nie.

Mick patrzył, jak pada wiatrak Starego Chitwortha. Jego płonące skrzydła wirowały coraz szybciej, aż wreszcie uderzyły z sykiem w wodę.

— Co spowodowało pożar? — zainteresowała się Tina.

— Podpalenie — wyjaśnił rzeczowym tonem. — Słyszałem motorówkę.

— Może to był wypadek — zasugerowała. — Ktoś rzucił niedopałek?

— Benzyna — odparł Stranahan. — Poczujęm zapach.  
— O rany! Ten, do kogo należał dom, musiał mieć poważnych wrogów.  
— Właściciel właśnie skończył osiemdziesiąt trzy lata — wyjaśnił Mick.  
— Leży pod kropłówką w domu starców. Myśli, że jest asem lotniczym z pierwszej wojny światowej, Eddiem Rickenbackerem.

Podmuch wiatru zmusił dziewczynę do poprawienia prześcieradła. Zadygotała i przysunęła się bliżej do Micka.

— To jakiś niegroźny staruszek. W takim razie niczego nie rozumiem.

— Pomylili dom, to wszystko — odrzekł. Zeskoczył z balustrady. — Ktoś spieprzył robotę.

No i koniec z rajem, pomyślał. Koniec ze spokojem i ciszą.

Z drugiej strony zatoki, od Dinner Key, dobiegło wycie syren. Mick nie potrzebował lornetki, aby dostrzec błyskające niebieskie kropki na nadpływających motorówkach policyjnych.

Tina schwyciła go za rękę. Nie mogła oderwać oczu od ognia.

— Mick, czy ty masz takich wrogów?

— Do licha, dziecinko. Ja mam takich p r z y j a c i ó ł.

Do połowy ranka dom Chitwortha wypalił się do samej wody i płomień zgasł. Pozostały jedynie zwęglone czubki pali, sterczące nad powierzchnią. Niektóre z nich jeszcze dymiły.

Tina czytała, siedząc na leżaku, a Stranahan robił pompki, gdy przy pomocy zatrzymała się motorówka patrolu morskiego. Znajdował się w niej Luis Córdova i drugi mężczyzna, którego Mick się nie spodziewał.

— O rany, mamy tu cholernie rzadki widok — powitał ich bardzo głośno. — Dwóch Kubańców w łódce i ani kropli piwa.

Córdova wyszczerzył zęby w uśmiechu. Jego towarzysz wspiął się hałaśliwie na pomost i oznajmił:

— I jeszcze jeden niecodzienny widok: Irlandczyk przedpołudniową porą, w dodatku trzeźwy.

Nowo przybyły nazywał się Al Garcia i był detektywem z wydziału zabójstw w metropolitalnej policji hrabstwa Dade. Marynarkę J.C. Penney

przerzucił przez ramię, a lśniący krawat opuścił do połowy piersi.

Garcia nie był entuzjastą wypraw łodzią i dlatego zachowywał się burkliwie i niespokojnie. Poza tym była jeszcze sprawa zwłok.

— Jakich zwłok? — zapytał Mick.

Ciężko jak borsuk Garcia wspiął się po schodach, a Stranahan i Luis Córdova podążyli za nim gęsiego. Detektyw obrzucił wszystko jednym uważnym spojrzeniem i pomachał uprzejmie ręką siedzącej w leżaku Tinie. A potem obrócił się w lekko w stronę Stranahana i powiedział cicho:

— O rany, otworzyłeś przytułek dla laleczek! Mick, słowo daję, jesteś chyba jakimś cholernym świętym.

Weszli do środka domu i zamknęli za sobą drzwi.

— Opowiedzcie mi o zwłokach — poprosił Stranahan.

— Siadaj. Hej, Luis, napiłbym się kawy.

— Przed chwilą umierałeś na chorobę morską — przypomniał Córdova.

— Już się czuję o wiele lepiej, rozumiesz? — Garcia zrobił teatralny grymas, gdy młody funkcjonariusz patrolu morskiego poszedł do kuchni. — Współpraca międzywydziałowa, oto hasło dnia. Uważam, że kawa to dobry początek.

— Ostrożnie, stary. Luis jest bystry.

— Jasne, że jest. Chciałbym, żeby pracował u nas.

— A teraz o zwłokach — przypomniał Stranahan.

Garcia pomachał mięsistą brunatną łapą w powietrzu, jakby odganiał niewidzialnego gza.

— Mick, co ty, u kurwy nędzy, tutaj robisz? Jakoś nie mogę sobie wyobrazić ciebie w roli Robinsona Crusoe wysysającego mleko z orzechów kokosowych.

— Tutaj jest naprawdę spokojnie.

Luis Córdova przyniósł trzy parujące kubki z kawą. Al Garcia wypił łyk i mlasnął.

— Powiedziałeś „spokojnie”? Jezu, martwi gangsterzy pływają wkoło, nie mówiąc już o płonących domach...

— Czy jesteście w sprawie Tony'ego Węgorza?

— Nie — odparł poważnym tonem Luis.

Garcia odstawił kubek i popatrzył Stranahanowi prosto w oczy.

- Kiedy ostatni raz widziałeś Chloe?  
Mick nagle przestał się czuć tak dobrze.
- Parę miesięcy temu. Była na łodzi z jakimś facetem. Pomyślałem, że to jej nowy mąż. A dlaczego pytacie?
- Pokazałeś jej dupę.
- Dziwicie mi się?
- Usłyszeliśmy o tym dzisiaj rano od jej męża.
- Mick z samozaparciem wysłuchał całej historii. Luis Córdova otworzył kołonotatnik, ale niewiele pisał.
- Stranahan słuchał posępnie i od czasu do czasu spoglądał przez okno w stronę kanału, gdzie, jak twierdził Garcia, wszystko się zdarzyło.
- Zardzewiała kotwica? — zapytał z niedowierzaniem Mick.
- Zaczepiła o ten jedwabny strój, który Chloe miała na sobie — wyjaśnił detektyw. — Poszła na dno jak worek cementu. — Delikatność nie była najsilniejszą stroną Garcii.
- Znalezione ją dzięki linie — dodał Luis. — Jeden z facetów wracających od pożaru zobaczył linę unoszoną prądem.
- No i wyciągnął ją — uzupełnił Garcia. — Jak pułapkę na homary.
- Rany boskie.
- Właściwie nie powinniśmy ci tego wszystkiego opowiadać — stwierdził detektyw.
- Dlaczego?
- Jesteś pierwszym podejrzanym.
- Cholernie śmieszne. — Stranahan spojrzał na Luisa. — Żartuje?
- Młody funkcjonariusz pokręcił głową.
- Mick, twoje akta nie są takie znowu czyste — wyjaśnił Garcia. — Chodzi mi o to, że masz już parę skalpów.
- Ale nie morderstwo.
- Chloe cię nienawidziła — przypomniał mu Al.
- Czy to jest motyw? Nienawidziła mnie?
- A poza tym sprawa forsy.
- Sądzicie, że zabiłem ją dla pieprzonych stu czterdziestu pięciu dolarów miesięcznie?
- Dla zasady — oznajmił Al Garcia, odwijając cygaro. — Myślę, że mógłbyś to zrobić dla zasady.

Mick odchylił się do tyłu ze zmęczonym westchnieniem. Wiadomość o śmierci Chloe wytrąciła go z równowagi, ale przede wszystkim był zaintrygowany. Co, u diabła, robiła tu w nocy?

— Zawsze słyszałem o tobie dobre opinie — stwierdził detektyw. — Przede wszystkim od Tommy'ego Gavigana.

— Tak, o tobie też się dobrze wyrażał.

— A sposób, w jaki Eckert wywalił cię z biura prokuratora, był paskudny.

Stranahan wzruszył ramionami.

— Trudno im zapomnieć, że zastrzeliłem sędziego. Taki drobiazg sprawia, że ludzie stają się nerwowi.

Garcia z wielkim namaszczeniem zapalił cygaro. Potem wypuścił dwa kółka dymu i oświadczył:

— Nie wiem, co to warte, ale Luis wątpi, żebyś ją zamordował.

— Chodzi mi o kotwicę — wyjaśnił Córdova. — Dziwna sprawa. — Starzał się zachowywać szalenie służbowo, jakby fakt, że przyjaźnił się z Mickiem, nie miał żadnego znaczenia.

— Zabójstwo musi być jakoś powiązane z pożarem — zasugerował Stranahan.

— Pożar powstał w wyniku podpalenia — poinformował Luis. — Benzyna i zapalka. Te domy są suche jak pieprz. — Podkreślił swoje słowa, stukając gumowym obcasem buta w sosnową podłogę.

— Sądzę, że powinniście o tym wiedzieć — odezwał się Mick. — Ktoś usiłował mnie zabić.

Garcia uniósł brwi i przesunął cygaro z jednego kącika ust w drugi.

— Kto taki, *chico!* Proszę, ułatw mi robotę.

— Mam wrażenie, że to doktor. Nazywa się Rudy Graveline. Zapisz sobie, Luis, proszę.

— A niby dlaczego ten doktor pragnąłby cię sprzątnąć?

— Nie jestem pewien, Al.

— Ale chcesz, żebym go szczytnął tylko na podstawie twojego wewnętrznego przekonania?

— Nie, chcę, żeby jego nazwisko znalazło się gdzieś w dokumentach. Na wszelki wypadek wolę, żebyście o nim wiedzieli.

Detektyw odwrócił się do Córdova.

— I jak ci się to podoba, do cholery? Na wszelki wypadek, co, Luis? Coś mi się wydaje, że przydałby się panu Stranahanowi wykład na temat brania prawa w swoje ręce.

— Nie bierz prawa w swoje ręce, Mick — przestrzegł Córdova.

— Dziękuję, Luis.

Al Garcia przesunął grubym kciukiem po czarnych wąsach.

— A teraz powiedz mi, po prostu do protokołu, czy nie zaprosiłeś tu uroczej Chloe Simpkins-Stranahan, aby pogodzić się w romantycznej atmosferze przy rybach i winie?

— Nie — odparł Stranahan.

Ryby i wino... Ten pieprzony Garcia musiał wypatrzeć brudne nakrycia.

— I nie wyprawiliście się oboje na przejażdżkę łódką?

— Nie, Al.

— I nie wplątałeś się w pijacką burdę?

— Nie.

— I nie przyczepiłeś jej do kotwicy i nie wyrzuciłeś za burtę?

— Nie.

— Zapisaleś wszystko, Luis?

Córdova kiwnął głową, gryzmołąc w notatniku. Stenografował. Mick był pod wrażeniem.

Garcia wstał i zaczął się kręcić po domu, strasznie tym denerwując Stranahana. Wreszcie przystanął na wprost wypchanego marlina.

— Mick, chyba nie muszę ci mówić, że niektórzy faceci z wydziału zabójstw uważają, że załatwiłeś sędziego Goomera bez najmniejszej prowokacji z jego strony?

— Wiem, Al. Ci sami faceci prowadzili interesy z sędzią.

— Też o tym wiem. Rzecz w tym, że zajmę się sprawą Chloe na całego. Solidniej niż zazwyczaj.

— To nie mógł być wypadek? — zapytał Stranahan.

— Nie — wtrącił się Luis Córdova. — Najmniejszej szansy.

— A więc — oznajmił Al Garcia — rozumiesz, w jakiej jestem sytuacji. Dopóki nie znajdziemy podejrzanego, ty nim jesteś. Mamy dwie wiadomości. Dobrą — brak obciążających cię dowodów rzeczowych. Złą — zeznania manikiurzystki Chloe.



Stranahan jęknął.

— Jezu, opowiadaj.

Garcia podszedł do okna, wysunął rękę na zewnątrz i strząsnął popiół z cygara do wody.

— Chloe robiła sobie wczoraj rano pedikiur — poinformował. — Powiedziała dziewczynie, że wybiera się tu, aby cię urządzić.

— Wspaniale — mruknął Mick.

Rozległo się ciche stukanie do drzwi i weszła Tina, poprawiając sobie ramiączko stanika kostiumu kąpielowego.

Detektyw rozpromienił się, jakby właśnie wygrał na loterii. Posepny dzień nagle się rozjaśnił.

Stranahan wstał.

— Tina, poznaj sierżanta Garcie i posterunkowego Córdovę. Są tutaj w sprawach policyjnych. Al, Luis, a to moje alibi.

— Jak się pani miewa? — rzekł Luis, ściskając dłoń dziewczyny w godny pochwały urzędowy sposób.

Detektyw ponownie zerknął na Stranahana z ukosa.

— Uwielbiam — oznajmił. — Po prostu uwielbiam tę robotę.

Christina Marks usłyszała o śmierci Chloe Simpkins-Stranahan w dzienniku o szóstej. Przyszło jej do głowy, że Mick odplacił się w ten sposób eksztonie za nasłanie na niego telewizji. Myślała o tym z przykrością, ale druga możliwość — że zabójstwo Chloe stanowiło zbieg okoliczności i nie miało nic wspólnego ze Stranahanem czy Victorią Barletta — wydawało się zbyt nieprawdopodobne. Na to Christina nie mogła przystać. Musiała planować, przewidując najgorsze.

Jeżeli Mick okaże się zabójcą, zaczną się kłopoty. Jeśli Chloe wygadała się, że dostała za informację pięćset dolarów z programu Reynalda Flemma, również powstanie problem. Policja będzie chciała dowiedzieć się o wszystkim, następnie zajmą się tym gazety i sprawa Barletty przedwcześnie wyjdzie na jaw.

Poza tym poważny kłopot wiązał się z samym Reynaldem. Christina bez trudu wyobraziła sobie, jak we wstępie do programu wyciska, co się da,

z zabójstwa Chloe: „Historia, którą za chwilę państwo zobaczą, jest tak dramatyczna, że nasz poufny informator, który dostarczył nam danych, został wkrótce potem brutalnie zamordowany...”

„Brutalnie zamordowany” było ulubionym frazesem wypowiedianym przez Flemmę do kamery. Kiedyś Christina zapytała go, czy słyszał, aby ktokolwiek został zamordowany łagodnie, ale nie zrozumiał aluzji.

Czasami, kiedy sprawa szczególnie go podniecała, Reynaldo Flemm próbował samodzielnie pisać scenariusz i rezultaty były komiczne. Zabójstwo ekszony Stranahana stanowiło właśnie taki ładunek dynamitu, który mógł zainspirować muzę Reynalda. Christina postanowiła więc przedsięwziąć kroki zapobiegawcze.

Właśnie sięgała po słuchawkę, gdy rozległ się sygnał telefonu. Była to Maggie Gonzalez, która dzwoniła na koszt odbiorcy skądś z Manhattanu.

— Panno Marks, mam pewien kłopot.

— Szukaliśmy pani — oznajmiła Christina. — Co z pani podróżą do Miami?

— Poleciałam i wróciłam — odparła Maggie. — Wspominałam, że są tam problemy.

— Co więc pani robiła przez kilka ostatnich tygodni, oprócz wydawania naszych pieniędzy? — Christina musiała ją o to zahaczyć. Zaczynała przypuszczać, że Mick miał rację — ta baba robiła ich w konia.

— Hej, przepraszam, że nie odezwałam się wcześniej — powiedziała Maggie. — Bałam się. Bałam się do szaleństwa.

— Myśleliśmy, że pani nie żyje.

— Nie — szepnęła ledwo dosłyszalnie Maggie. Długa chwila ciszy wskazywała, że przeżywa tę ponurą możliwość.

— Nie chce się pani nawet dowiedzieć, jak postępuje praca nad programem? — rzuciła ostrożnie Christina.

— W tym cały kłopot — odrzekła Maggie. — O tym właśnie chciałam z panią rozmawiać.

— Ooo?

A potem, jakby po głębszym zastanowieniu, Maggie zapytała:

— Z kim zrobiliście już wywiady?

— Z nikim — zapewniła Christina. — Najpierw musimy nieźle poszperać.

— Nie mogę uwierzyć, że z nikim jeszcze nie rozmawialiście.

Christina czuła, że Maggie najwyraźniej stara się coś wysondować.

— Pracujemy powoli — wyjaśniła. — To delikatna sprawa.

— Zgadza się — przytaknęła Maggie. — Naprawdę delikatna.

Panna Marks oparła słuchawkę o ramię i wyciągnęła z torebki leżącej na nocnym stoliku notatnik i cienkopis. Maggie mówiła dalej:

— Ta sprawa może się stać przyczyną mojej śmierci, uważam więc, że jest więcej warta niż pięć tysięcy dolarów.

— Ale taka była umowa — przypomniała jej Christina, zapisując całą rozmowę.

— Zawarliśmy ją, zanim zaczęłam znajdować pogróżki w mojej automatycznej sekretarce — oświadczyła Maggie Gonzalez.

— Od kogo?

— Nie wiem — skłamała Maggie. — Głos był jakby doktora Graveline'a.

— Jakiego rodzaju pogróżki?

— No, pogróżki. Z groźbami — odparła ze zniecierpliwieniem Maggie.

— Wystarczające, żeby mnie przerazić jak cholera, rozumie pani? A wy twierdziliście, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

— Nic podobnego.

— Cóż, teraz pięć tysięcy dolarów za tę sprawę już nie wystarcza. Kiedy się wszystko skończy, będę pewnie musiała spakować się i wynieść z Miami. Ma pani pojęcie, ile kosztuje przeprowadzka?

— O co konkretnie chodzi, Maggie? — zapytała Christina Marks.

— O to, że rozmawiałam z szefem 20/20.

Wspaniale, pomyślała Christina. Wspaniale zakończenie wspaniałego dnia.

— Rozmawiałam z kierownikiem produkcji.

— Szczęściara — zapewniła Christina. — Ile zaproponowali?

— Dziesięć.

- Dziesięć tysięcy?
- Tak jest — przytaknęła Maggie. — I dodatkowo miesiąc w Meksyku po emisji programu... Wie pani, zanim sprawa przycichnie.
- Sama to pani wymyśliła, czy wynajęła agenta?
- Co?
- Agent. Każdy świadek morderstwa powinien mieć swojego własnego agenta, nie uważa pani?
- Maggie sprawiała wrażenie zdezorientowanej.
- Uznałam, że dziesięć jest dobrą cyfrą — rzekła. — Oczywiście mogłoby być lepiej.
- Christina Marks miała straszną ochotę dowiedzieć się, jak wiele Maggie zdradziła producentowi *20/20*, ale zamiast zapytać, powiedziała:
- Dziesięć jest dobrą sumą, Maggie. A poza tym nie sądzę, żebyśmy byli w dalszym ciągu zainteresowani tą sprawą.
- W słuchawce zapadła długa cisza, w czasie której Christina usiłowała sobie wyobrazić minę Maggie. Wreszcie usłyszała:
- Co to znaczy „nie jesteśmy zainteresowani”?
- Po prostu sprawa jest za stara, zbyt skomplikowana, zbyt trudna do udowodnienia — wyjaśniła Christina. — Fakt, że czekała pani cztery lata, żeby nas o tym poinformować, podważa całą wiarygodność...
- Chwileczkę...
- A przy okazji, czy w *20/20* nadal badają swoich informatorów wykrywaczem kłamstw?
- Ale Maggie była zbyt sprytna.
- Wracając do pieniędzy — zaczęła. — Czy chce pani powiedzieć, że nawet nie będziecie rozważać kontroferty?
- Dokładnie tak.
- Czy omówiła to pani z panem Flemmem?
- Oczywiście — zblefowała Christina, brnąc na oślep dalej.
- Bardzo dziwne — stwierdziła Maggie Gonzalez. — Ponieważ osobiście rozmawiałam z panem Flemmem mniej więcej dziesięć minut temu.
- Christina opadła na łóżko i zamknęła oczy.

- I co?
- I zaproponował mi piętnaście kawalków, plus sześć tygodni na Hawajach.
- Rozumiem — odparła łamiącym się głosem Christina Marks.
- W każdym razie polecił mi, żebym zaraz zadzwoniła do pani i uzgodniła szczegóły.
- Na przykład jakie?
- Rezerwacje — wyjaśniła Maggie. — Najpierw chyba wybiorę Maui.

## 10.

Jedną z cudownych rzeczy na Florydzie, pomyślał Rudy Graveline żując wielką krewetkę, jest panujący tu klimat niczym nieskrępowanej korupcji. Nie było absolutnie żadnego kłopotu, z którego nie wyciągnęłyby cię pieniądze.

Rudy nauczył się tego wiele lat temu, gdy stanowa izba lekarska po raz pierwszy próbowała zabrać mu uprawnienia. Był to długi, paskudny proces związany z badaniem skarg okaleczonych pacjentów, porównywaniem fotografii „dawniej” i „teraz”, analizowaniem najdrobniejszych szczegółów trzynastu osobnych pozwów o nieprawidłowe leczenie.

Ponieważ w skład izby lekarskiej wchodził przede wszystkim inni lekarze, Rudy Graveline oczekiwał pełnego oczyszczenia z zarzutów — lekarze trzymają się przecież razem jak łajno buta. Ale waga jego błędów chirurgicznych była tak oszłamiająca, że nawet koledzy po fachu nie byli w stanie ich zignorować. Zalecili stałe odsunięcie go od praktyki medycznej.

Rudy wynajął adwokata z Tallahassee i pchnął sprawę do stanowego sądu administracyjnego. Urzędnik występujący w roli sędziego nie był lekarzem, ale jakimś zapyziałym gryzipiórkiem wyciągającym dwadzieścia osiem tysięcy rocznie góra. Pod koniec trzeciego dnia zeznań — niektóre były tak upiorne, że zemdlilo nawet osobistego adwokata Rudy'ego — Graveline zauważył, że prowadzący rozprawę urzędas wsiada do zdezelowanego, starego forda fairmont, aby udać się do domu, żony i czwórki

dzieci. Widok ten podsunął mu pewien pomysł.

Czwartego dnia przeprowadził rozmowę telefoniczną. A piątego pod dom przewodniczącego podstawiono nowiuteńkie volvo combi. Szóstego dnia doktor Rudy Graveline został oczyszczony ze wszystkich stawianych mu zarzutów.

Izba natychmiast przywróciła mu uprawnienia i utajniła materiały przed społeczeństwem oraz prasą. Dała w ten sposób wyraz od dawna wyznawanej przez instytucje medyczne Florydy filozofii, że ostatnią osobą, która powinna wiedzieć o niekompetencji lekarza, jest jego pacjent.

Niezagrożony żadnymi sankcjami i kontrolą swojej własnej grupy zawodowej, doktor Rudy Graveline uznał wszystkie zewnętrzne zagrożenia za problemy, które można załatwić politycznie — to znaczy przekupstwem. Dlatego właśnie odbywał długi lunch z członkiem komisji administracyjnej hrabstwa Dade, Robertem Pepsicalem, i wysłuchiwał jego opowieści o następnych wyborach.

— Dobre krewetki, nie? — zapytał Roberto, wypychając nimi policzki.

— Wspaniale — zgodził się Rudy.

Odsunął koktajlowy talerz na bok i otarł serwetką kąciki ust.

— Bobby, chciałbym dać każdemu z was po dwadzieścia pięć.

— Kawalków? — Roberto Pepsical błysnął garniturem cętkowanych na różowo zębów. — Poważnie? Dwadzieścia pięć tysiaków?

Facet był wieprzem. Pulchnym, o perkatym nosie, obwisłych policzkach i łzawiących oczach wieprzem. Koszmarem chirurga plastycznego. Rudy Graveline nie mógł patrzeć, jak Roberto je.

— Nie tak głośno — upomniał go. — Wiem, co na ten temat mówi ordynacja wyborcza, ale zawsze są sposoby, aby ją ominąć.

— Znakomicie! — rzekł Roberto.

Miał konto na Kajmanach, podobnie jak wszyscy inni jego koledzy, z wyjątkiem Lilian Atwater, która próbowała kombinować z lipnym funduszem powierniczym w Republice Dominikany.

— Najpierw jednak muszę poprosić cię o przysługę — zaczął Rudy.

— Strzelaj.

Doktor pochylił się do przodu, próbując nie zwracać uwagi na aromatyczny oddech Roberta.

— Chodzi o głosowanie w sprawie Old Cypress Towers — oznajmił.

Old Cypress Towers było jedną z wielu nieruchomości i źródeł ulg podatkowych Graveline'a — projektem budowy trzydziestotrzypiętrowego budynku z luksusowymi mieszkaniami, a także nocnym klubem i centrum wypoczynku na dachu. Problem polegał jedynie na tym, że zgodnie z planami urbanistycznymi tereny te przeznaczone były na komunalną strefę rekreacyjną — parki, szkoły, boiska i takie tam gówna. Rudy potrzebował pięciu głosów w komisji hrabstwa, żeby to odkręcić.

— Nie ma sprawy — zapewnił go Roberto. — Pogadam z innymi.

Owymi innymi było czterech członków komisji, którzy zawsze uczestniczyli w lewych interesach Pepsicala. Cały system działał w ten sposób, że każdy z dziewięciu członków komisji miał swoje własne lewe kombinacje i własny zestaw uzgodnionych głosów. Dzięki temu wynik głosowania niezmiennie wynosił pięć do czterech, lecz za każdym razem w innym rozkładzie graczy.

Wszystko to miało na celu całkowite zdezorientowanie dziennikarzy uporczywie próbujących ustalić, którzy członkowie komisji są uczciwi, a którzy nie.

— Jeszcze jedno... — dodał doktor Rudy Graveline.

— Może jeszcze jedno piwko? — wpadł mu w słowa Pepsical, spoglądając na swoją pustą, zapotniałą szklanekę. — Nie masz nic przeciwko temu, że zamówię sobie następną?

— Proszę — odparł Rudy, starając się ukryć obrzydzenie.

— Kraba? — Roberto złapał kolejną smażoną na maśle nogę.

— Nie, dziękuję.

Rudy odczekał, aż grubas wpakuje ją sobie do ust, i powiedział:

— Bobby, chciałbym również, żebyś uważnie słuchał.

— Czego?

— Ktoś, kto dla mnie pracował, groził, że zwróci się do policji, aby mnie urządzić. Próbuje wyciągnąć jedną starą chirurgiczną sprawę.

Pepsical żuł, kiwając głową jak mechaniczna ozdóbka pod tylną szybą samochodu. Rudy uznał, że bardzo go tym rozprasza.



— Słowo daję, cała sprawa jest wyssana z palca — zapewnił. — Niezadowolony pracownik.

— Chłopie, przecież wiem, jak to jest — zachnął się Roberto.

— Ale dla lekarza, Bobby, coś takiego może być katastrofą. Moja opinia, cała egzystencja, rozumiesz. Dlatego muszę wiedzieć, czy gliny mają coś na mnie.

— Porozmawiam osobiście z ich szefem — przyrzekł Pepsical.

— Jeżeli czegokolwiek się dowiesz...

Grubas mrugnął.

— Powęszę trochę.

— Będę ci bardzo wdzięczny — obiecał doktor Graveline. — Nie mogę sobie pozwolić na skandal, Bobby. Po czymś takim musiałbym pewnie wyjechać z miasta.

Członek komisji administracyjnej zmarszczył brwi, widząc oczyma wyobraźni, jak jego dwadzieścia pięć tysięcy odlatuje w siną dal.

— Nie przejmuj się — oznajmił z pełnym przekonaniem. — No, spróbuj smażyć małży.

Gdy Rudy Graveline wrócił do Whispering Palms, Chemo siedział w poczekalni.

— Zrobione — oświadczył.

Doktor szybko poprowadził go do gabinetu.

— Załatwiłeś Stranahana?

— Zeszłej nocy — potwierdził rzeczowo Chemo. — A wiec kiedy zajmujemy się moją twarzą?

Niewiarygodne, pomyślał Rudy. Ten facet jest niesamowity.

— Chodzi ci o zabiegi dermabrazyjne?

— Trafieś pan w dziesiątkę — odparł Chemo. — Zawarliśmy umowę.

Rudy zadzwonił po sekretarkę i poprosił, żeby przyniosła mu dzisiejszego „Heralda”. Gdy dostarczyła gazetę i wyszła, Chemo stwierdził:

— To było tak późno, że pewnie jeszcze nie ma w gazetach.

— Hmm — mruknął Rudy Graveline, przeglądając stronę z lokalnymi wiadomościami. — Być może tak właśnie było. Za późno, żeby na ten temat napisać. Opowiedz mi o wszystkim.

Chemo obliział trupio blade wargi.

— Podpaliłem jego dom. — Najmniejszej zmiany w wyrazie twarzy. — Spał.

— Jesteś pewien?

— Obserwowałem, jak się pali — wyjaśnił Chemo. — Nikt nie wyszedł.

— Skrzyżował długie nogi i popatrzył nieruchomym wzrokiem na doktora. Opadające powieki sprawiały wrażenie, jakby miał za chwilę zasnąć.

Rudy złożył gazetę.

— Wierzę ci — rzekł. — Ale wołałbym się upewnić. Jutro powinni o tym napisać.

Chemo potarł dłonią policzek. Rozległ się odgłos przypominający skrzywienie papieru ściernego. Doktor Graveline miał ochotę poprosić go, żeby przestał.

— A co z telewizją? — zapytał Chemo. — Jeżeli zobaczy pan w telewizji, będzie się liczyło?

— Oczywiście.

— W radiu też?

— Z całą pewnością — odparł Rudy. — Już ci mówiłem, że nie ma sprawy. Nie muszę widzieć trupa, ale powinniśmy się przekonać. To bardzo ważne, bo ten Stranahan jest niebezpieczny.

— Był — poprawił go Chemo.

— Słusznie. Był niebezpieczny.

— Rudy nie wspomniał o groźnym telefonie Stranahana zapisanym w automatycznej sekretarce Maggie Gonzalez. Dla dobra samego Chema lepiej ograniczyć listę wtajemniczonych. Niech się skoncentruje.

— Może już jest o tym w radiu — oświadczył z nadzieją w głosie dryblas.

Rudy nie chciał psuć facetowi nastroju.

— Wiesz co — oznajmił wspaniałomyślnie. — Zaczniemy i zrobimy dzisiaj pierwszy zabieg.

Chemo wyprostował się z błyskiem podniecenia w oku.

— Nie bujasz pan?

— Czemu nie? — rzekł doktor, wstając zza biurka. — Spróbujemy z małym kawałkiem na twojej brodzie.

— A co z nosem? — zapytał Chemo, dotykając tego organu.

Rudy włożył okulary i okrążywszy biurko, podszedł do siedzącego mężczyzny.

Chemo był tak wysoki, że chirurg nie musiał się pochylać, aby spojrzeć z bliska na nierówną, ciastowatą masę, która udawała nos tego szczególnego pacjenta.

— Dość nierówny teren — stwierdził, przyglądając się uważnie. — Lepiej zacząć wolno i ostrożnie.

— Wolałbym szybko i ostro.

Rudy zdjął okulary i stanął z protekcyjną miną. Wyglądał zupełnie jak Marcus Welby.

— Muszę być bardzo ostrożny — oświadczył. — Jesteś wyjątkowym przypadkiem.

— Wspominał pan.

— Użyjemy do zabiegu dermabrazera Strykera...

— Nie obchodzi mnie. Możesz pan nawet posłużyć się pieprzonym Black and Deckerem, byle tylko załatwić sprawę.

— Tkanka blizny jest trudna — upierał się Rudy. — Niektóre skóry lepiej reagują na piaskowanie niż inne. — Dręczyło go wspomnienie tego, co stało się z ostatnim lekarzem, który spieprzył robotę przy twarzy Chema. Dać się zamordować było czymś zdecydowanie gorszym niż pozwanie za błąd w sztuce.

— Po jednym niewielkim kawałku na raz — ostrzegł Chema. — Zaufaj mi.

— Dobra. W takim razie zaczynamy od brody — zgodził się olbrzym, machając bladą dłonią. — W końcu to pan jesteś lekarzem.

Rudy Graveline uwielbiał słyszeć te słowa.

W porównaniu z innymi firmami prawniczymi Kipper Garth pozbył się podstawowego problemu. Założył jedno centralne biuro, nie miał partnerów, współników, żadnych „zewnątrznych doradców”. Jego wydatki wiązały się przede wszystkim z tablicami ogłoszeniowymi, telefonami (dwadzieścia linii!) i oczywiście sekretarkami (nazywał je pomocnikami prawnymi i zatrudniał piętnaście).

Działalność prawnicza Kippera Gartha była na dobrą sprawę wysokiej klasy samograjem. Telefony w jego biurze nigdy nie przestawały dzwonić. Z bardzo prostej przyczyny — ponieważ Kipper sprytnie rozmieścił swoje tablice reklamowe na najbardziej niebezpiecznych skrzyżowaniach południowej Florydy.

W związku z tym następną rzeczą, jaką widziała (po „szczękach życia”) co druga nieznajdująca się w stanie śpiączki ofiara wypadku samochodowego, był wypisany trzycentymetrowymi czerwonymi cyframi i literami numer telefonu Kipperera Gartha: 555—TORT.

Segregowanie napływających spraw zajmowało większość czasu, przekazał więc te zadania swoim sekretarkom, które i tak były lepiej wykwalifikowane niż on, sam zaś oszczędzał energię, wybierając najodpowiedniejszych pełnomocników — adwokatów zajmujących się odszkodowaniami: za uszkodzenia kręgosłupa, szkody ortopedyczne, spowodowanie śmierci oraz utratę członków rodziny.

Chociaż Kipper nie był w stanie ocenić kompetencji swoich kolegów w sali sądowej (ponieważ sam nie pojawił się tam od dziesięciu lat), wiedział, jak wygląda podział po połowie, i odpowiednio dokonywał wyborów.

Stanowiska telefoniczne w jego firmie wyglądały i hałasowały jak w dziale sprzedaży wysyłkowej w Montgomery Ward. Natomiast wewnątrz prywatnego gabinetu wprost przeciwnie — urządzone bogato, w dystyngowanym stylu, sprawiało wrażenie starej biblioteki i było jak ona ciche.

W tymże właśnie gabinecie Mick Stranahan znalazł swojego szwagra ćwiczącego końcowe uderzenia golfowe.

— Oduczyłeś się pukać? — zapytał Kipper Garth, wbijając piłkę do kufła Michelob z odległości trzech metrów.

— Przyszedłem ubić mały interes — oznajmił Stranahan.

— Nie wierzę własnym uszom.

Kipper miał na sobie szare spodnie o europejskim kroju, jedwabną apaszkę w turecki wzór i beżową koszulę z podwiniętymi do łokcia rękawami. Szpakowate włosy ufarbował na siwo, aby wyglądać nobliwie i wzbudzać zaufanie na tablicach ogłoszeniowych.

— Zapomnijmy o sprawie wykluczenia z izby adwokackiej — zaproponował Mick.

Garth zachichotał.

— Trochę za późno, Mick. Już złożyłeś zeznania, nieprawdaż?

— A co powiesz na to, że nie zgodzę się zeznawać jeszcze raz?

Kipper cofnął się od następnej piłki i zapytał:

— Następny raz?

— Przecież w komisji dyscyplinarnej czekają inne skargi, prawda?

— Ale skąd wiesz...

— Prawnicy gadają, Jocko. — Mick wysypał piłki z kufla i potoczył je po dywanie w stronę szwagra. — Mam w mieście jeszcze paru przyjaciół — wyjaśnił. — A dzięki nim dostęp do informacji.

Kipper Garth odstawił kij golfowy do kąta za biurkiem.

— To ja cię pozwalam, pamiętasz? Za coś, co się nazywa zniesławieniem.

— Nie rozśmieszaj mnie.

Prawnik przymrużył oczy.

— Mick, dobrze wiem, dlaczego przyszedłeś. Chloe została zabita i ty jesteś podejrzany. Potrzebujesz adwokata i szukasz obrońcy za friko.

— Powiedziałem, żebyś mnie nie rozśmieszał.

— W takim razie, co jest grane?

— Kto w tej chwili prowadzi u ciebie sprawę o błędy w sztuce lekarskiej?

Kipper Garth zaczął przerzucać kartki terminarza biurowego Rolodex — największego, jaki Stranahan widział. Rozmiarami przypominał brytfannę.

— Jest paru dobrych facetów. A o co chodzi?

— Czy ci twoi faceci mają dostęp do akt stanowych?

— Jakiego rodzaju?

Chryste, co za kretyn, pomyślał Mick i wyjaśnił:

— Dyscyplinarnych. Z izby lekarskiej.

— O rany, nie wiem.

— To skandal.

— Co jest grane, Mick?

— To: jeżeli mi pomożesz, dam ci spokój. Na stałe.

Kipper parsknął.

— I oczekujesz za to mojej wdzięczności? Wybacz, ale mam to w dupie.

Oczywiście, musiało do tego dojść. W tylnej kieszeni Micka leżały zwinęte odpowiednie dokumenty. Wyjął je, rozprostował kantem dłoni i rozłożył jeden po drugim, jak karty pasjansa, na biurku Kipperera Gartha.

— Co, u diabła...? — burknął prawnik.

— Przypatrz się uważnie — oznajmił Stranahan. — Ten jest dowodem

kupna twojego bajeranckiego nowego maserati. A to kserokopia czeku — pięćdziesiąt siedem tysięcy osiemset coś tam. Kupa śmiechu. W każdym razie rachunek, na który ów czek został wypisany, jest rachunkiem funduszu powierniczego twojego klienta, Jocko. Zdaje się, że siedzisz głęboko w szambie. Zapomnij o wykluczeniu z izby, mówmy o malwersacji.

Górna warga Kipperera zaczęła podrygiwać w dziwnym nerwowym tiku.

— Ja to płacam — rzekł ochrypłym głosem.

— I co z tego? — odparł Mick. — A teraz z trochę innej beczki. Tutaj mamy rachunek hotelowy z „Grand Bay” w Coconut Grove. Za ten sam weekend, który rzekomo spędzałeś w Bostonie na konferencji Amerykańskiego Stowarzyszenia Prawników. Nie mój interes, ale nie wyglądasz mi na faceta, który może wypić sam trzy butelki szampana. A w rachunku figurują. — Stranahan wskazał palcem, lecz oczy Gartha były wpatrzone w jakiś odległy punkt, a jego warga dygotała jak u jaszczurki werandowej.

— Ty... Ty draniu — wymamrotał.

— I jeszcze ta kolacja na dwoje, Jocko. O ile dobrze pamiętam, moja siostra tej nocy była z dziećmi u babci. Obiad na dwoje w „Max Place”. Co to było? Pewnie po prostu klient, prawda?

Kipper Garth wziął się w garść i oświadczył:

— W porządku, Mick.

— Rozumiesz sytuację?

— Tak.

— Było łatwiej, niż sądzisz — oznajmił Stranahan. — Widzisz, kiedy człowiek raz był podłączony do informacji, trudno się odłączyć. I kiedy się wie, że coś takiego się dzieje, bardzo łatwo znaleźć, co trzeba. — Mickowi wystarczyło kilka telefonów.

Kipper zaczął zbierać dokumenty, składając je energicznie.

— Czego się bardziej boisz, Jocko, Izby Adwokackiej Stanu Floryda, aresztu czy też kosztownego rozwodu?

— Czy twoja poprzednia propozycja była serio? — zapytał ze zmęczeniem szwagier. — Na temat wykluczenia i tak dalej?

— Pytasz, ponieważ zdajesz sobie sprawę, że wcale nie muszę wchodzić z tobą w żadne układy, prawda? Może masz rację, może powinieneś mi wyświadczyć przysługę za darmo. Ale trzeba być uczciwym i należy ci się

coś w zamian. A więc tak, dam ci spokój. Tak, jak obiecałem.

— W takim razie pogadam z moimi facetami, żeby wyciągnęli te cholerne akta stanowe. Podaj mi nazwisko.

— Graveline — wymienił Stranahan. — Doktor Rudy Graveline.

Kipper Garth skrzywił się.

— Jezu, słyszałem to nazwisko. Chyba jest w moim jachtklubie. Mick Stranahan klasnął w dłonie.

— Ju hu hu! — zawołał.

Później, kiedy jechali na spotkanie z jej chirurgiem plastycznym, Tina zapytała Micka:

— Dlaczego nie kochałeś się ze mną ubiegłej nocy?

— Sądziłem, że dobrze się bawisz.

— Było cudownie, ale dlaczego przestałeś?

— Ponieważ mam koszmarne zwyczaj zakochiwania się.

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy.

— Po jednej nocy?

— Słowo daję. Wszystkim pięciu kobietom, z którymi się ożeniłem, oświadczyłem się pierwszej spędzonej z nimi nocy.

— Przed czy po?

— Po — odparł. — Zupełnie jak choroba. A najkoszmarniejsze z tego jest to, że zawsze mówią „tak”.

— Ale nie ja.

— Nie mogłem ryzykować.

— Jesteś świr — stwierdziła Tina. — Czy to znaczy, że nigdy tego nie zrobimy?

Stranahan westchnął. Czuł się stary i zużyty. Jego była żona została zamordowana, jakiś dupek doktor próbuje go zabić, ekipa telewizyjna myszkuje wokół jego domu — a tu jeszcze dziewczyna dopytuje, jak to będzie z ich przespaniem się, chce wyznaczenia dnia i godziny. Dlaczego nie wierzy w to, co mówił o poprzednich?

Zatrzymał się przy samoobsługowej stacji benzynowej Sheila i napełnił trzy plastikowe pojemniki Farm Stores zwykłą bezołowiową. Gdy poszedł zapłacić, nikt go nawet o nic nie zapytał. Wstawił pojemniki do bagażnika imperiala i przykrył je szmatami.

Kiedy wsiadł z powrotem do samochodu, Tina spojrzała na niego.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Masz chłopaka — rzekł, żałując, że nie może wymyślić czegoś lepszego, bardziej oryginalnego..

— Richie? To historia — oznajmiła. — *No problema.*

Mick nigdy nie mógł wyjść z podziwu, z jaką łatwością dziewczyny potrafią opróżniać miejsca zajmowane przez swoich dotychczasowych przyjaciół. Pstryk palcami i już ich nie było.

— A więc — dociekała Tina — jak będzie z dzisiejszą nocą?

— Może jednak zadzwonię do ciebie, gdy sytuacja trochę się unormuje.

— Taaak — mruknęła Tina. — Jasne.

Stranahan ucieszył się, gdy dotarli wreszcie do gabinetu chirurga. Mieścił się w Coral Gables w dwupiętrowym, starym, ale zmodernizowanym budynku, otynkowanym w kolorze brzoskwini.

Chirurg plastyczny nazywał się Dicer. Craig E. Dicer, miły, młody człowiek, zbyt miły, aby tak od razu powiedzieć coś złego na temat Rudy'ego Graveline'a.

Mick pokazał mu odznakę i spróbował jeszcze raz. Doktor przyjrzał się uważnie złotej odznace funkcjonariusza dochodzeniowego prokuratury stanowej, zanim zapytał:

— Czy to będzie poza protokołem?

— Oczywiście — zapewnił Stranahan, zastanawiając się, gdzie ci faceci nauczyli się mówić w ten sposób.

— Graveline jest rzeźnikiem — oświadczył doktor Dicer. — Konowałem. Każdy z branży w tym mieście musiał przy takiej czy innej okazji naprawiać jego partaninę. Na szczęście teraz rzadko przeprowadza operacje samodzielnie. Zmądrzał i wynajął grupę młodych talentów, wszystkich z odpowiednimi świadectwami. Ta jego cholerna klinika to prawie fabryka.

— *Whispering Palms?*

— Widział ją pan? — spytał Dicer.

Mick odparł, że nie, ale zrobi to w najbliższym czasie. Następnie powiedział:

— Skoro wszyscy w Miami wiedzą, że Graveline jest rzeźnikiem, skąd bierze pacjentów?

— Do diabła, człowieku, pacjenci o tym nie wiedzą — wyjaśnił ze zjadliwą ironią chirurg. — Myśli pan, że kiedy jakaś gospodyni domowa



zechce sobie powiększyć cycki, to jedzie do sądu i sprawdza pozwy? Wykluczone! Graveline ma doskonałą opinię, bo dysponuje powiązaniem towarzyskim. Robił podbródek siostrzenicy burmistrza, wiem o tym na pewno. A stary kongresman Carberry? Graveline korygował powieki jego przyjaciółce. Albo ktoś w Whispering Palms. Zasluga w każdym razie zawsze przypisywana jest Rudy'emu.

Tina, która od wyjścia z samochodu niewiele mówiła, wtrąciła się wreszcie:

— Porozmawiaj z aktorkami i modelkami. Whispering Palms uchodzi za największy sztyk.

— Jezuu! — jęknął Stranahan.

— Czy mógłby mi pan zdradzić, dlaczego się nim interesuje? — odezwał się doktor Dicer.

— Przypuszczam, że raczej wolałby pan tego wiedzieć.

— Chyba nie.

— Ale ja chcę — oznajmiła Tina.

Stranahan udał, że jej nie dosłyszał, i zwrócił się do chirurga:

— Jeszcze jedno pytanie i pozwolimy panu wrócić do pracy. Jest całkowicie hipotetyczne.

Doktor Dicer skinął głową i skrzyżował ręce na piersi, robiąc niezmiernie naukową minę.

— Czy można kogoś zabić w czasie przeróbki nosa?

Zamiast odpowiedzieć, Dicer wziął wykonany z różowego neoprenu przekrój ludzkiej głowy, brązowy młotek Crane'a i małe dłutko Cottle'a. A potem dokładnie pokazał, jak można kogoś zabić, wykonując operację plastyczną nosa.

Gdy Chemo dotarł do „Wesołego Bidetu”, punkowa kapela o nazwie „Dusiele Kurcząt” kończyła właśnie wyżymanie przepoconych slipów do szklaneczek koktajlowych i picie zawartości.

— Spóźniłeś się — zauważył Freddie, szef Chema. — Mieliśmy już trzy bójki.

— Kłopoty z samochodem — odparł Chemo. — Przewód chłodnicy. — Nie były to przeprosiny, lecz stwierdzenie faktu.

Freddie wskazał mały opatrunek i zapytał:

— Co ci się stało w brodzie?

— Wyskoczył mi syfek — wyjaśnił Chemo.  
— Syfek, a to dobre!  
— Chciałeś coś powiedzieć?  
— Nie, nic — zapewnił szybko Freddie. Zupełnie nic. — Przy Chemie musiał uważać z żartami. Przez tego faceta zrobił się nerwowy jak ratlerek. Cholerny dwumetrowy truposz. Inne kluby dałyby wszystko za takiego bramkarza.

— Masz, dostałeś wiadomość — oświadczył Freddie.

Chemo podziękował, wyszedł na ulicę do automatu i zadzwonił na pager doktora Graveline'a. Po usłyszeniu sygnału wybrał numer automatu, z którego dzwonił, odwiesił słuchawkę i zaczął czekać.

Nawet z tak dużej odległości słyszał, że rozgrzewa się następna grupa. Chyba „Kroczone Rakiety”. Ich największym hitem był *Miłośnik smarowania*. Chemo uznał, że już słyszał coś podobnego.

Zadzwonił telefon. Dryblas odczekał do trzeciego sygnału, zanim podniósł słuchawkę.

— Mam kłopot — oznajmił Rudy Graveline ochryplym głosem. Był straszliwie przerażony.

— Nie chcesz mnie pan zapytać o moją brodę?

— Nie.

— No cóż, szczypie jak diabli.

— Uprzedzałem, że tak będzie.

— Jak długo powinienem nosić ten opatrunek?

— Aż się zaczniesz goić, na litość boską! Posłuchaj, mam poważny problem i jeżeli go nie rozwiążesz, jedynym człowiekiem, który zainteresuje się twoją cerą, będzie cholerny grabarz. Dwa centymetry kwadratowe idealnej brody i może już myślisz, że wyglądasz czarująco? No to teraz pomyśl sobie o otwartej trumnie. Jak ci się podoba?

Chemo z roztargnieniem dotknął bandaża.

— Dlaczego jesteś, doktorku, taki przejęty?

— Mick Stranahan żyje.

Ta dziwka w marynarskim ubranku pomyliła domy, pomyślał Chemo.

— A przy okazji — dodał rozgniewanym tonem Graveline — chciałbym ci podziękować za to, że nie opowiedziałeś mi, jak utopiłeś żonę tego faceta

na samym środku zatoki Biscayne. Opierając się na tym, co usłyszałem w telewizji, zakładam, że to byłeś ty. Rozpoznałem twoje subtelne podejście.

Przez dłuższą chwilę Chemo milczał, aż wreszcie Rudy odezwał się:

— No i co?

— Czy nie słyhać gdzieś tam syreny? — zainteresował się Chemo.

— Owszem — oznajmił wyniośle Rudy. — Właśnie wyje syrena. A teraz może zechcesz zapytać, skąd wiem, że Stranahan wciąż żyje?

— No dobrze. Skąd wiesz, doktorku?

— Ponieważ — odparł Graveline — ten skurwysyn dopiero co wysadził w powietrze mojego jaguara.

## 11.

Christina Marks zastukała dwukrotnie, a ponieważ nikt nie odpowiadał, weszła do środka. Mężczyzna na szpitalnym łóżku miał na twarzy maskę tlenową i wyglądał jak dziecko. Koldra okrywała go do samej szyi, jego twarz była plamiasta i zapadnięta. Gdy Christina podeszła bliżej, niebieskie oczy mężczyzny otworzyły się powoli. Pomachał do niej ręką, a gdy zdjął maskę tlenową, zobaczyła, że się uśmiecha.

- Detektyw Gavigan?
- We własnej osobie.
- Jestem Christina Marks.

Powiedziała mu, po co przyszła i czego chce. Gdy wymieniła nazwisko Vicky Barletty, Timmy Gavigan wykonał ruch, jakby zapinał usta na zamek błyskawiczny.

- O co chodzi? — zapytała Christina.
- Sprawa jest wciąż otwarta, proszę pani. Nie mogę o niej mówić. — Timmy Gavigan mówił głuchym głosem, sprawiającym wrażenie, jakby wydobywał się z trudem z martwych płuc. — Obowiązują nas przepisy dotyczące kontaktów z mediami — wyjaśnił.
- Czy zna pan Micka Stranahana?
- Oczywiście, że go znam. Niedawno mnie odwiedził.
- W tej sprawie?
- Mick jest w moim albumie z wycinkami — odparł Gavigan, odwracając wzrok.

— Ma pewne kłopoty — poinformowała go.

— Chyba ten głupi sukinsyn nie ożenił się po raz kolejny?

Christina wyjaśniła, że nie o takie kłopoty chodzi. Tym razem wiążą się ze sprawą Barletty.

— Mick jest już dużym chłopcem — oznajmił Timmy. — Uważam, że da sobie z nimi radę. — Znowu się uśmiechnął. — Kochanie, alez jesteś ładna.

— Dziękuję.

— Nie uwierzysz, lecz sześć miesięcy temu natychmiast próbowałbym cię namówić na bara-bara. A teraz nawet nie mogę wstać, żeby się wysiusiać. Cudowna kobieta przychodzi do mojego pokoju, a ja nie jestem w stanie unieść głowy, że nie wspomnę już o czymś innym.

— Przykro mi.

— Wiem, co sobie myślisz. Umierający facet może powiedzieć wszystko. Ale słowo daję, jesteś zupełnie wyjątkowa. Mam wysokie wymagania, zawsze miałem. Do licha, mogę być umierający, lecz nie jestem ślepy.

Christina roześmiała się cicho.

Timmy sięgnął po maskę tlenową, zaczerpnął kilka oddechów i odłożył ją na bok.

— Podaj mi rękę — poprosił Christinę. — Nie bój się. Nie złapiesz ode mnie tego, na co jestem chory.

Jego skóra była chłodna i pergaminowa. Christina uściśnęła ją lekko i próbowała cofnąć dłoń, ale Timmy jej nie puszczał. Zauważyła, że jego oczy błyszczą zżywieniem.

— Czytałaś akta?

Skinęła głową.

— Odbierałem zeznania od tego lekarza, Rudy'ego jakiegoś tam.

— Tak, czytałam — powtórzyła Christina.

— Pomóż mi sobie przypomnieć — zwrócił się do niej Timmy. Przy-mrużył oczy, starając się skupić myśli.

— Co, u diabła, takiego powiedział?

— Że był to zwykły zabieg, nic szczególnego.

— Tak, teraz sobie przypominam — oznajmił Gavigan. — Był taki cholernie rzeczowy. Oświadczył, że wykonał pięć tysięcy korektur nosa i ta niczym nie różniła się od innych. A ja mu na to, że może jednak była odmienna, ponieważ jego pacjentka zniknęła, jakby zapadła się pod ziemię.

Stwierdził wówczas, że kiedy widział ją po raz ostatni, była w porządku. Wyszła z gabinetu o własnych siłach. A ja, że tak, owszem, i wlaźła prosto w pierdoloną strefę zmierzchu. Przepraszam za moją francuszczyznę.

— Ma pan dobrą pamięć.

— Szkoda, że nie mogę nią oddychać. — Timmy Gavigan ponownie sięgnął po tlen. — Faktem jest, że nie było powodu przypuszczać, iż doktor jest zamieszany w tę sprawę. A poza tym pielęgniarka potwierdziła jego słowa. Jak się, u diabła, nazywał?

— Graveline.

Timmy kiwnął głową.

— Zrobił na mnie wrażenie małego dupka. Szkoda, że nie można zamykać z tego powodu. — Zakaszła albo może się roześmiała. — Czy wspominałem, że umieram?

Christina przyznała, że tak, wie o tym.

— Mówiłaś, że jesteś dziennikarką z telewizji?

— Nie, tylko kierownikiem produkcji.

— No cóż, jesteś wystarczająco ładna, aby występować w telewizji.

— Dziękuję.

— Niewiele ci pomogłem. Faszują mnie morfiną. Ale staram się sobie przypomnieć, czy jest coś, co pominąłem.

— Oczywiście, bardzo mi pan pomógł.

Widziała wyraźnie, że każdy oddech jest dla Gavigana męką.

— Uważasz, że to zrobił doktor, prawda? — zapytał. — Wiesz co, to nowe podejście, niech je sobie przemyślę.

— To tylko teoria.

Timmy Gavigan poruszył się pod kołdrą i odwrócił lekko głowę w jej stronę.

— Czy w aktach jest, że ma brata?

— Nie — odparła Christina. — Nie ma żadnych danych o bracie.

— Możliwe. Wtedy wydawało się to nieistotne. W końcu lekarz nawet nie był podejrzanym.

— Rozumiem.

— Ale ma brata. Rozmawiałem z nim jakieś dziesięć minut. Nie warto

było spisywać. — Timmy wskazał na kubek z wodą i Christina przytknęła mu go do ust.

— Jezu, ależ muszę wyglądać — westchnął. — W każdym razie dlaczego wspominam o bracie? Założmy, że doktor wykończył Vicky. Nie wiem, z jakiego powodu, lecz założmy, że tak. Co zrobił z ciałem? Oto jest problem. Cholernie trudno pozbyć się ciała. Jimmy Hoffa był tu wyjątkiem.

— Co mógł zrobić brat doktora?

Gavigan uśmiechnął się i jego policzki zaróżowiły się lekko.

— O to właśnie chodzi, kochanie. Brat zajmuje się stryżeniem drzew.

Zdziwiona Christina próbowała zrobić wrażenie uszczęśliwionej informacją, lecz niezbyt się jej udało.

— Chyba nie wiesz zbyt dużo o stryżeniu drzew, prawda? — Timmy zaczął się z nią drażnić. A potem ponownie łyknął tlenu.

— Dlaczego poszedł pan rozmawiać z bratem doktora? — zainteresowała się.

— Wcale nie poszedłem. Nie musiałem. Spotkałem go przed kliniką... Zapomniałem tej cholernej nazwy.

— Durkos Medical Center.

— Chyba tak. — Timmy przerwał i podniósł rękę do gardła.

Gdy ból zelżał, kontynuował:

— Zobaczyłem, że przed kliniką facet obrzyna drzewa oliwkowe.

Zapytałem go, czy był tu również w dniu zniknięcia Vicky i czy widział coś niezwykłego. Oczywiście powiedział, że nie. Później zapytałem go, jak się nazywa, a on odparł, że George Graveline.

Jak zwykle byłem genialny i zainteresowałem się, czy jest krewnym doktora. A on na to, że tak, jest jego bratem.

— George Graveline. — Christina zapisała nazwisko.

Timmy uniósł głowę i spojrzał na notes.

— Pamiętaj, zapisz, że strzyże drzewa.

— Proszę, mi powiedzieć, jakie to ma znaczenie.

— Nie. Zapytaj Micka.

— Dlaczego pan uważa, że się z nim spotkam?

— Szalony domysł.

Timmy Gavigan dodał coś jeszcze, czego Christina Marks nie dosłyszała. Pochyliła się nad nim i poprosiła szeptem o powtórzenie. Powtórzył:

— Mówiłem, że jesteś naprawdę piękna.  
Mrugnął do niej i powoli zamknął oczy.  
— Dziękuję, że trzymałaś mnie za rękę — rzekł.  
A potem umarł.

Za każdym razem, gdy w hrabstwie Dade zdarzył się zamach bombowy, ktoś w centrali wzywał na pomoc sierżanta Ala Garcię. Przede wszystkim dlatego, że Garcia był Kubańczykiem, automatycznie zakładano, iż każdy zamach bombowy musi być w jakiś sposób związany z emigranckimi politykami.

Sierżant wydawał polecenia, aby nie zwracano mu głowy takimi sprawami, chyba że ktoś rzeczywiście zginął, ponieważ denata zwyczajowo uważano za dość istotny element dochodzenia w sprawie zabójstwa.

Wysyłał również obszernie notatki służbowe, w których starał się wyjaśnić, że Kubańczycy nie są jedynymi usiłującymi wysadzić się nawzajem w powietrze osobnikami w południowej Florydzie, i wymieniał wszystkie gangsterskie, mafijne i inne niekubańskie zamachy bombowe z ostatnich dziesięciu lat. Nikt w centrali nie zwracał jednak uwagi na jego błagania i wzywano go przy każdej, nawet najbardziej gównianej eksplozji.

Tak się również stało, gdy wyleciał w powietrze czarny jaguar doktora Rudy'ego Graveline'a. Garcia już miał zamiar powiedzieć dyspozytorowi, aby się odpieprzył, gdy usłyszał nazwisko uszkodzonego. Zjawił się więc w Whispering Palms dokładnie piętnaście minut po wozach strażackich.

A zdarzyło się, co następuje:

Rudy pojechał na lotnisko odebrać pewną potencjalnie ważną pacjentkę, która pewnego ranka obudziła się w swej rezydencji w Bel Air, spojrzała na swoje nagie odbicie w lustrze i wybuchnęła płaczem.

Zdobyła nazwisko doktora Graveline'a od przyjaciółki czyściciela basenu u Pernella Robertsa i zadzwoniła, aby oznajmić chirurgowi, że leci do Miami na niezwykle pilną konsultację.

Sława i bogactwo aktorki (które zawdzięczała przede wszystkim wyjątkowo paskudnemu rozwodowi z jednym z Dodgersów z Los Angeles) sprawiły, że Rudy zgodził się wyjechać po nią na lotnisko i osobiście oprowadzić po Whispering Palms.



Parkując na drugiego przed terminalem Pan-Amu, po raz pierwszy zauważył zatrzymującego się za nim starego, poobijanego chryslera, którego kufer wystawał na jezdnię. Ponownie spostrzegł ten sam samochód, wracając do kliniki.

Aktorka plotła o dowcipie, który kiedyś zrobiła Richardowi Chamberlainowi, gdy kręcili jakiś miniseriał, a tymczasem doktor z niepokojem zerkał w lusterko, bo imperial siedział mu wciąż na tylnym zderzaku.

Samochód zniknął gdzieś na Alton Road i Rudy przestał o nim myśleć do chwili, w której wraz z przyszlą pacjentką wyszedł z kliniki Whispering Palms.

Graveline trzymał ją przyjaźnie pod łokieć, ona zaś niosła cały plik broszurek w lakierowanych okładkach. Imperial był zaparkowany dokładnie naprzeciwko specjalnie zarezerwowanego miejsca Rudy'ego. Za kierownicą siedział ten sam wielki facet.

Aktorka nie zorientowała się, że coś jest nie tak, aż do momentu, gdy nieznajomy wysiadł z chryslera i gwizdnął na taksówkę, zaparkowaną blisko pod wielkim fikusem w północnej części parkingu.

Kiedy taksówka podjechała, mężczyzna z imperiala otworzył tylne drzwi, kazał gwiazdce wejść do środka i polecił kierowcy, aby zawiózł ją prosto do hotelu.

Odpowiedziała z oburzeniem, że nie zatrzymała się w żadnym hotelu. Wynajęła willę na Golden Beach, w której mieszkał kiedyś Eric Clapton. Wielki facet odparł, że dobrze się składa, bo taksówkarz zna drogę. Wreszcie wsiadła, taksówka ruszyła i nieznajomy znalazł się na parkingu sam na sam z Rudym Graveline'em.

Gdy się przedstawił, Rudy bardzo się starał nie okazać przerażenia. Mick Stranahan oznajmił, że nie wie dokładnie, dlaczego doktor Graveline próbował go zabić, ale ogólnie rzecz biorąc, był to bardzo kiepski pomysł. Rudy zapewnił, że nie ma pojęcia, o czym tamten mówi.

Następnie Mick Stranahan przeszedł przez parking, wsiadł do swojego chryslera, przekręcił kluczyk w stacyjce, położył orzech kokosowy na pedale gazu, wysiadł z samochodu, sięgnął przez okienko i włączył automatyczną skrzynię biegów. A potem odskoczył w bok i obserwował, jak imperial wbija się prosto w kufer czarnego jaguara doktora Rudy'ego Graveline'a.

Uderzenie, plus trzy pojemniki z benzyną, które Mick umieścił w bagażniku jaguara, spowodowały, że limuzyna eksplodowała w niezwykle widowiskowy sposób.

Gdy Rudy przekazywał te historie sierżantowi detektywowi Alowi Garcia, pominął milczeniem dwa szczegóły: nazwisko sprawcy i powód.

— Nie powiedział, dlaczego? — zdziwił się sierżant, wysoko unosząc brwi.

— Ani słowa — skłamał Graveline. — Po prostu zniszczył mój samochód i odszedł. Ten człowiek był niewątpliwie szalony.

Garcia mruknął i skrzyżował ręce na piersi. Z jaguara pokrytego przez strażaków pianą w dalszym ciągu unosił się dym.

Rudy udawał niepokieszonego z powodu utraty samochodu, ale Garcia wiedział, jak wygląda prawda. Jedyнным powodem, dla którego ten dupek w ogóle pofatygował się wezwać policję, było towarzystwo ubezpieczeniowe.

— Nie zna pan faceta, który to zrobił? — spytał detektyw.

— Nigdy go nie widziałem.

— Nie o to pytałem.

— Sierżancie, o co panu chodzi? — oburzył się Rudy.

Garcia miał straszliwą ochotę zapytać chirurga, czy to prawda, że usiłował sprzątnąć Micka Stranahana. Pytanie było zabawne, takie, jakie sierżant uwielbiał zadawać, lecz uznał, że jeszcze nie nadszedł właściwy moment. W tej chwili życzył sobie, aby Rudy Graveline uważał go za wielkiego, głupiego gliniarza, który w niczym mu nie zagraża.

— Całkowicie przypadkowy atak — oświadczył z namysłem.

— Na to wygląda — przytaknął Rudy.

— I mówi pan, że był niski i żylasty?

— Tak.

— Jakiego wzrostu?

— Poniżej metra sześćdziesięciu — określił Rudy. — I czarny.

— Jak czarny?

— Bardzo czarny — odparł doktor. — Jak moje opony.

Al Garcia przykucnął i oświetlił latarką przednie koło stopionego jaguara.

— Micheliny — zanotował. — Mężczyzna był czarny jak micheliny.

— Tak i nie mówił po angielsku.

— Coś podobnego! A w jakim języku mówił?

— Po kreolsku — wyjaśnił Rudy Graveline. — Jestem prawie pewien. Garcia potarł brodę.

— A więc mamy przybliżony wygląd podpalacza — powiedział. — Nie-  
dożywiony haitański liliput.

Doktor zmarszczył brwi.

— Nie — odparł z powagą. — Był trochę wyższy niż liliput.

Sierżant stwierdził, że mężczyzna najwidoczniej włamał się do bagażnika, aby umieścić pojemniki z benzyną wewnątrz samochodu lekarza.

— Co dowodzi, że trochę myślał — oznajmił detektyw.

— Mimo wszystko mógł być wariatem — zauważył Rudy. — Tacy potrafią robić zaskakujące rzeczy.

Kierowca ciężarówki holującej zaczepił haki o to, co pozostało z czarnego jaguara Rudy'ego. Drugi oglądał szczątki chryslera imperial, który Garcia bez przerwy określał mianem „paskudnego kawałka słoniowego gówna”. Jego nienawiść do chryslerów sięgała czasów, w których pełnił służbę patrolową.

Lennie Goldberg, detektyw z wywiadu, podszedł i zapytał:

— No i co sądzisz, Al? Przypuszczasz, że Kubańczycy?

— Nie, Lennie. Uważam, że to Świetlisty Szlak. Albo może frakcja Czerwonych Brygad. — Lenniemu zabrakło trochę czasu przetrwanie tych hipotez. — Czy mógłbyś przestać pieprzyć te głupoty o Kubańczykach? — rzucił z irytacją Garcia. — To była zwykła bomba w samochodzie, rozumiesz? Żadna polityka, Castro czy CIA. Żadni pieprzeni Kubańczycy, kapujesz?

— Jezu, Al. Po prostu zadałem pytanie.

Lennie uznał, że Garcia zaczyna się robić bardzo drażliwy, gdy porusza się ten temat.

— Rusz głową, Lennie. — Sierżant wskazał wrak. — Czy to wygląda na akt międzynarodowego terroryzmu, czy raczej szajbę jakiegoś porąbanego ćpuna?

— Może być albo jedno, albo drugie — stwierdził Lennie. — Przy zamachach bombowych czasami trzeba zwrócić uwagę na symboliczną stronę incydentu. Może w tym jest zawarte jakieś przesłanie? Czy jaguarów nie robią w Wielkiej Brytanii? Może więc IRA?

Garcia jęknął. Na litość boską, przesłanie! I symbolizm! Takie są

rezultaty, kiedy umieszcza się głupka w komórce wywiadowczej — staje się jeszcze głupszy.

Umundurowany gliniarz podał Rudy'emu Graveline'owi kopię raportu policyjnego. Doktor złożył ją starannie na trzy części jak list i włożył do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Al Garcia zwrócił się do chirurga, zapewniając:

— Niech się pan nie martwi, znajdziemy tego typu.

— Naprawdę?

— Bez problemu — obiecał Garcia, widząc jak bardzo zaniepokoiło to Rudy'ego. — Sprawdzimy numery podwozia oraz silnika chryslera i odszukamy tego pańskiego haitańskiego karzełka czy kto to tam był.

— Zapewne pojazd był kradziony — zauważył Rudy.

— Chyba nie — rzekł Al Garcia.

P o j a z d ? Teraz facet bawi się w Jacka Webba.

— O nie, proszę pana — powtórzył. — Niewątpliwie czyn ten popełnił z premedytacją gwałtowny i niezrównoważony psychicznie osobnik. Uczynimy wszystko, co w naszej mocy, aby rozwikłać tę sprawę, doktorze, ma pan na to moje słowo.

— Och, doprawdy, sprawa w końcu nie jest aż taka istotna.

— Ale teraz znalazła się w naszej gestii — odparł Garcia. — A dla nas jest istotna.

— Och, przecież wiem, jak bardzo jesteście zajęci.

— Oo, przy takim incydencie wszystkie inne zajęcia stają się mniej ważne — oznajmił sierżant niezmiernie serdecznym tonem. Nieistotne podłożenie bomby zapalającej wybitnemu lekarzowi? Chyba pan żartuje! Od tej chwili, doktorze Graveline, pańska sprawa ma absolutny priorytet.

Garcia bawił się cudownie, zgrywając dziarskiego gliniarza, doktor natomiast sprawiał wrażenie przygaszonego i skwaszonego.

— Wkrótce się do pana odezwę — przyrzekł detektyw.

— Doprawdy? — odparł Rudy Graveline.

Reynaldo Flemm od momentu swojej konspiracyjnej wizyty w Whispering Palms znajdował się w najczarniejszej depresji. Doktor Graveline nadzarpnął jego ego, i to nie znając prawdziwej tożsamości Reynalda ani rozmiarów jego sławy.

Minęły trzy dni i Flemm rzadko kiedy był w stanie wyjrzeć za drzwi swojego pokoju hotelowego w Key Biscayne. Właściwie przestał przyjmować pokarmy stałe, ograniczając się do płatków proteinowych i cytrynowej gatorady. Za każdym razem, gdy do jego drzwi stuknęła Christina Marks, Reynaldo informował, że jest w łazience, bo boli go żołądek, co było nieomal prawdą.

Nie mógł oderwać się od lustra. Wygłoszona przez chirurga surowa ocena nosa Reynalda — „dwa numery za duży do pańskiej twarzy” — była okrutna sama w sobie, ale niedbały ton, jakim Graveline skrytykował wagę jego ciała, obezwładnił go całkowicie.

Flemm przyglądał się swojemu nagiemu odbiciu w lustrze, gdy do drzwi znowu podeszła Christina.

— Jestem chory! — zawołał.

— Ray, to głupie — upomniała go Christina z korytarza. Nic nie wiedziała o jego wizycie w klinice. — Musimy porozmawiać na temat Maggie — oznajmiła.

Rozległ się odgłos otwieranych i zamykanych szuflad, a może nawet szafy. Przez chwilę Christina miała nadzieję, że może jednak Flemm się ukazać.

— Ray?

— O co chodzi z Maggie? — zapytał. Teraz jego głos brzmiał, jakby stał tuż przy drzwiach. — Czy nie załatwiłaś jeszcze tego gówna w sprawie 20/20?

— O tym właśnie musimy pogadać — oświadczyła Christina. — Przecież piętnaście tysięcy to absurd. Wpuść mnie, Ray.

— Źle się czuję.

— Otwórz te cholerne drzwi albo zadzwonię do Nowego Jorku!

— Nie, Chris. Nie jestem w najlepszej formie.

— Ray, widziałam cię również w najlepszej formie i wcale nie rzuciłeś mnie na kolana. Wpuść mnie, bo zacznę kopać w drzwi. — I spełniła groźbę.

Reynaldo nie mógł uwierzyć własnym oczom, widząc, jak drzwi podskakują w zawiasach.

— Hej, przestań! — zawołał i uchylił je lekko.

Christina ujrzała, że gwiazdor ma na sobie jedynie ręcznik owinięty wokół bioder i nic więcej. Na podłodze leżały jaskrawozielone elastyczne spodenki kolarskie.

— Hawaje?! — napadła na niego. — Powiedziałeś tej dziumdzi, że wysłamy ją na Hawaje?!

— A jakie miałem wyjście? — odparł Flemm. — Chcesz stracić temat?

— Tak — oznajmiła Christina. — Mamy z nim same kłopoty, Ray. Chcę się spakować i wracać do domu.

— I oddać go ABC? Odbiło ci? — Uchylił drzwi jeszcze trochę. — Doszliśmy już tak blisko.

Christina spróbowała podsunąć mu przynętę.

— A co byś powiedział, gdybyśmy jutro polecili do Spartanburga i zrobili ten fragment z motocyklistami, jak planowaliśmy?

Reynaldo uwielbiał robić materiał o gangach motocyklowych, ponieważ prawie zawsze obrywało mu się w czasie kręcenia. Temat zawierał ponadto motywy niewolnictwa seksualnego, ale tym razem Flemm nie dał się znęcić.

— Tamto może poczekać — stwierdził.

Christina rozejrzała się, aby sprawdzić, czy nikt nie nadchodzi korytarzem.

— Słyszałeś o Chloe Simpkins?

Reynaldo pokręcił głową.

— Przez kilka dni nie oglądałem dziennika — przyznał się.

— Ona nie żyje — poinformowała go Christina. — Została zamordowana.

— O Boże!

— Niedaleko domów na palach.

— Nie bujasz? Ale wejście.

— Zapomnij o tym, Ray. To kanał. — Przepchnęła się do pokoju.

Flemm usiadł na łóżku, zaciskając okryte rącznikiem kolana. W lewej ręce trzymał zwinięty centymetr krawiecki.

— Po co ci? — zapytała dziewczyna, wskazując miarkę.

— Nic ważnego — odparł.

Nie chciał się przyznać, że mierzył sobie nos w lustrze. A właściwie wykonywał dokładne pomiary wszystkich elementów twarzy, aby porównać proporcje.

— Kiedy jest pogrzeb Chloe? — spytał. — Weźmy Williego i nakręćmy zgrupowanych.

— Zapomnij o tym. — Wyjaśniła, że gliniarze i tak pewnie ich szukają,

aby zapytać o pięćset dolarów. W najgorszym razie ktoś mógłby ich posądzić, że przyczynili się do śmierci Chloe, pakując ją w jakąś niebezpieczną sytuację.

— Ale przecież nie zrobiliśmy tego — jęknął Flemm. — Dostaliśmy od niej tylko informację, gdzie mieszka Stranahan, i właściwie nic poza tym. Dom w zatoce, powiedziała. Dom z wiatrakiem. Najłatwiejsze pięć setek, jakie ta kobieta kiedykolwiek zarobiła.

— Jak już mówiłam — rzekła Christina — to wielki kanał. Pora się wycofać. Przekaż Maggie, żeby poszła się spowiadać Hughowi Downsowi.

— Poczekajmy jeszcze parę dni. — Nie mógł znieść myśli o poddaniu się. W końcu w czasie całego tego zadania ani razu go nie pobito.

— Na co? — zirytowała się.

— Żebym mógł pomyśleć. Nie potrafię się skupić, kiedy jestem chory.

Oparła się pokusie wypowiedzenia oczywistej prawdy.

— O co konkretnie chodzi? — spróbowała się dowiedzieć.

— Wołałabym o tym nie mówić — odparł Flemm.

— Ach, jeden z tych męskich problemów?

— Odpieprz się.

Wychodząc Christina zapytała go, kiedy zamierza opuścić swój pokój hotelowy, aby stawić czoło prawdziwemu światu.

— Gdy będę zdrow i odpowiednio przygotowany — oznajmił obronnym tonem.

— Możesz się nie spieszyć, Ray. Jutrzejszy wywiad jest odwołany.

— Skreśliłaś go? Dlaczego?

— Sam się skreślił. Ten człowiek umarł.

— Następne morderstwo! — jęknął Flemm.

— Nie, Ray. Tym razem nie morderstwo. — Dziewczyna pomachała mu na pożegnanie. — Przykro mi, że cię rozczarowałam.

— W porządku — odparł tonem człowieka powracającego do zdrowia.

— Zawsze możemy coś zachachmęcić.

## 12.

Po pogrzebie Timmy'ego Gavigana Garcia zaproponował Mickowi Stranahanowi, że go odwiezie na przystań.

— Zauważyłem, że przyjechałeś taksówką — powiedział.

— Al, masz sokoli wzrok.

— A co się stało z twoim samochodem?

— Chyba ktoś mi go ukradł — odparł Mick.

Pogrzeb był ładny, chociaż Timmy Gavigan by go wykipił. Szef powiedział kilka miłych słów, a potem gliniarze tak młodzi, że mogli być wnukami Timmy'ego, oddali salut i przypadkowo trafili w transformator, w konsekwencji czego połowa Coconut Grove została bez elektryczności.

Stranahan miał na sobie wyprasowane dżinsy, czarnoszarą sportową marynarkę i brązowe półbuty na gołych stopach. Było to jego najlepsze ubranie, a wszystkie krawaty wyrzucił, przeprowadzając się do domu na palach.

Pod koniec uroczystości żałobnych ze zdziwieniem zauważył, że pociąga nosem. Zanotował sobie w pamięci, że musi wyciąć z gazety nekrolog i tak jak obiecał, wkleić go do albumu Timmy'ego. A potem wysłać go do mieszkającej w Bostonie córki przyjaciela.

Jadąc Rickenbacker Causeway, Garcia-zagadnął:

— Czy nie miałeś starego chryslera? Ciekawa sprawa, bo ubiegłego wieczoru spaliła się taka właśnie gówienna gabłota. Ktoś spiłował numery



silnika oraz podwozia i nie możemy ustalić właściciela. Czy to nie był twój wóz, Mick?

— Niewykłuczone — odrzekł Stranahan. — Ale możesz go sobie zatrzymać. Blok silnika był pęknięty. Zamierzałem oddać go na złom.

Sierżant zabębnił palcami po kierownicy, co oznaczało, że traci cierpliwość.

— Hej, Mick?

— Co?

— Czy wysadziłeś w powietrze jaguara tego dupka?

Stranahan zapatrzył się na zatokę i zapytał:

— Jakiego dupka?

— Doktora. Tego, który usiłował cię zabić.

— Och!

Z facetem coś jest nie w porządku, pomyślał Garcia. Może w taki nastrój wprawił go pogrzeb, a może coś innego.

— Zaczynamy się tym zajmować — poinformował detektyw — a to cholernie mnie denerwuje. Słuchasz mnie, *chico!*

Mick udawał, że przygląda się jakiejś dziewczynie w toplesie na desce z żaglem.

— Jeżeli chcesz się bawić w Charliego Bronsona, twoja sprawa — rzucił Garcia — ale pozwól, że ci uświadomię, jak bardzo sytuacja staje się poważna. Na chwilę zapomnij o doktorze.

— Tak, a dlaczego? Próbuje mnie zabić.

— Weź jednak przez chwilę na wstrzymanie i zastanów się nad jednym: do przeprowadzenia dochodzenia w sprawie zabójstwa Chloe wyznaczono Salazara i Murdocka. Czy mam ci wyjaśnić, co to znaczy, czy chcesz, żebym zatrzymał samochód, abyś puścił sobie pawia?

— Jezu! — westchnął Mick.

Detektywi John Murdock i Joe Salazar byli ściśle związani z nieżyjącym sędzią Raleighem Goomerem, którego Stranahan zastrzelił. Obaj brali udział w machlojkach z lipnymi kaucjami i nie należeli do największych entuzjastów zabójcy kumpla.

— Jakim cudem powierzono im tę sprawę?

— Po prostu pech — mruknął sierżant — Nie mogłem nic na to poradzic, nie pogarszając sprawy.

Mick wyrzucił pięścią w pokrywę schowka. Zmęczyły go już te wszystkie złe wiadomości.

— Zjawili się już tutaj, aby pozbierać informacje, rozumiesz. Pogadali z ludźmi na pomoście, w restauracji, z każdym, kto mógł widzieć twoją byłą w noc, kiedy strzeliła w kalendarz. Wrócili z zeznaniami dwóch kelnerek i faceta ze stacji benzynowej. No i zgadnij, kogo widzieli z Chloe? Ciebie, słoneczko!

— Przecież to cholerne kłamstwo, Al.

— Owszem. Nie musisz mnie o tym przekonywać, ponieważ byłem tu następnego dnia w czasie lunchu i sam porozmawiałem z tymi ludźmi. W czasie mojego lunchu! Pokazałem im dwie fotografie, w tym również twoją, i wiesz, ilu cię zidentyfikowało? Zero na dziesięć. A więc Friko i Koko łą. Jeszcze nie mam pojęcia, co mogę zrobić w tej sprawie. Kłopot w tym, że obaj twardo trzymają się swojej historii. — Garcia wyjął cygaro z kieszeni na piersi i nie odwijając z celofanu, wetknął je w kącik ust. — Opowiadam ci o tym wszystkim, bo chcę, abyś uświadomił sobie, że sytuacja staje się naprawdę cholernie poważna. Może więc dałbyś sobie spokój z wysadzaniem samochodów i pozwolił mi zająć się robotą. Co o tym sądzisz?

— Najgorszy rok w moim życiu, a jest dopiero siedemnasty stycznia — odparł z roztargnieniem Stranahan.

Sierżant zszedł celofan z cygara.

— Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle z tobą gadam — burknął. — Zachowujesz się jak cholerny zombie.

Z piskiem opon skręcił w stronę przystani. Mick wskazał, gdzie stoi przycumowana jego aluminiowa łódź, i Garcia zatrzymał się tuż przed nią, nie wyłączając silnika. Stranahan spróbował otworzyć drzwi, ale detektyw zablokował je przyciskiem od strony kierowcy.

Sierżant wcisnął zapalniczkę na tablicy rozdzielczej i zapytał:

— Czy nie chciałbyś mi zadać jakiegoś pytania? Pomyśl dobrze, Mick.

Stranahan wyciągnął rękę i potrząsnął jego dłonią.

— Dziękuję ci za wszystko, Al. Szczerze.

— Hej, czy my na pewno mówimy o tym samym? Co się, do kurwy nędzy, z tobą dzieje?

— Miałem przynębiający tydzień — wyjaśnił Stranahan.

— I nawet nie chcesz wiedzieć, kogo kelnerki i nalewacz rzeczywiście widzieli? O facecie, który był z Chloe?

— Jakim facecie?

Garcia klasnął w dłonie.

— Doskonale. Nareszcie czymś cię zainteresowałem. Wspaniale. — Wyjął zapalniczkę z gniazda i przypalił cygaro.

— Jakim facecicie? — powtórzył pytanie Mick.

Celebrując każdy ruch, sierżant wyciągnął z kieszeni notes, otworzył go i odczytał na głos:

— Biały mężczyzna, tuż po trzydziestce, w przybliżeniu dwa metry dziesięć centymetrów wzrostu, sto dwadzieścia pięć kilo wagi, piegowaty, łysiejący...

— Rany boskie!

— ...sprawiał wrażenie, jakby miał makijaż z horroru albo jakiś rodzaj maski z Halloween. Kelnerki nie były co do tego zgodne, ale wszyscy powiedzieli mniej więcej to samo o jego twarzy: że wyglądała, jakby ktoś przeciągnął po niej tarką do sera.

Mick Stranahan nie przypominał sobie, żeby wpakował do mamra kogoś o tak uderzającym rysopisie. Zapytał Garcie, czy ma już jakiś trop.

— Obdzwaniamy cyrki, żeby sprawdzić, co im ostatnio uciekło — odparł z sarkazmem detektyw. — Jak Boga kocham, nie wiem, po co ci o tym opowiedziałem.

Wcisnął guzik, by odblokować drzwi.

— Będziemy w kontakcie — rzekł, wyrzucając Micka gestem z samochodu policyjnego. — I trzymaj się z daleka od tego cholernego doktora, dobra?

— Jasne — obiecał Stranahan.

W głowie tłukła mu się tylko jedna myśl: ponad dwa metry wzrostu! Biedna Chloe.

Doktor Rudy Graveline oswoił się już z możliwością, że jego świat imploduje, i uznał, iż powinien przygotować się na najgorsze. Z goryczą rozpamiętywał wszystkie kryzysy, które dotąd przetrwał, wszystkie zawodowe niepowodzenia, pozwy, przesłuchania, wyrzucenia ze szpitali, pospieszne przenosiny z jednej jurysdykcji do drugiej.

Kiedyś powiększył piersi ważącej sto kilo kobiecie, która chciała, aby je zmniejszył, innym razem w czasie odsysania tłuszczu o mało nie wyssał facetowi z brzucha woreczka żółciowego. Zdarzyło mu się też, że usuwając

cystę o rozmiarach dziesięciocentówki, przez pomyłkę obciął lewe ucho pewnemu pracownikowi budowlanemu.

Wszystko to jednak przetrwał. Wierzył, że znalazł bezpieczne schronienie w południowej Florydzie. Gdy rozgryzł system i zorientował się, w jaki sposób go pokonać, był pewien, że mu się udało.

I nagle wróciła schrzanią przeróbka nosa, aby wszystko zepsuć. Uważał, że nie jest to sprawiedliwe.

Siedząc przy biurku, ze zniechęceniem kartkował najnowsze raporty bankowe. Zespół chirurgiczny Whispering Palms zarabiał kupę pieniędzy, ale koszty własne były wysokie, a opłaty hipoteczne zabójcze. Rudy nie mógł wycofać z firmy tak dużo forsy, jak miał nadzieję. Kiedyś postanowił zwinąć interes po czterech latach, z odłożonymi sześcioma milionami, ale stawało się coraz bardziej prawdopodobne, że będzie zmuszony wyjść z gry o wiele wcześniej i z o wiele mniejszą sumą.

Ponieważ zabroniono mu wykonywania praktyki w Kalifornii i Nowym Jorku — znacznie bardziej lukratywnych rynkach dla chirurga plastycznego — jego myśli zwróciły się teraz w stronę kosmopolitycznych miast Ameryki Południowej; tych nowych obszarów próżności, spalonych słońcem i bogatych w zmarszczki miejsc, gdzie dyplom medycyny z Harvardu wciąż będzie miał swoją wartość.

Kartkując raporty bankowe, Graveline zastanawiał się, czy nie jest za późno, aby wykręcić się z projektu Old Cypress Towers, zamienić wszystko na gotówkę i zniknąć.

Oglądał właśnie mapę Brazylii, gdy w gabinecie zjawiała się słynna aktorka Heather Chappell w różowym szlafroku froté i trepkach kąpielowych, które otrzymywały w Whispering Palms wszystkie ważne osoby. Na ustach miała jasnoróżową szminkę, skórę opaloną na karmelowy brąz, a blond włosy gęste i świeżo wy szczotkowane.

Była doskonale piękną trzydziestoletnią kobietą, która z niezrozumiałych przyczyn pogardzała własnym ciałem. W pojęciu Rudy'ego Graveline'a stanowiła idealną pacjentkę.

Usiadła w skórzanym fotelu i oznajmiła:

— Już zwiedziłam sanatorium. A teraz porozmawiajmy o mojej operacji.

— Chciałem, żeby się pani przez parę dni rozluźniła, to wszystko.

— Ależ jestem tu już parę dni!  
— Nie jest jednak pani w pełni zrelaksowana?  
— Niezupełnie — przyznała. — Pański masażysta, jak mu na imię...  
— Niles?  
— Tak, Niles. Próbował mnie wczoraj przelecieć. A poza tym nudzę się tu do łez.

Rudy uśmiechnął się z wypraktykowaną przez lata uprzejmością.

— Ale miała pani okazję pomyśleć o rozmaitych zabiegach.  
— Nie muszę o niczym myśleć, doktorze Graveline. Byłam już gotowa pierwszego wieczoru po wyjściu z samolotu. Dlaczego gra pan na zwłokę?

— Skądże znowu!

— Słyszałam, że wysadzono w powietrze pański samochód — powiedziała głosem dziewczynki, jakby przekazywała usłyszaną w klasie plotkę.

— To był wypadek — odparł doktor, próbując zapanować nad głosem.  
— Bardzo drobny.

— Tego wieczoru, kiedy przyjechałam, prawda? A ten osiłek na parkingu, facet, który wsadził mnie do taksówki? Co się z nim dzieje?

Rudy zignorował jej pytanie.

— Mogę zaplanować operację na jutro — zaproponował.

— Doskonale, lecz chciałabym, żeby przeprowadził ją pan osobiście.

— Ależ oczywiście — zgodził się Graveline.

Pozostanie w sali operacyjnej, dopóki jej nie uśpią, a potem powróci na moment budzenia się. A pracą nożem niech się zajmie któryś z tych młodych i zdolnych.

— Co pani postanowiła? — zapytał.

Heather wstała i rzuciła klapki, po czym pozwoliła szlafrokowi opaść na dywan.

— Niech mi pan poradzi.

Doktor poczuł, jak na jej widok robi mu się sucho w ustach.

— No cóż — rzekł. — Zobaczmy.

Kłopot polegał na tym, że nie potrzebowała żadnej operacji. Jej figura, podobnie jak twarz, były wspaniałe, opalone piersi — duże, jędrne i wcale nie obwisłe, brzuch płaski i twardy jak żelazo. Nie miała na sobie ani

grama tłuszczu, żadnych rozstępów, najmniejszego cienia żyłek — ani na nogach, ani na udach, nigdzie. Wszystko mieściło się w idealnych proporcjach. Nago Heather wyglądała jak „po”, a nie „przed”.

Rudy doszedł do wniosku, że w tym wypadku rzeczywiście będzie musiał się wysilić. Nałożył okulary i powiedział:

— Proszę podejść bliżej, panno Chappell. Muszę przyjrzeć się dokładniej.

Zbliżyła się i doktor, absolutnie oszołomiony, patrzył, jak popiskując nagimi stopami na śliskiej czarnej powierzchni, wspina się na onyksowy blat jego biurka. Wyprostowała się i przybrała pozę wampa filmowego — z jedną ręką na biodrze, drugą we włosach.

Gdy Rudy podązał wzrokiem wzdłuż jej długich nóg, omal nie przewrócił się do tyłu razem z fotelem.

— Oczywiście nos — stwierdziła Heather.

— Tak — przyznał, myśląc jednocześnie: ma wspaniały, prosty nos. Co, u diabła, z nim zrobić?

— I piersi — oznajmiła aktorka, ujmując je w dłonie i przyglądając im się tak, jakby w dziale warzywniczym sprawdzała grejpfruty.

— Czy chce je pani powiększyć czy pomniejszyć? — spytał dzielnie chirurg.

Gwiazda spojrzała na niego z oburzeniem.

— Jasne, że powiększyć! I przydałyby się zupełnie nowe sutki.

Jezu, mruknął pod nosem Rudy.

— Panno Chappell — oświadczył. — Odradzałbym nowe sutki. Mogą powstać poważne komplikacje, a poza tym to doprawdy zbyt cenne. — Jej sutki wyglądały jak małe różowe pączki róży. Dlaczego, zastanawiał się, w ogóle pragnęła mieć inne?

Trochę nadąsanym głosem Heather zgodziła się z jego zdaniem. A potem wykonała piruet i poklepała się po prawym biodrze.

— Proszę zdjąć stąd pięć centymetrów.

— Tak dużo? — Rudy pocił się. Po prostu nie widział potrzeby. Zdjąć pięć centymetrów? Z czego?

— Niech pan wstanie — poleciła aktorka. — I spojrzysz tutaj. Spojrzał, i to bardzo uważnie. Jego broda znajdowała się w odległości paru centymetrów od jej kości łonowej.

— Pięć centymetrów — powtórzyła, obracając się, aby okazać mu drugie biodro. — Z obu stron.

— Jak pani sobie życzy — odparł. Do diabła z tym, i tak będzie wówczas na polu golfowym. Niech pogłówną nad tym cudowne dzieciaki.

Heather uklękała na biurku i znaleźli się nieomal twarzą w twarz.

— Poza tym chciałabym poprawić powieki — oznajmiła, wskazując długim ciemnoczerwonym paznokciem. — A także szyję. Zapewniał pan, że nie będzie szram, prawda?

— Proszę się nie martwić — uspokoił ją Rudy.

— Dobrze — stwierdziła. — Czy coś jeszcze?

— Nie widzę już niczego.

— A co z moją pupą? — Obróciła się na biurku, pokazując ją doktorowi. Spoglądała przez ramię, oczekując na jego zawodową opinię.

— No cóż — wymamrotał Rudy, przesuwając palcami po miękkich krągłościach.

— Hej! — zawołała Heather. — Spokojnie. — Znowu się odwróciła w jego stronę. — Czy pan się podnieca?

— Oczywiście, że nie — zaprzeczył chirurg.

Ale kłamał. Nie mógł tego zrozumieć, po tylu tysiącach kobiecych ciał, które widział i dotykał. To nie było zwykłe pożądanie, lecz coś cudownego i świeżego. Może skutek sposobu, w jaki nim komenderowała.

— Widziałem panią w *Gorączce serca* — powiedział, zupełnie zresztą idiotycznie. Pożyczył tę kasetę na przyjęcie przy basenie. — Była pani doskonała, zwłaszcza w scenie na koniu.

— Niech pan siada — poleciała Heather i zrobił, co mu kazała.

Sama siedziała gołą pupą na biurku, machając nogami po obu stronach fotela.

Położył wilgotne dłonie na jej kolanach.

— Chyba nadeszła odpowiednia pora, żeby porozmawiać o pieniądzech — oznajmiła.

Dla Rudy'ego Graveline'a ten temat był najważniejszym sprawdzianem jego trzeźwości umysłu. W czasie całej swojej kariery nigdy nie przyjmował usług erotycznych w zamian za usługi chirurgiczne, nawet nie udzielał ulg. Pieniądze to pieniądze, dupa to dupa — takie credo wpał zawsze swoim

sprawnym, młodym asystentom. Po prostu pewnych rzeczy nie daje się za darmo.

— Obawiam się, że operacja będzie kosztowna — uprzedził gwiazdę.

— Doprawdy? — Uniosła nogę i położyła stopę na jego prawym ramieniu.

— Wszystkie zabiegi naraz. Tak, obawiam się, że tak.

— Ile, doktorze Graveline?

Druga noga uniosła się do góry i Rudy znalazł się w kleszczach.

— Chodź tu na chwilę — rozkazała Heather.

Dusza Rudy'ego Graveline'a wrywała się jednocześnie do rzeczy, którą najbardziej kochał, i rzeczy, której najbardziej potrzebował — seksu i pieniędzy. Miał wrażenie, że spoczywające na jego ramionach ciepłe, gołe pięty aktorki ważą tyle, co kula ziemiska. I całe niebo.

Połąskotała go palcami stóp w uszy.

— Powiedziałaś, chodź tu.

— Gdzie? — pisnął Rudy.

— O Boże, jesteś ślepy?

Chemo kupił pistolet maszynowy Ingram do kompletu, jako uzupełnienie swojego pistoletu kaliber zero dwadzieścia dwa, od faceta, który pewnego wieczoru przyszedł do klubu z bandą Jamajczyków. Sam gość nie był Jamajczykiem, lecz z Kolumbii.

Chemo dowiedział się tego, gdy zatrzymał go w drzwiach i powiedział mu, że nie może wejść do „Wesołego Bidetu” z pistoletem maszynowym.

— Ale przecież to Miami — odparł mężczyzna z hiszpańskim akcentem.

— Taki mam rozkaz — wyjaśnił Chemo.

Facet zgodził się, aby Chemo zatrzymał broń na czas, gdy on i jego kumple wejdą do środka, co okazało się bardzo rozsądnym pociągnięciem. Gdy kapela grała kawałek zatytułowany *Wyssij do sucha*, miejscowa banda skinów zaczęła tańczyć pogo i w całej knajpie wybuchły bójki. Jamajczycy wyszli, ale Kolumbijczyk został, aby dalej walczyć. W pewnym momencie wyciągnął scyzoryk i chciał chirurgicznie usunąć swastykę wytatuowaną na dumnej, lecz bezwłosej piersi nastoletniego skina.



Orkiestra odeszła na zasłużoną przerwę w chwili, gdy policja wpadła, aby dokonać aresztowań. Gdy Chemo spostrzegł Kolumbijczyka z tyłu samochodu policyjnego, zastukał w okno i zapytał, co zrobić z ingramem. Ten odrzekł, żeby go sobie zatrzymał. Chemo podziękował i wsunął dwudziestodolarowy banknot w szczelinę okna.

Najbardziej polubił w ingramie pas do wieszania broni na ramieniu. Założył go i pokazał pistolet maszynowy szefowi, Freddiemu, który zareagował gwałtownie:

— Zabieraj mi to stąd, do kurwy nędzy!

Następnego dnia, osiemnastego stycznia, Chemo wstał wcześniej i pojechał na Key Biscayne. Wiedział, że byłoby nierozsądnie wybrać się na tę samą przystań, na której był z Chloe, i dlatego odszukał następną. Znalazł ją niedaleko Marine Stadium, gdzie ścigano się na wielkich wyścigowych motorówkach Budweiser.

Początkowo chłopak z fatalnie utlenionymi włosami próbował wynająć mu sześciometrową dusky za sto dziesięć dolarów dziennie oraz sto pięćdziesiąt zastawu. Chemo nie miał tylu pieniędzy.

— A masz kartę kredytową? — zapytał chłopak.

— Nie — odparł Chemo. — A to co? — wskazał.

— To skuter wodny — wyjaśnił młodzian.

Przypominał żuka z kierownicą. Prowadziło się go jak motocykl, lecz na stojąco. Był pomalowany na żółto, a na przodzie widniał napis: „Kawasaki”.

— Nie zechcesz go wypróbować, co? — zainteresował się chłopak o żółtych włosach.

— Dlaczego?

— Bo jesteś zbyt wysoki, człowieku — roześmiał się. — Jak trafisz na falę, złamiesz sobie kręgosłup.

Chemo doszedł do wniosku, że młodzian próbuje namówić go na wynajęcie czegoś większego, zupełnie mu niepotrzebnego.

— Ile za ten skuter wodny?

— Dwadzieścia za godzinę, ale musisz podpisać zrzeczenie się jakichkolwiek pretensji.

Młody człowiek pomyślał, że jak na tak wysokiego faceta jego klient nie wygląda wystarczająco zdrowo, aby próbować przejażdżki skutermem wodnym. Sprawiał wrażenie chorego i wyblakłego, jakby przez parę miesięcy

wisiał na ścianie jakiegoś lochu. Przez chwilę nawet chłopiec się zastanawiał, czyby na wszelki wypadek nie zapytać go, czy umie pływać.

Chemo podał mu dwie dwudziestki.

— W dalszym ciągu potrzebuję zastawu — upierał się chłopak.

Chemo oświadczył, że nie ma pieniędzy, na co młodzian, że może wziąć zegarek, ale wielkolud się nie zgodził. Chodziło o szwajcarski zegarek dla pletwonurków, marki Heuer, na bransolecie ze złotych i srebrnych ogniwi. Chemo zwinął go młodemu architektowi, który przedawkował w męskiej toalecie klubu. Gdy dupek leżał w kabinie, próbując połknąć własny język, Chemo złapał go za przegub i zamienił heuera na swojego seiko za trzydzieści dolarów, na pasku z fałszywej skóry aligatora.

— Bez zastawu nie ma skutera — upierał się żółtowołosy.

— A co powiesz na pistolet? — zaproponował Chemo.

— Jaki?

Olbrzym pokazał mu zero dwadzieścia dwa i chłopak się zgodził. Była to beretta i bardzo mu pasowała. Wsunął go za pasek na brzuchu i zaprowadził faceta do skutera.

Pokazał, jak działa przepustnica, i rzucił mu jaskrawoczerwoną kamizelkę ratunkową.

— Możesz się przebrać w szopie.

— Przebrać?

— Masz chyba kostium kąpielowy, co? — Młodzieniec podskoczył na jednej nodze na pomoście i podał Chemowi kluczyki. — Człowieku, chcesz płynąć w tych ciężkich portkach?!

— Raczej nie — odparł Chemo, odpinając pasek.

Poławiacz krewetek Joey zgodził się zawieźć Christine Marks, gdziekolwiek sobie zażyczy. Gdy podała mu sto dolarów, spojrzął na banknot i zapytał:

— Dokąd się wybierasz, do Hawany?

— Do Osady na Palach — odparła, wchodząc do bardzo aromatycznej łodzi. — I chciałabym prosić o przysługę.

— Nie ma sprawy — oznajmił Joey, rzucając cumy.

— Gdy mnie wysadzisz, zostań w pobliżu. Na wszelki wypadek.

Joey skierował dziób łodzi w dół kanału, w stronę ujścia Norris Cut.

— Na jaki wypadek? — zainteresował się.

— Jeżeli człowiek, z którym zamierzam się zobaczyć, nie zgodzi się, abym została.

— Nie mogę sobie tego wyobrazić — uśmiechnął się Joey. — Napijesz się piwa?

Prowadza łódź wzdłuż odoceanicznej strony Key Biscayne w przyjaznym milczeniu. Christina stała obok niego w sterówce, uważnie obserwując stado głodnych mew krzyczących i nurkujących za rufą. Gdy minęli usytuowaną na końcu wyspy latarnię morską Cape Florida, dziewczyna dostrzegła na południu domy na palach.

— Do którego? — spytał Joey, przekrzykując silnik.

Gdy Christina wskazała, poławiacz uśmiechnął się i mrugnął znacząco.

— O co chodzi?

— O niego — odparł. — Dlaczego nie powiedziałaś od razu?

Znajdowali się może w odległości dwustu metrów od masztów radiowych i szerokim łukiem wpływali w kanał, kiedy Joey trącił Christinę łokciem i wskazał coś ruchem głowy.

Przed dziobem łodzi jedną z mielizn przyływowych pokonywało coś szybkiego i żółtego, podskakując gwałtownie na wzburzonej wodzie. Był to dziwny, przypominający pastylkę gumy do żucia pojazd, na środku którego stała wysoka, blada postać trzymająca się go oburącz.

Joey przymknął gaz, aby go przepuścić.

— Nie cierpię tych głupot — oświadczył. — Ci cholerni turyści nie mają pojęcia, gdzie pływać.

Obserwowali pojazd, przecinający ich kurs od lewej burty w odległości niecałych trzydziestu metrów. Joey zmarszczył brwi i rzekł:

— Niech mnie diabli! — Wyjął szmatę ze skrzynki na narzędzia i wytarł słoną wodę z przedniej szyby łodzi.

— No tak — zwrócił się do dziewczyny. — Teraz widziałaś już wszystko.

Wysoki, bladej mężczyzna prowadzący skuter wodny miał na sobie wyłącznie namoknięte slipki. I ciemne okulary. I błyszczący zegarek. I pistolet

maszynowy Ingram przewieszony przez nagie ramię.

Christina Marks była zaskoczona.

— Jak myślisz, co on tu robi z tym?

— Co tylko temu dupkowi przyjdzie do głowy — odparł Joey.

## 13.

Wcześniej tego dnia do domu na palach pożyczoną bayliner capri przyплыła Tina z dwiema przyjaciółkami. Zobaczyły Micka Stranahana śpiącego na dachu pod wiatrakiem z remingtonem u boku.

Przyjaciółki Tyny były zaniepokojone. Postanowiły zostać w łodzi, ona tymczasem weszła na pomost i zbliżyła się do domu.

— Richie chce, żebym wróciła! — zawołała do Stranahana.

Usiadł i przetarł oczy:

— Co?

— Powiedziała, że Richie chce, abym wróciła. Pomyślałam, że powinienś się dowiedzieć o tym pierwszy.

— Dlaczego? — spytał Mick ochryłym głosem.

— Żebyś zmusił mnie do zmiany decyzji.

Stranahan zauważył, że w czasie gdy spał, mewy obfajdały mu całą strzelbę.

— Cholera — mruknął pod nosem.

Wyjął z kieszeni dzinsów czarną chustę i wytarł kolbę oraz łożę.

— I co ty na to? — dobiegł go z dołu głos Tyny. — Masz zamiar zmienić moje zdanie, czy nie?

— W jaki sposób?

— Przespać się ze mną.

— Już to zrobiłem — odparł.

— Wiesz, o co mi chodzi.

— Wróc do Richiego — poradził Stranahan. — Jeżeli uderzy cię jeszcze raz, oskarż go o napaść.

— Czego się tak boisz?

Mick ześlizgnął się na tyłku po szorstkim zboczu dachu do miejsca, z którego mógł dostrzec Tinę ubraną w miniaturowy kostium kąpielowy w kolorze mandarynki.

— Już rozmawialiśmy na ten temat — przypomniał jej.

— Ale wcale nie chcę wyjść za ciebie — zapewniła. — Obiecuję ci. Nawet jeżeli potem poprosisz mnie o rękę, odpowiem „nie” — bez względu na to, jak wspaniale będzie. A poza tym nie jestem kelnerką. Powiedziałeś, że wszystkie pozostałe były kelnerkami.

Jęknął i oznajmił:

— Tina, bardzo cię przepraszam. Ale po prostu nic z tego.

Teraz była już po prostu wściekła. Jedna z dziewczyn na baylinerze włączyła radio i Tina wrzasnęła na nią, żeby ściszyła tę cholerną muzykę.

— Skąd wiesz, że nic z tego? — dopytywała.

— Jestem za stary.

— Pieprzysz głupoty.

— A ty jesteś za młoda.

— Pieprzysz jeszcze większe głupoty.

— No, dobra — poddał się. — W takim razie wymień wszystkich Beatlesów.

— Co? — Tina roześmiała się z przymusem. — Mówisz poważnie?

— Śmiertelnie poważnie — odparł Stranahan, siedząc na krawędzi dachu. — Jeżeli wymienisz wszystkich Beatlesów, natychmiast będę się z tobą kochał — tu i teraz.

— Nie mogę uwierzyć — rzekła dziewczyna. — Pieprzeni Beatlesi.

Stranahan szybko wykonał w myśli obliczenia. Miała dziewiętnaście lat, co oznaczało, że urodziła się w roku, w którym zespół się rozpadł.

— No cóż, był tam Paul... — zaczęła Tina.

— A nazwisko?

— Daj spokój!

— Musisz powiedzieć.

— McCartney, w porządku? Nie mogę w coś takiego uwierzyć.

— No, dalej, dobrze ci idzie.  
— Ringo — kontynuowała Tina. — Ringo Starr. Perkusista z takim nosem.

— Doskonale.

— A potem facet, który zginął. Lennon.

— Jak miał na imię?

— Wiem, że jego syn ma na imię Julian.

— Syn się nie liczy.

— Niech ci będzie. Ty jesteś dupek, a on był John. John Lennon.

Mick z uznaniem skinął głową.

— Trzech zaliczonych, został jeden. Wspaniale ci idzie. Dziewczyna złożyła ręce na piersi i usiłowała przypomnieć sobie ostatniego Beatlesa. Usta wykrzywiła w najbardziej błagalnej minie, lecz Stranahan pozostał na dachu.

— Podpowiem ci — odezwał się. — Wiodąca gitara. Spojrzała na niego i w jej szarych oczach błysnął triumf.

— Harrison! — wykrzyknęła. — Keith Harrison!

Mick, mrucząc pod nosem, wspiął się na swoje stałe miejsce między podporami wiatraka.

Tina powiedziała sporo przykrych słów, wszystkie zasłużenie, a potem wsiadła do motorówki wraz z przyjaciółkami i skierowała się przez zatokę w stronę Dinner Key i zapewne Richiego.

Joey splunął za rufę i rzekł:

— Oto i twój chłopak.

Christina Marks zmarszczyła brwi. Mick Stranahan leżał nagi na dachu swojego domu. Opalone nogi miał wyprostowane, a ramiona rozłożone na boki. Oczy osłonił chustą przed silnymi promieniami słońca.

Christina pomyślała, że wygląda niczym ofiara tureckiego plutonu egzekucyjnego.

— Wygląda jak Chrystus — ocenił Joey. — Nie uważasz? Chrystus bez brody.

— Podwieź mnie do domu — poprosiła Christina. — Masz może jakąś syrenę?

— Do diabła, on wie, że tu jesteśmy.

— Przecież śpi.

— Nie, łaskawa pani — odparł Joey. — Mylisz się. — Mimo to jednak włączył syrenę.

Mick nawet nie drgnął. Joey podprowadził ostrożnie łódź bliżej. Przyływ był wysoki i woda z sykiem omywała pale domu.

Christina, mocno trzymając brązową torbę z zakupami, przeszła na pomost i pomachała poławiaczowi krewetek.

— Bardzo dziękuję.

— Koniecznie powiedz mu, co widzieliśmy — przypomniał Joey. — O tym wielkim świrze na skuterze wodnym.

Skinęła głową.

— Powiedz mu od razu — nalegał Joey.

Cofnął dźwignie gazu i stary diesel zawył na wstecznym biegu, wypływając śmierzdzącą chmurę niebieskiego dymu, który otoczył dziewczynę. Wchodząc po schodach, kaszłała bez przerwy.

Gdy znalazła się na głównym pomoście, Stranahan siedział na krawędzi dachu, majtając nogami.

— Co masz w torbie?

— Zimne mięso, wino, ser. Przyszło mi do głowy, że możesz być głodny.

— Czy tak to robią w Nowym Jorku?

Torba była ciężka, lecz Christiną nie odstawiała jej — trzymała oburącz jak niemowlaka, ale niezbyt mocno. Nie chciała, aby pomyślał, że próbuje go przekupić.

— O czym ty mówisz? — spytała.

— Wino i ser — stwierdził Stranahan. — Jest w tym coś ceremonialnego. Może jest niezbędne tam, skąd pochodzisz, ale nie tutaj.

— Odpieprz się — rzuciła Christina Marks. — To na koszt firmy, cwaniaku.

Mick uśmiechnął się.

— Zapomniałem. — Zeskoczył z dachu i wylądował na pomoście niczym kot.

Poszła za nim do domu i patrzyła, jak wciąga na gołe ciało niebieskie dżinsowe szorty. Postawiła torbę na blacie kuchennym, a on zabrał się do roboty, szykując lunch. Z lodówki wyjął pikle i ćwierć kilo wielkich zimowych krewetek, w dalszym ciągu w skorupkach.

Otwierając wino, oznajmił:



— Przejdźmy od razu do rzeczy. Czegoś się dowiedziałas.  
— Tak — przyznała Christina. — Ale najpierw o czymś innym. Nie uwierzysz, co przed chwilą widzieliśmy: faceta z pistoletem maszynowym na jednym z tych skuterów wodnych.

— Gdzie?

Wskazała ruchem głowy.

— Niecałą milę stąd.

— Jak wyglądał?

Dziewczyna opisała prowadzącego skuter. Mick wyciągnął korek z butelki wina.

— Chyba powinniśmy pospieszyć się z jedzeniem — powiedział.

Był zadowolony, że po odjeździe Tiny i jej przyjaciółek, gdy zszedł po nową chustę, zabrał do domu remingtona. Odruchowo spojrzął na strzelbę, opartą w kącie o ścianę z wypchaną głową marlina.

Christina obrała krewetkę i umoczyła ją w plastikowym pojemniku z sosem koktajlowym.

— Czy zdradzisz mi w końcu, kim jest ten facet w gaciach?

— Nie wiem — odparł Stranahan. — Słowo daję. A teraz mów, z czym tu przybyłaś.

Mógł to być najtrudniejszy fragment ich rozmowy.

— Odwiedziłam w szpitalu twojego przyjaciela Timmy'ego Gavigana — oświadczyła.

— Ooo.

— Byłam przy nim, kiedy umierał.

Stranahan odkroił trzy grube plastry cheddara.

— Ostatnia posługa. Szkoda, że nie jesteś księdzem.

— Chciał, żebym coś ci przekazała. Coś, co przypomniał sobie w sprawie Victorii Barletty.

Mick zapytał z ustami pełnymi sera:

— Czy wzięłaś ze sobą do szpitala tego dupka Flemma? Chyba nie każałaś mu robić wywiadu z Timem w takim stanie?

— Oczywiście, że nie! — skarciła go ostro. — A teraz posłuchaj. Tim Gavigan przypomniał sobie, że chirurg ma brata. George'a Graveline'a. Widział go pracującego przed kliniką.

— Co robił? — zainteresował się Stranahan.

— Tim prosił, abym cię poinformowała, że facet zajmuje się stryżeniem drzew. Twierdził, że będziesz wiedział, co to znaczy. A potem mówił coś o Hoffie i zwłokach.

Stranahan roześmiał się.

— Tak, jasne. Idealne rozwiązanie.

— Zechcesz mnie łaskawie oświecić? — zażądała ze zniecierpliwieniem Christina.

Mick odgryzł kawałek marynowanego ogórka.

— Wiesz, co to takiego rozdrabniarka do drewna? Przypomina wielką maszynkę do mięsa, z tą tylko różnicą, że używa się jej do mielenia drewna. Firmy zajmujące się drewnem zawsze holują ją na miejsce pracy. Wrzucasz do luku największe nawet gałęzie, a z maszyny wylatuje tylko pył drzewny i szczepki do barbecue.

— Rozumiem — przyznała Christina.

— Jeżeli coś takiego przerabia na trociny drewno mahoniowe, wyobraź sobie, co może zrobić z ludzkim ciałem.

— Wolałabym sobie nie wyobrażać.

— Kiedyś była słynna sprawa morderstwa w New Jersey. Mieli w niej wszystko, oprócz zwłok. Ciało przepuszczono przez rozdrabniarkę, w związku z czym znaleźli jedynie okruchy ludzkich kości — zbyt mało na porządną identyfikację przez medyków sądowych. Wreszcie ktoś natknął się na ząb trzonowy, w którym znajdowała się złota plomba. Dzięki temu mogli wnieść oskarżenie.

Christina wciąż myślała o okruchach kości.

— W każdym razie — ciągnął Stranahan — to cholernie dobry trop. A teraz pośpiesz się i kończ. — Wbił korek w szyjkę opróżnionej do połowy butelki wina i zaczął owijać resztki w woskowany papier.

Dziewczyna sięgała właśnie po ostatnią krewetkę, gdy chwycił talerz i włożył go do lodówki.

— Hej! Powiedziałem, żebyś się pospieszyła.

Zauważyła, że porusza się w bardzo zdecydowany sposób i przysła jej do głowy myśl, że coś się dzieje.

— O co chodzi, Mick?

— Nic nie słyszysz?

— Nie.

— A więc posłuchaj — odparł i zanim się zorientowała, okiennice i drzwi zostały zamknięte, a oni oboje siedzieli na drewnianej podłodze, wciśnięci w kąt sypialni.

Początkowo Christina słyszała jedynie ich własne oddechy, ale wkrótce dołączyły do nich odgłosy szurania. Stranahan wyjaśnił, że to mewy na dachu. Wreszcie, gdy oparła głowę o ścianę z dykty, dobiegł ją odległy

pomruk. Im dłużej nasłuchiwała, tym stawał się wyraźniejszy. Odgłos pracy silnika był zbyt słaby jak na samolot i zbyt wysokiej tonacji jak na motorówkę.

— Jezu, to on! — jęknęła.

Zadrżała gwałtownie. Mick przytaknął, marszcząc brwi. — Wiesz co — powiedział — kiedyś było to bardzo fajne miejsce.

Chemo zastanawiał się, jak mechanizm ingrama zniesie słońce bryzgi. Nie znał się zbyt dobrze na pistoletach maszynowych, ale podejrzewał, że wilgoć nie służy im zbyt dobrze. A przejazdka do Osady na Palach okazała się bardziej mokra, niż się spodziewał.

Zatrzymał skuter pod jednym z domów na palach i poczekał, aż łódź do połowu krewetek odpłynie od domostwa Stranahana. Zobaczył, że wysiada z niej przystojna kobieta w białej bawełnianej bluzce i piaskowych szortach safari i idzie po schodach na górę, zaczął więc przerabiać scenariusz. Nie wiedział, czy była żoną, przyjaciółką czy kimś innym, ale nie miało to żadnego znaczenia. Znalazła się tu, więc musi umrzeć. Koniec historii.

Włamał się do komórki i znalazł szmatę do wyczyszczenia ingrama. Starannie wytarł z broni wilgoć i sól. Pistolet maszynowy wyglądał na sprawny, lecz istniał tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

Wziął ze składziku aluminiowy trzonek szcotki do zmywania i zerwał kłódkę z drzwi domu. Gdy znalazł się w środku, szybko wyszukał odpowiedni cel — starą wersalkę, której kwieciste obicie nosiło ślady pleśni i pajęczyn. Zamknął drzwi, aby stłumić hałas, potem uklękł przed gratem, przyłożył ingrama do ramienia i trzykrotnie wystrzelił. Kłęby białego pyłu i pierza uniosły się po uderzeniu każdego pocisku. Chemo opuścił lufę i starannie zbadał dziury w tapicerce. Był gotów.

Przewiesił broń przez ramię i podciągnął mokre majtki do pasa. Już miał wyjść, gdy coś sobie przypomniał. Przeszedł szybko przez dom, otwierając po kolei drzwi, aż znalazł łazienkę.

Stojąc przed umywalką, zdjął okulary przeciwsłoneczne i zbliżył twarz do lustra. Palcem wskazującym sprawdził maleńki różowy skrawek skóry zoperowany przez doktora Graveline'a. Miejsce już go nie swędziało i chyba ładnie się goiło. Chemo był wyjątkowo zadowolony i ruszył do roboty we wspaniałym nastroju.

Gdzieś, może w „Reader’s Digest”, czytał, że słoną woda przyspiesza proces gojenia.

— Nie ruszaj się — szepnęła Stranahan.

— Nie zamierzałam.

— Dopóki ci nie powiem.

Sądząc po natężeniu warkotu silnika, skuter był już bardzo blisko, nie dalek niż w odległości trzydziestu metrów.

Mick trzymał strzelbę na kolanach. Christina popatrzyła na jego ręce i zauważyła, że są kompletnie nieruchome. Jej własne dygotały jak u starego pijaka.

— Masz jakiś plan? — spytała.

— Zasadniczo planuję pozostać przy życiu.

— Zastrzelisz go?

Stranahan popatrzył na nią tak, jakby była pięcioletnią dziewczynką.

— A jak sądzisz? Oczywiście, że go zastrzelę. Odstrzelę skurwysynowi łeb, chyba że masz coś przeciwko temu.

— Tylko pytam — wyjaśniła Christina.

Chemo myślał sobie: cholerni Japończycy. Facet, który zaprojektował ten skuter wodny, musiał być pieprzonym karzełkiem. Plecy bolały go wściekle. Żeby dosięgnąć kierownicy, musiał pochylać się jak praczka nad balią. Za każdym razem, gdy trafiał na falę, pistolet maszynowy ześlizgiwał mu się z kościstego ramienia. Już parę razy był święcie przekonany, że zgubił ingrama albo przynajmniej go uszkodził. Cholerni Japończycy.

Podpływając do domu Stranahana, Chemo zaczął myśleć o czymś jeszcze. Już zdążył umieścić w scenariuszu dziewczynę. Postanowił zastrzelić ją pierwszą i mieć ten kłopot z głowy. Wtedy jednak uświadomił sobie kolejny problem. Z całą pewnością widziała go, jak przepływa koło łodzi do połowu krewetek, zapewne zauważyła pistolet maszynowy, no i chyba powiedziała o wszystkim Stranahanowi.

Który dodał dwa do dwóch. Czyli należało liczyć się z walką. Szlag trafił też element zaskoczenia — ten cholerny skuter był równie głośny jak harley

i Stranahan mógł go usłyszeć z odległości dwóch mil.

Ale gdzie on jest? Chemo wolno okrążył dom na palach, docierając wreszcie do zawirowania własnego śladu torowego. Okna były zamknięte, drzwi również. Ani śladu życia, oprócz pary rozwścieczonych mew na dachu. Na wargach Chema pojawił się lekki uśmiech zrozumienia. Oczywiście ten człowiek czeka w środku. Drobną zasadzka.

Chemo dobił skuterem do pomostu i zeskoczył lekko. Zdjął ingrama z ramienia i wchodząc po schodach, trzymał go przed sobą, zastanawiając się jednocześnie, gdzie Stranahan powinien na niego czekać. Bez wątplenia w rogu, to logiczne.

Z przyjemnością zorientował się, że drewniany pomost biegnie wokół całego domu. Poruszając się ostrożnie na swoich bocianich nogach, Chemo podszedł najpierw do rogu południowo-zachodniego. Spokojnie wycelował na wysokości pasa i oddał jeden strzał w drewnianą ścianę. Powtórzył tę samą czynność w każdym z rogów, a potem usiadł na balustradzie i czekał.

Gdy po trzech minutach nic się nie stało, zbliżył się do drzwi frontowych i wystrzelił dwukrotnie. A potem wszedł do środka.

Christina Marks nie zdawała sobie sprawy, że Stranahan został ranny, dopóki nie poczuła na nagim ramieniu czegoś ciepłego. Otworzyła usta, żeby krzyknąć, lecz Mick zakrył je dłonią i dał znak, aby była cicho. Zobaczyła, że pod wpływem bólu spowodowanego raną z oczu ciekną mu łzy. Zdjął rękę z jej ust i wskazał na swoje lewe ramię. Dziewczyna kiwnęła głową, lecz nie spojrzała.

Usłyszeli trzy strzały, każdy w innej części domu. A później zapadła cisza, trwająca kilka koszmarnych minut.

Wreszcie Stranahan wstał, trzymając strzelbę w zgięciu prawej ręki. Całą lewą stronę ciała miał pozbawioną czucia i mokrą od krwi. W półmroku panującym wewnątrz domu wyglądał jak czarnobiałny obraz.

Siedząc na podłodze, Christina przyglądała mu się. Przycisnął plecy do ściany i powoli przesunął się w stronę wyjścia. Słyszając następne strzały, zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, zobaczyła w drzwiach wejściowych dwie idealne dziury. Dwa promienie słoneczne, ostre jak lasery, przecinały

mrok. Pod tymi strumieniami światła Mick leżał na brzuchu, wpierając łokcie w podłogę.

Gdy Chemo otworzył drzwi, Stranahan celował prosto w niego. Miał remingtona 1100, półautomatyczną strzelbę dwunastkę, doskonałą na ptaki, w którą można było załadować do pięciu naboii. Potem, gdy Mick zmierzył odcinek dzielący drzwi od miejsca, w którym się znajdował, nie mógł wyjść z podziwu, jakim cudem człowiek o dobrym wzroku mógł chybić tak ogromny cel z odległości niecałych sześciu metrów. Fakt, że w owej chwili wykrwawiał się na śmierć, nie był w jego odczuciu żadnym usprawiedliwieniem.

Prawdę mówiąc, powodem zawahania się Micka był szok wywołany wyglądem intruza. Widok tego wychudzonego, bladego świra o głowie porośniętej kępkami włosów i twarzy przypominającej podziobaną kraterami tarczę Księżyca mógł zatrzymać pociąg towarowy. Stranahan gapił się przez ułamek sekundy, zamiast pociągnąć za spust.

Jak na kogoś, kto niezbyt przypominał żywego, Chemo poruszał się zaskakująco szybko. Gdy rzucił się w bok, pierwszy wystrzał remingtona upstrzył deszczem śrutu powierzchnię zatoki.

— Kurwa! — burknął Stranahan, gramoląc się na nogi.

Idąc w stronę drzwi, poślizgnął się w kałuży własnej krwi i upadł znowu, uderzając mocno prawym policzkiem o podłogę. Dokładnie w tej samej chwili Chemo wychylił się zza węgła i wypuścił długą serię z ingrama. Przetaczając się po lepkiej mazi, Mick odpowiedział ogniem.

Chemo zatrzasnął drzwi od zewnątrz, ponownie pogrążając wnętrze domu w ciemności. Stranahan usłyszał, jak mężczyzna biegnie na zewnątrz po pomoście otaczającym budynek. Wymierzył przez ścianę, wyobrażając sobie, że facet jest startującą przepiórką, i odpowiednio poprowadził lufę. Pierwszy strzał wywalił w drewnianej ścianie saloniku dziurę wielkości piłki do koszykówki. Drugi załatwił okiennicę w kuchni. Po trzecim (i ostatnim) na zewnątrz rozległo się stęknięcie i plusk.

— Christina! — zawołał Stranahan. — Szybko, pomóż mi wstać.

Ale kiedy dotarła do niego, czołgając się na gołych kolanach i łykając łzy, Mick właśnie stracił przytomność.

Chemo padł na wodę plecami. Zamachał nogami, aby upewnić się, czy nie został sparaliżowany. Prawdopodobnie oprócz kilku drzazg w skórze głowy wszystko z nim było w porządku. Doszedł do wniosku, że śrut musiał go chybić, a utratę równowagi spowodowała eksplozja tuż nad głową.

Odruchowo trzymał broń wysoko nad głową w prawej ręce i gorączkowo wiosłował lewą. Wiedział, że zanim Stranahan wyjdzie, musi znaleźć się pod osłoną domu. W przeciwnym razie będzie jak na patelni.

Zauważył, że z pistoletu maszynowego kapie woda, i domyślił się, iż musiał zamoczyć go w czasie upadku. Czy będzie nadal sprawny? I ile zostało mu jeszcze nabożów? Stracił rachubę. Martwił się tym, płynąc w stronę pali, na których stał dom.

Posługując się tylko jedną ręką, Chemo posuwał się irytująco wolno, wykazując skłonność do kręcenia się w kółko. Wściekły, zaczął machać ręką jeszcze gwałtowniej i taktyka ta zmniejszyła co prawda promień jego zakrętu, ale w najmniejszym stopniu nie zbliżyła do bezpiecznego ukrycia. Spodziewał się, że lada chwila zobaczy Stranahana wyskakującego na postument ze strzelbą.

Pod Chemem pojawił się w wodzie długi szaroniebieski cień, wiszący tam niczym zatopiony w szkle. Była to Liza, milcząca towarzyszką Stranahana, obudzona z popołudniowej drzemki dzikim zamieszaniem. Barrakuda w jej wieku jest stworzeniem o wyrafinowanym instynkcie i nienaganej precyzji działania, maszyną do pożerania bardziej wyrachowaną i skuteczną niż jakikolwiek rekin w oceanie.

Stopniowo wielka ryba zaczęła kojarzyć ludzkie działania z jedzeniem, a jej odruchy zostały zaprogramowane wprowadzonym przez Stranahana rytuałem karmienia czterokołcami.

Gdy Chemo miotał się na płycznach, barrakuda była już czujna i jej chłodne oczy spoglądały w górę z oczekiwaniem. Pokryte niebieskimi żyłami nogi, machające tuż koło jej głowy, konwulsyjna szamotanina nie przedstawiała żadnego niebezpieczeństwa. Jej uwagę zwróciło coś innego — znajome, rytmiczne pobłyskiwanie ogłuszonej ofiary na powierzchni.

Barrakuda zaatakowała, z prymitywną pasją uderzając z głębin. Cięła zębami, po czym wycofała się w stronę pali. Tam, pod domem, wielka ryba

wachlowała swymi purpurowymi skrzelami w coraz paskudniejszym nastroju. To, co uznała za łatwy kąsek w postaci czterokolca, okazało się czymś zupełnie innym i Liza wypluła to pogardliwie z pyska.

O solidności szwajcarskiej produkcji świadczył fakt, że gdy zegarek firmy Heuer opadł na dno, w dalszym ciągu chodził. Nieskazitelne srebrne i złote ogniwa jego bransoletki lśniły na przegubie odciętej bladej dłoni Chema sterczącej z morskiej trawy jak zgubiony fragment manekina.



## 14.

Na Washington Avenue znajdował się niewielki sklep, w którym sprzedawano protezy kończyn. Doktor Graveline udał się tam w czasie swojej przerwy na lunch i nabył cztery różne modele protez dłoni. Zapłacił gotówką i upewnił się, że otrzymał paragon.

Później, po powrocie do Whispering Palms, ułożył protezy w eleganckim rzędku na onyksowym blacie biurka.

— Co powiesz o tej? — zapytał Chemo.

— Jest piękna — odparł stanowczo Chemo. — Ale mam już podobną na drugiej ręce.

— Przepraszam — Rudy podniósł następny model. — A teraz popatrz na tę. Najwyższej klasy technika. Cztery tygodnie terapii i możesz używać tej dziecińki do ogłuszania.

— Nie ten kolor — oszacował Chemo.

Doktor spojrział na sztuczną dłoń i pomyślał: oczywiście, że kolor jest niewłaściwy, w s z y s t k i e mają nieodpowiednie zabarwienie.

— Cholernie trudno dobrać — wyjaśnił. — Wybierałem najbledsze.

— Nie cierpię ich wszystkich — oznajmił Chemo. — A poza tym, dlaczego musi to być ręka?

— Żaden mechaniczny chwytak też ci się nie podobał — przypomniał mu Graveline. — Chociaż tymi najnowocześniejszymi modelami można załadować pistolet, a nawet pisać na maszynie. Ty jednak powiedziałeś „nie”.

— I słusznie.

Rudy odłożył protezę i rzekł:

— Wolalbym, żebyś nie rozmawiał ze mną takim tonem. Robię, co mogę.

— O, tak.

— Posłuchaj, czy nie radziłem ci, żebyś poszedł do specjalisty?

— A czy ja ci nie mówiłem, że masz świra? Gliniarze zaczną wszędzie węszyć.

— No dobrze. — Rudy przybrał uspokajający ton. — Nie kłóćmy się.

Minęły już trzy tygodnie od dnia, w którym Chemo pojawił się za zabudowaniami Whispering Palms na pokrytym smugami krwi skuterze wodnym i widoku tego doktor Rudy Graveline nie zapomni do końca życia.

Było to w czasie popołudniowej konsultacji udzielanej pani Carli Crumworthy, spadkobierczyni imperium Wzmocnionych Majtek Crumworthy'ego. Przyszła złożyć reklamację w sprawie wykonanych przez Rudy'ego zastrzyków z kolagenu, które miały spowodować, że jej wargi będą pełne i namiętne, czyli takie, jakie musi mieć każda zreumatyzowana siedemdziesięcioletnia kobieta.

Pani Crumworthy narzekała, że rezultaty zupełnie nie spełniły jej oczekiwań i że obecnie przypomina raczej przedstawioną w „National Geografie” jedną z kobiet plemienia Ubangi; tych, które mają osadzone w wargach ceramiczne talerzyki.

Prawdę mówiąc, doktor Graveline zaniepokoił się nieco, ponieważ istotnie wargi starszej damy były baniaste, niezgrabne i twarde jak kamienie. Zachowując wątpliwości dla siebie, Rudy zastanawiał się, czy wstrzyknął za dużo, czy też za mało kolagenu albo czy może zrobił to w niewłaściwych miejscach. W każdym razie wynik był bezsporny — pani Carla Crumworthy wyglądała jak kaczka z dziobem wymalowanym fiołkoworóżową szminką.

Doktor Graveline przerzucał właśnie kartki wiernego notatnika w poszukiwaniu kolegi o miękkim sercu, gdy nagle pacjentka zerwała się na równe nogi i wrzasnęła. Wskazując na panoramiczne okno wychodzące na zatokę Biscayne, starsza pani bełkotała z przerażeniem, miękko kłapiąc wielkimi, zniekształconymi wargami. Rudy nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

Odwrócił się i spojrział przez okno. Żółty skuter wodny leżał na boku, na wodzie zatoki. Natomiast Chemo, mokry i goluteńki, jakimś cudem wczółgał się na wał nadmorski tuż za kliniką. Nie wyglądał wystarczająco dobrze, aby być trupem. Jego szare ramiona dygotały gwałtownie w słońcu, a oczy były ledwo widoczne przez opuchnięte sine szczeliny powiek.

Chemo pomachał zakrwawionym kikutem, aby pokazać doktorowi, co się stało z jego lewą dłonią. Dziarskim gestem wskazał wykonaną z majtek elastyczną opaskę uciskową na przegubie, która, jak przyznał później Rudy, zapewne uratowała mu życie.

Panią Carlę Crumworthy szybko przeniesiono do prywatnej sali poza-biegowej i nafaszerowano środkami uspokajającymi, podczas gdy Graveline i dwóch młodych chirurgów zaprowadzili Chema do sali operacyjnej. Asystenci utrzymywali, że przypadek powinien zostać przekazany na oddział urazowy w prawdziwym szpitalu, ale pacjent stanowczo się sprzeciwił. Lekarze nie mieli więc szczególnego wyboru. Mogli tylko albo operować, albo pozwolić mu się wykrwawić na śmierć.

Rudy, któremu łagodnie wyperswadowano udział w operacji, z radością pozwolił młodszemu kolegom przeprowadzić zabieg. Sam natomiast wdał się w luźną pogawędkę z Chemem, który odmówił ogólnej narkozy na rzecz staroświeckiej dożylniej porcji demerolu.

Od tego wieczoru rekonwalescencja Chema przebiegała szybko i we względnym luksusie, ponieważ cały personel Whispering Palms otrzymał polecenie, by spełniać wszystkie jego życzenia. Sam Graveline zachowywał się niezwykle opiekuńczo, jako że obecnie oddanie Chema było mu bardziej potrzebne niż kiedykolwiek. Miał nadzieję, że humor zabójcy ulegnie poprawie, gdy dowie się o możliwości zrekonstruowania jego skróconej lewej ręki.

— Nowa dłoń — oznajmił Rudy — będzie poważnym krokiem na drodze powrotu do normalnego życia.

— Nigdy nie prowadziłem normalnego życia — zauważył Chemo.

Wiedział, że będzie mu brakowało dłoni, ale bardziej wkurzał go fakt utraty drogiego zegarka.

— Jaki mam wybór? — spytał dryblas.

— O co ci chodzi?

— No, poza tymi dzyngsami. — Z pogardą machnął kikutem w stronę protezy.

— Cóż — zaczął Rudy. — Szczerze mówiąc, nic mi nie przychodzi do głowy. — Zgarnął protezy z biurka i umieścił je z powrotem w pudełku. — Powiedziałem ci, że to nie moja działka — poinformował Chema.

— Wciąż próbujesz podrzucić mnie innym chirurgom, ale nic z tego. Albo ty, albo nikt.

— Doceniam twoje zaufanie — odparł Rudy. Pochylił się do przodu i nałożył okulary.

— Czy mogę cię zapytać, co masz na twarzy?

— To puder w kremie — wyjaśnił Chemo.

Po dłuższej chwili doktor Graveline odzyskał mowę.

— Czy mógłbym zapytać...

— Idę później do klubu. Chciałem jakoś zakryć te cholerne placki.

Kierując się współczuciem, Rudy zgodził się doprowadzić do porządku kilka dalszych kwadracików na brodzie Chema.

— Zasmarowałaś je pudrem w kremie?

— Twoja sekretarka pożyczyła mi flakonik. Kolor jest w sam raz. Doktor odchrząknął.

— To nie jest odpowiednia rzecz dla twojej skóry. Pozwól, żebym przepisał ci łagodną maść kosmetyczną.

— Daj spokój — machnął rękę Chemo. — Puder doskonale wystarczy. A teraz, co z tym nowym urządzeniem do mojej ręki? — Prawą dłonią wskazał zabandażowaną kończynę.

Graveline złożył ręce na brzuchu. Był to gest świadczący o wewnętrznym luzie, który niemal ociekał zawodową pewnością siebie.

— Jak już wspominałem, omówiliśmy większość konwencjonalnych rozwiązań...

— Nie mam ochoty na terapię — przerwał mu Chemo. — Chcę coś łatwego w użyciu, coś praktycznego.

— Rozumiem.

— I trwałego.

— Oczywiście.

— Nie chciałbym też, żeby ludzie się gapili.

Cudownie, pomyślał Rudy. Jednoręki palant o wzroście ponad dwa

metry, z twarzą wypačkaną pudrem w kremie nie życzy sobie, żeby ludzie mu się przyglądali.

— I co o tym sądzisz? — nalegał Chemo.

— Sądzę — oznajmił doktor Rudy Graveline — że powinniśmy odwołać się do naszej wyobraźni.

Detektyw John Murdock pochylił swoją prosiakowatą przysadzistą postać nad poręczą łóżka szpitalnego i warknął:

— Obudź się, kutasie.

Co było jego w miarę standardowym powitaniem. Mick Stranahan nie otworzył oczu.

— Wynoście się stąd! — poleciła Christina Marks.

Detektyw Joe Salazar zapalił camela i stwierdził:

— Nie wyglądasz mi na pielęgniarkę. Od kiedy to siostrzyczki noszą niebieskie dzinsy?

— Słuszna uwaga — potwierdził John Murdock. — Coś mi się wydaje, że właśnie ty powinnaś stąd spadać.

— Tak — poparł go Salazar. — Mamy oficjalną sprawę do tego człowieka.

Salazar był równie niski jak jego partner, ale budową przypominał raczej znak stopu. Płaska czerwona gęba na cienkim, patykowatym korpusie.

— Już wiem, kim jesteście — powiedziała Christina. — Murdock i Salazar, przekupne gliny.

Mick o mało nie parsknął śmiechem, ale nadal trzymał powieki zamknięte, udając, że śpi.

— A my wiemy, na kogo trafiliśmy — odparł Murdock. — Oto ktoś w rodzaju Lily Tomlin.

— Jasne — zawtórował mu Salazar, choć nie miał pojęcia, o kim jego partner mówi. Uznał, że chodzi o kogoś, kogo razem aresztowali. — Jasne — powtórzył. — Prawdziwa Lily Thomas.

— Ten człowiek śpi — rzekła Christina. — Dlaczego nie wróćcie tu kiedy indziej?

— A może byś, siostrzo, poszła zmienić sobie tampon czy coś podobnego? — burknął John Murdock. — Mamy tu sprawę.

— Mamy pytania — dodał Joe Salazar.

Gdy wyjął z ust camela, Christina spostrzegła, że koniec papierosa jest mokry i zzuty.

— Byłam tam, gdy wszystko się stało, możecie więc zapytać mnie — oznajmiła.

Salazar wyciągnął z kieszeni marynarki kserokopię raportu patrolu morskiego na temat wypadku, rozłożył go i lepkiem brązowym paluchem przesuwiał po stronie, dopóki nie natrafił na prostokąt z napisem „Świadkowie”.

— A więc to ty jesteś C. Marks?

— Tak.

— Szukaliśmy cię po całym hrabstwie Dade. Dwa-trzy tygodnie.

— Zmieniłam hotel — wyjaśniła.

Przeniosła się z Key Biscayne do Grove, żeby być bliżej szpitala. Starszy stopniem John Murdock wziął krzesło z kąta pokoju, obrócił je i usiadł na nim okrakiem.

— Zupełnie jak w kinie — zauważyła Christina. — Czy lepiej ci się myśli, trzymając w ten sposób nogi?

Murdock spojrział na nią pośpiesznie.

— A co powiesz, jeżeli wrzucimy twoją śliczną dupcię do dołka dla bab? Tylko ty i te wszystkie dziwki. Może znajdzie się też para lesbijek.

— Nauczysz się grzeczności — dodał Joe Salazar. — I to jeszcze nie wszystko.

Christina uśmiechnęła się spokojnie.

— A ja sądziłam, że chcielibyście, chłopcy, uciąć przyjacielską pogawędkę. Może wezwę szpitalną ochronę i powiadomię ich, co się tu dzieje. A potem zadzwonię do gazet...

Lepiej niech uważa, pomyślał Stranahan. Te typy nie są tak głupie, jak na to wyglądają.

— Kiedyś zapuszkowaliśmy wielką lesbiję, która wyglądała dokładnie jak Kris Kristofferson — oświadczył Murdock. — Nie żartuję, miała dokładnie takie samo owłosienie. I była wredna jak żbik.

— Stawianie oporu przy użyciu przemocy, dwa wyroki — przypomniał Salazar. — Na dokładkę zabójstwo.

— Morderstwo — potwierdził Murdock. — Jezu, ale jatka. Nie mogę nawet o tym myśleć. Nie przed samym lunchem.

— Użyła węża pożarniczego — wyjaśnił Salazar.

— No, już dosyć — uciął Murdock. — W każdym razie zdaje się, że wciąż siedzi u nas w dołku. Mówię o tej, co wygląda jak Kristofferson. Chyba prowadzi kółko teatralne.

— Lubi pani teatr, panno Marks? — zapytał Salazar.

— Jasne — odparła Christina. — Ale wolę telewizję. Czy byliście kiedyś w telewizji? Może słyszeliście o programie Reynalda Flemma?

— No pewnie — przyznał z podnieceniem Joe Salazar. — Kiedyś widziałem, jak banda Teamstersow skopała mu dupę. Pokazali nawet w zwolnionym tempie.

— A więc o tego dupka chodzi — mruknął Murdock.

— Wreszcie doszliśmy do porozumienia — stwierdziła Christina. — Niestety, przypadkiem jest moim szefem. Przybyliśmy tu, żeby nakręcić reportaż.

Obydwaj detektywi popatrzyli po sobie starając się ustalić plan. Salazar zagrał na zwłokę, przypalając następnego camela.

Mick Stranahan przypuszczał, że teraz się wycofają, po prostu na wszelki wypadek. Żaden z tych cwaniaków nie miał ochoty obejrzeć swojej gęby w telewizyjnym programie nadawanym w najlepszej porze.

— Proszę więc opowiedzieć nam, co się stało — odezwał się Murdock.

Salazar stał w pustym kącie, opierając tłusty łeb o ścianę.

— Macie fotograficzną pamięć, czy też wolelibyście robić jakieś notatki? — rzuciła ironicznie Christina.

Murdock skinął na partnera, który ze złością zdusił papierosa i wyciągnął z kieszeni marynarki wymięty notatnik.

Zaczęła od tego, co zobaczyła ze sterówki łodzi Joeya — wysokiego mężczyznę z pistoletem maszynowym na skuterze wodnym. Następnie opisała, jak Stranahan pozamykał dom i jak nieznajomy facet zaczął strzelać do narożników budynku. Później zrelacjonowała, jak Mick został ranny w ramię i jak strzelał w odpowiedzi, dopóki nie zemdlął. Wyjaśniła, że usłyszała na zewnątrz plusk, a potem straszny krzyk.

Dziesięć lub piętnaście minut później ktoś włączył skuter wodny, ale była zbyt przerażona, aby podejść do okna. Dopiero gdy wycie silnika prawie ucichło w oddali, zerknęła przez dziury po pociskach w drzwiach wejściowych, aby sprawdzić, czy napastnik zniknął. Przekonawszy się, że tak,

zwłokła Stranahana po schodach do zacumowanej łodzi i zapuściła silników końcu wspomniała, o tym, jak na wpół przytomny Mick wskazał jej na drugą stronę zatoki i wyjaśnił, gdzie znajduje się duży szpital. Gdy dopłynęli na miejsce, na dnie łodzi było tyle krwi, że wylewała ją kubkiem do kawy. Kiedy Christina skończyła, detektyw John Murdock oznajmił:

— Wspaniała historia. Jestem pewien, że „Argosy” rzuciłyby się na nią.

Joe Salazar przekartkował notes i rzekł:

— Być może coś przepuściłem, proszę pani. Chyba nie usłyszałem wyjaśnień, dlaczego w ogóle znalazła się pani w domu Stranahana. Gdyby zechciała pani powtórzyć...

— Tak, ja również nie zauważyłem — przytaknął Murdock.

— Z przyjemnością wyjaśnię, po co się tam zjawiłam — odparła Christina. — Pan Flemm chciał przeprowadzić wywiad z panem Stranahanem do najbliższej audycji, lecz pan Stranahan odmówił. Popłynęłam do niego, licząc na to, że spowoduję zmianę jego decyzji.

— No jasne! — parsknął Salazar.

— Joe, bądź grzeczny — upomniał go partner. — Proszę mi wytłumaczyć, panno Marks, dlaczego chcieliście robić wywiad z jakimś przygłupem? Przecież to nikt. Od lat już nie pracuje w biurze prokuratury.

Udając w dalszym ciągu nieprzytomnego, Mick zastanawiał się, jak daleko Christina Marks się posunie. Miał nadzieję, że niezbyt.

— Wywiad związany był z reportażem, nad którym obecnie pracujemy, i tylko tyle mogę powiedzieć.

— O rany, chyba nie dotyczy morderstwa? — zauważył Murdock.

— Doprawdy nie mogę...

— Ponieważ my, ja i Joe, zajmujemy się właśnie przede wszystkim morderstwami...

— Pomogłam panom w takim stopniu, w jakim to było możliwe — oświadczyła dziewczyna.

— I była pani zupełnie cudowna — stwierdził Murdock. — Na dobrą sprawę prawie zapomniałem, po co tu przyszliśmy.

— Tak — przytaknął detektyw Joe Salazar. — Wprawdzie nie może nam pani odpowiedzieć na nasze pytania, ale mimo wszystko dziękujemy.



Murdock odsunął krzesło z powrotem w kąt.

— Widzi pani, musimy pogadać z tym Ripem van Rambo. Sądzę więc, że lepiej będzie, jeżeli pani sobie pójdzie. — Uśmiechnął się pierwszy raz od chwili wejścia do pokoju. — I przepraszam za ten żarcik na temat Kotexu. Przyznaję, że nie zachowałem się zbyt profesjonalnie.

— Mówiłeś o tamponie — przypomniał mu Joe Salazar.

— Mniejsza z tym.

— Ani myślę opuszczać pokój — oświadczyła Christina Marks. — Stranahan dochodzi do zdrowia po poważnej ranie postrzałowej i nie powinniście go niepokoić.

— Rozmawialiśmy z lekarzem...

— Kłamie pan.

— No dobra, prosiliśmy, żeby zadzwonił w tej sprawie. Facet się nie odezwał.

Salazar podszedł do szpitalnego łóżka i oznajmił:

— Wcale nie wygląda tak źle. W każdym razie trzy tygodnie to kupa czasu. Obudź go, Johnny.

— Róbcie, co chcecie — oświadczyła Christina.

Wyjęła z torby adwokacki notatnik, przygotowała cienkopis i usiadła, szykując się do pisania.

— Co, u diabła, pani robi? — zapytał Salazar.

— Nie zwracaj na nią uwagi — polecił Murdock. Pochylił się tuż nad twarzą chorego i zawołał śpiewnie:

— Miick? Mick, stary kumplu. Obudź się!

Stranahan mruknął jak przez sen, wydmuchując nieświeży, gorący oddech prosto w twarz Murdocka.

— Rany boskie! — burknął detektyw, odwracając głowę.

— Johnny, słowo daję, że on wcale nie śpi — zapewniał Salazar. Złożył dłoń przy uchu Micka i wrzasnął:

— Hej, kutasie, nie śpisz?!

— Proszę przestać — skarciła go Christina.

— Wiem, w jaki sposób się przekonać — upierał się Salazar. — Złap go za fiuta. Jeżeli śpi, nie zareaguje. W przeciwnym razie podskoczy na tym pieprzonym łóżku na wysokość trzech metrów.

— Eee tam, chyba masz świra — stwierdził Murdock.

— Myślisz, że pozwoliliby ci dotknąć fujary, gdyby nie spał? Mówię ci, Johnny, to najlepszy sprawdzian.

— No dobra, zrób tak.  
— O nie, rzucimy monetą.  
— Odpieprz się, Joe. Nie będę go łapał za jaja. Firma mi za to nie płaci. Stranahan leżał nieruchomo i myślał: Dobra, Johnny, trzymaj się przepisów.

Siedząca w kącie Christina oświadczyła:

— Tknijcie go tylko palcem, a dopilnuję, żeby pan Stranahan wypuścił was z sądu gołych jak święci tureccy. Gdy tylko się obudzi.

— No, no, bez tych starych sztuczek, proszę — roześmiał się Salazar.

— Spranie jakiegoś palanta na ulicy to jedno — ciągnęła — a chwytanie mężczyzny za genitalia w chwili, gdy leży nieprzytomny na szpitalnym łóżku... Spróbujcie dać związkowi taki numer do rozgryzienia. Będziecie mogli, panowie, pożegnać się ze swoimi emeryturami na zawsze.

Murdock popatrzył na dziewczynę z rozgoryczeniem.

— Kiedy się obudzi, niech mu pani coś przekaże. Niech mu pani koniecznie powie, że wiemy, iż utopił swoją byłą żonę, żeby nie był zdziwiony, gdy pojawimy się w Osadzie z nakazem aresztowania. Niech mu też pani doradzi, żeby — jeśli jest sprytny, sprzedał swój dom, bo kiedy będzie siedział w Raiford, jakiś sztorm może mu go zdmuchnąć.

Z beznamiętną miną zawodowej sekretarki Christina zapisała w notatniku każde słowo. Murdock parsknął i wymaszerował za drzwi. Joe Salazar ruszył dwa kroki za nim, chowając własny notes i wyciągając nowego camela.

— Powinna pani — oznajmił kącikiem ust — nauczyć się odrobiny szacunku dla władzy.

W ten weekend w „Wesołym Bidecie” grała osławiona punkowa kapela „Partoleni Pakowacze”. Freddiemu wcale się nie podobali. Co noc wybuchały bójki — skini, Latynosczy Królowie, Grajki z 34 Ulicy. Freddie nie mógł tego zrozumieć — po co łysole i meksy w ogóle przychodzili na taką kapelę? Zazwyczaj okazywali lepszy gust.

„Pakowacze” byli po prostu obrzydliwi — cztery pieprzone gitary basowe,

co to za muzyka? Nic dziwnego, że wszyscy się naparzali — przynajmniej nie słyszeli tego hałasu.

Ponieważ Chemo zniknął, Freddie wynajął nowego bramkarza. Miał na imię Eugene i kiedyś grał w Światowej Lidze Futbolu. Był zupełnie w porządku, wielki jak szafa, ale nie potrafił zwrócić na siebie uwagi klientów tak jak Chemo. No i był powolny. Czasami zejście ze sceny i nabicie guzów na kilku łbach zajmowało mu całe pięć minut. W porównaniu z nim Chemo poruszał się jak kot.

Freddiego martwiło również oblatanie Eugene'a w prawie związkowym. Już po tygodniu pracy w „Wesołym Bidecie” nowy bramkarz zaczął się skarżyć, że muzyka jest za głośna, i pytał, czy nie można by jej trochę przyciszyć. Chyba żartujesz, odparł Freddie. Przyciszyć?! A Eugene na to, że tak, do cholery, pękają mu pieprzone bębenki w uszach, a jeżeli uszy będą go dalej bolały, może ogłuchnąć i wystąpić ze skargą o utratę zdrowia.

Wtedy Freddie zapytał, co to takiego. I Eugene zaczął opowiadać o obrażeniach odniesionych w czasie gry w futbol, a później jakieś pierdoły na temat tego, co mu się stało, kiedy pracował na budowie w Homestead. Wyjaśnił Freddiemu, jak zawsze dbały o niego związki i jak kiedyś leżał sześć tygodni z poważnym naciągnięciem pachwiny i dostawał regularnie czeki z wypłatą. Nie zabrakło ani jednego.

Freddie nie bardzo wierzył w tę historię. Miał wrażenie, że coś takiego mogło się zdarzyć tylko w komunistycznej Rosji. W każdym razie, kiedy Chemo powrócił do pracy, szczerze się uradował.

— Eugene, jesteś wylany — oświadczył. — Zabieraj swoją pachwinę gdzie indziej.

— Co? — zapytał Eugene, pochylając głowę i przysuwając się bliżej.

— Nie wstawiaj mi kitu, że ogłuchłeś — ostrzegł go szef. — A teraz spadaj.

Idąc w stronę biura Freddiego, Eugene przyjrzał się swojemu patrzącemu z góry następcy i zapytał:

— Człowieku, co ci się stało?

— Wypadek przy pracach ogrodniczych — odparł Chemo.

Eugene skrzywił się ze współczuciem i się pożegnał. Freddie odwrócił się do Chema.

— Dzięki Bogu, że wróciłeś. Aż się boję spytać.

— Nie ma sprawy. Pytaj.  
— Chyba nie — zrezygnował pracodawca. — Powiedz mi tylko, dobrze się czujesz?

Chemo skinął głową.

— Doskonale. Ta nowa kapela brzmi jak rzygi.

— Taa, wiem — przytaknął Freddie. — Rany, powinienes zobaczyć, jaki tłum. Uważaj.

— Jestem przygotowany — zapewnił Chemo.

Uniósł lewą rękę, aby pokazać szefowi nowe urządzenie. Razem z doktorem Graveline'em znaleźli je na wyprzedazy w sklepie z narzędziami „Czysty Zysk”.

— Boże! — westchnął Freddie, wytrzeszczając oczy.

— Przerobiono mi go specjalnie na sześciowoltowy akumulator — wyjaśnił Chemo. Poklepał wypukłość pod pachą. — Umocowany bandażem elastycznym. Tyle że waży trzy kilo.

— Sprytne — pochwalił Freddie, myśląc jednocześnie: Słodki Jezu, przecież to nie może być to, o czym myślę.

Z nakładki na amputowanej kończynie Chema sterczał krótki kawałek anodyzowanej aluminiowej rurki. Do jej końca przyśrubowany był wykonany z twardego plastyku czerwony dysk o wymiarach spodeczka pod filiżankę. Na trzpieniu pod dyskiem znajdował się ściśle owinięty krótki odcinek żyłki wędkarskiej o wytrzymałości czterdziestu kilo.

— No dobra — rzekł Freddie — teraz jednak cię zapytam. Coto?

— To Niszczyciel Chwastów — oznajmił Chemo. — Kapujesz?

George Graveline był opalony, powykrzywiany i żyłasty, miał szerokie ramiona i równie szerokie baczki w stylu Elvisa Presleya.

Wcale nie zazdrościł swojemu bratu, chirurgowi plastycznemu. Uważał, że Rudy zasługuje na wszystko, co najlepsze w życiu, ponieważ chodził do college'u przez całą chyba wieczność. Zdaniem George'a żadne bogactwa tego świata nie były warte siedzenia przez tyle lat z rzędu w dusznej klasie. Poza tym kochał swoją pracę polegającą na strzyżeniu drzew. Kochał też zapach trocin i świeżej żywicy, uwielbiał gazować żółte gniazda os, kochał całą tę cholerną przyrodę. Na Florydzie nawet zimy były paskudnie upalne, ale do wszystkiego można się przyzwyczać. George Graveline w całym swoim życiu przestrzegał dewizy: „Zawsze parkuj w cieniu”.

Niezbyt często widywał bogatego braciszka, ale uważał, że wszystko jest w porządku. Doktor Rudy był zajęтым człowiekiem, podobnie zresztą jak George. W Miami dobry przystrzygacz drzew zawsze miał pełne ręce roboty — wszystko rosło w kółko przez okrągły rok, właściwie nie było pór roku ani czasu na wypoczynek. Zazwyczaj trzeba się było zajmować czarnymi oliwkami i zwykłymi fikusami, ale w ich wypadku kłopot sprawiały nie gałęzie, lecz korzenie. System korzeniowy dwudziestoletniego fikusa mógł połknąć całe nowojorskie metro i jego karczowanie było prawdziwym cholerstwem. Poza tym były egzotyczne drzewa — sosny australijskie, mela-leukasy i te przekłete brazylijskie drzewa pieprzowe, mylnie nazywane

ostrokrzewami. Rosły jak grzyby po deszczu, ale George je lubił, ponieważ korzenie miały słabe i dwóch ludzi mogło je wyrwać z ziemi bez trudu. Najbardziej jednak lubił, gdy ktoś chciał, aby mu przystrzygł drzewa pieprzowe. Niezmiennie okazywało się, że klient dopiero przybył na Florydę, a tacy nowicjusze nie mieli serca albo zdrowego rozsądku, aby zabić żywe drzewo. Zwracali się więc do George'a Greveline'a, żeby łaskawie trochę je przystrzygł, na co George odpowiadał, że jasne, nie ma sprawy, dobrze wiedząc, że za trzy miesiące drzewka rozrosną się jeszcze bardziej niż poprzednio i jak amen w pacierzu zaduszą ich ukochanego hibiskusa. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że drzewa pieprzowe dobrze rozkręcały interes.

Rankiem dziesiątego lutego George Graveline i jego pracownicy wycinali szpaler australijskich sosen niedaleko Krome Avenue, gdzie przygotowywano miejsce pod nowe więzienie federalne o średnim stopniu zabezpieczenia. Ani on, ani jego ludzie bynajmniej się nie przemęczali, ponieważ był to kontrakt rządowy i nikt nigdy nie fatygował się, by skontrolować pracę. George zaparkował jak zwykle w cieniu, jadł kanapkę z rostbefem i popijał dużego budweisera. Drzwi od strony kierowcy w jego ciężarówce były otwarte i radio włączone na stację z muzyką country, chociaż słyszał melodię jedynie w przerwach między falami zgrzytliwego ryku wydobywającego się z rozdrabniarki do drewna przymocowanej do tylnego zderzaka. Urywane wycie maszyny wcale mu nie przeszkadzało, przyzwyczaił się, że słyszy przez radio jedynie fragmenty piosenki Merle Haggard, i pozwalał swej wyobraźni wypełniać luki w muzyce.

W chwili gdy właśnie kończył kanapkę, spojrzął we wsteczne lusterko i zauważył wielkiego mężczyznę z jedną ręką na temblaku. Facet miał na sobie niebieskie dżinsy, buty z wysoką cholewką i flanelową koszulę z odciętym lewym rękawem. Stał koło rozdrabniarki i obserwował, jak brygadzista wrzuca obrzynki sosny do stalowej paszczy.

George odwrócił się i zawołał:

— Hej, nie tak blisko!

Mężczyzna posłusznie zrobił krok do tyłu.

— Kawał maszyny — oznajmił, wskazując rozdrabniarkę. — Wygląda na nowiutką.

— Mam ją od kilku lat — wyjaśnił George. — Szukasz pracy?  
— Nie — odparł facet. — Nie z tym przetrąconym łapskiem. Właściwie szukam szefa. George'a Graveline'a.

George obtarł z rąk sos mięsny.

— To ja — powiedział.

Brygadzysta wrzucił do maszyny kolejną sosnową gałąź. Gość poczekał, aż wycie ucichnie, i przedstawił się:

— George, nazywam się Mick Stranahan.

— Cześć, Mick. — George wyciągnął prawą rękę i Mick nią potrząsnął.

— George, nie znamy się, ale mimo to chciałbym z tobą pogadać. Jak mężczyzna z mężczyzną.

— Nie ma sprawy.

— Na temat twojego braciszka.

— Rudolpha? — George z namysłem złożył na piersi swoje wielkie łapska.

— Tak, George — potwierdził Stranahan. — Widzisz, Rudy ostatnio próbuje mnie zabić.

— Co?

— Możesz uwierzyć? Najpierw wynajął jakiegoś gangstera, żeby załatwił kontrakt, a teraz wynalazł najwyższego na świecie białego faceta z najgorszym na świecie przypadkiem trądzika. Przyznam ci się szczerze, że trochę jestem tym wkurzony. — Stranahan spojrział na temblak. — To mi zrobiono z pistoletu maszynowego kalibru zero czterdzieści pięć. George, czy na moim miejscu też byś się nie wnerwił?

Graveline przesunął językiem wewnątrz ust, jakby poszukiwał zgubionej prymki Red Man. Brygadzysta jak automat pakował kawały drewna do rozdrabniarki, która wypluwała trociny i szczapki. Stranahan zaproponował George'owi gestem, żeby wsiedli do ciężarówki i porozmawiali tam we względnej ciszy.

Mick usiadł na miejscu pasażera i przyciszył muzykę country.

— Słuchaj pan — oświadczył George. — Nie wiem, kim pan jesteś, ale...

— Powiedziałem już, kim jestem.

— Tylko jak się pan nazywa.

— Jestem prywatnym detektywem, George, jeżeli już chcesz wiedzieć.

Kilka lat temu pracowałem w prokuraturze stanowej. Przeważnie nad sprawami o morderstwo.

Graveline nawet nie mrugnął, tylko gapił się na niego jak ropucha. Mick odniósł wrażenie, że facet ma zamiar mu przyłożyć.

— Zanim zrobisz coś głupiego, George, posłuchaj mnie przez chwilę.

George wychylił się przez drzwi ciężarówki i ryknął do brygadzysty, żeby zrobili sobie przerwę na lunch. Wycie maszyny ucichło i nagle obu mężczyzn spowiła cisza.

— Dziękuję — rzekł Stranahan.

— Gadaj pan.

— Dwunastego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku twój brat przeprowadzał operację młodej kobiety, która nazywała się Victoria Barletta. Stało się coś strasznego, George, i dziewczyna umarła na stole operacyjnym.

— Nic podobnego.

— Twój braciszek Rudy wpadł w panikę. Już miał kupę kłopotów ze swoją stanową licencją na wykonywanie zawodu, a zabicie pacjenta, no cóż, to zupełnie nie do przyjęcia. Nawet na Florydzie. Sądzę, że Rudy był przerażony jak cholera.

— Pieprzysz głupoty — oznajmił George.

— Sprawa dotarła do mojego biura jako porwanie z możliwością zabójstwa. Wszyscy uważali, że dziewczynę porwano z przystanku autobusowego przed kliniką twojego brata, ponieważ tak właśnie nas poinformował. Ale teraz, George, wypłynęły nowe fakty.

— Jakie fakty?

— Niezwykle obciążające — wyjaśnił Mick. — I z jakiegoś powodu twój braciszek sądzi, że dotarły one do mnie. Ale tak nie jest, George.

— W takim razie powiem mu, żeby zostawił cię w spokoju.

— Bardzo miło z twojej strony, George, lecz obawiam się, że sprawa nie przedstawia się tak prosto. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Wystarczy, że popatrzysz na moje cholerne ramię.

— Hmm — mruknął ogrodnik.

— Wracając do tej młodej kobiety — ciągnął Stranahan. Jej ciała nigdy nie znaleziono. Żadnego śladu. Bardzo niezwykle przypadek.

— Rzeczywiście?



- Tak, rzeczywiście.
- A więc?
- A więc czy przypadkiem nie wiesz, co się z nim stało?
- Jesteś cholernie bezczelny — stwierdził George.
- Tak, chyba tak. Ale co z odpowiedzią na moje pytanie?
- Może to? — zapytał George, sięgając do jego gardła.

Zdrową ręką Mick przechwycił niezgrabny atak Graveline'a. Schwycił gruby kciuk ogrodnika i wykręcił go elegancko ze stawu. Rozległ się słabo słyszalny odgłos przypominający otwarcie butelki zwietrzałego szampana; facet tylko pisnął i krew odpłynęła mu z twarzy. Stranahan puścił obwisły purpurowy palec i George zacisnął go między kolanami, próbując stłumić w ten sposób ból.

— Strasznie mi przykro, chłopie — rzekł Mick.

Graveline jakoś się pozbierał i wykrztusił:

— Wynoś się stąd!

— Czy nie chcesz posłuchać dalszego ciągu historyjki, którą zamierzam opowiedzieć glinom? O tym, jak wrzuciłeś ciało tej biednej dziewczyny do rozdrabniarki tylko dlatego, aby ocalić tyłek swojemu braciszкови?

— Spadaj! — wrzasnął George Graveline. — Zanim cię zastrzelę.

Stranahan wysiadł z ciężarówki, zamknął drzwiczki i oparł się o otwarte okno.

— Coś mi się wydaje, że reagujesz przesadnie — oznajmił. — Słowo daje.

— Spierdalaj — wyjąkał w odpowiedzi George.

— Doskonale — ustąpił Mick. — Mam tylko nadzieję, że nie będziesz równie nieuprzejmy dla policji.

Christina Marks z lękiem myślała o swoim ponownym spotkaniu z Reynaldem Flemmem. Nastąpiło ono o wpół do pierwszej w holu hotelu „Sonesta”.

— Zrobiłeś coś ze swoimi włosami — zauważyła.

— Zapuściłem je trochę — odparł z zażenowaniem Flemm. — A właściwie gdzie się podziewałaś? Co to za wielki sekret?

Christina nie mogła określić, na czym polega zmiana w jego wyglądzie. Obeszła go dwukrotnie, przyglądając się bacznie.

- Ray, nikomu włosy nie rosną tak szybko.
- Minęło parę tygodni.
- Ale przecież sięgają ci aż do ramion.
- I co z tego?
- I są żółte.
- Blond, do diabła.
- I takie... kręcone.

Reynaldo Flemm oświadczył sztywno:

- Nadeszła pora na stworzenie nowego *image'u*.

Christina przesunęła palcami po jego lokach i orzekła:

- To pieprzona peruka.
- Dziękuję, Agatho Christie.
- Nie obrażaj się. Chyba mi się nawet podoba.
- Naprawdę?

Po wizycie w Whispering Palms pogrążony w rozpacz z powodu swojej aparycji Reynaldo Flemm polecił z powrotem do Nowego Jorku na konsultację ze znanym specjalistą od kolorystyki. Ten powiedział mu, że blond włosy zapewnią mu o dziesięć lat młodszy wygląd. Potem facet od makijażu z ABC poinformował Flemma, że długie włosy spowodują, iż jego nos będzie sprawiał wrażenie cieńszego, natomiast kręcone długie włosy odejmą mu przed kamerą dziesięć kilo w pasie.

Uzbrojony w te porady ekspertów, Reynaldo odszukał perukarskiego stylistę Tiny Turner, który wprawdzie miał zajęte wszystkie terminy, ale z radością polecił mu swojego obiecującego młodego protegowanego w rejonie Soho. Młody stylistę imieniem Leo udał, że poznaje Flemm z telewizji, i to wystarczyło, aby zaskarbić sobie uznanie klienta. Reynaldo przekazał Leowi ogólną wskazówkę na temat tego, czego chce, i stylistę pokazał mu kosztującą siedemset dolarów perukę przypominającą świeżo zerwany skalp piosenkarza rockowego Roberta Pianta. Albo Dyana Cannona.

Reynaldo nie dbał o takie szczegóły. Znalazł dokładnie ten *image*, którego poszukiwał.

- Chyba mi się podoba — powtórzyła Christina Marks. — Tylko będziemy musieli coś zrobić z twoimi portorykańskimi wąsami.
- Wąsy zostaną — oświadczył Flemm. — Mam je od czasu mojej

pierwszej panienki. — Położył dłonie na ramionach Christiny. — A teraz może byś mi wyjaśniła, co się tu, u diabła, dzieje? Christina po raz ostatni rozmawiała z Reynaldem w dniu, w którym postrzelono Micka, a i wówczas nie powiedziała mu właściwie niczego konkretnego. Zadzwoiła do niego z ostrego dyżuru w szpitalu Mercy i oznajmiła, że stało się coś poważnego. Flemm zapytał, czy jest ranna, a ona zaprzeczyła. Potem spytał, co takiego cholernie poważnego zaszło. Wyjaśniła mu wtedy, że reportaż musi poczekać kilka tygodni, ponieważ wmixszała się we wszystko policja i całą sprawę Barletty szlag trafi, jeżeli nie będą siedzieli cicho. Obiecała, że wróci za kilka dni, ale zamiast tego pozostawiła mu jedynie kartkę w hotelu. Błagała w niej o dalszą cierpliwość i wówczas Reynaldo pomyślał: do diabła z tym, i wrócił na Manhattan, aby załatwić sobie nowe włosy.

— No więc — zwrócił się teraz o Christiny — posłuchajmy twoich rewelacji.

— Chodź tutaj — zaproponowała i zaprowadziła go do stolika w hotelowej kawiarni. Odczekała, aż zatka sobie usta biskwitem, i dopiero wtedy opowiedziała mu o strzelaninie.

— Jezu! — zawołał Flemm, plując dokoła okruchami ciastka. Wyglądał, jakby miał zamiar się rozpląkać, i rzeczywiście tak było. — Strzelali do ciebie? Naprawdę? — Z pistoletu maszynowego? Jak Boga kochasz? — I dodał płacząco: — Z uzi?

— Nie jestem pewna, Ray.

Christina zdawała sobie sprawę, że serce mu krwawi. Reynaldo przez całą swą karierę czekał na takie właśnie przeżycie. Kiedyś w pijanym widzie zwierzył jej się, że jego największym, utrzymanym w tajemnicy marzeniem jest zostać postrzelonym w udo — na żywo, w ogólnokrajowym programie. Rana nie powinna zagrażać życiu, ale musi powalić go na ziemię. „Jestem już zmęczony tym, że wciąż mnie biją” — oznajmił Christinie owej nocy. „Chcę spróbować nowych form.” W sekretnym marzeniu Flemma kamera zachwiałaby się na odgłos strzałów, a potem wykonałaby dramatyczny najazd na jego zakrwawioną postać leżącą na ulicy. W swym śnie Reynaldo ścisnął mikrofon, dzielnie kontynuując program, podczas gdy pielęgniarze walczyliby gorączkowo o ocalenie mu życia. Ostatnie wymarzone ujęcie przedstawiałoby zbliżenie jego słynnej twarzy — napięte z bólu mięśnie na

zaciśniętej kwadratowej szczęce i grymas odsłaniający wspaniale wymodelowane zęby. Na koniec tradycyjne pożegnanie: „Mówił do państwa Reynaldo Flemm w swoim programie *Prosto w twarz!*” – w chwili gdy zatrzaśkiwałyby się za nim drzwi ambulansu.

— Nie mogę w coś takiego uwierzyć — jęknął Reynaldo nad talerzykiem ze śniadaniem. — Przecież nie kierownicy produkcji powinni odnosić rany, ale gwiazdy!

Christina upiła łyk swojego soku pomarańczowego po trzy dolary szklanka.

— Po pierwsze, Ray, nie ja zostałam ranna...

— No tak, lecz...

— A po drugie, zsikałbyś się ze strachu, gdybyś tam był. To już nie jest zabawa i swawole, Ray. Ktoś próbuje zamordować Stranahana. Prawdopodobnie ten sam wariat, który sprzątnął jego żonę.

Flemm ciągle jeszcze się dęsał.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jedziesz do Osady?

— Zamknąłeś się w swoim pokoju, pamiętasz? I mierzyłeś fragmenty swojego ciała. — Christina poklepała go po ramieniu. — Weź sobie trochę marmolady.

— Czy to oznacza, że chcesz wystąpić? — zapytał z niepokojem. — No, rozumiem, przecież to ty byłaś świadkiem strzelaniny, nie ja.

— Ray, w najmniejszym stopniu nie jestem zainteresowana wystąpieniem przed kamerą. Wcale nie chcę pojawić się w telewizji.

— Naprawdę? — Jego głos niemal ociekał ulgą.

Żalosne, pomyślała Christina. Ten facet jest żalosny.

Reynaldo najpierw odchrząknął, a potem oświadczył:

— Ja natomiast mam dla ciebie złe wiadomości, Chris.

Dziewczyna delikatnie wytarła usta różkiem serwetki.

— Czy wiążą się z twoją podróżą do Nowego Jorku?

Flemm skinął potakująco głową.

— I być może Maggie Gonzalez?

— Obawiam się, że tak.

— Znowu zniknęła, prawda, Ray?

— Umówiliśmy się na obiad w Palm.

— I się nie pojawiła?

— Tak.

— Zanim wysłałeś jej te piętnaście tysięcy czy potem? — dociekała Christina.

— Hej, nie jestem taki głupi. Wysłałem tylko połowę.

— Cholera. — Christina zabębniła palcami po stole.

Flemm westchnął, odwrócił głowę i z roztargnieniem przesunął dłonią po swoich nowych złotych splotach.

— Przepraszam — bąknął wreszcie. — Czy w dalszym ciągu zamierzasz skreślić ten raportaż?

— Nie — odparła Christina. — Nie zamierzam.

Mick Stranahan przez cały ranek przeglądał policyjną kartotekę, z góry wiedząc, że na pewno nie znajdzie w niej twarzy zabójcy.

— Popatrz mimo wszystko — poprosił go Al Garcia.

Stranahan przewrócił następną kartę.

— Czy to tylko moja wyobraźnia — rzekł — czy też z każdym rokiem te dupki robią się coraz paskudniejsze?

— Też zwróciłem na to uwagę — potwierdził Garcia.

— A skoro o dupkach mowa, Murdock i Salazar złożyli mi przyjacielską wizytę w szpitalu. — I Mick opowiedział Alowi cały przebieg wydarzeń.

— Jeżeli chcesz, złożę meldunek w WSW — zaproponował detektyw.

Skrót WSW oznaczał wydział spraw wewnętrznych, w którym teczki detektywów Murdocka i Salazara były najprawdopodobniej równie grube jak Żółte Kartki hrabstwa Dade.

— Nie naciskaj — poprosił Stranahan. — Po prostu dobrze byłoby wiedzieć, w co te palanty grają.

— Kutasy — burknął Garcia. — Coś wymyślę.

— Sądziłem, że dostałeś kapsel.

— Kapsel? Jak do tej pory zarobiłem jedynie dyplom uznania za dziesięć centów i dziurę w ramieniu, tak samo jak ty. Z tą tylko różnicą, że zrobili mi ją z obrzyna.

— Jestem pod wrażeniem — oznajmił Mick. Zamknął album ze zdjęciami i odsunął go. — Nie ma go tutaj, Al. Masz jakiś specjalny z cyrkowymi świrami?

— Aż tak źle, co?

— „Źle” to nie jest odpowiednie słowo — odparł Stranahan. — I nie było.

— Spróbujesz z pamięciowym? Mogę zawołać kogoś z magików.

— Nie, już wystarczy — uznał Mick. — Nie wiedziałbym, od czego zacząć. Al, nie uwierzyłbyś, jak ten facet wyglądał.

Detektyw przygryzł koniuszek cygara.

— Chyba to ten sam gnój, który załatwił Chloe. Cały problem polega na tym, że świadkowie widzieli ich na przystani, jak popijali, rozmawiając niczym para najlepszych przyjaciół. Jak byś to wytłumaczył?

— Zawsze miała znakomity gust. — Stranahan wstał ostrożnie, poprawiając temblak.

— Dokąd idziesz?

— Planuję dokonać małego włamania.

— Nie pieprz mi takich głupot.

— Mówię prawdę, Al.

— Nie wierzę. Powiedz, że się zgrywasz.

— Jeżeli poprawi ci to humor.

— Zadzwoń do mnie — poprosił cicho Garcia — jeżeli znajdziesz coś ciekawego.

O wpół do czwartej Mick Stranahan powtórnie włamał się do mieszkania Maggie Gonzalez. Przede wszystkim przegrał taśmę automatycznej sekretarki. Znajdowały się na niej wiadomości od licznych krewnych żądających wyjaśnień, dlaczego Maggie nie zjawiała się na oględzinach niemowlaka jej kuzynki Glorii. Jedyna informacja, która zainteresowała Micka, pochodziła z hotelu „Essex” w centrum Nowego Jorku. Nosowy głos urzędniczki domagał się, aby panna Gonzalez natychmiast skontaktowała się z nimi w sprawie rachunku w wysokości czterdziestu trzech dolarów za pranie chemiczne, który zapomniała uregulować, wyprowadzając się z hotelu. Urzędniczka w bardzo kompetentny sposób podała dzień i godzinę pozostawienia wiadomości — dwudziesty ósmy stycznia o dziesiątej rano.

Następnie Stranahan przejrzał wielki stos poczty Maggie, w którym znalazł najnowsze rozliczenie jej karty kredytowej Visa. Otworzył kopertę i

starannie przestudiował dokument, siedząc przy stole kuchennym. Z rozliczenia wynikało niezbitcie, że Maggie przepuszcza na Manhattanie czyjeś pieniądze, ponieważ ze swojej osobistej karty skorzystała tylko dwukrotnie. Jedna pozycja opiewała na trzydzieści pięć dolarów i pięćdziesiąt centów wydane w Ticketronie — zapewne cena biletu na przedstawienie na Broadwayu. Następna pochodziła ze sklepu z odzieżą. Maggie wydała tam sto siedemdziesiąt dziewięć dolarów i czterdzieści centów — zapewne więcej, niż miała przy sobie gotówki. Sklep znajdował się w hotelu „Plaza”, a zakupów dokonano pierwszego lutego.

Mick zamierzał właśnie wyjść z mieszkania, gdy telefon Maggie zadzwonił dwukrotnie, a następnie przełączył się na sekretarkę. Kiedy słuchał mówiącego mężczyzny, wydało mu się, że zna ten głos, ale nie był pewien. Rozmawiał z tym człowiekiem tylko raz.

Głos z automatycznej sekretarki mówił:

— Maggie, to ja. Próbowałem złapać cię w hotelu „Essex”, ale powiedzieli mi, że się wyprowadziłaś... Posłuchaj, musimy koniecznie porozmawiać. Osobiście. Zadzwoń jak najszybciej do mnie do biura, na mój koszt. Gdziekolwiek jesteś, dobrze? Dziękuję.

Mężczyzna podyktował swój numer i Stranahan zapisał go ołówkiem na plastikowym blacie. Gdy telefonujący się rozłączył, Mick wybrał 411 i poprosił o numer Sanatorium i Ośrodka Chirurgicznego Whispering Palms w Bal Harbour. Poinformowano go, że główny numer to 555-7600. Numer telefonu pozostawiony przez mężczyznę dzwoniącego do Maggie brzmiał 555-7602.

Rudy Graveline, pomyślał Stranahan. Dzwonił ze swojego gabinetu.

Następnym numerem wybranym przez Micka było 1-212-555-1212 — informacja telefoniczna Manhattanu. Uzyskał numer hotelu „Plaza”, zadzwonił do recepcji i poprosił o połączenie z pokojem panny Maggie Gonzalez. Podniosła słuchawkę po czwartym dzwonku.

— Czy mówię z panną Gonzalez? — zapytał, starając się naśladować brooklyńską wymowę.

— Tak, słucham.

— Tu portier z dołu. — Zupełnie jakby był jakiś portier na górze. —

Zastanawialiśmy się, czy chciałaby pani oddać dziś wieczór jakieś rzeczy do pralni?

— O czym pan mówi? Przecież ciągle czekam na trzy suknie, które oddałam w niedzielę — odparła Maggie niezbyt uprzejmym tonem.

— Och, najmocniej przepraszam — powiedział Stranahan. — Natychmiast się tym zajmę.

Odłożył słuchawkę, schwycił leżącą na blacie kuchennego stołu książkę telefoniczną i odszukał numer linii lotniczych Delta.



## 16.

Jadąc do międzynarodowego portu lotniczego Miami, Mick Stranahan wstąpił do biura porad prawnych swojego szwagra. Kipper Garth siedział przy dyrektorskim telefonie i przekazywał sprawę poślizgnięcia się i upadku jednemu z sędów z Brickell Avenue.

Mick wszedł do środka i zapytał:

— Co z aktami?

Kipper wskazał mu fotel w kolorze czerwonego wina i przyłożył palec do woskowych warg.

— No i jak, Chuckie? — zwrócił się do telefonu. — Co o tym myślisz?

— Sądzę, że jeżeli zawrzemy ugodę, da się wyciągnąć dwie setki — oznajmił głos.

— Dwieście?! — zawołał Kipper. — Chuckie, odbiło ci. Ta kobieta potknęła się o własnego jamnika.

— Kip, pójda na ugodę — odparł adwokat. — To największa sieć sklepów spożywczych na Florydzie. Zawsze idą na ugodę. A poza tym pies wyciągnął kopyta, co oznacza pięćdziesiąt patyków dodatkowo za cierpienia moralne.

— Ale przecież psów nie wpuszczają do tego sklepu, Chuckie. Gdyby potknęła się o jamnika kogoś innego, wtedy rzeczywiście mielibyśmy sprawę. To był jej własny błąd.

Z głośnika rozległ się sardoniczny śmiech.

— Kip, stary, nie myślisz jak pełnomocnik powoda — oznajmił głos. — Poszedłem do supermarketu osobiście i zgadnij, co zobaczyłem? Nie ma wywieszek!

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że nie ma napisów „Psom wstęp wzbroniony”. Ani jednego po hiszpańsku. Skąd więc nasza biedna Consuela miała wiedzieć?

— Chuckie, ty cudotwórco! — rozpromienił się Kipper Garth. — Jeżeli to nie jest zaniedbanie...

— Moim zdaniem — przerwał mu Chuckie — dwieście tysiaków. Podzielimy się sześćdziesiąt do czterdziestu.

— O nie! — zaprotestował Kipper, spoglądając lodowato na głośnik. — Pół na pół. Jak zawsze.

— Przepraszam — odezwał się Mick Stranahan.

Adwokat zmarszczył brwi i pokręcił głową na znak „nie teraz, kiedy kończę załatwiać interes”.

— Kip, kto tam jest? — zapytał głos w telefonie. — Masz kogoś w gabinecie?

— Spoko, Chuckie, to tylko ja — rzucił Stranahan do aparatu. — No wiesz, heroinowy łącznik Kippera. Właśnie wpadłem z walizką pełną meksykańskiej brązowej. Zapisać cię na kilo?

Kipper Garth rozpaczliwie wcisnął dwa palce w guziki telefonu. Połączenie zostało przerwane i w głośniku rozległ się sygnał ciągły.

— Chyba zupełnie popieprzyło ci się we łbie — zwrócił się do Micka.

— Śpieszę się na samolot, Jocko. Gdzie są akta Graveline'a?

— Jesteś kompletny świr — stwierdził jeszcze raz Garth, usiłując zachować spokój. Zadzwoił po sekretarkę, która zjawiła się z trzema grubymi brązowymi teczkami akt.

— Możesz pójść do sali konferencyjnej i przeczytać to gównu na osobności.

— Nie, tu mi dobrze — odparł Mick i gdy Kipper gotował się wewnętrznie, on szybko przekartkował akta Rudy'ego Graveline'a. Wyglądały o wiele gorzej, niż się spodziewał. Albo lepiej. Wszystko zależało od punktu widzenia.

— Siedemnaście skarg złożonych w stanowej izbie lekarskiej — odezwał się po chwili z podziwem.

— Tak, ale nie poczyniono żadnych kroków — zauważył Garth. — Nawet nie dostał upomnienia.

Stranahan popatrzył na niego, podnosząc do góry jedną z teczek.

— Jocko, masz tu kopalnię złota.

— No cóż, Mick, cieszę się, że mogłem ci pomóc. A teraz robi się już późno, a ja muszę wykonać kilka telefonów.

— Nic nie rozumiesz — rzekł Stranahan. — Chciałem ten pasztet dla ciebie, nie dla mnie.

Garth z rozdrażnieniem spojrzął na zegarek.

— Racja, Mick. Nic nie rozumiem. Po jakie licho mogą mi być potrzebne akta Graveline'a?

— Nazwiska, Jocko. — Stranahan otworzył teczkę z wierzchu i dramatycznym gestem przerzucił kartki. — Jest tu siedemnaście nazwisk, siedemnaście pozwów podanych na srebrnej tacy. Masz tu panią Susan Jacoby, której cucuszki nie pasują do siebie. Masz pana Roberta Mearsa, którego lewe oko nie chce się zamykać, a prawe otwierać. Masz... poczekaj, niech sprawdzę, Julię Kelly, której kinol wygląda jak śrubokręt Phillipsa... Jezu, widziałeś to zdjęcie? Co jeszcze? O masz również Kena Martineza z przesuniętą moszną...

Kipper Garth zamachał rękami.

— Mick, starczy! Po co mi te cholerne śmiecie?

— Pomyślałem, że mogą ci się przydać, Jocko.

— Do czego?

— Do wytoczenia procesu doktorowi Graveline'owi.

— Bardzo śmieszne — odparł Kipper Garth. — Mówiłem ci, że facet należy do mojego klubu jachtowego. A poza tym już mu wytaczano procesy.

— A więc zrobisz to jeszcze raz — oświadczył Stranahan. — Zaskarż go tak jak nikt do tej pory.

— Pójdzie na ugodę. Lekarze zawsze tak robią.

— Nie zgódź się. Nie zgódź się na żadne warunki. Nawet na dziesięć milionów dolarów. Załatw podpis jednego z tych nieszczęśników i idź na całość.

Kipper Garth wstał i poprawił krawat, nagle spiesząc się na jakieś wyjątkowo ważne spotkanie.

— W niczym nie mogę ci pomóc, Mick. Znajdź sobie innego prawnika.

— Jeżeli nie wyświadczysz mi tej przysługi — zagroził Stranahan —

opowiem Katie o twojej wycieczce do Steamboat z Ingą, Olgą czy jak jej tam, gdzieś to sobie zapisałem. A na przyszłość, Jocko, nigdy nie kupuj swojemu króliczkowi biletów lotniczych kartą American Express. Wiem, że to wygodne, ale bardzo, bardzo ryzykowne. Rzecz w tym, że te dzisiejsze komputery pozwoliły mi ustalić nawet wasze numery miejsc — 5A i 5B, o ile dobrze pamiętam.

Kipper zdołał jedynie wyjąkać:

— W jaki sposób?

— Już ci mówiłem, że jestem w dalszym ciągu podłączony.

Agent biura turystycznego w Coral Gables był mu coś winien. Wszystko odbyło się tak cholernie łatwo, że Mick nie miał serca powiedzieć tego szwagrowi.

— O co ci chodzi? — zapytał Kipper.

— Nieważne, po prostu zrób, co radzę. Oskarż dupka.

Prawnik wziął marynarkę w prążki z oparcia fotela i sprawdził, czy nie ma na niej zmarszczek.

— Mick, pozwól, że ulokuję tę sprawę i wtedy cię poinformuję.

— Nie, Jocko. Żadnych podwykonawców. Poprowadzisz ją osobiście.

Kipper Garth zachwiał się, jakby oberwał cegłą.

— Dobrze mnie słyszałeś — potwierdził Stranahan.

— Mick, proszę — szwagier pisnął żałośnie. — Ja niczego takiego nie robię.

— Ależ tak. Przecież widzę w całym mieście twoje ogłoszenia.

Kipper wgrzył się w kciuk, aby ukryć nerwowe podrygiwanie górnej wargi. Na samą myśl o pójściu do sądu oblał się zimnym potem. Jego kropelka nakreśliła lśniąca dróżkę od pobrużdżonego czoła do końca ładnie opalonego nosa.

— Nie wiem — odezwał się z wahaniem. — To było tak dawno.

— Eee tam, przecież wszystko jest takie łatwe — stwierdził Stranahan.

— Jeden z twoich pomocników sporządzi pozew. No i bomba pójdzie w górę. — Z hukiem położył stos akt Graveline'a na biurku Kipper'a Gartha, który popatrzył na nie, jakby były z nitrogliceryną.

— Kopalnia złota — przypomniał Mick. — Dam znać za kilka dni.

— Mick?

— Uspokój się. Przecież nie będziesz musiał robić niczego oprócz pójścia do sądu i złożenia pozwu.

— Nie muszę wygrać, prawda? — zapytał słabiutko Kipper.

— Oczywiście, że nie — zapewnił Stranahan, poklepując szwagra po ramieniu. — Wszystko zakończy się o wiele wcześniej.

Doktor Rudy Graveline mieszkał w przypominającym pałac trzypiętrowym domu w północnej części zatoki Biscayne. Dom miał doryckie kolumny, dwie spiralne klatki schodowe i więcej importowanych rzeźb marmurowych niż całe śródmiejskie muzeum sztuki. Budynek zupełnie nie pasował do Miami Beach, ale prawdę mówiąc, nie wyglądał bardziej kretyńsko niż którakolwiek z pozostałych wspaniałych posiadłości. Znajdował się na tej samej wysadzanej palmami alei, gdzie mieszkało dwóch Bee Geesów, co oznaczało, że Rudy musiał zapłacić mniej więcej sto tysięcy więcej, niż było warto. Przez pierwsze kilka lat kobietom, z którymi się umawiał, imponowało, że przebywają w sąsiedztwie takich gwiazd, ale później ich notowania wyraźnie spadły i Graveline przestał o tym wspominać.

Pierwsza ponownie poruszyła tę sprawę Heather Chappell, aktorka.

— Zdaje się, że gdzieś w okolicy mieszka Barry — oznajmiła, gdy wracali do domu Rudy'ego po obiedzie w „Kuźni”.

— Co za Barry? — zapytał Rudy, myśląc o czymś innym.

— Barry Gibb. Piosenkarz. *Staying alive, staying alive, ooh, ooh, ooh.*

Doktor wprawdzie bardzo kochał Heather, ale wołał, żeby nie próbowała śpiewać.

— Znałaś go osobiście? — zapytał.

— Oczywiście. Wszystkich chłopaków.

— Barry mieszka tam — wskazał Graveline. — A Robin tutaj.

— Zatrzymajmy się — poprosiła Heather, dotykając jego kolana. — Będzie zabawa.

Rudy odmówił, twierdząc, że nie zna facetów wystarczająco dobrze. Poza tym niespecjalnie lubi ich muzykę, zwłaszcza ten kit disco. Heather natchmiast się nadąsała i bohatercko utrzymała w tym nastroju przez pozostałą część drogi do domu Rudy'ego, a także jeszcze gdy wchodziła po

schodach i wędrowała do sypialni. Tam ściągnęła suknię oraz majtki i rzuciła się na ogromne łóżko. Co kilka minut unosiła twarz z satynowej poduszki i wzdychała tragicznie tak długo, aż wreszcie doktor nie mógł już tego wytrzymać.

— Czy jesteś na mnie wściekła? — zwrócił się do niej. Jedyne w spodenkach bokserskich stał w garderobie, odwieszając garnitur. — Heather, jesteś na mnie zła?

— Nie.

— Tak, jesteś. Czy zrobiłem coś złego? Jeżeli tak, bardzo cię przepraszam. — Bełkotał jak przygłup, i to tylko dlatego, że straszliwie chciał ją przelecieć. Widok idealnego, gołego tyłeczka Heather — który koniecznie pragnęła przemodelować — doprowadzał go do szaleństwa.

— Kocham Bee Geesów — oznajmiła drżącym głosem.

— Bardzo mi przykro — powiedział Rudy. Usiadł na krawędzi łóżka i pogłaskał jej brzozkwinową pupę. — Lubilem ich wczesne kawałki, naprawdę.

— Uwielbiam disco, Rudy — wyjaśniła aktorka. — Śmierć disco niemal mnie zabiła.

— Przepraszam, że w ogóle coś na ten temat powiedziałem.

— Czy kiedykolwiek kochałeś się przy muzyce disco?

Co się dzieje z moim życiem? — pomyślał doktor.

— Masz jakieś taśmy Village People? — spytała Heather, zerkając uwodzicielsko przez ramię. — W ich pierwszym albumie jest taka piosenka, przy której, słowo daję, mogłabym się pieprzyć całą noc.

Rudy'emu Graveline'owi nie można było odmówić zaradności. Znalazł taśmę Village People w koszu z przecenionymi kasetami całonocnego sklepu płytowego przed miasteczkiem akademickim w Coral Gables. Pognął z powrotem do domu, wrzucił kasetę do wieży audio, podkreślił basy i pobiegł spiralnymi schodami do sypialni.

— Nie tutaj — oznajmiła Heather. Wzięła go za rękę i sprowadziła na parter. — Kominek — szepnęła.

— Jest dwadzieścia pięć stopni w cieniu — zauważył Rudy, zrzucając bieliznę.

— Nie chodzi o ogień — wyjaśniła gwiazdka. — Ale o marmur.

Jednym z ważnych punktów przetargowych domu był gigantyczny kominek wykonany z polerowanego włoskiego marmuru. W południowej Florydzie kominki traktowano jako przyjemną nowinkę, ale Rudy nigdy nie korzystał ze swojego, obawiając się, że kosztowny czarny marmur pęka od żaru.

Heather wczółgała się do środka i położyła na wznak. Na jej twarzy pojawił się najcudowniejszy z uśmiechów. — Och, Rudy, jaki chłodny. — Uniosła pośladki do góry, a potem z klaśnięciem opuściła je w dół. Zachichotała, słysząc echo.

Doktor stał przed nią na czworakach, goły, oklapnięty i gapił się jak idiota.

— Możemy się pokaleczyć — zauważył. Zastanawiał się, co marmur może zrobić z jego łokciami i kolanami.

— Nie bądź taki wapniak — upomniała go, unosząc biodra i kołysząc nimi przed jego nosem. Przetoczyła się w bok i pokazała dwie smugi wilgoci na czarnym kamieniu. — Popatrz — powiedziała. — Jak odciski palców.

— Coś w tym rodzaju — wymamrotał Rudy.

— Muszę być napalona, prawda?

— Chyba tak — zgodził się. Miał wrażenie, że za chwilę pęknie mu głowa. Głosy Village People dudniły we wnętrzu kominka jak ogień artyleryjski.

— O Boże! — jęknęła Heather.

— Co się stało? — zaniepokoił się.

— Piosenka. To moja piosenka. — Uklękła i gwałtownie objęła go w pasie. — Chodź tu do mnie, na dół. Zatańczmy.

Aby poprawić swoją wydolność, doktor Rudy Graveline, uprawiając seks, nauczył się myśleć o wszystkim, tylko nie o seksie. Najczęściej koncentrował swoją uwagę na sprawach funduszy powierniczych i unikach podatkowych — problemach wystarczająco skomplikowanych, aby opóźniły orgazm o dobre dziesięć do piętnastu minut. Tej nocy jednak rozważał coś zupełnie innego. Zastanawiał się nad swoim upiornie kłopotliwym położeniem — sprawą Victorii Barletty i przygotowywanym reportażu telewizyjnym na temat jej śmierci. O ciągle żyjącym i groźnym Micku Stranahanie, o Maggie Gonzalez przepuszczającej jego pieniądze gdzieś w Nowym Jorku.

Rudy bardzo często przekonywał się, że w czasie seksualnej gimnastyki mógł z zadziwiającą jasnością myśleć. W tych momentach podejmował wiele istotnych życiowych decyzji — wrzawa dnia i napór pacjentów zdawały się znikać w krystalicznej, mistycznej próżni, która pozwalała mu rozważać własne problemy w nowym świetle i pod nowym kątem.

Podobnie było i tym razem — nawet z Heather Chappell rozdrapującą paznokciami w jego ramiona i wyrzaskującą mu prosto do ucha bzdury disco, nawet mimo łomotu wywietrznika w kominie nad ich głowami i bólu w kolanach wbijających się bezlitośnie w chłodny włoski marmur. Był teraz w stanie skupić się na sprawie najważniejszego kryzysu w swoim życiu. Ból i rozkosz zdawały się odpływać i Rudy miał wrażenie, że znalazł się w chłodnym, ciemnym pomieszczeniu — samotny, czujny, o wyostrzonych zmysłach. Rozważał wszystko, co zdarzyło się do tej pory, i zastanawiał, co powinien jeszcze zrobić. Plan nie był wcale taki zły. Istniał jednak jeden nierozwiązany problem.

Otrząsnął się ze swojego percepcyjnego transu w chwili, gdy Heather krzyknęła:

— Dostyc!

— Co?

— Powiedziałam, że możesz już przestać, rozumiesz? To nie cholerne rodeo.

Prawie nie mogła złapać oddechu, a jej tors był mokry od potu. Rudy przestał się poruszać.

— O czym myślałeś? — spytała Heather.

— O niczym.

— Miałeś orgazm?

— Jasne — skłamał.

— Myślałeś o jakiejś innej dziewczynie, prawda?

— Oczywiście, że nie.

Kolejne kłamstwo. Myślał o Maggie Gonzalez i o tym, że powinien kazać ją zabić dwa miesiące temu.

W południe następnego dnia do Whispering Palms przybył George Graveline i oznajmił, że musi w bardzo pilnej sprawie zobaczyć się z bratem.



Gdy Rudy wysłuchał jego opowieści, przyznał, że miał całkowitą rację.

Kiedy godzinę później zjawił się Chemo, obaj mężczyźni rozmawiali wciąż przyciszonymi, pełnymi niepokoju głosami.

— Co za gwałt? — zapytał.

— Siadaj! — polecił mu doktor.

Chemo miał na sobie beżowy strój safari, podobny do tego, w którym występował Jim Fowler w swoim programie telewizyjnym *Wild Kingdom*.

— George, to mój przyjaciel — przedstawił go Rudy. — Pracuje dla mnie w tej sprawie.

Chemo uniósł brwi.

— Co się stało z pana kciukiem? — zainteresował się.

— Drzwi samochodu. — Brat Rudy'ego nie miał ochoty dzielić się z nim bolesnymi szczegółami spotkania z Mickiem Stranahanem.

George Graveline sam chętnie zadałby kilka pytań wysokiemu nieznanemu, ale ugryzł się w język. Dzielnie starał się nie zwracać uwagi na cerę Chema, którą uznał za jakąś tragiczną ludzką odmianę choroby wiązu holenderskiego. Ostatecznie od twarzy wielkoluda odwróciła uwagę ogrodnika kolorowa torba-reklamówka Macy'ego, w której tenże ukrył swoją niedawno przedłużoną lewą rękę.

— Miałem wypadek — wyjaśnił Chemo. — Będę to nosił jedynie do czasu, gdy wykonają mi na zamówienie specjalny pokrowiec. — Zdjął torbę z Niszczyciela Chwastów. George natychmiast go rozpoznał — był to lekki model do użytku domowego.

— Hej, czy działa?

— Jasne — odparł Chemo. Pomacał się pod pachą, aż wreszcie odnalazł przełącznik, którym uruchomił Niszczyciela. Efekt dźwiękowy przypominał odgłos pracy miksera bez pokrywy.

George uśmiechnął się i klasnął w dłonie.

— Dosyć! — uciął ostro Rudy.

— Nie, poczekaj chwilę — powiedział Chemo. Podeszedł do rogu gabine- tu, gdzie stało w pięknej donicy drzewo kauczukowe.

— Och, nie! — zawołał doktor, ale było już za późno. Chemo radośnie przerobił drzewko na sałatkę.

— Fajnie! — ucieszył się George Graveline.

Rudy pochylił się ku niemu i szepnął:

— Nie zachęcaj go. Bardzo niebezpieczny facet.

Rozkoszując się zainteresowaniem jego osobą, Chemo nie owinął z powrotem Niszczyciela Chwastów. Usiadł przy obu mężczyznach i oznajmił:

— A teraz posłuchajmy, cóż to za ważna wiadomość.

— Mick Stranahan złożył wczoraj wizytę George'owi — poinformował Rudy. — Ten sukinsyn najwyraźniej się nie poddaje.

— Co gadał?

— Mnóstwo najrozmaitszych kretyństw — odparł George.

Doktor uprzedził brata, aby nie mówił Chemowi o Victorii Barletcie, rozdrabniarce do drewna ani wysuniętych przez Stranahana podejrzeniach na temat tego, co się stało z ciałem. Rudy bawił się przez chwilę okularami i wreszcie rzekł:

— Nie rozumiem, dlaczego tego Stranahana tak cholernie trudno zabić.

— Przynajmniej wiemy, że wyszedł już ze szpitala — stwierdził radośnie Chemo. — Zaraz się tym zajmę.

— Jeszcze nie — zmytygował go chirurg i odwrócił się do brata. — George, chciałbym porozmawiać z nim sam na sam.

Kierując się w stronę drzwi, przystrzygacz drzew uśmiechnął się przyjaźnie do Chema.

— Słuchaj — zaproponował. Jeżeli będziesz kiedykolwiek potrzebował pracy, mógłbym wykorzystać ciebie i tę... eee...

— Protezę — odpowiedział Chemo. — Dziękuję, ale chyba nie skorzystam.

Gdy zostali już sami, Rudy otworzył górną szufladę biurka i podał Chemowi dużą brązową kopertę. W środku znajdowała się fotografia formatu osiem na dziesięć, dwa tysiące dolarów w czekach podróźnych i bilet lotniczy. Fotografia przedstawiała przystojną kobietę o ostrych rysach, brązowych oczach i kasztanowych włosach. Jej nazwisko wypisano drukowanymi literami na odwrocie zdjęcia. Bilet lotniczy opiewał na lot Miami — La Guardia i z powrotem.

— Czy chodzi o to, o czym myślę?

— Następna robota — potwierdził doktor Graveline.

— Będzie cię trochę kosztować.

— Jestem przygotowany.

— Tyle samo co za Stranahana — uściślił Chemo.

— Dwadzieścia zabiegów? Nie potrzebujesz dodatkowych dwudziestu zabiegów. Twoja twarz będzie gotowa za dwa miesiące.

— Nie mówię o dermabrazji — odparł Chemo. — Chodzi o moje uszy.

Dobry Boże, pomyślał Rudy, czy to nigdy się nie skończy?

— Twoje uszy — oznajmił — są ostatnią rzeczą, która wymagałaby interwencji chirurgicznej.

— Co, u diabła, chcesz mi dać do zrozumienia?

— Nic, nic. Mówię tylko, że gdy zakończymy dermabrazję, będziesz wyglądał jak nowy. Jestem przekonany, że kiedy zobaczysz swoją nową twarz, nie zechcesz niczego zmieniać.

— Uszy mi sterczą, i dobrze o tym wiesz — upierał się Chemo. — Jeżeli mam ci załatwić ten kontrakt, musisz mi je poprawić.

— Dobrze — westchnął Rudy Graveline. — Dobrze. — Jego zdaniem z uszami tego faceta było wszystko w porządku, problem stanowiło jedynie to, co znajdowało się między nimi.

Chemo wetknął kopertę pod pachę i opakował Niszczyciela Chwastów.

— A, jeszcze jedno. Skończyło mi się to do twarzy.

— Co do twarzy?

— No, wiesz — wyjaśnił Chemo — puder w kremie.

Rudy Graveline znalazł w szufladzie biurka małą buteleczkę i rzucił ją dryblasowi, który wsunął ją do górnej kieszeni kurtki safari.

— Zadzwoń z Nowego Jorku — obiecał Chemo.

— Tak — odpowiedział zmęczonym głosem Rudy. — Koniecznie.

## 17.

Christina Marks wymknęła się z kabiny pierwszej klasy w chwili, gdy Reynaldo Flemm składał na prośbę stewarda autograf na serwetce koktajlowej. Steward pomylił ustrojonego w nową perukę Reynalda z Davidem Lee Rothem. Portorykańskie wąsy wyglądały dość dziwnie przy blond peruce, ale steward uznał je za humorystyczne przebranie.

Mick Stranahan siedział w klasie turystycznej, a na fotelu koło niego leżał cały plik magazynów. Zobaczył Christinę idącą przejściem między fotelami i uśmiechnął się.

— Mój cień — powiedział.

— Wcale cię nie śledzę — obruszyła się.

— Ależ tak, na pewno. W każdym razie nie ma sprawy. — Przesunął czasopisma i gestem zaprosił ją, żeby usiadła.

— Wyglądasz bardzo ładnie. — Pierwszy raz widział ją w sukience. — Co za zbieg okoliczności, że ty i ten kamerzysta lecicie tym samym rejsem co ja.

— Nie jest kamerzystą — sprostowała Christina. — A poza tym to wcale nie jest zbieg okoliczności, choć Ray tak uważa.

— Ray tak uważa, co? A więc to był twój pomysł, żeby mnie śledzić?

— Odpręż się — poprosiła. Od czasu strzelaniny trzymała się blisko niego. Początkowo tłumaczyła to sobie instynktem dziennikarskim — historia Barletty wciąż przecież łączyła się ze Stranahanem. Ale potem

spędziła kilka nocy w szpitalu, gdzie raczej nie mogło się zdarzyć nic godnego uwagi. Siedziała w kącie i obserwowała go leżącego w szpitalnym łóżku na długo przed tym, nim stało się oczywiste, że całkowicie wyzdrowieje. Christina nie mogła zaprzeczyć, że Mick ją pociąga i że bardzo się nim martwi. Miała również wrażenie, że jest umiarkowanie szurnięty.

— A więc zamierzacie deptać mi po piętach po całym Nowym Jorku. Prawdziwe z was psy gończe, Ray i ty.

— Ray będzie zajęty innymi sprawami — wyjaśniła Christina.

Samolot przechylił się lekko i promień słońca padł na twarz dziewczyny, zmuszając ją do odwrócenia głowy. Po raz pierwszy Stranahan zauważył piegi rozsiane na jej nosie i policzkach. W kolorze cynamonu, jak u dzieci.

— Czy już ci podziękowałem za uratowanie mi życia? — zapytał.

— Tak.

— Mimo wszystko dziękuję jeszcze raz. — Nasypał jej na dłoń prazonych fistaszków. — Dlaczego za mną łazisz?

— Wcale nie.

— Jeżeli tylko dlatego, aby ubarwić twój cholerny reportaż, pewnie się trochę zdenerwuję.

— Skądże! — zaprotestowała Christina.

— Chcesz mnie mieć na oku?

— Jesteś ciekawym człowiekiem. Przy tobie tyle się dzieje.

Mick wrzucił do ust orzeszka.

— Dobrze powiedziane.

— Pomogę ci ją znaleźć — zaproponowała Christina łagodniejszym nieco tonem.

— Kogo?

— Maggie Gonzalez.

— Kto mówił, że się zgubiła? A poza tym masz ją nagraną, prawda? Całą tę makabryczną historię.

— Jeszcze nie — przyznała się Christina.

Stranahan roześmiał się ironicznie.

— Słodki Jezu! — westchnął.

— Posłuchaj, możemy wpaść na jej trop dzięki rachunkom, które przysłała do naszego biura. Między nami mówiąc, moglibyśmy ją odnaleźć w jeden dzień. Poza tym sądzę, że będzie wolała rozmawiać ze mną. Wtedy

nagramey całą makabryczną historię — jak sam określiłeś.

Stranahan nie wspomniał, że zna już miejsce pobytu Maggie Gonzalez. Był również całkowicie pewien, że zdoła ją namówić do rozmowy.

— Jesteś najbardziej pomocną kobietą, jaką w życiu spotkałem — oznajmił. — I taką bezinteresowną. Gdybym nie znał cię lepiej, mógłbym podejrzewać, że dlatego tak polujesz na Maggie, bo naciągnęła ciebie i tego twojego telewizora na poważny szmal.

— Bardziej mi się podobałeś nieprzytomny — rzekła Christina.

Stranahan zachichotał i wziął ją za rękę. Nie pożegnał się z nią, jak początkowo przypuszczała, ale po prostu trzymał jej dłoń. W pewnej chwili, gdy samolot trafił na jakąś turbulencję, dziewczyna podskoczyła nerwowo. Nie odrywając wzroku od egzemplarza „Field & Stream”, Mick uściśnął jej rękę. Był to bardziej gest podtrzymania na duchu niż uwodzicielski, ale Christina się zaczerwieniła.

Ponownie przyjęła pozę specjalistki od przeprowadzania wywiadów.

— A więc opowiedz mi o sobie — zażądała.

— Ty zaczynasz — odparł Stranahan. Uśmiechnął się przelotnie i ponownie zagłębił w lekturze czasopisma.

Ze zdziwieniem zorientowała się, że mówi... mówi tak otwarcie, jakby przygotowywała którąś z tych taśm-randek na wideo:

— Mam trzydzieści cztery lata, jestem rozwiedziona, urodziłam się w Richmond, chodziłam na Wydział Dziennikarstwa Uniwersytetu Missouri, byłam w drużynie pływackiej, zrobiłam dyplom z wyróżnieniem, dostałam pierwszą przyzwoitą robotę w oddziale ABC w St. Louis, a potem pracowałam w WBBM w Chicago do chwili, gdy spotkałam Raya na procesie Gacy i zaproponował mi stanowisko zastępcy kierownika produkcji. To wszystko. A teraz twoja kolej, Mick.

— Słucham?

— Twoja kolej — powtórzyła Christina. — Wysłuchałeś historii mojego życia, teraz posłucham twojej.

Stranahan zamknął czasopismo i położył je na kolanach.

— Historia mojego życia wygląda następująco: zabiłem pięciu ludzi i byłem pięć razy żonaty.

Kobieta powoli cofnęła dłoń.

— Co cię bardziej przeraża? — zapytał Mick.

Gdy członek komisji administracyjnej hrabstwa Dade Roberto Pepsical przekazał wiadomość Innym (to znaczy innym przekupnym członkom komisji), wszyscy zareagowali jednakowo: — Przykro nam, nic z tego. Za późno.

Doktor Rudy Graveline zaproponował kupę forszy za przekwalifikowanie terenów zielonych pod projekt budowlany Old Cypress Towers, komisja poszła mu więc na rękę i zrobiła, co należy. Nie bardzo wypadło teraz wrócić do tej sprawy i zmienić głosowanie, bo wzbudziłoby to zainteresowanie tych cholernych dziennikarzy. Poza tym umowa to umowa. Ponadto Inni chcieli wiedzieć, co z obiecaną dwudziestopięciotysięczną łapówką, a konkretnie, gdzie ona jest? Czy Rudy ją wstrzymuje? Jeden z członków komisji wysunął nawet sugestię, że nowe głosowanie, które przywróciłoby tereny zielone i oddaliło projekt budowlany, mogłoby być przeprowadzone jedynie w wypadku podwojenia sumy.

Roberto Pepsical był całkowicie przekonany, że Rudy Graveline nie zechce płacić dwa razy za coś, co w gruncie rzeczy było tym samym przestępstwem urzędniczym. Roberto nie miał też ochoty wyjaśniać doktorowi, że jeżeli Old Cypress Towers wyzioną ducha na deskach kreślarskich, podobnie stanie się z całą plejadą innych ukrytych dochodów, które w przeciwnym razie popłynęłyby na tajne rachunki członków komisji. Od śródmiejskich bankierów do prawników, inspektorów pracy i tak dalej — łapówki tradycyjnie wędrowały w górę, aż do samej komisji. Efekt domina wywołany likwidacją tak wielkiego projektu jak Rudy'ego byłby czynem grzesznym, niezgodnym z kodeksem łapówkarza.

Gdy w rachubę wchodziły tak wysokie stawki, Roberto nie cierpiał być pośrednikiem. W gruncie rzeczy był człowiekiem powolnym, nieuważnym i łatwo tracił orientację. Nie sporządzał notatek w czasie rozmowy telefonicznej, którą przeprowadził z Rudym ubiegłej nocy, a może powinien był tak postąpić. Pamiętał tylko tyle, że doktor oznajmił, iż zmienił zdanie w sprawie Old Cypress Towers, i postanowił wycofać swoje finanse z tego

rejonu. Gdy Pepsical zaprotestował, Graveline poinformował go, że ma mnóstwo kłopotów, rozmaitych kłopotów, a konkretnie związanych ze starym chirurgicznym przypadkiem, o którym wspominał przy lunchu. Przysłowiowe gówno lada chwila może trafić w przysłowiowy wentylator, oznajmił Rudy. Ktoś chce go zrujnować. Poprosił Roberta Pepsicala, aby przekazał jego najgłębsze wyrazy ubolewania Innym, ale nie może postąpić inaczej. Skoro jego problem nie może zniknąć, musi zniknąć budowa Old Cypress Towers.

Rozwiązanie było tak oczywiste, że nawet Roberto dostrzegł je natychmiast. Projekt mieszkaniowy mógł zostać ocalony, a więc także łapówki członków komisji. Gdy tylko Pepsical dowiedział się, że problem doktora Rudy'ego Graveline'a ma konkretne nazwisko, zaczął sprawdzać, swoje kontakty w komendzie policji hrabstwa Dade. Co doprowadziło go wprost do detektywów Johna Murdocka i Joego Salazara.

Roberto uznał, iż jest to misja tak wielkiej wagi, że zdobył się na radykalny krok, rezygnując ze swojego normalnego dwugodzinnego lunchu, aby złożyć osobistą wizytę w komisariacie policji. Zastał obu detektywów przy biurkach. Obaj jedli kubańskie kanapki na gorąco i czyścili rewolwery. Po raz pierwszy w życiu Roberto widział musztardę Gulden na służbowym zero trzysta pięćdziesiąt siedem.

— Macie pewność — zapytał Pepsical — że ten mężczyzna jest podejrzany o morderstwo?

— Taa — odparł John Murdock.

— Podejrzany numer jeden — dodał Joe Salazar.

— A więc zamierzacie go aresztować? — dociekał Roberto.

— Oczywiście — rzekł Salazar.

— Być może — wtrącił Murdock.

— Im prędzej, tym lepiej — stwierdził Roberto.

Murdock zerknął na Salazara, potem przeniósł spojrzenie na Pepsicala i powiedział:

— Jeżeli ma pan jakieś wiadomości dotyczące tego człowieka...

— Bardzo uprzykrza życie mojemu przyjacielowi, to wszystko. Bardzo dobremu przyjacielowi. — Roberto był wystarczająco bystry, by nie wymieniać nazwiska Rudy'ego Graveline'a, a John Murdock wystarczająco bystry, by nie zadawać pytań.



— Grożenie komukolwiek jest karalne — oświadczył Joe Salazar. — Czy Stranahan mu groził?

— Nie sposób tego udowodnić — rzekł Roberto. — Posłuchajcie, będę wam bardzo zobowiązany, jeżeli postaracie się informować mnie na bieżąco.

— Oczywiście — obiecał John Murdock. Wytarł jedzenie z rewolweru i wsunął go z powrotem do kabury pod pachą.

— Sprawa jest bardzo ważna — nalegał Pepsical. — Wyjątkowo ważna.

— Nie martw się pan — oznajmił Murdock. — Przygwoździmy tego fiuta.

— Taa — dodał Joe Salazar. — To tylko kwestia czasu.

— Chyba niezbyt długiego, mam nadzieję.

— Zrobimy wszystko, co będzie w naszej mocy.

— Może nawet dostaniecie awans.

— O rany, awans — westchnął John Murdock. — Joey, słyszałeś? Awans! — Detektyw beknął głośno i podsunął: — A może zamiast tego trochę sałaty?

Roberto Pepsical zamrugnął, jakby koło głowy bzyknął mu szerszeń.

— Jezu, mam rozumieć...

— Forsa — wyjaśnił Salazar, chrzęszcząc marynowanym ogórkiem. — Chodzi mu o forszę.

— To znaczy, że chcecie łapówkę za wyjaśnienie sprawy morderstwa?

— Nie — sprostował Murdock. — Za przeprowadzenie aresztowania.

— Nie mogę w to uwierzyć.

— Możesz pan — stwierdził Joe Salazar. — Twój przyjaciel chce, żeby mu usunąć z drogi Stranahana, prawda? Areszt hrabstwa jest cholernie nie po drodze.

Roberto potarł obwisłą brodę.

— Pieniądze — mruknął.

— Nie wiem, jak je nazywacie tam, w centrum administracyjnym, ale tutaj używamy określenia „premia”. — John Murdock uśmiechnął się do Pepsicala. — No więc, jak się u was mówi?

Roberto uznał za trochę nieostrożne omawianie kwestii łapówki w pokoju detektywów. Czuł się cholernie niepewnie.

— W porządku, coś wymyślimy — obiecał cicho Murdockowi.

— Dobrze.

Pepsical wstał. Zamierzał podać im rękę na pożegnanie, lecz zmienił zdanie.

— Posłuchajcie, tego spotkania nie było — oświadczył obu policjantom.

— Oczywiście, że nie — zgodził się John Murdock.

— Hej, możesz nam pan zaufać — dodał Joe Salazar.

Dopóki nie odwrócę głowy, pomyślał Roberto Pepsical.

Trzy dni wcześniej, zanim Mick Stranahan, Christina Marks i Reynaldo Flemm przybyli na Manhattan i cztery dni przed pojawieniem się mężczyzny przezywanego Chemo, Maggie Gonzalez weszła do pracowni wideo na Zachodniej Pięćdziesiątej Drugiej i poprosiła o nagranie taśmy. Dała siedemdziesiąt pięć dolarów gotówką pracownikowi, który zaprowadził ją do studia — wąskiego pokoiku na zapleczu wyłożonym tanimi płytami korkowymi. W studiu cuchnęło lizolem. Na podłodze leżał poplamiony szary materac i jasny kłębek zużytego kleenexu, który mężczyzna usunął na jej stanowcze żądanie. W jednym końcu pomieszczenia znajdowała się kamera wideo Sony na aluminiowym trójnogu, a za nią, na stelażu, niewielki zestaw reflektorów. Pracownik rozłożył składane metalowe krzesło i ustawił je w odległości około dwóch i pół metra od obiektywu.

Maggie usiadła, otworzyła torebkę i rozłożyła notatki, które sporządziła na papierze listowym hotelu „Plaza”. Gdy czytała je po cichu, pracownik mlaskał niecierpliwie, przesuwając gumę do żucia w ustach. Zachowywał się, jakby oczekiwały go niezwykle ważne sprawy. Wreszcie Maggie poleciła mu uruchomić kamerę i nad zimnym czarnym okiem aparatu zapaliło się czerwone światło.

Już miała zacząć, gdy zauważyła, że facet tkwi w najciemniejszym kącie jak karaluch starający się stopić z tłem. Powiedziała mu, żeby spadał, odczekała, aż drzwi zatrzasnęły się za nim, i dopiero wtedy nabrała powietrza i zwróciła się do kamery:

— Nazywam się Maggie Orestes-Gonzalez. Dwunastego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku byłam świadkiem zabicia młodej kobiety, Victorii Barletty...

Nagranie trwało czternaście minut. Potem Maggie kazała wykonać dwie dodatkowe kopie po dwadzieścia dolarów za sztukę. Wracając do hotelu, zatrzymała się w oddziale Merchant Bank i wynajęła skrytkę, w której pozostawiła dwie zapasowe taśmy. Oryginał wzięła ze sobą do pokoju hotelowego i umieściła na nocnym stoliku, pod menu obsługi hotelowej.

Następnego dnia pojechała taksówką do gabinetu doktora Leonarda Leopera na rogu Pięćdziesiątej i Lexington. Doktor Leoper był ogólnie znanym, cieszącym się międzynarodową sławą chirurgiem plastycznym. Maggie czytała o nim w prasie.

— Mam nadzieję, że pańska reputacja to nie przesada. — oznajmiła.

Jej doświadczenia w przedsiębiorstwie chirurgicznym doktora Rudy'ego Graveline'a nauczyły ją wyjątkowej ostrożności w doborze lekarza.

— Czego pani ode mnie oczekuje, młoda damo? — zapytał spokojnie doktor.

— Robótki — odparła.

— Robótki?

— Chcę przeprowadzić korekturę powiek i usunąć garbek z nosa. Chcę również, aby wyrównał pan przegrodę nosową, żeby wyglądała o tak. — Końcem palca przesunęła czubek nosa, nadając mu zadarty kształt, w stylu Sandy Duncan. — Rozumie pan?

Doktor Leoper skinął głową.

— Jestem pielęgniarką — wyjaśniła Maggie. — Pracowałam dla chirurga plastycznego.

— Domyśliłem się tego — stwierdził doktor. — Dlaczego postanowiła pani przeprowadzić te zabiegi?

— Nie pański interes.

— Panno Gonzalez — oznajmił Leoper. — Jeżeli rzeczywiście pracowała pani u chirurga, powinna pani wiedzieć, że muszę zadać kilka pytań osobistych. Istnieją dobre i złe powody dokonania wybiórczej operacji plastycznej, dobrzy i źli kandydaci. Niektórzy pacjenci uważają, że rozwiąże ona wszystkie ich problemy, a oczywiście tak się nie stanie...

— Niech pan nie chrzani — przerwała mu Maggie. — I proszę mi uwierzyć: operacja z całą pewnością rozwiąże moje problemy.

— Jakie mianowicie?

— Nie pański interes. Doktor Leaper wstał.  
— W takim razie obawiam się, że nie mogę pani pomóc.  
— Wszyscy jesteście tacy sami — poskarżyła się Maggie.  
— Nie, wcale nie — odparł Leaper. — I dlatego pani tu przyszła. Potrzebny był pani dobry fachowiec.

Jego spokój doprowadzał Maggie do szału.

— No dobrze — poddała się. — Czy przeprowadzi pan operację, jeżeli podam przyczynę?

— O ile uznam ją za istotną — rzekł chirurg.

— Potrzebuję nowej twarzy.

— Dlaczego?

— Ponieważ mam... zeznawać przeciwko komuś.

— Czy może mi pani powiedzieć coś więcej?

— Sprawa jest ważna i spodziewam się, że ten człowiek wyśle kogoś, aby mnie wcześniej odnalazł. Nie chcę, żeby mu się udało.

— Ale operacja może tylko... — zaczął doktor.

— Proszę posłuchać. Widziałam setki przypadków i potrafię odróżnić dobre wyniki od złych. Znam również ograniczenia tych zabiegów. Niech pan tylko zrobi mi nos, szyję, oczy, może plastikowy implant na brodzie... i pozwoli mi oraz kosmetykom dokonać reszty. Gwarantuję, że ten sukinsyn mnie nie rozpozna.

Doktor Leaper splótł palce dłoni.

— Proszę mi wyjaśnić — odezwał się poważnym głosem — czy ma pani być świadkiem w sprawie kryminalnej?

— Oczywiście — potwierdziła Maggie. — Mówiąc ściśle, zabójstwa.

— Och, mój Boże!

— I muszę zeznawać, doktorze. — Określenie „zeznawać” było pewnym naciąganiem faktów, ale niezbyt odbiegało od prawdy. — Postępuję właściwie — zapewniła Maggie.

— Tak — zgodził się Leaper bez przekonania.

— A więc rozumie pan, dlaczego potrzebuję pańskiej pomocy?

Chirurg westchnął.

— Dlaczego miałbym pani wierzyć?

— A dlaczego miałabym kłamać? — zapytała Maggie. — Gdyby sytuacja nie była krytyczna, to czy sądzi pan, że nie przeprowadziłabym tych zabiegów dawno temu, kiedy przysługiwała mi zniżka?

- Chyba tak.
- Proszę, doktorze. To nie jest sprawa próżności, lecz przeżycia. Przerabiając mi twarz, uratuje pan życie ludzkie.
- Doktor Leaper otworzył terminarz.
- Na jutro zaplanowałem odsysanie, ale dla pani przesunę ten zabieg. Proszę nic nie jeść ani nie pić po północy...
- Znam zasady — przerwała mu impulsywnie Maggie. — Bardzo panu dziękuję.
- W porządku.
- Jeszcze jedno.
- Tak? — zapytał doktor Leaper, unosząc siwą brew.
- Ciekawa jestem, czy istnieje szansa na zawodową zniżkę? Przecież skoro jestem pielęgniarką...

Mick Stranahan stał na krawężniku przed portem lotniczym La Guardia i obserwował, jak Reynaldo Flemm wsiada do długiej czarnej limuzyny. Przytrzymujący drzwi kierowca popatrzył na nowe włosy Reynalda i spojrział pytająco na Christinę. Powiedziała mu coś po cichu, a następnie pomachała na pożegnanie siedzącemu z tyłu Flemmowi. Mick miał wrażenie, że Reynaldo spojrział na niego z goryczą przez przyciemnione szyby odjeżdżającego samochodu.

— Nie podoba mi się to miejsce — mruknął Stranahan, spowity mroźnymi kłębami oddechu.

— A jakie miejsce ci się podoba? — zapytała Christina.

— Old Rhodes Key. Tylko tam nie widzi się zamarzniętych plwocin na chodniku. Prawdę mówiąc, nie widzi się nawet chodnika.

— Stary zrzęda — Christina powiedziała to zbyt sarkastycznie jak na gust Micka. — Chodź, weźmiemy taksówkę.

Mieszkała przy Siedemdziesiątej Drugiej na Upper East Side. Trzecie piętro, jedna sypialnia z maleńką kuchnią i ogródek balkonowy, na którym ledwo mógłby się pomieścić norweski szczur. Meble były niskie i nowoczesne — szkło, chrom i ostre kąty; sofa, którą składa się jak łamigłówkę; rośliny w doniczkach zajmujące trzy z czterech kątów saloniku; na ścianie duży i zwariowany abstrakcyjny obraz.

Stranahan cofnął się o krok i przyjrzał się dokładnie malowidłu.

— Cholera, nie wiem — mruknął.

Z sypialni dobiegł go głos Christiny:

— Podoba ci się?

— Niezupełnie — odparł.

Gdy wyszła z sypialni, zauważył, że przebrała się w niebieskie dzinsy i marynarski sweter. Stała obok niego przed obrazem i oznajmiła:

— Podobno przedstawia wiosnę. Wiosnę w mieście.

— Wygląda jak pożar stacji benzynowej.

— Dziękuję. Cóż za wrażliwość.

Stranahan wzruszył ramionami.

— Chodźmy. Muszę znaleźć hotel.

— Dlaczego nie zostaniesz tutaj? — zapytała. — Możesz spać na rozkładanym łóżku.

— Na rozkładanym? Nie sądzę.

— Tu jest bezpieczniej niż w hotelu, Mick.

— Nie jestem taki pewien.

— Nie pochlebiaj sobie.

— Wierz mi albo nie, ale akurat nie myślałem o sobie.

— Przepraszam. Zostań, proszę.

— Wielki Reynaldo nie będzie uszczęśliwiony.

— Tym bardziej.

Zjedli późny lunch w małej włoskiej restauracji trzy przecznice od mieszkania Christiny. Zamówiła sałatkę z makaronem i wodę Perrier, a Mick spaghetti z klopsikami i dwa piwa. Potem pojechali taksówką do hotelu „Plaza”.

— Jest tutaj? — dopytywała Christina najpierw w holu, a potem w windzie.

Stranahan zapukał do drzwi Maggie Gonzalez, ale nikt nie odpowiadał. Maggie leżała w łóżku, podróżując przez kodeinową krainę marzeń z nową twarzą, której jeszcze nie widziała. Odgłos pukania rozlegał się w jej cudownej farmaceutycznej mgle jedynie jako stłumiony werbel i Maggie nie zwracała na niego uwagi. Miną godziny, zanim pukanie się powtórzy, a wtedy będzie dość przytomna, by chwiejnym krokiem skierować się w stronę drzwi.

Maggie popełniła wielki błąd, dzwoniąc cztery dni wcześniej do doktora Rudy'ego Graveline'a, zaraz po otrzymaniu jego wiadomości zapisanej w automatycznej sekretarce w Miami. Ciekawość wygrała ze zdrowym rozsądkiem — Maggie straszliwie pragnęła uzyskać aktualne informacje w

sprawie Stranahana. Musiała utrzymywać bliski kontakt z Rudym, lecz niezbyt bliski. Sytuacja była delikatna. Chciała, żeby doktor wierzył, że są po tej samej stronie, jego stronie. Chciała też, aby dalej napływały pieniądze.

Ale ta rozmowa telefoniczna przebiegała w dość dziwny sposób. Początkowo odniosła wrażenie, że Graveline jakby odczuł ulgę, słysząc jej głos. Ale im więcej pytań zadawała — na temat Stranahana, ludzi z telewizji, sytuacji finansowej — tym bardziej doktor stawał się roztargniony, a jego głos w słuchawce suchy i chłodny. Wreszcie Rudy oznajmił, że ktoś wszedł do jego gabinetu, i zapytał, czy mógłby zadzwonić do niej za jakiś czas. Maggie odparła, że oczywiście i, jak się później okazało, popełniła głupstwo, dając mu numer swego telefonu w hotelu. Do tej pory chirurg nie zadzwonił i Maggie zastanawiała się, po co, u diabła, miałby się chcieć z nią porozumieć.

Odpowiedź była prosta.

Trzynastego lutego mężczyzna znany pod przydomkiem Chemo udał się samolotem Pan-Am z Miami do Nowego Jorku. Kapelusz z szerokim rondem, nasunięty nisko na czoło, przesłaniał jego niezwykłą twarz. Przewieszone przez lewe przedramię wieczko torby golfowej, wykonane z cielej skóry, kryło jego protezę, zielony wełniany płaszcz miał chronić go przed zimowym wiatrem. Zadaniem zaś butów na grubej gumowej podeszwie było zabezpieczać jego nogi przed słynną nowojorską mieszaniną roztopionego śniegu i błota. Na jego wyposażenie składały się ponadto: rybacki nóż Rapala, numer telefonu faceta w Queens sprzedającego pistolety oraz fragment recepty, na którym doktor Graveline wypisał swoim koślawym charakterem: „Hotel Plaza, pok. 966”.

## 18.

Gdy wrócili z hotelu „Plaza” do mieszkania, Mick Stranahan zapytał Christinę:

— Naprawdę chcesz, żeby w twoim mieszkaniu spał na rozkładanym łóżku morderca?

— Chrapiesz?

— Mówię poważnie.

— Ja również. — Wyjęła z szafy flanelowe prześcieradło, koc i dwie poduszki. — Mam również grzejnik, który czasami działa.

— Nie, wszystko w porządku.

Stranahan zdjął buty, włączył program Lettermana i wyciągnął się na sofie. Usłyszał z łazienki odgłos prysznic. Po kilku minutach Christina wyszła otoczona chmurą pary i usiadła na stole kuchennym. Była ubrana w krótki niebieski szlafrok. Policzki miała zaczerwienione od gorącej wody, mokre włosy starannie wyszczotkowała.

— Spróbujemy jeszcze raz z samego rana — powiedział Mick.

— Co?

— Zastukać do pokoju Maggie w hotelu.

— A, tak. — Sprawiała wrażenie, jakby myślała o czymś innym.

Opuścił nogi na podłogę.

— Chodź, usiądź tutaj.

— Chyba raczej nie — odparła.

Stranahan uznał, że ma się na baczności.



— Musiałem cię przestraszyć w samolocie.

— Nie, wcale nie.

Chciała wypytać go o wszystko, o całe jego życie. Próbował jej to ułatwić, lecz nie najlepiej mu wychodziło.

— Wcale mnie nie przestraszyłeś — powtórzyła. — Gdyby było inaczej, nie pozwoliłabym ci zostać. — Ale rzeczywiście ją przestraszył, a mimo to zaprosiła go. Ten fakt niepokoił ją w jeszcze większym stopniu.

Stranahan wyłączył pilotem telewizor. Słyszał syreny przejeżdżających samochodów policyjnych i doszedł do wniosku, że wolałby znajdować się u siebie i spać w domu na palach.

Gdy Christina odezwała się ponownie, wcale nie przypominała doświadczonej, profesjonalnej dziennikarki.

— Pięciu ludzi? — zapytała.

Mick był zadowolony, że zaczęła od jego ofiar. Z wyjaśnieniem swoich małżeństw miały większe kłopoty.

— Rozmawiamy nieoficjalnie?

Zawahała się, ale przytaknęła.

— Ci, których zabiłem — zapewnił — mogli zabić mnie pierwsi. Musisz mi uwierzyć. — W głębi duszy nie był całkowicie przekonany co do Thomasa Henry'ego Thomasa, rabusia z baru z pieczonymi kurczakami. W tym wypadku na dwoje babka wróżyła.

— Jak to było?

— Koszmarnie.

Czekała na szczegóły. Często ludzie tacy jak Stranahan lubili o tym opowiadać. Albo musieli. On jednak tylko powtórzył:

— Koszmarnie, słowo daję. Nic zabawnego.

— Czy żal ci któregoś z nich?

— Nie.

Siedziała z łokciem na stole, podpierając pięścią policzek. W pokoju słychać było jedynie syczenie nagrzewających się kaloryferów. Mick zdjął podkoszulek i położył go starannie na pozostałych częściach garderoby.

— Jutro wynajmę sobie pokój w hotelu.

— Nie, nic z tego — zaprotestowała. — Wcale się nie boję.

— Nie słyszałaś jeszcze o moich żonach.

Roześmiała się cicho.

— Pięć w twoim wieku. Musiałeś się starać pobić rekord.

Stranahan położył się znowu, zakładając ręce pod głowę.

— Zakochuję się w kelnerkach. Nic na to nie mogę poradzić.

— Chyba żartujesz.

— Nie bądź snobką. Wszystkie były sprytniejsze ode mnie. Nawet Chloe.

— Przez telefon zrobiła na mnie wrażenie bardzo zimnej kobiety. Mam nadzieję, że cię nie uraziłam.

Jęknął na samo wspomnienie.

— A co z innymi, jakie były?

— Przez pewien czas kochałem każdą z nich. A potem pewnego dnia przestawałem.

— Nie wygląda mi to na miłość — stwierdziła Christina.

— Mylisz się, złotko. — Uśmiechnął się do swoich myśli.

— Mick, czy żałujesz któregoś?

— Nie.

Kaloryfer zabulgotał. Ciepło spowodowało, że Stranahan poczuł się senny. Ziewnął.

— A co z kochankami? — zapytała Christina. Pytanie rzeczywiście rozbudziło go natychmiast. — Też były kelnerkami? Bez wyjątku?

— Och, robiłem pewne wyjątki. — Podrapał się w głowę, udając, że było ich tak wiele, iż musi je sobie przypomnieć. — Poczekaj, była kuratorka. I jedna architekt, nie, dwie. Oddzielnie, oczywiście. I inżynier z zakładów Pratt Whitney w Palm West. Prawdziwa specjalistka raketowa.

— Naprawdę?

— Tak, naprawdę. I wszystkie były jeszcze większymi idiotkami niż ja.

— Podciągnął koc pod brodę i zamknął oczy. — Dobranoc, Christina.

— Dobranoc, Mick.

Zgasiła światło, wróciła do stołu kuchennego i siedziała w szarym półmroku, obserwując, jak śpi.

Gdy Maggie Gonzalez ponownie usłyszała stukanie, wstała z łóżka i zataczając się ruszyła w stronę źródła hałasu. Szła z wyciągniętymi rękami, starając się wyczuwać przed sobą niebezpieczne ściany, klamki czy lampy, ale przychodziło jej to z trudem. Przed oczyma miała wilgotną gazę, a środki przeciwbólowe dodatkowo sprawiały, że widziała wszystko jak przez

mgłę. Gdy otworzyła drzwi, zobaczyła przed sobą tors okryty zielonym wełnianym płaszczem. Powoli, stopniowo unosiła pękającą z bólu głowę, aż wreszcie ujrzała twarz stojącego przed nią mężczyzny.

— Oo — mruknęła.

— Jezu Chryste! — odpowiedział Chemo. Wepchnął ją z powrotem do pokoju i zamknął kopniakiem drzwi za sobą, klnąc dziko swojego cholernego pecha. Kobieta od stóp do głów owinięta była białym bandażem — jak pieprzona mumia! Wyjął fotografię z kieszeni płaszcza i podał ją Maggie Gonzalez.

— To ty? — zapytał.

— Nie — wyszeptaly pergaminowe wargi przez szczelinę w bandażach.

— Nie, to nie ja.

Chemo widział wyraźnie, że kobieta jest na wpół przytomna. Polecił jej, aby usiadła, zanim się przewróci.

— To ty, prawda? Jesteś Maggie Gonzalez.

— Popelnia pan wielki błąd.

— Zamknij się.

Zdjął kapelusz z szerokim rondem i cisnął go na łóżko. Przez otwory w bandażach Maggie mogła się dobrze przyjrzeć zadziwiającej twarzy swojego niespodziewanego gościa.

— Mój Boże, co się panu stało? — wychrypiąła.

— Zamknij się, do cholery!

Chemo zdjął płaszcz, przerzucił go przez krzesło i zaczął chodzić z kąta w kąt. Podróż przemieniała się w tor przeszkód. Najpierw facet w Queens sprzedał mu zardzewiałego kolta zero trzydzieści osiem z tylko dwoma nabojami. Potem w metrze musiał uciekać przed grupą leciwych Amiszów w obawie, że mogą go rozpoznać z poprzedniego okresu jego życia. A teraz znowu kłopot. Chemo był wprawdzie niemal pewien, że zabandażowana kobieta jest Maggie Gonzalez, ale nie chciał spartolić roboty i zabić niewłaściwej osoby. Doktor Graveline nigdy by tego nie zrozumiał.

— Kim pan jest? — odezwała się zardzewiałym głosem Maggie. — Kto pana przysłał?

— Zadajesz za dużo pytań.

— Proszę, nie czuję się dobrze.

Chemo wyjął kolta zza paska spodni i wycelował go w zabandażowany czubek jej nosa.

— Jesteś Maggie Gonzalez, prawda?

Na widok pistoletu kobieta pochyliła się do przodu i zwymiotowała na zimowe buty zbira.

— Jezu Chryste! — jęknął i rzucił się do łazienki.

— Przepraszam! — zawołała za nim. — Przestraszył mnie pan, to dlatego.

Gdy Chemo powrócił, był na bosaka, a rewolwer miał znowu zatknięty za pasek. Wycierał usta rogiem ręcznika.

— Naprawdę bardzo przepraszam — powtórzyła Maggie.

Dryblas pokręcił z obrzydzeniem głową i usiadł w rogu łóżka.

Maggie wydawało się, że nogi mężczyzny są długie jak cyrkowe szczudła.

— Przyszedłeś mnie zabić?

— Tak — potwierdził Chemo i wytarł ręcznikiem plamkę wymiocin z jej nocnej koszuli.

Przyglądała mu się przez chwilę, widząc wszystko niewyraźnie jak przez mgłę. Wreszcie stwierdziła:

— Miałaś robioną dermabrazję.

— I co z tego?

— Dlaczego takimi małymi kawałkami... Dlaczego nie większymi?

— Mój lekarz powiedział, że byłoby to ryzykowne.

— Twój lekarz pieprzy — odparła Maggie.

— Jak się domyślam, jesteś ekspertem w tych sprawach albo kimś podobnym?

— Jestem pielęgniarką, ale pewnie o tym wiesz.

— Nie, nie wiem — przyznał Chemo. Doktor Graveline nie był uprzejmy o niczym go poinformować.

— Kiedyś pracowałam u chirurga plastycznego w Miami — wyjaśniła Maggie. — Rzeźnika przez duże RZ.

Chemo odruchowo dotknął bolesnych punktów na podbródku. Niemal obawiał się zadać pytanie. Przełamał się jednak.

— Jak się nazywał ten chirurg?

— Graveline. Rudy Graveline. Osobiście nie pozwoliłabym mu wyrównać sobie paznokcia.

Chemo powoli przymknął wytrzeszczone, zaczerwienione oczy. Pogrążona w kodeinowych oparach Maggie pomyślała, że przypomina jej gigantyczną, zmutowaną pod wpływem promieniowania salamandrę, prosto z jakiegoś filmu o potworach.

— Coś ci zaproponuję — odezwał się wreszcie olbrzym. — Opowiem ci, co się stało z moją twarzą, a ty mi opowiesz, co się stało z twoją.

Śniadanie w Central Parku było pomysłem Chema. Doszedł do wniosku, że będzie tam tylu świrów, iż nikt nie zwróci uwagi na nich dwoje. Rzeczywiście, okazało się, że przypominająca maskę Tutenhamona twarz Maggie przyciągnęła jedynie kilka spojrzeń. Chemo jeszcze bardziej nacisnął kapelusz na czoło i oświadczył:

— Powinnaś była założyć szal.

Siedzieli na ławce niedaleko Columbus Circle. Chemo kupił pudełko rodzynkowych obwarzanków z twarożkiem. Maggie zwierzyła się, że jej żołądek sprawuje się już o wiele lepiej, ale z powodu bandaża mogła wkładać do ust jedynie niewielkie kawałki ciasta. Był to bardzo kłopotliwy proces, w wyniku którego wszystko dokoła pokryło się okruciami, ale natychmiast pojawiły się dwie tłuste wiewiórki i się nimi zajęły.

— Nos, broda, powieki. Chryste, wcale się nie dziwię, że cię boli — oznajmił Chemo. Wyjął jej zdjęcie i spojrział na nie z uznaniem. — Szkoda — dodał.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że byłaś ładną kobietą.

— Może jestem nią w dalszym ciągu — zaprotestowała Maggie. — Być może nawet ładniejszą.

Chemo schował jej zdjęcie z powrotem do kieszeni.

— Może — przytaknął.

— Przez ciebie zaczynam płakać, a wtedy wszystko mnie szczypie.

— Daj sobie spokój.

— Nie pojmujesz, że czuję się wystarczająco paskudnie? — zapytała. — Zrobiłam sobie całkiem nową twarz i po co? Za miesiąc byś mnie nie poznał. Mogłabym ci usiąść w metrze na kolanach i nie zorientowałbyś się, że to ja.

Chemo usłyszał, jak lka pod bandażami.

— Nie płacz, do cholery — rzucił. — Nie zachowuj się jak dziecko.

— Nie rozumiem, dlaczego Rudy cię wysłał — pisnęła Maggie.

— Żeby cię zabił. Przecież to jasne.

— Ale dlaczego teraz? Nic się jeszcze nie stało.

Dryblas zmarszczył czoło i powiedział. — Ciszej. — Zimno szczypało go w różowe placki na brodzie, co z kolei skłaniało go do myślenia o Rudym Gravelinie. Nazwała go rzeźnikiem przez duże RZ. Bardzo chciał się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat.

Szczupły młody Moonie w znoszonych sztruksowych spodniach podszedł do ławki i wyciągnął w ich stronę bukiet białych i czerwonych goździków.

— Bądź szczęśliwa — rzekł do Maggie. — Pięć dolarów.

— Spadaj! — rozkazał Chemo.

— Cztery dolary — zmienił zdanie Moonie. — Bądźcie szczęśliwi. Chemo zdjął osłonę z cielejącej skóry okrywającą jego Niszczyciela Chwastów i przesunął włącznik zasilania. Po chwili Moonie z otwartymi ustami patrzył, jak facet spokojnie przerabia jaskrawe goździki na konfetti.

— Bądź nieobecny, pajacu — warknął Chemo i Moonie uciekł.

Wielkolud umieścił Niszczyciela Chwastów w futerale i odwrócił się do Maggie. — Wyjaśnij mi, dlaczego doktorek chce cię sprzątnąć.

Dopiero po dłuższej chwili ekspielegniarka otrząsnęła się z wrażenia po tym spektaklu. Wreszcie odparła:

— No cóż, to długa historia.

— Mam cały dzień — stwierdził Chemo. — Chyba że kupiłaś bilety na *Upiora* albo coś w tym rodzaju.

— Moglibyśmy się przejść?

— Nie — zaprotestował ostro Chemo. — Pamiętasz?

Wyrzucił swoje opaskudzone rzygowinami buty i skarpetki z dziewiątego piętra hotelu „Plaza” przez okno pokoju Maggie. Teraz siedział na bosaka lutowym przedpołudniem w Central Parku, przy temperaturze kilku stopni powyżej zera. Pomachał długimi, posiniałymi palcami stóp i polecił:

— Mów!

Zrobiła, co kazał. Opowiedziała mu wszystko o śmierci Victorii Barletty i choć była to nieco krótsza spowiedź od tej, którą zarejestrowała na taśmie wideo, to jednak nie mniej wstrząsająca.

— Chyba wszystko zmyśliłaś — nie mógł uwierzyć Chemo.

— Nic podobnego.

— Zabił dziewczynę podczas przeróbki nosa?

Maggie kiwnęła głową.

— Byłam przy tym.

— Jezu Chryste.

— To był wypadek.

— Gorzej — burknął dryblas. Zdjął kapelusz i cisnął go na chodnik, plosząc wiewiórki. — Przecież ten sam wariat pracuje nad moją twarzą. Kurwa, nie zniosę tego!

— Dermabrazja jest o wiele prostszym zabiegiem — próbowała go pocieszyć Maggie.

— Dobra, dobra, nie musisz mi nic mówić o prostszych zabiegach. — Chemo nie mógł uwierzyć w swojego pecha w doborze lekarzy. — Ale co to ma wspólnego z kontraktem na ciebie?

Maggie opowiedziała mu o dochodzeniu zorganizowanym przez Reynalda Flemma z telewizji (pomijając milczeniem ów drobny fakt, że to ona sama dała mu cynk) i o tym, jak poinformowała Rudy'ego o śledczym Micku Stranahanie. Bardzo starała się zasugerować, że całą historię zorganizował Stranahan.

— Teraz wszystko zaczyna mi pasować — stwierdził Chemo. — Grave-line chce, żebym zabił również tego kutasa — wyciągnął przed siebie przy-mocowanego do przegubu Niszczyciela Chwastów — przez którego straci-łem rękę.

— Rudy nie może dopuścić, aby pozostali jacykolwiek świadkowie — wyjaśniła Maggie. — Ani do żadnego rozgłosu wokół sprawy. Bo nie tylko zabraliby mu uprawnienia, lecz i powędrowałyby do pudła. Rozumiesz te-raz?

Jasne, że tak, pomyślał Chemo.

Biała maska będąca twarzą Maggie zapytała:

— Czy w dalszym ciągu zamierzasz mnie zabić?

— Zobaczymy — odparł Chemo. — Na razie staram się wszystko sobie poukładać.

— Ile ten skurwysyn ci płaci?

Wielkolud podniósł z chodnika wygnieciony kapelusz.

— Wolałbym raczej nie mówić — wymamrotał, wyraźnie zakłopotany. W żaden sposób nie pozwolił temu rzeźnikowi grzebać przy swoich uszach. Nie teraz.

Christina Marks i Mick Stranahan weszli do hotelu „Plaza” wkrótce po

dziesiątej. Z holu Stranahan zadzwonił do pokoju Maggie, ale znowu nikt nie odpowiedział. Christina wsiadła z nim do windy i gdy jechali na dziewiąte piętro, przyglądała się, jak wyjmuje z portfela niewielkie żabkowe ostrze.

— Klucz uniwersalny — wyjaśnił.

— Mick, nie. Za coś takiego mogą mnie wyrzucić z pracy.

— W takim razie zjedź na dół.

Nie zrezygnowała jednak. Obserwowała, jak forsuje zamek w drzwiach Maggie, a potem wślizgnęła się za nim do pokoju. Nie odezwała się i na dobrą sprawę nawet nie ruszyła z miejsca, kiedy on zaglądał do łazienki i szaf, by sprawdzić, czy są sami.

— Mick, chodź tu.

Na stoliku nocnym stały dwa flakoniki z lekarstwami, plastikowa nerka i chirurgiczny kompres pokryty różowymi plamkami. Stranahan spojrział na pastylki — tylenol nr 3 i darvocet. Flakonik darvocetu był jeszcze nieotwarty. Koło telefonu leżał służbowy bilet wizytowy. Mick przeczytał wizytówkę i roześmiał się sucho.

DR MED. LEONARD R. LEAPER

DYPLOMOWANY PRZEZ AMERYKAŃSKĄ IZBĘ CHIRURGU

GABINET: 555-6600. NOCE I NAGŁE PRZYPADKI: 555-6677

— Jakie to miłe — powiedziała Christina. — Wzięła nasze pieniądze i przerobiła sobie buźkę.

— Coś mi tu nie pasuje — oznajmił Stranahan. — Powinna leżeć w łóżku.

— Może wyszła coś przekąsić w „Czterech Porach Roku”?

Pokręcił głową.

— Te lekarstwa zapisano zaledwie przed dwoma dniami, czyli wtedy musiała przejść operację. W dalszym ciągu powinna być spuchnięta jak mango. Czy pojawiłabyś się w miejscu publicznym, wyglądając tak jak ona?

— To zależy, ile zećpała tych prochów.

— Nie — stwierdził Mick, obrzucając spojrzeniem pokój. — Coś jest nie tak. Powinna być na miejscu.

— Co chcesz zrobić?

Stranahan postanowił, że zjedą na dół i poczekają w holu. Maggie, w jej stanie, z pewnością rzuciła się w oczy.

— Ale najpierw — dodał — obejrzyjmy sobie wszystko naprawdę dokładnie.



Christina podeszła do bieliźniarki. Pod stosem staników i majtek znalazła trzy kostiumy bikini w kwiatki z ciągle jeszcze przyczepionymi do nich metkami sklepów hotelu „Plaza”. Maggie rzeczywiście zamierzała wyjechać do Miami.

— Och, panno Marks! — zawołał śpiewnie Stranahan. — Niech no pani spojrzy!

Pokazał jej kasetę wideo w brązowym plastikowym pudełku, do którego umocowana była nalepka z Midtown Studio Productions, a następnie rzucił ją Christinie. Odrzuciła mu z powrotem.

— Nie możemy jej zabrać, to byłaby kradzież.

— Nie możesz ukraść czegoś, co już do ciebie należy — wyjaśnił.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Jeżeli na kasecie jest to, co myślę, już za nią zapłaciłaś. Sprawa Bartletty, pamiętasz?

— Ale nie wiemy tego na pewno. Może być na niej wszystko, na przykład jakieś rodzinne nagrania.

Mick uśmiechnął się i wsunął kasetę do kieszeni płaszcza.

— Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

— Nie — zaprotestowała dziewczyna.

— Posłuchaj, masz u siebie w mieszkaniu magnetowid. Obejrzymy nagranie, a jeżeli się myślę, odniosę kasetę osobiście.

— Aha, rozumiem. Wślizgniesz się, położysz ją, skąd wzięłaś, i doprowadzisz wszystko do porządku.

— Tak, jeżeli się myślę. Jeśli będzie na niej nagrana Jane Fonda albo coś w tym rodzaju. Ale nie przypuszczam.

Christina Marks wiedziała, na co się naraża. Oczywiście pomysł był szalony. Gdyby ich przyłapano, mogłaby stracić pracę, zniszczyć swoją całkiem niezłą karierę. Z drugiej jednak strony sprawa nie była typową dla Reynalda Flemma sieczką. W końcu to z jej powodu o mało nie zginąłem, a więc do diabła z konsekwencjami.

— Beta czy VHS? — zapytała niechętnie.

Stranahan uściśnął ją.

I w tej samej chwili usłyszeli, że ktoś obraca klucz w zamku.

Obie pary przez kilka sekund nie odezwały się ani słowem, tylko gapiły się na siebie w milczeniu. Zwłaszcza Mick Stranahan i Christina Marks. Widok był bowiem fascynujący — kobieta owinięta w bandażę i tyczkowały

morderca z lewą ręką sięgającą do kolan.

Maggie Gonzalez pierwsza odzyskała głos:

— To on.

— Kto? — zagadnął Chemo. Nigdy dotąd nie widział Micka z tak niewielkiej odległości, nawet w domu na zatoce.

— On — powtórzyła Maggie przez bandażę. — Co robicie w moim pokoju?

— Cześć, Maggie — odezwał się Mick. — Oczywiście, jeżeli to ty jesteś pod bandażami. Strasznie dawno się nie widzieliśmy.

— I ty! — burknęła Maggie, wskazując na Marks.

— Hej! — powitała ją Christina. — Myślałam, że jesteś już na Hawajach.

— Coś mi się zdaje, że wszyscy oprócz mnie doskonale się znają — oświadczył Chemo. Wyciągnął rewolwer z kieszeni płaszcza. — Nie ruszać się!

— Jeszcze jeden, który naoglądał się telewizji — szepnął Stranahan do Christiny.

Chemo zamrugał z gniewem.

— Cholernie mi się nie podobasz.

— Domyśliłem się tego, widząc, jak ciągle starasz się mnie zabić. — Stranahan widział już w swoim życiu parę dziwacznych postaci, ale ten facet bił wszystkich na głowę. Zerkając jednym okiem na rewolwer, zapytał:

— Jakoś się nazywasz?

— Nie — odparł Chemo.

— Fajnie. Nagrobek będzie tańszy.

Chemo polecił Maggie, żeby zamknęła drzwi, lecz była pielęgniarka nie ruszyła się z miejsca. Widok broni ponownie przyprawił ją o mdłości i rozpaczliwie starała się utrzymać w sobie zjedzone na śniadanie obwarzanki.

— O co znowu chodzi? — warknął Chemo.

— Chyba niezbyt jej się do tego spieszy — wyjaśniła Christina.

— A kim ty jesteś, do cholery, Florence Nightingale?

— Co ci się stało w rączkę? — zakpiła dziewczyna.

Stranahan podziwiał jej opanowanie.

Chemo odniósł wrażenie, że traci panowanie nad sytuacją, co przecież nie miało sensu, bo to on trzymał rewolwer.

— Zamknijcie się, wszyscy razem! — rozkazał. — A ja teraz zabiję obecnego tu pana Stranahana. Nareszcie.

Słyszając te słowa, Maggie Gonzalez puściła pawia na rękę, w której Chemo trzymał broń. Biorąc pod uwagę ogólną przezroczystość jego cery, trudno było zgadnąć, czy zbladł. W każdym razie wyraźnie zachwiał się na nogach.

Mick Stranahan zrobił krok do przodu i wyrznął go brutalnie w grdykę. Mężczyzna runął jak olbrzymia kukła, ale nie wypuścił broni. Maggie cofnęła się i wrzasnęła. Z dziury w bandażach wyrwało się straszliwe pierwotne wycie, które wypełniło cały korytarz, i Stranahan doszedł do wniosku, że nie ma już czasu na wykończenie dzieła. Wypchnął Christinę za drzwi i kazał jej biec do windy. Krztusząc się i plując krwią, Chemo rozwinął się, porzucając pozycję płodową, i strzelił na oślep do biegnącej dziewczyny. Pocisk z brzękiem odbił się od gaśnicy i ugrzązł w grubych tapetach hotelu „Plaza”.

Zanim Chemo zdążył wystrzelić ponownie, Mick przydepnął jego przegub śliski od skonsumowanych przez Maggie obwarzanków. Ale wielkolud nie wypuścił rewolweru. Z pomrukiem zamachnął się swoim dodatkowo wyposażonym lewym ramieniem, trafił przeciwnika w zgięcie pod kolanem i przewrócił na podłogę. Obaj mężczyźni zmagali się zaciekle o broń, podczas gdy Maggie darła się wniebogłosey i gestem szympansa łapała się za spowitą w bandażę głowę.

Walka była mało efektowna. Zaplątany w długie kończyny zabójcy Stranahan nie mógł osłonić się przed okładającą go, przerośniętą lewą ręką Chema. Cokolwiek to było — na pewno nie ludzka pięść — zadane uderzenia bolały jak wszyscy diabli. Mickowi dzwoniło w głowie i próbował się uwolnić.

Nagle poczuł, jak lufa rewolweru opiera się o jego gardło. Szarpnął się, słysząc trzaśnięcie, ale wystrzał nie nastąpił. Nie było błysku, huku, zapachu prochu. Nabój, drugi i ostatni, okazał się niewypałem. Chemo był wstrząśnięty swoim pechem — ten dupek w Queens wyrolował go jak dziecko.

Stranahan uwolnił się wreszcie, wstał i zobaczył, że nie są już sami. Wzdłuż całego korytarza uchylały się drzwi, jedne bardziej, inne mniej. Przez wycie Maggie przebijały się podniecone głosy. Ktoś wołał policję.

Mick złapał za kieszeń płaszcza, upewniając się, że kasetka ciągle w niej jest, jeszcze raz kopnął Chema w pachwinę albo raczej w miejsce, gdzie jego zdaniem powinna znajdować się pachwina olbrzyma, i pognął korytarzem.

Christina Marks okazała się na tyle uprzejma, że zatrzymała windę.

## 19.

Doktor Rudy Graveline był człowiekiem, który nie ufał przypadkom i szczyił się swoim przygotowaniem na wszelkie ewentualności. Absolutnie nie planował romansu z hollywoodzką gwiazdą. Heather Chappell była szaleństwem — aromatycznym, wspaniałym, ulotnym, zepsutym, nadąsanym, cholernym szaleństwem. Ciągłe nie miał jej dosyć i zaczynał tęsknić do tej sfery precyzyjnego myślenia ogarniającej go w czasie, gdy się kochał z Heather — przypominała ostry, chłodny narkotykc. Pieprzyła go do całkowitego otępienia, pozostawiała obolałego, pustego i całkowicie świadomego kłopotliwej sytuacji, w jakiej się znalazł.

Na razie wymyślał niezręczne wymówki mające uzasadnić odkładanie jej skomplikowanej operacji plastycznej, wiedząc, że wyłączy ją ona z działania na kilka tygodni. A seks z Heather stał się najważniejszym elementem jego rozkładu dnia. Jak długodystansowiec wpadł w rytm, którego nie potrafił przełamać. Ludzie z telewizji siedzieli mu na karku, jego kariera medyczna była zagrożona, na horyzoncie majaczyło oskarżenie o zabójstwo, a jego zbawienie zależało od przekupnego, przygłupiego polityka i jednorękiego dwumetrowego zabójcy. Rudy musiał pozostać absolutnie sprawny umysłowo do chwili, aż minie kryzys, i Heather stała się najistotniejszym czynnikiem utrzymania tego stanu.

Traktował ją jak królową i wydawało się, że jego metoda jest skuteczna. Jej początkowy upór, aby ustalić datę zabiegu, jakby zanikał podczas

całodziennych zakupów, czterogwiazdkowych posiłków, rejsów jachtem o północy w górę i w dół Intracoastal. Ale ostatnimi dniami Heather znowu zaczęła naciskać na Rudy'ego nie tylko w sprawie terminu operacji, lecz również jej kosztu. Rzucała przejryste aluzje, że jej sypialniane wyczyny zasługują na taryfę ulgową, i jego stanowczość w tej kwestii zaczynała wyraźnie słabnąć. Aż wreszcie pewnej nocy odczekała, gdy znalazł się w niej, i ponownie poruszyła sprawę pieniędzy. I wtedy właśnie zadyszany Rudy zgodził się udzielić jej czterdziestoprocentowego rabatu. Potem był na siebie wściekły i przypisywał ten moment słabości stresowi oraz przemęczeniu umysłowemu.

W głębi duszy doktor znał prawdę — znalazł się w pułapce. Obawiał się przeprowadzić operację Heather Chappell, ale zarazem ogarniał go lęk, że jeśli nie zgodzi się na jej wykonanie, aktorka go opuści. Zapewne zgodziłby się zrobić to nawet za darmo, stał się bowiem uzależniony od tego ciała — cudownie idealnego ciała, które ona chciała ulepszyć. Zadanie to było wspaniałym wyzwaniem, które mogłoby ukoronować karierę najbardziej utalentowanego chirurga, ale dla partacza takiego jak Rudy Graveline stanowiło absolutną niemożliwość. Oczywiście zamierzał zlecić operację swoim asystentom. Przynajmniej tak mu się wydawało do chwili, gdy Heather wyskoczyła z następną niespodzianką.

— Moja agentka powiedziała, że powinnam kazać zarejestrować operację na wideo, kochanie.

— Chyba żartujesz! — zachnął się Rudy.

— Po prostu na wszelki wypadek.

— Co, czyżbyś mi nie ufała?

— Ależ oczywiście, że ci ufam — potwierdziła Heather. — Wszystko przez tę moją cholerną agentkę. Twierdzi, że ponieważ, cała moja kariera zależy od mego wyglądu, powinnam być ostrożna i zabezpieczyć się od strony prawnej. Przypuszczam, że chce się upewnić, iż nic nie pójdzie źle.

Rudy wyskoczył z łóżka i podparł się pod boki.

— Słuchaj, sam ci mówiłem, że te operacje wcale nie są konieczne.

— A ja ci mówiłam, że mam już dosyć grania w serialowych komediach sytuacyjnych i *Hollywood Squares*. Muszę wrócić do filmu, kochanie, a to wymaga nowego *image'u*. Dlatego właśnie tu przyjechałam.

Rudy Graveline nigdy dotąd nie próbował wyperswadować komuś zabiegu, musiał więc improwizować. Ogólnie rzecz biorąc, nie była to jakaś szczególnie oszałamiająca mowa.

— Bóg był dla ciebie nadzwyczaj łaskawy, Heather — zaczął. — Mam pacjentów, którzy daliby pięćdziesiąt kawalków, żeby wyglądać choćby w połowie tak pięknie jak ty. Nastolatki pozwoliłyby się zabić za nos, który ty chcesz sobie przerobić, żony sprzedałyby swoje pierworodne dziecko za cucuszki takie jak twoje...

— Rudolphie — przerwała mu Heather. — Oszczędź sobie.

Próbował podciągnąć majtki, ale gumka zaczęła o grubo obandażowane kolana, rezultat szału disco w kominku.

— Jestem oburzony — sapał Rudy — samym pomysłem nagrywania w mojej sali operacyjnej. — W rzeczywistości był nie tyle oburzony, ile przeżony. Kamera wideo oznaczała, że nie mógłby zwalić wszystkiego na innych chirurgów i wymknąć się na pole golfowe. Musiałby, zgodnie z życzeniem Heather, wykonać wszystkie zabiegi osobiście. Nie można dać narkozy kamerze, która nie przepuści ani jednego szwu.

— Tego się po prostu nie robi — protestował.

— Ależ robi się, robi — odparła Heather. — Ciągłe widuję takie rzeczy w telewizji popularnonaukowej. Kiedyś widziałam, jak serce małpy przeszczepiano dziecku. Pokazywali wszystko.

— Ale tego nie robi się t u t a j — upierał się doktor.

Aktorka usiadła, starając się, aby prześcieradło zsunęło się z jej stromych piersi.

— Doskonale, Rudolphie — oświadczyła. — Jeżeli tak stawiasz sprawę, dzisiaj wieczorem lecę z powrotem do Kalifornii. W Beverley Hills jest zaledwie jakiś tuzin pierwszorzędných chirurgów, którzy zrobią wszystko, czego sobie zażyczę.

Lodowaty ton jej głosu zaskoczył go, choć właściwie nie powinien.

— Dobrze — rzekł, wkładając szlafrok. — Sfilmujemy operację. Może Robin Leach będzie mógł wykorzystać fragmenty w swoim programie.

Heather puściła mimo uszu jego dowcip. Myślała o konkretach. Zapytała o datę operacji.

— Za tydzień — oznajmił. Musiał jeszcze kilka razy uporządkować myśli. W przyszłym tygodniu dowie się wreszcie czegoś od Chema albo od Roberta Pepsicala.

— I wcale nie zrobimy wszystkiego naraz — dodał. — Chcesz przeprowadzić odsysanie tłuszczu, korekturę piersi, nosa, powiek, pośladek — to bardzo dużo zabiegów, Heather.

— Tak, Rudolphie. — Dobrze wiedziała, że wygrała.

— Sądzę, że zacniemy od nosa i zobaczymy, jak ci idzie.

— Albo jak t o b i e idzie — sprostowała.

Rudy miał nieprzyjemne uczucie, że wcale nie żartuje.

Producent programu *Prosto w twarz* był człowiekiem znanym Flemmowi wyłącznie jako pan Dover. Pan Dover trzymał w garści budżet. Gdy Reynaldo wrócił do Nowego Jorku, zastał na drzwiach gabinetu wiadomość przymocowaną taśmą klejącą. Pan Dover chciał go natychmiast widzieć.

Reynaldo z miejsca zadzwonił do mieszkania Christiny Marks, ale odłożył słuchawkę, gdy usłyszał w niej głos Micka Stranahana. Poczł straszliwą zazdrość, a poza tym uznał, że jest niesprawiedliwością żądać od niego, aby stawał sam przed panem Doverem. Christina była kierownikiem produkcji i wiedziała, na co idą pieniądze. On, zaś, Reynaldo, jest jedynie gwiazdą, a talent nigdy nic nie wie.

Gdy przyszedł do gabinetu pana Dovera, sekretarka nie poznała go.

— Dział muzyczny jest na trzecim piętrze — poinformowała, prawie nie podnosząc głowy.

Gwiazdor przesunął dłonią po nowych włosach i odezwał się:

— To ja.

— Och! Hej, Ray.

— Co o tym myślisz?

— Bombowe przebranie.

— To wcale nie przebranie.

— Ach.

— Chciałem stworzyć nowy *image* — wyjaśnił.

— Dlaczego?

Reynaldo nie mógł się przyznać, że nieuprzejmy chirurg plastyczny stwierdził, że gwiazdor jest za gruby w pasie i ma zbyt wielki kinol, rzucił więc:

— Demografia.



Sekretarka spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc.

— Badania rynku — brnął dalej. — Odwołujemy się do młodszej widowni.

— Aha, rozumiem — stwierdziła sekretarka bez przekonania.

— Długie włosy wyraźnie wracają.

— Bo ja wiem — mruknęła, starając się być uprzejma. — Czy są prawdziwe, Ray?

— No cóż, nie. Jeszcze nie.

— Powiem panu Doverowi, że już jesteś.

Pan Dover był niskim mężczyzną o niedożywionej posturze księgowego, cerze koloru rybiego brzucha, małych czarnych oczach i gładkim, lekko nachylnym czole orki. Nosił drogie ciemne garnitury i szelki yuppiego, które, jak podejrzewał Reynaldo, wymagały regulacji.

— Ray, co możesz mi powiedzieć na temat programu z Florydy? — Pan Dover nigdy nie tracił czasu na pogawędki.

— Jest ostry — odparł Reynaldo.

— Ostry.

— Bardzo ostry. — Flemm zauważył swoje rachunki ułożone w zgrabny stosik w rogu biurka pana Dovera. Poczul lekki niepokój, więc dodał: — Omal nie zamordowano mojego kierownika produkcji.

— No proszę.

— Z pistoletu maszynowego — uściślił.

Pan Dover wyduł wargi.

— Dlaczego?

— Bo jestem bliski wykrycia całej afery.

— Jesteś bliski rozwalenia mojego budżetu, Ray.

— Przecież to ważny program.

— Sieć nie mrugnęłaby nawet okiem — rzekł pan Dover — ale my nie jesteśmy siecią. Do moich obowiązków należy sprawdzanie salda.

Takich dupków jak ty jem na śniadanie, pomyślał Reynaldo wyzywająco. Rzucanie w myślach twardzielskich odzywek było jego specjalnością.

— Prowadzenie dochodzenia wymaga pieniędzy — oznajmił zwięźle.

Pan Dover rozgarniał błyszczącymi różowymi paznokciami stos kwitów na swoim biurku, aż odnalazł ten, którego szukał.

— Salon Włosów Jambali — odczytał na głos. — Siedemset siedemnaście dolarów.

Flemm zaczerwienił się i zgrzytnął koronkami. Powinna tu być Christina. Wiedziałyby, jak usadzić tego palanta.

— Nie mam zamiaru się wtrącać — oświadczył pan Dover. — Ale nie mam również zamiaru pozwolić, aby te ekstrawagancje trwały w nieskończoność. Zdaje mi się, że program ma być wyemitowany w przyszłym miesiącu?

— Cały czas reklamowy został wyprzedany — przypomniał z dumą Reynaldo. — I to od sześciu miesięcy — nie mógł się powstrzymać.

— Tak, proponowałbym jednak, żebyś spróbował nie wydawać wszystkich dochodów z reklam przed datą emisji. Po prostu na wypadek, gdyby sprawa nie wypaliła.

— A kiedy coś takiego się zdarzyło?

Reynaldo natychmiast pożałował wypowiedzianych słów, ponieważ pan Dover z prawdziwą przyjemnością zgodził się odświeżyć jego pamięć. Na przykład wtedy, gdy Reynaldo poinformował, że odnalazł wrak samolotu Amelii Earhart (okazał się samolotem agrolotniczym w Nowej Zelandii). Albo wówczas, gdy twierdził, że przeprowadził unikatowy wywiad z drugim zabójcą z Dealey Plaza (który, jak się później okazało, w dniu zabójstwa Kennedy'ego miał zaledwie siedem lat). Podobnie zresztą jak wtedy, gdy odkrył siatkę *call-girls* obsługujących kongresmanów (co skończyło się jedynie przyłapaniem go z dwiema damami w składziku na szczotki w Raybura Building). Wszystkie te fiaska spowodowały odwołanie audycji, złośliwe uwagi w prasie i poważne straty dochodów, które pan Dover mógł wyciążyć co do centa.

— Stare dzieje — rzucił obronnym tonem Reynaldo Flemm.

Nie padło ani jedno słowo, że tego rodzaju kłopotliwe sytuacje nie zdarzyły się ni razu od chwili zatrudnienia Christiny Marks. Każdy program był gotowy na czas i mieścił się w budżecie. Reynaldo nie chciał zwracać uwagi na ten zbieg okoliczności, ale pan Dover i owszem.

— Rozumiesz mój niepokój — kontynuował producent. — Jak długo jeszcze, według ciebie, będziecie w Miami?

— Dwa tygodnie. Został nam montaż. — W każdym razie dobrze to zabrzmiało.

- A więc, powiedzmy, jeszcze jeden wyjazd?
- Powinno wystarczyć — przytaknął.
- Doskonale. — Pan Dover ułożył stosik kwitów, idealnie wyrównując jego brzegi. — A przy okazji: panna Marks nie odniosła obrażeń, prawda?
- Nie, tylko bardzo się przestraszyła. Raczej nie jest przyzwyczajona, aby do niej strzelano. — Mówił zupełnie jakby o sobie.
- Czy złapano tego człowieka?
- Nie — odrzekł Reynaldo gorzkim tonem człowieka, który wcale się temu nie dziwi.
- No proszę — mruknął pan Dover. Miał nadzieję, że Christina Marks opłaciła swoje składki ubezpieczenia medycznego i na życie.
- Wspomniałem panu, że temat jest ostry — zakończył Reynaldo wstając. — Ale warto w niego inwestować, obiecuję.
- Dobrze. Nie mogę się doczekać.

Flemm zrobił już trzy kroki w stronę drzwi, gdy pan Dover odezwał się znowu:

- Ray?
- Słucham.
- Wybacz, ale dopiero teraz zauważyłem.
- Nie ma sprawy. — Zastanawiał się, kiedy wreszcie ten fiut napomknie coś o jego włosach.

Ale siedzący za biurkiem pan Dover jedynie uśmiechnął się złośliwie i poklepał po brzuchu.

- Chyba ci tu przybyło kilo albo i dwa, co, Ray?

W windzie Reynaldo z wściekłością zerwał z głowy perukę za siedemset dolarów i cisnął ją w kąt, gdzie spoczęła jak zdechły pekińczyk. Wrócił limuzyną do mieszkania, zdjął ubranie i przez bardzo długą chwilę stał nago przed lustrem w sypialni.

Doszedł do wniosku, że doktor Graveline nie przesadzał. Nos miał za długi, a także roztył się w pasie. Obrócił się w lewo, potem w prawo, i znowu w lewo. Zrobił wdech. Założył ręce za głowę i napiął mięśnie brzucha, ale wypukłość nie zniknęła.

Reynaldo widział w lustrze ciało, które nie było ani zwiotczałe, ani muskularne — ot, przeciętne ciało przeciętneho czterdziestolatka. Ujrzał twarz, która nie była ani wyzywająca, ani słaba, niewielkie rozbiegane oczy,

równoważone mocną, ciężką szczęką i zharmonizowanym z nią nosem. Uznał, że decyzja zachowania wąsów była słuszna. Gdy przykrył palcem zarost nad górną wargą, jego nos jeszcze bardziej rzucał się w oczy.

Oczywiście należało poczynić radykalne kroki. W czasie występów przed kamerą pewność siebie była podstawowym czynnikiem sukcesu, istotą jego męskiego wdzięku. Gdyby był z siebie niezadowolony albo czuł się niepewnie z powodu swojego wyglądu, znalazłoby to odbicie na jego twarzy jak paskudna wysypka. Cały kraj by to zauważył.

Stojąc samotnie przed lustrem, Reynaldo obmyślił plan, który miał rozwiązać jego osobisty problem, a zarazem sprawę Barletty. Plan był odważny, ponieważ nie przewidywał udziału w nim Christiny Marks. Reynaldo Flemm postanowił, że będzie swoim własnym producentem i nic nie powie Christine, tak jak ona nie powiedziała mu niczego przez całe dwa tygodnie, które minęły od strzelaniny w Osadzie na Palach.

Strzelanina. Wciąż denerwowała go absolutna ironia faktu, że to ona zdobyłaby sławę — po tylu latach, które on sam spędził na ulicy. To, że jego kierownik produkcji mogła zginąć w chwili, gdy on drzemał na stole do masażu w hotelu „Sonesta”, było największą porażką w całej karierze zawodowej Flemma. Musiał sobie zrekompensować tę przykrość.

W przeszłości zawsze liczył na Christine; wiedział, że zadba o wszystkie rzemieślnicze elementy programu. To ona organizowała reportaże, montowała wywiady, aranżowała dramatyczne konfrontacje, nawet pisała scenariusze. Reynalda beznadziejnie nudziły szczegóły i konieczność sprawdzania faktów. Był człowiekiem akcji i oszczędzał energię na moment, gdy taśma szła w ruch. W czasie gdy Christina zapełniła trzy notesy uwagami, pomysłami i pytaniami dotyczącymi śmierci Victorii Barletty, on myślał tylko o jednym: kogo by jeszcze mogli sfilmować? Jasne, że Rudy Graveline stanowił najsmaczniejszy kąsek, niewątpliwie pewniakiem była również wciąż pograżona w żalu matka dziewczyny. Następnym kandydatem był Mick Stranahan — zakłopotany oficer śledczy, który po czterech latach przyznaje, że przegapił najbardziej oczywistego podejrzanego — samego doktora.

Ale ruch Stranahana spowodował nieoczekiwany zwrot akcji i niemal

uczynił z Christiny Marks ofiarę zawodu dziennikarza. Doskonale, pomyślał Reynaldo, proszę was bardzo, bawcie się dobrze. A tymczasem Willie i ja złapiemy za tyłek pana doktora.

Za każdym razem, gdy doktor Rudy Graveline otrzymywał telefon z Nowego Jorku lub New Jersey, przypuszczał, że dzwoni mafia. Mafia łaskawie przepchnęła go przez medycynę w Harvardzie i w zamian za to Rudy od czasu do czasu świadczył zawodowe uprzejmości jej ludziom, ich przyjaciółom lub rodzinom. Na przykład osobiście przerabiał twarz Tony'ego (Węgorza) Travioli — zabójcy, którego zwłoki zostały wyrzucone na brzeg Cape Florida z dziurą po mieczu marlina w mostku. Na szczęście dla doktora, większość ukrywających się mafiosów obawiała się operacji, dzięki czemu zajmował się głównie ich żonami, córkami i kochankami. Najczęściej nosami, od czasu do czasu też usuwaniem zmarszczek.

Kiedy sekretarka poinformowała go, że ma na linii Nowy Jork, Rudy spodziewał się, że jest to jeden z takich właśnie telefonów.

— Słucham?

— Halo, doktorze Graveline.

Głos nie należał do Krzaczastych Brwi ani do żadnego z jego kuzynów.

— Kto mówi?

— Johnny LeTigre, pamięta mnie pan?

— Oczywiście. — To ten szajbnięty striptizer. — Co pan robi w Nowym Jorku? — zapytał Rudy.

— Miałem występ w Village, ale wracam do Miami. — Tak Reynaldo Flemm wyobrażał sobie szybkie działanie. — Wie pan co — oznajmił. — Zastanawiałem się nad tym, co mi pan wówczas powiedział w klinice.

Doktor Graveline niezbyt mógł sobie przypomnieć, co właściwie powiedział.

— Tak?

— Na temat mojego nosa i brzucha.

Rudy'ego oczywiście natychmiast olśniło.

— Tak, pański nos i brzuch, owszem, pamiętam.

— Miał pan rację. Nie zawsze widzimy siebie tak, jak odbierają nas inni ludzie.

Cholera, przejdź do rzeczy, pomyślał chirurg.

— Chciałbym, aby przemodelował pan mój nos — oświadczył Reynaldo.

— W porządku.

— A w sprawie brzucha... Jak pan nazwał ten zabieg?

— Usunięcie tłuszczu połączone z odsysaniem.

— Tak, owszem. Jaka jest cena zabiegu?

Rudy przypomniał sobie, że był to facet, który proponował dziesięć kawalców za usunięcie znamienia z pośladka.

— Piętnaście tysięcy — odparł.

— O rany! — zawołał głos z Nowego Jorku.

— Ale tylko wówczas, jeżeli operację przeprowadzę osobiście — uściślił doktor. — Proszę wziąć pod uwagę, że mam kilku bardzo kompetentnych współpracowników, którzy zajmą się pańskim przypadkiem za, powiedzmy, połowę tej sumy.

Sposób, w jaki Rudy wypowiedział słowo „kompetentnych”, nie był przypadkowy, ale Reynaldo Flemm nie potrzebował zastępcy.

— Nie, zdecydowanie chcę pana — oświadczył szybko. — Zgadzam się na piętnaście. Ale ten zabieg musi być wykonany w tym tygodniu.

— Nie ma mowy! — Rudy był zajęty przygotowaniem do operacyjnego maratonu Heather Chappell.

— Najpóźniej w następnym — nalegał Reynaldo.

— Zobaczą, co się da zrobić. A przy okazji, panie LeTigre, jaki jest stan pańskiego znamienia?

Flemm prawie zapomniał, pod jakim pretekstem dostał się do Whispering Palms. Znowu musiał się wykręcać.

— Nie uwierz pan — wyjaśnił doktorowi — ale to draństwo odpadło mi samo.

— Jest pan pewien?

— Jak Boga kocham. Pewnego ranka stałem pod prysznicem i kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że nie mam już tej myszki. Zniknęła. Potem znalazłem ją w łóżku. Po prostu odpadła jak strupek czy coś w tym rodzaju.

— Hmm — mruknął Rudy. Facet łąał jak najęty, lecz mniejsza z tym.

— Wyrzuciłem ją. Czy dobrze zrobiłem?

— Tę myszkę?

— Tak. Zastanawiałem się, czyby jej nie przechować w lodówce i nie poddać jakimś badaniom, ale potem pomyślałem, że do diabła z nią i wyrzuciłem do śmieci.

— Zapewne była całkowicie nieszkodliwa — oznajmił Rudy Graveline, marząc, żeby facet się wyłączył.

— A wiec zadzwonię do pana po przyjeździe do Miami.

— Doskonale. Życzę szczęśliwej podróży, panie LeTigre.

Odkładając słuchawkę, Reynaldo Flemm był rozpromieniony.

To już mogłoby być coś. Może nawet coś lepszego, niż dać się postrzelić na żywo w momencie, gdy znajdowałby się na wizji.

## 20.

Opowiedz mi o swojej ręce — poprosiła Maggie Gonzalez.

— Zamknij się! — burknął Chemo. Jeździł po całym Queens, próbując znaleźć tego skurwysyna, który sprzedał mu felerne naboje.

— Proszę — nalegała Maggie. — Jestem przecież pielęgniarką.

— Szkoda, że nie magikiem, bo tylko wtedy mogłabyś sprawić, żeby moja ręka pojawiła się z powrotem. Ryba ją zżarła.

Na czerwonym świetle opuścił szybę i zapytał grupę czarnych nastolatków, gdzie mógłby znaleźć faceta, który nazywa się Donnie Blue, a chłopaki odpowiedziały mu zgodnym chórem, żeby się pocałował w dupę.

— Cholera! — warknął, wdeptując pedał gazu do oporu.

— Czy to był rekin? — dociekała Maggie.

— Czy wyglądam na Jacques'a Cousteau? Nie wiem, co za cholerstwo... Jakaś wielka ryba. Temat zamknięty.

Maggie była już właściwie pewna, że Chemo nie ma zamiaru jej zabić. Mógłby już to zrobić dawno, a najwygodniej w czasie zamieszania w hotelu „Plaza”. Zamiast tego złapał ją wtedy w pasie i robiąc jeden krok na jej cztery, pociągnął w stronę schodów przeciwpożarowych. Biorąc pod uwagę chaos na dziewiątym piętrze, było prawdziwym cudem, że wydostali się z hotelu niezauważeni. Hol był pełen gliniarzy czekających na windy, ale nikt nie zwrócił szczególnej uwagi na Komiczną Parę Roku.

Chemo prowadził, a Maggie wciąż dopytywała:



— Co się stało z twoją twarzą?  
— I kto to pyta?  
— No, co się stało?  
— Czy zawsze jesteś taka wstydliva wobec obcych? — westchnął. — Je-  
zu Chryste!

— Przepraszam — rzekła. — Chyba zawodowa ciekawość. A poza tym  
obiecałeś, że mi opowiesz.

— Czy słowa „nie twój pieprzony interes” coś dla ciebie znaczą?

— Nie musisz być od razu taki wulgarny — rozległ się lodowaty głos zza  
bandaży. — Przeklinanie nie robi na mnie wrażenia.

Chemo znalazł róg ulicy, na którym nabył zardzewiałego kolta i niena-  
dające się do użytku naboje, ale ani śladu Donniego Blue. Odpowiedzi na  
każde jego pytanie brzmiały jak jawne szyderstwa i nadzieja Chema na  
zwrot kosztów zaczęła się rozplýwać.

Gdy objeżdżali okolicę, Maggie stwierdziła:

— Jesteś taki milczący.

— Myślę.

— Ja też.

— Myślę, że ten twój doktorek nieźle mnie nabrał. — Chemo nie miał  
ochoty przyznać, że zgodził się zamordować dwoje ludzi w zamian za zniż-  
kowe honorarium za operację plastyczną. — Gdybym wiedział o tej zabitej  
dziewczynie...

— Vicky Barletcie.

— Tak. Gdybym o niej wiedział, wywindowałbym cenę jak cholera.

— I nikt nie mógłby mieć ci tego za złe — zgodziła się Maggie.

— Graveline mi nie powiedział, że ją zamordował.

Zjeżdżali z autostrady w stronę La Guardia. Maggie przypomniała sobie  
plany podróży.

— Rudy jest bogatym człowiekiem — poinformowała.

— Jasne, jest lekarzem.

— Mogę go zrujnować. Dlatego chce mnie zabić.

— Jasne, jesteś świadkiem — przyznał Chemo.

Coś ją zaniepokoiło w tonie jego głosu.

— Zlikwidowanie mnie niczego by nie załatwiło — oświadczyła.

Czoło Chema zmarszczyło się w miejscu, w którym powinny znajdować  
się brwi.

— Naprawdę?

Maggie teatralnie pokręciła głową.

— Nagrałam własną taśmę. Kasetę w studio na Manhattanie. Jest na niej wszystko, co wówczas widziałam.

Chemo nie był tak wstrząśnięty wiadomością, jak tego oczekiwała. Wręcz przeciwnie — jego usta wykrzywiły się w skąpym uśmiechu. Wargi Chema przypominały dwa różowe ślimaki pełzające po chodniku.

— Wideo — rzekł z namysłem.

Gonzalez podpuszczała go dalej.

— Masz pojęcie, ile ten sukinsyn zapłaciłby za nią?

— Tak — potwierdził Chemo. — Chyba mam.

W porcie lotniczym Maggie oznajmiła mu, że musi zadzwonić. Chcąc usłyszeć, o czym będzie mówiła, wcisnął się za nią do budki, wbijając boleśnie swój podbródek w czubek jej czaszki. Wybrała numer doktora Leonarda Leopera i pozostawiła wiadomość o swoim wyjeździe na kilka dni, zapewniając, że nie musi się o nią martwić.

— Powiedziałam mu, że byłam świadkiem morderstwa — wyjaśniła swojemu towarzyszowi. — Jeżeli w gazetach pojawi się informacja o wydarzeniach w hotelu, mógłby pomyśleć, że zostałam porwana.

— Przecież zostałam — zwrócił jej uwagę Chemo.

— Och, nie naprawdę.

— Owszem, naprawdę — Nie podobała mu się jej beztroska. Za kogo go w końcu uważa?

— Wiesz, jakie mam wrażenie? — odparła Maggie. — Że zostaniemy partnerami.

Stanęli w kolejce do stanowiska Pan-Amu, w otoczeniu typowego towarzystwa zmierzającego do Miami — staruszków z zaintubowanymi zatokami, młodymi dziwkami ze złotymi łańcuszkami, ogromnymi rodzinami z pustymi oczyma, wyglądającymi jakby właśnie wypelzły z któregoś konkursu telewizyjnego Sally Struthers. Chemo i Maggie doskonale do nich pasowali.

— Mam tylko jeden bilet na samolot — poinformował ją.

Uśmiechnęła się i pogłaskała torebkę, której nie zdejmowała z ramienia od śniadania w Central Parku.

— Tu jest karta Visa — oznajmiła radośnie. — Dokąd lecimy?

— Ja wracam na Florydę.

— Ale nie w tym stanie. Jestem pewna, że są przepisy przeciwko lataaniu na bosaka.

— Cholera — burknął Chemo i powędrował szukać jakichś tanich butów. Wrócił w kosmatych brązowych kapciach numer czternaście, zakupionych w jednym z lotniskowych sklepów z upominkami. Maggie zajęła mu miejsce przy stanowisku z biletami. Już zdążyła uzgodnić, że Chemo dostanie fotel przy przejściu (ze względu na jego długie nogi), a ona obok niego.

Potem, czekając w poczekalni dla wsiadających, zapytała go, czy naprawdę nazywa się Rogelio Luz Sanchez.

— Jasne.

— Tak jest napisane w bilecie.

— No cóż, sama widzisz — odparł. Nie był nawet w stanie wymówić tych słów — pseudonim wymyślił mu ten głupi palant Rudy Graveline. Chemo wyglądał na Hiszpana w takim samym stopniu jak Larry Bird.

Gdy zajęli już swoje miejsca w samolocie, Maggie pochyliła się ku niemu i zapytała:

— Czy mogę mówić do ciebie Rogelio? W końcu muszę cię jakoś nazywać.

Powieki Chema powoli mrugnęły dwukrotnie.

— Im więcej gadasz, tym bardziej mam ochotę wywiercić dziury w tej pieprzonej masce.

Maggie wydała piskliwy ptasi dźwięk.

— Uważam, że możemy pogadać o interesach — oświadczył wielkolud — ale tylko pod dwoma warunkami. Po pierwsze, nie zadajesz żadnych pytań osobistych, jasne? Po drugie, nie puścisz na mnie więcej pawia.

— Już cię przecież przeproszałam.

Samolot zaczął kołować i Chemo podniósł głos, aby przekrzyczeć silniki.

— Gdy tylko dostanę trochę przyzwoitych nabożów, będę używał rewolweru i niech cię Bóg ma w swojej opiece, jeżeli znowu rzucisz we mnie prowiantem, gdy będę to robił.

— Następnym razem się postaram — obiecała Maggie.

Podeszła stewardesa i zapytała, czy Maggie — ze względu na swój stan zdrowia — potrzebuje jakiegoś szczególnego posiłku. Gonzalez stwierdziła, że nie czuje się zbyt dobrze, bo w klasie turystycznej jest tłok i duszno, wskutek czego ma kłopoty z oddychaniem. Zanim Chemo zdążył się połapać,

siedzieli oboje w pierwszej klasie i popijali czerwone wino. Przyjazna stewardesa zauważyła również jego kalectwo i teraz starannie kroila mu danie na maleńkie kęski. Chemo spojrział na Maggie i poczuł się winny, że potraktował ją tak ostro.

— Zgrabne posunięcie — mruknął i było to coś najbardziej zbliżonego do komplementu, na co było go stać. — Nigdy nie latałem w taki sposób.

Maggie nie okazała zdziwienia. Zza białej gazy jej oczy wyglądały na wilgotne i smutne.

— Chcesz dalej być partnerem? — zapytał.

Skinęła głową. Starannie wycelowała widelcem z kawałkiem homara w wilgotny otwór w bandażach poniżej nosa.

— Graveline wlezie na ścianę, kiedy się dowie o twojej taśmie — zachichotał. — A gdzie ona właściwie jest?

Skończyła przeżuwać i odparła:

— Mam trzy kopie.

— Dobry pomysł.

— Dwie z nich są zamknięte w banku. Trzecia, oryginalna, jest dla Rudy'ego. Dzięki temu zainteresuje się nami.

Dryblas uśmiechnął się swoim żółtym uśmiechem.

— Ale muszę przyznać ci się do czegoś, co pewnie ci się nie spodoba — oświadczyła Maggie. — Stranahan zgarnął tę taśmę z pokoju hotelowego. Nie możemy jej pokazać Rudy'emu, dopóki jej nie odzyskamy.

— Do diabła! — warknął Chemo. Zupełny koszmar. Mick Stranahan i ta dziwka z telewizji zwinęli towar do szantażu. Czysty horror. — Muszę się do nich dostać — oznajmił — zanim dotrą do Graveline'a, w przeciwnym razie jesteśmy załatwieni na cacy. Znajdzie się w pierwszym samolocie do Panamy, a my zostaniemy z fiutami w garści.

Od strony Maggie dobiegł go stłumiony, pełen dezaprobaty dźwięk.

— To tylko takie wyrażenie — usprawiedliwił się. — Rozchmurz się, na rany boskie.

Gdy stewardesa zabrała tacki, Chemo opuścił oparcie i wyciągnął swoje długie nogi.

— Nie cierpię tego Stranahana — burknął właściwie do siebie. — Gdy dostaniemy się do Miami, musimy biegiem brać się do roboty.

— Jasne — potwierdziła Maggie, wkręcając się do spółki. — Musimy zdobyć taśmę.

— To też — przytaknęła Chemo, naciągając kapelusz na oczy.

Wiadomość o strzelaninie i możliwym porwaniu w hotelu „Plaza” zajęła pięć akapitów w „Daily News”, kolumnę fotografii w „Post” i nic w „Time-sie”. Tego ranka detektywi z Nowego Jorku wysłali teleks do komendy policji w hrabstwie Dade, informując, że ofiarą porwania jest, ich zdaniem, mieszkająca w hotelu kobieta z Miami o nazwisku Margaret Orestes-Gonzalez. W policyjnym teleksie opisano jej porwacza jako białego mężczyznę w nieustalonym wieku, możliwe że z bliznami po oparzeniu na twarzy, o wzroście albo metr dziewięćdziesiąt, albo ponad dwa metry czterdzieści, w zależności od świadka. Komunikat przekazywał również wiadomość, iż znaleziony na dywanie przed pokojem ofiary nóż rybacki Rapala został kupiony w sklepie z artykułami przecenionymi znanym pod nazwą „Przynęty i zimne piwo Bubby”, mieszczącym się na Dixie Highway w South Miami. Najważniejszy jednak był fakt, że fragment odcisku kciuka zdjęty z ostrza noża zidentyfikowano jako należący do niejakiego Blondella Wayne'a Tatum, lat trzydzieści osiem, wzrost około dwóch metrów, waga dziewięćdziesiąt kilo. Pan Tatum był poszukiwany w stanie Pensylwania za napad z widłami w rękę na Chemical Bank i morderstwo doktora Klye'a Kloppnera, leciwego dermatologa. Uznano go za uzbrojonego i niebezpiecznego. W rubryce „Pseudonimy” policja zanotowała tylko jeden: Chemo.

— Chemo? — sierżant Al Garcia przeczytał teleks jeszcze raz, następnie zdjął go z tablicy ogłoszeń i zaniósł do kserokopiarki.

Gdy wrócił, na wolnym miejscu znalazł się kolejny teleks.

Ten był jeszcze bardziej interesujący i gdy sierżant go czytał, jego cygaro podskakiwało z podniecenia w górę i w dół.

Nowy teleks powiadamiał policję hrabstwa Dade, że należy uznać porwanie za niebyłe. Panna Margaret Gonzalez zadzwoniła bowiem do nowojorskich władz, zapewniając, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Wyjaśniła zarazem, że zamieszanie w hotelu „Plaza” było jedynie kłótnią, jaka wywiązała się między nią a mężczyzną poznanym w barze.

Maggie odłożyła słuchawkę, zanim detektywi zdążyli zapytać, czy owym mężczyzną był pan Blondell Wayne Tatum.

Członek komisji administracyjnej Roberto Pepsical umówił się na spotkanie z dwoma skorumpowanymi detektywami w lokalu ze striptizem przy LeJeune Road, niedaleko lotniska. Roberto przyszedł wcześniej i wypił trzy mocne wódki z tonikiem, aby dodać sobie odwagi przed tym, co polecono mu przekazać. Doszedł do wniosku, że sprawa do tego stopnia przerasta jego zdolności umysłowe, iż upicie się i tak nie będzie w stanie jej pogorszyć.

Pepsical przekazał doktorowi Rudy'emu Graveline'owi propozycję detektywa Murdocka, a teraz przyszedł z odpowiedzią. I pomimo że naga kobieta ze złotymi zębami przyniosła mu już czwartą wódkę, Roberto w dalszym ciągu nie uważał roli wybranego sługi społeczeństwa za godną specjalnego szacunku. Przekonał się, iż otaczają go bezwzględni i niegodni zaufania ludzie — nikt już nie grał uczciwie. W Miami korupcja stała się sportem mas. Oczywiście Roberto zajmował się nią od lat, ale fiuty takie jak Salazar, Murdock czy nawet Graveline były zaledwie dyletantami. Amatorami. Nie miały pojęcia, kiedy przestać. W ich słowniku nie istniało słowo „dosyć”. Roberto nienawidził samej myśli, że jego przyszłość zależy od takich typów.

Gliniarze zjawili się w momencie, gdy na scenie rozpoczęły się zmagania nagich zapaśniczek w błocie.

— Bardzo miłe miejsce — zauważył detektyw John Murdock. — Czy któraś z nich jest pańską córką?

— Ta z prawej jest nawet do pana podobna — dodał Joe Salazar. — Z tą tylko różnicą, że moim zdaniem pan masz większe zderzaki.

Roberto Pepsical zaczerwienił się. Był drażliwy na punkcie swojej tuszy.

— Jesteście rzeczywiście zabawni — odparł. — Powinniście być komikami, a nie gliniarzami. Takimi jak Lawrence i Hardy.

Murdock skrzywił się w uśmiechu.

— Lawrence i Hardy, hę? Coś mi się wydaje, że pan członek komisji administracyjnej pił.

— Może urażiliśmy jego uczucia — pomyślał na głos Salazar.

Wódka miała uczynić Roberta Pepsicala zimnym i dzielnym. Zamiast tego było mu gorąco i czuł zawrót głowy. Zaczął przekazywać informację od Rudy'ego Graveline'a, ale wciąż zagłuszali go kibice zapaśniczek. Wreszcie Murdock schwycił go za ramię i zaprowadził do toalety. Joe Salazar podążył za nimi i zamknął drzwi.

— Co chcesz zrobić? — zapytał Roberto, bekając z pijackiego strachu. Bał się, że gliniarze zamierzają go pobić.

Murdock wziął go za ramiona i przycisnął do automatu z prezerwatywami.

— Joemu i mnie nie podoba się ta knajpa — rzekł. — Jest głośną, brudną, pieprzoną speluną, nieodpowiednią do prowadzenia poważnych rozmów. Jesteśmy zgorzeleni, panie Pepsical, widząc, co się tu dzieje na scenie — młode, nagie kobiety z mokrym błotem na cipkach. Nie powinieś był pan nas tu zapraszać.

— Przepraszam — bąknął Roberto Pepsical. — To było najciemniejsze miejsce, jakie sobie przypominałem. Następnym razem spotkamy się u świętej Marii.

Ktoś zastukał do drzwi i Murdock zaproponował temu komuś, żeby spływał, jeżeli ceni sobie swoje jaja. A potem zwrócił się do Roberta:

— Z czym pan przyszedł?

— Mam wiadomość od przyjaciela. Tego z problemem, o którym wam wspomniałem.

— Problemem, który nazywa się Stranahan?

— Tak. Proponuje po pięć tysięcy dla każdego.

— Doskonale — odrzekł John Murdock.

— Naprawdę?

— Pod warunkiem, że gotówką.

— I nie kolejnymi numerami — dodał Salazar. — I bez banderoli bankowych.

— Oczywiście — przytaknął Roberto Pepsical. Teraz zbliżał się do części rozmowy, która przyprawiała go o suchość w gardle.

— Mój przyjaciel pragnąłby zmienić jedną część planu — oznajmił. — Uznał, że nie wystarczy tylko aresztować tego faceta i wpakować do więzienia. Powiedział, że gość ma wielką gębę i bujną wyobraźnię. — Przytoczył dokładnie słowa Rudy'ego. Był z siebie dumny, że je zapamiętał.

Joe Salazar, który bezmyślnie przyciskał guziki automatu z prezerwatywami, odezwał się:

— Chciałby coś więcej, co?

— No cóż... — bąknął Roberto.

Murdock zwolnił chwyt i poprawił Pepsicalowi marynarkę.

— A pan nie ma za dużo wyobraźni, he? To był pana pomysł, żeby się spotkać w tej dupnej knajpie. — Podszedł do pisuaru i rozpiął rozporek. — Ale już Joe i ja coś wymyślimy. Jesteśmy cholernie błyskotliwi pod tym względem.

— Na przykład założmy, że dostaniemy nakaz aresztowania Stranahana jako podejrzanego o zabójstwo byłej żony — wtrącił się Salazar. — Założmy, że udamy się do miejsca jego zamieszkania i obowiązkowo przedstawimy się jako funkcjonariusze policji. I założmy, że podejrzany podejmie próbę ucieczki.

— Albo będzie stawiał gwałtowny opór — uzupełnił hipotezę Murdock.

— Tak, zasady postępowania są jasne — stwierdził Salazar.

Murdock otrząsnął się i zapiął spodnie.

— W takich okolicznościach prawo zezwala użyć broni.

— Wyobrażam sobie — przytaknął Roberto Pepsical, trzeźwy jak mini-strant.

Cała trójka stała w ubikacji, pocąc się pod gorącą, gołą żarówką. Salazar oglądał paczkę karminowoczerwonych prezerwatyw, które udało mu się wytrzasnąć z automatu.

— Powiedz pan swojemu przyjacielowi, że wszystko w porządku, oprócz ceny — oznajmił wreszcie Murdock. — Ma być po dziesięć na łeb, a nie pięć.

— Dziesięć — powtórzył Roberto, choć wcale go to nie zdziwiło. Dobijając targu, westchnął głośno.

— Chodźmy już — zaproponował Joe Salazar, otwierając drzwi. — Zacznie się konkurs malowania palcami.

Luis Córdova zawołał, przekrzykując wycie przyczepnego silnika:

— Nie ma sensu się zatrzymywać!

Mick Stranahan skinął głową. Pod porcelanowym niebem zatoka Biscayne rozpościerała się przed nimi w wielu mieniących się odcieniach błękitu. Był wspaniały, bezchmurny ranek, dwadzieścia stopni ciepła, w



plecy wiał im północny wiatr. W odległości kilkuset metrów od celu, Luis Córdova zwolnił motorówkę patrolową. Pochylił się i oznajmił:

— Paskudnie rozpruli ci chałupę, Mick.

— Jesteś pewien, że gliny?

— Tak, dwóch. Ale nie mundurowi. I przyplłynęli jedną z łodzi szeryfa.

Stranahan nie miał wątpliwości, kim byli — to Murdock i Salazar.

— Zapewne ci dwaj dranie ze szpitala — domyśliła się Christina Marks.

Stała obok Luisa Córdovy przy konsoli sterowniczej, za pleksiglasową szybą. Ubrana była w czerwoną kurtkę, workowate trykotowe spodnie i tenisowe buty z wysoką cholewką.

Z tej odległości Mick mógł dojrzeć otwarte drzwi do swojego domu, co oznaczało, że przypuszczalnie został całkowicie ograbiony i zdewastowany. Czego nie zniszczyły dzieciaki, wykończyły mewy. Stranahan patrzył przez kilka minut, w końcu rzekł:

— Płyniemy, Luis.

Rejs na Old Rhodes Key zajął im trzydzieści pięć minut na lekko rozkołysanym morzu. Christina wpadła w zachwyt, gdy koło Elliot Key mijali szkółkę delfinów, ale Micka to nie zainteresowało. Myślał o kasecie wideo, którą obejrzeliby w mieszkaniu Christiny — tej, na której Maggie Gonzalez opowiedziała o śmierci Victorii Barletty. Oglądali ją dwukrotnie i Stranahan był teraz wściekły, choć na dobrą sprawę nie bardzo wiedział, dlaczego. Słyszał o gorszych rzeczach, a nawet je widział. Ale fakt, że Graveline zabił i zdołał się z tego wykręcić, doprowadzał go do furii.

Gdy dotarli do wyspy, Luis Córdova wysadził ich na chyłącym się ku upadkowi pomoście należącym do Cartwrighta, starego bahamskiego poławiacza muszli. Cartwright był uprzedzony o ich przybyciu.

— Przygotowałem wam mieszkanie — poinformował Micka. — I cieszę się, że cię widzę, przyjacielu.

Stranahan objął go na powitanie. Cartwright miał osiemdziesiąt lat, włosy przypominające bawełniany puch i skórę o barwie gorącej smoły. Old Rhodes Key należały właściwie do niego, rzadko przyjmował gości, lecz z radością uczynił wyjątek dla starego kumpla. Jakiś czas temu Stranahan wyświadczył mu poważną przysługę.

— Biały człowiek próbował mnie spalić — wyjaśnił Cartwright Christine. — Mick zajął się tą sprawą.

Stranahan zarzucił żeglarskie worki na ramiona i ruszył w stronę domu.

— Pewien facet od nieruchomości miał chrapkę na ziemię Cartwrighta, ale on nie chciał jej sprzedać. Sytuacja zrobiła się pochyła...

Poławiacz przerwał mu.

— Lepiej ja to opowiem. Ten człowiek zaproponował mi sto tysięcy dolarów za wyniesienie się z wyspy, a kiedy odparłem „nie, bracie, dziękuję”, kazał swoim ludziom oblać mój dom benzyną. Całe szczęście, że padało jak wszyscy diabli. Mick zaaresztował tego faceta, a oni wsadzili go do wielkiego więzienia w Miami. Mówię jak na spowiedzi.

— Ładnie ze strony Micka — pochwaliła Christina.

Oczywiście była przekonana, że Stranahan zabił handlarza nieruchomościami.

— Dupek dostał sześć lat i odsiedział piętnaście miesięcy. Już jest na wolności — zaśmiał się ironicznie Stranahan.

— O tym nie wiedziałem — zauważył z namysłem Cartwright.

— Nie martw się, nigdy się tu nie zjawi.

— Tak sądzisz?

— Oczywiście, Cartwright. Obiecuję ci, że nie wróci. Przeprowadziłem z nim długą rozmowę. Chyba przeniósł się do Kalifornii.

— Bardzo dobrze. — Staruszek odetchnął z ulgą.

Nazwanie domem tego, w czym mieszkał leciwy rybak, było zdecydowanym pochlebstwem. Na fundamentach osadzone były nagie ściany z żużlobetonu, w oknach brakowało szyb, a w wejściu drzwi. Dach upleciony był z wysuszonych liści palmowych.

— Suchy jak pieprz — zapewnił Cartwright Christinę. — Wiem, że wygląda nieszczególnie, ale będzie wam w środku sucho.

— Będzie mi w nim świetnie — oznajmiła dziarsko.

Stranahan mrugnął do poławiacza.

— Miejska dziewczyna — powiedział.

Szturchnęła go w żebra.

— A ty, jak sądzę, jesteś Daniel Boone. Mniejsza z tym, pieprzę was obu. Potrafię o siebie zadbać.

Oczy Cartwrighta zrobiły się wielkie jak spodki.

— Przepraszam! — zawołała.

— Nie musisz — roześmiał się basowo starzec. — Lubię coś takiego. Uwielbiam, kiedy słyhać tu dźwięk kobiecego głosu.

Na lunch przygotował im świeżego homara i sałatkę z małży. Potem zapakował trochę ubrań do plastikowego worka na śmieci, pożegnał się z Mickiem i wolnym krokiem ruszył po pomoście.

— Dokąd się wybiera? — zapytała Christina.

— Na ląd stały — wyjaśnił Stranahan. — Ma wnuka we Florida City i dawno go nie widział.

Ze swojego miejsca mogli dostrzec drewnianą łódź motorową Cartwrighta płynącą na zachód. Starzec jedną rękę trzymał na manetce gazu, a drugą osłaniał oczy przed promieniami zimowego słońca.

— Wszystko ukartowałeś — odezwała się Christina do Micka.

— Bardzo miły facet. Nie zasłużył na żadne kłopoty.

— Czy naprawdę myślisz, że znajdą nas aż tutaj?

— Tak. — Stranahan kiwnął głową. Liczył na to.

## 21.

Cały personel w kancelarii prawniczej Kippera Gartha był podniecony: dziś na spotkanie przychodzili klienci. Prawdziwi, żywi klienci! Większość sekretarek nigdy nie widziała żadnego z klientów Gartha, ponieważ nie pozwalał im się tu zjawiać. Zazwyczaj wszystkie z nimi kontakty ograniczały się do rozmów telefonicznych, praktyka Kippera polegała bowiem wyłącznie na przekazywaniu spraw innym prawnikom. Plotka dnia (i to niezbyt wiarygodna) głosiła, że tym razem Kipper Garth postanowił osobiście zająć się przypadkiem błędu w sztuce lekarskiej. Jeden ze starszych pomocników otrzymał ogólne instrukcje, aby przygotował pozew do wydziału cywilnego sądu. Kobiety obsługujące centralę telefoniczną doszły do wniosku, że sprawa musi być wyjątkowo potworna, skoro zamierza ją poprowadzić sam szef. W końcu jego strach przed występowaniem w sądzie był personelowi powszechnie znany. Wszyscy więc nie mogli się doczekać owych klientów.

Pojawili się dokładnie o jedenastej — mężczyzna i kobieta. Urzędnicy, sekretarki i pomocnicy prawni poczuli się zaskoczeni, ujrawszy niczym niewyróżniającą się parę w wieku około trzydziestu pięciu lat. Mężczyzna miał średnią budowę ciała i zwyczajny wygląd, kobieta była platynową blondynką o długich włosach i dobrej figurze. U żadnego z nich nie widać było blizn czy poważnych okaleczeń. Zaskoczony personel Gartha zaczął

szeptem snuć przypuszczenia, że zapewne chodzi tu o zaburzenia psychiczne lub seksualne dysfunkcje.

Obie hipotezy okazały się niesłuszne. Problem Johna i Marie Nordstromów był o wiele bardziej niezwykły.

Kipper Garth powitał ich krótko i wskazał na dwa fotele ustawione przed jego biurkiem. Prawnik był wyjątkowo zdenerwowany, ale miał nadzieję, że tego nie widać. Miał też nadzieję, że będzie zadawał właściwe pytania.

— Proszę państwa — zaczął. — Chciałbym się zająć pewnymi materiałami z archiwów stanowych.

Nordstrom rozejrzał się po eleganckim gabinecie i zapytał:

— Jesteśmy tylko my?

— Przepraszam, ale o co panu chodzi?

— Czy tylko my występujemy z pozwem? Przez telefon wspominał pan, że skarży go duża grupa pacjentów.

Kipper Garth nerwowo podciągnął rękawy marynarki.

— Rozmawialiśmy z paroma innymi osobami reprezentującymi równie poważne przypadki. Jestem pewien, że wkrótce się przyłączą. Tymczasem państwo wyrazili zainteresowanie...

— Ale nie sami — oznajmił John Nordstrom. — Nie chcemy występować w pojedynkę. — Żona wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. — Posłuchajmy — powiedziała. — To nam nie zaszkodzi.

Kipper Garth odczekał chwilę, aby napięcie opadło. Ale nic z tego. Wskazał stojący za biurkiem kredens z drewna orzechowego.

— Czy widzi pan te akta, panie Nordstrom? Wszystkie dotyczą pacjentów doktora Rudy'ego Graveline'a. Większość tych ludzi ucierpiała bardziej niż państwo. Znacznie bardziej.

— Do czego pan zmierza? — odezwał się Nordstrom.

— Do tego, panie Nordstrom, że potwór jest na wolności. Graveline w dalszym ciągu prowadzi interes. W dobry dzień jego klinika zarabia sto tysięcy na honorariach za operacje. Sto tysięcy! I każdy pacjent wchodzi tam przekonany, że doktor Graveline jest cudownym chirurgiem, a niektórzy z nich w przykry sposób dowiadują się, że nie jest to prawda. Że jest po prostu partaczem.

— Nie musi nam pan tego mówić — odparł Nordstrom.

Kipper Garth pochylił się do przodu i złożył ręce jak do modlitwy.

— W moim odczuciu ta sprawa ma wymiar nie tylko finansowy. —

Jego głos brzmiał tak szczerze, że niemal sam sobie wierzył. — Tu nie chodzi o pieniądze, ale przede wszystkim o moralność. I sumienie. A także o bliźnich. Nie wiem, jak czujecie to państwo, ale mnie osobiście przewracają się wewnątrz, gdy myślę, że bestia taka jak Rudolph Graveline może w dalszym ciągu bezkarnie niszczyć życie niewinnych, ufających mu ludzi. — Kipper Garth powoli obrócił się wraz z fotelem i znów wskazał na stos teczek. — Spójrzcie państwo na te ofiary, na kobiety i mężczyzn takich jak wy. Czy to nie zgroza, że stan Floryda nie czyni nic, aby powstrzymać tego potwora? Mdli mnie za każdym razem, gdy sobie o tym przypominam.

— Mnie również — przytaknęła pani Nordstrom.

— Moja misja sprowadza się do tego — ciągnął Kipper Garth — aby odnaleźć kogoś, kto będzie miał dość odwagi, aby przeciwstawić się temu człowiekowi. Zmusić go do zaprzestania działalności. Zdemaskować jego niekompetencję, żeby nikt więcej nie musiał już cierpieć. A miejscem, gdzie można osiągnąć ten cel, jest sala sądowa.

John Nordstrom parsknął.

— Niech mi pan nie mówi, że tego sukinsyna nigdy nie skarżono!

Prawnik uśmiechnął się.

— O tak, istotnie. Doktora Graveline'a już skarżono. Ale zawsze udawało mu się uniknąć rozgłosu i kontroli jego kolegów. W jaki sposób? Doprowadzając do ugody poza sądem. Za każdym razem wykupuje się, nigdy nie dopuszczając do procesu. Lecz teraz nie wykręci się tak łatwo, panie Nordstrom. Teraz, za zgodą państwa, przycisnę go do muru. Pójdę na całość. Mówię oczywiście o procesie.

Była to cholernie błyskotliwa przemowa jak na człowieka przyzwyczajonego do wrzeszczenia w interkom. Jeżeli nawet nie wzruszyła Nordstromów, to przynajmniej wywarła na nich wrażenie. Zadowolony z siebie Kipper Garth zastanawiał się, czy zdołałby w stanie okazać podobny kunszt oratorski przed ławą przysięgłych.

— Wygląda pan o wiele młodziej niż na plakatach — oznajmiła Marie Nordstrom.

Kipper skwitował jej uwagę skinieniem głowy.

Pani Nordstrom trąciła męża łokciem.

— No, opowiedz panu, co się stało.  
— Wszystko jest w aktach — odparł John Nordstrom.  
— Proszę — oznajmił Kipper Garth — abyście opisali mi państwo wszystko własnymi słowami. — Przycisnął guzik na konsoli telefonicznej i weszła sekretarka z przenośną maszyną do stenografowania. W ślad za nią pojawiła się pośępnie wyglądająca asystentka z żółtym notatnikiem. Bez słowa zajęły miejsca po obu stronach swego szefa. Nordstrom z niepokojem przyglądał się tej trójcy.

— Sprawa jest dla nas dosyć krępująca... — zaczęła jego żona.

— Rozumiem — rzekł adwokat. — Proszę się nie spieszyć.

Nordstrom zerknął kątem oka na żonę.

— Zaczynij ty — zaproponował.

Spokojnie wyprostowała się i odchrząknęła.

— Dwa lata temu poszłam do doktora Graveline'a, aby dokonać zwykłej korektury piersi. Bardzo mi go polecano.

— Twoja manikiurzystka — wtrącił Nordstrom. — Prawdziwy ekspert.

Kipper Garth poniósł opaloną dłoń.

— Proszę pana.

— Nalegałam, aby doktor Graveline osobiście przeprowadził zabieg — mówiła dalej Marie Nordstrom. — Teraz, patrząc na wszystko z perspektywy czasu, sądzę, że miałabym więcej szczęścia u któregośkolwiek z pozostałych chirurgów... W każdym razie operację wykonano w czwartek, a w ciągu tygodnia stało się oczywiste, że coś jest bardzo nie w porządku.

— W jaki sposób się pani zorientowała? — zapytał Garth.

— No cóż, nowe piersi były dosyć... twarde.

— Jak beton — wyjaśnił John Nordstrom.

— Zrobiły się wyjątkowo okrągłe i nabite. Zbyt nabite. Rzecz w tym, że nawet nie podskakiwały.

Kipper Garth, jak na prawdziwego zawodowca przystało, nie pozwolił by jego wzrok zabłądził poniżej szyi pani Nordstrom.

— Gdy ponownie zobaczyłam się z doktorem Graveline'em, zapewnił mnie, że jest to normalne w podobnych przypadkach jak mój. Miał gotowe wyjaśnienie i na tę sytuację, i na wszystko inne.

— Skurcz torebek — odezwała się asystentka, nie podnosząc wzroku znad notatek.

— Otóż to — potwierdziła pani Nordstrom. — Doktor Graveline

oświadczył, że w ciągu miesiąca lub dwóch wszystko powróci do normy i piersi będą miękkie jak poduszczyki.

— I?

— No wiec czekaliśmy, tak jak nam poradził. Tymczasem, oczywiście, John chciał je wypróbować.

— Jasne — wtrącił się znowu Nordstrom. — W końcu za nie zapłaciłem.

— Rozumiem — przytaknęła Kipper Garth. — Zatem kochał się pan ze swoją żoną?

Policzki Nordstroma nabiegły czerwienią.

— Zna pan całą resztę.

Ruchem głowy prawnik wskazał stenografistkę i asystentkę zajęte zapisywaniem relacji. Klient westchnął i rzekł:

— Tak, kochałem się z żoną. A raczej próbowałem.

— I wtedy nastąpiło zderzenie Johna z moimi piersiami — podjęła ponownie pani Nordstrom. — Nie jestem pewna, czy trafiłam go lewą, czy prawą.

— Ja też nie jestem pewien — mruknął Nordstrom. — Wiem tylko tyle, że był to wielki, twardy cyc.

— Który wybił panu oko? — uściślił Kipper.

John Nordstrom z ponurą miną skinął głową.

— Fachowo nazywa się to oderwaniem siatkówki — wyjaśniła jego żona. — Początkowo nie sądziliśmy, że sytuacja jest aż tak poważna. Oko Johna było zapuchnięte i krwawiło. Gdy po kilku dniach w dalszym ciągu na nie nie widział, poszliśmy do specjalisty... ale było już za późno.

— Opowiedział pan jednak okuliście nieco odmienną historię — stwierdził łagodnie adwokat. — Jako przyczynę podał pan ukłucie się w oko gałęzią choinki.

Nordstrom popatrzył wściekle zdrowym okiem na Gartha

— A co, do cholery, miałem mu powiedzieć? Że zostałem oślepiiony cyckiem?

— Rzeczywiście, to musiało być trudne — przyznał Kipper głosem ociekającym współczuciem. — Z akt wynika, że to było pańskie prawe oko?

— Tak — potwierdził Nordstrom, wskazując palcem.

— Wstawili mu szklane — dodała jego żona. — Właściwie nie można odróżnić.



— Czy wpłynęło to jakoś na pańską pracę? — spytał Garth.  
— Żartuje pan? Straciłem ją!  
— Doprawdy? — Adwokat z najwyższym wysiłkiem stłumił uśmiech zachwyty, a w myśli dopisał jeszcze parę zer do wniosku o odszkodowanie za cierpienia i straty.

— John był kontrolerem ruchu powietrznego — odezwała się znowu pani Nordstrom. — Może pan sobie wyobrazić, jakie wynikły kłopoty.

— Tak, i jakie dowcipy — dorzucił z goryczą jej mąż.

Kipper Garth odchylił się w fotelu i splótł ręce na brzuchu.

— No cóż, moi drodzy państwo, jak się zapatrujecie na dziesięć milionów?

— Daj pan spokój! — parsknął Nordstrom.

— Jeżeli będzie odpowiedni skład sędziowski, możemy dostać dwanaście.

— Dwanaście milionów! Nie żartuje pan?

— Bynajmniej — przytaknął prawnik. — Pani Nordstrom, muszę panią o coś zapytać. Czy ten, hmm... stan pani piersi uległ jakiejś poprawie?

Spojrzała na swój biust.

— Niezbyt.

— Zupełnie właściwe określenie — stwierdził jej małżonek. — Niech mi pan uwierzy na słowo: są jak cholerne kule do kregli.

Ten facet w roli świadka będzie koszmarem, uznał Kipper, sąd go znieawidzi. Nic dziwnego, że inni adwokaci nie decydowali się na branie tej sprawy. Garth podziękował Nordstromom za przyjście i odprowadził ich do drzwi. Obiecał zobaczyć się z nimi za parę dni i przedstawić pewne ważne dokumenty do przejrzenia.

Gdy małżeństwo wyszło, polecił stenografistce przepisać rozmowę i sporządzić sześć kopii. A potem kazał asystentce napisać na maszynie pozew o błąd w sztuce lekarskiej przeciwko doktorowi Rudy'emu Graveline'owi oraz Sanatorium i Centrum Chirurgicznemu Whispering Palms.

— Dasz sobie radę? — zapytał.

— Tak sądzę — odparła chłodno dziewczyna.

— Następnie idź do sądu i zrób... no, wszystko, co trzeba.

— Pójdziemy razem — oznajmiła asystentka. — Chyba powinieneś się zorientować, jak się tam idzie.

Kipper Garth zgodził się melancholijnie. Gdyby jego narciarska panienska wiedziała, ile kosztuje go ten ich flirt. Fakt, że szantażystą był jego własny, pieprzony szwagier, tylko pogłębiał uczucie poniżenia.

— Jeszcze jedno — zwrócił się do asystentki. — A kiedy złożymy pozew, to co dalej?

— Będziemy czekać — odpowiedziała. Adwokat zachichotał z ulgą.

— I na tym koniec?

— Jasne. Będziemy czekali i zobaczymy, co z tego wyniknie — wyjaśniła dziewczyna. — Zupełnie jakbyśmy rzucili bombę.

— Rozumiem — rzekł Garth. Tylko tego było mu potrzeba w życiu. Bomby.

Freddie drzemał w swoim gabinecie w „Wesołym Bidecie”, gdy jedna z bileterek wsunęła głowę do środka i powiedziała, że jakiś facet chce się z nim widzieć. Gość nie spodobał się Freddiemu od pierwszego wejrzenia i pewnie wziąłby go za glinę, gdyby nie to, że gliniarze nie ubierają się tak dobrze. Nie spodobało mu się również, że facio wciąż rozglądał się wokoło, marszcząc nos jak bagienny królik, zupełnie jakby czymś tu śmierdziało. Szef „Wesołego Bidetu” poczuł się dotknięty.

— Nie tego się spodziewałem — oznajmił mężczyzna.

— A czego, do kurwy nędzy? Maksima? — Freddie dziarsko ruszył do ataku.

— To nie jest bar dla pedałów? — zdziwił się przybysz. — Na podstawie nazwy\* wydawało mi się...

\* Gra słów: *gay* w nazwie baru „Gay Bidet” może znaczyć zarówno „wesoly”, jak i „gej” — „homoseksualista” (przyp. tłum.)

— Nie ja go nazywałem, stary — odparł Freddie. — Wiem tylko tyle, że się rymuje. — I wcale nie musi nic oznaczać. A teraz gadaj pan, o co chodzi, albo spadaj.

— Muszę się widzieć z jednym pańskim bramkarzem.

— Po co?

— Jestem jego lekarzem — wyjaśnił nieznajomy.

— Jest chory?

— Nie wiem, dopóki go nie zobaczę — stwierdził Rudy Graveline, bo on to był we własnej osobie.

Freddie spojrział na niego z powątpiewaniem. Może i facet był doktorem, a może nie, teraz każdy mógł nosić białe jedwabne garnitury.

— Którego z moich pracowników ochrony chce pan widzieć? — zapytał.

— Jest takim dużym mężczyzną.

— Wszyscy tu są tacy, panie ładny. Nie wynajmuję męskich modelek.

— Ten jest wyjątkowo wysoki i szczupły. Twarz ma pokrytą bliznami i brak mu lewej dłoni.

— Nie znam takiego — rzekł na wszelki wypadek Freddie. A nuż gość był sprytnym poszukiwaczem osób, które zwały mimo wplaconej kaucji, albo tajniakiem z funduszem garderobianym?

— Ale on mi mówił, że tu pracuje — zdziwił się Rudy.

Freddie potrząsnął głową i ze świstem wciągnął powietrze przez szczelinę między przednimi zębami.

— Mam duży personel i taką samą płynność kadry, panie śliczny. Nie każdy dobrze znosi hałas. — Machnął brązowym kciukiem w stronę przepierzenia z dykty wibrującego pod wpływem granej za nim muzyki.

— Wydaje mi się, że to wspaniała orkiestra — próbował niezgrabnie podlizać się Graveline.

— Cathy i Cewniki — oznajmił ze wzruszeniem ramion Freddie. — Królowa sluta rocka prosto z Londynu. — Wstał i przeciągnął się. — Przykro mi, że nie mogłem panu pomóc.

W tej samej chwili bileterka otworzyła gwałtownie drzwi, informując szefa, że wybuchła straszliwa bójka i lepiej będzie, jeżeli szybko przyjdzie na salę. Rudy Graveline, depcząc Freddiemu po piętach, ruszył w ślad za nim oczyszczonym szlakiem prowadzącym przed scenę. Tam właśnie banda anorektycznych nazistowskich skinheadów zaatakowała bandę ślamazarnych, ziemniakowatych motocyklistów z powodu różnicy zdań na temat tatuaży, a konkretnie tego, kto ma paskudniejszy. Do bitwy włączyła się grupa grubokościstych bramkarzy, z których każdy odziany był w różowy firmowy podkoszulek „Wesołego Bidetu” z wypisanym na plecach słowem: OCHRONA. Zacięta walka zdawała się inspirować kapelę do jeszcze

głośniejszego ryku, a innych punktów do energiczniejszego tańczenia pogo.

Nad zamieszaniem górował Chemo w całej okazałości. Podkoszulek miał rozerwany i pokrwawiony, a na jego twarzy malowało się mordercze skupienie. Nawet w oślepiających błyskach lamp stroboskopowych Rudy mógł dostrzec, że umocowany do kikuta Niszczyciel Chwastów jest odsłonięty i funkcjonuje na pełnych obrotach. Spełniająca funkcje ostrza żyłka przesuwiała się z taką szybkością, że wydawała się przezroczysta i niegroźna jak hologram. Doktor z przerażeniem obserwował, jak Chemo opuszcza brzęczący aparat w płataninę ludzkich ciał, i słuchał, jak przez łomot muzyki przedzierają się przeraźliwe wrzaski. Pozostali bramkarze, jakby realizując przyjęty z góry plan, cofnęli się, pozwalając wielkoludowi działać, gdy tymczasem Freddie nadzorował przebieg akcji, stojąc na przewróconym głośniku.

Bójka szybko wygasła. Kapela zrobiła sobie przerwę, w czasie której poszkodowanym motocyklistom i skinom dostarczono łubki i bandaże. Z wyrazem ojcowskiego podziwu w przypominających guziki oczach Freddie poklepał Chema po ramieniu i zniknął za kulisami. Rudy przeciskał się przez spocony tłum, przechodząc nad rannymi i na wpół przytomnymi, aż wreszcie dotarł do dryblasza.

— No cóż, to było wspaniałe — pochwalił.

Chemo spojrział w dół i skrzywił się ponuro.

— Padła mi pieprzona bateria. Mam nadzieję, że dziś już będzie spokój.

— Musimy koniecznie porozmawiać — oświadczył chirurg.

— Tak — zgodził się Chemo. — Też tak myślę.

Gdy tylko znaleźli się na zapleczu, wpadli na Freddiego, Cathy i dwóch Cewników dzielących się haszem w szklanej fajce. Freddie oznajmił przez kłęby błękitnego dymu:

— Ten palant twierdzi, że jest twoim lekarzem.

— Był — odparł Chemo. — Czy możemy skorzystać z garderoby?

— Cokolwiek sobie życzysz — zgodził się Freddie.

— Uważajcie na mojego pytona — ostrzegła Cathy.

Graveline wyobrażał sobie garderobę zupełnie inaczej. Znajdowały się w niej: składany stolik do kart, staroświecki wieszak na ubrania, niebieska welurowa sofa, na ścianie wisiało poobijane trójkątne lustro, a w kącie

widać było chłodziarkę Igloo pełną piwa Heineken. Na gołej podłodze stała płaska klatka wykonana ze sklejk i drutu, w której rezydował trzymetrowy birmański pyton, jedna z przyczyn wielkiego powodzenia Cathy.

Rudy usiadł na krześle przy stoliku, podczas gdy Chemo wyciągnął się na burdelowej sofie.

— Martwiłem się, że nie zadzwoniłeś z Nowego Jorku. Co się stało? — zapytał chirurg.

Chemo przesunął po wargach białym językiem.

— Nawet nie zapytasz, co z moją twarzą, jak się goi?

— Wygląda zupełnie nieźle — rzucił ze zniecierpliwieniem Rudy. — Wszystko wskazuje na to, że dermabrazja przebiegła prawidłowo.

— Mówisz, jakbyś się na tym znał.

Usta doktora drgnęły.

— Co to ma znaczyć?

— To, że jesteś pieprzonym zagrożeniem ludzkości. Załatwiam sobie innego lekarza. Maggie pomoże mi go wybrać.

Graveline poczuł, że kark pokrywa mu się potem. Co prawda przewidywał możliwość powstania jakichś kłopotów związanych z Chemem, dlatego dodatkowo posłużył się Robertem Pepsicałem i jego skorumpowanymi gliniarzami, ale od tego morderczego bociana spodziewał się zaledwie niepowodzenia, nie zaś zdrady.

— Maggie? — zdziwił się. — Maggie Gonzalez?

— Tak, właśnie ona. Przeprowadziliśmy długą rozmowę i dowiedziałem się tego i owego.

— Rozmowa z nią nie była w planie — zauważył Rudy.

— Owszem, ale plany się zmieniły. — Chemo sięgnął do chłodziarki i wyjął piwo. Zerwał kapsel, przytknął butelkę do ust i patrzył ponuro na doktora, wypijając duszkiem jej zawartość. Potem beknął i oświadczył: — Próbowałeś zrobić mnie w bambuko.

— Skądże znowu! — zaprotestował Rudy.

— Nie powiedziałaś mi, jaka jest stawka. Nie wspomniałeś o tej Barletcie.

Rudy pobladł jak płótno. Nieruchomo wpatrywał się w swoje kolana. Nagle jego jedwabna marynarka od Armaniego zaczęła mu się wydawać gorąca i ciężka jak wojskowy koc.

Chemo poturlał pustą butelkę po heinekenie po gołej kafelkowej podłodze, aż uderzyła o klatkę pytona. Smukły zielony wąż wysunął na chwilę język, a potem znowu zapadł w sen.

— I przez cały czas myślałem, że wiesz, co do cholery robisz — kontynuował dryblas. — Powierzyłem ci swoją twarz. — Zaśmiał się ostro i ponownie beknął. — Jezu Chryste, założę się, że twoja własna rodzina nie pozwoliłaby ci pokroić indyka na Święto Dziękczynienia, co?

Słabym, niepewnym głosem Rudy Graveline rzekł:

— A więc Maggie wciąż żyje.

— Tak i będzie żyła, dopóki nie zmienię zdania. — Chemo opuścił długie nogi z sofy i wyprostował się. — Bo jeśli coś jej się stanie, natychmiast zrobisz się sławny. Mówię o telewizji, doktorze Frankenstein.

Rudy z trudem oddychał.

— Ta twoja pielęgniarka jest sprytna — ciągnął Chemo. — Żeby się zabezpieczyć, nagrała trzy kasety wideo. Dwie z nich są schowane w Nowym Jorku. Ta trzecia... no cóż, lepiej módl się, żebym znalazł ją, zanim ona znajdzie ciebie.

— Zrób to! — Głos Rudy'ego był słaby i bezbarwny.

— Oczywiście, to będzie kosztować.

— Ile tylko zechcesz — wychrypiał doktor. Takiego scenariusza zdarzeń nie przewidywał. Był gorszy od najgorszych koszmarów sennych.

— Nie miałem pojęcia, że chirurdzy plastyczni robią taki szmal — zauważył Chemo. — Maggie mi to uświadomiła.

— Koszty własne są niezmiernie wysokie — Rudy niezręcznie próbował się bronić.

— W takim razie twoje wzrosły jeszcze bardziej. — Chemo wyjął niewielką puszczykę z olejem maszynowym w aerozolu i zaczął smarować mechanizm Niszczyciela Chwastów. Nie odrywając spojrzenia od swojego zajęcia, oznajmił:

— Między nami mówiąc, Frankenstein, wywinąłeś się sianem. Ostatnim razem, kiedy doktor mnie upieprzył, skrzyłem mu kark.

Pogrążony w swej psychicznej katakumbie Rudy wyraźnie usłyszał trzask pękającego karku starego dermatologa i zobaczył, jak elektrolityczna igła wyślizguje się z martwych dłoni, z brzękiem padając na podłogę gabinetu.

Gdy tylko Graveline odzyskał zdolność logicznego myślenia, zapytał:

— Kto ma brakującą taśmę?

— Zgadnij. — W zazwyczaj beznamiętnym głosie Chema słycać było rozbawienie.

— O, kurwa! — jęknął Rudy.

— Też tak uważam.

## 22.

Reynaldo Flemm nie skończył jeszcze wyjaśniać, na czym polega jego plan, gdy kamerzysta Willie przerwał mu:

— A co z Christiną? Co ona na to?

— Christina zajmuje się innym projektem.

Willie spojrział na niego ze sceptycyzmem.

— Jakim?

— Nieważne.

Kamerzysta się nie poddawał. Był już przyzwyczajony, że Reynaldo traktuje go jak najemną pomoc.

— Jest w Nowym Jorku? — dociekał.

— Jeżeli o mnie chodzi, równie dobrze może być w New Delhi — odparł Reynaldo. — Rzecz w tym, że ja będę kierownikiem produkcji sekwencji Barletty. Lepiej do tego przywyknij, stary.

Willie wrócił do swojego drinka i rozkoszowania się różowym tropikalnym zmierzchem. Siedzieli w barze na wolnym powietrzu przy stoliku na pomoście, niedaleko od hotelu „Sonesta” na Key Biscayne. Reynaldo trzymał w ręku perriera, w związku z czym Willie nie miał wątpliwości, że postawi na swoim. Flemm był jedyną znaną mu osobą, która łatwiej potrafiła się wygadać po trzeźwemu niż po pijanemu. Teraz właśnie Reynaldo zwierzał się ze swojego tajnego planu zakładającego zmuszenie doktora Rudy'ego Graveline'a do wypowiedziania się przed kamerą. Był to najbardziej



kretyński pomysł, jaki Willie w życiu słyszał. Uwielbiał oglądać takie kawałki, ale nie kręcić.

Po odpowiedniej przerwie kamerzysta odstawił swój rumowy drink na stół i zapytał:

— Kto organizuje wywiad?

— Ja.

— Pytania również?

Flemm zaczerwienił się.

— Czy nie powinniśmy uzgodnić wszystkiego z prawnikami? Obawiam się, że możemy mieć poważne kłopoty, jeśli wejdziemy bez zezwolenia.

— Ha! — wzruszył ramionami Reynaldo.

Jasne, pomyślał kwaśno Willie, proszę cię bardzo, śmieję się. Ale to mnie zawsze pakują do radiowozu. I mnie się obciąża winą, jeżeli gliniarze uszkodzą kamerę.

— Strona prawna to moje zmartwienie, Willie — powiedział Reynaldo Flemm. — Pytanie brzmi: czy możesz to zrobić?

— Jasne, że tak.

— Nie będą ci potrzebne dodatkowe światła?

Willie pokręcił głową.

— Świateł jest mnóstwo — oznajmił. — Przewiduję problemy z dźwiękiem.

— Sam również się nad tym zastanawiałem. Nie za bardzo mogę się posłużyć mikrofonem bezprzewodowym.

Willie zachichotał potakując.

— Nie, raczej nie.

— Wymyślisz coś. Zawsze ci się udaje — podliznął mu się Reynaldo. — Zresztą i tak wolę ręczny.

— Wiem — skinął głową kamerzysta. Reynaldo nie lubił małych, przypinanych mikrofonów bezprzewodowych. Zdecydowanie preferował stare, przypominające pałkę, które można było wziąć do ręki i podsunąć pod nos jakiemuś skorumpowanemu politykowi tak, żeby się zsikał w majtki. Christina Marks twierdziła, że taki mikrofon jest „symbolem fallicznym” Reynalda i że w podświadomości gwiazdora stał się substytutem jęgo penisu.

Willie przypominał sobie dobrze, że Reynaldo nie był zachwycony teorią Christiny.

— Będzie ostro, ale coś takiego już robiliśmy — stwierdził Reynaldo. — Tworzymy dobry zespół.

— Taa — mruknął bez przekonania Willie, osuszając szklanę. Ładny mi zespół. Podstawowy plan zawsze był taki sam: sprawić, żeby Reynaldo oberwał. „I pamiętaj — powtarzał Flemm Williemu — musimy zrobić to z biglem dla dobra reportażu. Wetknij facetowi kamerę prosto w uśmiechniętą gębę, wkurz go na serio”. Willie doprowadził ten schemat do perfekcji. Podtykał kamerę telewizyjną niemal pod nos ofiary, a wtedy gość odpychał go i ruszał z wściekłością na Reynalda Flemma. „Pamiętaj” — pouczał Reynaldo — kiedy cię odepchnie, machnij kamerą tak, jakby naprawdę tobą zachwiało. Spraw, żeby obraz był rozedrgany, tak jak to robią w *Sześćdziesięciu minutach*. Jeżeli przypadkiem człowiek, z którym miano rozmawiać, rzucił się na Williego, a nie Flemma, kamerzysta miał niezmienny rozkaz przestać kręcić, ochraniać sprzęt i bronić się — dokładnie w tej kolejności. Napastnik zwykle szybko się męczył okładaniem pięściami wielkiej metalowej kamery i obracał swój gniew przeciwko temu arogantkiemu draniowi, Reynaldowi Flemmowi. „Włączają telewizor dla mnie” — powtarzał Flemm — to ja jestem gwiazdą”. Jeżeli jednak pranie stawało się zbyt intensywne albo przeciwników Reynalda było zbyt wielu, zadaniem Williego było ostrożnie odłożyć kamerę i ruszyć do walki. Wielokrotnie czuł się jak kłown na rodeo, odwracając uwagę rozwścieczonych napastników do momentu, aż Flemm zdoła zbiec, zazwyczaj chroniąc się w furgonetce telewizyjnej. Furgonetka była zarazem miejscem, w którym na żądanie Reynalda czekała podczas wywiadów Christina Marks. Gwiazdor twierdził, że czyni tak dla jej własnego bezpieczeństwa, ale w rzeczywistości obawiał się, że gdyby jej coś się stało, a nie jemu, mogłoby się to znaleźć na taśmie i położyć jego *image*.

Myśląc o tym wszystkim, Willie zamówił następny poncz. Tym razem poprosił kelnerkę, aby dołąła mu więcej ciemnego rumu.

— Dlaczego uważasz, że doktor się złamie? — zapytał Reynalda.

— Spotkałem go. Jest słaby.

— Tak samo mówiłeś o Larkeyu McBuffumie.

Larkey McBuffum był nieuczciwym farmaceutą z Chicago, który

sprzedawał sterydy futbolistom z młodszych klas licealnych. Gdy Reynaldo i jego kamerzysta wdarli się do apteki Larkeya, aby przycisnąć go do muru, starsuszek strzelił Williemu prosto w oczy pianką plemnikobójczą z aerozoluowego pojemnika.

— Powtarzam ci, chirurg to słabiak — zapewnił ponownie Reynaldo. — Podsunę mu mikrofon pod nos i pęknie.

— Będę się trzymał blisko niego — zaproponował Willie.

— Ale nie za blisko — ostrzegł go Flemm. — Musisz być gotów w odpowiedniej chwili cofnąć się i wziąć nas obu w kadr, zanim wszystko się rozegra.

Wille zamieszał rum palcem.

— To znaczy wtedy, gdy ci przyłoży?

— Oczywiście — odparł sucho Reynaldo. — Chryste, powinieneś już znać procedurę. Jasne, że kiedy mnie uderzy.

— Czy to nastąpi — zapytał żartobliwie Willie — przed czy po wielkiej spowiedzi?

Flemm zmagął się przez kilka sekund z problemem, aż wreszcie poddał się.

— Po prostu nakręć wszystko i już — polecił sztywno. — Cokolwiek się zdarzy, nakręć każdą cholerną sekundę. Rozumiesz?

Willie skinął głową. Czasami żałował, że nie pracuje już jako wolny strzelec dla sieci. W porównaniu z robotą dla Reynalda zamach stanu na Haiti był piknikiem.

Policja stanowa z Pensylwanii z radością przesłała faksem sierżantowi Ałowi Garcii z komendy policji hrabstwa Dade fotografię Blondella Wayne'a Tatuma. Garcia był rozczarowany, ponieważ zdjęcie okazało się właściwie bezużyteczne. Wykonał je przed ponad dwudziestoma laty fotoreporter z małomiasteczkowej gazety. W owym czasie gazeta ta drukowała pięcio-odcinkowy reportaż o tym, jak sekta Amiszów radzi sobie ze społecznymi wyzwaniem dwudziestego wieku. Blondell Wayne Tatum był jednym z kilku młodocianych Amiszów sfotografowanych w chwili, gdy grali w piłkę małą dynią. W tej grupie Blondell był jedynym, który miał nowiutką rękawicę łapacza.

Do kryminalistycznej identyfikacji kopia gazetowego zdjęcia była nieprzydatna. Garcia wiedział, iż mężczyzna zwany Chemem nie ma już rzadkiej młodzieńczej bródki, jak również doznał poważnych obrażeń twarzy w wyniku niezwyklego wypadku dermatologicznego. Wyposażony w informację o tych zmianach, sierżant poprosił o pomoc policyjną rysowniczkę Paulę Downs. Przyczepił fotografię z gazety do jej pulpitu i powiedział:

— Trzeci od lewej.

Paula nałożyła okulary, ale to nie wystarczyło. Wzięła lupę i przyjrzała się zdjęciu z bliska.

— Szparag — oznajmiła. — Szesnaście, może siedemnaście lat.

— Teraz ma trzydzieści osiem — wyjaśnił Garcia. — Wzrost dwa metry dziesięć, dziewięćdziesiąt kilo wagi.

— Żaden problem — odparła Paula.

— I zgolił brodę.

— Mam nadzieję. Bee.

Garcia postukał w fotografię nierozwiniętym z celofanu cygarem.

— A teraz najtrudniejszy kawałek, dziecinko. Kilka lat temu ten fajfus przeżył paskudny wypadek. Usmażył sobie całą gębę.

— Oparzenia?

— Tak.

— Jakiego rodzaju? Gaz? Chemiczne?

— Elektroliza.

Paula spojrzała na detektywa znad okularów i rzuciła:

— Strasznie śmieszne, Al.

— Słowo daję. Dostałem wiadomość bezpośrednio od gliniarzy z Pensylwanii.

— Hmm. — Rysowniczka żuła gumkę na ołówku i studiowała zdjęcie.

Al Garcia opisał jej twarz Chema tak samo jak Mick Stranahan jemu. Podczas gdy mówił, Paula zaczęła szkicować portret pamięciowy. Trzymając ołówek pod lekkim kątem, zakreśliła na cienkiej przebitce lekki, czysty owal. Najpierw pojawiło się wysokie czoło ostry podbródek, potem kości policzkowe i podpuchnięte oczy ryby najeżki, w końcu wąskie, okrutne usta. Nie minęło wiele czasu, a niezgrabny młody Amisz z rękawicą

baseballową stał się poważnie wyglądającym przestępcą. Paula wstała i oświadczyła:

— Zaraz wróce. — Chwilę później pojawiła się z solniczką przyniesioną z barku kawowego. Uniosła przebitkę, obficie posypała pulpit solą i kantem dłoni równo ją rozprowadziła. Następnie umieściła z powrotem przebitkę z podobizną Chema i wzięła gruby ołówek z miękkim, szarym grafitem. Dotykając nim płasko papieru, zupełnie jakby trzymała węgiel rysowniczy, zaczęła przesuwając delikatnie ołówkiem po rysunku. Natychmiast znajdujące się pod spodem ziarna soli odkształciły papier. Garcia uśmiechnął się — portret był idealny. Chemo miał na nim chropawą, ziarnistą cerę, dokładnie taką, jaką opisał Mick Stranahan.

— Jesteś genialna — pochwalił Paulę Downs.

Podawała mu ukończony portret pamięciowy.

— Pracuje u ciebie parę utalentowanych osób, Al.

Przeszedł do pomieszczenia z kserokopiarką i sporządził pół tuzina odbitek rysunku. Jedną z nich wetknął do przegródki z pocztą Johna Murdocka, zaopatrzony ją na odwrocie w nazwisko Blondella Wayne'a Tatum, jego pseudonim i datę urodzenia. A potem dopisał jeszcze: „To jest właśnie twój facet ze sprawy Simpkins!!!”

Dobrze wiedział, że Murdock nie będzie mu wdzięczny za okazaną pomoc.

Pozostałą część popołudnia Garcia spędził na Key Biscayne, pokazując portret Chema chłopakom z przystani, barmanom i kelnerkom w Sunday's-on-the-Bay. O czwartej miał już zeznania czterech osób, które zdecydowanie potwierdziły, że mężczyzna na rysunku pił razem z Chloe Simpkins-Stranahan w wieczór jej śmierci.

Sierżant był uszczęśliwiony. Wróciwszy do komendy policji, zadzwonił do kwaciarni i zamówił tuzin róż dla Pauli Downs. Gdy rozmawiał przez telefon, zauważył leżącą na biurku niewielką paczuszkę. Otworzył ją swobodną ręką.

W środku znajdowała się kasetka wideo w plastikowym pudełku, do którego przyklejono klejącą taśmą kawałek papieru. Notatkę: „A nie mówię! Pozdrowienia. Mick”.

Garcia zaniósł taśmę do sali audiowizualnej, gdzie kilku chłopaków z

obyczajówki oglądało najnowszy produkt *cinema vérité* na temat kontaktów damsko-zwierzęcych. Poprosił ich, żeby zniknęli, i wrzucił taśmę Stranahana do magnetowidu. Obejrzał ją dwukrotnie. Za drugim razem zgasił cygaro i zrobił notatki. Potem ruszył na poszukiwania Murdocka i Salazara.

W pokoju detektywów nikt nie miał pojęcia, gdzie się podziali, i Garcia sytuacja ta zdecydowanie się nie spodobała. Odbitka rysunku Pauli leżała zgnieciona na biurku Johna Murdocka obok pustego pudełka po doritosach. — Dupek — syknął sierżant. Nie obchodziło go, czy ktoś usłyszy. Grzebał w śmieciach Murdocka tak długo, aż znalazł różowy papierek z notatką. Pochodziła od sekretarki sędziego okręgowego Cassiego B. Irelanda.

Garcia jęknął. Cassie Ireland był zaprzysięgłym partnerem do gry w golfa w samą porę zmarłego skorumpowanego sędziego Raleigha Goomera. Powszechnie wiadomo było, że Cassie sam ma poważne problemy z piciem i długimi weekendami w Las Vegas. Polegały one na chronicznej niemożności zdobycia środków na inne nałogi.

Przeznaczona dla Johna Murdocka notatka od sędziego Cassiego Irelanda głosiła: „Nakaz gotów”.

Sierżant skorzystał z telefonu detektywów i zadzwonił do kancelarii sędziego. Przedstawił się sekretarce i bez zaskoczenia dowiedział się, że Ireland będzie nieobecny do końca dnia. Garcia domyślił się, że stróż prawa powędrował prosto do barku w „Hiltonie” na lotnisku.

— Mieliśmy tu maleńkie zamieszanie — oznajmił sekretarce. Czy detektyw Murdock prosił sędziego Irelanda o podpisanie nakazu?

— Ależ oczywiście — zaćwierkała kobieta. — W dalszym ciągu muszę załatwić całą papierkową robotę. John i jego partner odebrali go osobiście wczoraj rano.

Al Garcia doszedł do wniosku, że równie dobrze wypada zadać następne pytanie. Po prostu, aby się upewnić.

— Czy może mi pani powiedzieć, na kogo wystawiono ten nakaz?

— Na Micka Stranahana — odparła sekretarka. — Morderstwo z premedytacją.

Christina Marks uważała, że mrok jest podniecający. Gdy unosiła się naga na powierzchni, ciepła woda obmywała całe jej ciało. Od czasu do czasu stawiała, sprawdzając głębokość, i wbijała palce stóp w chłodny, szorstki piasek. Kilka metrów dalej wynurzył się Mick Stranahan, niczym jakiś lśniący morski stwór o blond włosach. Sapnął jak delfin wypuszczający powietrze z płuc.

— Przyjemnie! — zawołała do niego Christina.

— Nie ma tu gorących pryszniców — odparł. — Żadnych pryszniców. Cartwright nie uznaje takich fanaberii.

— Powiedziałam, że jest przyjemnie. Serio.

Mick podpłynął bliżej i stanął. Woda sięgała mu do pępka. W świetle księżyca w pierwszej kwadrze Christina widziała świeżą bliznę na jego ramieniu. Przypominała smugę różowej szminki. Zorientowała się, że gapi się na niego — tutaj, w wodzie, wyglądał zupełnie inaczej. Był tak różny od człowieka, którego widziała w szpitalu albo u siebie w mieszkaniu. Na wyspie sprawiał wrażenie większego, dzikiego, a jednocześnie pogodniejszego.

— Tak tu spokojnie — rzekła.

Pływali na płyčźnie, w odległości czterdziestu metrów od pomostu Cartwrighta.

— Cieszę się, że możesz się rozluźnić — zapewnił. — Większość kobiet czułaby się zdenerwowana faktem, że dwukrotnie strzelał do nich nieznamy facet.

Christina roześmiała się swobodnie i zamknęła oczy, pozwalając, by drobne fale łaskotały ją w szyję. Mick miał rację: powinna czuć się zupełnie roztrzęsiona, a jednak nie była.

— Może tracę rozum — zwróciła się ku gwiazdom. Usłyszała łagodny plusk, gdy dał pod nią nurka. Kilka sekund później coś chłodnego otarło się o jej kostkę i uśmiechnęła się:

— Dobra, dobra, panie ładny, bez głupich dowcipów. Z zaskakująco dużej odległości dobiegł ją głos Micka:

— Przepraszam, że cię rozczaruję, lecz to nie byłem ja.

— Och, nie!

Christina przekręciła się na brzuch i mocno pracując nogami, skierowała się na głębszą wodę. Ale nie upłynęła daleko. Pojawił się pod nią jak torpeda i wsunął jedną rękę pod jej biodra, a drugą otoczył biust. Gdy szybkim ruchem wydobył ją z wody, krzyknęła cicho.

— Spokojnie — roześmiał się. — To był maleńki rekinek psi... Widziałem go.

Stał na mieliznie, po pas w wodzie, trzymając ją jak naręcz drewna na opał.

— Spokojnie — powtórzył. — One nie zjadają wielkich telewizyjnych kierowniczek produkcji.

Christina obróciła się w jego objęciach i objęła go za szyję.

— Odpłynął? — zapytała.

— Odpłynął. Chcesz, żebym cię postawił?

— Niezupełnie. Nie.

W świetle księżycy widział jej oczy na tyle wyraźnie, by móc dostrzec, co myśli. Pocałował ją w usta.

Zupełne wariactwo, pomyślała. Uwielbiam to.

Stranahan pocałował ją znowu, tym razem dłużej.

— Trochę słone wargi — orzekła. — Ale poza tym bardzo przyjemne.

Przesunęła dłońmi po jego ciele.

— Zaraz, zaraz, co się stało z twoimi džinsami?

— Chyba prąd mi je ściągnął.

— Jaki prąd? — Zaczęła całować jego szyję, w górę i w dół. Chichotała, gryzła delikatnie, dotykała czubkiem języka. Czowała, jak na jego ramionach występuje gęsia skórka.

— Tam naprawdę był rekin — oznajmił.

— Wierzę ci. A teraz zabierz mnie, z powrotem na wyspę. Natychmiast.

— Nie w tej chwili — zaprotestował.

— Mam rozumieć, że będziemy robili to tutaj?

— Czemu nie?

— Na stojąco?

— Czemu nie?

— Z powodu rekinów. Sam powiedziałeś.

— Będiesz bezpieczna, tylko obejmij mnie nogami — zapewnił ją Stranahan.

— Można spróbować.

Pocałował ją znowu. Było cudownie. Christina otoczyła nogami jego nacie biodra.

Mick przestał ją całować, żeby złapać oddech, i odezwał się:

— Prawie zapomniałem. Czy możesz mi wymienić Beatlesów?



- Chyba nie teraz?
- Tak, teraz. Proszę.
- Jesteś cholerny wariat.
- Owszem — przytaknął.

Christina przycisnęła się do niego tak mocno, że woda pomiędzy jej piersi trysnęła mu na brodę.

- Masz za swoje! — Roześmiała się. A potem, dotykając nosem jego nosa, dodała: John, Paul, George i Ringo.
- Jesteś wspaniała.
- I nie zapomnij Pete'a Besta.
- Coś mi się wydaje, że cię kocham — stwierdził Mick.

Potem Mick złapał z pomostu małego granika i upiekł go nad ogniskiem na kolację. Jedli na brzegu wyspy wychodzącym na ocean, pod kępą młodych palm. Za stół posłużyły im dwie stare pułapki na homary. Temperatura spadła do dwudziestu paru stopni i wiała dość mocna bryza. Christina miała na sobie kraciatą flanelową koszulę, workowate szare spodnie treningowe i adidasy. Stranahan natomiast włożył džinsy, mokasy i bawełnianą bluzę uniwersytetu Miami. Za pasek džinsów zatknął pożyczony od Luisa Córdovy rewolwer Smith kaliber zero trzydzieści osiem, był jednak prawie pewien, że nie przyjdzie mu go użyć.

Pijąc drugi kubek kawy, Christina rzekła:

- Zupełnie nieźle się zachowywałam, prawda?
- Jasne. — Wpatrywał się w odległe światła trampa płynącego Golfstromem na południe.
- Wiem, że pytałam cię już wcześniej, ale spróbuję jeszcze raz. Co, u diabła, tutaj robimy?
- Sądziłem, że ci się tu podoba.
- Szalenie, Mick, w dalszym ciągu jednak niczego nie pojmuję.
- Nie możemy wrócić do mojego domu na palach. W każdym razie jeszcze nie teraz.
- Ale dlaczego tu przyплыliśmy? — Tajemniczość sytuacji wyraźnie wyprowadzała ją z równowagi.
- Ponieważ potrzebuję takiego miejsca, gdzie coś może się zdarzyć, ale nikt tego nie zobaczy. Ani nie usłyszy.

— Mick...

— Nie ma innego sposobu. — Wstał i wylał zimne resztki swojej kawy, które rozbryzgnęły się na nierównej powierzchni koralu. Zauważył, że zaczyna się odpływ. — W żaden inny sposób nie poradzisz sobie z takimi ludźmi.

— Nie rozumiesz. — Christina odwróciła się w jego stronę. — Nie mogę brać w tym udziału.

— Chciałaś mi towarzyszyć.

— Żeby obserwować. Zrobić materiał. Przygotować reportaż.

Śmiech Stranahana słyszeć było chyba aż na Hawk Channel.

— Reportaż?

Zdała sobie sprawę, jak głupio to zabrzmiało. I jakim było głupstwem. Willie miał kamerę telewizyjną, a Reynaldo Flemm miał Williego. Reynaldo... następny przypadek patologicznego *machismo*. Kiedy zadzwoniła z łądu, jego głos w słuchawce brzmiał bardzo dziwnie — był napięty i chłodny, śmiech piskliwy i ironiczny. Coś kombinował, chociaż w rozmowie zaprzeczał temu. Nawet gdy opowiedziała mu o niesamowitym wydarzeniu w hotelu „Plaza” i o tym, jak o mało co nie została ponownie postrzelona, reakcja Reynalda była podejrzenie wyciszona i nieczytelna. Gdy zadzwoniła ponownie dwie godziny później z automatu na przystani, sekretarka w Nowym Jorku poinformowała ją, że Reynaldo wyjechał już na lotnisko. Wspomniała też, że wziął ze sobą piętnaście tysięcy dolarów z rezerwowego funduszu weekendowego, przeznaczonego na takie okazje, jak katastrofy samolotów pasażerskich, mordercze trzęsienia ziemi, zabójstwa polityczne i inne sensacje. Christina nie potrafiła sobie wyobrazić, na co jest mu potrzebne aż piętnaście kawałków, ale uznała, że chodzi tu o to historyczne szaleństwo.

Sama znalazła się już na Florydzie — lecz bez kamery, ekipy i bez gwiazdy. Wsiadła więc do motorówki patrolowej z Mickiem Stranahanem i Luisem Córdovą.

Stojąc w świetle księżyca i obserwując, jak fale liżą koralu u jej stóp, powtórzyła:

— Nie mogę brać w tym udziału.

Mick objął ją ramieniem. Tym gestem przypomniał jej ojca, który tak właśnie przytulał ją w dzieciństwie, gdy płakała, bo spotkało ją coś przykrego. Był to ruch, który świadczył, że bardzo mu przykro, ale nic nie da

się zrobić — czasem świat nie wydaje się najlepiej urządzonym miejscem.

- Mick, chodźmy na policję.
- Oni są z policji. Pamiętasz?

Popatrzyła na jego twarz, próbując dostrzec w mroku jej wyraz.

- Więc to na nich czekasz?
- Oczywiście. A jak przypuszczałaś?

Christina teatralnym gestem uderzyła się w czoło.

- Rany, ależ jestem głupia... Myślałam, że chodzi ci o tego wielkiego, kościstego czubka, który wciąż próbuje nas zastrzelić.
- Nie, nie o niego. — Pokręcił głową.
- Mick, w dalszym ciągu uważam, że to nie w porządku.

Uścisk się skończył, a razem z nim dalsza dyskusja.

- W domu jest latarnia — oznajmił Stranahan. — Chciałbym, żebyś zrobiła sobie spacer wokół wyspy. Miły, długi spacer.

## 23.

Ty sterowałeś wczoraj — powiedział Joe Salazar.

— Na rany boskie — wymamrotał Murdock.

— Daj spokój, Johnny, teraz moja kolej.

Tankowali motorówkę w przystani Crandon na Key Biscayne. Łódź należała do biura szeryfa i był to sześciometrowy aquasport z zielonym policyjnym pasem na dziobie. Tę samą motorówkę obydwaj detektywi wypożyczyli poprzedniego dnia. Sierżant kierujący wydziałem morskim nie chciał jej dać Murdockowi i Salazarowi, ponieważ już na pierwszy rzut oka było widać, że żaden z nich nie ma pojęcia, jak się nią posługiwać. Sierżant zastanawiał się nawet, czy w ogóle potrafią pływać. Obydwaj mężczyźni ubrani byli w szorty koloru khaki odsłaniające ich tłuste nogi, których bledość wskazywała, że nie znały raczej promieni słonecznych ani słonej wody — nogi szczurów lądowych. Sierżant wypuścił spod swojej pieczy aquasporta dopiero wówczas, gdy John Murdock pokazał mu nakaz aresztowania za morderstwo i poinformował, że podejrzanego widziano w domu w Osadzie na Palach. Zapytał, dlaczego w takim razie nie wzięli żadnego wsparcia, skoro w łodzi jest jeszcze miejsce, ale Murdock zdawał się nie dosłyszeć pytania.

Gdy kilka godzin później obaj detektywi wrócili na przystań, sierżant był przyjemnie zaskoczony, widząc, że ani aquasport, ani wał napędowy nie doznały żadnych większych strukturalnych uszkodzeń. Kiedy jednak Murdock i Salazar, ubrani w swoje kretyńskie khaki, pojawili się również

następnego ranka, zaczął się zastanawiać, jak długo jeszcze będzie im sprzyjało szczęście.

— Jazda, prowadź! — warknął Murdock, gdy stali przy nabrzeżu paliwowym. — Gównu mnie to obchodzi.

Joe Salazar stanął za konsolą sterowniczą, Próbował nie okazywać, jak bardzo jest dumny. Aż nagle doznał olśnienia:

— A gdzie go teraz szukać?

Poprzedniego dnia dom Stranahana okazał się pusty. Przewrócili pokoje do góry nogami, licząc, że znajdą jakieś wskazówki na temat jego aktualnego miejsca pobytu, ale nie znaleźli i odjechali wściekli. Przez całą drogę powrotną Murdock skarżył się, jak bardzo kabura pod pachą ociera go przez siatkowy podkoszulek. Dwukrotnie zaryli się w piasek na płycznach i za każdym razem Murdock zmuszał Salazara, aby wyłaził w muł i pchał łódź. Choćby z tego tylko powodu jego partner uważał, że zasłużył dzisiaj na stanowisko kapitana.

— Powiem ci, gdzie poszukamy. Zajrzymy do każdego cholernego domu na palach w całej zatoce — oświadczył Murdock.

— Tak, zrobimy regularną obławę.

— Dom za domem, tyle tylko, że na łodzi. Wiem, że ten fiut gdzieś tam jest.

Joe Salazar poczuł się lepiej ze świadomością, że mają plan. Zapłacił pracownikowi przystani za paliwo, zapuścił wielki silnik Evinrude na rufie motorówki i skierował dziób w stronę Bear Cut. Albo raczej próbował, motorówka bowiem ani drgnęła.

Facet z przystani zachichotał.

— Czasem pomaga, kiedy rzuci się cumy — oznajmił, wskazując białutkim mokasynem.

Z głupią miną Joe Salazar odczepił liny na dziobie i rufie, a następnie odbił od nabrzeża.

— Ale z niego mądrala — mruknął Murdock. — Nie widział, że mamy broń?

— Na pewno widział — odparł Salazar, sterując ostrożnie w stronę toru wodnego.

— Całe to miasto zamienia się w kupę gówna — zauważył Murdock i splunął za burtę — skoro facet ze spluwą musi znosić wymądrzania się takiego dupka.

— Każdy się mądrzy — przytaknął Joe Salazar. Nerwowo obserwował

szarą motorówkę z umieszczonym na środku kadłuba niebieskim migaczącym policyjnym, płynącą w przeciwnym kierunku po drugiej stronie toru. Za szybą ochronną stał młody Latynos w szarym mundurze. Pomachał im ręką gestem zmęczonego życiem gliniarza pozdrawiającego kolegów.

— Co mam zrobić? — zapytał Salazar.

— Spróbuj też mu pomachać — poradził Murdock. Salazar postąpił zgodnie z sugestią partnera.

Mężczyzna w szarej łodzi zmienił kurs i na wolnych obrotach podpłynął do nich.

— Cholerny żeton — szepnął John Murdock. Salazar pokiwał głową na znak, że wie, o czym jego kumpel mówi. Ale nie wiedział. Podobnie zresztą jak nie orientował się, w jaki sposób zatrzymać aquasporta. Za każdym razem, gdy przesuwał do dołu manetkę gazu, silnik przeskakiwał na wsteczny bieg, a kiedy przesuwał ją z powrotem, łódź dygotała i szczupakiem skakała do przodu. W tył, w przód, w tył i znowu do przodu. Wielki silnik wydawał takie odgłosy, jakby miał zamiar wylecieć w powietrze. Joe Salazar domyślał się, że Murdock pieni się z wściekłości.

— Spróbuj wrzucić na luz! — zawołał młody funkcjonariusz patrolu morskiego. — Przesuwaj dźwignię w bok, aż zaskoczy.

Salazar posłuchał i udało się.

— Dzięki! — odkrzyknął.

— Tak, dzięki tobie wyszliśmy na parę palantów — burknął pod nosem Murdock.

Motorówka patrolowa dobiła do lewej burty aquasporta i młody funkcjonariusz przedstawił się jako Luis Córdova. Zapytał, dokąd obaj panowie płyną i czy może im w czymś pomóc. Joe Salazar wyjaśnił, że zmierzają do Osady na Palach z nakazem aresztowania za morderstwo.

— O ile mi wiadomo, mieszka tam tylko jeden facet — odparł Luis.

— Właśnie o niego nam chodzi — potwierdził Murdock.

— O Micka Stranahana?

— Znasz go?

— Wiem, gdzie mieszka — powiedział Córdova. — Ale teraz go tam nie ma. Widziałem go wczoraj.

— Gdzie?! — wrzasnął Salazar. — Był sam?

— Tak, był sam. Siedział na pomoście poławiacza małży na Old Rhodes Key.

— Gdzie to jest, u diabła? — gorączkował się Murdock.

— Na południe od Elliott.

— A gdzie, do cholery, jest Elliott?

— Może byście, koledzy, poczekali parę godzin i popłynęli za mną? — zaproponował funkcjonariusz patrolu. — Aż do zmroku nie będzie odpowiedniego pływ. No, a do schwytania tego faceta możecie potrzebować dodatkowej pary rąk.

— Nie. Ale dziękujemy za propozycję. — Ton głosu Murdocka wykluczał wszelką dyskusję. — Przydałaby się jednak mapa, jeżeli ją masz.

Luis Córdova zniknął pod konsolą sterowniczą. Po chwili pojawił się z uśmiechem na twarzy.

— Przypadkiem mam zapasową — oznajmił.

Pół godziny po odpłynięciu z przystani Joe Salazar odezwał się do swojego partnera:

— Może powinniśmy byli go zapytać, co miał na myśli, mówiąc o płynie?

Aquasport tkwił solidnie na mulistej mieliźnie znajdującej się milę na południe od Soldier Key. John Murdock otworzył z trzaskiem trzecią puszkę piwa i warknął:

— Przecież to ty chciałeś prowadzić.

Salazar przechylił się przez burtę i zaczął badać sytuację. Uznał, że nie ma sensu wchodzić do wody i próbować zepchnąć łódź.

— Tylko piętnaście centymetrów wody — stwierdził z dziecięcym zdziwieniem w głosie. — A na mapie wyglądało, że jest tu głęboko, prawda?

— Gdybyś był rozgwiazdą, to rzeczywiście byłoby ci głęboko — mruknął Murdock. — Ale gdy płyniesz łodzią, to znaczy, że znalazłeś się na pieprzonej plaży. Jeszcze jedno: kazałem ci zabrać trzy worki lodu, no nie? Zobacz, jak szybko się to gówno topi. — Ze złością kopnął chłodziarkę.

Joe Salazar wciąż gapił się w czystą jak wódka płytką wodę.

— Chyba zbliża się przyływ — oznajmił z nadzieją w głosie.

— Fajnie! — parsknął Murdock. — Czekają nas kolejne cztery albo i

pięć godzin siedzenia w błocie. Kurewsko fantastycznie. Będzie wspaniale i ciemno.

Salazar zauważył, że policyjna łódź jest wyposażona w doskonale reflektory.

— Gdy tylko zejdziemy z mielizny, będziemy mieli czystą drogę do samej wyspy — oświadczył. — Dalej jest już tylko głęboka woda.

Nigdy dotąd nie widział, żeby jego partner zachowywał się tak nerwowo i tak łatwo wpadał w złość. Dotychczas John Murdock był idealnym przykładem spokojnego, twardego gliniarza, lecz — jak Salazar zauważył — od wieczoru, kiedy wzięli zaliczkę od Roberta Pepsicala, zaczęły zachodzić w nim wyraźne zmiany. Dostali po pięć kawałków na głowę, a następne pięć czekało każdego z nich po wykonaniu roboty. Aby udowodnić detektywom, że wbrew wrażeniu, jakie odnieśli w barze ze striptizem, wcale nie jest rozpijaczonym rozpustnikiem, Pepsical zorganizował wypłatę zaliczki w jednym z pustych konfesjonałów w katolickim kościele pod wezwaniem Świętej Marii w Małej Hawanie. Konfesjonał był słabo oświetlony i niewiele większy od szafki na miotły, w związku z czym, żeby się zmieścić, trójka spiskowców musiała wciskać się do niego bokiem. Minęło ze dwanaście lat od czasu, gdy Joe Salazar po raz ostatni był przy konfesjonale, ale niewiele się zmieniło. Wciąż czuł zapach wilgotnej bielizny oraz wina — dokładnie tak, jak zapamiętał. Razem z Murdockiem wetknęli pieniądze do kieszeni marynarek i jednocześnie wyskoczyli za drzwi, nieomal rozdeptując po drodze czwórkę powolnych sióstr. Członek komisji administracyjnej Roberto Pepsical pozostał samotnie w konfesjonale i zmówił trzy zdrowaśki. Uznał, że to mu nie zaszkodzi.

Kiedy John Murdock znalazł się w samochodzie, wcale nie okazywał wulgarnego i aroganckiego samozadowolenia, jakie zazwyczaj towarzyszyło wzięciu solidnej łapówki. Wręcz przeciwnie, był posępny i spłoszony. Ten jego nastrój utrzymywał się od dwóch dni.

Teraz, gdy łódź tkwiła solidnie na mieliznie, Murdock siedział ponuro na rufie i patrzył na powoli nadchodzący przypływ. Joe Salazar zapalił camela i przygotował się do spędzenia długiego, pełnego napięcia popołudnia. Sam również czuł się nie najlepiej, ale przynajmniej wiedział, dlaczego.



Czekał ich największy i najbrudniejszy numer, jaki do tej pory wykręcili. W odległości mili.

W istocie pływy nie miałyby większego znaczenia, gdyby którykolwiek z dwóch detektywów potrafił czytać mapę morską. Nawet przy największym odpływie między Cape Florida aż do Old Rhodes Key było mnóstwo wody. Trzeba było jedynie płynąć torem wodnym wyraźnie zaznaczonym na mapie Luisa Córdovy.

Mick Stranahan dobrze wiedział, że Murdock i Salazar wpakują łódź na mieliznę. Wiedział również, że zanim z niej zejda, zapadnie już noc, a potem przez resztę drogi będą płynęli w żółtym tempie, bojąc się, żeby znów nie utknąć.

Mick i Luis dokładnie omówili ten element planu. Obliczyli wspólnie, że obaj detektywi dotrą do wyspy między dziewiątą wieczór a północą, zakładając oczywiście, że nie natkną się na płyciznę koło Boca Chita i nie urwą śruby. Luis zaproponował, że będzie śledził aquasporta w dyskretnej odległości, ale Stranahan się nie zgodził. Nie chciał, żeby młody funkcjonariusz był w pobliżu Old Rhodes Key, gdy wszystko się rozegra. Bez wątpienia usiłowałby postąpić zgodnie z regulaminem: poczekać, aż te dupki wykonają swój ruch, a potem spróbować ich zaaresztować. Oczywiście nic by z tego nie wyszło i mogłoby się skończyć śmiercią Luisa. A jeśli nawet Córdova był do tego stopnia bystry, jak Stranahan przypuszczał, i tak czekałyby go cholerne kłopoty: automatyczne zawieszenie w czynnościach, sąd, wywlekanie nazwiska w gazetach.

— Nie ma mowy, bez bohaterских wyczynów — oznajmił więc. — Daj im tylko mapę i znikaj.

Poza tym niemały kłopot stanowiła przebywająca na wyspie Christina Marks.

— Nie idę na żaden spacer — oświadczyła. — Na spacer chodzą babcie i wdowy. Zostają z tobą.

— Żebyś mogła robić notatki czy co? — Podał jej lampę Colemana. Drgające białe światło powodowało, że ich cienie zderzały się na ścianach z żużlobetonu. — Chociaż właściwie nie jesteś już reporterem, lecz cholernym świadkiem.

— Czy tak według ciebie powinna wyglądać rozmowa do poduszki? — zapytała. — Pół godziny temu kochaliśmy się, a teraz jestem „cholernym

świadkiem”? Nie próbowałaś nigdy pisać wierszy, Mick?

Kłęczał na jednym kolanie i wyciągał z worka rozmaite przedmioty.

— Stwierdziłaś, że nie możesz brać w tym udziału — przypomniał jej, nie podnosząc głowy. — Postanowiłem pójść ci na rękę. Jeżeli na dobranoc przyjdzie ci ochota zatańczyć walca przy księżycu, zrobimy to później. Ale w tej chwili płynie tu para wrednych gliniarzy, aby mnie zastrzelić.

— Nie wiesz tego na pewno.

— O, tak — odezwał się ironicznie. — Pewnie po prostu robią zbiórkę zabawek dla biednych dzieci. No, a teraz już idź.

Wstał. W świetle latarni Christina dostrzegła, że trzyma mnóstwo przedmiotów — lornetkę, popelinową kurtkę, sztruksowe spodnie, czapkę, nóż rybacki i jakąś okrągłą szpulę.

— Chcę zostać wcale nie z powodu tego cholernego programu — wyjaśniła. — Boję się o ciebie. Nie wiem, dlaczego, skoro jesteś takim fiutem, ale przyznaję, że się niepokoję.

Gdy Stranahan odezwał się ponownie, z jego głosu zupełnie zniknęła dotychczasowa złośliwość.

— Posłuchaj. Gdybyś została... Gdybyś coś zobaczyła, zmusiliby cię do składania zeznań. Zapomnij o prawach dziennikarza i Pierwszej Poprawce — w takiej sytuacji nie mają najmniejszego znaczenia. Jeżeli będziesz świadkiem zbrodni, Chris, bez wątpienia cię zaprzysięgną. A tego wolała-byś uniknąć, prawda?

— Ty również.

Uśmiechnął się bez wesołości. Tym razem trafiła — nie chciał żadnych świadków.

— Przeżyłaś już dosyć atrakcji — ciągnął. — Dwa razy o mało przeze mnie nie zginęłaś. Na twoim miejscu potraktowałbym to jako przestrożę.

— A jeżeli źle ich oceniasz, Mick? — zapytała. — Jeśli zamierzają tylko zadać ci kilka pytań? No, a gdyby nawet chcieli cię zaaresztować, nie możesz tak po prostu...

— Idź już — polecił. Później wyjaśni jej, że ci gliniarze byli kumplami nieżyjącego sędziego Raleigha Goomera pragnącymi wyłącznie jednego: wyrównania rachunków z Mickiem Stranahanem. Im nie chodziło o zadanie pytań. — Kieruj się ścieżką, którą ci pokazałem. Idź wzdłuż brzegu mniej więcej do połowy wyspy, aż trafisz na polankę. Znajdziesz tam

plastykowe skrzynki na mleko, pustą beczkę po oleju i starą dziurę na ognisko. Poczekaj na mnie.

Christina popatrzyła lodowato, lecz nie zwrócił na to uwagi. Myślał intensywnie o czymś zupełnie innym.

— Jest tam również trochę owoców i cukierków — dodał. — Ale nie karm nimi szopów. Gryzą jak cholera.

Przeszła już ścieżką jakieś dwadzieścia metrów, kiedy usłyszała jego wołanie:

— Hej, Chris, zapomniałaś swojego sprayu na robactwo!

Potrząsnęła głową i ruszyła dalej.

Piętnaście minut później, gdy Stranahan był już pewien, że go posłuchała, zaniósł wszystkie przedmioty na pomost Cartwrighta. Tam zapalił następną lampę i powiesił ją na gwoździu wbitym w pal. Potem zdjął moka-syny, zrzucił dzinsy i nagi wślizgnął się w chłodną wodę.

Stojący przy sterze Joe Salazar przeżywał chwilę cichego triumfu.

— Jak Boga kocham, udało się nam!

John Murdock roześmiał się ironicznie.

— Tak — potwierdził.

Pieprzony Ocean Atlantycki. Prawdziwa igła w stogu siana. A kręcenie się pomiędzy tymi wyspami zajęło nam zaledwie trzy godziny.

Salazar nie pozwolił, aby sarkazm partnera słumił jego na nowo odzyskaną pewność siebie. Przejście przez Sand Cut było trudne. Przepłynięcie nocą, nawet z małą prędkością, tego krętego toru wodnego było osiągnięciem, z którego mógł czuć się dumny. Murdock również zdawał sobie z tego sprawę — nieraz próbował przejąć ster.

— A więc to jest słynna Elliot Key. — Murdock podrapał się po spalonych słońcem policzkach. Aquasport płynął na jałowym biegu pół mili od brzegu, kołysząc się na ostrej, krótkiej fali. Piwo dawno się już skończyło, lód się roztopił. Bryza była chłodna, więc Murdock włożył jasnobrązową skórzaną kurtkę, w której zawsze chodził do pracy. W połączeniu z szortami khaki sprawiała komiczne wrażenie. Ponuro trzepnął się po zaróżowionej łydce, na której koński giez konsumował właśnie kolację.

Joe Salazar rozłożył mapę na kolanach i oświetlał ją trzymaną w prawej dłoni latarką.

— Jak już mówiłem — oznajmił, pokazując drugą ręką, stąd do Rhodes

jest dziewięć mil prosto jak strzelił. I przez całą drogę ponad trzy i pół metra głębokości.

— No to ruszajmy, *señor* Kolumb. Może uda nam się dopłynąć przed Bożym Narodzeniem. — Kolejny raz poprawił sobie kaburę pod pachą.

Salazar zawahał się.

— A kiedy już tam będziemy, to co dalej? Jaki właściwie mamy plan?

— Przestań mi świecić w oczy tą pieprzoną latarką! — Powieki Murdocka były opuchnięte i zaczerwienione. Za dużo słońca i za dużo piwa. Salazar martwił się tym, chciał bowiem, żeby jego partner był w dobrej kondycji.

— Plan jest prosty — oświadczył Murdock. — Zjawiamy się z całą paradą — pełnym gazem, z kogutem, na syrenie. Wołamy do Stranahana, żeby wyszedł z podniesionymi rękami. I robimy wszystko, jak należy: przedstawiamy nakaz, czytamy prawa, całe to gówno. A potem zwyczajnie go zastrzelimy w czasie próby ucieczki.

— Ale najpierw skujemy?

— Daj spokój, jak by to wyglądało? Nie, nie skujemy go. Jezu Chryste! — Murdock splunął do wody. Salazar miał nadzieję, że nie jest to nowy nawyk jego partnera.

— Strzelimy mu w plecy, rozumiesz, Joe? — kontynuował. — Tak, by wyglądało, że chciał zwiać. Potem użyjemy radia, jeżeli któryś z nas zdoła się zorientować, jak uruchomić to draństwo, i wezwiemy lotniczą służbę ratunkową.

— Co im zajmie całą wieczność.

— Właśnie. Ale będziemy kryci, wszystko zgodnie z regulaminem.

Plan wyglądał nieźle, choć była w nim jedna poważna niewiadoma. Joe Salazar postanowił, że nie będzie sobie zaprzętał nią głowy. Włożył latarkę do schowka, ponownie stanął przy sterze policyjnej motorówki i skierował się na Old Rhodes Key.

Prosto jak strzelił przez otwarte morze. Żaden problem.

Kanał prowadzący z otwartego morza do zatoki na Old Rhodes Key nazywa się Caesar Creek. Jest głęboki, dosyć szeroki i dobrze oznakowany bojami świetlnymi. Joe Salazar był za to niezmiernie wdzięczny. Po

opanowaniu nieposłusznej manetki gazu skierował aquasporta połową mocy naprzód, podczas gdy jego partner stał (albo raczej próbował stać) na dziobie. Murdock osłaniał oczy rękami przed bocznym światłem i obserwował wyspę, starając się odnaleźć ślady obecności Stranahana. W odległości dwustu metrów od wejścia do zatoki Salazar zgasił silnik i przeszedł do swojego pulchnego kumpla na dziób.

— Jest tam! — Murdock oddychał chrypliwie, z podnieceniem. Jego towarzysze wbił spojrzenie w mrok.

— Tak, Johnny, siedzi pod lampą na pomoście.

Widzieli wyraźnie latarnię i oświetloną jej białym blaskiem postać mężczyzny siedzącego z nogami zwieszonymi z krawędzi. Był w czapce baseballowej, jasnobrązowej kurtce i długich spodniach. Sądząc z kąta pochylenia czapki, głowę miał nisko opuszczoną, a podbródek opierał mu się o pierś.

— Ten głupi kutas śpi — roześmiał się ostro Murdock. Już trzymał w ręku pistolet.

— W takim razie lepiej załatwmy sprawę — oznajmił Salazar.

Po drodze zdążyli już wypróbować migacze i syrenę, toteż Salazar dobrze wiedział, gdzie są przełączniki. Przesunął je jednocześnie, a potem przekreślił klucz startera. I gdy evinrude z rykiem obudził się do życia, detektyw z całej siły przesunął manetkę.

John Murdock z pistoletem w dłoni trzymał się niezgrabnie poręczy, gdy aquasport podniósł dziób i pomknął w wąskie wejście do zatoki. Pęd powietrza rozwiewał policjantowi włosy i rozplaszczał policzki. Wyszczerezone w wilczym grymasie zęby ewentualnie można by uznać za uśmiech. Joe Salazar spodziewał się, że gdy podpłyną bliżej, Mick Stranahan ocknie się i spojrzy w ich kierunku — ale mężczyzna się nie poruszył.

Pół mili dalej siedząca na skrzynce od mleka Christina Marks usłyszała wycie syreny policyjnej. Zadrżała i zamknęła oczy, oczekując odgłosu strzałów.

Mogli przypłynąć kilkoma trasami. Najbardziej prawdopodobna była ta od strony oceanu, przez Ceasar Creek do niewielkiego rozgałęzienia między maleńkim Hurricane Key a Old Rhodes. Stanowiła najłatwiejszy szlak prowadzący do pomostu Cartwrighta.

Ale podejście od zachodu, z zatoki Biscayne, dawało więcej możliwości i lepszą osłonę. Mogli opłynąć Adams Key albo okrążyć Rubicons i prześlizgnąć się nad zarośniętymi trawą morską płycznami za Totten. Byłby to jednak skomplikowany i niebezpieczny rejs. Nie dla kogoś, kto nie zna drogi.

Nie nocą, uznał Stranahan. I nie dla tych facetów. Założył więc, że zjawią się od strony oceanu.

Płynął, mając przy sobie jedynie nóż i szpulę. Czterokrotnie pokonał przesmyk dzielący Old Rhodes i Hurricane Key. Odległość nie była duża, ale przeszkadzał mu mocny prąd od brzegu. Gdy po raz ostatni Mick wydzwignął się na pomost Cartwrighta, natychmiast roztarł obolałe z zimna mięśnie nóg i rąk. Nieco dłużej trwało opanowanie oddechu.

Potem włożył suche ubranie, wyjął pożyczony od Luisa Córdovy rewolwer, usiadł i zaczął czekać.

Szpula, którą Stranahan wyjął z worka, zawierała pięćset metrów cienkiej plastikowej żyłki o wytrzymałości na rozciąganie równej sześćdziesięciu kilo i obliczonej na przetrzymanie szarpnięć walczącego w głębinie wielkiego marlina lub tuńczyka. Była to najmocniejsza żyłka wędkarska, jaką produkowano na świecie, o lekko perłowszarej barwie, co czyniło ją praktycznie niewidoczną w wodzie.

Nawet poza środowiskiem wodnym bywała bardzo trudno dostrzegalna. Na przykład w nocy, rozciągnięta w poprzek biegnącego wśród namorzynów przesmyku.

Z całą pewnością John Murdock jej nie zobaczył. Tkwił skulony jak żaba na dziobie podpływającej motorówki, celując z pistoletu do siedzącej na pomoście postaci. Kierowany przez Joego Salazara aquasport rozwijał dokładnie czterdzieści dwa węzły prędkości.

Mick Stranahan umieścił między wyspami trzy napięte jak struna odcinki żyłki. Umocował je do pni drzew i przeciągnął na różnej wysokości nad powierzchnią wody. Najniższa żyłka natychmiast pękła pod dziobem pędzącej motorówki policyjnej. Dwie następne kolejno trafiły Johna Murdocka w brzuch i szyję.

Joe Salazar w pełnej oszołomienia ostatniej milisekundzie życia ujrzał, jak partner gulgocząc leci do tyłu z wytrzeszonymi oczyma i pada na pokład, ciśnięty niewidzialną ręką. A potem te same widmowe szpony

schwyciły jego za gardło, przewróciły, uderzyły czaszką o wyjący silnik i cisnęły prosto w wody przesmyku.

Odgłos wydany przez żyłkę pękającą w zetknięciu z gardłem Salazara bardzo przypominał wystrzał z pistoletu.

Christina Marks biegła przez całą drogę dzielącą ją od pomostu Cartwrighta. W pewnym momencie upuściła syczącą latarnię na kamienie, lecz mimo to nie zwolniła. Gdy dotarła na miejsce, Caesar Creek był ciemny i cichy. Nie dostrzegła ani łodzi, ani żadnego z intruzów.

Na pomoście, pod jaskrawo płonąca latarnią, siedziała skulona znajoma postać człowieka w baseballowej czapce.

— Mick, co się stało?! — zawołała dziewczyna i w tej samej chwili uświadomiła sobie, że nie jest to wcale człowiek, ale kukła ubrana w popielinową kurtkę Stranahana oraz długie sztruksowe spodnie, wypchana liśćmi palmowymi i wysuszoną trawą morską. Głowę udawał zielony orzech kokosowy. Czapka baseballowa pasowała na niego idealnie.

## 24.

Aquasport wbił się głęboko w namorzyny na Totten Key. Silnik zgasł, ale gdy dotarł tam Mick Stranahan, śruba jeszcze się obracała. Przcisnął się na bosaka między śliskimi, gumowatymi gałęziami do miejsca, z którego mógł zajrzeć przez burtę poobijanej łodzi. W prawej ręce trzymał rewolwer Córdovy.

Nie potrzebował go. Detektyw John Murdock jeszcze żył, lecz niewiele dzieliło go od śmierci. Leżał nieruchomo na pokładzie, skulony z bólu. Z nosa ciekła mu czarna krew. Miał otwarte tylko jedno oko, oświetlane rytmicznie przez migające niebieskie światło. Pęknięty, ale wciąż działający migacz zwisał z konsoli na płataninie przewodów niczym jakaś dziwaczna lampka choinkowa.

Stranahan poczuł, że żołądek zwija mu się w supeł. Wsunął broń za pasek dzinsów i przeszedł przez nadburcie.

— John?

Oko Murdocka drgnęło i detektyw mruknął słabo.

— Postaraj się nie przejmować. — Zupełnie jakby facetowi pozostał jakiś wybór. — Mam tylko jedno pytanie. Muszę ci je zadać. Chcieliście mnie zabić, prawda?

— Jasne — wychrypiał umierający policjant.

— Tak właśnie myślałem. Nie mogę uwierzyć, że wciąż mieliście do mnie żal za sędziego Goomera.

Murdock zdołał się uśmiechnąć zakrwawionymi wargami i wybełkotał:



— Ty głupi kutasie.

Stranahan pochylił się i odpędził gza z czoła rannego.

— Ale jeżeli nie mściliście się za sędziego, to po co wykręcaliście taki numer? — Odpowiedziała mu cisza. — Nie mów mi, że ktoś wam zapłacił?

Murdock skinął głową albo raczej próbował. Jego szyja nie funkcjonowała zbyt dobrze i wyglądała na dwa razy dłuższą, niż powinna.

— Wzięliście forszę? Od kogo?

— Pierdol się — wyrzęził Murdock.

— Pewnie od doktora — zastanawiał się Mick na głos. — Albo pośrednika. Tak byłoby sensowniej.

Zamiast odpowiedzi rozległ się jedynie wilgotny bulgot. Stranahan westchnął. Mdłości, jakie poczuł na widok Murdocka, ustąpiły miejsca uczuciu strasliwego emocjonalnego zmęczenia.

— John, co to za cholerne miasto, prawda? Pragnąłem tylko odrobiny spokoju i samotności. Skończyłem z tymi wszystkimi pierdułami.

Detektyw Murdock wydał pełen nienawiści jęk, lecz Mick odczuwał potrzebę mówienia.

— Siedzę sobie spokojnie, zajmuję się swoimi sprawami, karmię ryby, nikogo nie niepokoję, aż tu nagle pojawia się facet, żeby mnie zamordować. W moim własnym domu, John, pośrodku zatoki! I tylko dlatego, że jakiś cholerny lekarz myśli, że zamierzam wykopać sprawę, która już dawno porosła kurzem.

Umierającego Murdocka zdawała się hipnotyzować migocząca niebieska lampa. Błyskała o wiele częściej, niż biło jego serce. Jedna z dłoni policjanta zaczęła pełznąć jak zdezorientowany niebieski krab, zataczając kręgi na śliskim od krwi pokładzie.

— Wiem, że cię boli, John, ale nic nie mogę zrobić — stwierdził Stranahan.

Zamierającym głosem Murdock szepnął:

— Pierdol się, gówniarzu. — A potem jego oko zamknęło się na zawsze.

Stranahan i Christina Marks już czekali, gdy dokładnie o dziewiątej rano podpłynął do pomostu sierżant Córdova.

— Dokąd? — zapytał Micka.

— Chciałbym wrócić do swojego domu, Luis.

— Ale nie ja — oznajmiła Christina. — Zawieź mnie do Key Biscayne. Przystań zupełnie mnie urządz.

— Dajesz mi w ten sposób do zrozumienia, że w dalszym ciągu nie zamierzasz za mnie wyjść?

— Za nic w świecie! — potwierdziła dziewczyna. — Nawet w twoich najdzikszych snach.

Stranahan odwrócił się do Córdovy.

— Nie za bardzo się wyspała. Warunki były zbyt... spartańskie.

— Rozumiem — odparł funkcjonariusz patrolu. — Ale poza tym noc upłynęła spokojnie?

— Raczej tak — przytaknął Mick.

Ranek był słoneczny i chłodny. Zatokę pokrywały drobniutkie pomarszczone falki i motorówka zdawała się frunąć nad wodą. Gdy mijali Ragged Keys, Stranahan trącił łokciem Luisa i wskazał na białobłękitne niebo. — Śmigłowce! — zawołał, przekrzykując ryk silnika. Christina również je dostrzegła — trzy ratunkowe śmigłowce ochrony wybrzeża przesuwające się na południe, na wysokości trzystu metrów.

Nie odwracając głowy znad steru, Córdova wyjaśnił:

— Motorówka z Crandon ma opóźnienie. Dwóch gliniarzy.

— Coś ty?!

— Dziś rano znaleźli zwłoki pływające przed Broad Creek. Facet z wydziału zabójstw. Nazywał się Salazar.

— Co się stało?

— Utonął! — wrzasnął Luis. — Nie wiadomo, jak.

Christina, przysłuchiwała się ich wymianie zdań. Nie miała pewności, ile Kubańczyk wie, ale na pewno było to więcej, niż Mick kiedykolwiek jej powie. Czuła się obrażona, odrzucona i wściekła.

Gdy przybyli do domu na palach, Stranahan wyjął smitha kalibru zero trzydzieści osiem i zwrócił go Luisowi. Młody funkcjonariusz był wyraźnie zadowolony, widząc, że z broni nie strzelano.

Mick podniósł oba worki marynarskie i zeskokczył z motorówki.

— Dbaj o siebie, Chris! — krzyknął z pomostu. Chciał powiedzieć więcej, ale pora nie była odpowiednia. Wciąż złościła się z powodu minionej nocy, bo odmówił wyjaśnień, co się stało. Była tak rozgniewana, że kopniakiem urwała kukle kokosową głowę. I w tej właśnie niefortunnej chwili

poprosił ją, żeby za niego wyszła. Jej odpowiedź była, delikatnie mówiąc, nader barwna.

A teraz odwróciła się majestatycznie i rzekła do Córdovy: — Płynmy już, proszę.

Stranahan pomachał im na pożegnanie i wszedł po schodach do domu. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była leżąca na podłodze wielka głowa marlina. Taśma, którą zlepil złamany miecz, oderwała się w czasie upadku. Mick przeszedł nad wypchaną rybą i ruszył do sypialni, żeby sprawdzić strzelbę. Nadal tkwiła w schowku, w którym ją ukrył.

Całe mieszkanie rzeczywiście przewrócono do góry nogami. Wyglądało przygnębiająco, ale straty nie były nieodwracalne. Stranahan był na swój sposób zadowolony z czekającej go ogromnej pracy. Pozwoli mu to odsunąć na bok myśli o Murdocku, Salazarze i Old Rhodes Key. A także o Christine Marks.

Była pierwszą kobietą, którą kochał i która odrzuciła jego propozycję małżeństwa. Dosyć dziwne uczucie.

Luis Córdova wrócił do domu na palach, gdy Stranahan kończył lunch. W motorówce siedział krępy pasażer — sierżant Al Garcia. Mick powitał ich w drzwiach słowami:

— Dwaj Kubańczycy ze spluwami nigdy nie oznaczają dobrych wiadomości.

— Al zajmuje się martwymi gliniarzami — wyjaśnił Luis.

— W liczbie mnogiej? — Stranahan uniósł brwi.

Garcia usiadł ciężko na jednym ze stołków barowych.

— Tak. Znaleźliśmy w łodzi Johnny'ego Murdocka. Motorówka zawisła na chrzanionym drzewie.

— Gdzie? — zapytał beznamiętnie Mick.

— Niedaleko miejsca, w którym obozowałeś ze swoją damą. — Garcia poklepał się po kieszeniach i zaklął. Skończyły mu się cygara. Wyjął paczkę cameli i bez przekonania zapalił jednego. Zerknął na rozbrojonego marlina wiszącego na nowym gwoździu.

— Wspomniałem Ałowi, że podwiozłem was na tamtą wyspę, kiedy rozbebeszono ci dom — odezwał się Córdova.

Stranahana wcale to nie zmartwiło. Gdyby Luisa zapytano, powiedziałby całą prawdę o wszystkim, co widział i co wiedział na pewno.

Najprawdopodobniej już poinformował Garcię, że pożyczył dwom detektywom mapę zatoki. Nie było w tym nic niezwykłego.

— Czy słyszałeś coś dziwnego w nocy? — zwrócił się do Micka Al. — A przy okazji: gdzie jest dziewczyna?

— Nie wiem — odparł Stranahan.

— No, a co do nocy?

— Jakaś łódź przepływała koło jedenastej. Może trochę później. Odgłos jak przy przyczepnym silniku. Co się, u diabła, stało, Al? Ktoś ich załatwił?

Garcia pykał mocno papierosa i puszczał kółka z dymu, tak samo jak wówczas, gdy palił cygaro.

— Wygląda na to, że płynęli na pełnym gazie — oznajmił. — Całkiem nie trafili w kanał.

— I mówisz, że łódź wylądowała na drzewie?

— Tak pędzili ci idioci. Zdaje mi się, że Salazara wyrzuciło i uderzył się w głowę. Utonął natychmiast, ale prąd zniósł go na południe.

— W okolicy Broad Creek. Znalazł go człowiek łowiący cefale.

— Murdock został w łodzi — kontynuował sierżant — lecz to go nie uratowało. Doznał bardzo poważnych obrażeń głowy. Medyk z sądówki twierdzi, że przetrąciła mu kark gałąź namorzynu albo coś w tym rodzaju. Tak się chyba stało, gdy walnęli w drzewo.

— Na pełnym gazie?

— Manetka była przesunięta do oporu — uzupełnił Córdoba. — Trzeba być wariatem, żeby gnać tym przesmykiem na pełnej szybkości.

— Albo kompletnym głupcem — dodał Stranahan. — Pozwólcie, niech zgadnę, kogo szukali.

— Jesteś wyraźnie na fali, Mick — skinął głową Garcia. — Prawdziwy anioł zagłady. Najpierw twoja była, teraz Murdock i Salazar. Zauważyłem, że ludziom, którzy nastąpili ci na odcisk, zdarzają się paskudne rzeczy. Widzę w tym pewien schemat.

— Przecież to był wypadek — zauważył Córdoba.

— Po prostu uznałem sytuację za dość ciekawą — ciągnął detektyw. — A może właściwsze jest określenie „ironiczną”. W każdym razie chłopcy chcieli ci złożyć wizytę, Mick. W firmie zachowywali się dosyć milcząco. Mogę się tylko domyślać, dlaczego. — Sięgnął do kieszeni i wyjął mokry kawałek białego papieru. Był złożony na trzy części, do wymiarów ulotki.

Pokazał go Stranahanowi.

— Znaleźliśmy ten świstek w tylnej kieszeni spodni Salazara.

Mick dobrze wiedział, co to jest. Widział ich tysiące. Słowo „nakaz”, wypisane standardową sądową kaligrafią, wciąż było czytelne. Oddając dokument Garrii, zastanawiał się, czy rzeczywiście miał być aresztowany.

— Co to takiego? — zapytał.

— Śmieć — odparł sierżant. Zmiał namoknięty dokument w prawej dłoni i wyrzucił go przez okno do wody.

— Spodobała ci się kasetka — uśmiechnął się Stranahan.

— Najwidoczniej — potwierdził detektyw.

W „Holiday Inn”, gdzie wynajęli pokój, Maggie Gonzalez przeglądała żółte kartki kolumna po kolumnie, wyjaśniając Chemowi, którzy chirurdzy plastyczni są wystarczająco dobrzy, by dokończyć dermabrazji jego twarzy. Niektóre nazwiska były dla niej nowe, ale inne doskonale pamiętała z czasów praktyki pielęgniarstwiej. Olbrzym stał pochylony przed lustrem w łazience i milcząc dotykał placków pozostawionych na jego brodzie przez doktora Rudy'ego Graveline'a.

— Dupek nie odpowiada na moje telefony — rzucił kątem ust.

— Jeszcze wcześniej — wyjaśniła Maggie. — Rudy późno wstaje w wolne dni.

— Muszę zobaczyć trochę szmalu. Dzisiaj.

— Nie martw się.

— Im prędzej dostanę forszę, tym szybciej będę mógł się tym zająć. — Miał na myśli swoją skórę. W lustrze Chemo mógł dostrzec wyraz twarzy Maggie — w każdym razie w takim stopniu, w jakim pozwalały na to bandaż. W jej oczach dojrzał coś, co przypominało prawdziwe zrozumienie. Nie współczucie, lecz zrozumienie.

Była pierwszą kobietą, która patrzyła na niego w ten sposób. Sprawiała wrażenie, że szczerze chce mu pomóc w znalezieniu nowego chirurga. Chemo pomyślał, że albo rzeczywiście jest pełną poświęcenia pielęgniarzką, albo cholerną, podstępą aktorzycą.

Maggie wyrwała kartkę z adresami lekarzy i zapytała od niechcenia:

- Na ile go trafiamy?
- Milion baksów — odparł Chemo. Jego podobne do ślimaków wargi zadrżały w uśmiechu. — Mówiłaś, że jest dziany.
- Tak, ale również skąpy.
- Przed chwilą powiedziałaś, żebym się nie martwił.
- Och, zapłaci. Rudy to skąpiec, lecz i tchórz. Próbuje cię jedynie uprzedzić, że początkowo będzie się starał wykręcać. Taki ma styl.
- Wykręcać? — O czym ona, do kurwy nędzy, gada, przemknęło Chemo. — Nie pozwolę mu na żadne wykręty. Mam przymocowanego do ręki mojego Niszczyciela.
- Hej, jestem przecież po twojej stronie! — zawołała Maggie. — Po prostu cię ostrzegam, że potrafi być uparty.
- A wiesz, co ja sądzę? Że w tym wszystkim chodzi ci o coś więcej niż tylko o pieniądze. Że chcesz zobaczyć cały ten cyrk.
- Widoczne nad bandażem brązowe oczy Maggie wyraźnie się zmrużyły.
- Nie bądź śmieszny!
- Tak — stwierdził Chemo. — Mam wrażenie, że bawi cię, jak faceci ostro ze sobą grają. Że w głębi duszy pragniesz zobaczyć krew.
- Promieniał, jakby właśnie odkrył tajemnicę wszechświata.

Doktor Rudy Graveline patrzył na sklepiiony sufit i dumiał o swojej godnej pożałowania sytuacji. Chemo okazał się szantażystą. Ta suka, Maggie Gonzalez, ciągle żyła. Podobnie jak Mick Stranahan. I na dodatek skradała się ekipa telewizyjna, żeby go przepytała w sprawie Victorii Barletty.

Ale poza tym życie było jedwabne.

Gdy zadzwonił telefon, Rudy podciągnął kołdrę pod brodę. Miał przecucie, że czekają go następne złe wieści.

— Odbierz go! — rozległ się spod poduszki stłumiony rozkaz Heather Chappell. — Odbierz to cholerstwo!

Doktor wyciągnął rękę spod pościeli i schwycił słuchawkę tak gwałtownie, jakby łapał kobrę. Odezwał się ponury, syczący głos członka komisji administracyjnej Roberta Pepsicala.

— Widziałeś wiadomości w telewizji?

— Nie — odparł Rudy. — Ale mam gdzieś gazetę.

— Jest w niej artykuł o dwóch policjantach, którzy zginęli.  
— Tak? I co z tego?  
— W wypadku na motorówce — dodał Roberto.  
— Przejdź do sedna sprawy, Bobby.  
— To byli ci faceci.  
— Jacy faceci? — zapytał Rudy. Leżąca obok niego Heather zamamrotała z irytacją i przycisnęła poduszkę do uszu.  
— O których ci mówiłem. Moi faceci.  
— Kurwa mać! — zaklął Rudy.  
Chappell podniosła głowę i warknęła:  
— Bądź uprzejmy i pozwól mi pospać.

Rudy poinformował Roberta, że zaraz do niego zadzwoni z drugiego aparatu. Włożył szlafrok, przeszedł korytarzem do swojego gabinetu i zamknął drzwi. W odrętwieniu wybrał prywatny numer Pepsicala, zarezerwowany jedynie dla wręczających łapówki oraz członków rozmaitych grup nacisku.

— Upewnij mnie, że dobrze cię zrozumiałem — odezwał się do słuchawki. — Wynająłeś tych gliniarzy, żeby go zabili?

— Obiecali, że wszystko pójdzie, jak trzeba.

— No i nie żyją — Rudy'ego niewiele już mogło zaskoczyć. Był przygotowany na najgorsze. — A co z pieniędzmi? — zaniepokoił się. — Mogę je odzyskać?

Roberto Pepsical nie mógł wprost uwierzyć, że ten kutwa jest aż tak beczelny.

— Nie! — rzucił. — Nie możesz ich odzyskać. Zapłaciłem im. Jak chcesz forszę z powrotem, zwróć się do wdów.

Ton jego głosu był zniecierpliwiony i stanowczy. Graveline zdenerwował się. Ta tłusta świnia powinna się teraz przed nim kajać.

— W porządku, a czy możesz znaleźć kogoś innego, żeby załatwił tę sprawę? — odezwał się ugodowo.

— Co załatwił?

— Stranahana. Oferta jest wciąż aktualna.

Roberto zaśmiał się ironicznie. Chirurg był zaskoczony jego nagłą metamorfozą.

— Posłuchaj mnie — oświadczył Pepsical. — Umowa jest skreślona. Na zawsze. Dwóch martwych policjantów zapowiada spore kłopoty, doktorku, i lepiej zacznij się modlić, żeby nikt się nie dowiedział, co zamierzali zrobić.

Rudy Graveline miał ochotę darować sobie dalszą rozmowę i wczłgać się do łóżka.

— Doskonale, Bobby — oznajmił. — Nigdy się nie znaliśmy. Do widzenia.

— Wolnego!

O Boże, pomyślał Rudy, zaczyna się.

— Rozmawiałem z Innymi — przypomniał mu Pepsical. — Wciąż życzą sobie tych dwudziestu pięciu kawałków.

— Absurd! Cypress Towers przeszły do historii, Bobby. Skończyłem z tym. Powiedz swoim kumplom, że dostaną zero.

— Ale otrzymałeś swoją lokalizację.

— Nie potrzebuję jej. Mogą ją sobie zabrać z powrotem, rozumiesz? Wcisnąć jakiemuś innemu jeleniowi.

W głosie Roberta nie było ani cienia zrozumienia, cierpliwości czy ochyty na kompromis.

— Ceną każdego głosu było dwadzieścia pięć. Zgodziłeś się. A teraz Inni żądają swoich pieniędzy.

— Czy jeszcze nie znudziło ci się być chłopcem na posyłki?

— To również moje pieniądze — stwierdził rzeczowo Pepsical. — Ale owszem, zgadza się. Mam dosyć bycia chłopcem na posyłki. Mam dosyć robienia interesów z takimi chciwymi konowalami jak ty. Kiedy przychodzi do płacenia, tacy są najgorsi.

— Hej! — zaprotestował Rudy. — Forsa nie rośnie na drzewach.

— Umowa jest umową.

Na swój sposób Roberto był zadowolony, że Graveline okazał się takim fiutem. Uznał, że fajnie jest dla odmiany móc komuś przypieprzyć.

— Daję ci dwa dni robocze na zapłacenie mnie i Innym! — rozkazał.

— Co?! — wybełkotał chirurg.

— Za dwa dni dzwonię do mojego bankiera na Kajmanach i każę mu odczytać mój stan konta. Jeżeli nie zwiększy się o dwadzieścia pięć, jesteś skończony.

Przecież to nie może być ten sam człowiek, pomyślał Rudy, nie może tak do mnie mówić.

Tymczasem Pepsical ciągnął dalej obojętnym, suchym tonem:

— Ja i Inni wpadliśmy na pomysł, że powinniśmy — to znaczy hrabstwo



powinno — zacząć wydawać zezwolenia prywatnym klinikom chirurgicznym. Przeprowadzać własne badania, przesłuchania w sprawie koncesji, kontrole co dwa miesiące, tego rodzaju rzeczy. Naszym zdaniem trzeba chronić społeczeństwo.

— Chronić? — powtórzył słabiutko doktor.

— Przed partaczami i im podobnymi. Co ty na to?

Cały świat przekręcił się do góry nogami, uświadomił sobie Rudy.

— Większość klinik nie będzie miała powodu do obaw — stwierdził dziarsko Roberto. — Oczywiście jeżeli spełnią standardy hrabstwa.

— Bobby, jesteś skurwysynem.

Gdy Rudy Graveline cisnął słuchawkę, zauważył, że jego dłonie dygoczą. I nie chcą przestać.

W czasie śniadania Heather popatrzyła na drżące palce Rudy'ego i oznajmiła:

— Nie podobają mi się twoje ręce.

— Skurcze mięśniowe — wyjaśnił. — Miną bez śladu.

— Jutro jest moja operacja — przypomniała mu.

— Doskonale pamiętam, kochanie.

Większą część ranka spędzili na omawianiu implantów piersi. Heather zebrała opinie wszystkich swoich hollywoodzkich koleżanek, które kiedykolwiek robiły korektę biustu. Niektóre z nich uważały za najlepszą kolekcję miękkich silikonowych implantów typu Porex, inne wołały McGhan Biocell 100, a jeszcze inne zaklinały się, że najdoskonalszy jest Replicón. Osobiście Heather skłaniała się ku modelowi Silastic II Teardrop, ze względu na pięcioletnią gwarancję na piśmie.

— Może powinnam porozumieć się z moim agentem? — zastanawiała się.

— Dlaczego? — zapytał z urazą Rudy.

— W końcu chodzi o moje ciało. A moje ciało to moja kariera.

— Doskonale — odparł Rudy. — Zadzwoń do agenta. Cóż ja mogę o tym wiedzieć? Jestem przecież tylko chirurgiem. — Powędrował z gazetą do łazienki i usiadł na sedesie. Dziesięć minut później aktorka zapukała delikatnie do drzwi.

- Na wybrzeżu jest za wcześnie — wyjaśniła. — Melody nie ma w biurze.
- Dziękuję za wiadomość.
- Ale dzwonił do ciebie jakiś człowiek.
- Rudy złożył gazetę i oparł brodę na dłoniach.
- Kto?
- Nie przedstawił się. Stwierdził tylko, że był twoim pacjentem.
- Bardzo precyzyjna informacja.
- Bredził coś, że przyszedł z cyfrą. Chyba miał na myśli pieniądze.
- Zwariowany Chemo. To był na pewno on.
- Co mu powiedziałaś?
- Że w tej chwili jesteś nieosiągalny. Raczej mi nie uwierzył.
- O rany, coś takiego! — jęknął Rudy.
- Obiecał, że pofatyguje się osobiście do kliniki.
- Wspaniale. — Słyszał przez drzwi jej oddech. — Heather, czy coś jeszcze?
- Tak, inny facet. Woźny sądowy z pozwem.
- Doktor poczuł, że zaraz jego organizm zareaguje z obu stron.
- Dzwonił do drzwi chyba z tuzin razy — uściśliła. — Ale mu nie otworzyłam. Wreszcie sobie poszedł.
- Wspaniała dziewczynka! — zawołał Rudy i radośnie zerwał się z sedesu. Otworzył drzwi łazienki, zaniósł Heather pod prysznic i włączył gorącą wodę. A potem ukląkł gołymi kolanami na posadzce i zaczął całować jej doskonałe, jedwabiste uda.
- To nasz ostatni dzień przed operacją — szepnęła.
- Doktor przestał ją całować i popatrzył do góry. Strumienie z prysznicza trafiały mu prosto w dziurki od nosa, ale przez rozbryzgujące się kropelki widział kobietę swoich marzeń, jak idealnymi dłońmi ścisła swoje idealne piersi.
- Pożegnaj się z tymi małaństwami — oznajmiła, śmiejąc się figlarnie.
- Boże, pomyślał Rudy, co ja robię? Ironia losu była wyjątkowo perfidna. Znał tylu bogatych staruchów i obrzydliwych grubych bab, które namówił na przeprowadzenie operacji plastycznej; pacjentów, którzy nie mieli najmniejszych szans poprawienia ani wyglądu, ani życia... A teraz, kiedy znalazł kobietę z ciałem i twarzą absolutnie bez skazy, klasycznie pięknymi, ona błaga, aby ją pocałował.

To zbrodnia przeciwko naturze, uzmysłowił sobie Graveline. A ja jestem narzędziem tej zbrodni.

Wstał i niedbale kochał się z Heather pod prysznicem. Oparła jedną nogę o kran wanny, drugą na mydelniczce, lecz Rudy był zbyt pogrążony w myślach, aby docenić artyzm, z jakim utrzymywała równowagę.

Im szybciej działał, tym łatwiej mógł się skoncentrować. Oczyszczył swoje myśli z Chema, Roberta i Micka Stranahana. Wkrótce zdołał skupić się całkowicie na kryzysie grożącym mu w najbardziej bezpośredni sposób — na stojącym pod prysznicem aniele blond i na tym, co zaplanowała na jutro.

Nie minęło wiele czasu, gdy doznał olśnienia. Pomysł eksplodował w jego głowie z tak oślepiającą gwałtownością, że pomylił go z orgazmem.

Heather Chappell niezbyt obchodziło, co to takiego. Marzyła jedynie, aby wreszcie skończył. Gorąca woda przestała płynąć i idealną pupę aktorki ziębiły mokre kafelki łazienki.

## 25.

Mick Stranahan poprosił Ala Garcię, aby poczekał w samochodzie, sam zaś poszedł do Kipperera Gartha. Kancelaria prawnicza rozbrzmiewała chórem brzęczących telefonów. Gdy Mick wędrował przez labirynt modułowych biurków, sekretarki nie potrudziły się nawet, by go zatrzymać. Wiedziały, że nie jest klientem.

Kipper Garth siedział w swoim sanktuarium, przybrawszy ulubioną pozę, i czekał na ważny telefon. Stukał ołówkiem numer dwa i patrzył wilkiem na interkom.

— Zrobiłem dokładnie to, co sobie życzyłeś — oznajmił Stranahanowi.  
— Sam zobacz.

Pozew Nordstromów o błąd w sztuce lekarskiej znajdował się w cienkiej brązowej teczce leżącej w rogu biurka. Kipper czekał przez cały dzień na tę chwilę, w której będzie mógł pokazać szwagrowi, jak dzielnie się spisał. Wręczył Mickowi teczkę.

— Proszę bardzo, wszystko tu jest.

Stranahan czytał pozew na stojąco.

— Bardzo frapujące — stwierdził w połowie drugiej strony — Może Katie się nie myli i rzeczywiście masz talent.

Garth skwitował komplement dziarskim wzruszeniem ramion. Mick powstrzymał się przed zadaniem mu pytania, który z błyskotliwych młodych asystentów sporządził ten dokument. Jego autorem nie mógł raczej być szwagier.

— Rzeczywiście tak było? — zapytał. — Facet stracił oko w zderzeniu z...

— Cycem — potwierdził Kipper. — Na szczęście własnej żony. Co oznacza, że automatycznie możemy podwoić wysokość odszkodowania za cierpienia i straty.

Stranahan usiłował sobie wyobrazić reakcję sądu na opisywany przypadek. Sprawa zapewne nie zajdzie aż tak daleko, ale zabawnie było o tym pomyśleć.

— Czy doktor Graveline otrzymał już pozew?

— Jeszcze nie — poinformował Garth. — Jak do tej pory udaje mu się wymykać, ale to doskonale. Mamy faceta, który czyha na niego przed kliniką, i dopadnie go, kiedy będzie wchodził albo wychodził. Pozew jest wystarczająco paskudną sprawą, a gdy ten twój doktorek dowie się, że wyznacziliśmy już termin, dostanie hopla.

— Znakomicie.

— Oczywiście postara się o odroczenie.

— Nic nie szkodzi. Chodzi o podgrzewanie sytuacji. Dlatego właśnie przyniosłem ci to. — Stranahan podał szwagrowi kartkę ze starannie wypisanymi na maszynie dziewięcioma nazwiskami.

— Lista świadków — wyjaśnił. — Chcę, żebyś złożył ją w sądzie najrybciej, jak zdołasz...

Kipper Garth zerknął na nią i ocenił.

— Wyjątkowo nietypowe.

— Dlaczego tak uważasz?

— Bo tak jest, do diabła. Nikt nie zgłasza świadków na tak wczesnym etapie sprawy.

— Ale ty tak postąpisz — oświadczył Stranahan.

— Nie rozumiem.

— Podgrzewanie sytuacji, Jocko, pamiętasz? Wyślij jednego z urzędników do sądu, aby włożył ten wykaz do akt Nordstromów. Możesz nawet przesłać kopię kurierem do mieszkania Graveline'a, po prostu dla śmiechu.

Kipper zauważył, że oprócz jednego, na liście znajdowały się same nazwiska innych lekarzy, a konkretnie — chirurgów plastycznych; ekspertów, którzy zapewne poświadczą wstrząsającą niekompetencję Rudy'ego Graveline'a w zakresie pooperacyjnej opieki nad implantami piersi pani Nordstrom.

— Nieżle — stwierdził adwokat — ale kto to taki? — Lśniącym paznokciem postukał w ostatnie nazwisko na liście.

— Była pielęgniarka — poinformował Mick Stranahan.

— Niezadowolona?

— Można tak powiedzieć.

— A na jaki temat zamierza zeznawać?

— Kompetencji pozwanego — odparł Stranahan. — A raczej ich braku.

Kipper Garth pogłaskał srebrzyste bokobrody.

— Znając świadków, sędzę, że lepiej jednak ograniczyć się do tych chirurgów.

— Graveline ma ich głęboko w nosie. Ale nazwisko pielęgniarki zwróci jego uwagę. Zaufaj mi.

Z udawaną pewnością siebie prawnik zauważył, że zeznania uprzedzonej do pozwanego ekspiracownicy nie będą miały wielkiego znaczenia dla sądu.

— Nie idziemy do sądu — przypomniał Stranahan. — W każdym razie nie chodzi o błąd w sztuce, lecz przypuszczalnie o morderstwo.

— Znowu za tobą nie nadażam — przyznał Kipper.

— I możesz nie próbować mnie gonić — poradził mu Mick.

Ciężarówka przedsiębiorstwa ogrodniczego George'a Graveline'a była zaparkowana niedaleko Crandon Boulevard w gęsto zarośniętym tropikalną roślinnością zagłębieniu gruntu. Palmy, figowce, mahoniowce dawały mnóstwo cienia. Hrabstwo wynajęło Graveline'a, aby wykarczował stare drzewa pod korty tenisowe. Prawdopodobnie wkrótce koło kortów wyrosnie restauracja, a potem duży hotel, których właściciele — dzięki kumpłom z komisji administracyjnej hrabstwa — będą mogli na dobrą sprawę korzystać za darmo z własności publicznej. Natomiast członkowie komisji będą otrzymywać pewien, utrzymany w tajemnicy, procent z handlu napojami orzeźwiającymi, wyborcy zaś dostaną nowiutkie korty tenisowe, bez względu na to, czy mają na nie ochotę, czy też nie.

Rola, jaką George Graveline odgrywał w tym obywatelskim przedsięwzięciu, była niewielka, ale zabrał się do pracy z nietypowym dla siebie zapałem. W ciągu dwóch pierwszych godzin razem ze swoimi pracownikami

oczyścił całe dwa akry dziewiczego lasu. Później usiadł w szoferce ciężarówka, żeby odpocząć, podczas gdy jego ludzie wrzucali po kolei drzewa do automatycznej rozdrabniarki.

Nagle hałas ucichł. George Graveline otworzył oczy. Usłyszał, że jego brygadzysta rozmawia z jakimś nieznanym stojącym najwyraźniej za ciężarówką. Wysunął głowę przez okno i zobaczył krępego Kubańczyka w brązowym garniturze. Facet miał bujne wąsy i grube, niezapalone cygaro w kąciku ust.

— Czym mogę służyć? — zapytał Graveline.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął złotą odznakę policyjną. Idąc wzdłuż ciężarówka, obserwował, jak grdyka jej właściciela skacze w górę i w dół.

Al Garcia przedstawił się i oznajmił, że chciałby zadać kilka pytań.

— Ma pan nakaz? — upewnił się George.

Detektyw uśmiechnął się.

— Nie muszę mieć nakazu, *chico*.

— Naprawdę?

Garcia pokręcił głową.

— Nie. Zerknij na to. — Pokazał mu policyjny portret pamięciowy Blondella Wayne'a Tatuma, znanego pod przezwiskiem Chemo. — Widziałeś kiedyś tego ptaszka?

— Nie, proszę pana — odparł przystrzygacz drzew, ale zdradził go wyraz twarzy. Zbyt szybko odwrócił wzrok od rysunku — każdy inny wpatrywałby się w niego dłużej.

— Jest przyjacielem twojego brata — oświadczył detektyw.

— Nie sądzę.

— Nie? — Garcia przesunął cygaro w drugi kącik ust. — No cóż, dobrze wiedzieć. Ten człowiek jest mordercą, nie wyobrażam więc sobie, żeby słynny chirurg plastyczny chciał mieć z nim coś wspólnego.

— Ja również — potwierdził George. Włączył radio i zaczął kręcić galką tam i z powrotem, udając, że szuka swojej ulubionej stacji z muzyką country. Sierżant domyślił się, że facet o mało nie zsika się w majtki.

— Nie jestem pierwszym policjantem z wydziału zabójstw, z którym się zetknąłeś, prawda? — odezwał się znowu.

— Jasne. O co panu chodzi?

— Do diabła, to było prawie cztery lata temu — oznajmił Garcia. — Pewnie nawet nie pamiętasz. Spotkaliście się przed kliniką twojego brata; tą, którą miał, zanim się przeniósł na plażę.

Grubym brązowym palcem George Graveline podrapał się w kark. Potem zmarszczył brwi, symulując głęboki namysł.

— Detektyw nazywał się Timmy Gavigan — podpowiedział Kubańczyk. — Chudy Irlandczyk, rudy, mniej więcej takiego jak ty wzrostu. Zatrzymał się na kilka minut, żeby z tobą pogadać.

— Nie, chyba sobie nie przypominam — odrzekł ostrożnie George.

— Przybliżę ci okoliczności, w których się spotkaliście... To było zaraz po zniknięciu dziewczyny z college'u — zaczął Garcia. — Nazywała się Victoria Barletta. Na pewno pamiętasz. Musiało się tam wówczas roić od gliniarzy.

— Aaa, tak. — George powoli zaczął odzyskiwać pamięć. A przynajmniej chciał, żeby policjant w to uwierzył.

— Barletta była pacjentką twojego brata.

— Jasne — pokiwał głową ogrodnik. — Pamiętam, jak bardzo Rudy się martwił.

— Ale nie pamiętasz rozmowy z detektywem Gaviganem?

— Rozmawiałem z wieloma ludźmi.

— Wspominam o tym, ponieważ Timmy cię zapamiętał — oznajmił Garcia.

— Tak? I co?

— Wiesz, nigdy nie rozwiązał tej cholernej zagadki. Przez tyle lat. A teraz Tim już nie żyje. — Detektyw cofnął się w stronę tylnej części ciężarówki i niedbałym ruchem postawił stopę obok zaczepu rozdrabniarki. George Graveline otworzył drzwi szoferki i wychylił się, by mieć Kubańczyka na oku.

Wokół nich nie było nikogo. Pracownicy George'a odeszli, aby poszukać chłodnego miejsca, w którym mogliby zjeść lunch i wypalić trawkę. W obecności gliniarza trudno się było wyluzować.

Zaciekawiony Garcia pochylił się nad maszyną i popatrzył na naklejkę znajdującą się na jej ramie. Rysunek przedstawiał przyjaznego szopa.

— Leśny Bandyta? — zapytał. — Tak się nazywa to bydlę?

— Tak jest — potwierdził George.



— Jak właściwie działa?

Graveline wskazał ponuro ręką.

— Wrzuca się drewno do tego otworu, a wychodzi stamtąd, z tyłu ciężarówki. Całe przemielone.

Garcia gwizdnął, nie wyjmując cygara z ust.

— Musi mieć cholernie paskudne ostrze.

— O tak, proszę pana.

Detektyw zdjął stopę ze zderzaka. Ponownie podniósł do góry pamięciowy portret Chema.

— Jeżeli zobaczysz tego faceta, natychmiast do nas zadzwoń.

— Oczywiście — przytaknęła George. Garcia podał mu służbową wizytówkę. Przystrzygacz drzew popatrzył na nią, uznał, że jest autentyczna, i wetknął do tylnej kieszeni dżinsów.

— I ostrzeż brata — rzucił gliniarz Garda. — Na wypadek, gdyby ten gość się pojawił.

— Jasne — obiecał George.

Mick Stranahan, siedzący w nieoznakowanym samochodzie policyjnym, zaparkowanym osiemset metrów dalej na bulwarze koło straży pożarnej Key Biscayne, zapytał:

— I jak poszło?

— Dokładnie tak, jak się spodziewaliśmy — odparł Garcia. — *Nada*.

— A co sądzisz o teorii Timmy'ego na temat sposobu pozbycia się ciała?

— Jeżeli doktor naprawdę ją zabił, pomysł trzyma się kupy. Braciszek George rzeczywiście sprawił sobie niezłą maszynkę.

— Szkoda, że ten braciszek nie puścił farby — zauważył Mick.

Garcia podniósł szyby i aby ochłodzić wnętrze samochodu, włączył klimatyzację. Wiedział, o czym Stranahan myśli, i przyznał mu rację. Braciszek George mógł im podać całą prawdę na talerzu. Gdyby Maggie zginęła albo zniknęła, sama kasetka wideo nie wystarczyłaby do sporządzenia aktu oskarżenia. Koniecznie więc muszą skłonić George'a Graveline'a, aby opowiedział im o Victorii Barletcie.

— Pójdę złapać trochę świeżego powietrza — oświadczył Stranahan. — Spotkajmy się tu za jakąś godzinę, dobrze?

— Co, u diabła, knujesz? — zaniepokoił się Garcia.

Mick wysiadł.

— Idę na spacer. Masz coś przeciwko temu? Napiję się kawy, powalęsam trochę albo coś w tym rodzaju.

— Mick, nie rób żadnych głupstw. Dzień jest na to zbyt ładny.

— Faktycznie jest cudowny. — Stranahan zatrzasnęła drzwi samochodu i przebiegł truchtem przez bulwar.

— Kurwa! — mruknął sierżant. — *Mierda!*

Pojechał do restauracji „Oasis” i zamówił filizankę morderczej kubańskiej kawy. A potem jeszcze jedną.

Gdy Mick dotarł na miejsce, George Graveline wciąż był sam. Stał oparty o błotnik ciężarówki i patrzył na swoje ciężkie buty. Podniósł głowę, spojrzął na Stranahana, wyprostował się i rzucił:

— Nasłałeś na mnie tego cholernego glińiarza.

— Dzień dobry, George — powitał go Mick. — Naprawdę się cieszę, że znowu cię widzę.

— Spierdalaj, słyszysz?!

— Czyżbyś miał zły dzień? O co chodzi, kurcze?

George był jednym z tych wielkich, powolnych facetów, którzy ze złości mrużą oczy. Teraz właśnie je zmrużył. Miarowo zaciskał przy tym i rozluźniał pięści, jakby ćwiczył ze sprężyną.

— George, wciąż mam ten kłopot, o którym opowiadałem ci ostatnim razem. W dalszym ciągu prześladuje mnie wynajęty przez twego brata świr, który usiłuje mnie zamordować. Słowo daję, to mi się naprawdę nie podoba.

— No i dobrze.

— Przypuszczam — ciągnął Stranahan — że ty i Rudy odbyliście ostatnio braterską pogawędkę. Jestem przekonany, że doskonale wiesz, gdzie mogę znaleźć tego rąbniętego zabójcę.

— Pierdol się! — warknął George. Kopniakiem włączył rozdrabniarkę i silnik maszyny obudził się z rykiem do życia.

— Au, dlaczego to zrobiłeś?! — zawołał Mick. — Nie sposób cię usłyszeć przez ten cholerny jazgot.

Graveline rzucił się na niego wściekle, niczym Frankenstein z bokobrodami Elvisa. Próbował chwycić go za kark, lecz Mick zrobił unik i z całej

siły uderzył napastnika tuż pod sercem. A kiedy mimo to przystrzygacz drzew nie upadł, wyrznął go dwukrotnie w jaja. Tym razem George runął jak długi.

Stranahan oparł prawą stopę na gardle potężnego mężczyzny i powoli zaczął przenosić ciężar z pięty na palce. George przyciskał dłońmi opuchnięte krocze, niezdolny do dalszej walki. Wydawał przy tym dźwięki przypominające pękniętą oponę traktom.

— No i po co ci to było? — mruknął Mick. — Czy w tym mieście nie można porozmawiać jak cywilizowani ludzie, nie narażając się, że zaraz ktoś zechce cię zabić?

Pytanie było retoryczne, ale i tak George Graveline nie mógł go usłyszeć z powodu wycia rozdrabniarki. Stranahan pochylił się nad nim i krzyknął:

— Gdzie jest ten świr?

Gdy wargi leżącego zaczęły się poruszać, Mick osłabił nacisk. Głos wydobywający się z ust przystrzygacza drzew brzmiał tak, jakby przechodził przez jakiś elektroniczny zagłuszacz. Stranahan musiał uklęknąć.

— Pracuje na plaży — dobiegło go przez piekielny jazgot.

— Czy mógłbyś być trochę bardziej konkretny?

— W klubie.

— Jakim klubie, George? W Miami Beach jest mnóstwo klubów.

Graveline zamrugał i dodał:

— W „Wesołym Bidecie”. — Stało się, pomyślał. Jego brat, Rudy, jest skończony.

— Dziękuję, George. Mick cofnął but z gardła mężczyzny. — Dobry początek. Bardzo mnie podniosłeś na duchu. A teraz porozmawiamy o Victorii Barlecie.

Graveline leżał z głową w wilgotnym błocie, w kroczu pulsował mu ból i martwił się o swojego brata doktora; o to, jakie straszne rzeczy mogą mu się przydarzyć z powodu długiego języka George'a. Rudy mu zaufał, zwierzył się, a on go zawiódł. Postanowił, że bez względu na ból nie powie Stranahanowi, jak to było z dziewczyną. Rudy popełnił błąd, ale każdemu może się coś takiego przytrafić. W końcu on sam kiedyś pomylił zlecenia i wyciął cały szpaler piętnastometrowych palm królewskich zamiast starych brazylijskich, a mimo to nie wpakowali go do więzienia ani nic w tym rodzaju, tylko kazali zapłacić grzywnę. Po stówie od drzewa, zdaje się. Dlaczego

więc lekarza miano by potraktować inaczej? Myśląc o burzliwej karierze medycznej swojego brata, George cofnął jedną dłoń z opuchniętej moszny i przypadkowo położył ją na znajdującym się pod jego lewą nogą kawałku mahoniowego drewna. Był ciężki, o chropowatej, suchej korze. Graveline zacisnął na nim palce. Wciąż klęcząc nad nim, Mick trącił go w ramię i powiedział:

— Centa za twoje myśli.

I wtedy George rąbnął go prosto w tył głowy.

Stranahan nie widział uderzenia i w pierwszej chwili pomyślał, że został postrzelony. Słyszał jakieś krzyki i dźwięk przypominający syrenę pogotowia. W jego wyobraźni pojawiła się wyraźnie scena udzielania pierwszej pomocy. Czekał, aż poczuje dłonie sanitariuszy rozrywające mu koszulę na piersi, na chłodny dotyk stetoskopu, na ukłucie igły strzykawki wbijającej się w ramię. Czekał na przywołującą wspomnienia dzieciństwa chwilę, gdy położą go na noszach.

Nic takiego się nie zdarzyło, a jednak wycie syreny nie cichło. Pograżony w bolesnym uśpieniu Mick zaczynał się złościć. Gdzie jest to cholerne pogotowie? Przecież postrzelono człowieka.

Wreszcie poczuł, że ktoś go podnosi. Ktoś mocny schwycił go pod ramiona. Boli, mój Boże, jak boli, lecz to nic... nareszcie się pojawili. A potem znowu spadał, spadał albo umierał, nie był tego pewien. I przez pełną bólu nieświadomość słyszał, że jęk syreny staje się tak przeraźliwy, iż chciał zasłonić uszy rękami i zawołać, żeby ją, na litość boską, wyłączyli.

I wyłączyli. Rozdrabniarkę do drewna.

Stranahan ocknął się w dziwnej ciszy dudniącej ostrym echem. Bębni wibrowały mu w uszach. W powietrzu unosił się ostry zapach kordytu. Zobaczył, że klęczy, kołysząc się jak pijaczek oczekujący pomocy. Koszulę miał mokrą, puls galopował jak wściekły. Sprawdził swój stan i przekonał się, że to była pomyłka — wcale nie został postrzelony. I nie było też karetki pogotowia, tylko ciężarówka.

Blady jak brzuch flądry Al Garcia siedział na zderzaku. W ciężko opuszczonej prawej dłoni trzymał broń.

Nigdzie nie było śladu George'a Graveline'a.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Mick detektywa.

— Nie.

— Gdzie jest ten facet od drzew?

Garda lufą pistoletu wskazał zasobnik na ciężarówce, do którego rozdrabniarka wypluła kości i maź — to, co było George'em Graveline'em.

Zanim przystrzygacz drzew zdołał wepchnąć Micka Stranahana do paszczy maszyny, sierżant strzelił mu dwukrotnie w plecy. A siła pocisków pchnęła go głową do przodu, prosto w paszczę rozdrabniarki.

## 26.

Chemo wyprowadził bonneville'a z garażu i pojechał do Whispering Palms, ale recepcjonistka powiedziała mu, że doktora nie ma. Zauważywszy dramatyczny stan jego twarzy, oznajmiła, że jeśli jest to nagły przypadek, może spróbować zadzwonić do domu lekarza, lecz Chemo jej podziękował.

Po wyjściu z kliniki przeszedł wzdłuż ściany budynku do parkingu dla pracowników. Szykowny jaguar XJ-6, którego Graveline zakupił zaraz po tym, jak Stranahan wysadził mu w powietrze poprzedni, stał na swoim miejscu. Była to limuzyna o karoserii utrzymanej w tonacji głębokiej czerwieni. Chemo nazywał ten kolor „kandyzowane jabłko”, chociaż pewnie ludzie od takich jaguarów stosowali jakąś bardziej fikuśną nazwę. Samochód miał przyciemnione szyby, wskutek czego wnętrze było niewidoczne. Chemo domyślał się, że chirurg zainstalował w swojej gablocie alarm przeciwwłamaniowe, i uważał, aby nie dotknąć drzwi ani maski.

Powędrował na tyły kliniki, nad wodę, i zajrzał przez okno do prywatnego gabinetu Rudy'ego. Doktor siedział w nim i paplał przez telefon. Chemo poczuł się urażony. Graveline zachowywał się nieuprzejmie, unikając go w taki sposób. Diabła tam nieuprzejmie, po prostu głupio.

Minąwszy róg budynku, Chemo zobaczył przy samochodzie chirurga niskiego mężczyznę w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat, ubranego w źle leżący szary garnitur. Nieznajomy miał poza tym matowe brązowe buty

i okulary w czarnej oprawie. Chemo podszedł do niego i zapytał:

— Szuka pan doktora Graveline'a?

Facet w okularach spojrział na niego nerwowo.

— Czy to pan?

— Kurwa, nie. Ale samochód jest jego.

— Powiedziano mi, że jest nieobecny.

— Skłamacz — odparł Chemo. — Aż trudno uwierzyć, co?

Mężczyzna otworzył brązowy portfelik i pokazał mu tanią odznakę.

— Pracuję dla hrabstwa — wyjaśnił. — Usiłuję doręczyć doktorowi pewne dokumenty. Już od dwóch czy trzech dni.

— Widzisz pan te boczne drzwi? — powiedział Chemo. — Niech pan tam poczeka, zaraz wyjdzie. Już prawie piąta.

— Dziękuję — rzekł woźny sądowy. Podszedł do wskazanych drzwi i stanął przy nich jak idiota. W rękę ścisnął zwinięte papiery, jakby zamierzał palnąć nimi chirurga, gdy tylko się pojawi.

Chemo zsunął skórzany futerał z Niszczyciela Chwastów i przyjrzał się uważnie nowiutkiemu jaguarowi Rudy'ego. Postanowił zacząć od lewego przedniego błotnika.

Początkowo szło mu powoli — te Angole rzeczywiście wiedziały, jak malować samochody. Najpierw Niszczyciel rysował na ciemnoczerwonym lakierze jedynie białe paski i Chemo musiał przyciskać przyrząd mocniej do błotnika, przytrzymując go w odpowiedniej pozycji zdrową ręką. Ale mimo to dotarcie do metalu błotnika zajęło potężnej kosiarce do trawy całe piętnaście minut. Potem dryblas przesunął brzęczącą głowicę kolistymi ruchami, aby powiększyć plamę.

Ze swojego posterunku przy drzwiach do kliniki woźny sądowy obserwował dziwną ceremonię z głęboką fascynacją. Wreszcie nie mógł już dłużej wytrzymać i zawołał do Chema.

Wielkolud odwrócił się od jaguara i spojrział na mężczyznę w okularach. Przesunął przełącznik, wyłączając Niszczyciela Chwastów, i przyłożył prawą dłoń do ucha.

— Co pan z tym robi? — krzyknął woźny sądowy.

— Przeprowadzam kurację — odparł Chemo. — Na zlecenie doktora.

Jak wielu chirurgów, doktor Graveline był w sytuacjach przymusowych człowiekiem aktywnym, doskonale zorganizowanym, lecz beznadziejnie zapominalskim. Dzień po irytującym telefonie Pepsicala Rudy skrupulatnie sporządził listę wszystkich spraw zagrażających jego karierze. Roberto Pepsical zajął na niej trzecie miejsce — za Mickiem Stranahanem i Chemem. Doktor bardzo uważnie przestudiował spis. W ogólnym kontekście możliwego oskarżenia o morderstwo Roberto był drobną płótką. Kosztowną, ale niewiele znaczącą.

Graveline wybrał numer w New Jersey i poczekał, aż Krzaczaste Brwi podniosą słuchawkę.

— Jezu, mówiłem ci, żebyś tu do mnie nie dzwonił. Poczekaj, niech przejdę do lepszego telefonu. — Odłożył słuchawkę i Rudy zaczął czekać. Dziesięć minut później mężczyzna zadzwonił.

— Pozwól, niech zgadnę. Twoje kłopoty się pogłębiły.

— Tak — przyznał doktor.

— Ten lokalny talent, którego wynająłeś, wcale nie okazał się taki dobry?

— Był — oznajmił Rudy. — Ale już nie jest.

— Zabawne — Krzaczaste Brwi roześmiały się rubasznie. Gdzieś w tle rozległ się klakson samochodu. — Wy, bogaci faceci, jesteście jacyś dziwni. Zawsze chcecie mieć wszystko za tanioczę.

— No cóż, tym razem proszę o inną przysługę — oświadczył Rudy.

— Jakąż to?

— Pamiętasz wypadek na polowaniu przed paroma laty?

— Jasne — odparły Krzaczaste Brwi. — Tamten lekarz. Ten, który ci się naprzykrzał.

Mężczyzna z New Jersey nie pamiętał nazwiska owego doktora, ale Rudy Graveline pamiętał je doskonale. Był to Kenneth Greer, jeden z jego współpracowników w Durkos Medical Center. Ten, który się domyślił, co spotkało Victorię Barlette. I usiłował go szantażować.

— To było proste jak parasol — powiedziały Krzaczaste Brwi. — Gdyby tak wszyscy byli myśliwymi, w każdym sezonie łowieckim moglibyśmy załatwić każde zamówienie. Same wypadki na polowaniu.



Faceta w New Jersey coś swędziało — w słuchawce Rudy Graveline sły-  
szał obrzydliwy odgłos tłustych paluchów drapiących owłosione ciało. Pró-  
bował o tym nie myśleć.

— Znowu ktoś mi się naprzykrza — poskarżył się. — Nie wiem, czy mo-  
żesz mi pomóc, lecz postanowiłem cię zapytać.

— Słucham.

— Chodzi mi o komisję administracyjną hrabstwa Dade — wyjaśnił  
Rudy. — Potrzebny jest mi ktoś, kto by ich zabił. Dałoby się to załatwić?

— Chwileczkę...

— Wszystkich — potwierdził niewzruszonym tonem doktor.

— Wybacz mi, Doc, ale chyba ci się króliki pieprzą w głowie. Nie dzwoń  
już do mnie.

— Proszę — nie ustępował Rudy. — Pięciu z nich chce mnie trafić na  
dwadzieścia pięć kawałków od łba. Rzecz w tym, że nie wiem, którzy. Przy-  
szło mi więc do głowy, żeby sprzątnąć wszystkich dziewięciu.

— Jakoś nie kapuję, o co ci chodzi — burknęły Krzaczące Brwi.

Rudy cierpliwie wyłożył swemu rozmówcy zasady funkcjonowania sys-  
temu łapówek i sposób, w jaki każdy z członków komisji uzgadniał z czte-  
rema skorumpowanymi kolegami przeprowadzenie kontrowersyjnego gło-  
sowania. Objął również mężczyźnie z New Jersey sprawę projektu Old  
Cypress Towers i uzalił się, że członkowie komisji próbują wydusić z niego  
szmal za decyzję lokalizacyjną, której już nie potrzebuje.

— Hej, umowa jest umową — odparły bez cienia współczucia Krzacza-  
ste Brwi. — Mam wrażenie, że wpakowałeś się w niezłe tarapaty. — Teraz  
odgłosy w słuchawce sugerowały, że dłubie w zębach grzebieniem.

— Nie pomożesz? — spytał Rudy.

— Nie. Nie mogę. — Facet zakaszlał gwałtownie i splunął. — Chociaż  
pomysł bardzo przemawia do mojej wyobraźni. Sprzątnąć całą komisję  
hrabstwa to byłoby coś, ale fatalnie odbiłoby się na interesach.

— No cóż, to był tylko pomysł — stwierdził Rudy. — Przepraszam za  
kłopot.

— Dać ci radę? Gratis.

- Czemu nie.
- Kto był naganiaczem w tej sprawie? Chyba znasz przynajmniej jego nazwisko?
- Znam.
- Dobrze. No więc radzę ci, żeby skurwysynowi coś się przytrafiło. Coś cholernie paskudnego, aby było przestrożą dla pozostałych ośmiu fiutów, kapujesz?
- Rudy zapewnił, że tak, rozumie.
- Wierz mi — ciągnął mężczyzna w New Jersey. — Działam w tej branży od dawna. Coś takiego robi wrażenie, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z burmistrzami, przewodniczącymi i innymi takimi kutasami. Nie są szczególnie twardymi typami.
- Chyba nie — Rudy odchrząknął. — Posłuchaj, to doskonała koncepcja. Tylko jeden z nich.
- Właśnie tak — potwierdził jego rozmówca.
- Mógłbyś zorganizować coś takiego?
- Cholera, nie będę ryzykował życia moich chłopców, żeby załatwić jakiegoś marnego prowincjonalnego polityka. Nie ma mowy. W dzisiejszych czasach zbyt trudno o talenty... Sam się o tym przekonałeś.
- Rudy przypomniał sobie wzmiankę o Tonym Węgorzu, którego zwłoki wyrzuciła woda na plażę Cape Florida.
- Wciąż czuję się niezręcznie w związku z tym facetem w ubiegłym miesiącu — oświadczył.
- To się zdarza.
- Ale mimo wszystko — upierał się posepnie Rudy.
- Powinieneś wynieść się z Florydy — zasugerowały Krzaczaste Brwi.
- Ciągłe powtarzam moim przyjaciółom, że tam już nie jest tak jak dawniej. Pieprzyć te ładne plaże, Doc. Ci Kubańcy są porąbani. Nie przypominają cię albo mnie. A oprócz nich są Żydzi i Haitańczycy. Chryste!
- Czasy się zmieniają — zauważył Graveline.
- Czytałem o tym. Jakiś artykuł na temat stresów. Floryda jest najbardziej pieprzonym, stresującym miejscem w Ameryce, może z wyjątkiem Vegas. Wcale nie bujam.
- Wygląda na to, że każdy chce mi wyszarpać kawał mięsa — skonstatawał z przygnębieniem Rudy.
- I taka właśnie jest cała ta gówniana prawda.

- Przysięgam, z natury wcale nie jestem gwałtownym człowiekiem.
- Kostaryka — podsunął mężczyzna z New Jersey. — Pomyśl o tym.

Członek komisji administracyjnej Roberto Pepsical przyszedł do kościoła piętnaście minut wcześniej i zbadał nawy. W trzecim rzędzie chrapała jakaś baba i to wszystko. Żeby zabić czas, Roberto zapalił cały rząddek wotywnych świec, potem pogrzebał w drobnych i wrzucił do skarbonki kanadyjską dziesięciocentówkę.

Gdy pojawił się doktor, Pepsical powędrował energicznie na tył kościoła. Rudy Graveline ubrany był w jasnobrązową sportową kurtkę, ciemne luźne spodnie i brązowy krawat w prążki. W prawym ręku trzymał czarną dyplomatkę typu Samsonite. Sprawiał wrażenie równie spokojnego i wyluzowanego jak szczur w norze węża. Roberto bez słowa przycisnął się obok niego i wszedł do jednego z mrocznych konfesjonałów. Doktor odczekał trzy minuty, zerknął przez jedno ramię, potem przez drugie, otworzył drzwi i też wślizgnął się do środka.

— Boże! — zawołał.

— Pewnie gdzieś tu jest. — Roberto zachichotał z własnego dowcipu.

Rudy nigdy dotąd nie był w konfesjonale. Wydało mu się tu ciasniej i bardziej ponuro, niż przypuszczał. Jedyne źródło światła stanowiła maleńka bursztynowa żarówka w ścianie.

Pepsical złożył tłusty tyłek na klęczniku, opierając się o przepierzenie. Graveline sprawdził, czy z drugiej strony nie siedzi ksiądz i nie podsłuchuje. Kiedy taki księżulo chce, potrafi siedzieć strasznie cicho.

— Pamiętaj — uprzedził go Roberto, podnosząc palec. — Mów szepcetem.

Słusznie, pomyślał Rudy, właśnie miałem ochotę ryknąć sobie jakiś kawalek z Gershwina.

— To chyba najbardziej porąbane miejsce, jakie widziałem — oznajmił.

— Ale spokojne — zauważył Pepsical. — I bardzo bezpieczne.

— I cholernie małe — dodał chirurg. — Jadłeś na obiad anchovies, prawda?

— Tu nie ma żadnych tajemnic — przypomniał Roberto.

Rudy z trudem umieścił siebie i dyplomatkę na klęczniku obok grubasa. Wskutek temperatury ciała Roberta obu mężczyzn spowija gorąca, kwaśna mgła i lekarz zastanawiał się, na jak długo wystarczy im tlenu. Nigdy nie słyszał, żeby ktoś udusił się w czasie spowiedzi, chociaż tego rodzaju wypadek katolicy z pewnością skrzętnie by ukryli.

— Jesteś gotów? — zapytał Pepsical i puścił oko. — A co takiego masz w kieszeni?

— Niestety, to tylko pozew. Jakiś palant dopadł mnie dzisiaj wieczorem przy wyjściu z kliniki. — Rudy tak się spieszył, że nawet nie zajrzał do wręczonych mu dokumentów sądowych. Poza tym zdążył się już przyzwyczaić, że go pozywano.

— Nic dziwnego, że jesteś w takim wrednym humorze — stwierdził Roberto.

— Właściwie nie tyle przejmuję się pozewem, ile tym, co się stało z moim nowym samochodem. Popołniono na nim akt wandalizmu, a konkretnie obdarto go z lakieru.

— Jaguara? Okropne!

— Och, miałem cudowny dzień — oświadczył Graveline. — Absolutnie cudowny.

— A wracając do sprawy pieniędzy...

— Są tutaj. — Doktor położył dyplomatkę na ich kolanach, otworzył ją i wewnątrz konfesjonału wypełnił ostry zapach nowych banknotów. Rudy był pod wrażeniem — pieniądze rzeczywiście pachniały. Pepsical wziął do ręki paczkę studolarówek.

— O ile pamiętam, mówiłem o dwudziestkach — rzekł.

— Tak, ale musiałbym je przywieźć pieprzonym kontenerem.

Roberto zerwał bankową banderolę i odliczył dziesięć tysięcy dolarów, kładąc je na podłodze między swoimi stopami. Potem przeliczył pozostałe paczki, upewniając się, że suma faktycznie wynosi sto dwadzieścia pięć tysięcy.

Z szerokim uśmiechem podniósł do góry jedną setkę.

— Nie widuję ich zbyt wiele. Czyj to portret, Eisenhowera?

— Nie — odparł lodowato doktor.

— Co powiedzieli w banku? Na to, że bierzesz tyle szmalu?

— Nic. Jesteśmy w Miami, Bobby.

— No tak, racja. — Członek komisji administracyjnej radośnie

poukładał na nowo paczki pieniędzy i włożył je do dyplomatki. Następnie zgarnął leżące luzem dziesięć tysięcy i wepchnął gruby zwitek banknotów do kieszeni garnituru.

— Postąpiłeś z głową — pochwalił.

— Nie jestem taki pewien — oznajmił Rudy.

— Pamiętasz plan, o którym ci wspomniałem... w sprawie zezwoleń dla klinik medycznych i tak dalej? Razem z Innymi postanowiliśmy dać sobie z tym spokój. Doszliśmy do wniosku, że lekarze tacy jak ty mają wystarczająco dużo przepisów i regulaminów.

— Cieszę się — zapewnił Graveline. Żałował, że nie wziął ze sobą dropsów miętowych. Pepsicalowi dobrze by zrobiła cała paczka.

— Co powiesz na drinka? — zapytał Roberto. — Moglibyśmy zatrzymać się w „Wersalu” i zamówić sobie parę dzbanków sangrii.

— Hmm.

— Hej, ja stawiam!

— Dzięki — odrzekł Graveline. — Ale wiesz, co najpierw chciałbym zrobić? Pomodlić się. Podziękować Panu, że moje kłopoty z Cypress Towers wreszcie się skończyły.

Pepsical wzruszył ramionami.

— Nie krępuj się.

— Uważasz, że dobrze robię, Roberto? Przecież nie jestem katolikiem.

— To bez znaczenia. — Pepsical stękając wstał, odwrócił się i ukląkł. Klęcznik zaskrzypiał pod jego ciężarem. — Zrób tak samo.

Szczuplejszemu Rudy'emu powtórzenie tego manewru przyszło łatwiej. Obydwaj mężczyźni klęczeli, rozdzieleni dyplomatką. Patrzyli na zakratkowane okienko, przez które ksiądz słucha spowiedzi.

— A więc módl się — poradził Roberto. — Poczekam, aż skończysz. Chociaż, skoro już tu jestem, też mogę zaliczyć parę zdrowasiek.

Graveline zamknął oczy i pochylił głowę, udając pogrążonego w modlitwie. Pepsical trącił go łokciem.

— Nie mam zamiaru niczego ci narzucić — pouczył — ale u nas się nie modli z rękami w kieszeniach.

— Oczywiście — zreflektował się Rudy. — Przepraszam.

Wyjął prawą rękę z kieszeni spodni i oparł ją na tłustym ramieniu Roberta. W konfesjonale było zbyt ciemno, by grubas mógł dostrzec strzykawkę.

— „Święta Mario — recytował członek komisji administracyjnej — ła-  
skiś pełna, Pan z tobą. Błogosławionaś”... Au!

Pepsical bezradnie chwycił igłę sterzącą mu z dołka obojczykowego. Biorąc pod uwagę fakt, że Graveline zawsze partolił zastrzyki, należało uznać za cud, iż udało mu się wkuć ją w żyłę za pierwszym razem. Roberto rozpaczliwie obejmował doktora, dysząc jak niedźwiedź, ale śmiercionośny potas już płynął ku zastawkom jego otłuszczonego serca.

Zabił go w ciągu minuty, tak doskonale naśladowując objawy zwykłego za-  
wahu, że rodzinie byłego członka komisji administracyjnej nawet nie przy-  
szło do głowy podawać w wątpliwość wynik sekcji.

Rudy wyciągnął pustą strzykawkę, wydobyl zwitek pieniędzy z kieszeni  
zmarłego, wziął do ręki czarną walizeczkę i wyslizgnął się z dusznego kon-  
fesjonału. Powietrze w kościele wydało mu się alpejsko czyste i zatrzymał  
się, by odetchnąć nim głęboko.

Siedzące w tylnym rzędzie leciwe kubańskie małżeństwo odwróciło się,  
słyszac odgłos kroków na posadzce. Doktor skłonił się poważnie. Miał na-  
dzieję, że nie zauważą, jak bardzo trzęsą mu się nogi. Spojrzał w stronę  
ołtarza i spróbował się uśmiechnąć jak człowiek, którego dusza została  
właśnie oczyszczona z grzechów.

Stara Kubanka podniosła zgięte palce do czoła i przeżegnała się. Rudy  
niezbyt znalazł się na katolickich obrządkach i nie wiedział, czy powinien od-  
powiedzieć, ani też, jak się przeżegnać. Mimo to postawił dyplomatkę na  
ziemi i odważnie podjął wyzwanie. Palcem wskazującym dotknął czoła,  
potem piersi, prawego ramienia, lewego ramienia, pępka i znowu czoła.

— Zdrowia, szczęścia, pomyślności — rzekł staruszce i wyszedł z ko-  
ścioła.

Wróciwszy do domu, Rudy Graveline wszedł na górę, aby zobaczyć się z  
Heather Chappell. Usiadł przy jej łóżku i ujął ją za rękę. Zamrugala wilgot-  
nymi oczami widocznymi znad krawędzi bandaża.

Doktor ucałował jej palce i zapytał:

— Jak się czujesz?

— Nie wiem jak ty — odparła — lecz czuje się, jakbym była stuletnią  
babcią.

- Należało się tego spodziewać. Miałaś trudny dzień.
- Jesteś pewien, że wszystko dobrze poszło?
- Cudownie.
- Nos też?
- Majstersztyk.
- Ale ja niczego nie pamiętam.

Heather dlatego nie mogła sobie przypomnieć operacji, ponieważ żadnej operacji nie było. Rudy nafaszerował ją poprzedniego wieczoru środkami usypiającymi i podtrzymywał ten stan przez cały dzień następny. Aktorka leżała nieprzytomna przez siedem godzin, naszpikowana najlepszymi na świecie środkami nasennymi. A gdy się obudziła, miała wrażenie, że przespała miesiąc. Jej biodra, piersi, szyja i nos były dokładnie i kunsztownie obandażowane, ale żaden skalpel nie tknął jej cudownego kalifornijskiego ciała. Rudy zamierzał przekonać Heather, że operacja była wyjątkowym sukcesem, a brak blizn — świadectwem jego niezwykłych umiejętności. Oczywiście czekały go całe tygodnie lipnych pooperacyjnych porad i konsultacji.

— Czy mogę obejrzeć wideo? — zapytała gwiazda.

— Później — obiecał doktor. — Kiedy będziesz w formie. Zamówił z akademii medycznej w Kalifornii (przez Federal Express) kilka serii kaset szkolenia chirurgicznego. Teraz należało tylko zmontować taśmy w przekonywujące sekwencje. Pacjenci na stole operacyjnym — w maskach, pod przykryciem i w narkozie — wyglądali na filmie właściwie tak samo. Poza tym jedynym fragmentem chirurga, jaki widziało się w kadrze, były jego obciążone rękawiczkami dłonie. Heather w żaden sposób nie zorientuje się, że lekarz, którego widzi na ekranie, nie jest jej kochankiem.

— Aż nie mogę uwierzyć, Rudolphie, lecz w ogóle nie czuję bólu.

— To środki farmakologiczne — oświadczył. — Przez kilka pierwszych dni będziemy cię trzymali na niezłym haju. — Przykrył jej dłoń koldrą i wziął coś ze stolika przy łóżku. — Zobacz, co tu mam.

Próbowała przebić się wzrokiem przez mgłę medykamentów.

— Czerwone, niebieskie i białe — powiedziała z rozmarzeniem.

— Bilety lotnicze — wyjaśnił. — Zabieram cię w podróż.

— Naprawdę?

— Do Kostaryki. Tam jest idealny klimat do rekonwalescencji.

— Na jak długo?  
— Miesiąc, dwa, może dłużej. Jak długo będzie trzeba, kochanie.  
— Ale powinnam kręcić *Hasło* z Jackiem Klugmanem.  
— Wykluczone — oznajmił Rudy. — Nie możesz się narażać na taki stres. A teraz prześpij się.  
— Co to za hałas? — zaniepokoiła się, unosząc głowę.  
— Dzwonek do drzwi, najdroższa. Proszę, leż spokojnie.  
— Kostaryka — mruknęła. — A gdzie to właściwie jest?  
Rudy pocałował Heather w czoło i zapewnił, że ją kocha.  
— Tak — odparła. — Wiem.

Osoba, która stała przy drzwiach, bawiła się przyciskiem dzwonka, jakby to była szafa grająca. Doktor zbiegł po schodach i popatrzył przez wizjer.

Zobaczył Chema, który z ponurą miną dawał mu znaki.

Kurwa, westchnął Rudy, pomyślał o swoim jaguarze i otworzył drzwi.

— Dlaczego zniszczyłeś mój samochód?! — napadł na niego.

— Żeby nauczyć cię dobrych manier — odparł Chemo. U jego boku stała zabandażowana kobieta.

— Maggie? — zdziwił się Rudy. — Czy to ty?

Wielkolud wziął swoją towarzyszkę za rękę i wprowadził ją do wielkiego domu. Odnalazł salonik i usadowił się wygodnie w starym bujanym fotelu. Maggie Gonzalez zajęła miejsce na białej skórzanej sofie. Oczy pielęgniarki, które były dla Rudy'ego jedynym świadectwem jej uczuć, sprawiały wrażenie chłodnych i wrogich.

— Nie za bardzo lubię, żeby tak ze mną pogrywano — oświadczył Chemo. — Powinienem cię po prostu zabić.

— I co byś z tego miał? — zauważył Rudy. Podszedł bliżej do Maggie i spytał: — Kto ci robił twarz?

— Leaper — odpowiedziała.

— Leonard Leaper? W Nowym Jorku? Czy masz coś przeciwko temu, że sobie obejrzę?

— Tak! — warknęła, odsuwając się gwałtownie. — Rogelio, każ mu się odsunąć!

— Rogelio? — Graveline spojrzał pytająco na Chema.

— To twoja pieprzona wina — wyjaśnił dryblas. — Kazałeś wystawić bilet na takie właśnie nazwisko. A teraz daj jej spokój. — Przestał się kołysać i popatrzył na Rudy'ego jak na karalucha.



Chirurg usiadł przy Maggie na sofie i zwrócił się do Chema:

— Jak się goi?

Zabójca podniósł odruchowo dłoń do brody.

— Nagle zacząłeś interesować się moją buźką? Aż tak się boisz?

— No cóż, wyglądasz dobrze — nie ustępował doktor. — Naprawdę, poprawa o tysiąc procent.

— Jezu Chryste!

— Przejdźmy do rzeczy, dobrze? — rzuciła z irytacją Maggie. — Chcę stąd iść.

— Pieniądze — wyjaśnił Chemo. — Żądamy miliona dolarów, równo.

— Za co?! — Rudy próbował zachować spokój, lecz ton jego głosu był ostry.

Chemo znowu zaczął się kołysać.

— Za wszystko — rzekł. — Za kasetę Maggie. Za Stranahana. Za wstrzymanie telewizyjnego reportażu o tej martwej dziewczynie. Chyba wszystko razem warte jest milion dolarów. A prawdę mówiąc, im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że raczej dwa.

Rudy złożył ręce na piersi.

— Jeżeli załatwisz wszystko, o czym mówisz, z przyjemnością dam ci milion dolarów. Ale na razie nie dostaniesz nic, z wyjątkiem zwrotu kosztów, ponieważ do tej pory nie zrobiłeś właściwie niczego, oprócz przysparzania mi kłopotów.

— To nieprawda — odezwała się Maggie.

— Byliście bardzo zajęci — dodał Chemo. — I mamy wielką niespodziankę.

— Ja też mam wielką niespodziankę — oświadczył Rudy. — Pozew o błąd w sztuce. I zgadnijcie, czyje nazwisko figuruje na liście świadków?

Oskarżycielskim gestem wskazał Maggie, która zaprzeczyła:

— Nic o tym nie wiem.

— Pewien facet o nazwisku Nordstrom — kontynuował Graveline — stracił oko w jakichś dziwacznych okolicznościach i teraz twierdzi, że z mojej winy.

— Nigdy nie słyszałam o żadnym Nordstromie — zapewniła ekspielęgniarka.

— No cóż, ale twoje nazwisko jest na liście. Świadek powództwa. Dlaczego więc powinienem wam cokolwiek płacić?

— Tym bardziej powinienes — uznał Chemo. — Chyba to się nazywa zapłatą za milczenie.

— Nie! — stanowczo sprzeciwił się doktor. — Nic z tego nie będzie.

Dryblas wstał z fotela. Dwoma wielkimi krokami przemierzył salon i z całej siły uderzył Rudy'ego w żołądek. Chirurg, dławiąc się i krztusząc, runął na perski dywan, a wtedy Chemo obrócił go stopą, po czym włączył Niszczyciela Chwastów.

— O Boże! — zawołał doktor, osłaniając oczy rękami. Maggie szybko odsunęła się na bok. Bandaże na jej twarzy zadrżały.

— Mam nową baterię — wyjaśnił Chemo. — Supertrwałą. Tylko popatrz.

Zaczął szatkować eleganckie ubranko Rudy'ego. Najpierw pociął na paseszki jego koszulę i krawat, a potem próbował mu wyprostować kędzierzawe brązowe włosy na piersi. Chirurg pisnął żałośnie, gdy pod jego sutkami pojawiły się paskudne różowe bruzdy.

Chemo przesunął maszynę w stronę podbrzusza swej ofiary, gdy nagle zauważył coś pod poszarpaną podszewką brązowej kurtki doktora. Wyłączył Niszczyciela Chwastów i pochylił się, aby popatrzeć z bliska.

Zdrową ręką sięgnął między jedwabne podszycie kurtki i wyciągnął obcięty róg studolarówki. Z podnieceniem grzebał dalej, aż wreszcie zaczął wyciągać garść za garścią jakimś cudem nieuszkodzone banknoty.

Rozłożył pieniądze na stoliku do kawy, pod którym bezsilnie miotał się i pojękiwał Rudy. Pogrążony w nieutulonym żalu chirurg obserwował proces liczenia od dołu, spoglądając przez trawione szkło blatu. W miarę jak banknoty pokrywały coraz większą część stolika, twarz lekarza zastygała w wyrazie niedowierzania. Jadąc z kościoła, zamierzał wpaść do kliniki i wrzucić forszę do sejfu. Ale teraz wszystko przepadło.

— Przelicz — polecił Chemo Maggie.

Z przejęciem przekładała banknoty.

— Dziewięć tysięcy dwieście — poinformowała. — Reszta jest pocięta.

Wielkolud wyciągnął Graveline'a spod stolika.

— Dlaczego masz przy sobie tyle gotówki? — zapytał. — Tylko mi nie mów, że sprzedawca jaguarów nie przyjmuje kart kredytowych. — Jego

wilgotne oczy salamandry spoczęły na czarnej dyplomatce, którą Rudy jak ostatni kretyn pozostawił na środku korytarza.

Doktor pociągnął żałośnie nosem, gdy Chemo otworzył kopniakiem walizeczkę i przykucnął, aby przeliczyć resztę pieniędzy.

— No, no! — mruknął zabójca.

— Co chcecie z nimi zrobić? — zainteresował się chirurg.

— O rany, chyba oddamy je na Wspólną Drogę. Albo na biedne dzieci.  
— Chemo podszedł do niego i szturchnął go w goły brzuch rozgrzaną głowicą Niszczyciela Chwastów. — A jak myślisz, do diabła, co możemy z nimi zrobić? Wydamy je, a potem wrócimy po więcej.

Gdy wreszcie sobie poszli, Rudy Graveline przez długą chwilę leżał na skotłowanym perskim dywanie. Do tego właśnie doprowadziło mnie harwardzkie wykształcenie: zostałem ograbiony, pobity, rozebrany, ośmieszony i pokrojony jak karczoch, myślał. Jego palce delikatnie badały opuchnięte pasma przecinające tors i podbrzusze. Doszedł do wniosku, że można by nawet uznać wszystko za niemal komiczne, gdyby rany tak bardzo go nie piekły.

Rudy uzmysłowił sobie również, że Chemo i Maggie zapomnieli podzielić się z nim swoją wielką tajemnicą — poinformować go, co takiego dokonali, jakie szczególnie wymyślne przestępstwo popełnili, aby zasłużyć sobie na żadaną gratyfikację. Ale zaraz przyszło mu do głowy, że wcale nie jest tego ciekaw. Prawdę mówiąc, nieświadomość przyniosła mu jakby pewną ulgę.

## 27.

Pracownik zakładu medycyny sądowej spojrział na tył ciężarówki i oznajmił:

— Mmmmm, *lasagna*.

— Bardzo śmieszne — odparł Garcia. — Powinieneś występować w programie Carsona. Odstawić całe postępowanie z umarlakami.

— Al, musisz przyznać... — zaczął medyk.

— Powiedziałem ci, co się stało.

— ... musisz przyznać, że jest w tym pewien element humorystyczny.

Koronerzy przyprawiali detektywa Ala Garcię o dreszcze. Zawsze cieszyli się jak dzieci, gdy komuś udało się zejść z tego świata w nietypowy sposób.

— Jeżeli uważasz to za śmieszne, nie ma sprawy — rzekł. — W końcu to ty robisz sekcję.

— Najpierw będzie mi potrzebna jakaś salaterka.

— Prześmieszne — burknął Garcia. — Absolutnie prześmieszne.

Medyk z sądówki zaproponował mu, żeby się odprężył, i wyjaśnił, że każdy potrzebuje jakiejś przerwy w monotonii rutynowych zajęć, bez względu na to, czym się para.

— Jestem już zmęczony ranami postrzałowymi — oświadczył. — Przecież to robota jak przy cholernej taśmie produkcyjnej. Rana postrzałowa

głowy, rana postrzałowa klatki piersiowej, rana postrzałowa szyi — cholernie nudne, Al.

— Posłuchaj — przerwał mu Garcia. — Proszę bardzo, żartuj sobie, ile chcesz, ale nie życzę sobie, aby coś dotarło do prasy.

— Powodzenia.

Detektyw zdawał sobie sprawę, że nie będzie łatwo utrzymać śmierć George'a Graveline'a w tajemnicy. Siedem wozów policyjnych, karetka pogotowia, karetka do przewozu zwłok — nawet w Miami taki widok wywoływał zgromadzenie. Gapiów trzymano za żółtymi taśmami policyjnymi rozciągniętymi wzdłuż Crandon Boulevard. Wkrótce pojawiają się minikamery, a minikamerą można zrobić zbliżenie.

— Potrzebuję dnia albo dwóch — upierał się Garcia. — Bez prasy i rodziny.

Koroner wzruszył ramionami.

— Biorąc pod uwagę, co z niego zostało, tyle czasu zajmie sama identyfikacja. Mam wrażenie, że trzeba będzie posłużyć się użębieniem.

— Obojętne, czym.

— Będę musiał zająć ciężarówkę — uprzedził medyk. — I tę fikuśną maszynę do robienia wykalacek.

Sierżant obiecał, że każe je zaholować do śródmieścia. Koroner wetknął głowę w otwór rozdrabniarki i zaczął oglądać zapaćkane krwią ostrza.

— W tym bałaganie powinny być odłamki pocisków — stwierdził.

— Słuchaj, Sherlocku — wtrącił się Garcia. — Przecież ci mówiłem, co się stało. Zastrzeliłem dupka, rozumiesz? Mój pistolet, moje pociski.

— Al, nie pozbawiaj mnie całej radości. — Koroner sięgnął między ostrza rozdrabniarki i ostrożnie wyciągnął coś, co niewprawnemu oku mogło się wydać zwyczajną, czarną i włochatą gąsienicą. Potem pokazał znalezisko detektywowi.

Garcia zmarszczył brwi.

— Dostanę jakąś nagrodę czy co? Przecież to baczek, na rany boskie.

— Bardzo dobrze — pochwalił go medyk.

Kubańczyk cisnął mokry kawałek cygara w krzaki i poszedł zobaczyć

się z pracownikami George'a Graveline'a. Cała ich trójka czekała na tylnym siedzeniu samochodu policyjnego. Al usiadł z przodu, na miejscu pasażera, odwrócił się i odezwał do nich przez siatkę. Ubrania mężczyzn śmierdziały wódką. Garcia zapytał, czy któryś z nich widział wydarzenie, i wszyscy jak jeden mąż zapewnili, że nie, bo byli na przerwie śniadaniowej. Oficerowie z wydziału wewnętrznego pytali ich o to samo.

— Skoro niczego nie widzieliście — oznajmił detektyw — w takim razie nie macie zbyt wiele do powiedzenia reporterom, prawda?

Trzej przystrzygacze drzew pokręcili głowami.

— Nie znacie również nazwiska przypuszczalnej ofiary, prawda?

Cała trójka przytaknęła.

— Sprawa jest bardzo poważna — oświadczył Garcia. — Nie sądzę, żebyście chcieli, chłopcy, utrudniać śledztwo w sprawie zabójstwa, co?

Robotnicy obiecali, że nie pisną ani słowa mediom. Al poprosił umundurowanego policjanta o odwiezienie ich do domów, aby nie musieli przechodzić obok kamer w drodze do przystanku autobusowego.

W tym czasie wróciła pusta karetka pogotowia. Garcia zastukał w okno kierowcy.

— Gdzie jest gość, którego opatrywaliście? — zapytał.

— Z raną tłuczoną głowy?

— Tak jest. Wielki blondyn.

— Poszedł — odparł kierowca karetki. — Połknął trzy darvocety i pożełnął się. Nawet nie pozwolił się obandażować.

Detektyw zaklął i ze złością kopnął w świeżo obciętą gałąź.

— Jak go pan zobaczy — dodał kierowca — niech mu pan koniecznie przekaże, żeby zrobił prześwietlenie czaszki.

— I wiesz pan, co tam znajdują? — warknął Garcia. — Gównno zamiast mózgu.

Reynaldo Flemm poderwał powabną młodą kobietę w nocnym klubie „Biscayne Baby” w Coconut Grove. Zabrał ją do swojego pokoju w hotelu „Grand Bay” i poprosił, aby poczekała, a sam zaczął napuszczać wodę do rzymskiej wanny. Wciąż niepewny swojej atrakcyjności, nie chciał, aby

zobaczyła go nago w pełnym świetle. Zanurzył się w wannie, okrył strategiczne punkty ciała pianą mydlaną, dwa razy sprawdził swój wygląd w lustrze, po czym zawołał, żeby się do niego przyłączyła. Weszła do łazienki, rozebrała się i beztrzesko chlupnęła do głębokiej wanny. Gdy Reynaldo polaskotał ją palcami stóp pod pachami, młoda kobieta odepchnęła je uprzejmie.

— A więc co robisz? — zapytał.

— Już ci mówiłam, jestem sekretarką w kancelarii prawniczej.

— Ach, tak. — Był już niezłe narąbany koktajlami i jego pamięć operacyjna zdawała się ulegać zawieszeniu. — Pewnie mnie poznajesz? — indagował swoją partnerkę.

— Już ci mówiłam, że nie.

— Normalnie mam czarne włosy — wyjaśnił Reynaldo. — Ufarbowałem je z pewnego powodu.

Na czas spotkania z doktorem Rudym Graveline'em zmodyfikował przebranie tancerza go-go Johnny'ego LeTigre'a. Ufarbował włosy na brązowo i zaczesał je do tyłu wilgotną szczotką. Dzięki temu wyglądał jak polawiacz gąbek z Morza Śródziemnego.

— Wyobraź mnie sobie z czarnymi włosami — odpowiedział sekretarce. Strząsnęła z nosa bańkę mydlaną i stwierdziła, że w dalszym ciągu go nie poznaje.

— Masz telewizor, prawda? — kontynuował. — Jestem Reynaldo Flemm.

— Tak?

— Prowadzę *Prosto w twarz*.

— No tak.

— Widziałas?

— Nie — odparła dziewczyna — ale nie oglądam zbyt często telewizji. — Próbowала być dla niego miła. — Chyba widziałam twoje reklamówki — dodała.

Flemm skulił się jeszcze bardziej w wannie.

— Co to jest, teleturniej? — zainteresowała się sekretarka.

— Nie, audycja informacyjna. Jestem reporterem i tropię różne sprawy.

— Takim jak facet w *Sześćdziesięciu minutach!*

Reynaldo opuścił głowę. Ogarnięta poczuciem winy dziewczyna przesuwała się w wannie i usiadła mu na kolanach.

— Hej, wierzę ci — zapewniła. Trochę mu współczuła. Wśród bąbelków sprawiał wrażenie takiego małego i nieszczęśliwego. — Naprawdę wyglądasz jak ktoś, kto może występować w telewizji.

— Ja występuję w pieprzonej telewizji. Prowadzę swój własny program!

— Dobra, w porządku — rzekła ugodowo.

— Mogę ci pożyczyć kasetę. Masz magnetowid?

Sekretarka odparła, żeby siedział cicho, przyłożyła mu usta do ucha i szepnęła:

— Może byśmy spróbowali już teraz?

Reynaldo niezdecydowanie objął ją w pasie i zaczął całować jej piersi. Były cudowne, lecz przeszła mu cała ochota. Po chwili dziewczyna skonstataowała:

— Nie jesteś w nastroju, prawda?

— Byłem.

— Przepraszam. Słuchaj, może umyję ci plecy.

Pośladki Flemma pisnęły, gdy obrócił się w wannie, ułatwiając partnerce szorowanie. Obserwował ją w lustrze, a jej dłonie były cudownie kojące. W końcu zamknął oczy.

— No proszę — mruknęła, ugniatając mu łopatki. — Ty moja wielka telewizyjna gwiazdo.

Reynaldo poczuł, że znowu ogarnia go podniecenie. Żeby się upewnić, sprawdził pod wodą. Uśmiechał się do chwili, kiedy to otworzył oczy i zobaczył w lustrze coś, czego dotąd nie było...

Stojącego w drzwiach mężczyznę. Który trzymał w ręku hak do ładowania ryby.

— Przepraszam, że przeszkadzam — oświadczył Mick Stranahan.

Kobieta pisnęła i rzuciła się, by schwycić ręcznik, a Reynaldo Flemm zaczął zgarniać pianę, aby ukryć swoją zanikającą erekcję.

— Szukam Christiny — oznajmił Stranahan. Podszedł do wanny, trzymając gaf pod pachą jak szpicrutę. — Nie ma jej w pokoju hotelowym.

— Jak mnie znalazłeś? — Głos Reynalda był piskliwy i napięty, całkowicie niegodny gwiazdy telewizyjnej.

— Miami nie ma największej liczby całosezonowych hoteli na świecie — wyjaśnił Mick. — Takie znakomitości jak ty ostatecznie zawsze zatrzymują się w „Groove”. Ale powiedz mi, dlaczego Christina wyprowadziła się z Key Biscayne?



— Kim jest Christina? — zapytała nerwowo sekretarka.

— Ray, zadałem ci pytanie — przypomniał Stranahan. Wetknął gaf pod kłęby piany i przesunął jego szpikulcem po dnie wanny. Stał zazgrzytała groźnie o ceramiczną wykładzinę. Reynaldo podciągnął kolana i z pluskiem wcisnął się w róg.

— Christina nie wie, że tu jestem — bąknął. — Wyrzuciłem ją.

Stranahan poprosił dziewczynę, żeby się ubrała i poszła do domu. Odczekał, aż opuściła łazienkę, i dopiero wówczas odezwał się znowu.

— Sprawdziłem pokój Christiny w „Sonesta”. Nie było jej tam od dwóch dni.

— Co chcesz mi zrobić? — zaniepokoił się Flemm, niezdolny oderwać spojrzenia od gafu. Objął kolana ramionami i poprosił: — Nie rób mi krzywdy.

— Na litość boską!

— Proszę!

— Płaczesz? — Mick nie wierzył własnym oczom. Następny głupi palant z histerycznymi reakcjami. — Wyjaśnij mi tylko, co z Christiną. Jej notesy w dalszym ciągu leżą w pokoju hotelowym, podobnie jak torebka. Domyślasz się, co się z nią dzieje?

— Ummmgh. — Między przednimi zębami Flemma pojawił się różowy koniuszek języka. Miał przerażoną minę zbitego pudła, a wrażenie to potęgowały jeszcze drżące wargi i zażawione oczy.

— Uspokój się — rzucił Stranahan. Czuł się tak, jakby głowę miał pełną mokrego cementu. Darvocet jedynie minimalnie zmniejszył ból. Co za pieprzony dzień.

— Nie widziałeś jej? — dociekał.

Reynaldo gwałtownie pokręcił głową.

Usłyszeli trzaśnięcie drzwi — najwidoczniej sekretarka opuściła ich towarzystwo. Mick za pomocą haka wyciągnął korek z wanny. Bez słowa obserwowal, jak pełna mydlin woda spływa, pozostawiając dygoczącego Flemma nagiego i pokrytego pianą.

— Co się stało z twoją fryzurą? — zapytał gwiazdora.

Reynaldo wziął się w garść i odparł:

— To do programu.

Stranahan rzucił mu ręcznik.

— Wiem, co kombinujesz — oznajmił. — Wykolegowałeś Christinę ze sprawy Barletty. Widziałem na stole twoje notatki.

Flemm zaczerwienił się. Wymyślenie dziesięciu pytań, które zamierzał zadać doktorowi Graveline'owi, zajęło mu trzy godziny. Starannie wypisał je w nowym prawniczym notatniku, tak jak to zawsze robiła Christina Marks. Większą część popołudnia próbował je zapamiętać, aż wreszcie zrezygnował i udał się do „Biscayne Baby” na hulanki i swawole.

— Nie obchodzi mnie twój program — zapewnił Mick. — Ale martwię się o Christinę.

— Ja też.

— Wygląda, jakby ktoś wtargnął do jej pokoju hotelowego. Na drzwiach był odcisk dłoni.

— No cóż, nie mojej.

— Wstawaj! — polecił Stranahan.

Flemm podniósł się w wannie i owinał ręcznikiem. Mick zmierzył go wzrokiem.

— Wierzę ci — mruknął. Potem wrócił do saloniku, żeby poczekać, aż Reynaldo osuszy się i ubierze.

Flemm wszedł do pokoju, ubrany w kretyńską obcisłą koszulę i takie same dżinsy.

— Kiedy zamierzasz spotkać się z doktorem? — spytał Stranahan.

— Wkrótce — rzekł Reynaldo. A potem dodał zuchwale. — Nie twój interes. — Czuł się o wiele odważniejszy w koszuli na grzbiecie.

— Jeżeli poczekaasz, będziesz miał lepszą historię — zapowiedział Mick.

Gwiazdor przewrócił oczyma. Ile to już razy słyszał coś podobnego.

— Wykluczone! — prychnął. W jego głosie znowu zabrzmiała nutka megalomanii.

— Ray, chcę cię ostrzec. Jeżeli przez ciebie coś się stanie Christinie albo narazisz ją w jakikolwiek sposób, koniec z tobą. I wcale nie mówię o twojej bezcennej karierze telewizyjnej.

— Jesteś taki twardy, bo masz hak.

Stranahan rzucił mu gaf ze słowami:

— Proszę... Zobaczymy, czy na ciebie też podziała.

Reynaldo szybkoitko upuścił narzędzie na podłogę. Jego zasadą życiową było nie walczyć z wariatami, jeśli nie pracowały kamery. Bo niby po co?

— Mam nadzieję, że ją znajdziesz — oświadczył. Mick wstał i skierował się w stronę drzwi.

— Lepiej się o to pomódl.

W „Wesołym Bidecie” Freddie nawet się nie pofatygował, żeby ruszyć tyłek zza biurka i przedstawić się.

— Powiem ci tyle, co temu kubańskiemu gliwarzowi, czyli nic. Nie rozmawiam na temat moich pracowników, dawnych czy obecnych.

— Ale znasz człowieka, o którym mówię? — zapytał Mick.

— Może tak, może nie.

— Czy jest tutaj?

— Patrz wyżej. A teraz spadaj, do kurwy nędzy.

— Trochę się tutaj rozejrzę.

— Tak? Coś podobnego! — parsknął Freddie. — Takiego wała! — Wcisnął umieszczony pod blatem biurka czarny guzik dzwonka. Drzwi otworzyły się i Stranahana natychmiast ogłuszyły wokalne popisy Wspaniałych Napletków, wykonujących swój wstępny numer. Mężczyzna, który wszedł do gabinetu, był niskim, muskularnym Azjatą. Miał na sobie różowy podkoszulek ochroniarza „Wesołego Bidetu”, wypełniony do granic wytrzymałości.

— Wong, bądź łaskaw zabrać mi sprzed oczu tego psiego bobka — polecił Freddie.

Mick machnął gafem i groźny błysk haka wprawił Wonga w pewne zwątpienie. Freddie z obrzydzeniem popatrzył na bramkarza i warknął:

— No i co się stało z tym twoim pieprzonym kung-fu?

Tors Azjaty zaczął się poszerzać jak napompowany.

— Miałem paskudny dzień i jestem w paskudnym nastroju — uprzedził Stranahan. — Nie chcesz chyba stracić zezwolenia na wyszynk alkoholu?

— O czym ty gadasz, człowieku? Co za pytanie?!

— No to naciesz się nim dziś wieczór, dopóki jeszcze je masz. Jeżeli nie odpowiesz na moje pytania, zaraz ci wyjaśnię, co się stanie z tobą i tym sraczem udającym nocny klub. Jutro z samego rana zjawi się tu sześcioro wrednych skurwysynów z wydziału alkoholi i napojów wysokowych i wsadzi twoją dupę do pierdła. Dlaczego? Bo skłamałeś, starając się o

zezwole nie na wyszynk, Freddie. Byłeś notowany w Illinois i Georgii, i zataiłeś to. A poza tym podawałeś alkohol nieletnim, a twój barman właśnie próbował mi sprzedać dwa gramy peruwiańskiej koki. Mówić dalej?

— Nie musisz — oznajmił Freddie i rozkazał Wongowi, żeby spadał. Gdy zostali sami, wyjaśnił:

— To, co mi przylepili w Atlancie, było lipą.

— Aa, w takim razie nie byłeś alfonsem. Doskonale. Chłopaki z wydziału będą pod wrażeniem. Pamiętaj, koniecznie im powiedz, że nie jesteś alfonsem, bez względu na to, co na ten temat twierdzą komputery FBI.

— O co ci, do cholery, chodzi?

— Tylko o informację, gdzie mogę znaleźć naszego wysokiego, spokojnego przyjaciela. Tego z buźką.

— Słowo daję, że nie wiem — odparł Freddie. — Parę dni temu się zwolnił. Wziął czek z wypłatą i tyle go widziałem. Chciał mi oddać podkoszulek, głupi dupek. Jakby na kogoś pasował! Kazałem mu go zatrzymać na pamiątkę.

— Nie wspomniał, co zamierza? — zapytał Stranahan.

— Nie. Ale były z nim dwie dziwki, wyobraź sobie. — Freddie otworzył w uśmiechu pełną żółtawych zębów paszczę. — Potwór z Czarnej Laguny, a miał lepszy podryw niż ja.

— Jak wyglądały te kobiety? — dociekał Mick.

— O jednej nic nie mogę powiedzieć. Gębę miała całkiem przefasonowaną, całą w szramach, siniakach i plastrach. Musiał ją za coś cholernie wyłomotać. Druga była brunetką, przystojną, raczej chudawą. Płuca niezbyt rozwinięte, ale takie fajne, spiczaste.

Stranahan nie mógł się zdecydować, czy głowa boli go coraz bardziej z powodu Freddiego, czy muzyki.

— Czy ta chuda była w niebieskich dżinsach?

Właściciel lokalu zapewnił, że nie pamięta.

— Czy coś mówiła?

— Nie, ani słowa.

— Facet miał broń?

Freddie znowu się roześmiał.

— Człowieku, on nie potrzebuje broni! Wystarczy, że ma przymocowanego do przedramienia tego swojego kręcioła. — Freddie wyjaśnił

Stranahanowi, co to za urządzenie i w jaki sposób mężczyzna znany pod przezwiskiem Chemo go używa.

— Zalewasz!

— Jak rany! — obruszył się Freddie. — Był najlepszym bramkarzem, jakiego kiedykolwiek miałem.

Stranahan wręczył właścicielowi klubu pięćdziesięciodolarowy banknot i numer telefonu sklepu z przynętami na przystani.

— Na wypadek, gdyby wrócił. Zadzwoń do mnie, zanim zawołasz gliny. Freddie schował pieniądze i oświadczył z filozoficzną zadumą:

— Człowieku, taki wybryk natury jak on łązi z dwoma dziwami! Najlepszy dowód, że nie ma Boga.

— Zobaczymy — odparł Mick.

## 28.

Chemo w pierwszym odruchu chciał się zmyć z forszą doktora, której było więcej, niż miałyby szansę zobaczyć u Amiszów, choćby przeżył u nich kilka żyć z rzędu. Zapraagnął zapomnieć o Stranahanie i spływać z miasta. Ale Maggie Gonzalez powiedziała mu, żeby nie bawił się w drobiazgi.

— Pamiętaj, co mamy — przypominała. — Chirurga na haku. Przecież to maszynka do robienia forsy, na litość boską.

Zapewniała go, że mogą trafić doktorka na milion, a nawet dwa. Rudy Graveline dałby wszystko, byle tylko zachować swoje uprawnienia lekarskie.

Prowadząc bonneville'a po Biscayne Boulevard, Chemo stwierdził:

— Już ta forsa wystarczyłaby, abym mógł wyreperować sobie twarz, i jeszcze by mi zostało na rok życia na Barbados. Może nawet udałoby mi się załatwić sobie prawdziwe włosy. Takie wstawki, które wtykają w skórę na głowie. Czytałem gdzieś, że zrobili tak Eltonowi Johnowi.

— Oczywiście — potwierdziła Maggie. — Znam paru lekarzy, którzy zajmują się włosami.

Próbowała manipulować Chemem tak samo jak z innymi mężczyznami, ale nie osiągała odpowiednich rezultatów. Jak do tej pory, nie zdołała nawet ustalić, jakie są motywy jego działania, oprócz oczywiście chęci odzyskania dobrej cery. Chemo co prawda wyraźnie doceniał pieniądze, lecz

nie zdradzał do nich jakiejś szczególnej namiętności. Natomiast seksem nie interesował się w ogóle. Maggie uznała, że zniechęcają go jej siniaki oraz bandaże, ale gdy tylko twarz się zagoi, jej uwodzicielska moc powróci. Wtedy pozostanie tylko jedyna przeszkoda, wyłącznie technicznej natury — co robić w łóżku z Niszczycielem Chwastów?

Gdy Chemo podjechał pod „Holiday Inn” na Sto Dwudziestej Piątej ulicy, Maggie zaproponowała:

— Możemy przenieść się do sympatyczniejszego hotelu, jeśli masz ochotę.

— Sprawiliby mi przyjemność — odparł Chemo — gdybyś mi oddała kluczyki od walizki. — Przekręcił kluczyk w stacyjce i wyciągnął prawą dłoń.

— Czy sądzisz, że jestem aż głupia, żeby próbować cię wyrolować?

— Tak — potwierdził Chemo, sięgając po jej torebkę. — Wystarczająco głupia.

Christina Marks usłyszała, że drzwi się otwierają, i modliła się, aby była to pokojówka. Ale nic z tego.

Zapaliło się światło i przy łóżku pojawił się doskonale wyprany z uczuć Chemo. Sprawdził węzły na przegubach i kostkach Christiny, a w tym czasie Maggie przemaszerowała do łazienki i z hukiem zatrzaskała za sobą drzwi.

Gdy dryblas wyjął jej ręcznik z ust, dziewczyna zapytała:

— Co ją ugryzło?

— Uważa, że jej nie ufam. I słusznie.

— Skoro już o zaufaniu mowa — powiedziała Christina — to niedawno trafiła mojego szefa na sporą sumkę.

— Będę o tym pamiętał — oświadczył Chemo, po czym usiadł na łóżku i zaczął liczyć pieniądze, które wyjął z kieszeni doktora Graveline'a. Liczenie jedną ręką nie przychodziło mu łatwo. Christina obserwowała go z zaciekawieniem. Skończywszy wielkolud włożył pięć tysięcy do dyplomatyki, w której znajdowała się pozostała część łupu, a cztery dwieście powędrowało za cholewki jego butów. Następnie wsunął walizeczkę pod łóżko.

— Pomysłowe — zauważyła Christina.

— Zamknij się.  
— Czy mógłbyś mnie odwiązać? Proszę. Muszę zrobić siusiu.  
— Jezu Chryste!  
— Chcesz, żebym zmoczyła łóżko? — zapytała. — I zniszczyła całą for-  
sę?

Chemo wyciągnął Maggie z łazienki, żeby pomogła mu rozplatać węzły na nylonowym sznurze do bielizny, którym przywiązali Christinę do łóżka. Gdy dziennikarka była już wolna, roztarła przeguby i usiadła sztywno.

— A więc załatw swój interes — burknął dryblas. A potem polecił Maggie: — Idź z nią.

— Nie mogę susiać, kiedy ktoś patrzy — zaprotestowała Christina.

— Co?

— Ma rację — przytaknęła była pielęgniarka. — Ze mną jest tak samo. Poczekam za drzwiami.

— Nie, zrobisz, co ci kazałem — upierał się Chemo.

— Przecież tam nie ma okna — przekonywała Christina. — Myślisz, że ucieknę przez sedes?

Gdy wyszła z łazienki, Chemo stał przy drzwiach. Zaprowadził ją z powrotem do łóżka, kazał się położyć i ponownie przywiązał — kolejna czynność trudna do wykonania jedną ręką.

— Ale bez knebla — zażądała Christina. — Obiecuję nie krzyżeć.

— No to będziesz gadać — stwierdził wielkolud. — Co jest jeszcze gor-  
sze.

Od ranka, kiedy porwał ją z hotelu na Key Biscayne, Chemo praktycznie nie odzywał się do Christiny. Właściwie wcale jej nie groził ani nie stosował przemocy — zupełnie jakby wiedział, że sam jego widok wystarczy, by odebrać odwagę. Dziennikarka dostrzegła zarys kolby rewolweru w kieszeni jego workowatych spodni, lecz dryblas ani razu go nie wyciągnął. Był to poważny postęp w porównaniu z dwoma poprzednimi spotkaniami, kiedy omal jej nie zastrzelił.

— Po prostu chcę wiedzieć, dlaczego to robisz i o co ci chodzi — odezwała się Christina.

Zachowywał się, jakby jej w ogóle nie słyszał. Maggie podała pannie Marks małeńki kubek pepsi.



— Nie dawaj jej za dużo pić — ostrzegł Chemo — bo będzie latała do kibla przez całą noc.

Włączył telewizor i skrzywił się. Zawodowa koszykówka — Lakersi i Pistony. Nie cierpiał koszykówki. Wskutek swojego wzrostu musiał przez całe dorosłe życie tłumaczyć nieokrzesanym nieznanym, że nie, nie jest zawodowym graczem w koszykówkę. Kiedyś krótkowzroczny kibic Celticów pomylił go z Kevinem McHale'em i poprosił o autograf. W odpowiedzi Chemo ugryzł go boleśnie w ramię jak koń.

Przełączał kanały tak długo, aż trafił na stary odcinek *Policjantów z Miami*. Podkreślił głos i przysunął fotel bliżej aparatu. Zazdrościł Donowi Johnsonowi jego trzydniowego zarostu — dzięki niemu wyglądał bezwzględnie i po męsku. Z oczywistych powodów Chemo nie golił się od czasu wypadku.

Odwrócił się do Maggie i zapytał:

— Czy mogą przesadzić włosy i na brode?

— Jasne — potwierdziła, chociaż prawdę mówiąc, nigdy nie słyszała o podobnym zabiegu.

Przytwardzona do łóżka jak motyl Christina oznajmiła:

— Wkrótce ktoś zacznie mnie szukać.

— I o to chodzi! — parsknęła Chemo.

Czy te baby nigdy się nie zamkną, pomyślał. Czy nie biorą pod uwagę, że może użyć przemocy?

Maggie usiadła przy Christinie i wyjaśniła:

— Musimy przekazać wiadomość twojemu przyjacielowi.

— Komu? Stranahanowi? Nie jest moim przyjacielem.

— Ale wątpię, czy chciałby, żeby stała ci się krzywda.

Christina starała się wyobrazić sobie, jak wygląda w tej chwili — przywiązana do łóżka, w samej bieliźnie. Co powiedziałby Reynaldo Flemm, gdyby tak nagle tu wpadł? Chyba pierwszy raz w życiu byłaby szczęśliwa, widząc tego głupiego sukinsyna, ale zdawała sobie sprawę, że nie ma szans na takie cudowne ocalenie. Skoro Mick nie mógł jej znaleźć, jak udałoby się to Reynaldowi?

— Jeżeli chodzi wam o kasetę wideo, to nie wiem, gdzie ona jest...

— Twój przyjaciel na pewno wie.

— Hej, popatrzcie no! — Chemo wskazał telewizor. Na ekranie detektyw Sonny Crockett w superszybkiej motorówce ścigał przemytnika

narkotyków po Osadzie na Palach. Christina po raz pierwszy zobaczyła uśmiech Chema. Wrażenie było wstrząsające.

— A więc w jaki sposób możesz się z nim porozumieć? — dopytywała Maggie.

— Z Mickiem? Nie wiem. Nie ma u siebie w domu telefonu. Za każdym razem, gdy chcę się z nim spotkać, wynajmuję łódź.

W telewizji zaczęły się reklamy i Chemo odwrócił się do kobiet.

— Jezu, nie mam ochoty jeszcze raz jechać do tamtego domu... Mam dosyć tego cholerstwa. Postanowiłem ściągnąć go tutaj. I przyjedzie, kiedy tylko się dowie, gdzie jesteś.

— Słowo daję, że nie sędzę, aby Mick zechciał zawracać sobie tym głowę — oświadczyła Christina głosem osoby usychającej z nieodwzajemnionej miłości.

— Lepiej się módl, aby zechciał — burknął Chemo. Wcisnął mocno ręcznik do ust dziennikarki i odwrócił się, aby obejrzeć dalszy ciąg programu.

Rankiem osiemnastego lutego, ostatniego dnia swojej prawniczej kariery, Kipper Garth wypełnił wniosek do sądu okręgowego hrabstwa Dade w sprawie Nordstrom kontra Graveline, *Whispering Palms et cetera*.

Wniosek dotyczył wydania przez sąd nakazu zamrożenia wszystkich aktywów doktora Graveline'a, w tym rachunków bankowych, świadectw depozytowych, pakietów akcji, obligacji, funduszy Keogha, prywatnych ubezpieczeń emerytalnych i udziałów w nieruchomościach. Do wniosku dołączono oświadczenie z Agencji Turystycznej Beachcomber informujące, że poprzedniego dnia rzeczony Rudolph Graveline nabył dwa bilety lotnicze pierwszej klasy do San José w Kostaryce. We wniosku tym (całkowicie sporządzonym przez Micka Stranahana i jednego z asystentów) Kipper Garth wysuwał przypuszczenie, że doktor Graveline zamierza na stałe uciec ze Stanów Zjednoczonych.

W normalnej sytuacji takie wystąpienie dotyczące aktywów pozwanego spowodowałoby przeprowadzenie zwykłej, pełnowymiarowej rozprawy i najprawdopodobniej odrzucenie wniosku. Ale stanowisko Kippera Gartha (a tym samym i Nordstromów) zostało wsparte dyskretnym telefonem Stranahana do sędziego, którego Mick znał jeszcze jako młodego

prokuratora. Stranahan przypomniał mu się i wyjaśnił prawdziwy powód swojego telefonu — taki mianowicie, że doktor Rudy Graveline jest najpoważniejszym podejrzanym w niewyjaśnionym przypadku porwania sprzed czterech lat, który może okazać się zabójstwem. Mick zapewnił swojego przyjaciela, że zamiast stanąć przed sądem, chirurg będzie wolał zgromadzić cały szmal i zwiać z nim z kraju.

Sędzia wydał nakaz tuż po dziewiątej rano i Kipper Gartha oszołomiło poczucie sukcesu. Nigdy nie wyobrażał sobie, że to cholerne postępowanie sądowe może być aż tak proste. Przez cały dzień marzył o tym, że zerwie z pośrednictwem i stanie się znanym, szanowanym w całym Miami adwokatem procesowym. Ale Kipper Garth lubił również plakaty. Bez względu na to, jak wybije się wśród orłów Temidy z Brickell Avenue, plakaty z całą pewnością będą musiały pozostać...

O dziesiątej czterdzieści pięć Rudy Graveline przybył do swojego banku w Bal Harbour i poprosił o dokonanie przelewu dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów ze swojego osobistego rachunku na nowy rachunek w Panamie oraz o sześćdziesiąt tysięcy w banknotach i czekach podróży. Obsługujący go młody pracownik bankowy wyszedł z gabinetu na kilka minut. Powrócił w towarzystwie jednego z wiceprezesów banku.

Rudy bardzo źle przyjął przekazaną mu wiadomość.

Najpierw płakał, co było zaledwie kłopotliwie. Potem zaczął się wściekać, wpadł w histerię i wreszcie całkowicie stracił nad sobą kontrolę. Zataczając się i lamentując, wybiegł do holu bankowego, skąd wyprowadzili go wezwani dwaj gigantyczni ochroniarze.

W drodze na parking Rudy zdołał się już opanować i przestał płakać. Aż do momentu, gdy jeden ze strażników wskazał na błotnik samochodu i zapytał:

— Bracie, co się stało z twoim jaguarem?

Być może euforia wywołana prawniczym triumfem — albo też zwykła ciekawość — skłoniła Kipper Gartha do odwiedzenia w porze lunchu domu państwa Nordstromów. Mieszkali w Morningside, sympatycznej starej dzielnicy ozdobionych białą sztukaterią domów, w odległości kilku przecznicy od najbardziej osławionego odcinka Biscayne Boulevard.

Marie Nordstrom zdziwiła się, widząc adwokata, ale przywitała go serdecznie, zaprowadziła do pokoju i zaproponowała filiżankę kawy. Miała na sobie opalizujące niebieskie rajtuzy z lycry, a włosy ściągnęła w dziewczęcy koński ogon. Kipper nie mógł oderwać wzroku od przedmiotu pozwu, czyli jej piersi. Strój treningowy uwydatniał je w całej okazałości i Garth uznał, że jest to najsympatyczniejszy biust, jaki kiedykolwiek widział. Trudno go było wyobrazić sobie w roli broni.

— Johna nie ma — wyjaśniła pani Nordstrom. — Poszedł na rozmowę w sprawie pracy trenera peloty. Używa pan śmietanki?

Kipper owszem, używał. Gospodyni postawiła dzbanek z kawą na szklanej tacy. Prawnik zrobił jej miejsce obok siebie, ona jednak wybrała podwójny fotelik naprzeciwko niego.

— Chciałem tylko podać państwu datę sprawy — oznajmił Garth, a następnie rzeczowym tonem poinformował o nakazie sądowym zamrożenia aktywów doktora Graveline'a.

— A co to właściwie znaczy?

— Że jego pieniądze nigdzie się nie przemieszczą, nawet gdyby usiłował to zrobić.

Pani Nordstrom nie przyjęła wiadomości tak entuzjastycznie, jak Kipper oczekiwał. Najwyraźniej nie doceniała wagi jego osiągnięcia.

— Rozmawialiśmy z Johnem ostatniej nocy — powiedziała. — Ten proces... Nie wiem, panie Garth. To takie krępujące dla nas obojga.

— Już się państwo zdecydowali, pani Nordstrom. Nie sposób się wycofać. — Adwokat próbował stłumić panikę w swoim głosie. Ma już Rudy'ego Graveline'a na widelcu i nagle powodowie postanawiają się wycofać!

— Może doktor zgodziłby się pójść na ugodę? — zapytała pani Nordstrom.

Kiper Garth z brzękiem odstawił filiżankę i złożył ręce na piersi.

— O tak, z całą pewnością — oświadczył. — Jestem pewien, że z radością pójdzie na ugodę. Ale my nie chcemy o tym słyszeć. Jeszcze nie.

— John mówił...

— Proszę mi zaufać — przerwał jej prawnik. Zawiesił głos i spuścił wzrok. — Proszę mi wybaczyć, pani Nordstrom, lecz pójdźcie na ugodę byłoby egoizmem z pani strony.

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Proszę pomyśleć o tych wszystkich pacjentach, których skrzywdził ten człowiek — kontynuował Kipper. — Ten r z e k o m y chirurg. Jeżeli nie powstrzymamy go, nikt tego nie uczyni. Jeśli pójdzie pani na ugody, pani Nordstrom, ten proceder będzie trwał. Pani wraz z mężem będziecie bogaci, tak, ale rzeźnik Graveline nadal będzie działał. Po zawarciu ugody pozew zostanie wycofany, a jego reputacja ocalona. Po raz kolejny. Czy naprawdę tego pani chce?

Kipper wsłuchiwał się we własne słowa, wyraźnie sobą zachwycony. Upewnił się, że staje się dobrym oratorem.

Zapadła niezręczna cisza, po czym pani Nordstrom odezwała się wreszcie:

— Jest posada trenera peloty. John kiedyś grał w nią w college'u i był wspaniały. Jednego lata pojechał nawet do Hiszpanii i trenował z Baskami.

Kipper Garth nigdy nie słyszał o skandynawskim trenerze peloty, lecz jego wiedza sportowa była dość ograniczona. Ociekając serdecznością, oznajmił gospodyni, iż ma nadzieję, że jej mąż otrzyma tę pracę.

— Kłopot w tym, że nie może wspomnieć o swoim oku — stwierdziła. — Nigdy by go nie zatrudnili.

— Dlaczego?

— Zbyt niebezpieczne — odparła. — Piłka, której używa się w grze, jest twarda jak kamień. Dlatego nazywa się ją *pelota*. John mówi, że odbija się od ścian z prędkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Kipper dopił kawę.

— Nigdy nie byłem na meczu peloty. — Łudził się, że kobieta pojmie aluzję i zmieni temat.

— Jeżeli jest się graczem, dobrze mieć zdrowe oboje oczu — kontynuowała jednak objaśnienia pani Nordstrom. — Sprawa głębi widzenia.

— Chyba rozumiem.

— John jest przekonany, że nie pozwoli mu zostać trenerem, jeśli dowiedzą się o wypadku.

Teraz Kipper rozumiał już wszystko.

— Dlatego chcecie państwo ugody?

Pani Nordstrom potaknęła, dodając, że obawiają się rozgłosu.

— John powiedział, że gazety i telewizja rzucą się na taką historię.

No jasne, pomyślał Kipper.

— Ale jest pani ofiarą, pani Nordstrom. Ma pani prawo otrzymać odszkodowanie za to straszliwe wydarzenie w pani życiu. Tak głosi konstytucja.

— Podobno pozwalają na używanie w sądzie kamer. Czy to prawda?

— Tak, lecz nie dajmy się ponieść emocjom...

— A gdyby sprawa dotyczyła pańskiej żony, chciałby pan, żeby cały świat oglądał jej piersi w głównym wydaniu dziennika? — Ton jej głosu był pełen oburzenia i urażonej godności.

— Porozmawiam z sędzią, pani Nordstrom. Proszę się nie martwić. Wiem, że przeszła już pani prawdziwe piekło. — Jego samego podniecała myśl o kamerach telewizyjnych w sali sądowej. Byłyby o wiele lepsze niż tablice z afiszami!

Marie Nordstrom próbowała nie płakać i trzymać się dzielnie.

— Wszystkiemu jest winien ten cholerny Reagan. Gdyby nie rozbił związku, John nie utraciłby pracy na wieży kontroli lotów.

— Proszę mi zaufać, a będziecie państwo zabezpieczeni na całe życie — uspokajał adwokat. — John nie będzie musiał pracować.

Pani Nordstrom z zadumą opuściła wzrok na dwa sztywne, umocnione silikonem i opięte lycrą stożki na swym torsie.

— Mówią, że skurcze są łatwe do wyleczenia, ale czy ja wiem...

Kipper Garth okrążył stolik, usiadł obok niej i objął ją za ramiona.

— W każdym razie wy g l ą d a j ą wspaniale — zapewnił.

— Dziękuję — szepnęła — lecz pan po prostu nie ma pojęcia... Bo niby skąd?

Prawnik wyjął jedwabną chusteczkę z kieszonki na piersi i podał ją kobiecie, która wydmuchała nos z odgłosem syreny SS „Norway”.

— Proszę pani — oznajmił — uważam, że powinna mi pani pozwolić je dotknąć.

Marie Nordstrom wyprostowała się i parsknęła z oburzeniem.

— Jedyńm sposobem pojęcia, a zatem i przedstawienia sądowi całego ogromu pani tragedii, może być tylko osobiste doświadczenie.

— Chwileczkę... Chce pan dotknąć moich piersi?

— Jestem pani adwokatem, pani Nordstrom.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

— Gdyby chodziło o poparzenie, musiałbym zobaczyć blizny. Podobnie w wypadku utraty członków, paraplegii i tak dalej.

— Oglądanie to jedno, panie Garth, a dotykanie to zupełnie co innego.

— Z całym szacunkiem, pani Nordstrom, ale pani mąż będzie w tej sprawie fatalnym świadkiem. Zrobi wrażenie samolubnego palanta. Pamięta pani, jakiego określenia użył wówczas, w moim gabinecie? „Kule bilardowe”, pani Nordstrom. Powiedział, że pani piersi były twarde jak kule bilardowe. Trudno uwierzyć, że tak wyraża się wrażliwy, troskliwy małżonek.

— Pan też byłby rozgoryczony, gdyby to panu wybito oko.

— Zgoda. Niech mi jednak pani pozwoli znaleźć jakieś delikatniejsze określenie pani stanu. Proszę, pani Nordstrom.

— Dobrze, ale nie zdejmę ubrania.

— Oczywiście, że nie!

Przysunęła się nieco bliżej adwokata i przyłożyła jego rękę do swego biustu.

— No proszę — rzekła.

— O rany — westchnął Kipper.

— I jak by je pan określił?

— Hmm.

— Może już pan je puścić — zaproponowała.

— Sekundę.

Ale sekunda zmieniła się w dziesięć, a dziesięć w trzydzieści, i czas ten wystarczył Johnowi Nordstromowi na wejście do domu i przyjrzenie się całej scenie. Bez słowa załadował plecioną *cesta* i cisnął wykonaną z koziej skóry piłkę w obleśnego prawnika, który obmacywał jego żonę. Pierwsza piłka poleciała daleko w lewo i wybiła okno, druga z głuchym łupnięciem wyrznęła w poręcz fotelika. I wtedy Kipper Garth wypuścił z dłoni zadziwiająco twarde piersi Marie Nordstrom i w skazanej na niepowodzenie próbie rzucił się ku drzwiom kuchennym. Nigdy jednak nie dowiemy się, czy w pełni pojął, jak bardzo naruszył etykę zawodową, czy też kierował nim jedynie zwierzęcy instynkt samozachowawczy. Trzecia i ostatnia piłka Johna Nordstroma trafiła adwokata prosto w potylicę. Był już nieprzytomny

w chwili, gdy jego srebrnogrzywa głowa palnęła w podłogę.

— Ha! — zawołał Nordstrom.

— Domyślam się, że dostałeś pracę — odezwała się jego żona.

Kamerzysta Willie oświadczył, że są dwa sposoby dostania się do środka — wdrzeć się siłą albo wślizgnąć ukradkiem.

— Wedrzyj się siłą — polecił Reynaldo Flemm.

— Pomyśl o koordynacji czasu — zauważył Willie. — Musi być nienaganna. Nigdy dotąd nie próbowaliśmy czegoś takiego. — On sam był raczej zwolennikiem użycia ukrytej kamery.

— Wedrzyj się siłą — powtórzył Flemm. — Tam nie ma ochrony, przecież to jest tylko zwykła klinika. Kto miałby cię zatrzymać? Siostrzyczka?

Willie oświadczył, że plan mu się nie podoba, bo za dużo w nim luk.

— A co będzie, jeżeli facet zwieje? Albo zadzwoni po policję?

— A dokąd niby pójdzie, co, Willie? Na tym polega całe piękno naszego planu. Skurwysyn nie może uciec, i dobrze o tym wie. Nie może zwać przed kamerą. Obowiązują ich przepisy.

— Jezu! — westchnął kamerzysta. — Nie podoba mi się to i już. Musimy ustalić jakiś sygnał.

— Nie martw się — uspokajał go Reynaldo. — Ustalimy.

— A co z wywiadem? — dociekał Willie. Była to jeszcze jedna próba wprowadzenia do gry Christiny Marks.

— Sam napisałem swoje pytania — odparł ostro Reynaldo. — Też chwycę go nimi za jaja. Tylko poczekaj.

— No dobra — rzekł Willie. — Będę gotów.

— Punkt o siódmej — przypomniał mu Reynaldo. — Nie do wiary, że tak się denerwujesz. Człowieku, to nie Anioły Piekła, ale pieprzony doktor. Pęknie jak balon, zaręczam ci. Zobaczysz, wszystko nam wyśpiewa.

— Punkt o siódmej — powtórzył Willie. — No to cześć.

Gdy kamerzysta odszedł, Reynaldo Flemm zadzwonił do Sanatorium i Centrum Chirurgicznego Whispering Palms, aby potwierdzić wizytę Johnny'ego LeTigre'a. I zdziwił się, gdy sekretarka połączyła go bezpośrednio z doktorem Graveline'em.



- Czy jutrzejszy termin jest aktualny?
- Oczywiście — powiedział chirurg. Sądząc po głosie, był jakiś rozkojarzony i przygaszony. — Proszę pamiętać, żeby po północy nic nie jeść ani nie pić.
- Tak jest.
- Zaczniemy od operacji nosa, a potem przeprowadzimy odsysanie tłuszczu.
- Nie mam nic przeciwko temu — zgodził się Reynaldo. Tak właśnie sobie zaplanował. Najpierw nos.
- Panie LeTigre, jeszcze jedno pytanie związane z honorarium...
- Umówiliśmy się na piętnaście tysięcy.
- Tak, tak — potwierdził Rudy Graveline. — Chciałem się tylko upewnić... Czy nie wspominał pan coś o gotówce?
- Owszem, płacę gotówką.
- Od razu jutro?
- Jasne. — Reynaldo nie mógł uwierzyć, że ktoś może być aż takim fiutem. Pewnie zgarnia dwa miliony rocznie, a tu trzęsie się nad głupimi piętnastoma kawałkami. Mają rację ci, którzy twierdzą, że lekarze to skąpe skurwysyny.
- Czy powinienem pamiętać o czymś jeszcze?
- Proszę wypić dużo płynów — odparł mechanicznie Rudy. — Ale nic po północy.
- Będę grzecznym chłopcem — obiecał Flemm. — Do zobaczenia jutro.

## 29.

Przez noc wiatr wzmógł się i teraz gwizdał w szczelinach domu oraz tłukł okiennicami o ściany. Mick wspiał się nagi na dach i położył ze strzelbą przy prawym boku. Zatoka była rozhukana i czarna, woda z sykiem przelewała się między palami pod budynkiem. W górze chmury przepływały wirującymi kłębami po niskim niebie. Jak zawsze Stranahan leżał zwrócony twarzą do miasta, którego halogenowe światła plamiły skądinąd ładną linię horyzontu. W taką noc jak ta miasto przypominało Mickowi złośliwy nowotwór, a jego chorobliwa pomarańczowa poświata — ogromny, przymglony pęcherz gazu gnilnego. Zarys śródmieścia, które wyglądało, jakby wystrzeliło w ciągu jednej nocy w spazmie administracyjnego priapizmu, sprawiał wrażenie kretyńskiej, ale imponującej dekoracji, wymyślnego planu filmowego. Połowa wieżowców Miami, wybudowana za pieniądze z handlu kokainą, w poważnym stopniu stanowiła prywatny dowcip; miraż, który miał zadowolić banki, Urząd Skarbowy i Izbę Handlową. Wszyscy lubili powtarzać, że panorama miasta stanowi pomnik miejscowej prosperity, lecz Stranahan uważał ją za hołd złożony anonimowemu geniuszowi latynoskich praczy brudnych pieniędzy. W każdym razie nie było to coś, co pragnąłby podziwiać z dachu swojego domu. Widok na południe od śródmieścia również nie był sympatyczny — pulsujące skupisko budynków od Coconut Grove, przez Gables do South Miami i dalej. Na zachodzie w pogodniejszy wieczór Mick mógł dostrzec najnowszy punkt orientacyjny

na wybrzeżu — strome dziesięciopiętrowe urwisko śmieci, znane jako Mount Trashmore. Wykorzystawszy wszystkie położone na uboczu miejsca na ukrycie wszelkich odpadów, hrabstwo Dade wzniosło ten gigantyczny śmierdzący punkt orientacyjny na brzegach zatoki Biscayne. Stranahan nie potrafił się zdecydować, który widok jest obrzydliwszy — panorama miasta czy góra śmieci. Sępy, szarpane równie sprzecznymi uczuciami, regularnie przemieszczały się między jednym miejscem a drugim.

Mick zawsze z wdzięcznością przyjmował czystą, oceaniczną bryzę. Wyciągnął się na wschodnim stoku dachu, wychodzącym na Atlantyk. DC-10 wystartował z Miami International i przeleciał nad Osadą na Palach, wprawiając w drżenie wiatrak na szczycie domu. Stranahan zastanawiał się, jak by to było, gdyby któregoś dnia obudził się i zobaczył, że miasto wyparowało, niebo stało się czyste i ciche, a brzeg pokryty bujną dziewiczą roślinnością.

Chłodny wiatr łaskotał jego włosy na piersi i nogach. Mick poczuł smak soli na wargach i zamknął oczy. Jedną z jego byłych żon, nie mógł sobie przypomnieć która, oświadczyła mu, że powinien przenieść się na Alaskę i zostać pustelnikiem. „Jesteś takim starym ponurakiem — powiedziała — że zirytowałbyś nawet niedźwiedzie grizzli”. Teraz sobie przypominał, która to była — Donna, jego druga. „Każde wielkie miasto niesie ze sobą zepsucie. Spójrz na Nowy Jork — mówiła — na Chicago. To są cholernie wielkie miasta, musisz przyznać, Mick”. Podobnie jak wiele kelnerek, Donna stanowczo odrzucała niewiarę w ludzkość. Wierzyła, że dobrzy ludzie są liczniejsi niż źli, i dysponowała odpowiednimi dowodami. Po rozwodzie zapisała się do szkoły wieczorowej i zdobyła zezwolenie na handel nieruchomościami w obrębie stanu Floryda. Mick słyszał, że przeniosła się do Jacksonville i stała wielką szychą na rynku budownictwa mieszkaniowego na nabrzeżach. Posępnie uświadomił sobie, że wszystkie jego byłe żony (nawet Chloe, której udało się złapać dyplomowanego księgowego) po rozstaniu z nim zdecydowanie rozwinęły skrzydła. Zupełnie jakby małżeństwo ze Stranahanem pozwoliło im zrozumieć, jak wiele tracą z uroków życia.

Pomyślał o Christinie Marks. W jaki sposób wpłatał się w historię z tak poważną kobietą? W przeciwieństwie do innych, które kochał i z którymi

się żenił, Christina zażarcie tropiła wszystko, co złe, zepsute i brzydkie. Jej praca polegała na obnażaniu brudu i zła. Nie było w niej cienia prawdziwej niewinności, ani śladu radosnego optymizmu kelnerki... a jednak przyciągało go do niej coś niezwykle silnego. Może to, że brnęła przez identyczne moralne bagna? Skorumpowani gliniarze, przekupni sędziowie, występni lekarze, ekszony, nawet przystrzygacze drzew — wszystko to było pomiotem wielkiego miasta.

Palce Stranahana namacały kolbę strzelby. Przysunął ją bliżej. Wkrótce zasnął i śniło mu się, że Victoria Barletta żyje. Że spotkał ją pewnego wieczoru w „Rathskeller”, w miasteczku studenckim Uniwersytetu Miami. Stała za barem i miała nos przewiązany różowym bandażem. Mick zamówił piwo i średniego cheeseburgera, a potem zapytał, czy chciałaby za niego wyjść. Powiedziała, że oczywiście.

Obudziła go łódź. Była to znajoma żółta motorówka z wielkim przyczepnym silnikiem. Stranahan dojrzał ją z odległości mili, jak pędziła nad płyciznami. Uśmiechnął się — to zbliżał się jego przyjaciel, przewodnik wędkarzy łowiących bananowe ryby. Z powodu niskich, brudnych chmur trudno było określić godzinę, ale Mick doszedł do wniosku, że słońce musiało wzejść nie dalej niż jakieś dwie godziny temu. Zeskoczył z dachu, ukrył remingtona w domu i włożył dzinsy, nie chcąc gorszyć klientów przyjaciela. A była to ciekawa para. Mężczyzna wyglądał co najmniej na sześćdziesiąt pięć lat, był tęgi i szary, o skórze przypominającej papier ryżowy. Kobieta zaś liczyła sobie najwyżej dwadzieścia pięć wiosen, była wysoką ciemną blondynką o ustach wymalowanych lśniącą koralową szminką i ze złotym łańcuchem na szyi.

Szyper wspiął się do domu i oznajmił:

— Mick, dobrze się przyjrzyj. Pieprzona szminka w taki dzień jak dzisiaj.

Stranahan słyszał, jak na zacumowanej w dole łodzi para sprzecza się na temat pogody. Kobieta chciała wracać, ponieważ nie było słońca, aby przyzwycięzić się opalić, a stary facet sprzeciwiał się, mówiąc, że zapłacił, więc będą łowili ryby.

— Masz świętą cierpliwość — stwierdził Mick.

Szyper pokręcił głową.

— Mam morderczy dług hipoteczny. Trzymaj, to dla ciebie.

Podał mu kopertę, na której widniało wypisane drukowanymi literami nazwisko Stranahana.

— Dała mi ją kobieta z podbitymi oczyma — wyjaśnił. — Kubanka, nie najgorsza. Zaproponowała sto dolców.

— Chyba wzięłeś, co?

— Stało na dwustu — roześmiał się szyper.

Mick złożył kopertę na pół i wetknął ją do tylnej kieszeni spodni.

— Jakies kłopoty? — zapytał przewodnik.

— Tylko interesy.

— Mick, przecież ty nie prowadzisz żadnych interesów.

— Racja — Stranahan uśmiechnął się ponuro. Wiedział, co myśli jego przyjaciel. Samotny facet, z sympatycznym domem na wodzie, dobrą łodzią rybacką, comiesięczną rentą inwalidzką od państwa — po cholere miałby psuć taki cudowny układ jak ten?

— Słyszałem, że jakiś dupek postrzelał ci chałupę.

— Tak. — Mick wskazał na kawał świeżej dytki w drzwiach, zakrywający dwie dziury po pociskach Chema. — Muszę zdobyć trochę czerwonej farby — dodał.

— Mniejsza o dom, co z twoim ramieniem?

— W porządku — zapewnił Stranahan.

— Nie martw się, dowiedziałem się o tym od Luisa.

— Nie ma sprawy. Chcesz kawy?

— Nie. — Szyper machnął kciukiem w stronę łodzi. — Ten stary pierdoła jest w zarządzie jakiejś firmy stalowniczej na północy. A ona to jego sekretarka.

— Niech go Bóg strzeże.

— Ostatnim razem, kiedy popłynęliśmy na ryby — zwierzył się przewodnik — zdjęła dół od kostiumu. Słowo daję, Mick. Nie górę, ale właśnie dół. I przez cały dzień musiałem patrzeć na ten jej krzak. Powiedziała, że chce sobie rozjaśnić włosy. Ja tu ganiam jak wariat za tymi pieprzonymi rybami, a ona wykręca fikołki na dziobie, żeby wystawić ten swój krzak do słońca.

— Nie wiem, jak możesz coś takiego wytrzymać — stwierdził ze współczuciem Stranahan.

— A dzisiaj nie ma słońca i baba dostaje pierdolca. Z kolei ten stary przyk uwziął się, żeby wziąć na muchę bananową rybę. Pragnie zdobyć

rekord świata. Tylko tyle. Mick, jestem już za stary na takie gówno. — Wcisnął czapkę tak głęboko na głowę, że przygiął sobie uszy, i powoli zszedł po schodach na pomost.

— Powodzenia! — zawołał Stranahan.

W tej sytuacji jego słowa zabrzmiały jak szyderstwo.

Szyper odcumował żółtą motorówkę i wskoczył do środka. Zanim zapuścił silnik, podniósł twarz, popatrzył na kumpla i rzekł:

— Będę się tu jutro kręcił, nawet przy złej pogodzie. Pojutrze też.

Mick skinął głową. Dobrze o tym wiedzieć.

— Dziękuję, kapitanie — odparł.

Gdy motorówka odpłynęła, Stranahan wrócił na dach domu i wyjął z kieszeni kopertę. Otworzył ją, nie denerwując się ani trochę, ponieważ wiedział, co zawiera i kto ją przysłał. Czekał na nią.

Wiadomość brzmiała: „Mamy twoją przyjaciółkę. Żadnych glin!” I numer telefonu.

Mick zapamiętał go, zmiął papier i cisnął w mętną wodę.

— Ktoś się za dużo naoglądał telewizji — mruknął.

Po południu Stranahan otrzymał kolejną denerwującą wiadomość. Dostarczył mu ją Luis Córdova z patrolu morskiego. Potem obaj popłynęli motorówką do przystani Crandon, skąd Mick taksówką udał się do swojej siostry w Gables-by-the-Sea.

Sierżant Al Garcia kręcił się niecierpliwie na wejściowym tarasie. Na garnitur J.C.Penney narzucił płaszcz, który sprawiał wrażenie autentycznego London Fog. Stranahan domyślał się, że detektyw jest zdenerwowany, ponieważ znowu palił te cholerne camele. Zanim Mick zdążył zapłacić taksjarsowi, Garcia popędził w jego stronę, a z jego nozdrzy buchały smugi niebieskiego dymu niczym bykowi z kreskówki.

— No! — zaczął. — Luis cię wprowadził?

Stranahan potwierdził. Wiedział już, że Kipper Garth został poważnie zraniony w czasie kłótni domowej. Sierżant zastąpił mu drogę.

— Przez klienta, Mic. Wyobrażasz sobie?

— Nie znam tego klienta, Al.

— Nazywa się Nordstrom. John Nordstrom. — Garcia przesunął

wilgotny pet camela z jednego kącika ust w drugi, tak samo, jak robił to z cygarami. Mick stwierdził, że cholernie go to rozprasza.

— Według zeznań żony — wyjaśniał detektyw — napastnik nieoczekiwanie powrócił do domu i przyłapał twojego szwagra, teraz już prawie denata...

— Dziękuję, Al.

— ...przyłapał twojego szwagra, teraz już prawie denata, jak obmacuje jego połowicę. Wpadł w furję i próbował przynajmniej trzykrotnie trafić obecną ofiarę za pomocą peloty. To taka piłka, Mick. Trzecim rzutem uderzył twojego szwagra w podstawę czaszki, odbierając mu przytomność.

— Głupi dupek. Jak się ma Kate?

— Jest zdziwiona — rzekł Garcia. — Ale właściwie czyż nie dotyczy to nas wszystkich?

— Chcę się z nią zobaczyć. — Stranahan wyminął detektywa i ruszył do drzwi frontowych. Jego siostra stała w oknie saloniku i patrzyła na jacht żaglowy Kipperera „Ból i Cierpienie”, kołyszący się delikatnie przy pomoście na tyłach domu. Mick objął ją i pocałował w czoło.

Pociągnęła nosem i zapytała:

— Powiedzieli ci?

— Tak, Kate.

— Że obmacywał klientkę?

— Tak twierdzi ta kobieta — odparł.

Kate roześmiała się z goryczą.

— A ty jej nie wierzysz? Daj spokój, Mick. Ja wierzę. Spójrzmy prawdzie w oczy: Kipper był świnią. Ty się na nim poznałeś, to ja się myliłam.

Stranahan nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Miał też pewne zalety. — Jezu, ależ palnął. — Ma swoje zalety — poprawił się.

— Lekarze dają mu pięćdziesiąt procent szans, lecz jestem przygotowana na najgorsze. Kipper nigdy nie potrafił walczyć.

— Może ci zrobić niespodziankę — rzucił bez przekonania.

— Mick, muszę ci się przyznać, że tak naprawdę zdawałam sobie sprawę, co on wyprawia. Boże, gdybyś słyszał niektóre jego wymówki. Późne powroty, weekendy, wyjazdy Bóg wie gdzie. Udawałam, że mu wierzę, no... bo podobało mi się takie życie, Mick. Dom... ta duża parcela. To brzmi

egoistycznie, ale czułam się tu dobrze. Bezpiecznie. Okolica jest cudowna.

— Katie, bardzo mi przykro.

— Rozumiesz, musiałam brać to pod uwagę, gdy nachodziła mnie myśl, żeby go rzucić.

Kate oparła bratu dłoń na ramieniu i dodała:

— Wiedziałeś o jego skokach w bok?

— Nie o wszystkich.

— Dziękuję, że mi o tym nie mówiłeś. — Była zupełnie szczerą.

Stranahan czuł się jak skończony drań, za którego się zresztą uważał.

— To przeze mnie — oświadczył. — Kazałem Kipperowi, żeby wziął tę sprawę. Zmusiłem go.

— W jaki sposób? — zainteresowała się Kate. — I dlaczego?

— Bez względu na to, co sądzisz, wszystko jest jeszcze gorsze. Nie mogę ci podać szczegółów, Kate, ponieważ zapowiadają się kłopoty i chcę cię przed nimi uchronić. Powinnaś jednak wiedzieć, że właśnie ja wplątałem Kipperera w całą sprawę.

— Ale nie kazałeś mu łapać klientki za cycki. Sam to zrobił. — Odwróciła się z powrotem w stronę wielkiego okna i skrzyżowała ramiona na piersi.  
— Wszystko jest takie... lepsze.

— Tak — przyznał Stranahan. — Bardzo odpowiednie słowo.

Gdy wyszedł z domu, Garcia już na niego czekał.

— Czy nie byłem uprzejmy, że nie wdarłem się do środka i nie zrobiłem wielkiej kubańskiej sceny przed twoją siostrą?

— Al, jesteś pieprzonym księciem wśród wszystkich ludzi.

— Wiesz, dlaczego przywdziałem ten płaszcz? Między nami mówiąc, całkiem nowiutki. Bo musiałem pójść na pogrzeb Bobby'ego Pepsicala, członka komisji administracyjnej hrabstwa. Padł trupem w czasie spowiedzi.

— Dobry moment na zejście. Był patentowanym łajdakiem.

— Oczywiście, Mick. Ale mam wrażenie, że nie dostał rozgrzeszenia.

— Dlaczego?

— Ponieważ w konfesjonale nie było księdza. Bobby spowiadał się przed pustym miejscem. Dosić niesamowite, co? W każdym razie kazali



kilku z nas iść na ten pieprzony pogrzeb, ze względu na to, że był tym, kim był. I dlatego wzięłem nowy płaszcz. Padało.

— Jak to się odbyło? — zapytał Mick. — Facet był takim krętaczem, że powinni go wwiercić w ziemię jak korkociąg.

— Wiem, ale rany boskie, człowieku, należy się trochę szacunku umarłym. — Garcia potarł skronie, jakby złapał go jakiś skurcz. — To przez ciebie, tak mnie zdenerwowałeś, Mick. Od kiedy zacząłem się zajmować tą sprawą z tobą i doktorem, tyłu już ludzi zdążyło opuścić ten padół. I to w dziwny sposób. Twoja była, Murdock i Salazar — kolejny pogrzeb! Potem ten cholerny, morderczy przystrzygacz drzew. A teraz znowu: sterczę na deszczu, patrząc, jak przyklepują tyłek jakiemuś politykowi o lepkich łapskach, który odwalil kitę w pustym konfesjonale, i raptem słyszę, że piszczy mój pager. No i dowiaduję się od porucznika, że jakaś prawnicza gruba ryba oberwała piłką do peloty i w każdej chwili przypadek może zostać zakwalifikowany jako zabójstwo. Piłka do peloty! A już szczytem wszystkiego jest fakt, że ta prawnicza gruba ryba to twój szwagier. Przecież to istny koszmar!

— Rzeczywiście, miesiąc nie był najlepszy — przyznał Stranahan.

— Jasne, że nie był. A więc o co chodzi z tymi Nordstromami?

— Już ci powiedziałem. Nie znam ludzi.

Garcia zapalił kolejnego papierosa i Mick się skrzywił.

— Wiesz, dlaczego pałę to świństwo? — odezwał się detektyw. — Bo się denerwuję, kiedy ktoś mnie robi w konia, a nie cierpię marnować dobrych cygar na swoje nerwy.

— Czy mógłbym cię poprosić, żebyś łaskawie nie dmuchał mi w nos? — zwrócił się do niego Stranahan. — Tylko o taki drobiazg.

Sierżant wyjął papierosa z ust i schował go za plecami.

— No, jesteś zadowolony? A teraz pomóż mi, Mick. Żona napastnika twierdzi, że ni stąd, ni zowąd zadzwonił do nich Kipper Garth i zapytał, czy chcą skarżyć — zgadnij kogo? — Rudy'ego Graveline'a! Ponieważ był tym konowalem, który zafundował jej skurcz czegoś tam.

— Jeżeli tak twierdzi, w porządku.

— Przecież prawnicy nie mogą narzucać swoich usług.

— Al, nie zapominaj, że jesteśmy w Miami.

Garcia zaciągnął się szybko i znowu schował camela.

— Moim zdaniem w jakiś sposób zmusiłeś swojego obleśnego, obecnie

ledwo żywego szwagra, by pozwał doktora, po prostu tak, żeby go chwycić za jaja. Rozrobić sprawę. Może nawet wypłoszyć wielkiego pana Blondella Tatum z rynsztoka, w którym się ukrył. Nie oczekuję, że otworzysz przede mną serce, Mick, ale powiedz mi tylko: udało ci się? Bo jeśli tak, jesteś pieprzonym geniuszem i przepraszam cię serdecznie za wszystkie paskudstwa, jakie mówiłem na twój temat przez sen.

— Co miało mi się udać?

Sierżant uśmiechnął się jadownicie.

— Myślałem, że jesteście kumplami.

— Al, nie zamierzam trzymać cię w niewiedzy — zapewnił Stranahan.

— Na litość boską, przecież ocalałeś mi życie.

— O rany, pamiętasz!

— Kogo chcesz, Al? Tego zwariowanego zabójcę czy doktora?

— Obu.

— Bardzo mi przykro, lecz nie.

— Hej, mógłbym cię wsadzić od ręki. Utrudnianie, manipulowanie dowodami — powód łatwo wymyślić.

— Wyszedłbym w ciągu godziny.

Detektyw zacisnął zęby i na chwilę odwrócił się, wrząc z wściekłości. Gdy znowu spojrzął na Stranahana, sprawiał wrażenie bardziej rozbawionego niż rozgniewanego.

— Cały kłopot polega na tym, Mick, że jesteś za sprytny. Za dobrze znasz cały system. I moje możliwości.

— Wierz mi, jesteście po tej samej stronie.

— Wiem, *chico*. I to mnie przeraża.

— A więc którego skurwysyna wybierasz: chirurga czy świra.

— Nie poganiaj mnie, Mick.

## 30.

Wczesnym rankiem dziewiętnastego lutego Reynaldo Flemm, słynny dziennikarz Shock Television, przybył do Sanatorium i Centrum Chirurgicznego Whispering Palms, aby przeprowadzić najbardziej sensacyjny wywiad w całej swojej sensacyjnej karierze. Zaspana recepcjonistka przyjęła piętnaście tysięcy dolarów w gotówce i przeliczyła je. Jeżeli zdziwiła ją wielkość honorarium doktora, nie dała tego po sobie poznać. Następnie wręczyła Flemmowi dwie fotokopie formularzy wyrażenia zgody — jeden na operację plastyczną nosa, drugi zaś na lipectomię wykonaną metodą odsysania. Reynaldo przebiegł wzrokiem papiery i podpisał je zamasyżując jako „Johnny LeTigre”.

Potem usiadł, czekając na wezwanie. Na kremowej ścianie wisiało zalaminowane jedno z ukochanych haseł Rudy'ego Graveline'a: „Aby udoskonalić siebie, udoskonal swoją twarz”. Reynaldo jednak wolał motto wykalfografowane eleganckim staroświeckim pismem nad fontanną: „Próżność jest piękna”. Wspominał o nim Williemu, każąc mu zrobić szybkie ujęcie napisu. „Po co?” — zdziwił się kamerzysta. „Akcent ironiczny” — wyjaśnił Flemm. Akcent ironiczny! Reynaldo był z siebie dumny. Sam to wymyślił; zazwyczaj wynajdywanie ironii należało do obowiązków Christiny Marks.

Nieco później obojętna pielęgniarka wezwała pacjenta do zimnego gabinetu lekarskiego i poleciła mu opróżnić pęcherz. Okazało się to trudnym zadaniem, które zajęło Flemmowi piętnaście minut i dało mizerny efekt

— około dwudziestu mililitrów. Reynaldo szalenie się denerwował. W czasie swojej kariery zawodowej był zbity przez Teamstersów, skopany przez białych rasistów, spalowany przez „żołnierzy” mafii, sprany lufą pistoletu przez motocyklistów z gangu Banditos i kopnięty w jaja przez członka Brygady Ochrony Życia Poczętego. Ale nigdy nie miał operacji. Nawet nie usuwano mu brodawki.

Gwiazdor niezgrabnie zdjął ubranie i ściągnął air Jordany z wysoką cholewką, po czym włożył błękitną papierową koszulę sięgającą mu do kolan. Siostra dała mu też głupawy papierowy czepek, aby przykrył nim swoje głupawo ufarbowane włosy, oraz papierowe kapcie na bose nogi.

Raptem nie wiadomo skąd wyłoniła się pielęgniarka anestezjolog, energicznie podwinęła Reynaldowi koszulę i wbiła mu w udo igłę. Strzykawka zawierała specyfik o nazwie Robinul, wysuszający usta wskutek wstrzymania wewnątrzustnego wydzielania. Następnie siostra schwyciła Flemmę za lewą rękę, przetarla ją i szybko wbiła igłę kroplówki sączącej mu do żył pięcioprocentowy roztwór dekstrozy, a później zestawu silnych środków uspokajających.

Anestezjolog zaprowadziła Reynalda wraz z kroplówką do bloku F, jednej z supernowoczesnych sal operacyjnych w Whispering Palms, i poprosiła go, aby położył się na plecach. Leżąc na lodowatej stali, Flemm zaczął gorączkowo sobie przypominać dziesięć demaskatorskich pytań, którymi zamierzał zaskoczyć doktora Rudy'ego Graveline'a.

Pierwsze — czy dwunastego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku zabił pan Victorię Barlette?

Drugie — dlaczego jedna z pańskich byłych pielęgniarek twierdzi, że pan to zrobił?

Trzecie — czy prawdą jest, że bardzo często miał pan kłopoty z powodu niedbałego i niekompetentnego przeprowadzania operacji?

Czwarte — jak pan wytłumaczy...

Wytłumaczy?

Wytłumaczy te pasy na moich pieprzonych nogach!

— Proszę leżeć spokojnie, panie LeTigre.

I ręce! Co zrobiliście z moimi rękami?! Nie mogę poruszyć cholernymi rękami!

— Proszę się rozluźnić i pomyśleć o czymś przyjemnym.

Chwileczkę, chwileczkę, chwileczkę!

— Powinien pan robić się nieco senny.

To nie tak. Miało być zupełnie inaczej. Czytałem o tym. Dostałem pieprzoną broszurkę. Powinniście zawiązać mi oczy, a nie krępować ręce. I czego się uśmiechasz, głupia cipo? Muszę porozmawiać z doktorem! Gdzie jest doktor? Jezu Chryste, ale zimno. Co tam wyprawiacie?!

— Dzień dobry, panie LeTigre.

Doktorze, dzięki Bogu, że pan już jest! Niech mnie pan posłucha. Te cholerne hitlerowy popelniły straszliwy błąd. Nie chcę ogólnego, ale miejscowe. Wyciągnijcie kroplówkę, dobrze? Doskonale się będę czuł, tylko zabierzcie te rurki, zanim zemdleję.

— John, nie bardzo możemy zrozumieć, co mówisz.

Nic dziwnego, Sherlocku, język mam taki suchy, że mógłbyś zapalić o niego zapałkę. Proszę, wyjmijcie igły. Nie mogę myśleć z tymi cholernymi igłami w żyłach. I każcie im przestać się ze mną wygłupiać. Chryste, jak zimno! Co oni wyprawiają?!

— Przypuszczam, że poinformowano pana o pewnej zmianie planów. Postanowiłem najpierw przeprowadzić lipectomię, a potem operację nosa. Tak będzie łatwiej.

Nie, nie, nie, najpierw nos. Zrób mi ten pieprzony nos!

— Spróbuj się rozluźnić, John. No, leż spokojnie, zaraz zrobimy ci następny zastrzyk.

Nie, nie, nie, nie, nie!

— Przecież nic nie boli, prawda?

Chcę zapytać, muszę zapytać, już zaraz...

— Proszę zaczynać, podajcie sublimaze. Czy pan zabił...

— Co on powiedział?

— Czy to prawda, że pan zabił...

— Ten facet wygląda mi znajomo.

— Czy zabił pan... zabił Victorię... Principal?

— Victoria Principal! O rany, ale go wzięło.

— I co, zabił pan?

— Gdzie jest maska? Zaczniście podawać forane. Załóżcie mu maskę.

Willie nie spał zbyt wiele, bo denerwował się wielkim planem Reynalda. Próbował złapać Christinę Marks w Nowym Jorku, lecz w biurze powiadomiono go, że jest w Miami. Ale gdzie? Plan Reynalda był najbardziej porąbaną sprawą, o jakiej jego kamerzysta w życiu słyszał, poczynając od samego sygnału. Willie musiał otrzymać jakiś znak, żeby w odpowiednim momencie wpaść do sali operacyjnej z kamerą. Reynaldo zdołał wymyślić tylko wrzask. Postanowił, że Willie będzie siedział w poczekalni, a on wrzaśnie.

— A co konkretnie wrzaśniesz? — zapytał Willie.

— Willie!

Kamerzysta sądził, że Reynaldo żartuje. Mylił się.

— A co z innymi pacjentami w poczekalni? Będę tam siedział z kamerą i aparaturą dźwiękową... Co mam odpowiedzieć tym ludziom, kiedy się zainteresują?

— Powiedz im, że jesteś z PBS — odparł Reynaldo. — Nikt się nie cze-  
pia PBS.

Flemm najbardziej pragnął takiego oto ujęcia: leży, ubrany na niebiesko, najlepiej we wczesnym etapie operacji nosa i najlepiej zakrwawiony. Przy operacji nosa można było zażądać miejscowego znieczulenia; Większość chirurgów wołała robić nosy pacjentom wyłączonym na całego, ale można było się uprzeć przy miejscowym i łagodnym, jeżeli ktoś czuł się na siłach wytrzymać niewielki ból. Reynaldo nie miał wątpliwości, że wytrzyma.

Willie wdrze się z pracującą kamerą, jak napastnik futbolowy, do sali operacyjnej, ciśnie prętowy mikrofon leżącemu na stole operacyjnym Reynaldowi, a ten podsunie go pod nos doktorowi Graveline'owi i zacznie strzelać pytaniami. Barn, barn, barn! Siostry i salowe rzucą wszystko, czym się zajmują, i uciekną, pozostawiając nieszczęsnego chirurga samego przed okiem kamery.

— Poczekaj, aż uświadomi sobie, kim jestem! — zarechotał Flemm. — I pamiętaj, żebyś zrobił wtedy ekstrazbliżenie na jego twarz.

Willie oświadczył, że będzie potrzebował dźwiękowca, lecz Reynaldo uznał, że nie, wykluczone. Atak musi być przeprowadzony na wąskim froncie.

Kamerzysta oznajmił:

— W porządku, w takim razie wymyśl lepszy sygnał. Samo wrzaśnięcie nie wystarczy. A co będzie, jeżeli zacznie wrzeszczeć jakiś inny pacjent?

— Któż inny może wrzeszczeć twoje imię? — zapytał zjadliwym tonem Reynaldo. — Słuchaj, co do ciebie mówię.

Willie musiał przyznać, że plan był zuchwały do bezczelności. Niewątpliwie program wywoła ogólnokrajową sensację, poruszy wszystkich krytyków telewizyjnych, nie wspominając o autorach dowcipów dla Johnny'ego Carsona. Wśród kolegów Raya będzie krążyło oczywiście wiele cynicznych komentarzy, że tak naprawdę w całej tej awanturze chodziło mu o zrobienie sobie nosa za friko. Taka myśl przyszła do głowy nawet Williemu, gdy słuchał, jak Flemm obmyśla swoją wielką zasadzkę. Możliwość narażenia się na śmieszność w mediach od jednego wybrzeża do drugiego wcale Reynalda nie zniechęcała — facet zdawał się zachwycony wszelkimi oskarżeniami, że jest partaczem, błaznem i bezczelnym egoistą. Uważał, że inni są zazdrośni, i dlatego gadają. Który z dziennikarzy telewizyjnych ma odwagę pójść pod nóż tylko dlatego, aby zrobić wywiad? Mike Wallace? Ten arogancki bubek? Za nic w świecie. Bill Moyers? Ta liberalna cipa zemdlałaby na widok gwoźdźcia.

— Tak — przyznał Willie. — Plan jest niezły.

— Genialny! — zapiał z zachwytu Reynaldo. — Powiedz raczej: genialny!

Jednakże powodzenie tego pomysłowego planu zależało od paru istotnych okoliczności, z których bynajmniej nie najmniej ważnym czynnikiem był ten, aby w czasie wywiadu Reynaldo Flemm zachował przytomność.

Chociaż zabieg chirurgiczny znany jako liposuction albo odsysanie tłuszczu wynaleziono we Francji, zdobył sobie ogromną popularność w Stanach Zjednoczonych. Obecnie stanowi najczęściej wykonywany zabieg kosmetyczny w tym kraju, osiągając poziom stu tysięcy operacji rocznie. Śmiertelność w czasie tego zabiegu jest stosunkowo niska — na około dziesięciu tysięcy pacjentów zdarza się jeden zgon. Możliwość komplikacji, w rodzaju skrzepów krwi, zatorów tłuszczowych, chronicznego pozbawienia czucia czy poważnego uszkodzenia, zwiększa się poważnie, jeżeli chirurg ma niewielką praktykę lub nie ma żadnej. Rudy Graveline zdecydowanie zaliczał się do tej właśnie kategorii — zajął się odsysaniem tłuszczu, ponieważ było ono wyjątkowo dochodowe. Żadne prawo stanowe, komisja

kwalifikacyjna czy też medyczny zespół egzaminacyjny nie wymagały, aby lekarz, który postanowił zająć się tą działalnością, uzyskał specjalizację czy choćby przeszedł sprawdzian ze swoich chirurgicznych umiejętności. Te same liberalne standardy obowiązywały przy operacjach nosa, usuwaniu hemoroidów czy nawet chirurgii mózgu. Rudy Graveline był dyplomowanym lekarzem, co w świetle prawa oznaczało, że może wykonać każdy zabieg, jaki zechce.

Miał głęboko w nosie dyplomy Amerykańskiej Izby Chirurgii Plastycznej, Amerykańskiej Akademii Plastyki i Rekonstrukcji Twarzy czy też Amerykańskiego Stowarzyszenia Chirurgów Plastycznych i Rekonstrukcyjnych. Cóż jego pacjentów mogło obchodzić parę dodatkowych tabliczek na ścianie? Byli bogaci, próżni i niecierpliwi. W niektórych eleganckich kregach południowej Florydy nazwisko Rudy'ego lśniło takim samym blaskiem jak Gucci czy de La Renta. Wylakierowane stare wiedźmy w La Gorce czy Biltmore, wskazując na swoje świecące podbródki, gładkie szyje i wypracowane powieki, pytały nie szeptem, lecz na cały głos: „Czy to Graveline?”

Rudy uchodził za chirurga artystę. Odessanie tłuszczu przez niego osobiście było zaszczytem, społecznym awansem, znakiem (dosłownie) statusu. Jedynie cham, biały śmieć albo ktoś jeszcze gorszy ośmieliłby się kwestionować jego umiejętności albo narzekać na rezultaty.

Ironią losu był fakt, że większość chirurgów pracujących dla Graveline'a w Whispering Palms miała wszelkie kwalifikacje do wykonywania lipectomii. Byli do tego przeszkoleni – studiowali, obserwowali, odbywali praktyki. Rudy podziwiał ich zaangażowanie, ale uważał, że mimo wszystko przesadzają – w końcu cóż za trudność może sprawiać taka operacja? Sam tłuszcz był śmiesznie łatwy do odnalezienia. Wyssać go i zaszyć – też mi wielki problem!

Na wszelki jednak wypadek Rudy przeczytał dwa artykuły w prasie fachowej na temat odsysania tłuszczu i zamówił za całe dwadzieścia sześć dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów instruktażową kasetę wideo z firmy zaopatrzenia medycznego w Chicago. Artykuły okazały się trudne i dosyć nudne, ale obejrawszy film, Graveline doznał olśnienia. Doszedł do wniosku, że nawet zidiociały doktor dysponujący połową mózgu potrafi bez kłopotu usunąć tłuszcz.



Typowy pacjent poddający się lipectomii nie był jakimś groteskowym tłuściochem, ale — podobnie jak Johnny LeTigre — zdrowym osobnikiem o stosunkowo normalnej figurze i wadze. Powody narzekań były zwykle z medycznego punktu widzenia trywialne — za szerokie biodra, obwisłe pośladki, gąbczaste uda albo staroświeckie fałdy w pasie. Wykonany w odpowiedni sposób zabieg powodował usunięcie ograniczonych skupisk zbędnego tłuszczu i poprawiał oraz wygładzał naturalną sylwetkę. Po niewłaściwie przeprowadzonej operacji pacjent mógł wyglądać nierówno, być powykrzywiany i na gwałt poszukiwać adwokata.

Rankiem w dniu konspiracyjnej misji Reynalda Flemma Rudy Graveline zmienił zdanie na temat kolejności wykonania zabiegów wcale nie pod wpływem czegoś tak poważnego jak przecucie. Zdecydowały o tym, jak zawsze, pieniądze. Ponieważ lipectomia wymagała zazwyczaj ogólnej narkozy, była bardziej pracochłonna (i kosztowna) niż prosta korektura nosa. Rudy uznał, że im szybciej upora się z trudniejszą robotą, tym prędzej pozbędzie się pielęgniarki anestezjologa i jej aparatury. A potem zrobi nos pod dożylnym znieczuleniem, które było o wiele tańsze.

Fakt, że doktor Graveline potrafił przejmować się kosztami własnymi operacji w chwili, gdy jego kariera rozpadała się w gruzy, stanowił zarówno hołd złożony jego umiejętności koncentracji, jak i przyrodzonej miłości do zysku.

Rudy schwycił w obciążniętą rękawiczką dłoń fałdę na brzuchu Reynalda Flemma i ścisnął ją lekko. Żyłą złota. Kokosowy interes.

Wybrał skalpel numer piętnaście i wykonał sześciomilimetrowe nacięcie na pępku pacjenta. Przez ten poręczny otwór wprowadził kaniulę — długi rurkowaty instrument konstrukcją przypominający nos mrówkojada. Wbił tępy ryjek kaniuli w miękkie mięso brzucha Reynalda, a potem poruszył narzędziem tam i z powrotem, żeby przerwać tkankę. Prawą stopą przycisnął umieszczony w podłodze pedał uruchamiający aparaturę ssącą, która wciągała cząsteczki tłuszczu przez małe otworki w czubku kaniuli i długą plastikową przezroczystą rurką odprowadzała je do szklanego pojemnika.

Po chwili pojawiły się pierwsze żółte gluty. Zapasowa dętka Johnny'ego LeTigre'a! Wkrótce będzie nowym człowiekiem.

W poczekalni Willie prowadził pogawędkę z innymi pacjentami. Znajdowali się tam: kapitan jachtu czarterowego ze zmianami rakowymi na czole wielkością i kształtem przypominającymi ropuchy; tancerka z baletu Miami, zdecydowana odessać tłuszcz z pośladków po raz drugi w ciągu wielu lat; siwowłosy Nikaraguańczyk, znany Williemu z telewizji — jeden z przywódców *contras*, któremu za tysiąc osiemset dolarów miano poprawić powieki. Przyznał się, że rachunek zapłaci CIA.

Najbardziej jednak spodobała się kamerzyście ruda striptizerka z klubu „Solid Gold” w Lauderdale. Oczywiście, czekała na zrobienie nowych piersi, ale chciała również usunąć tatuaż z lewego uda. Gdy usłyszała, że Willie jest z PBS, zapytała, czy mogłaby się znaleźć w jego dokumencie, i podwinęła sztruksową minispódniczkę, żeby pokazać mu tatuaż przedstawiający zielonego siatkowego węża, który pożera sam siebie. Willie powiedział w formie komplementu, że nigdy dotąd niczego podobnego nie widział, i poprosił striptizerkę o numer telefonu, aby móc do niej zadzwonić w sprawie wymyślanego programu.

Godzina minęła, a Reynaldo Flemm nie dawał znaku i kamerzysta zaczął się denerwować. Reynaldo kazał mu czekać do dziewiątej i właśnie wybiła ta godzina. W korytarzach Whispering Palms było na tyle cicho, że Willie był absolutnie pewien, iż usłyszałby wrzask. Zapytał baletnicę, która była tu już wcześniej, jak daleko jest z poczekalni do sali operacyjnej.

— Której? Są cztery — odparła.

— Cholera! — jęknął Willie. — Cztery?!

Wiadomość nim wstrząsnęła. Z tego, co mówił Reynaldo, wywnioskował, że jest tylko jedna sala operacyjna i odnajdzie ją bez trudu. Niezwykle zaniepokojony Willie postanowił wykonać swój ruch. Zarzucił betacam na ramię, sprawdził mikrofon, przewody i stan baterii w pojemniku u paska, włączył lampy (czekający pacjenci zareagowali na oślepiający blask pomrukiem i zasłanianiem oczu), po czym rozpoczął wędrówkę korytarzami w poszukiwaniu Reynalda Flemma.

Gdy telefon na ścianie zaczął brzęczeć, doktor Rudy Graveline podniósł wzrok znad brzucha Johnny'ego LeTigre'a i rzucił:

— Ktokolwiek dzwoni, nie ma mnie.

Pielęgniarka podniosła słuchawkę, przez dłuższą chwilę milczała, a potem odwróciła się w stronę doktora.

— Dzwoni Ginny z recepcji. Po całym budynku biega jakiś facet z kamerą.

Maska chirurgiczna Rudy'ego wydeła się.

— Niech wezwą policję... Nie! Poczekaj... — O Jezu. Zachowaj spokój. Zachowaj absolutny spokój — nakazał sobie.

— Właśnie się wdarł do doktora Kloppnera w bloku D.

Graveline mruknął zmartwiony:

— Czego chce? Czy wiadomo, czego chce?

— Szuka pana. Mam powiedzieć Ginny, żeby ściągnęła gliny czy co?

Pielęgniarka anestezjolog przerwała jej:

— Nie róbmy niczego, dopóki się z tym nie uporamy. Najpierw załatwmy pacjenta i zdejmijmy go ze stołu.

— Słusznie — przytaknął Rudy. — W pełni się zgadzam. Już prawie skończyliśmy.

— Proszę się nie spieszyć — rzekła anestezjolog, z cieniem niepokoju w głosie. W najlepszych warunkach Rudy Graveline ją przerażał. W stresie mógł być niebezpieczny w stopniu trudnym do przewidzenia.

— Co nam jeszcze zostało? — zapytał doktor.

— Jeszcze jedno skupisko, niezbyt duże.

— Zróbmy to, dobrze?

Telefon na ścianie znowu zaczął piszczeć.

— Pieprzyć! — warknął Rudy. — Do roboty!

Schwycił kaniulę jak nóż do krojenia mięsa i gorączkowo zaatakował ostatnie, uparte nawarstwienie tłuszczu w brzuchu Reynalda. Aparatura ssąca mruczała z zadowoleniem, wypełniając szklany pojemnik glutami niechcianego sadła.

— Jeszcze minuta i koniec — oświadczył chirurg.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się i straszliwe białe światło zalało salę operacyjną. Jego struga była jaśniejsza i bardziej gorąca niż światło lamp chirurgicznych i padała z kamery osadzonej na ramieniu mężczyzny niczym jego druga głowa. Mężczyzny, który nie miał nic do roboty w sali operacyjnej Rudy'ego Graveline'a.

Intruz z kamerą zawołał:

— Ray!

— Wynoś mi się stąd natychmiast! — wrzasnął Rudy.

— Czy pan jest doktorem Graveline'em?

Ręka chirurga w dalszym ciągu pracowała przy brzuchu pacjenta.

— Tak, jestem doktorem Graveline'em. Ale nie ma tu żadnego Raya. A teraz proszę się stąd wynosić, zanim wezwę policję!

Ale facet z kamerą na ramieniu przysunął się bliżej, zalewając zespół operacyjny jaskrawym, gorącym światłem. Anestezjolog, instrumentariuszka, asystentka, nawet Rudy zmrużyli oczy, oślepieni blaskiem. Człowiek z kamerą-głową podszedł do stołu i zrobił zbliżenie częściowo zasłoniętej plastikową maską tlenową twarzy uspiętego Reynalda.

— Tak, to on! — oznajmił.

— Kto? — zapytał, wyraźnie wstrząśnięty doktor. — To Ray?

— Reynaldo Flemm!

— Mówiłam, że wygląda znajomo — odezwała się instrumentariuszka.

— Kto? Jaki Reynaldo? — dopytywał się Graveline.

— Ten gość z telewizji.

— Tego już za wiele — oświadczył Rudy, starając się opanować panikę.

— Lepiej będzie... Niech się pan wynosi do diabła z mojej sali operacyjnej!

Willie przecisnął się do przodu.

— Ray, obudź się! To ja!

— Nie może się obudzić, idioto. Jest nafaszerowany po czubki włosów.

A teraz wyłącz te reflektory i spadaj!

Willie natychmiast zrozumiał, że nastąpiła dziennikarska sytuacja alarmowa. Reynaldo był nieprzytomny, Christina nieobecna. Kamera kręciła, baterie się wyladowywały.

Wszystko zależy ode mnie, pomyślał.

Prętoty mikrofon, ulubiony sprzęt Raya, który Willie miał mu rzucić w chwili ataku, tkwił pod pachą kamerzysty. Wijąc się i stękając, przesuwał ciężar betacamu na ramieniu, Willie zdołał wydobyć prawą ręką mikrofon. W niesamowitej imitacji Reynalda Flemma podsunął go pod sam nos chirurga.

Widoczne nad maską oczy Rudy'ego Graveline'a stały się przerażone i szeroko otwarte. Doktor patrzył na mikrofon, jakby to była lufa mauzera. Zza metalowej bryły kamery padło pytanie:

— Czy zabił pan Victorię Barlette?

Słowa te trafiły chirurga z większą siłą niż pocisk. Jego plecy wyprostowały się gwałtownie. Źrenice zwęziły się do rozmiarów łebków szpilek. Mięśnie, jeden po drugim, od palców stóp poczynając, zaczęły chwytać skurcze. Prawa ręka — ta, w której trzymał kaniulę głęboko zanurzoną w sinych fałdach świeżo oczyszczonego brzucha Reynalda Flemma — jego prawa ręka zmieniła się w pozbawione czucia szpony.

— W porządku, już dosyć! — zawołała anesteziolog głosem nabrzmiewającym paniką.

— Prawie gotowe — odparł ochryple Rudy.

— Nie, wystarczy!

Ale doktor Graveline był zdecydowany zakończyć operację. Przerwanie jej byłoby przyznaniem się, przyznaniem się do... czegoś. Opanowanie — tego uczono go w Harvardzie. Lekarz przede wszystkim musi być opanowany. W kryzysowych momentach pacjenci i personel wierzą, że chirurg będzie spokojny i opanowany. Nawet jeżeli człowiek leżący na stole operacyjnym okazał się... Reynaldem Flemmem, osławionym, działającym w konspiracji reporterem telewizyjnym. To tłumaczyło jego niespójne głędzenie w chwili, gdy zaczynała działać narkoza... Ten palant wcale nie mówił o aktorce Victorii Principal, ale o Victorii Barletcie, ofierze wypadku w czasie operacji nosa.

Ból ogarniętych skurczami mięśni był tak okrutny, że wyciskał łzy z oczu doktora. Ale Rudy zmusił się, by kontynuować operację. Opuszczał prawe ramię i rytmicznie przesuwiał je tam i z powrotem, niczym drwał piłujący drzewo. Mocno, coraz mocniej.

Zza kamery ponownie rozległ się bezcielesny głos:

— Czy zabił pan tę dziewczynę?

Czarne oko bestii przysunęło się bliżej i obracało zgodnie z ruchem wskazówek zegara — Willie pamiętał, że Ray polecił mu zrobić bardzo duże zbliżenie twarzy lekarza. Chirurg wcisnął pedał aparatury ssącej, jakby rozdeptywał stonogę. Silnik zawarczał głośnie. Rurka zadygotała. Pojemnik wypełnił się.

Pora przerwać. Pora przerwać! Ale doktor Rudy Graveline nie przerwał. W dalszym ciągu szturchał kaniulą i ssał. Długi, głodny ryj mechanicznego mrówkojada z mlaskaniem wcisnął się w brzuch Reynalda, coraz głębiej i

głębiej, przez mięśnie i powiezie...z bulgotem przesunął się obok wnętrzości, cmoknął okrężnicę... drążył dalej i dalej.

Aż wreszcie wgryzł się w aortę. I plastikowa rurka wychodząca z pępka Flemma nagle zrobiła się czerwona. Pojemnik na jej końcu zabarwił się purpurą. Nawet ręka doktora pokryła się czerwienią.

Willie obserwował okiem kamery, jak wszystko wokoło staje się czerwone.

## 31.

Pierwszą rzeczą, jaką Chemo nabył za pieniądze Rudy'ego, był przenośny telefon do samochodu. Kiedy go wyjął z pudełka, Maggie Gonzalez zauważyła:

- Ta głupia zabawka jest więcej warta niż cały ten gruchot.
- Muszę mieć prywatną linię — odparł Chemo. — Przekonasz się.

Wracali do „Holiday Inn” po spędzeniu ranka w gabinecie doktora George'a Gingera, chirurga plastycznego. Maggie знаła go z dawnych czasów, gdy był jednym z bardziej kompetentnych podwładnych Graveline'a w Durkos Center. Doceniała jego umiejętności i dyskrecję. Bywał niekiedy w irytujący sposób powolny i miał koszmary oddech, ale z zawodowego punktu widzenia był tak dobry, jak chirurg plastyczny powinien.

Chemo poprzedził swoją wizytę u doktora Gingera ostrzeżeniem pod adresem Maggie:

- Jeżeli spieprzy mi twarz, zabiję go na miejscu. A potem ciebie.
- Przezornie zakupił pudełko nabojów do zardzewiałego kolta kalibru zero trzydzieści osiem. Były to nowiuteńkie federales. Dobry produkt.
- Podchodzisz do tego od niewłaściwej strony — uznała Maggie.
- Mam paskudne doświadczenia z lekarzami — zirytował się Chemo.

— Wiem, wiem..

— Nie podoba mi się nawet nazwisko tego gościa: George Ginger. Jakieś ciotowate. — Potem sprawdził komory nabojoye w bębenku kolta i wsunął go za pasek spodni.

— Jesteś beznadziejny — oświadczyła Maggie. — Po co się tobą w ogóle przejmuję.

— Bo w przeciwnym razie zastrzelę cię.

Na szczęście zabieg dermabrazji przebiegł gładko. Doktor George Ginger nigdy dotąd nie widział takiego przypadku poparzenia jak u Chema, ale przezornie nie zadawał żadnych pytań. W pewnym momencie, gdy dryblas nie patrzył, chirurg zerknął na niezgrabną protezę umocowaną do lewego przedramienia pacjenta. Doktor Ginger sam był zagorzałym ogrodnikiem i natychmiast rozpoznał Niszczyciela Chwastów, lecz i tym razem powstrzymał się przed zadawaniem pytań.

Piaskowanie zajęło około dwóch godzin i Chemo wytrzymał je po bohatersku, bez najmniejszego jęku. Gdy było już po wszystkim, nie wyglądał jak ktoś, komu poprzylepiano do twarzy Rice Krispies, lecz sprawiał raczej wrażenie kogoś, kogo przez dziesięć kilometrów ciągnęła pędząca śmieciarka.

Jego czoło, policzki, nos i broda płonęły różowym, mokrym połyskiem. Uszkodzenia zadane błędzącą bezładnie igłą elektrolityczną zostały usunięte na zawsze, ale teraz od samego Chema zależało wyhodowanie nowej skóry. Wprawdzie zapewne nigdy nie osiągnie brzoskwińowej cery, powiedzmy Christie Brinkley, przynajmniej jednak będzie mógł przejść przez dworzec lotniczy, supermarket czy park miejski, nie zmuszając swoim widokiem małych dzieci do chowania się za spódnice matek. Chemo uznał to już za zdecydowaną poprawę jego sytuacji towarzyskiej.

Przed opuszczeniem gabinetu Maggie Gonzalez poprosiła doktora Gintera o zdjęcie szwów i sprawdzenie, jak przebiega proces gojenia się ran po nowojorskiej operacji. Chirurg poinformował ją — chuchając trującym oddechem — że wszystko goi się doskonale, i podał jej lusterko, żeby przekonała się o tym na własne oczy. Była zadowolona z tego, co zobaczyła. Intensywne fioletowe siniaki stały się już zanikającymi cieniami pod oczyma, blizny po nacięciach przekształciły się w delikatne różowe kreseczki. W szczególności zachwył wprawił ją jej nowy zadarty nos.



Doktor Ginger zbadał wciąż spuchnięty organ powonienia pod kilkoma kątami i skinął z aprobatą głową.

— Sandy Duncan — oświadczył.

— Dokładnie tak! — uśmiechnęła się Maggie. Wrzucając do ust tabletkę tylenolu, Chemo zapytał:

— Kim, do cholery, jest Sandy Duncan?

A w bonneville'u, jadąc z powrotem do motelu, zauważył:

— Myślę, że za to, co zrobił, trzy tysiące jest kupą forsy.

— Rzeczywiście, zrobił niewiele, przywrócił ci tylko ludzki wygląd — odparła zgryźliwie Maggie. — Trzy kawałki były okazją. Poza tym uwzględnił nawet moją zawodową zniżkę — piętnaście procent ze względu na to, że jestem pielęgniarką.

Prowadząc samochód, Chemo starał się siedzieć mniej więcej pośrodku fotela, aby mieć możliwość obserwowania siebie w lusterku. Trudno mu było ocenić rezultaty dermabrazji, ponieważ całą twarz pokrywała gruba warstwa maści o barwie kleju.

— No, nie wiem — mruknął. — Wciąż wygląda dosyć paskudnie.

Paskudnie? — pomyślała Maggie. Na litość boską, przecież wszystko mu płynie. — Słyszałeś, co powiedział lekarz. Gojenie potrwa parę tygodni. — To rzekłszy, wyciągnęła rękę i przekreśliła lusterko, aby zbadać swoje własne przemodelowane rysy.

Z tablicy rozdzielczej rozległo się popiskiwanie samochodowego telefonu. Z małą zręcznością Chemo sięgnął do skrytki na rękawiczki i przy drugim sygnale wyciągnął słuchawkę. Z dobrze odegraną nonszalancją wsunął ją między lewe ramię a ucho. Maggie uderzył komizm sytuacji — facet prowadzący rozpadającego się rżęcha rozmawia przez fikuśny, bajerancki telefon. Zażenowana, wcisnęła się głębiej w fotel.

— Halo — odezwał się Chemo do słuchawki.

— Halo, Śmieszna Bużko. — Był to Mick Stranahan. — Dostałem twój list.

— Tak?

— Tak.

— I?

— Życzyłeś sobie, żebym zadzwonił, to dzwonię.

Chemo był zaskoczony obraźliwym tonem Stranahana. Gość powinien być przerażony. Zrozpaczony. Powinien błagać. Albo przynajmniej zachowywać się uprzejmie.

— Mam twoją przyjaciółkę — poinformował.  
— Wiem, wiem, czytałem list.  
— A więc chcesz usłyszeć moje warunki.  
— Nie — odparł Stranahan. — Chcę usłyszeć, jak śpiewasz pieprzoną arię z *Madame Butterfly*... O c z y w i ś c i e, że chcę poznać twoje warunki.  
— Chryste, ale jesteś we wrednym nastroju.  
— Ledwo cię słyszę — poskarżył się Mick. — Tylko mi nie mów, że za-fundowałeś sobie jeden z tych yuppiesowskich telefonów samochodowych Matela.

— Panasonic — rzucił Chemo ostro.

Maggie popatrzyła na niego ze zniecierpliwieniem, mówiąc mu oczami: przejdź do rzeczy.

Gdy Chemo zahamował na światłach, słuchawka wyślizgnęła się spod jego ucha. Puścił kierownicę, żeby ją złapać.

— Cholera! — Słuchawka była upačkana antybiotykową maścią z po-liczka.

— Co się tam dzieje? — przebił się przez szumy głos Stranahana.

— Nic. Absolutnie nic. — Chemo ostrożnie oparł słuchawkę na ramieniu. — Posłuchaj, umowa wygląda tak. Jeżeli zależy ci, żeby zobaczyć przyjaciółkę żywą, spotkaj się ze mną o północy na przystani.

— Pierdol się!

— Co?

— To znaczy nie, Śmieszna Bużko. Żadnej przystani. Wiem, czego chcesz, i możesz to dostać. Mnie za nią, tak?

— Tak — Chemo uznał, że nie ma sensu wciskać facetowi kitu.

— Zgoda — oznajmił Mick — ale nie zamierzam nigdzie jechać. Ty przyplyniesz do mnie.

— Gdzie jesteś?

— W budce telefonicznej na Bayshore Drive, lecz już niedługo.

— No to gdzie się spotkamy? — zapytał niecierpliwie Chemo.

— U mnie.

— W twoim domu? Nie, za cholereę.

— Obawiam się, że jednak tak.

Słuchawka znowu się ześlizgiwała. Dryblas gorączkowo usiłował ją złapać i bonneville zaczął tańczyć na jezdni. Maggie wyciągnęła rękę i przy-trzymała kierownicę.

Chemo ścisnął słuchawkę i warknął do niej:

— Słyszałeś, co powiedziałem? Nie ma mowy, żebym ponownie popłynął do tej pieprzonej chałupy na wodzie.

— Przypłyniesz. Dostaniesz jeszcze jeden telefon i więcej informacji.

— Gadaj teraz!

— Nie mogę — odrzekł Stranahan.

— Zabiję dziewczynę, przysięgam.

— Chyba nie jesteś aż tak głupi, co?

Od wywołanego gniewem rumieńca twarz zaczęła piec Chema jeszcze bardziej.

— Porozmawiamy o tym później — burknął. — O której zadzwonisz?

— O, nie — zaprotestował Mick. — To nie ja zadzwonię.

— W takim razie kto? — zdziwił się Chemo.

Ale połączenie się przerwało.

Willie odegrał taśmę swojemu przyjacielowi w WTVJ, filii telewizji NBC w Miami. Kumpel był pod sporym wrażeniem widoku krwi na jego koszuli i dlatego pozwolił mu skorzystać z montażowni.

— Powinieneś sam zobaczyć — gorączkował się Willie.

Wrzucił kasetę do aparatury i usiadł, obgryzając kostki palców.

Czuł się jak sierota. Ani Christiny, ani Reynalda. Wiedział, że powinien zadzwonić do Nowego Jorku, lecz nie miał pojęcia, co im powiedzieć.

Jego przyjaciel, który był miejscowym szefem działu wiadomości, wskazał monitor.

— Gdzie kręciłeś? — zapytał.

— Klinika chirurgiczna w Bal Harbour. To jest poczekalnia.

— Byłeś z przenośną?

— Tak. Sam przez cały czas.

— A gdzie Flemm? Ten jest do niego niepodobny.

— Nie, tutaj jest ktoś inny. — Na monitorze widać było salę operacyjną, w której wysoki, łysy lekarz stał pochylony nad pulchną pacjentką. Łysy doktor ze złością wymachiwał w stronę kamery i wrzeszczał na siostrę, aby wezwała władze. — Nie znam gościa — oświadczył Willie. — Nie ta sala.

— Teraz jesteś w korytarzu, idziesz. Ludzie krzyczą i zakrywają sobie twarze.

— Tak, ale zaraz będzie to, o co chodzi — zapowiedział kamerzysty, wysuwając się do przodu. — Bingo. Na stole leży Ray.

— Jeeezu, co oni robią?

— Cholera wie.

— Wygląda jak pieprzone cesarskie cięcie.

— Faktycznie — przyznał Willie. — A mieli mu robić nos.

— Dawaj dalej!

Ścieżka dźwiękowa filmu stała się wyraźniejsza.

— *Tak, to on!*

— *Kto? To jest Ray?*

— *Reynaldo Flemm.*

— *Mówiłam, że wygląda znajomo.*

— *Ten facet z telewizji.*

— *Dosyć tego...*

Gdy kadr wypełniła przykryta maską twarz Reynalda Flemma, przyjaciel Williego przycisnął klawisz „Pause” i oświadczył:

— Ten palant nigdy lepiej nie wyglądał.

— Znasz go?

— Jeszcze z Filadelfii. Kiedy był zwykłym Rayem Flemingiem.

— Żartujesz! — zawołał kamerzysta.

— Nie, stary, to jego prawdziwe nazwisko. Raymond Fleming. A potem wymyślił ten dwunarodowy akcent: Reynaldo Flemm — na wpół Latynos, na wpół z bloku wschodniego. Wszystkim w branży opowiadał, że jego matka była kubańską uciekinierką, a ojciec działał w jugosłowiańskim ruchu oporu. Kurwa, śmiałem się z tego, ale wtedy właśnie zaczął robić karierę.

— Rumunia — rzucił Willie. — Mnie chrzanił, że jego stary był w rumuńskim ruchu oporu.

— A naprawdę jego staruszek sprzedawał wyroby Whirlpool w Larchmont. Wiem na pewno. Zobaczmy resztę.

Kamerzysta przycisnął klawisz szybkiego przewijania na podglądzie i przeleciał fragment, w którym pyta doktora Graveline'a o Victorię Barlette. Na wszelki wypadek, gdyby reportaż udało się ocalić, nie chciał, aby kolega usłyszał nazwisko zabitej. Wrócił do zwykłej prędkości, gdy doszedł do zbliżenia rozbieganych oczu chirurga.

— Boris Karloff — skomentował przyjaciel Williego.

— Patrz.

Kąt widzenia kamery zwiększył się, pokazując, jak Rudy Graveline gorączkowo pracuje przy brzuchu Reynalda. Potem pojawiła się mgielka krwi i jedna z siostr zaczęła krzyczeć na doktora, aby przestał.

— Rany! — jęknął lekko pozieleniały kumpel Williego. — Co się stało?

Chirurg gwałtownie odwrócił się od stołu operacyjnego i popatrzył wprost w kamerę. W zakrwawionej ręce trzymał groźnie wyglądający instrument połączony z długą plastikową rurką. Urządzenie wydawało wyraźnie słyszalne, mlaskające dźwięki.

— *Twoja kolej, tłuściochu!*

Kumpel Williego wskazał monitor i zapytał:

— Nazwał cię tłuściochem?

— Patrz!

Na ekranie doktor zrobił wypad do przodu trzymanym w rękę ostro zakończonym narzędziem. Rozległ się krzyk, a potem głuche łupnięcie. Obraz nagle zaczął skakać i poszarzał.

Willie przycisnął klawisz „Stop”.

— Wziąłem dupę w troki — wyjaśnił koledze. — Rzucił się na mnie z tym ssącym.... przedmiotem, więc wzięłem.

— Nie dziwię ci się, stary. Ale co z Rayem?

Kamerzysta wyjął kasetę z aparatury.

— To właśnie mnie spietrało. Wsiadłem do furgonetki i wystartowałem, rozumiesz? Zatrzymałem się przy najbliższym automacie telefonicznym i zadzwoniłem do kliniki. Nazywa się Whispering Palms.

— Tak, słyszałem o niej.

— No więc zadzwoniłem, ale nie przyznałem się, kim jestem. Poinformowałem, że Reynaldo Flemm jest moim bratem, miałem go odebrać po operacji i zapytałem, czy mogę już po niego przyjechać. Na linię włączyła się pielęgniarka i chciała się dowiedzieć, o co chodzi, a także dlaczego Ray, zapisując się, użył fałszywego nazwiska. Johnny LeTigre czy jakoś tak. Na to ja, że nie mam pojęcia... Może się wstydził, nie chciał, aby wzmianka o jego operacji ukazała się w prasowych kolumnach plotek towarzyskich czy coś podobnego. Wtedy odparła, że no cóż, nie ma go tutaj. I wyjaśniła, że

doktor, ten właśnie doktor Rudy Graveline, odwiózł Raya do szpitala Mount Sinai. I jeszcze dodała, że nie wolno jej powiedzieć przez telefon nic więcej. No to ruszyłem dupę do izby przyjęć Mount Sinai i wiesz co? Nie ma nigdzie Raya. Same zawały i wylewy. Ale Reynalda Flemma ani śladu!

— Cholera, to zbyt porąbane nawet jak na Miami — oświadczył przyjaciel.

— A co najważniejsze, powinienem zadzwonić do Nowego Jorku i ich powiadomić.

— O rany, stary!

— Może najpierw wysłać im kasetę?

— Niezły pomysł — zgodził się kolega. — A co z Rayem? Uważasz, że z nim wszystko w porządku?

— Nie — odrzekł Willie. — Prawdę mówiąc, byłbym kurewsko zdziwiony, gdyby wszystko z nim było w porządku.

Pielęgniarki chciały zadzwonić pod dziewięćset jedenaście, ale Rudy stwierdził, że nie, nie ma czasu. — Sam go zawiozę — oświadczył.

Pobiegł na parking (zatrzymując się jedynie w recepcji, żeby zabrać piętnaście tysięcy dolarów Reynalda), wsiadł do jaguara i podjechał pod wejście służbowe.

Anestezjolog w bloku operacyjnym poinformowała:

— Wszystkie krzywe robią się płaskie.

— A więc pospieszcie się, do diabła!

Umieścili Reynalda na noszach z kółkami, zawieźli do samochodu Rudy'ego i wcisnęli na miejsce obok kierowcy. Instrumentariuszka próbowała nawet zapiąć mu pas.

— Och, daj spokój! — warknął Rudy.

— Ale takie są przepisy.

— Wracaj do pracy! — rozkazał doktor. Jaguar wystartował, dymiąc oponami.

Oczywiście ani myślał jechać do Mount Sinai. Po co? Spoglądał na mężczyznę siedzącego obok i w dalszym ciągu nie przypominał go sobie z telewizji. Co prawda Reynaldo nie był w tej chwili najbardziej telegeniczny. Oczy miał na wpół przymknięte, usta na wpół otwarte, a jego skóra nabrała koloru zepsutej cielęciny.

A także krwawił na piękne skórzane fotele Rudy'ego oraz na wykonane z orzechowego drewna wewnętrzne panele drzwi.

— Wspaniale — mruknął chirurg. — Jeszcze i to. — Pędząc na południe po Alton Road, wyjął przenośny telefon i połączył się z firmą brata.

— Chcę mówić z George'em Graveline'em. W pilnej sprawie.

— Eee, nie ma go tutaj.

— Mówi jego brat. Gdzie George dzisiaj pracuje?

W słuchawce rozległo się pstryknięcie. Rudy sądził, że ich rozłączono. A potem włączyła się dama z działu zgłoszeń i poprosiła, żeby zostawił swój numer. Doktor wściekał się, lecz kobieta była niewzruszona. Wreszcie spełnił jej życzenie i odłożył słuchawkę.

Muszę znaleźć George'a i jego maszynę do rozdrabniania drewna, myślał. To cholernie trefna sytuacja — jeździć po Miami Beach limuzyną za czterdzieści siedem tysięcy dolarów z trupem gwiazdy telewizyjnej na przednim siedzeniu. K r w a w i ą c y m na przednie siedzenie.

Telefon w samochodzie pisnął i Rudy z szaleńczym optymizmem złapał słuchawkę.

— George?

— Nie, doktorze Graveline.

— A kto?

— Sierżant Garcia z wydziału zabójstw. Zapewne mnie pan nie pamięta, lecz spotkaliśmy się tego wieczoru, kiedy tajemniczy haitański liliput wysadził pański samochód.

Serce chirurga łomotało jak wściekle. Czy powinien odłożyć słuchawkę? Czy gliniarze wiedzą już o Flemmie? Ale skąd? Siostry? Może ten bałwan z kamerą?!

— Mam złą wiadomość dotyczącą pańskiego brata, George'a — oznajmił Garcia.

Myśli pędziły jak szalone przez głowę chirurga. Słowa detektywa nie bardzo do niego docierały.

— Co...? Czy mógłby pan powtórzyć?

— Powiedziałem, że mam złą wiadomość o George'u. Nie żyje.

Rudy zdjął stopę z pedału gazu. Jechał teraz rozpędem, próbując podjąć decyzję. Którędy? Dokąd?

— Usiłował zabić człowieka — wyjaśnił Garcia — i musiałem go

zastrzelić. W wydziale wewnętrznym jest pełen raport w tej sprawie, sugeruję więc, aby się pan z nimi porozumiał.

Cisza.

— Doktorze? Jest pan tam?

— Tak.

Żadnych pytań. Nic.

— To była sytuacja, w której nie pozostawiono mi wyboru.

— Rozumiem — odparł głucho Rudy. Straszne, co się stało George'owi, ale co mam zrobić z trupem w moim jaguarze? — zastanawiał się gorączkowo.

Detektyw czuł, że po drugiej stronie połączenia dzieje się coś dziwnego.

— Proszę pana — odezwał się. — Wiem, że to nieodpowiednia pora, ale musimy porozmawiać o morderstwie. Morderstwie, w które być może zamieszany był pański brat. Chciałbym jak najszybciej przyjechać do kliniki.

— Umówmy się na jutro — zaproponował Rudy.

— Chodzi o Victorię Barlette.

— Bardzo chętnie dopomogę, jeśli tylko będę mógł. Proszę przyjść do mnie jutro. — Chirurg mówił jak zombie nafaszerowany środkami uspokajającymi. Jeżeli istniał jakiś stan ducha po przekroczeniu granicy absolutnej paniki, to Rudy Graveline właśnie go osiągnął.

— Doktorze, ta sprawa nie bardzo może czekać...

— Na litość boską, sierżancie, proszę mi dać trochę czasu. Właśnie dowiedziałem się o śmierci mojego brata. Muszę dokonać pewnych przygotowań.

— Rzecz w tym — oświadczył brutalnie Garcia — że w wypadku George'a niewiele jest do przygotowywania.

— Niech pan zadzwoni jutro — oznajmił stanowczo Rudy. A potem wyrzucił telefon przez okno.

Gdy w bonneville'u ponownie zadzwonił telefon, Chemo spojrzął z triumfem na Maggie Gonzalez.

— A nie mówiłem, że się przyda.

— Przestań drapać twarz.

— Swędzi jak diabli.



— Zostaw ją w spokoju! — upomniała go ostro. — Chcesz sobie zainfekować? Chcesz?

Rozmówcą okazał się Rudy Graveline. Jego głos brzmiał gorzej niż głos faceta, który właśnie postanowił popełnić samobójstwo.

— Hej, Doc — odezwał się Chemo. — Jesteś w swoim samochodzie? Bo ja jestem w moim.

Czuł się jak władca wszechświata.

— Nie, jestem w domu — odparł Rudy. — Mamy poważny problem.

— Co to znaczy „mamy”? Ja nie mam problemów. Mam za to ponad sto dwadzieścia kawałków, nowiutką twarz i nowiuteńki telefon w samochodzie. Życie z dnia na dzień wygląda coraz lepiej.

— Bardzo się cieszę, że tak ci się powiodło — zapewnił doktor. — Słowo daję.

— Wcale mi nie wygląda na to, że się cieszysz.

— Ma Heather — wydusił z siebie chirurg.

— Co za Heather? — zdziwił się Chemo.

— Moją... Nie mogę uwierzyć... Gdy przyjechałem do domu, zobaczyłem, że zniknęła. Zabrał ją.

Maggie zapytała, kto mówi, i Chemo szeptem wymówił imię doktora.

— No dobra — zwrócił się do Rudy'ego. — Lepiej gadaj, doktorku, co się dzieje.

Graveline nagle przypomniał sobie, jak Krzaczaste Brwi przestrzegały go przed telefonami komórkowymi i przed tym, że czasami prywatne rozmowy bywają odbierane na innych częstotliwościach. Rudy precyzyjnie wyobraził sobie — zupełnie jakby to było naprawdę — jakąś wścibską gospodynię domową z Coral Gables podsłuchującą jego wyznania za pośrednictwem swojego piekarnika Amana.

— Przyjedź do mnie — polecił Chemowi.

— Nie mogę. Czekam na telefon.

— To właśnie on.

— Co? Chcesz powiedzieć, że ten telefon, o którym on...

— Tak — potwierdził doktor. — Bądź tu najszybciej, jak zdołasz. Wybieramy się na przejażdżkę łodzią.

— Jezu Chryste!

## 32.

Maggie i Chemo zostawili związaną Christinę Marks w bagażniku bonneville'a zaparkowanego na wyłożonym płytami podjeździe Rudy'ego Graveline'a. Było jej niewygodnie, ale przynajmniej odpadała groźba uduszenia, samochód bowiem miał tyle spowodowanych przez korozję dziur, że dziewczyna czuła powiewy wiatru.

Przez godzinę Maggie i Chemo siedzieli na białej skórzanej sofie w salonie doktora i słuchali żalosalnej opowieści o tym, jak to wrócił do domu i zorientował się, że jego kochanka, laleczka, słoneczko, jego Wenus, cukiereczek, kalifornijski promyczek słońca zniknęła z sypialni.

Następnie po kolei studiowali list kidnapera, głoszący, co następuje:

„Ahoj! Zapraszam na przyjęcie!”

Na pierwszej stronie listu widniał rysunek pelikana w marynarskiej czapce, a w środku znajdowała się odręcznie sporządzona mapa Osady na Palach. Chemo i Rudy zgodnie doszli do ponurego wniosku, że należy wreszcie raz na zawsze zrobić coś z tym Stranahanem.

Dryblasza zaintrygowały mokre jeszcze, ciemne plamy w holu. Rudy wyjaśnił mu, że nie jest to krew Heather, ale kogoś innego. Zduszonym głosem, wzdychając, opowiedział im o nieszczęściu z Reynaldem Flemmem, które przydarzyło mu się w klinice. Maggie Gonzalez słuchała tych przerażających wynurzeń w pełnym osłupieniu — nigdy nie wyobrażała sobie,

że jej skromna próba wyłudzenia doprowadzi do czegoś takiego.

— I gdzie on teraz jest? — spytała.

— Tutaj — odparł Rudy. — W sub-zero.

— W czym? — zdziwił się Chemo. — O czym mówisz?

Doktor zaprowadził ich do kuchni i wskazał lodówkę o rozmiarach szafy. — Sub-zero — rzekł.

Maggie zauważyła, że na kuchennym bufecie leżą aluminiowe tacki z zamrażalnika, pół tuzina mrożonych lean cuisines oraz trzy półlitrowe opakowania czekoladowych lodów firmy Häagen-Dazs.

— Rzeczywiście, duża lodówka — ocenił z uznaniem Chemo. Otworzył drzwi i ukazał im się Reynaldo Flemm — wyprostowany i oszroniony jak paczka opal fruitów.

— Tylko w ten sposób mogłem go tu zmieścić — tłumaczył Graveline.

— Widzicie, musiałem wyjąć to cholerne urządzenie do robienia lodu.

— W telewizji wyglądał inaczej — stwierdził Chemo i przytrzymał drzwi lodówki kolanem. Powiew chłodnego powietrza koił jego rozpaloną twarz.

Maggie nie odezwała się słowem. To nie należało do jej planów. Zastanawiała się, jak by tu wymknąć się z domu Rudy'ego, wrócić do motelu, złapać czarną dyplomatkę i prysnąć na jakieś pięć lat.

Chemo zatrzasnął drzwi zamrażarki. Wskazał na inne brązowe plamki na płytkach koloru kości i powiedział:

— Jeżeli masz szczotkę do zmywania, ona może je zmyć.

— Chwileczkę — zaprotestowała Maggie. — Czy ja wyglądam na pokojówkę?

— Będiesz wyglądała jak kapusta, jeżeli nie zrobisz, co ci każę. — Dryblas groźnie uniósł Niszczyciela Chwastów.

Maggie przypomniała sobie okrutne manto, jakie sprawił Rudy'emu, i odparła:

— No dobra, schowaj ten głupi przyrząd.

W czasie gdy zmywała podłogę, doktor popadł w depresję. Sprawiał wrażenie zdruzgotanego, apatycznego, nieutulonego w żalu. Musiał pomyśleć, potrzebował uspokajającego rytmu atletycznej kopulacji, cudownego, krystalicznego tunelu jasności, który mu dać jedynie uda Heather.

A dzień zaczął się tak obiecująco!

Jeszcze przed świtem zaczął pakować ich bagaże. Bilety lotnicze włożył do torebki śpiącej Heather. Planował pojechać do kliniki, przeprowadzić operację tancerza go-go, zgarnąć piętnaście kawałków i wrócić do domu, do swojej laleczki. A potem na lotnisko! Piętnaście tysięcy na początek zupełnie by wystarczyło — miesiąc albo dwa w Kostaryce, w sympatycznym mieszkanku. W tym czasie jego panamski prawnik zlikwidowałby fundusze powiernicze w bankach poza kontynentem. Później Rudy i Heather mogliby znowu odetchnąć. Kupiliby sobie kawałek ziemi w górach, dwukondygnacyjny dom na zboczu wzgórza, a także stajnię. Heather uwielbiała jazdę konną. Doktor oczami wyobraźni widział siebie, jak otwiera nową klinikę chirurgiczną — zapakował nawet swój oprawiony dyplom z Harvardu, układając go czule w walizce między jedwabnymi skarpetkami i szytą na zamówienie bielizną. San José roilo się od bogatych emigrantów i międzynarodowych snobów, którzy amerykańskiego chirurga plastycznego powitaliby z otwartymi ramionami.

A teraz katastrofa. Heather — jasnowłosa, piękną, idealnie zbudowaną Heather — porwano z jej łoża boleści!

— Potrzebujemy łodzi — wychrypiał Rudy. — Na dzisiejszą noc.

— Tak, i to dużej — przytaknął Chemo. — Jeżeli mam znowu popłynąć do tego cholernego domu, chcę pozostać suchy. Skombinuj dwunastometrowego scaraba.

— Odbiło ci?

— Takiego jak w *Policjantach z Miami*.

— Naprawdę ci odbiło. A kto go poprowadzi? — Graveline spojrzal wymownie na niezgrabne narzędzie ogrodnicze przymocowane do lewego przedramienia Chema. — Ty?

— Tak, ja. Bierz telefon i sprawdź, co się da zrobić. Powinniśmy się stąd wynieść, zanim pojawią się gliny.

Samo wspomnienie o policji zupełnie załamało Rudy'ego.

— Rany boskie! — upominał go Chemo — Trzymasz trupa w lodówce. To jest problem.

Maggie płukała szczotkę w zlewie kuchennym.

— Przyszedł mi do głowy pewien pomysł — poinformowała. — Może się wam nie spodoba, ale warto spróbować.

Graveline ze zmęczeniem wzruszył ramionami.

- Mów.
- Kiedyś pracowałam dla chirurga, który znał faceta... skupującego pewne rzeczy.
- Chyba nie proponujesz...
- Decyzja zależy od ciebie — ucięła Maggie.. — Ale chciałabym zauważyć, doktorze Graveline, że wpakowałeś się w niezłą kabałę.
- Tak — przyznał Chemo. — Lody ci się rozpuszczają.

Człowiek nazywał się Kimbler i miał biuro w szpitalnej dzielnicy Miami. Pomieszczenia handlowe znajdowały się na Dwunastej ulicy, o jeden skok od szpitala Jackson i zakładu medycyny sądowej. Tabliczka na drzwiach głosiła: „Międzynarodowe Biuro Eksportu Biomedycznego, Inc.” Wycho-dzące na ulicę okno zabarwione było na niebiesko i dodatkowo przesłonię-te galwanizowaną siatką przeciwwłamaniową.

Kimbler już na nich czekał, kiedy przybyli do niego w komplecie — Ru-dy, Chemo, Maggie i Christina. Dryblas trzymał kolta w kieszeni, w każdej chwili gotów wycelować w pannę Marks. Chciał zostawić ją w bagażniku pontiaca, ale nie wystarczyło miejsca.

Kimbler był długonogim mężczyzną o przerzedzonych włosach, sępi-m nosie i w okularach o grubych szklach. Jego biuro oświetlone było jak ma-gazyn, sufit przypominał tanie kartonowe opakowania do jajek, a obie ściany zasłaniały szeregi szarych stalowych półek. Na półkach zaś stały staroświeckie słoje, w których znajdowały się zakonserwowane części ludz-kich ciał: uszy, gałki oczne, stopy, ręce, palce rąk i nóg, duże i małe organy wewnętrzne.

— Masz pan niezłe hobby — stwierdził Chemo, biorąc do ręki słoje wo-reczków żółciowych. — To lepsze niż karty wstępu na mecze baseballowe.

— Zapewniam pana, że dysponuję odpowiednim zezwoleniem — oświadczył z godnością właściciel.

Maggie wyjaśniła, że Kimbler sprzedaje ludzkie tkanki zagranicznym akademiom medycznym i że interes jest całkowicie legalny.

— Obiekty pochodzą z prawnie potwierdzonych źródeł — dodał Kim-bler. — Szpitali. Laboratoriów anatomopatologicznych.

O b i e k t y. Christinę zemdliło na samą myśl. A może spowodował to wypełniający pomieszczenie słodkawych zapach śmierci?

— Być może moje słowa zabrzmiały dla państwa upiornie, lecz świadczą niezwykle cenne usługi. Gdyby nie ja, te obiekty, usunięte organy i im podobne, uległyby zniszczeniu. Zostałyby wyrzucone. Spłukane do ścieków. Spalone. Tymczasem zagraniczne akademie medyczne niezmiernie potrzebują klinicznych pomocy naukowych... Studenci są ogromnie wdzięczni. Powinniście państwo zobaczyć niektóre listy...

— Nie, dziękuję — przerwał mu Chemo. — A jakie są dzisiaj notowania kutasa?

— Słucham?

— Panie Kimbler — wtrąciła się szybko Maggie. — Jesteśmy bardzo wdzięczni, że zechciał nas pan przyjąć w tak krótkim terminie. Mamy pewien niezwykle problem.

Handlarz ludzkimi szczątkami teatralnie spojrział na nią sponad okularów. Na jego wargach pojawił się leciutki uśmiech.

— Domyśliłem się tego.

— Dysponujemy kompletnym... obiektem — ciągnęła Maggie.

— Rozumiem.

— Chodzi o ubogiego osobnika. Bardzo smutny przypadek... Człowiek bez rodziny, bez środków pozwalających na przyzwoity pogrzeb. Nie jesteśmy nawet pewni, kim był.

Christina ledwo mogła się powstrzymać. Widziała ciało wpychane do bagażnika bonnevill'a tylko przez ułamek sekundy, ale to wystarczyło, żeby się zorientować, że należało do młodego człowieka.

— Czy mogłaby mi pani podać okoliczności? — Kimbler zwrócił się do Gonzalez. — Na przykład powód śmierci?

— Jak już wspomniałam, był człowiekiem biednym — oznajmiła. — Nagła operacja wyrostka robaczkowego. Wskazała Rudy'ego. — Proszę zapytać jego, jest lekarzem.

Graveline był oszołomiony. Usiłował połapać się w opowiadanej przez Maggie historii.

— Przeprowadzałem operację... miał chroniczną wadę serca. Paskudna arytmia. Powinien był nas uprzedzić przed operacją, ale tego nie zrobił.

Kimbler wydał wargi.

— Jest pan chirurgiem?

— Tak. — Rudy nie był ubrany jak chirurg. Włożył buty z wysoką

cholewką, jasnobrązowe bawełniane spodnie i marynarski sweter z golfem. Przygotował się już do podróży łodzią. — Zaraz, chwileczkę. — Wyjął portfel i pokazał facetowi legitymację Stowarzyszenia Medycznego hrabstwa Dade. Kimbler wyglądał na usatysfakcjonowanego.

— Zdajemy sobie sprawę, że sytuacja jest dość niezwykła — odezwała się znów Maggie.

— Tak, no cóż, zobaczymy.

Chemo uszczyptał Christinę w łokieć i uprzedził:

— Poczekamy tutaj. — Podał Gonzalez kluczyki do bonneville'a.

Maggie wraz z Rudym zaprowadzili eksportera do samochodu zaparkowanego na parkingu miejskim dwie przecznice dalej.

Gdy była pielęgniarzka otworzyła bagażnik, doktor odwrócił się. Kimbler zaś poprawił okulary i pochylił się nad ciałem z miną eksperta badającego pociągnięcia pędzlem na arcydziele malarstwa.

— Hm — mrucał. — Hm.

Graveline podsunął się bliżej, aby zasłonić wnętrze bagażnika na wypadek, gdyby któryś z przechodniów zainteresował się, co robią. Jego obawy były jednak bezpodstawne. Nikt nawet nie spojrzął w ich stronę — połowa ludzi w Miami robiła interesy przy bagażnikach samochodów.

Kimbler był wyraźnie pod wrażeniem.

— Nie wiem wielu kompletnych zwłok — zauważył. — A z całą pewnością nie tej jakości.

— Próbowaliśmy odnaleźć jego krewnych — łąał Rudy — ale z jakiegoś powodu podał nam fałszywe nazwisko.

Eksporter zachichotał.

— Musiał mieć ważny powód. Pewnie jakiś kryminalista.

— Wszędzie, gdzie się zwracaliśmy, trafialiśmy w ślepią uliczkę — ciągnął doktor, kulawo próbując okrasić kłamstwo.

Maggie ruszyła mu na pomoc.

— Chcieliśmy przekazać go hrabstwu, lecz wydało się nam to marnotrawstwem.

— O, tak — przyznał Kimbler. — Niedobory dobrych zwłok... za dobre uważam białe i dobrze odżywione. Większość akademii, z którymi utrzymuję kontakty, boryka się z tym problemem. Na przykład jedna z uczelni w Dominikanie dysponowała jedynie dwoma ciałami na grupę sześćdziesięciu

studentów. No i proszę mi powiedzieć, jak te dzieciaki mają się nauczyć anatomii?

Rudy zamierzał coś dodać, lecz zrezygnował. Cały interes bez wątpienia był nielegalny jak wszyscy diabli. Ale czyż miał wybór? Po raz pierwszy w swoim zawodowym życiu utracił kontrolę nad biegiem wydarzeń. Całkowi- cie poddał się plugawym, ulicznym instyktom Chema i Maggie Gonzalez.

— Dwa nędzne ciała, obydwa po dezynтерии — kontynuował Kimbler. — Ważyły zaledwie około czterdziestu pięciu kilo każde. Na sześćdziesięciu studentów! W niektórych biednych krajach bynajmniej nie jest to odosob- nione zjawisko. Akademię Medyczną w Gwadelupie stać zaledwie na szkie- lety małp. Żeby im pomóc, wysłałem dwa serca i z pół tuzina płuc, ale prze- cież nie zastąpią one kompletnego ludzkiego ciała.

Maggie potrafiła ostro się targować. Powoli zamknęła, lecz nie zatrza- snęła, zardzewiała pokrywę bagażnika. Reynaldo Flemm zaczął już tajać.

— A więc jest pan zainteresowany — stwierdziła.

— Tak — oświadczył Kimbler. — Czy osiemset państwu odpowiada?

— Bardziej nam odpowiada dziewięćset — odparła Maggie.

Kimbler zmarszczył się z irytacją.

— Osiemset pięćdziesiąt góra.

— Osiemset siedemdziesiąt pięć. Gotówką.

Handlarz w dalszym ciągu się marszczył, jednocześnie potakująco kiwa- jąc głową.

— No dobrze. Niech będzie osiemset siedemdziesiąt pięć.

Kompletnie zdezorientowany Rudy Graveline zapytał:

— Pan nam płaci?

— Oczywiście — przytaknął Kimbler. Przez chwilę przypatrywał mu się podejrzliwie. — Żeby nie było później jakichś wątpliwości: czy pan rzeczy- wiście jest lekarzem? Wprawdzie zauważyłem, że pańskie zezwolenie jest aktualne, nie musi też pan niczego podpisywać, dobrze jednak wiedzieć.

— Tak — westchnął Rudy. — Jestem lekarzem. Moje zezwolenie jest ważne. — Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jutro już go nie będzie w kra- ju. On i Heather razem na szczycie góry w Kostaryce.



Kimbler wesolutko poklepał klapę bagażnika. — W takim razie w porządku. Wróćmy więc do biura. I włożmy zaraz obiekt do lodu.

Mick Stranahan przyniósł Heather Chappell kubek gorącej czekolady. Otuliła się szczerlnie zarzuconym na ramiona kocem i powiedziała:

— Dziękuję. Tak mi strasznie zimno.

— A poza tym jak się pani czuje?

— Cała poobijana — odparła. — Zwłaszcza po tej przejażdżce łodzią.

— Przepraszam — rzekł Mick. — Wiem, że rzucało jak diabli. Zbliża się front i dlatego wieje silny wiatr z zachodu.

Heather wypila ostrożnie łyk czekolady. Porywacz, kimkolwiek był, przyglądał jej się obojętnie, siedząc na pleconym stołku barowym. Miał na sobie dżinsy, płócienne buty na gumowej podeszwie, jasnożółtą bawełnianą koszulę i popelinową kurtkę. Sprawiał wrażenie mocnego, lecz nie nikczemnego człowieka.

Na środku saloniku stał przykryty ceratą stolik do kart, a na nim pojemnik z narzędziami Sears Craftsman, zabrany z domu doktora Grave-line'a.

Heather skinęła głową w stronę pojemnika i zapytała:

— Co tam jest?

— Trochę rzeczy, które pożyczyłem od Rudy'ego.

Umeblowanie wyglądało, jakby pochodziło z wyprzedaży Armii Zbawienia, ale mimo wszystko wewnątrz było w jakiś spartański sposób przytulne, tym bardziej że z dołu dobiegały łagodne odgłosy falującej wody.

— Podoba mi się twój dom — oświadczyła Heather.

— Ale otoczenie nie jest już takie jak dawniej.

— Co to za ryba na ścianie?

— Niebieski marlin. Złamał mu się miecz. Będę musiał go naprawić.

— Sam go złapałeś? — zainteresowała się aktorka.

— Nie — odrzekł Mick. — Nie jestem Hemingwayem.

— Przymierzałam się do roli w *Wyspach na strumieniu*. Z George'em C. Scottem. Widziałeś ten film?

Stranahan odparł, że nie, nie widział.

— Ale nie dostałam tej roli — wyjaśniła Heather. — Nie pamiętam już, kto zagrał zonę. George C. Scott był Hemingwayem i w filmie łowiono bardzo dużo ryb.

Bezbronny marlin gapił się ze ściany.

— Kiedyś był tu raj — stwierdził Mick.

Aktorka skinęła głową. Mogła sobie coś takiego wyobrazić,

— Co zamierzasz ze mną zrobić?

— Niewiele — powiedział.

— Teraz sobie przypominam, skąd cię znam — oświadczyła. — Z kliniki. Wtedy, tamtego wieczoru na parkingu, wsadziłeś mnie do taksówki. Kiedy spalił się samochód Rudy'ego.

— Mam na imię Mick.

Heather, jako znana gwiazda, zazwyczaj się nie przedstawiała, tym razem jednak uznała, że powinna.

— Pytałem cię, jak się czujesz z powodu tego — wyjaśnił Stranahan, podnosząc trzy flakoniki z pastylkami i potrząsając nimi lekko. — Stały na stoliku koło twojego łóżka. Młody pan doktor Graveline faszzerował cię prochami.

— Pewnie środki przeciwbólowe. Wiesz przecież, że niedawno przeszłam operację.

— Żadne przeciwbólowe. Seconal 10 000. Ta moc wystarczyłaby do uśpienia słonia,

— Co...? Dlaczego to robił?

Mick wstał ze stołka i podszedł do Heather Chappell. W rękę trzymał maleńkie nożyczki. Uklęknął przed nią i poprosił, żeby się nie ruszała.

— O Boże!

— Spokojnie.

Ostrożnie rozciął bandażę na jej twarzy. Heather spodziewała się, że poczuje słonawy chłód w miejscach nacięć. Ale odczuwała tylko lekkie swędzenie.

— Chcę ci coś pokazać — rzekł Stranahan. Poszedł do łazienki i wrócił z lusterkiem. Aktorka przyglądała się sobie przez dłuższą chwilę.

— Nie ma żadnych śladów — oznajmiła zdziwiona.

— Żadnych. Ani blizn, ani podsinień, ani opuchnięć.

— A Rudolph mówił... Rozumiesz, wspominał coś o mikrochirurgii.

I o laserach. Twierdził, że blizny będą takie malutkie...

— Pieprzenie w bambus! — Podał jej nożyczki.

Schwyciła je prawą dłonią jak pistolet.

— Wyjdę do drugiego pokoju — zaproponował. — Zawołaj, kiedy będzie po wszystkim. Powiem ci, co wiem na ten temat.

Dziesięć minut później Heather łomotała do drzwi sypialni. Pozbyła się bandaży i lipnych opatrunków. Stała teraz naga, pokryta paskami lepkiego kleju po plastrach, i płakała cicho. Mick podał jej koc i posadził na łóżku.

— Obiecał zrobić mi piersi — łkała. — I biodra. Nos, powieki... wszystko.

— No cóż, skłamał.

— Proszę, chciałabym wrócić do Los Angeles.

— Może jutro.

— Co się tu dzieje?! — zawołała. — Czy mogę skorzystać z twojego telefonu? Muszę zadzwonić do mojego menedżera. Proszę.

— Przykro mi — odparł Stranahan. — Nie mam telefonu. Ani zwykłego, ani pokładowego. Nie mam też faksu. Poza tym pogoda zrobiła się paskudna, utkwiliśmy więc tu na całą noc.

— Ale moja rola w *Haśle*! Gram z Jackiem Klugmanem! Boże, jaki dziś dzień?

— Pozwolisz, że cię o coś zapytam? — odezwał się Mick. — Jesteś piękną dziewczyną, to nie ulega wątpliwości. Ale jak mogłaś być tak cholernie głupia?

Heather natychmiast przestała płakać. Zdusiła w sobie łkanie. Żaden mężczyzna nigdy nie ośmielił się mówić do niej w ten sposób. Chociaż nie, chwileczkę. Patrick Duffy, raz. Grała debiutantkę w *Dallas* i zapomniała jednej głupiej kwestii. Jednej z siedemnastu! Ale potem przynajmniej Patrick przeprosił ją za swój wybuch.

— Oddać się w ręce takiemu konowalowi jak Graveline — ciągnął Stranahan. — Jezu, to żalosne. I po co? Żeby zdjąć centymetr z bioder? Wpakować sobie poliuretanowy dołeczek na brodę? Plastikowe woreczki do piersi? Pomyśl: za sto lat twoja trumna pęka i w środku nie ma nic, oprócz dwóch małych woreczków silikonu. Żadnego ciała, kości — wszystko rozpadło się w pył, z wyjątkiem twoich piersi. Są bioniczne. Wieczne!

— Ale wszyscy tak robią — rzekła Heather cichutko.

Mick zerwał z niej koc i po raz pierwszy aktorka poczuła prawdziwy lęk. Kazał jej wstać.

— Popatrz na siebie!

Nieśmiało opuściła oczy.

— Powiedz mi, co ci się nie podoba w twoim wyglądzie?

Wiatr szarpnął okiennicami i do pokoju wślizgnął się chłodny powiew. Heather zadrżała, usiadła i przykryła piersi dłońmi.

Stranahan skrzyżował ręce, jakby czekał na coś, na jakieś wyjaśnienie.

— Jesteś mężczyzną i nie oczekuję, że mnie zrozumiesz. — Zastanawiała się, czy będzie próbował jej dotknąć.

— Próżność, owszem, rozumiem — odparł. — Mężczyźni są w tym ekspertami. — Podniósł z podłogi koc i obojętnie położył go dziewczynie na kolanach. — Zdaje się, że w jednej z szuflad jest jakieś ciepłe ubranie.

Znalazł szary dres z kapturem i parę wełnianych męskich skarpetek. Heather ubrała się szybko.

— Wy tłumacz mi tylko jedno — poprosiła, drżąc bez przerwy. — Dlaczego Rudolph mnie okłamał? Nie potrafię tego pojąć. Czemu nie zrobił mi operacji?

— Przypuszczam, że się bał. Jeżeli tego nie zauważyłaś, to ci powiem, że szaleje za tobą. Pewnie nie mógł pogodzić się z myślą, że coś może się nie udać. A takie rzeczy mu się zdarzały.

— Ale ja mu zapłaciłam — oświadczyła Heather. — Wypisałam temu skurwysynowi czek.

— Daj spokój. Łamiesz mi serce.

Spojrzała na niego wściekle.

— Posłuchaj — zwrócił się do niej Mick. — Widziałem jego rachunki Visy. Luksusowe restauracje, ubrania z kolekcji, brylancik albo dwa — nieźle na tym wyszłaś. Czy wspomniał, że chce cię zabrać na wakacje w tropikach?

— Mówił coś o Kostaryce.

— Tak, no cóż, nie martw się. Wycieczka została odwołana. Rudy'emu przydarzyło się drobne niepowodzenie.

— A więc wyjaśnij mi, co się dzieje — zwróciła się do niego Heather.

— Po prostu uznaj, że miałaś cholerne szczęście.

— Dlaczego? O co tu chodzi?

— Rudy zabił młodą kobietę, taką jak ty. Nie, nie taką. Ona była niewinna. A zabił ją, przeprowadzając operację nosa.

Panna Chappell skuliła się. Odruchowo podniosła dłoń do twarzy.

— I o to właśnie chodzi — dodał Stranahan. — Jeżeli mi nie wierzysz, zapytaj go sama. Właśnie tu płynie.

— Tutaj?

— Tak. Aby ocalić ciebie i zabić mnie.

— Rudolph? Nie ma mowy.

— Nie znasz go tak dobrze jak ja, Heather.

Przechodził z pokoju do pokoju, gasząc światła. Aktorka podążała za nim bez słowa. Nie chciała zostać sama, wołała już być skazana na jego towarzystwo. Z latarnią Colemana w dłoni Mick wyprowadził ją z domu i pomógł jej wspiąć się na dach. Wiatrak świstał i furkotał nad ich głowami.

— Boże, ten wiatr robi się naprawdę paskudny — stwierdziła Heather.

— Rzeczywiście.

— Co to za broń?

— Strzelba, Heather.

— Nie mogę uwierzyć, że Rudolph przyplynie taki kawał drogi w taką noc jak ta.

— Przyplynie.

— Po co ci ta strzelba?

— Dla zrobienia wrażenia — odparł Stranahan. — Przede wszystkim.

## 33.

Sierżant Garcia miał lekkie poczucie winy, że skłamał Mickowi Stranahanowi, dopóki nie wysiadła motorówka patrolowa Luisa Córdovy. Luis wisiał teraz, przechylony przez rufę, i gmerał przy zanurzonej części. Al stał obok niego, przyświecając mu wielką hermetyczną latarką i klnąc słony pył.

Nienawidzę łodzi, pomyślał Garcia. Kiedy zepsuje ci się samochód, możesz wysiąść i dalej pójść pieszo. A na pieprzonej łodzi musisz tkwić jak głupi.

Dryfowali w odległości jakiejś pół mili na zachód od Seaquarium. Było absolutnie ciemno i straszliwie rzucało. Zimny północno-zachodni wiatr przenikał przez plastikową kurtkę Garrii, sprawiając, że policjant coraz bardziej żałował, iż nie poczekał do rana, tak jak obiecał Stranahanowi.

Ustalenie przyczyny awarii silnika nie zajęło Luisowi zbyt dużo czasu.

— Śruba — oznajmił.

— Co się z nią stało?

— Zniknęła.

— Uderzyliśmy o coś?

— Nie, po prostu odpadła. Ktoś majstrował przy zawleczce.

Sierżant zastanawiał się przez chwilę.

— Czy on wie, gdzie trzymasz łódź?

— Jasne — przytaknął Luis.

- Kurwa.
- Lepiej uruchomię radio i zorientuję się, czy możemy liczyć na pomoc.
- Garcia schował latarkę, usiadł przy konsoli sterowniczej i zapalił papierosa.
- Co za skurwysyn. Nie miał do nas zaufania.
- Potrzebujemy nowej śruby albo nowej łodzi — powiedział Córdova.
- Tak czy owak, potrwa to parę godzin.
- Rób, co w twojej mocy. — Al usłyszał od południa inną łódź płynącą przez zatokę. Luis również. Odgłos kadłuba uderzającego ciężko o fale. Warkot silnika zacichał, w miarę jak motorówka się oddalała. Dobrze wiedzieli, co się dzieje.
- Cholera — burknął Garcia.
- Naprawdę sądzisz, że to on zrobił?
- Bez wątpienia. Sukinsyn nam nie dowierzał.
- Nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego — rzekł Córdova, sięgając po mikrofon radia.

Jadąc groblą w stronę przystani, Chemo bez przerwy myślał o domu na palach i potwornej rybie, która zeżarła mu dłoń. Choć bardzo się starał, nie potrafił ukryć lęku przed powrotem.

Gdy zobaczył wynajętą przez Rudy'ego łódź, omal nie odwołał całej ekspedycji.

— Co to za gówno? — zapytał.

Mieli do dyspozycji sześciometrową łódź z przyczepnym starym sześćdziesięciokonnym silnikiem Mercury, pękata i wolną. Tania hotelowa motorówka do wynajęcia, nadająca się w sam raz do tego, by znęcali się nad nią turyści.

— Nie wierzę własnym oczom — jęknął Chemo.

— Dobrze, że w ogóle znalazłem cokolwiek o tej porze — stwierdził Graveline.

— Załatwmy to wreszcie — odezwała się Maggie Gonzalez.

Weszła do łodzi pierwsza, za nią doktor, na końcu Christina Marks.

Chemo stał na nabrzeżu, patrząc na zatokę oświetloną bursztynową poświatą miasta.

— Wieje jak jakiś pieprzony tajfun — zauważył.

Naprawdę nie miał ochoty płynąć.

— Chodź wreszcie! — zawołał Rudy. Myślenie o Heather doprowadzało go do szaleństwa, a właściwie doprowadzało go do szaleństwa myślenie o tym, co będzie musiał zrobić, żeby ją odzyskać. Chemo tymczasem sprawiał wrażenie, jakby zależało mu wyłącznie na zabiciu Micka Stranahana. Bez względu na to, co się stanie.

Gdy dryblas odwiązywał cumę dziobową, Christina Marks oznajmiła:

— To naprawdę paskudny pomysł.

— Zamknij się! — burknął Chemo.

— Słowo daję. Wszyscy troje powinniście zwiewać, póki czas.

— Powiedziałem, żebyś się zamknęła.

— Może ona ma rację — wtrąciła się Maggie. — Ten facet nie jest zbyt zrównoważonym człowiekiem.

Chemo wgramolił się niezgrabnie do łodzi i zapuścił silnik.

— A co, chcesz spędzić resztę życia w mamrze? Sądzisz, że on o wszystkim zapomni i pozwoli nam odjechać w zachód słońca?

Rudy Graveline zadrżał.

— Chcę tylko Heather.

— Nie martw się — pocieszyła go Christina. — Mick jej nie skrzywdzi.

— A kogo to, kurwa, obchodzi — mruknął Chemo, przesuwając zdrową ręką manetkę gazu.

Zanim udało im się dotrzeć do Osady, Chemowi wydawało się, że twarz pali go żywym ogniem. Wynajęta łódź płynęła jak balia. Każda fala przelewała się przez nadburcie i chlastała pyłem wodnym po jego obdartych z naskórka policzkach. Sól paliła jak chłodny kwas. Dryblas szybko wyczerpał repertuar przekleństw. Rudy w niczym nie mógł mu pomóc, kobiety również. Wszyscy byli przemoczeni do nitki, ponurzy i dygotali z zimna.

Wykonując szeroki zakręt do kanału Biscayne, Chemo zwolnił i wskazał Niszczycielem Chwastów.

— A co to za kurewstwo? — spytał. — Popatrzcie na to.

Widoczny za mieliznami dom Stranahana był oświetlony jak komis z używanymi samochodami. Na każdym palu wisiła latarnia, kołysząc się niesamowicie na wietrze. Zza szeroko otwartych brązowych okiennic



dobiegała muzyka — raz głośniejsza, to znów cichnąca przy każdym powiewie wiatru. Christina Marks roześmiała się w duchu.

— Beatlesi — wyjaśniła. Mick puszczał *Happiness Is a Warm Gun*.

— Co, próbuje być taki oryginalny? — parsknął Chemo.

— O nie — odparła Christina. — Nie on.

Maggie Gonzalez odgarnęła z twarzy mokry kosmyk włosów.

— Najwyraźniej to świr.

— A my nimi nie jesteśmy? — mruknął Rudy.

Wziął lornetkę i próbował wypatrzyć Heather Chappell wewnątrz domu. Ale nie dostrzegł żadnego śladu życia. Naliczył natomiast przynajmniej tuzin płonących lamp.

Na widok domu w pamięci Chema znowu odżyły koszmarne wspomnienia. Aż za dobrze widział złamaną poręcz w miejscu, gdzie wpadł do wody w dniu nieszczęsnego ataku skuterem wodnym. Myślał o tej okrutnej rybie, czymkolwiek była, mieszkającej pod pomostem domu. Mimowolnie zastanawiał się nad jej nocnymi nawykami konsumpcyjnymi.

— Jak to załatwimy? — odezwała się rzeczowo Maggie.

Graveline spojrzął na nią surowo.

— Nie zrobimy nic, dopóki Heather nie znajdzie się bezpiecznie w tej łodzi.

Chemo schwycił Christinę za ramię i przyciągnął ją do konsoli.

— Stój tutaj, tuż obok mnie! — rozkazał. — Zupełnie blisko, na wypadek, gdyby twojemu szajbniętemu przyjacielowi przyszły do głowy jakieś dziwne pomysły. — Przycisnął lufę kolta kalibru zero trzydzieści osiem do jej prawej piersi, a trzonkiem Niszczyciela Chwastów przytrzymał koło sterowe.

Gdy motorówka podskakując płynęła z wysiłkiem przez mieliznę w stronę domu Micka Stranahana, Christina pogodziła się z myślą, że być może nie przeżyje następnych paru minut.

— Żeby wszystko było jasne — oświadczyła. — On nie jest moim przyjacielem.

Maggie trąciła ją łokciem i szepnęła:

— Mogłabyś gorzej trafić.

Chemo zatrzymał łódź w odległości dziesięciu metrów od pomostu.

Stereo ucichło. Jedyнным odgłosem był warkot wiatraka i skrzypienie lamp kołyszących się na wietrze. Dom przesywał niebo swoją przezroczy-  
stą jasnością — biała pochodnia w najczarniejszym środku niczego. Skąd, u  
licha, wziął tyle lamp, zastanawiała się Christina.

Chemo spojrzał na Rudy'ego Graveline'a.

— No i co? To ty dostałeś zaproszenie.

Doktor skinął posepnie głową. Na gumowych nogach przeszedł na dziób  
łodzi. Trudny, mokry rejs zniszczył całą elegancję jego garderoby L.L. Be-  
ana. Rudy przyłożył obie dłonie do ust i wykrzyknął nazwisko Stranahana.

Cisza.

Zerknął na Chema, który wzruszył ramionami. Kolt wciąż był wycelo-  
wany w Christinę Marks.

Następnie Graveline zawołał Heather i z zaskoczeniem usłyszał jej od-  
powiedź.

— Hej, tutaj! — Jej głos doleciał z dachu, gdzie było jeszcze ciemniej.

— Zejdź na dół! — polecił z podnieceniem Rudy.

— Nie, chyba nie.

— Dobrze się czujesz?

— Doskonale — odparła. — Ale nie dzięki tobie.

Chemo popatrzył na chirurga z kwaśną miną.

— I co teraz?

— Nie patrz na mnie! — warknął Rudy.

— Przypłynęliśmy cię ocalić! — wrzasnął dryblas do Heather. — Jaki  
masz problem, do cholery?

Nagle aktorka pojawiła się na dachu. Żeby utrzymać równowagę, przy-  
trzymała się podstawy wiatraka. Miała na sobie szary dres z kapturem.

— Jaki mam problem? Zapytaj jego. — Odrzuciła z głowy kaptur i Ru-  
dy Graveline zobaczył, że bandaż zniknął.

— Cholera! — jęknął.

— Posłuchajmy — mruknął Chemo.

— Chciała, żebym poddał ją pewnym zabiegom chirurgicznym, ale nie  
zrobiłem tego. Ona myśli... Rozumiesz, powiedziałem jej, że je przeprowa-  
dziłem.

- O, Boże! Wszyscy tu mają szajbę — oznajmiła Maggie Gonzalez.
- Zapłaciłam ci, skurwysynu! — dobiegło ich przekleństwo Heather.
- Proszę, wszystko ci wyjaśnię — odezwał się błagalnym tonem Rudy. Chemo był zde gustowany.

— Naprawdę przepiękna chwila. Nie tylko nie chce być uratowana, ale nienawidzi cię z całego serca.

Aktorka zniknęła z dachu i po chwili zjawiała się ponownie, sama, na pomoście domu. Graveline rzucił jej cumę, którą owinęła wokół jednego z polorów. Chirurg wyszedł z łodzi i usiłował ją objąć, lecz Heather cofnęła się i syknęła:

- Nie dotykaj mnie!
- Co ze Stranahanem? — zapytał rozkazującym tonem Chemo.
- Gdzieś się tu kręci — wyjaśniła gwiazda.
- Słyszysz nas?
- Z pewnością.

Oczy Chema błędziły tam i z powrotem po domu, pomoście, dachu. Za każdym razem, gdy spoglądał na wodę, przypominał sobie tę straszliwą rybę i jak szybko wszystko się wówczas stało. Kostki palców ściskających rewolwer posiniały z napięcia.

- Popatrz tutaj! — odezwał się znajomy głos.

Dryblas odwrócił się gwałtownie. Głos dobiegał spod domu, pomiędzy pali, wśród których przelewał się z sykiem przypływ.

- Rzuć broń! — rozkazał Mick Stranahan.
- Bo co? — warknął Chemo.
- Bo odstrzelę ci swoją nowiutką buźkę.

Wielkolud dostrzegł pomarańczowy błysk i natychmiast eksplodowała latarnia wisząca najbliżej jego głowy. Maggie wrzasnęła, a Christina wyśliźgnęła się z jednorękiego chwytu Chema. Stojący na pomoście Rudy Graveline rzucił się brzuchem na deski i zakrył głowę rękami.

Chemo stał samotnie ze swoim głupim rewolwerem w ręku. W uszach mu dudniło. Odłamki gorącego szkła wbiły się w skórę na głowie. Znowu ta przeklęta strzelba, pomyślał.

Gdy echo wystrzału ucichło, ponownie odezwał się głos Stranahana:

— To breneka, panie Tatum, jeżeli się pan jeszcze nie zorientował.

Twarz wściekle bolała Chema. Przez chwilę zastanawiał się, jaki wpływ na to może mieć wystrzelony z bezpośredniej odległości ładunek śrutu, po czym rzucił kolta do zatoki. A nuż uda się dojść do porozumienia? Pomimo kupna telefonu do samochodu zostało mu sporo pieniędzy na drobne wydatki.

Stranahan polecił Chemowi wyjść z łodzi.

— Ostrożnie! — ostrzegł.

— Jasne.

— Pamiętaj o swoim spotkaniu z barrakudą.

— A więc to była barrakuda. — Dryblas przypomniał sobie fotografie tych ryb w czasopismach sportowych. Najbardziej wryły mu się w pamięć ich nieprawdopodobne zęby. — Jezu Chryste! — jęknął.

Mick nie wspomniał, że wielka barrakuda odpłynęła już dość dawno temu na głębsze wody, żeby przeczekać zimny okres. Pewnie tkwiła przy Fowey Rocks.

Chemo posuwał się z krabią ostrożnością, przemieszczając na przemian swoje długie kończyny. Borykając się z kołysaniem łodzi i zachwianą przez ciężar protezy równowagą ciała, z trudem mógł utrzymać się na śliskiej poręczy nadburcia. Maggie Gonzalez podeszła do niego z tyłu i pomogła mu wejść na pomost. Chemo był wyraźnie zdziwiony.

— Dziękuję — powiedział.

Stranahan odezwał się spod domu:

— Dobra. Heather, wchodź do łodzi.

— Chwileczkę — zaprotestował Rudy.

— Nie martw się, nic jej nie będzie.

— Heather, nie! — Graveline wspominał noc w kominku i poranek pod prysznicem. I myślał o Kostaryce.

— Precz z łapami! — warknęła aktorka, wsiadając do łodzi.

Christina Marks wymyśliła swój plan.

— Mick, chcę zostać — oznajmiła.

— Aha, zmieniłaś zdanie.

— Co...

— Postanowiłaś jednak wyjść za mąż?

Słowa zawisły w mroku nocy jak szyderczy krzyk mewy. A potem spod domu rozległ się śmiech.

— Wszystko dla ciebie jest tylko reportażem — rzekł Stranahan. — Nawet ja.

— To nieprawda — zaprotestowała Christina. Wydawało się, że jej szczerść jakoś nikogo nie wzrusza.

— Ale się tym nie martw — dodał Mick. — I tak cię kocham, bez względu na wszystko.

Rudy podniósł się ostrożnie i stanął obok Chema. W migoczącym świetle latarni dryblas bardziej niż kiedykolwiek przypominał figurę woskową. Był jak zahipnotyzowany — jego podpuchnięte, wytrzeszczone oczy nie mogły oderwać się od przepływających mrocznych fal.

— Czy można już odwiązać łódź? — zapytała Heather.

— Jeszcze nie — odparł Stranahan. — Mogłabyś najpierw sprawdzić kurtkę Maggie?

Gonzalez miała na sobie nieprzemakalną męską kurtkę. Gdy aktorka sięgnęła do kieszeni sztormówki, pielęgniarka odepchnęła jej rękę.

Spod domu rozległ się metaliczny stukot — to Mick wydobywał się ze swojego stanowiska strzeleckiego. Szybko wyczołgał się z aluminiowej łodzi ustawionej na zbiorniku z wodą i jedną ręką podciągnął na pomost. Jego goście mogli dobrze się przyjrzeć remingtonowi.

— Maggie, bądź grzeczną dziewczynką — rozkazał. — Pozwól nam obejrzeć, co tam trzymasz.

Christina zajęła się kieszeniami Gonzalez z jednej strony kurtki, a Heather z drugiej.

— Klucze — poinformowała dziennikarka, pokazując je Stranahanowi. Jeden kluczyk — mały, srebrny — był do walizeczki, drugi, większy — do drzwi pokoju w „Holiday Inn”.

Chemo zamrugał ponuro i poklepał się po kieszeniach spodni.

— Jezu Chryste! — jęknął. — Ta suka wyczyściła mi kieszenie.

Nie mógł w to uwierzyć: Maggie podwędziła klucze, pomagając mu wsiąść z łodzi! Zamierzała wrócić do motelu i rąbnąć całą forszę.

— Wiem, co czujesz — powiedział ze współczuciem Stranahan.

Wyciągnął rękę, wziął klucze z dłoni Christiny i włożył je do kieszeni dzinsów.

— I co teraz? — odezwał się Rudy, pragnąc jakiegokolwiek podpowiedzi.

Prawa ręka Chema wsunęła się pod lewą pachę i namacała włącznik

zasilania. Niszczyciel Chwastów zabrzączał, stanął na chwilę i wreszcie obudził się do życia.

— Przysnaję, że jestem pod wrażeniem — oświadczył Mick.

Wycelował remingtona w głowę drybłasa i rozkazał mu stać bez ruchu.

Chemo nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Dwoma żyrafami susami przemierzył pomost i z mściwym pomrukiem rzucił się na rufę łodzi, w kierunku Maggie. Wszyscy upadli, splątani w jedną hałaśliwą kupę — Chemo, Maggie, Heather i Christina — a łódź przechyliła się niebezpiecznie.

Mick Stranahan i Rudy Graveline obserwowali kotłowaninę z dolnego pomostu domu. Przez ogólny tumult przedarł się przesywający, koci wrzask kobiety.

— Zrób coś! — zawołał doktor.

— Dobrze — zgodził się Stranahan.

Później Mick zebrał wszystkie latarnie i wniósł je do domu. Graveline leżał na łóżku, ubrany tylko w krótkie kalesony. Każdą z kończyn miał przykutą do słupków łóżka. Nieprzytomny Chemo spoczywał w rogu, zwinęty w kłębek na gołej podłodze. Okiennice były zamknięte i latarnie sprawiały, że pokój wyglądał jak oświetlone studio telewizyjne.

— Odplynęły? — zapytał Rudy.

— Nic im nie będzie. Zaczął się odpływ.

— Nie jestem pewien, czy Heather potrafi pływać.

— Łódź nie zatonie. Wszystko będzie w porządku.

Doktor zauważył świeżą krew na czole Stranahana, w miejscu, gdzie zaczepił je Niszczyciel Chwastów.

— Chcesz, żebym to obejrzał? — zaproponował.

— Nie! — odparł stanowczo Mick. — Nie chcę. — Wyszedł z sypialni i wrócił z czerwonym pojemnikiem na narzędzia. — Popatrz, co przyniosłem — rzekł do Rudy'ego.

Chirurg wyciągnął głowę, aby lepiej widzieć. Stranahan otworzył pojemnik i zaczął go rozpakowywać.

— Poznajesz coś z tego?

— Tak, oczywiście... Co robisz?

— Zanim zaczniemy, powinienem ci coś powiedzieć. Gliniarze mają taśmę Maggie i wiedzą, co zrobiłeś z Victoria Barletta. Czy mogą cię na tej

podstawie skazać, to zupełnie inna historia. Rzecz w tym, że Maggie nie jest idealnym świadkiem. Prawdę mówiąc, przypuszczalnie za mniej więcej dwadzieścia pięć centów może ponownie zmienić zeznania.

Rudy opanował panikę. Próbował dociec, czego Stranahan właściwie chce, i jak mu to dać. Założył, że w głębi duszy facet niczym nie różni się od innych — Maggie, Bobby'ego Pepsicala czy nawet Chema. Z pewnością chodzi o pieniądze.

Stranahan wyszedł znowu i tym razem wrócił ze składanym stolikiem. Postawił go pośrodku pokoju i przykrył ceratą.

— Co to takiego? — zapytał doktor. — Czego żądasz?

— Żebyś mi pokazał, co się stało.

— Nie rozumiem.

— Z Vicky Barletta. Pokaż mi, jaki popełniłeś błąd. — Zaczął wyjmować narzędzia z pojemnika i rozkładać je na stoliku.

— Jesteś wariat — oświadczył Graveline. Wydało mu się to dość oczywiste.

— No cóż, jeżeli mi nie pomożesz — odparł Stranahan — będę musiał sam się domyślić. — Rozerwał paczkę sterylnych rękawiczek i naciągnął je na dłonie. Weszło zginał i prostował obciążone lateksem palce przed twarzą Rudy'ego.

Przerażony doktor patrzył w milczeniu.

— Nie martw się — rzekł Mick. — Poczytałem sobie na ten temat. O, popatrz, mam markainę, mnóstwo waty, haki i cały zestaw nowych skalpeli.

Wybrał z pojemnika małe nożyczki chirurgiczne i przystąpił do wycinania włosów z nozdrzy Rudy'ego.

— Au, nie! — zawołał Graveline, szarpiąc się z kajdankami.

— Nie ruszaj się.

Następnie Stranahan dokładnie wyszorował twarz chirurga mydłem Hibiclens.

Oczy Rudy'ego zaczęły łzawić.

— A co ze znieczuleniem? — wybełkotał.

— Ach, tak — przytaknął Mick. — Byłbym zapomniał.

Chemo obudził się i przetoczył na drugi bok, łomocząc Niszczycielem Chwastów o deski podłogi. Usiadł powoli, szperając pod koszulą.

Podwieszona bateria zniknęła — Niszczyciel Chwastów był martwy.

— Ooo — powitał go Stranahan. — Uroczą siostrę Tatum.

Na tyle głowy Chema, w miejscu, w które trafiła kolba remingtona, pulsował bólem guz. Gdy wielkolud wreszcie niepewnie wstał, pierwszym obiektem, jaki przyciągnął jego wzrok, był doktor Graveline — na wpół nagi i przykuty do łóżka. Rudy miał oczy zaklejone szerokim plastrem, a wokół szyi ściśle ułożony wystrzępiony stary ręcznik kąpielowy. Obok twarzy chirurga spoczywało groźnie wyglądające, przypominające kleszcze urządzenie — wziernik służący do rozszerzania nozdrzy.

Stranahan stał przy małym stoliku wypełnionym rurkami, gazą i różnymi ostrymi instrumentami z nierdzewnej stali. W rogu stołu leżał otwarty pośrodku ciężki szary podręcznik.

— Co jest, do kurwy nędzy? — zapytał bełkotliwym, zasapanym głosem Chemo.

Mick podał mu sterylne rękawice.

— Potrzebuję twojej pomocy — oświadczył.

— Nie, tylko nie on! — zaprotestował Rudy.

— A teraz powiem ci, na jakim jesteśmy etapie — zwrócił się Stranahan do dryblasa. — Jego nos został znieczulony i opatrzony. Musiałem zakleić mu oczy, aby nie zalewała je krew. Mam mnóstwo gąbek... Ooo, przepraszam, chyba nie kontaktujesz...

— Tak, chyba tak. — Chemo poczuł, że kępki włosów stanęły mu dęba, a żołądek podjechał do gardła. Chciał wyjść, lecz gdzie, u diabła, podziela się ta pieprzona strzelba?

— Nałóż rękawice! — polecił Stranahan.

— Po co?

— Doktor nie chce wyjaśnić, co się stało Victorii Barletcie, która umarła w czasie operacji dokładnie takiej jak ta. Wiem, że było to cztery lata temu, i od tamtej pory miał setki pacjentów. Wpadłem więc na pomysł, że może zdołamy odświeżyć mu pamięć, odtwarzając operację Barletty. Właśnie tutaj.

Rudy szarpał się w kajdankach.

— Na litość boską, powiedz mi, co chce — zwrócił się Chemo do chirurga.

— Nie mam nic do powiedzenia — odparł Graveline. Był właściwie



pewien, że Stranahan blefuje. Przecież już opuścił kilka podstawowych etapów operacji. Na przykład nie próbował spiłować występu kostnego ani wykonać nacięcia w nozdrzach. Na tej podstawie Rudy założył, że facet nie traktuje tego amatorskiego zabiegu poważnie, lecz jedynie usiłuje wymusić na nim zeznania.

Oczywiście na Chemie podręczny zestaw chirurgiczny sprawiał wrażenie gułagu horrorów. Sam widok doktora — z zawiązanymi oczami i rozciągniętego jak pularda na łóżku — przekonał go, że Stranahan jest potwornym obłąkańcem.

Mick przesuwał wskazującym palcem po stronie podręcznika.

— Wszystko wskazuje na to, że wyłamanie kości nosa po obu stronach przegrody nosowej jest newralgiczną częścią operacji. To bardzo, bardzo delikatny zabieg. — Podał Chemowi mały stalowy młoteczek ze słowami: — Nie martw się, już czytałem na ten temat.

Dryblas zważył narzędzie w ręku.

— Wcale nie uważam tego za śmieszne — stwierdził.

— A czy ma być? W końcu sprawa dotyczy młodej dziewczyny.

— Pewnie to był jakiś wypadek — rzekł Chemo, pogardliwie machając ręką w stronę Rudy'ego. — Ten typ jest partaczem i najprawdopodobniej spieprzył robotę.

— Ale ciebie przy tym nie było. Nie wiesz na pewno.

— Gadaj wreszcie, dupku! — wrzasnął na Graveline'a Chemo.

Doktor pokręcił głową.

— Jestem doskonałym chirurgiem — oświadczył.

Stranahan grzebał w pojemniku z narzędziami tak długo, aż znalazł odpowiedni instrument.

— Co to takiego, dłuto? — zainteresował się Chemo.

— Bardzo dobrze — pochwalił Mick. — Fachowo nazywa się osteotom. Numer cztery. Ale zasadniczo tak, to po prostu dłuto. Popatrz tutaj.

Pochylił się nad łóżkiem i schwycił Rudy'ego za grzbiet nosa, drugą dłonią zgrabnie wsunął instrument do prawego nozdrza chirurga, opierając jego boczną krawędź o przegrodę nosową.

— A teraz, panie Tatum, będą trzymał osteotom nieruchomo, a pan leciutko stuknie...

— Nghhh — zaprotestował doktor. Tępy ucisk dłuta ożywił obawy, że ten świr naprawdę zamierza go zoperować.

— Postanowiłeś coś powiedzieć? — zapytał Stranahan.

— Masz rację — potwierdził chrapliwie Rudy. — W sprawie Barletty.  
— Zabiłeś ją?  
— Jak Boga kocham, nie chciałem tego. — Ucisk palców Micka i dotyk osteotomu sprawiały, że Graveline mówił, jakby był straszliwie zakatarzony.

— Wszystko dlatego, że puściłem jej nos. To był... straszliwy pech. Puściłem go w chwili, gdy siostra stuknęła o osteotom i...

— I dłuto poleciało aż do końca, do góry?

— Tak. Radio było włączone, zdekoncentrowałem się. Grali Lakersi i Sonicsi. Nie zrobiłem tego umyślnie.

— A potem załatwiłeś z bratem, żeby zniszczył ciało — dodał Stranahan.

— Mhm — Rudy nie bardzo mógł kiwać głową z osteotomem numer cztery tkwiącym w nozdrzu.

— A co powiesz na temat mojego asystenta? — Mick zerknął na Chema.  
— Wynająłeś go, żeby mnie zabił, prawda?

Grdyka doktora podskoczyła w górę i w dół jak spłoszona żaba. Nic nie widząc, wyobraził sobie scenę, którą mógł jedynie słyszeć: brzęk narzędzi chirurgicznych, oddechy dwóch mężczyzn, wiatr i fale wstrząsające domem...

— Słuchaj, przecież wiem, że tak było — nalegał Stranahan. — Chcę tylko poznać warunki umowy.

Rudy czuł dłuto opierające się o płytkę kostną pod oczodołem, głęboko we wnętrzu jego twarzy. Ze zrozumiałych względów trudno mu było wyjaśnić całą prawdę — prawdę, że ceną za głowę Micka miały być ulgowe zabiegi dermatologiczne.

— Chodziło o rodzaj wymiany — bąknął.

— Właśnie o tym chciałbym usłyszeć.

— Powiedz mu! — zawołał doktor do Chema. — Powiedz mu, jak umówiliśmy się na dermabrazję, powiedz...

Reakcja Chema spowodowana była częściowo obawą przed oskarżeniem, a częściowo zażenowaniem. Mruknął dziko i z całej siły machnął młotkiem. Uderzenie trafiło idealnie we właściwe miejsce na trzonku osteotomu.

Tyle że okazało się zbyt mocne. Tak mocne, że wytrąciło dłuto z dłoni Stranahana.

W rezultacie instrument zniknął całkowicie w nozdrzu Rudy'ego

Graveline'a, jakby został tam wciągnięty przez odkurzacza, a koniec ostrza przeniknął przez kruchą kość i wbił się w mózg chirurga.

Nieszczęsny doktor zadygotał, kopnął lewą nogą i obwisł bezwładnie.

— Cholera! — zawołał Mick, cofając dłoń przed strumieniem krwi.

Nie o to mu chodziło. Liczył się z tym, że w pewnym momencie będzie musiał zabić Chema, w związku z jego permanentną skłonnością do stosowania przemocy. Przewidywał, że dryblas schwyci strzelbę albo nóż kuchenny — lub zrobi coś równie głupiego i oczywistego — a potem będzie już po wszystkim. Co do Graveline'a jednak, obiecał Alowi Garcii, że dostarczy mu doktora żywego, aby móc go postawić w stan oskarżenia.

Podniósł wzrok znad ciała i spojrzał wściekle na Chema:

— Jesteś teraz zadowolony?

Wielkolud zmierzał już w stronę drzwi, trzymając młotek i obezwładnionego Niszczyciela Chwastów niczym dwie maczugi. Ostrzegł Micka, żeby za nim nie szedł. Stranahan słyszał, jak wędruje, objijając się o sprzęty, przez pograżony w ciemności dom, wydostaje się na pomost i podąża schodami w dół, nad samą wodę.

Gdy domyślił się, że Chemo wraca, wydobył remingtona spod łóżka i czekał.

Dryblas stanął w drzwiach, dysząc ciężko.

— Kurwa, co żeś zrobił z łodzią?!

— Przestrzeliłem w niej dziurę — wyjaśnił Stranahan.

— W takim razie, jak się wydostaniemy z tego pieprzonego miejsca?

— Wpław.

Chemo zacisnął wargi i wściekle spojrzał na niezgrabną kosiarkę przymocowaną do kikuta ramienia. Oczywiście mógłby ją odcepić, lecz jak daleko zdoła dopłynąć z jedną ręką, w nocy i na tych zdradzieckich wodach? A poza tym co z jego twarzą? Ból powodowany słoną wodą omywającą jego świeżo starty naskórek byłby nie do zniesienia. Ale nie miał innego wyjścia. Pozostanie tutaj byłoby czystym szaleństwem.

Stranahan opuścił lufę strzelby i powiedział:

— Trzymaj. Chyba to twoja własność.

Wyjął z kieszeni kurtki jakiś przedmiot i podniósł go do góry. Złote i srebrne ogniwa zamigotały w blasku lamp. Chemo poczuł, jak na ten widok uginają się pod nim kolana.

Wodoszczelny szwajcarski zegarek. Ten, który razem z ręką zabrała mu barrakuda.

— Ciągle chodzi — stwierdził Mick Stranahan.

## 34.

O świcie pod przymgloną purpurową krawędzią obłoków nadciągnął chłodny front, a wiatr zmienił się gwałtownie na północny. Spienione, nabrzmiące fale z Atlantyku odpychały łódź coraz dalej od brzegu Cape Florida. Był odpływ.

Kobiety zmęczyły się już machaniem i wołaniem o pomoc, ale spróbowaly jeszcze raz, gdy czerwona motorówka o ostrym dziobie okrążyła cypel wyspy. Jej sternik zauważył ruch i na wszelki wypadek zmniejszył prędkość swojej łodzi. U jego boku siedziała młoda kobieta w cytrynowożółtej bawełnianej bluzce.

Podniosła się z miejsca i krzyknęła:

— O co chodzi?

Christina Marks pomachała w odpowiedzi.

— Awaria silnika! Trzeba nas odholować do przystani.

Sternik, młody muskularny Latynos, podprowadził motorówkę bliżej. Zaproponował, że wejdzie na pokład i obejrzy silnik.

— Niech się pan nie fatyguje — odparła Christina. — Przecięty przewód paliwowy.

— Jakim cudem? — Młody człowiek nie mógł sobie tego wyobrazić.

Jak na wczesny, zimny poranek scena była przedziwna — trzy samotne kobiety na wzburzonym morzu. Jedna, szczupła brunetka, sprawiała wrażenie na coś wścieklej. Blondynka w dresie wyglądała niepewnie, może

cierpiała na chorobę morską. Trzecią była Kubanka, nawet przystojna, jeżeli pominąć wystrzyżoną, zaczerwienioną łysinkę na czubku głowy.

— Wszystko w porządku? — zapytał młodzieniec.

Kubanka skinęła gwałtownie głową.

— Mógłby nas pan podwieźć?

Chłopak popatrzył na swoją towarzyszkę i powiedział cicho:

— Sam nie wiem, Tina. Coś mi tu śmierdzi.

— Musimy im pomóc — odparła dziewczyna. — Przecież nie możemy ich tak zostawić.

— Będą inne łodzie.

— Czy mogłybyśmy przynajmniej pożyczyć pańskie radio? — poprosiła Christina. — Coś się tam stało. — Wskazała na odległe domy na palach.

— Co takiego? — zaniepokoiła się Tina.

Maggie Gonzalez, która musiała liczyć się z perspektywą więzienia, oświadczyła stanowczo:

— Nic się nie stało. Jest pijana jak prosię.

A Heather Chappell, która musiała troszczyć się o swoją karierę, dodała:

— Miałyśmy się tam spotkać z paroma facetami i urządzić balangę, lecz łódź się zepsuła i tyle.

Christina spoglądała to na jedną kobietę, to na drugą. Chciało jej się płakać i śmiać zarazem. Była bezradna i jednocześnie rozbawiona. Tyle, jeżeli chodzi o siostrzaną solidarność.

— Wiem, jak to bywa z balangami — przytaknęła Tina.

— Proszę, nie czuję się najlepiej — rzekła Heather. — Dryfujemy już od wielu godzin. — Jej twarz wydawała się znajoma.

Kubanka z łysinką spytała:

— Czy macie trochę wody sodowej?

— Jasne — potwierdziła Tina. — Richie, rzuć im linę.

Sierżant Al Garcia przechylił się przez poręcz i pozbył zjedzonych na śniadanie rogalików.

— Myślałem, że jesteś wielkim wędkarzem — dociął mu Luis Córdova.

— Tam było co innego. — Sierżant otarł wąsy rękawem kurtki. — Łowiłem na cholernym jeziorze.

Rejs do Osady na Palach był morderczy. Tak przynajmniej Garcia tłumaczył swojego pawia. Chodziło mu, rzecz jasna, o podróż motorówką, a nie to, co zastali w domu.

Luis trzepnął go w ramię.

— W każdym razie teraz czujesz się lepiej.

Detektyw skinął głową. W dalszym ciągu pienieł się z powodu motorówki patrolowej i trzech godzin, które stracili na zdobycie nowej zawleczonej do śruby. Okazało się, że były to trzy decydujące godziny.

— Gdzie jest nasz delikwent? — spytał Garcia.

— W środku. Dąsa się.

Mężczyzna znany pod przydomkiem Chemo stał z prawą ręką nad głową. Luis Córdova przykuł go w kuchni do przeciągniętych pod sufitem rur wodociągowych. Na wszelki wypadek Niszczyciela Chwastów odczepiono od kikutu lewej ręki zabójcy. Kosiarka ogrodowa wraz z ciągnącymi się za nią czerwonymi i czarnymi kablami leżała na kuchennym barze.

Luis Córdova wskazał na żyłkę owiniętą na szpuli.

— Widzisz? Ludzkie włosy — powiedział do sierżanta. — I to długie, czarne. Pewnie kobiece.

Garcia odwrócił się w stronę dryblasza.

— Hej, stary, jesteś fryzjerem?

— Pierdol się — Chemo zamrugał obojętnie.

— Mówi tylko tyle — stwierdził Luis. — Chyba to jego ulubiony zwrot. Powtarzał go przez cały czas, kiedy czytałem mu prawa.

Al Garcia podszedł do Chema i zapytał:

— Zdajesz sobie sprawę, że w sypialni leży martwy doktor?

— Pierdol się.

— Słyszysz? — rzekł Córdova. — Tylko tyle potrafi.

— No cóż, w każdym razie coś wie. — Detektyw pogrzebał w kieszeni i wyciągnął zmiętą chusteczkę. Przyłożył ją do twarzy i wrócił do sypialni. Wszedł po kilku minutach i oznajmił:

— Bardzo nieprzyjemne.

— Jasne — przytaknął Luis.

— Panie Tatum, skoro nie chce pan mówić, może pan przynajmniej

posłuchać. — Garcia usadowił się na jednym z plecionych stołków i wtknął do ust cygaro. Ale nie zapalił go.

— Oto, co się tu stało — oświadczył. — Miał pan z doktorem poważną sprzeczkę. Zwabił pan tu tego biednego sukinsyna i próbował torturami wydobyć z niego szmal. Spieprzył pan jednak robotę i zabił faceta.

Chemo zaczerwienił się.

— Gówno prawda — odparł.

Luis Córdova zrobił uszczęśliwioną minę.

— Postęp — zwrócił się do swego kolegi. — Robimy postępy.

Chemo zacisnął pięść, grzechocząc przy okazji kajdankami po rurze.

— Dobrze wiecie, kto to zrobił — rzucił.

— Kto? — Sierżant uniósł dłonie. — Gdzież jest ten tajemniczy człowiek?

— Pierdol się — powrócił do dawnego repertuaru dryblas.

— Jednego nie mogę zrozumieć — ciągnął detektyw. — Dlaczego nie zwiąłeś? Dlaczego zostałeś w domu z całym tym bigosem? Do diabła, *chico*, wystarczyło tylko skoczyć.

Chemo opuścił głowę. Czuł, że policzki palą go i szczypią. Miał nadzieję, że to oznaka gojenia.

— Może nie umie pływać — zasugerował Córdova.

— Może się bał — dodał Garcia.

Chemo milczał. Zamknął oczy i skoncentrował się na kojących dźwiękach wolności. Słyszał wiatr, fale i mewy. I cykanie wodoodpornego zegarka.

Sierżant zapalił cygaro dopiero wówczas, gdy znaleźli się na zewnątrz. Odwrócił się bokiem do wiatru i osłonił zapałkę złożonymi dłońmi.

— Wezwałem śmigłowiec — poinformował Luis Córdova. — I gościa z sądówki.

— Co nam daje jakieś pół godziny?

— Mniej więcej — potwierdził młody funkcjonariusz patrolu. — W tym czasie możemy sprawdzić inne domy. Ten palant nam nie umknie.

Garcia próbował zrobić kółko z dymu, ale natychmiast porwał je wiatr.



Front już przeszedł i niebo nad zatoką Biscayne zaczęło się przejaśniać. Słońce przebiło się przez mgły ukośnymi, złotymi słupami, które przywarły do wody, rozświetlając mielizny.

— Teraz rozumiem, dlaczego tak kochasz to miejsce — rzekł detektyw.

— Są dni, kiedy wszystko wygląda jak jakiś obraz — uśmiechnął się Luis.

— Jak myślisz, dokąd popłynął?

— Mick? Może już nie żyje. Taki wielki facet mógł go załatwić. A potem wyrzucić ciało z domu.

Garda ze sceptycyzmem obgryzał koniec cygara.

— Niewykluczone. Ale równie dobrze Mick mógł odpłynąć. Pamiętaj, że miał strzelbę.

— Jego łódź zatonięła — zauważył Córdova. — Ktoś przestrzelił dziurę w dnie.

— Niesamowite — skomentował sierżant. — Ale gdybym musiał zgadywać, raczej bym przyjął, że nie było go w pobliżu, kiedy dramat się rozegrał. Założyłbym, że wydostał się z domu.

— Może.

— Cokolwiek tu zaszło, była to sprawa między Tatumem a doktorem. Pewnie chodziło o pieniądze albo o coś związanego z chirurgią. Chryste, zauważyłeś rękę tego faceta?

— I jego twarz — dodał Luis. — Wiesz, ta hipoteza ma nawet sens. Sądząc z wyglądu, to nie jest typ, który chciałby wnosić pozew.

— Ale żeby załatwić kogoś młotkiem, trzeba mieć cholerne nerwy — oświadczył Garcia, nadymając policzki, jakby zamierzał gwizdnąć. — Z drugiej jednak strony ofiarę trudno uznać za świetlaną postać... Wszystko pasuje.

I o to przede wszystkim chodziło.

Niewielka łódź, smukła żółta motorówka z przyczepnym silnikiem, pędziła przez płycizny. Kierowała się na południe, w stronę Soldier Key. Sierżant uważnie ją obserwował i nawet poszedł za dom, żeby nie tracić jej z oczu.

— Nie przejmuj się, znam go — rzekł Luis Córdova. — To przewodnik wędkarski.

— Zastanawiam się, czemu jest sam.

— Może klient się nie zjawił. Kiedy mocno wieje, coś takiego się zdarza...

Te fiuty boją się wtedy wyjść z przystani. A potem robi się piękny dzień.

Na południe za Osadą żółta łódź zakreśliła, opuszczając mielizny, i zatrzymała się w głębokim błękitnym kanale. Szyper wyjął wędkę i zarzucił ją za burtą. A potem usiadł i zaczął czekać.

— Widzisz? — odezwał się Córdova. — Po prostu łowi lucjany.

Garcia, mrużąc oczy, patrzył pod słońce.

— Luis, czy widzisz tam coś jeszcze?

— Gdzie?

Detektyw wskazał ręką.

— Mniej więcej w odległości ćwierci mili. Coś w wodzie, między nami a tamtą wyspą.

Córdova jedną ręką osłonił oczy przed blaskiem, a drugą poprawił ciemne okulary.

— Tak, teraz widzę — potwierdził. — Płynie na powierzchni. Wygląda jak wielki żółw.

— Tak?

— Dziadek-żółw. Albo i delfin. Przynieść lornetkę?

— Nie, wszystko w porządku. — Garcia odwrócił się i oparł plecami o drewnianą poręcz. Uśmiechał się szeroko, a pet cygara podskakiwał mu pod wąsami. — Nigdy tu nie widziałem delfina, tylko w Seaquarium.

— No cóż, wciąż jeszcze żyje kilka na swobodzie — stwierdził Córdova. — Jeżeli to rzeczywiście delfin.

— Na pewno — oświadczył sierżant. — Bez wątpienia.

Strząsnął popiół z cygara i patrzył, jak wiruje, rozsypując się na wietrze.

— Chodź — powiedział. — Przekonajmy się, czy ten palant nauczył się jakichś nowych słów.

## Epilog

BLONDELL WAYNE TATUM, znany również jako Chemo, przyznał się przed sądem okręgowym hrabstwa Dade do zamordowania doktora Rudy'ego Graveline'a i Chloe Simpkins-Stranahan. Przesłany do Pensylwanii, przyznał się również do popełnienia niewyjaśnionego do tej pory zabójstwa doktora Gunthera MacLeisha, emerytowanego dermatologa i pioniera elektrolitycznej metody usuwania niepożądanego zarostu twarzy. Ze względu na swoje kalectwo oraz pozytywne opinie współczującej mu starszyzny Amiszów, Tatum otrzymał stosunkowo łagodny wyrok trzy razy po siedemnaście lat więzienia, które miał odbyć jednocześnie. Obecnie jest wzorowym więźniem opiekującym się zimowym ogrodem warzywnym w Zakładzie Karno-Poprawczym w Raiford, stan Floryda.

MAGGIE ORESTES-GONZALEZ zaprzeczyła, jakoby współdziałała w utrudnianiu czynności dochodzeniowych oraz złożyła fałszywe zeznania w sprawie śmierci Victorii Barletty. Otrzymała wyrok sześciu miesięcy w zawieszeniu oraz karę dodatkową w wymiarze stu godzin pracy społecznej w charakterze pielęgniarki-wolontariuszki w areszcie hrabstwa County. Tam wzięta jako zakładniczka, zginęła w czasie zamieszek spowodowanych złymżywieniem więźniów.

HEATHER CHAPPELL w dalszym ciągu występowała w licznych serialach telewizyjnych, takich jak *Matlock*, *Prawo Los Angeles*, *Morderstwo*. Zaledwie pięć miesięcy po śmierci doktora Rudy'ego Graveline'a bez rozgłosu zjawiła się w ekskluzywnej klinice chirurgicznej w West Hollywood i poddała się zabiegowi powiększenia piersi, operacji powiek, nosa, pełnej rhytidectomii, wszczępieniu brody oraz odsysaniu tłuszczu z ud, podbrzusza i pośladków. Wkrótce później kariera filmowa Heather doznała nowego impulsu, gdy zaproponowano jej rolę Triany, kliongońskiej prostytutki, w *Star Trek VII: Zdrada Spocka*. Propozycję przyjęła.

KIPPER GARTH, który nigdy w pełni nie odzyskał zdrowia po obrażeniach doznanych w wyniku trafienia pelota, wycofał się z działalności prawniczej. Jego lukratywną praktykę związaną z przypadkami uszczerbku na zdrowiu przejęła znana firma z Miami Beach. Uzyskała ona prawo wykorzystywania nazwiska i podobizn Kippera Gartha we wszystkich przyszłych ogłoszeniach i akcjach promocyjnych.

Sąd hrabstwa Dade nie zgodził się na postawienie w stan oskarżenia JOHNA NORDSTROMA za napaść na swojego prawnika. Nordstrom i jego żona podtrzymali swój pozew przeciwko Sanatorium i Centrum Chirurgicznemu Whispering Palms o błąd w sztuce lekarskiej i ostatecznie, na podstawie zawartej poza sądem ugody, otrzymali trzysta piętnaście tysięcy dolarów, z czego czterdzieści procent poszło prosto do kieszeni ich nowego adwokata.

Skurcz implantów piersi MARIE NORDSTROM udało się usunąć w wyniku prostego ambulatoryjnego zabiegu przeprowadzonego przez doktora George'a Gintera. Operacja trwała zaledwie dziewięćdziesiąt minut i została uwieńczona całkowitym sukcesem.

Miejsce zajmowane w komisji administracyjnej hrabstwa przez ROBERTA PEPSICALA przypadło jego młodszemu bratu, Charliemu. Prawa

lokalizacyjne projektu Old Cypress Tower przejęła w końcu grupa bogatych inwestorów z Ameryki Południowej. Mimo protestów obrońców środowiska i miejscowych właścicieli domów inwestorzy ci zniwelowali boisko oraz tereny do zabaw i wybudowali trzydziestotrzypiętrowy luksusowy dom mieszkalny z eleganckim nocnym klubem na dachu o nazwie „U Freddiego”. Dziewięć tygodni po otwarciu na budynek nałożyła sekwestr DEA — Agencja do Walki z Narkotykami, w ramach operacji zwalczania prania brudnych pieniędzy o nazwie kodowej „Operacja Pirania”.

Popularny program telewizyjny *Prosto w twarz* zdjęto po zniknięciu i przypuszczalnej śmierci jego gwiazdora, REYNALDA FLEMMMA. Kierownictwo produkcji programu oznajmiło wkrótce, że stypendium imienia Reynalda w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów przyznano Wydziałowi Dziennikarstwa Uniwersytetu Columbia, z którego, jak na ironię, Flemma dwukrotnie wyrzucono.

Eksporter J. W. KIMBLER otrzymał osobisty list dziękczynny od prorektora Akademii Medycznej Wysp Zawietrznych na Gwadelupie. Znalazł się w nim następujący fragment: „Dziękujemy Panu za ostatnią przesyłkę, która stała się najwspanialszym akcentem naszego ostatniego semestru. W imieniu Wydziału i studiujących na nim przyszłych chirurgów pragnę złożyć wyrazy naszej najgłębszej wdzięczności za tak doskonały produkt”.

Dzięki dramatycznemu reportażowi z operacji kosmetycznej Reynalda Flemma kamerzyście WILLIEMU VELASQUEZOWI zaproponowano poprowadzenie własnego programu reportażowo-dokumentalnego w sieci telewizyjnej Fox. *Tajny świadek!*, emitowany o dwudziestej w czwartki, w czterech głównych sondażach popularności zdecydowanie pokonał *Bill Cosby Show*.

CHRISTINA MARKS odrzuciła ofertę zostania kierownikiem produkcji w nowym programie Williego. Zrezygnowała z pracy w telewizji i przyjęła stanowisko zastępcy kierownika działu miejskiego w „Miami Herald”, tracąc na tym około stu trzydziestu pięciu tysięcy rocznie. Wkrótce potem zakupiła używanego boston whalera i mapę nawigacyjną południowej części zatoki Biscayne.

Rodzice Victorii Barletty z zaskoczeniem otrzymali za pośrednictwem firmy kurierskiej czarną walizeczkę Samsonite zawierającą sto osiemnaście tysięcy czterysta dolarów gotówką. Dołączony do pieniędzy list informował, że jest to dar od spadkobierców doktora Graveline'a. List podpisał emerytowany oficer dochodzeniowy, niejaki MICK STRANAHAN. Adresu zwrotnego nie było.